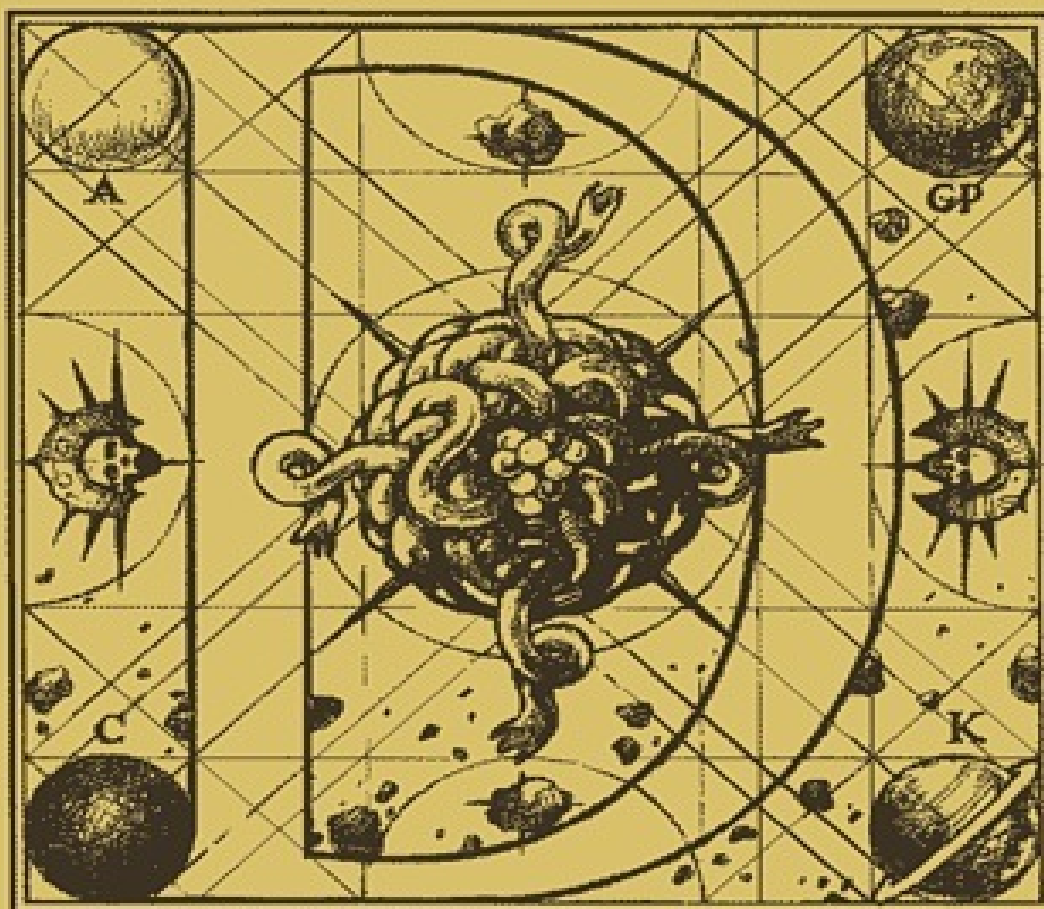


Frank Herbert

Dzieci
Diuny



Frank Herbert

DZIECI
DIUNY

Przełożyli
Marek Marszał i Andrzej Jankowski



Dom Wydawniczy REBIS

Dla Bev

*– z miłosnym oddaniem, ceniąc Jej urodę i mądrość,
gdyż to Ona naprawdę zainspirowała mnie do napisania tej książki*



Dzieci Diuny

Nauki Muad'Diba stały się polem do popisu dla doktrynerów, zabobonników i fałszywców. On nauczał harmonii bytu, filozofii, która pozwala człowiekowi podjąć wyzwania wiecznie zmieniającego się wszechświata. On głosił, że ludzkość ciągle się rozwija, podlega ewolucji, której nie ma końca. Głosił, że ewolucja ta zachodzi według zmieniających się reguł, które znane są tylko wieczności. Jak można fałszywym rozumowaniem igrać taką istotą rzeczy?

– *Zdaniem mentata*, Duncan Idaho

Na bordowym dywanie zaścielającym surową skałę jaskiniowej podłogi pojawił się krążek światła. Jarzył się bez widocznego źródła, jakby samoistniejąc jedynie na wiązanej z przyprawowych nici bordowej okrywie tkaniny. Myszkujący krążek, około dwucentymetrowej średnicy, sunął zygzakiem, to wydłużając się, to znów kurcząc. Napotkawszy ciemnozielony skraj łóżka, podskoczył i rozplynął się po posłaniu.

Pod zielonym kocem leżał rudowłosy chłopiec o puciołowatej jeszcze po dziecięcemu buzi i pełnych wargach – figura daleka od tradycyjnej, czerstwej suchości fremeńskiej, ale i nie nalana wodą jak obcoświatowiec. Krążek światła musnął zamknięte powieki i chłopiec się poruszył. Światło zgasło.

Teraz było słychać tylko miarowy szmer oddechu i, w tle, nikłe, kojące kap-kap-kap kropli wody spadających do basenu łownego z ukrytego wysoko nad jaskinią oddzielnacza wiatru.

Światło powróciło do komory nieco większe, jaśniejsze o parę lumenów. Tym razem dało się coś powiedzieć o jego źródle i wędrówce: zakapturzona sylwetka wypełniała sklepiony otwór na krańcu komory i tam brało ono swój początek. Znów krążyło po pomieszczeniu, badając, szperając. Była w nim jakaś utajona groźba, jakieś wzbierające rozdrażnienie. Ominęło śpiące dziecko, przysiadło na siatce wlotu powietrza w górnym narożniku, poświdrowało wybrzuszenia zielono-złotych kobierców łagodzących twardość skalnej ściany.

Po chwili zgasło znowu. Szelest szaty zdradził, że zakapturzona postać przemieściła się i stanęła po drugiej stronie sklepionego wejścia. Znający porządku w siczy Tabr bez trudu by się domyślił, że to musi być Stilgar, jej naib, a zarazem opiekun osieroconych bliźniąt, które pewnego dnia obejmą schedę po ojcu, Paulu Muad'Dibie. Stilgar często sprawdzał kwatery bliźniąt, zawsze zaczynając od komnaty, w której spała Ganim, i kończąc tutaj, w przyległym pomieszczeniu, gdzie mógł się upewnić, że nic nie zagraża Leto.

„Stary dureń ze mnie” – pomyślał Stilgar.

Obrócił w palcach chłodny korpus szperacza i schował urządzenie do kieszonki w szerokim pasie. Chociaż użyteczny, szperacz go drażnił. Był wyrafinowanym produktem Imperium, służącym do wykrywania dużych, żywych obiektów. W królewskich sypialniach wykrył jedynie śpiące dzieci.

Stilgar wiedział, że jego myśli i emocje są jak światło szperacza. Nie mógł powstrzymać niespokojnego strumienia świadomości. Akurat tym kierowała jakaś wyższa siła. Kierowała Stilgara do tej chwili, w której wyczuwał zogniskowane niebezpieczeństwo. Tu krył się magnes przyciągający sny o potędze z całego wszechświata. Tu kryły się doczesne bogactwa, świecka władza i ów najpotężniejszy ze wszystkich mistycznych talizmanów: boskie źródło religijnej spuścizny Muad'Diba. W tych bliźniętach – Leto i jego siostrze Ganimie – tkwiła przerażająca moc. Dopóki one żyją, Muad'Dib, choć martwy, żyje w nich.

Te dziewięćlatki nie są zwykłymi dziećmi; są żywiołami natury, obiektami czci i strachu. Są dziećmi Paula Atrydy, który został Muad'Dibem, Mahdim wszystkich Fremenów. Muad'Dib wywołał erupcję ludzkości – to z tej planety, niosąc swoją żarliwość, Fremenie runęli przez zamieszkany wszechświat dżihadem, falą religijnego władztwa, które zasięgiem i wszechobecnym panowaniem zostawiło ślad na każdym globie.

„Jednak dzieci Muad'Diba są tylko ludźmi – pomyślał Stilgar. – Wystarczyłoby dwa razy pchnąć nożem, żeby wyciekło z nich życie. Ich woda wróciłaby do plemienia”.

W krnąbrnym umyśle Fremena aż się zagotowało od tego pomysłu.

„Zabić dzieci Muad'Diba!”

Ale Stilgar z wiekiem nauczył się orientować w meandrach własnej świadomości. Znał pochodzenie tej strasznej myśli. Przychodziła od lewej dłoni przekłętą, nie od prawej błogosławioną. Ajat i burhan życia nie miały dla niego wielu tajemnic. Dawniej był dumny, mieniąc się Fremenem,

mając pustynię za przyjaciółkę i nazywając w myślach swoją planetę Diuną, a nie Arrakis, jak oznaczano ją na wszystkich gwiazdnych mapach Imperium.

„Jakie proste było wszystko, kiedy nasz mesjasz był tylko marzeniem. Odnalazłszy naszego Mahdiego, stworzyliśmy wszechświat na chmurę mesjanistycznych rojeń. Teraz każdy lud zniewolony dżihadem marzy o nadejściu przywódcy. – Zerknął w głąb ciemnej sypialni. – Czy gdyby mój nóż uwolnił tych wszystkich ludzi, uczyniliby mnie mesjaszem?”

Leto niespokojnie wiercił się na posłaniu.

Fremen westchnął. Nie poznał dobrze dziadka chłopca, po którym ten nosił imię. Ale wielu mówiło, że moralna siła Muad'Diba tam właśnie miała swoje korzenie. Czy owa przerażająca *prawość* ominie teraz pokolenie? Nie znajdował odpowiedzi na to pytanie.

„Sicz Tabr jest moja – myślał. – Ja tu rządzę. Jestem naibem Fremenów. Beze mnie nie byłoby Muad'Diba. A co do bliźniąt... przez Chani, ich matkę, a moją krewniaczkę, moja krew płynie w ich żyłach. Tkwię w tym razem z Muad'Dibem, Chani i całą resztą. Co myśmy zrobili z naszym światem?”

Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego takie myśli nachodzą go po nocy i dlaczego budzą takie poczucie winy. Skulił się pod płaszczem z kapturem. Jawa była całkiem inna niż sen. Przyjazna pustynia, dawniej rozpościerająca się od bieguna do bieguna, zmniejszyła się o połowę. Mityczny raj bujnej zieloności napawał go lękiem. Nie przypominał tego z marzeń. Stilgar wiedział, że tak jak zmieniła się jego planeta, tak i on sam się zmienił. Stał się człowiekiem dużo bardziej wyrafinowanym niż niegdysiejszy przywódca siczy. Był teraz świadomy wielu rzeczy – sztuki rządzenia państwem i rozległości skutków najbliższych decyzji. Jednak postrzegał tę wiedzę i to wyrafinowanie jako warstewkę pozłoty na żelaznym jądrze swojej prostszej, bardziej zdeterminowanej świadomości. I to dawniejsze jądro odzywało się w nim, domagając powrotu do czystszych wartości.

Bieg jego myśli zaczęły zakłócać poranne odgłosy siczy. Ludzie kręcili się już po jaskini. Przeciąg owionął mu policzki: Fremen pootwierali grodzie i wychodzili w ciemność przedświt. Przeciąg był tyle oznaką beztroski, co znakiem czasów. Mieszkańcy jaskini nie przestrzegali już tak reżimu wody jak za dawnych dni. Bo i po co, skoro na planecie odnotowano deszcze, skoro widuje się chmury, skoro gwałtowna powódź po ulewie zalała i zabiła ośmiu Fremenów w wadi. Przed tym zdarzeniem wyraz

„topielec” nie istniał w języku Diuny. Tyle że to już nie jest Diuna; to Arrakis... i wstaje brzemienny w wypadki dzień.

„Jessika, matka Muad'Diba i babka królewskich bliźniąt, wraca dzisiaj na naszą planetę. Dlaczego właśnie teraz kończy swoje dobrowolne wygnanie? Dlaczego przedkłada niebezpieczeństwa Arrakis nad sielankę Kaladanu?”

Były też inne powody do niepokoju: Czy odgadnie jego rozterki? W końcu to czarownica Bene Gesserit, po najgruntowniejszym szkoleniu, no i Matka Wielebna całą gębą. Takie kobiety są bystre i niebezpieczne. Czy każe mu się nadziać na własny nóż, jak skończył obrońca ummy Kynesa?

„Czy usłuchałbym jej?” – zastanowił się Stilgar.

Uciekł od odpowiedzi, wspominając Kynesa, planetologa, który pierwszy zamarzył o przemianie pustynnej Diuny w życiodajną zieloną planetę, jaka się właśnie rodzi. Kynes był ojcem Lieta-Kynesa, ojca Chani. Bez Kynesa nie byłoby zielonego marzenia, Chani, królewskich bliźniąt. Postęp tego kruchego łańcucha zdarzeń przerażał Stilgara.

„Jak doszło do naszego spotkania w tym miejscu? Jak się połączyliśmy? W jakim celu? Czy mam położyć kres temu wszystkiemu, zniszczyć tę wielką kombinację?”

Stilgar miał pełną świadomość, że zмага się ze straszną pokusą. Mógł dokonać wyboru, mógł się wyprzeć miłości i rodziny, aby zrobić to, co naib musi czasami zrobić: powziąć śmiertelną decyzję dla dobra plemienia. Z jednej strony taki mord oznaczał najczarniejszą zdradę i okrucieństwo. „Zabić zwyczajne dzieci!” Ale z drugiej te dzieci nie były zwyczajne. Spożywały melanz, uczestniczyły w siczowych orgiach, zapuszczały się na pustynię po piaskową troć i oddawały innym rozrywkom fremieńskiej dzieciarni... I zasiadały w Radzie Królewskiej. Dzieci tak małe, a tak mądre, że zasiadały w radzie. Może i były dziećmi z ciała, ale z doświadczenia były stare jak świat, urodzone z pełną pamięcią genetyczną, przerażającą świadomością, która oddzieliła je i ich ciotkę Alię od wszystkich innych ludzi.

Nie jeden raz i niejednej nocy Stilgar przyłapywał się na tym, że jego myśli krążą wokół owej „odmienności” wspólnej bliźniętom i ich ciotce; nie jeden raz budził się z dręczących snów i z niedośnionymi koszmarami przychodził tutaj, do sypialni bliźniąt. Jego rozterki nabrały teraz ostrości. Brak decyzji sam w sobie jest decyzją – o tym wiedział. Dzieci i ich ciotka przebudzili się w łonie matki i wchłonęli wszystkie wspomnienia przodków. Zadecydowało o tym uzależnienie od przyprawy, uzależnienie ich matek:

lady Jessiki i Chani. Lady Jessika urodziła syna, Muad'Diba, zanim popadła w uzależnienie, natomiast Alia przyszła na świat już po tym. To było jasne z perspektywy czasu. Niezliczone pokolenia z planu eugenicznego Bene Gesserit doprowadziły do Muad'Diba, ale zgromadzenie żeńskie nigdzie nie uwzględniło melanzu. Och, czarownice wiedziały o tej możliwości, ale bały się jej i nazywały to Złym Duchem. To był najbardziej przerażający fakt. Zły Duch. Musiały mieć powody do takiej oceny. A skoro orzekły, że Alia jest Złym Duchem, to samo musi dotyczyć bliźniąt, ponieważ Chani też była uzależniona, jej ciało przesyccone przyprawą, a jej geny w jakiś sposób dopełniły geny Muad'Diba.

Myśli Stilgara pograżyły się w zamęcie. Nie ulegało wątpliwości, że bliźnięta zaszły dalej niż ojciec. Tylko w którą stronę? Chłopiec oznajmił, że potrafi *być* swoim ojcem – i dowiódł tego. Jeszcze jako maluch Leto ujawniał wspomnienia, które miał prawo zachować jedynie Muad'Dib. Czy i inni przodkowie wyczekują w owych przepastnych korytarzach pamięci – przodkowie, których przekonania i zwyczaje stwarzają niewyobrażalne zagrożenia dla żyjących ludzi?

Złe Duchy – powiadają święte czarownice Bene Gesserit. A jednak łakną genotypu tych dzieci. Czarownice chciały mieć plemniki i jajo bez budzących niepokój ciał dawców. Czyżby dlatego Jessika przybyła właśnie teraz? Wprawdzie zerwała ze zgromadzeniem, wzięwszy stronę swego księcia, ale ludzie gadają, że powróciła na łono Bene Gesserit.

„Mógłbym zakończyć te wszystkie mrzonki – myślał Stilgar. – Jakie by to było proste”.

Ale znowu zdziwił się sobie, że może rozważać taki wybór. Czy bliźnięta Muad'Diba są winne rzeczywistości, która niweczy marzenia innych? Nie. Są tylko soczewkami, przez które pada światło odsłaniające nowe kształty we wszechświecie. Zagubiony, zwrócił się myślą ku podstawom fremieńskiej wiary: „Dzieje się wola Boga, nie próbuj jej przyspieszać. Bóg wskazuje drogę, tylko niektórzy z niej schodzą”.

Właśnie religia Muad'Diba najbardziej niepokoiła Stilgara. Dlaczego uczynili Muad'Diba bogiem? Po co deifikować kogoś, o kim wiadomo, że jest z krwi i kości? „Złoty Elixir Życia” Muad'Diba zrodził biurokratyczne monstrum, krępujące ludzkie życie. Władza złączyła się z religią i łamanie prawa stało się grzechem. Śwąd bluźnierstwa snuł się jak dym wokół każdego wystąpienia przeciwko rządowym dekretem. Występek buntu rozniecał piekielne ognie i pełne pychy osądy.

A jednak to ludzie tworzyli owe rządowe dekrety.

Stilgar ze smutkiem pokręcił głową, nie zauważywszy, że w królewskim przedpokoju do porannych zajęć zeszła się służba.

Przebierał palcami po rękojeści krysnoża za pasem, dumając nad symbolizowaną przez broń przeszłością i wspominając, jak niejednokrotnie solidaryzował się z buntownikami, których niewydarzone rebelie zgnieciono na jego rozkaz. Żeby chociaż wiedział, jak uwolnić umysł od zamętu, jak przywrócić mu prostą filozofię noża. Ale wszechświata się nie cofnie. Ta olbrzymia machina pruje naprzód przez szarą otchłań niebytu. Zabiwszy bliźnięta, jego nóż tylko odbije się echem w tej otchłani, motając nowe złożoności, które przewiną się w historii rodzaju ludzkiego, tworząc nowe fale chaosu i wodząc ludzkość na manowce nowych form ładu i nieładu.

Stilgar westchnął, uprzytomniając sobie, że wokół trwa krzątanie. Tak, ci słudzy przedstawiają pewien ład ustanowiony wokół dzieci Muad'Diba. Żyją od chwili do chwili, stawiając czoło wszelkim pojawiającym się koniecznościom.

„Najlepiej pójść w ich ślady. Najlepiej stawić czoło temu, co przychodzi, kiedy już przyjdzie – powiedział sobie, po czym dodał: – Jeszcze jestem sługą. A moim panem jest Bóg Miłosierny, Litościwy. – I zacytował w duchu: – Zaprawdę, nałożyliśmy im pęta aż po brodę, przeto ich głowy są uniesione; i postawiliśmy barierę przed nimi i barierę za nimi; i przykryliśmy ich zasłoną, przeto ich oczy nie widzą”. Tak było zapisane w starej fremeńskiej religii.

Stilgar skinął głową. To, że człowiek „widzi”, przewiduje nadchodzącą chwilę, jak to robił Muad'Dib dzięki swoim oszalamiającym wizjom przyszłości, przydaje życiu nowego wymiaru. Stwarza nowe pola dla decyzji. Wolność od pęt, tak, to mogło oznaczać kaprys Boga. Jeszcze jedną złożoność nie do pojęcia dla zwykłego człowieka.

Zdjął palce z rękojeści. Mrowiły go od ucisku. Ostrze, które niegdyś lśniło w ziejącej paszczy czerwia, zostało w pochwie. Wiedział, że nie dobędzie już noża, żeby zabić bliźnięta. Powziął decyzję. Lepiej zachować tę jedną z dawnych cnót, którą nadal się szczycił: wierność. Lepsze złożoności, które wydają się poznane, niż złożoności nie do pojęcia. Lepsza teraźniejszość niż marzenie o przyszłości.

Gorycz w ustach mówiła Stilgarowi, jak jałowe i ohydne potrafią być niektóre marzenia.

„Dość! Dość już marzeń i snów!”



Zaczepka: Spotkałeś Kaznodzieję?

Riposta: Spotkałem czerwia pustyni.

Zaczepka: Co robi czerw pustyni?

Riposta: Daje powietrze, którym oddychamy.

Zaczepka: To dlaczego niszczyliśmy jego krainę?

Riposta: Dlatego, że Szej-hulud [Bóg Czerw] tak nakazuje.

– *Arrakańska szermierka słowna* pióra Harka al-Ady

Fremeńskim zwyczajem atrydzkie bliźnięta obudziły się godzinę przed świtem. Niczym na dany znak jednocześnie ziewnęły i przeciągnęły się w przyległych sypialniach, wyczuwając krzątanie w jaskiniowym labiryncie. Słyszały opiekunów przygotowujących w przedpokoju śniadanie – niewyszukany kleik daktylowo-orzechowy na syropie z fermentującej przyprawy. Płonęły lumisfery i łagodne, żółte światło wpadało przez sklepione przejścia do sypialni. Ubierając się szybko w półmroku, bliźnięta słyszały też siebie. Tak jak się umówiły, włożyły filtraki dla ochrony przed palącymi wiatrami pustyni.

Niebawem królewska dwójka spotkała się w przedpokoju, zauważając, że wszyscy nagle zamarli. Leto – ujrano – zarzucił na szarą gładź filtraka jasnobrązową pelerynę z czarną lamówką. Jego siostra miała pelerynę zieloną. Obie spięte były pod szyją agrafami w kształcie atrydzkiego jastrzębia – ze złota, z czerwonymi rubinami w miejsce oczu.

Hara, jedna z żon Stilgara, nie wytrzymała na widok tych paradnych szat.

– Widzę, żeście się wystroili, by uhonorować waszą babkę.

Leto wziął miskę z papką i popatrzył na ciemne, pobrużdżone przez wiatr oblicze Fremenki. Pokręcił głową.

– Skąd wiesz, że nie honorujemy siebie?

Jego kpiące spojrzenie ani trochę nie speszyło Hary.

– Moje oczy są równie błękitne jak twoje!

Ganima parsknęła śmiechem. Hara zawsze była mistrzynią fremeńskiej gry w szermierkę słowną. Ta krótka riposta mówiła: „Nie kpij ze mnie, chłopcze. Możesz sobie być królewiatkiem, ale oboje nosimy stygmaty

uzależnienia od melanzu – oczy bez białek. Który Fremen potrzebuje strojnieszyszych szat albo większych honorów niż to?”

Leto uśmiechnął się smętnie i pokręcił głową.

– Hara, kochanie, gdybyś tylko była młodsza i nie należała do Stilgara, byłabyś już moja.

Fremenka gładko przełknęła małe zwycięstwo i dała znak pozostałym opiekunom, żeby wrócili do swoich zajęć.

– Jedzcie śniadanie – powiedziała. – Dziś będziecie potrzebowali energii.

– Przyznajesz więc, że nie jesteśmy za śliczni dla naszej babki? – spytała Ganimi z ustami pełnymi papki.

– Nie bój się jej, Gani – rzekła Hara.

Przełknąwszy, Leto bacznie spojrzał na Harę. Piekielnie dobrze знаła się na ludziach, skoro tak błyskawicznie przejrzała tę zagrywkę strojami.

– Czy ona uwierzy, że się jej boimy? – zapytał.

– Prawdopodobnie – odparła Fremenka. – Nie zapominaj, że była naszą Matką Wielebną. Znam jej sposoby.

– Jak ubrała się Alia? – spytała Ganimi.

– Nie widziałam jej – burknęła Hara, odchodząc.

Leto i Ganimi wymienili porozumiewawcze spojrzenia i dziarsko zabrali się do jedzenia. Wkrótce wyszli na wielki główny korytarz. Ganimi odezwała się w jednym ze starożytnych języków, których nie poskapiła obojgu pamięć genetyczna.

– No to witamy dzisiaj babkę.

– Co bardzo trapi Alię – powiedział Leto.

– Kto lubi oddawać władzę? – zauważyła Ganimi.

Cichy śmiech Leto zabrzmiał dziwnie dorośle jak na jego dziecięcą postać.

– Chodzi o coś więcej.

– Czy oczy jej matki wypatrzą to, co my widzimy?

– A nie wypatrzą? – odparł chłopiec.

– Tak... Tego mogłaby się obawiać.

– Kto lepiej rozpozna Złego Ducha niż Zły Duch? – rzekł Leto.

– Wiesz, że możemy się mylić.

– Ale się nie mylimy – stwierdził i przytoczył słowa z *Księgi Azhara Bene Gesserit*: – „To za sprawą rozumu i strasznego doświadczenia nazywamy przednarodzonych Złymi Duchami. Albowiem któż wie, jaka zatracona

i przekłeta osobowość z naszej mrocznej przeszłości może opanować żyjące ciało?”

– Znam historię – powiedziała Ganima. – Ale jeśli to prawda, dlaczego my nie padliśmy jeszcze ofiarą takiej wewnętrznej napaści?

– Może rodzice stoją w nas na straży?

– To dlaczego Alia nie ma swoich strażników?

– Nie wiem. Może dlatego, że jedno z jej rodziców pozostaje wśród żywych. A może my po prostu jesteśmy jeszcze młodzi i silni? Może kiedy będziemy starsi i bardziej cyniczni?

– Musimy być bardzo ostrożni z naszą babką – rzekła Ganima.

– I nie dyskutować o Kaznodziei, który wędruje po planecie, głosząc herezję?

– Chyba nie sądzisz, że to nasz ojciec?!

– Niczego nie przesądzam, lecz Alia się go obawia.

Ganima gwałtownie potrząsnęła głową.

– Nie wierzę w te bajki o Złym Duchu!

– Masz dokładnie tyle samo cudzych pamięci co ja – rzekł Leto. – Możesz wierzyć, w co chcesz.

– Myślisz, że to dlatego, że nie odważyliśmy się na trans przyprawowy, Alii zaś wystarczyło odwagi – powiedziała Ganima.

– Tak właśnie myślę.

Zamilkli, wkraczając w strumień ludzi w głównym korytarzu. W siczy Tabr ciągnęło chłodem, ale w filtrakach było im ciepło, a skraplaczowe kaptury mieli zsunięte z rudych głów na plecy. Ich twarze ujawniały piętno wspólnych genów: pełne usta, szeroko rozstawione, błękitne w błękitcie oczy.

Leto pierwszy wypatrzył zbliżającą się ciotkę Alię.

– O wilku mowa – powiedział, przechodząc ostrzegawczo na atrydzki język walki.

Gdy Alia stanęła przed nimi, Ganima złożyła ciotce niski ukłon.

– Zdobycz wojenna pozdrawia znamienitą krewną. – Pozostając przy chakobsa, położyła nacisk na znaczenie swojego imienia: „zdobycz wojenna”.

– Jak widzisz, kochana cioteczko – dodał Leto – szykujemy się na dzisiejsze spotkanie z twoją matką.

Alia, jedyna osoba na rojnym dworze królewskim, u której dorosłe zachowanie obojga dzieci nie budziło najmniejszego zdziwienia, wodziła

wzrokiem od siostry do brata i z powrotem.

– Zamknijcie się, jedno z drugim!

Rudobrzowe włosy miała ściągnięte do tyłu i zebrane w dwa złote taliony wody. Owalna twarz była nachmurzona, szerokie, jakby nieco lubieżne usta mocno zaciśnięte. Troska wyrysowała kurze łapki w kącikach jej błękitnych w błękicie oczu.

– Mówiłam wam, jak macie się dzisiaj zachowywać! Motywy znacie równie dobrze jak ja.

– Znamy twoje motywy, ale ty nie możesz znać naszych – powiedziała Ganimi.

– Gani! – fuknęła Alia.

Leto utkwiał wzrok w ciotce.

– Właśnie w takim dniu jak ten nie będziemy się mizdrzyć!

– Nikt wam nie każe się mizdrzyć. Uważamy tylko, że to nierozsądne, żebyście budzili niebezpieczne myśli w mojej matce. Irulana zgadza się ze mną. Kto wie, w jakiej roli wystąpi lady Jessika? W końcu jest Bene Gesserit.

Leto z niedowierzaniem pokręcił głową. „Dlaczego Alia nie widzi, co podejrzewamy? Czyżby zaszła za daleko?” I z wytężoną uwagą obserwował ledwo uchwytnie cechy genetyczne w rysach Alii, zdradzające jej dziadka ze strony matki. Baron Vladimir Harkonnen nie był sympatycznym jegomościem. Rozbudziwszy tym spostrzeżeniem własny, nieokreślony niepokój, pomyślał: „To również mój przodek”.

– Lady Jessika została wyszkolona do rządzenia – powiedział.

Ganimi skinęła głową.

– Dlaczego postanowiła wrócić właśnie teraz?

Alia spojrzała na nich wilkiem.

– Może chce po prostu zobaczyć wnuki?

„Taką masz nadzieję, cioteczko – pomyślała Ganimi. – Ale to mało prawdopodobne”.

– Nie może tu rządzić – dodała Alia. – Ma Kaladan. Powinien jej wystarczyć.

– Kiedy ojciec poszedł umrzeć na pustyni – odezwała się pojednawczo Ganimi – zostawił ciebie jako regentkę. On...

– Uskarżasz się na coś? – przerwała jej Alia.

– Mądrze zarządził. – Leto podjął zagrywkę siostry. – Jesteś jedyną osobą, która wie, co znaczy narodzić się tak, jak myśmy się narodzili.

– Mówi się, że moja matka wróciła do zgromadzenia – powiedziała Alia – a oboje wiecie, co Bene Gesserit sądzą o...

– Złym Duchu? – dokończył Leto.

– Tak! – warknęła Alia.

– Czarownicą zostaje się na zawsze, jak głosi porzekadło – odezwała się Ganimi.

„Siostrzyczko, prowadzisz niebezpieczną grę” – pomyślał Leto, ale poszedł w jej ślady.

– W przeciwieństwie do innych czarownic babka pełna jest prostoty – rzekł. – Dzielisz z nią wspomnienia, Alia, musisz chyba wiedzieć, czego się spodziewać.

– Pełna prostoty! – Potrząsając głową, Alia zerknęła na zatłoczony korytarz i wróciła spojrzeniem do bliźniąt. – Gdyby moja matka była mniej skomplikowana, nie byłoby tu żadnego z was... ani mnie. Ja byłabym jej pierworodną i nic z tego wszystkiego... – Ni to wzruszyła ramionami, ni to wstrząsnął nią dreszcz. – Ostrzegam was, jedno z drugim, uważajcie dzisiaj na to, co robicie. – Podniosła wzrok. – Są moje amazonki.

– Nadal uważasz, że lepiej będzie dla nas, jeśli nie zabierzemy się z tobą na lądowisko? – zapytał Leto.

– Poczekajcie tutaj – odparła Alia. – Sprowadzę ją.

Leto wymienił spojrzenia z siostrą.

– Mówiłaś wiele razy, że pamięci, które mamy od tych, co odeszli przed nami, nie będą szczególnie przydatne, dopóki na własnej skórze nie doświadczymy dość, aby oblec je w rzeczywistość. Oboje wierzymy w to. Spodziewamy się niebezpiecznych zmian wywołanych przybyciem naszej babki.

– I w tej wierze wytrwajcie – powiedziała Alia, po czym w orszaku strażniczek szybko odmaszerowała korytarzem w kierunku reprezentacyjnego wejścia i oczekujących przed nim ornitopterów.

Ganimi otarła łzę z prawego oka.

– Wilgoć dla umarłych? – szepnął Leto, ujmując rękę siostry.

Dziewczynka wzięła głęboki, drżący wdech na myśl o tym, co spostrzegła, gdy obserwowała ciotkę za pomocą doskonale sobie znanej metody z zasobu odziedziczonych doświadczeń.

– To sprawka transu przyprawowego? – zapytała, wiedząc, co odpowie Leto.

– Masz lepsze wyjaśnienie?

– Dlaczego, na przykład, nasz ojciec... czy nawet babka, nie ulegli?

Przyglądał jej się chwilę.

– Znasz odpowiedź równie dobrze jak ja. Mieli ukształtowane osobowości, zanim przybyli na Arrakis. Trans przyprawowy, no cóż... – Wzruszył ramionami. – Nie przyszli na świat już opętani przez przodków, Alia zaś...

– Dlaczego nie uwierzyła w przestrogi Bene Gesserit? – Ganimi przygryzła dolną wargę. – Miała dostęp do tych samych informacji co my.

– One już wcześniej nazywały ją Złym Duchem – rzekł Leto. – Ciebie nie korci, by się przekonać, czy jesteś silniejsza od tych wszystkich...

– Nie, nie korci!

Ganima uciekła wzrokiem przed baczny spojrzeniem brata i zadrżała. Wystarczyło poszperać w genetycznych pamięciach, a słowa przestrogi zgromadzenia żeńskiego stawały się ciałem. Przednarodzeni wyraźnie wyrastali na osobników o paskudnych zwyczajach. A prawdopodobna przyczyna... Ponownie zadrżała.

– Szkoda, że nie mamy kilku przednarodzonych wśród naszych przodków – powiedział Leto.

– Być może mamy.

– Przecież byśmy... Ach, tak, stare pytanie bez odpowiedzi: Czy rzeczywiście mamy dostęp do całego zbioru przeżyć każdego przodka?

Wnosząc ze swej wewnętrznej paniki, Leto wiedział, jak bardzo ta rozmowa musi niepokoić siostrę.

– Najlepsze, co możemy zrobić – stwierdził – to migać się, migać i migać, ilekroć ona będzie nakłaniać nas do transu. I jak ognia wystrzegać się przedawkowania.

– Dawka musiałaby być nielicha – zauważyła Ganimi.

– Zapewne mamy wysoką tolerancję – przytaknął. – Widzisz, ile potrzebuje Alia.

– Żal mi jej – powiedziała dziewczynka. – Pokusa musiała podpełzać niepostrzeżenie i podstępnie, opanowując ją stopniowo, aż...

– Padła ofiarą, tak – dokończył Leto. – Jest Złym Duchem.

– Możemy się mylić.

– Owszem.

– Zawsze zadaję sobie pytanie – powiedziała Ganimi w zadumie – czy kolejna z pamięci przodków, po jaką sięgam, będzie właśnie tą, która...

– Przeszłość jest nie dalej niż twoja poduszka – rzekł Leto.

- Musimy znaleźć okazję, żeby pogadać o tym z babką!
 - Do tego właśnie nagli jej pamięć we mnie – przyznał Leto.
- Ganima spojrzała mu w oczy.
- Im więcej wiedzy, tym trudniejsza decyzja.



*Przewodził owej siczy
I Liet, i Kynes,
I Stilgar, i Muad'Dib,
I Stilgar jeszcze raz.
Piach zasypuje ślady naibów,
Sicz się ostaje.*

– z fremeńskiej piosenki

Alia z biciem serca oddaliła się od bliźniąt. Przez pulsującą w skroniach chwilę odczuwała przemożną pokusę, żeby zostać i poprosić je o pomoc. Idiotyczna słabość! Na samo jej wspomnienie poczuła ostrzegawczą martwość. Czy one ośmieliłyby się czytać przyszłość? Musiała je wabić droga, która urzekła ich ojca – przyprawowy trans z wizjami przyszłości falujący jak muślin na kapryśnym wietrze.

„Dlaczego ja nie widzę przyszłości? – zadawała sobie pytanie. – Dlaczego mi umyka, chociaż próbuję i próbuję?”

Trzeba zmusić bliźnięta, żeby spróbowały, postanowiła w duchu. One dadzą się podpuścić. Mają dziecinną ciekawość i pępowinę pamięci przemierzających tysiąclecia.

„Tak jak ja” – pomyślała.

Strażniczki otworzyły grodzie reprezentacyjnego wejścia siczy i stanąwszy szpalerem, przepuściły Alię na półkę lądowiska, gdzie czekały ornitoptery. Wiatr z pustyni gnał pył po niebie, ale dzień był piękny. Wyjście ze światła siczowych lumisfer w jasność dnia skierowało jej myśli ku światu zewnętrznemu.

Dlaczego lady Jessika powraca właśnie teraz? Czyżby do Kaladanu dotarły wieści o tym, w jaki sposób regencja...

– Musimy się pospieszyć, moja pani! – odezwała się jedna ze strażniczek, przekrzykując świst wiatru.

Dała sobie pomóc przy wsiadaniu do ornitoptera i zapinaniu pasów bezpieczeństwa, ale jej myśli wyrwały się naprzód.

„Dlaczego teraz?” – zastanawiała się.

Gdy ornitopter jednym machnięciem skrzydeł wzbił się w powietrze, odczuła niemal namacalnie świetność i potęgę swej pozycji – jakże jednak kruchej, oj, jakże kruchej!

Dlaczego właśnie teraz, kiedy jej plany były jeszcze w powijakach?

Pyłowe mgły rozeszły się i podniosły. Alia patrzyła na skąpany w słońcu przechodzący transformację krajobraz planety: rozległe połacie zieleni tam, gdzie kiedyś królowała spalona ziemia.

„Bez wizji przyszłości może mi się nie udać – myślała. – Och, cóż za cuda mogłabym czynić, gdybym tylko widziała tak, jak widział Paul! Nie dla mnie gorycze jasnowidzenia”.

Targana dręczącym pragnieniem zaczęła żałować, że nie może odrzucić swojej mocy. Ach, żeby tak być jak inni – ślepa ową najbezpieczniejszą ze wszystkich ślepot, wieść tylko na poły świadomą egzystencję, w jaką szok narodzin wtrąca większość ludzi. Ale nic z tego! Urodziła się jako Atrydka, ofiara wiekuistej głębi świadomości narzuconej przez uzależnienie matki od przyprawy.

„Dlaczego moja matka wraca dzisiaj?”

Będzie z nią Gurney Halleck, oddany bez reszty sługa, najemny zabójca o szpetnej fizjonomii, wierny i prostolinijny, trubadur koncertowo podrzynający gardła lub z równą biegłością koncertujący na dziewięciostrunowej balisecie. Niektórzy gadają, że został kochankiem jej matki. Rzecz warta zbadania, może się bowiem okazać bezcennym atutem.

Przeszła jej chęć bycia jak inni.

„Trzeba wpędzić Leto w trans przyprawowy”.

Przypomniało jej się, że spytała go, jak potraktuje Gurneya Hallecka. A chłopiec, wyczuwając w pytaniu drugie dno, odparł, że Halleck jest lojalny „do przesady”, i dodał: „On uwielbiał... mojego ojca”. Wyłapała to lekkie zawahanie. Leto omal nie powiedział „mnie” zamiast „mojego ojca”. Tak, czasami trudno było oddzielić genetyczną pamięć od struny żywego ciała. Gurney Halleck nie ułatwi tego Leto.

Na ustach Alii zagościł krzywy uśmiech.

Gurney wybrał życie u boku lady Jessiki na Kaladanie. Jego powrót pogmatwa wiele spraw. Zjawiając się na Arrakis, doda zawilości własnej historii do istniejących tu genealogii. Najpierw służył ojcu Paula, tak więc

sukcesja wyglądała następująco: Leto I – Paul – Leto II. A w planie eugenicznym Bene Gesserit, w linii żeńskiej: Jessika – Alia – Ganima. Zwiększając mętlik tożsamości, Gurney mógł się okazać nieoceniony.

„Co by zrobił, gdyby odkrył, że w naszych żyłach płynie krew Harkonnenów, których tak zawzięcie nienawidzi?”

Uśmiech Alii stał się zamyślony. Bliźnięta są, mimo wszystko, dziećmi. Są jak dzieci mające niezliczoną mnogość rodziców i tyleż ich osobnych pamięci skupionych w jednej jaźni. Wyjdą na próg siczy Tabr i będą śledzić świetlisty warkocz statku babci lądującego w Basenie Arrakińskim. Czy widok ognistego kilwateru na niebie sprawi, że przybycie Jessiki stanie się dla jej wnucząt bardziej rzeczywiste?

„Matka zapyta mnie o ich szkolenie – pomyślała Alia. – Spyta, czy rozsądnie mieszam techniki prana i bindu. No i usłyszy prawdę, że smarkacze same się szkolą... tak jak ja robiłam. I zacytuję jej wnuka: »Do obowiązków przywództwa należy wymierzanie kary... ale tylko jeśli ofiara jej potrzebuje«”.

Nagle przyszło jej do głowy, że gdyby tylko potrafiła wystarczająco skupić uwagę Jessiki na bliźniętach, inni mogliby uniknąć dokładniejszej inspekcji. Coś takiego mogło się udać. Leto jest bardzo podobny do Paula. I nic dziwnego. Może być Paulem, kiedy tylko zechce. Nawet Ganima ma tę szokującą umiejętność. „Tak jak ja mogę być moją matką albo każdym z tych, którzy podzielili się z nami swoim istnieniem”.

Uciekając od tej myśli, zatopiła wzrok w przesuwającym się w dole krajobrazie Muru Zaporowego, ale wróciło pytanie: „Jak może porzucić przytulne zacisze wodą płynącego Kaladanu i wracać na Arrakis, pustynną planetę, na której zamordowano jej księcia, a jej syn zginął śmiercią męczennika?”

Dlaczego lady Jessika wraca właśnie teraz?

Nic nie przychodziło jej do głowy... przynajmniej nic pewnego. Potrafiła dzielić świadomość czyjejś jaźni, lecz kiedy doznania idą różnymi drogami, to i motywy się rozchodzą. Istota decyzji tkwi w indywidualnych działaniach jednostek. Dla przednarodzonej, „mnogonarodzonej” Atrydki stanowiło to nadrzędną rzeczywistość, samo w sobie było innego rodzaju narodzinami: absolutnym oddzieleniem żywej, oddychającej istoty z chwilą opuszczenia łona, które poraziło ją wielokrotną świadomością.

Alia nie widziała niczego niezwykłego w tym, że kocha swoją matkę i nienawidzi jej zarazem. To była konieczność, niezbędna równowaga,

w której nie ma miejsca na winę i odpowiedzialność. Gdzie kończy się miłość albo nienawiść? Czy wina leży po stronie Bene Gesserit, bo skierowały lady Jessikę wytyczonym torem? Wina i odpowiedzialność rozmywają się, gdy pamięć obejmuje tysiąclecia. Zgromadzenie dążyło jedynie do wyhodowania Kwisatz Haderach: męskiego odpowiednika w pełni ukształtowanej Matki Wielebnej... i więcej – istoty ludzkiej o wyższej wrażliwości i świadomości, Kwisatz Haderach, tego, który jest w wielu miejscach naraz. A lady Jessika, mały pionek w tym planie eugenicznym, po prostaku zakochała się w zarodowym partnerze, któremu ją przydzielono. Spełniając życzenie ukochanego księcia, urodziła syna zamiast pierwotnej córki, której chciało zgromadzenie.

„Mnie odłożyła na później, żeby powić, kiedy będzie już uzależniona od przyprawy! A teraz one mnie nie chcą. Teraz się mnie boją! I słusznie...”

Doczekały się Paula, swojego Kwisatz Haderach, o jedno pokolenie za wcześniej – drobna niedokładność jak na tak długi okres planowania. No i mają teraz dodatkową zagwozdkę: drogocenny genotyp, który kleciły przez tak wiele pokoleń, dostał się Złemu Duchowi.

Alia zerknęła do góry, wyczuwszy przemykający po niebie cień. Ornitoptery eskorty wchodziły na wyższy pułap, ubezpieczając jej lądowanie. Pokręciła głową, dziwiąc się meandrom własnych myśli. Co daje przywoływanie starych czasów i przeżywanie starych błędów? Teraz jest nowe życie.

Rozważywszy w mentackiej świadomości pytanie, dlaczego lady Jessika wraca właśnie teraz, zaprząwszy do oszacowania tego problemu swoje zdolności ludzkiego komputera, Duncan Idaho powiedział jej, że Jessika wraca, aby przejąć bliźnięta dla zgromadzenia żeńskiego. W końcu one również miały te drogocenne geny. Duncan może mieć rację. To mogło wystarczyć do przerwania dobrowolnego odosobnienia lady Jessiki na Kaladanie. Gdyby zgromadzenie kazało... Cóż, z jakiego innego powodu wróciłaby do miejsc, które z pewnością budzą w niej rozdzierający smutek?

– Zobaczmy – mruknęła Alia.

Poczuła wstrząs przyziemienia, gdy ornitopter usiadł na dachu twierdzy – zdecydowany, wibrujący sygnał, który pograżył ją w ponurym oczekiwaniu.



MELANŻ [me'łańdź, ma'łańdź] rzecz., l. poj., etymologia nieznana (prawdopodobnie z pralingua franca) [a] mieszanka różnych przypraw [b] przyprawa z Arrakis (Diuny) o właściwościach geriatrycznych, po raz pierwszy odnotowanych przez Yanshufa Ashkoko, królewskiego chemika za panowania Szakkada Mądrego; arrakański melanz, występujący jedynie w piaskach niedostępnej pustyni Arrakis, kojarzony jest z proroczymi wizjami Paula Muad'Diba (Atrydy), pierwszego Mahdiego Fremenów; zażywany również przez nawigatorów Gildii Kosmicznej i członkinie Bene Gesserit.

– *Słownik królewski*, wydanie piąte

W świetle poranka zza skalistej grani wybiegły dwa wielkie koty. Nie pochłonięte na razie polowaniem, jedynie patrolowały swoje terytorium. Tygrys lazajski – tak nazywano tę szczególną rasę sprowadzoną tutaj, na Salusę Secundusa, prawie osiem tysięcy lat temu. Genetyczna modyfikacja gatunku ze starożytnej Ziemi wymazała jedne pierwotne tygrysie cechy, a rozwinęła inne. Kły zachowały swą długość. Pysk był szeroki, ślepia bystre i inteligentne. Szersze stopy zapewniały oparcie w nierównym terenie, pazury mogły się wysuwać na blisko dziesięć centymetrów, ich końce zaś, od ciernego ucisku torebek skórnych, były ostre jak brzytwa. Oba koty, dzięki jednolitemu płowemu umaszczeniu, były na tle piasku niemal niewidoczne.

Od swoich przodków różniły się pod jednym jeszcze względem: miały w mózgach serwestymulatory, które wszczepiono im, gdy były kociętami. Stymulatory te czyniły z nich pionki w ręku posiadacza nadajnika.

Było zimno i kiedy przystanąły, żeby się rozejrzeć, ich oddechy parowały. Wokół rozpościerał się pozbawiony wody, jałowy obszar Salusy Secundusa, zachowany z myślą o małej ławicy piaskowej troci, którą przeschumowano z Arrakis i z trudem utrzymywano przy życiu w nadziei, że uda się złamać melanzowy monopol. W miejscu, gdzie zatrzymały się zwierzęta, krajobraz znaczyły brudnożółte skały i z rzadka rozsiane, srebrzystozielone w długich cieniach porannego słońca mizerne krzewy.

Koty tylko nieznacznym poruszeniem zdradziły, że coś obudziło ich czujność. Ślepia pobiegły w lewo, potem obróciły się łby. Daleko w dole na skalistym pustkowiu dwoje dzieci, trzymając się za ręce, wspinało się łóżyskiem wyschniętego strumienia. Wyglądały na dziewięć, może dziesięć standardowych lat. Były rudowłose i nosiły filtraki, na które narzuciły

paradne białe płaszcze, zdobione lamówką i herbowym jastrzębiem Atrydów wyhaftowanym na piersi ognistorubinową nicią. Wędrujące dzieci paplały beztrzesko, a ich głosy wyraźnie dochodziły do uszu polujących kotów. Lazajskie tygrysy znały tę zabawę; bawiły się w to już, jednak czekały nieporuszone na rozpoczynający łowy sygnał w serwestymulatorach.

Na grani za kotami pojawił się mężczyzna. Zatrzymał się i zlustrował wzrokiem scenę: koty, dzieci. Nosił szaro-czarny polowy mundur sardaukara z insygniami lewenbrecha, adiutanta baszara. Przechodzące po karku i pod pachami szelki podtrzymywały płaską kasetę serwonadajnika na piersi, gdzie mógł bez trudu dosięgnąć dowolną ręką przycisków.

Zwierzęta nawet nie raczyły się obejrzeć na zachodzącego je od tyłu człowieka. Rozpoznały go po odgłosach i zapachu. Sardaukar zszedł niżej, stanął dwa kroki za kotami i otarł pot z czoła. Powietrze było zimne, ale od tej roboty robiło się gorąco. Jego jasne oczy ponownie zlustrowały scenę: koty, dzieci. Wsunął wilgotny kosmyk blond włosów pod czarny hełm polowy i dotknął wszczepionego w krtani mikrofonu.

– Koty mają je w zasięgu wzroku.

Odpowiedź dotarła do niego poprzez słuchawki wszczepione za uszami.

– Widzimy je.

– Teraz? – zapytał lewenbrech.

– Czy zrobią to bez rozkazu gonu? – odparł głos w słuchawkach.

– Są gotowe – rzekł lewenbrech.

– Doskonale. Przekonajmy się, czy cztery sesje warunkujące wystarczą.

– Dajcie znać, kiedy.

– W każdej chwili.

– Zatem teraz – zdecydował lewenbrech.

Zwolniwszy blokadę, nacisnął umieszczony po prawej czerwony guzik serwonadajnika. Koty zostały spuszczone z przekaźnikowych smyczy. Trzymał palec na czarnym guziku obok czerwonego, gotów zatrzymać zwierzęta, gdyby rzuciły się na niego. One jednak, nie zwracając nań uwagi, na ugiętych nogach zaczęły schodzić po zboczu w kierunku dzieci. Wielkie łapy sunęły miękkimi, płynnymi ruchami.

Lewenbrech przysiadł na piętach i patrzył, wiedząc, że ukryte w pobliżu teleoko przekazuje całą tę scenę na tajny ekran gdzieś w warownej rezydencji księcia.

Wkrótce koty puściły się biegiem, a następnie ruszyły pełnym pędem.

Dzieci, zaprzątnięte pokonywaniem skalistych wertepów, jeszcze nie dostrzegły zagrożenia. Jedno się roześmiało – wysoki, piskliwy głosik niósł się w czystym powietrzu. Drugie potknęło się i łapiąc równowagę, obejrzało i zobaczyło zwierzęta. Wskazało je palcem.

– Popatrz!

Dzieci stanęły i z ciekawością gapiły się na nieznanych im, nieproszonych gości. Wciąż stały, gdy lazajskie tygrysy dopadły je – jeden drapieżnik na jedno dziecko. Ofiary, z błyskawicznie złamanymi karkami, zginęły na miejscu. Koty rozpoczęły ucztę.

– Mam je odwołać? – spytał lewenbrech.

– Niech skończą. Dobrze się spisały. Tak jak się spodziewałem, świetna para.

– Lepszej nie widziałem.

– No to wszystko gra. Zaraz będziesz miał transport. Koniec połączenia.

Lewenbrech powstał z kucek i rozprostował kości. Unikał wzrokiem wzniesienia po swojej lewej – charakterystyczny poblask zdradzał tam stanowisko teleoka, które brawurowy występ podwładnego przekazało baszarowi siedzącemu hen, daleko wśród zielonych ogrodów stolicy. Lewenbrech uśmiechnął się. Za dzisiejszą robotę dostanie awans. Już widział na kołnierzu insygnia batora, a pewnego dnia baszara... Kiedyś może nawet bursega. Ci, którzy dobrze służyli w korpusie Farad'na, wnuka nieżyjącego Szaddama IV, zachodzili bardzo wysoko. Pewnego dnia, gdy książę zasiądzie na prawnie należnym mu tronie, awanse będą jeszcze większe. Nie muszą się skończyć na randze bursega. Na wielu planetach Imperium do nadania będą baronie i hrabstwa... gdy usunie się atrydzkie bliźnięta.



Fremen musi powrócić do swojej pierwotnej wiary, do swojego daru tworzenia ludzkiej wspólnoty. Musi powrócić do przeszłości, w której pobierał lekcję przeżycia w walce z Arrakis. Jedyne zadaniem Fremena powinno być otwarcie duszy na duchowe nauki. Światy Imperium, Landsraad i kompania KHOAM nie są w stanie niczego zaoferować Fremenowi. One tylko okradają go z duszy.

– *Kaznodzieja w Arrakin*

Morze głów rozpościerało się jak okiem sięgnąć na burej równinie lądowiska, gdzie – zanurkowawszy z przestrzeni kosmicznej – z klangorem trzasków i świstów siadł transportowiec lady Jessiki. Oszacowała liczbę zebranych na pół miliona, z czego może jedną trzecią stanowili pielgrzymi. Stali w nabożnym milczeniu, zapatrzeni w trap statku i mrok otwartego luku skrywający Jessikę i jej świtę.

Do południa brakowało dwóch godzin, lecz nad głowami ludzi migotała połyskliwa mgiełka zapowiadająca dzienną spiekotę.

Jessika poprawiła przetykane siwizną miedzianobrazowe włosy wymykające się spod kaptura aby Matki Wielebnej. Wiedziała, że po długiej podróży wygląda nieszczególnie, a w czarnym nie jest jej do twarzy. Ale taki strój nosiła tu przedtem. Czarna aba wciąż będzie miała znaczenie dla Fremenów. Westchnęła. Podróż kosmiczna nie służyła jej, a ponadto ciążyło wspomnienie innej podróży z Kaladanu na Arrakis, kiedy to jej książę musiał wbrew sobie objąć niechciane lenno.

Wyszkolonym okiem Bene Gesserit bieglej w postrzeganiu istotnych szczegółów błdziła powoli po morzu głów. Były tam szare kaptury filtraków, które nosili Fremen z głębi pustyni, byli odziani w biel pielgrzymi z pokutnymi insygniami na ramionach, były rozsiane enklawy bogatych kupców z gołymi głowami i w lekkich strojach, którzy obnosili się ze swoim lekceważeniem dla wody traconej w rozpalonym powietrzu Arrakin... i była delegacja Zakonu Wiernych w zielonych szatach, zakapturzona, odizolowana w świętości własnej grupy.

Dopiero gdy podniosła wzrok nad tę ciżbę, widok zaczął przypominać ten, który powitał ją, gdy przybyła tu ze swoim ukochanym księciem. Kiedy to było? „Z górą dwadzieścia lat temu”. Niechętnie uświadamiała sobie upływ czasu. Był dla niej balastem, jakby lata życia poza tą planetą w ogóle się nie liczyły.

„Raz jeszcze w paszczę smoka” – pomyślała.

Tu, na tej równinie, jej syn wydarł Imperium z rąk nieżyjącego już Szaddama IV. Paroksyzm historii sprawił, że miejsce to wryło się w umysły i wierzenia ludzi.

Usłyszała niecierpliwe poruszenia swojej świty i ponownie westchnęła. Musieli czekać na Alię, która się spóźniała. Jej orszak było widać na skraju tłumu, który falował pod naporem klina torującej przejście gwardii królewskiej.

Jessika ponownie przebiegła wzrokiem krajobraz. Przenikliwym spojrzeniem łowiła zmiany. Na wieży kontrolnej lądowiska przybył balkon do modłów. Z lewej strony, na krańcu równiny, stał widoczny z daleka oszałamiający bastion z plastali – wzniesiona przez Paula twierdza, jego „sicz na piasku”. Największa kompleksowa konstrukcja, jaką kiedykolwiek zbudowały ludzkie ręce. W jej murach swobodnie zmieściłyby się całe miasta. Dziś stanowiła siedzibę najpotężniejszej siły w Imperium: Zakonu Wiernych, który Alia zbudowała na truchle brata.

„Ta siedziba musi zniknąć” – pomyślała Jessika.

Klinowa formacja Alii dotarła do podnóża trapu i stanęła wyczekująco. Jessika wypatrzyła znajomy ostry profil Stilgara. I, wielkie nieba! Oto księżna Irulana, skrywająca okrucieństwo w ciele uwodzicielki, beczelnie wystawia grzywę złotych włosów na zbłąkany powiew. Irulana wyglądała tak, jakby się nie postarzała ani o dzień – co za zniewaga! A na szpicu klina gwardii Alia z beczelnie dziewczęcą twarzą i oczyma utkwionymi w czeluści luku.

Jessika z zaciśniętymi ustami wpatrywała się w twarz córki. Ciało kobiety wypełnił pulsujący ciężar, w uszach wrzała kipiela jej życia. Pogłoski były prawdziwe! To straszne! Straszne! Alia przeszła na zakazaną stronę. Dla wtajemniczonych oznaki były widoczne jak na dłoni: Zły Duch!

Minęło kilka sekund, zanim się pozbierała, uświadamiając sobie, jak bardzo pragnęła, by te pogłoski okazały się fałszywe.

„A co z bliźniętami? – zadała sobie pytanie. – Czy one też są stracone?”

Powoli, jak przystało matce boga, wyszła z cienia na pomost trapu. Jej świta, zgodnie z poleceniem, została w tyle. Najbliższe chwile miały być rozstrzygające.

Jessika ukazała się oczom tłumu. Za plecami usłyszała nerwowe chrząknięcie Gurneya Hallecka.

Gurney od początku był temu przeciwny: „I jeszcze bez tarczy? Bogowie podziemi, kobieto! Jesteś szalona!” Do największych zalet Gurneya należało jednak posłuszeństwo. Gurney mówił swoje, po czym był posłuszny. Tak było i teraz.

Morze głów powitało Jessikę szumem przypominającym syk piasku pod ogromnym czerwem pustyni. Wzniosła ręce w geście błogosławieństwa, który wraz z kapłaństwem zakorzenił się w Imperium. Ze znacznymi enklawami opieszałości, jednak wciąż niczym jeden ogromny organizm, ludzie padli na kolana. Nie wyłamała się nawet delegacja rządowa.

Jessika odnotowała ogniska opieszałości, wiedząc, że inne oczy, za jej plecami i agentów w tłumie, zapamiętały tę prowizoryczną mapę, aby wyłuskać maruderów.

Zza stojącej ze wzniesionymi rękoma Jessiki wypadł Gurney na czele swoich ludzi. Ruszyli pędem po trapie i nie zwracając uwagi na zdumione miny oficjeli, dołączyli do agentów identyfikujących się znakiem dłoni. Szybko rozproszyli się wachlarzem w tłumie, przeskakując grupki klęczących ludzi i śmigając wąskimi szpalerami.

Kilkoro wziętych na cel dostrzegło niebezpieczeństwo i rzuciło się do ucieczki. Z takimi było najłatwiej: ciśnięty nóż, pętla garoty i biegnący padał. Innych wyprowadzano z tłumy w pętach.

Przez cały ten czas Jessika stała z wyciągniętymi ramionami, błogosławiąc swoją obecnością i trzymając ciżbę na kolanach. Widziała jednak oznaki szerzących się pogłosek i знаła tę dominującą, specjalnie tu zasianą: „Matka Wielebna powraca, aby wypłenić odstępców. Niech będzie pochwalona matka naszego Pana!”

Kiedy było już po wszystkim – kilka trupów na piasku, jeńcy zabrani do kazamat pod wieżą kontrolną lądowiska – opuściła ramiona. Wiedziała, że jest mało prawdopodobne, aby Gurney i jego ludzie złapali któregoś z przywódców, stanowiących największe zagrożenie. Tacy są przezorni i czujni. Ale w sieci poza zwykłymi płótkami i inną drobnicą tkwią też grubsze rybki.

Gdy Jessika opuściła ręce, ludzie zerwali się z klęczek, wiwatując. Jak gdyby nic szczególnego się nie stało, zeszła samotnie po trapie; nie patrzyła na córkę, całą uwagę poświęcając Stilgarowi. Czarna broda, która niczym delta rzeki rozkładała mu się wachlarzem na kołnierzu filtraka, przetykana była nitkami siwizny, ale jego pozbawione białek oczy spoglądały tak intensywnie jak podczas ich pierwszego spotkania na pustyni. Stilgar wiedział, co się przed chwilą zdarzyło, i pochwalał to. Stał przed nią prawdziwy fremeński naib, przywódca zdolny do krwawych rozstrzygnięć. Jego pierwsze słowa w pełni to potwierdziły.

– Witaj w domu, moja pani. Zawsze miło popatrzeć na prostą i skuteczną akcję.

Jessika pozwoliła sobie na nieznaczný uśmiech.

– Zamknij lądowisko, Stil. Nikt nie wyjdzie, dopóki nie przesłuchamy zatrzymanych.

– To już załatwione, moja pani – rzekł Stilgar. – Zaplanowałem to z człowiekiem Gurneya.

– Więc to twoi ludzie służyli pomocą?

– Ten i ów, moja pani.

Usłyszawszy tajoną rezerwę, skinęła głową.

– Nieźle mi się przyjrzałeś w dawnych czasach, Stil.

– Jak nie omieszkałaś mnie kiedyś oświecić, moja pani, człowiek obserwuje pozostałych przy życiu i uczy się od nich.

W tym momencie Alia wystąpiła naprzód i Fremeni odsunął się, gdy Jessica stanęła oko w oko z córką.

Wiedząc, że próba ukrycia tego, co dostrzegła, nie ma najmniejszego sensu, Jessica nawet jej nie podjęła. Alia, gdy potrzebowała, potrafiła czytać z najdrobniejszych szczegółów, i to tak dobrze jak każda Bene Gesserit. Teraz zaś wyczytała z zachowania Jessiki, co zostało spostrzeżone i zrozumiane. Były wrogami, a powiedzieć o nich, że „śmiertelnymi”, znaczyło ledwie prześliznąć się po powierzchni.

Alia postawiła na gniew – najłatwiejszą i najwłaściwszą reakcję.

– Jak śmiałaś bez mojej wiedzy zaplanować tego rodzaju akcję?! – spytała, zbliżając twarz do twarzy Jessiki.

– Przed chwilą słyszałaś – powiedziała łagodnie Jessica – że Gurney nawet mnie nie wtajemniczył w szczegóły. Chodziło o...

– A ty, Stilgar – natarła Alia na Fremena – komu *ty* jesteś wierny?

– Przysięga wiąże mnie z dziećmi Muad'Diba – odparł naib, sztywniejąc.

– Usunęliśmy grożące im niebezpieczeństwo.

– Dlaczego ty nie tryskasz radością z tego powodu... córko? – zapytała Jessica.

Alia zamrugła, zerknęła spod oka na matkę, tłumiąc wewnętrzną nawałnicę, i nawet zdobyła się na uśmiech.

– Ależ ja tryskam radością... mamu – rzekła.

I ku swemu zaskoczeniu odkryła, jak bardzo się cieszy, wręcz nie posiada z radości, że wszystko między nią a matką nareszcie stało się jasne. Moment, którego się bała, przeminął, nie zachwiawszy równowagi sił.

– Jeszcze porozmawiamy o tym w dogodniejszym czasie – oznajmiła Jessica i Stilgarowi.

– Naturalnie. – Odprawiając córkę ruchem Jessica obróciła się ku księżnej Irulanie.

Przez chwilę Jessika i księżna w milczeniu mierzyły się wzrokiem – dwie Bene Gesserit, które zerwały ze zgromadzeniem z tego samego powodu: z miłości... obie z miłości do mężczyzn, którzy już nie żyli. Księżna, zakochana bez wzajemności w Paulu, została jego małżonką, lecz nie dzieliła z nim łóża. A teraz żyła jedynie dla dzieci, które dała Paulowi jego fremieńska konkubina Chani.

Jessika pierwsza przerwała milczenie.

– Gdzie są moje wnuki? – spytała.

– W siczy Tabr.

– Tu byłoby dla nich zbyt niebezpiecznie, jak rozumiem.

Irulana tylko nieznacznie skinęła głową. Była świadkiem wymiany zdań między Alią a Jessiką, ale odczytała je tak, jak nastawiła ją Alia. „Jessika powróciła na łono zgromadzenia, a obie wiemy, że Bene Gesserit mają określone plany co do dzieci Paula”. Irulana nigdy nie błyszczała wśród Bene Gesserit – bardziej ceniono ją za to, że jest córką Szaddama IV, niż za jakiś talent, często zaś była zbyt dumna, żeby się przykładać do rozwijania swych umiejętności. Teraz opowiedziała się po jednej ze stron z gwałtownością nie przynoszącą chluby jej wychowaniu.

– Doprawdy, Jessiko, Rada Królewska powinna o tym wiedzieć. Źle postąpiłaś, działając wyłącznie za pośrednictwem...

– Mam rozumieć, że żadna z was nie ufa Stilgarowi? – przerwała jej Jessika.

Irulana miała dość rozumu, aby zdawać sobie sprawę, że na to pytanie nie ma dobrej odpowiedzi. Była zadowolona, że zniecierpliwieni przedstawiciele kapłaństwa przepchnęli się do przodu. Wymieniając z Alią spojrzenia, pomyślała: „Jessika jest jak zawsze wyniosła i zadufana w sobie!” Mimo woli ożywiła w pamięci aksjomat Bene Gesserit: „Wyniosli tylko wznoszą mury, za którymi próbują ukryć swoje wątpliwości i lęki”. Ale czy można to było powiedzieć o Jessice? Na pewno nie. Więc chyba odgrywała komedię. Tylko w jakim celu? Pytanie zdenerwowało Irulanę.

Kapłani ze zgiełkiem zawłaszczyli matkę Muad'Diba. Tylko niektórzy z nich w milczeniu dotykali jej ramion, większość wykrzykiwała słowa powitania, zginając się w pokłonie. W końcu przywódcy delegacji Zakonu Wiernych, nie wychodząc z uświęconej roli „pierwsi będą ostatnimi”, dobili się do Przenajświętszej Matki Wielebnej i z wystudiowanymi uśmiechami poinformowali ją, że ceremonia lustracji odbędzie się w twierdzy, dawnej warownej siedzibie Paula.

Przyjrząwszy im się, Jessika uznała, że obaj są odpychający. Puciołowaty młodzieniec, Dżawid, miał grube rysy i głęboko osadzone oczy, które nie potrafiły ukryć czającej się w głębi podejrzliwości. Towarzyszył mu niejaki Zebatalif, drugi syn jakiegoś naiba znanego Jessice z jej dni spędzonych wśród Fremenów, czego nie omieszkął przypomnieć. Łatwo go było zaszufładować: wesołkowatość podszyta okrucieństwem, szczupła twarz z blond brodą, sekretne namiętności i ogromna wiedza bijące z postaci. Z tych dwóch, w ocenie Jessiki, dużo groźniejszy był Dżawid: zamknięty w sobie, pociągający i zarazem – nie znajdowała lepszego słowa – odpychający. Mówił z dziwnym akcentem i starofremeńską artykulacją, jak gdyby wywodził się z jakiejś odizolowanej grupy swego ludu.

– Powiedz mi, Dżawid, skąd pochodzisz? – zagadnęła go.

– Jestem prostym Fremenem z pustyni – odparł, każdą zgłoską zadając kłam temu stwierdzeniu.

– Mamy sobie wiele do opowiedzenia o dawnych czasach, moja pani – wtrącił się Zebatalif z nieprzyjemną uniżonością. – Wiesz, pani, byłem jednym z pierwszych, którzy uznali święty charakter misji twojego syna.

– Ale nie należałeś do jego fedajkinów – zauważyła.

– Nie, moja pani. Miałem bardziej filozoficzne zacięcie, przygotowywałem się do stanu kapłańskiego.

„I pilnowałem własnej skóry” – dodała w myślach.

– Oczekują nas w twierdzy, moja pani – odezwał się Dżawid.

Ponownie uznała, że jego obcy akcent wymaga wyjaśnienia.

– Kto nas oczekuje? – spytała.

– Konwokacja Wiernych, wszyscy ci, którzy głoszą chwałę imienia i czynów twojego świętego syna.

Rzuciwszy okiem na Alię i spostrzegłszy, jak uśmiecha się do Dżawida, Jessika zapytała:

– Czy ten tu człowiek jest jednym z twoich nominatów, córko?

Alia skinęła głową.

– Los wyznaczył go do wielkich czynów.

Takie zainteresowanie było jednak wyraźnie nie w smak Dżawidowi i Jessika zapamiętała sobie, żeby przekazać go do szczegółowego sprawdzenia przez Gurneya.

Tymczasem Gurney właśnie się zbliżał z pięcioma zaufanymi ludźmi, sygnalizując, że trwa przesłuchanie podejrzanych maruderów. Szedł rozkołysanym krokiem potężnego mężczyzny, omiatając wszystko

spojrzeniem, a każdy jego miesiąc przepływał przez stan rozluźnionej gotowości, której sama go nauczyła z kompendium prana i bindu Bene Gesserit. Ten brzydki wielkolud o wyćwiczonych odruchach i zabójca był ze wszech miar przerażający dla niektórych, lecz Jessica darzyła go miłością i ceniła bardziej niż kogokolwiek innego. Karbująca żuchwę blizna od bicia z krwawinu nadawała jego twarzy złowrogi wyraz, ale rozjaśnił ją uśmiech na widok Stilgara.

– Dobra robota, Stil – powiedział.

I fremeńskim zwyczajem uścisnęli się za ramiona.

– Lustracja – przypomniał Dżawid, dotykając ramienia Jessiki.

Wzdrygnąwszy się, Jessica starannie dobrała słowa dla kontrolowanej siły Głosu, intonację i wypowiedź zaś nastroiła tak, by osiągnąć ściśle skalkulowaną reakcję emocjonalną Dżawida i Zebatalifa.

– Wróciłam na Diunę, aby zobaczyć moje wnuki. Musimy trwonić czas na te kapłańskie bzdury?

Wstrząśniętemu Zebatalifowi opadła szczeka, spłoszone oczy biegały po wszystkich, którzy to usłyszeli. „Kapłańskie bzdury!” Jaki będzie skutek takich słów wypowiedzianych przez matkę ich mesjasza?

Natomiast Dżawid potwierdził ocenę Jessiki. Usta mu stwardniały, po czym rozciągnęły się w uśmiechu. Oczy się nie śmiały ani nie rozbiegły namierzać słuchaczy. Dżawid już znał każdego z tu zgromadzonych. Miał gotową mapę dźwiękową, a na niej tych, którzy od tego momentu znajdą się pod ścisłym nadzorem. Zaledwie chwilę później mężczyzna zgasił uśmiech z gwałtownością świadczącą, że pojął, jak się zdradził. Dobrze się przygotował: wiedział o talentach obserwacyjnych lady Jessiki. Nieznacznym skinieniem głowy oddał hołd jej umiejętnościom.

Jessika błyskawicznie zważyła w myśli wszystkie za i przeciw. Leciutki znak dłonią przekazany Gurneyowi przyniesie Dżawidowi śmierć. Na miejscu, dla efektu, albo później, po cichu, upozorowaną na wypadek. Powtórzyła w myśli: „Próbując ukryć swoje najskrytsze pobudki, zdradzamy się całą naszą istotą”. Szkolenie Bene Gesserit nie zaniedbało tego prawa, stawiając swoje mistrzynie ponad nim i ucząc je czytać w księdze ciała innych. Za Dżawidem w ocenie Jessiki przemawiała jego inteligencja... co chwilowo przechylało szalę. Gdyby udało się go skaptować, pozyskaliby jakże potrzebnego im łącznika, nie wiedzącą do kłębka arrakińskiego kapłaństwa. W dodatku Dżawid był człowiekiem Alii.

– Moja oficjalna świta musi pozostać nieliczna – powiedziała. – Ale jest miejsce dla jeszcze jednej osoby. Zabierzesz się z nami, Dżawid. Przykro mi, Zebatalif. Aha, Dżawid... Skoro nalegasz, wezmę udział w tej... tej ceremonii.

Dżawid pozwolił sobie na głęboki oddech.

– Wedle życzenia matki Muad’Diba – odparł cicho. Popatrzył na Alię, na Zebatalifa i znowu na Jessikę. – Z przykrością opóźnię twoje spotkanie z wnukami, lecz, aaach, racja stanu...

„Doskonale – pomyślała Jessika. – Nade wszystko jest człowiekiem interesu. Jak tylko ustalimy właściwą monetę, kupimy go!” W gruncie rzeczy cieszyło ją, że upierał się przy tej dętej ceremonii. To małe zwycięstwo umocni jego pozycję wśród swoich, co było jasne dla obojga. Jej zgoda na lustrację może być zaliczką na poczet jego późniejszych usług.

– Rozumiem, że zorganizowaliście transport – powiedziała.



Przedstawiam wam pustynnego kameleona, którego umiejętność wtapiania się w tło mówi wszystko, co powinniście wiedzieć o podstawach ekologii i podwalinach własnej tożsamości.

– *Księga diatryb z Kroniki Hayta*

Leto grał na małej balisecie, którą na piąte urodziny przysłał mu ów nieznany wirtuoz tego instrumentu Gurney Halleck. Ćwicząc cztery lata, chłopiec osiągnął niejaką biegłość, ale para strun basowego rejestru nadal sprawiała mu trudności. Przekonał się jednak, że baliseta działa kojąco na jego specyficzne niepokoje – co nie uszło uwagi Ganimy. Siedział teraz o zmierzchu na kamiennej półce najdalej na południe wysuniętego krańca skalnej wychodni, która osłaniała sicz Tabr, i delikatnie uderzał akordy.

Ganima stanęła za nim, całą swoją niewielką postacią wyrażając sprzeciw. Nie chciała przyjść tutaj, pod gołe niebo, odkąd się dowiedzieli od Stilgara, że babkę zatrzymano w Arrakin. Sprzeciwiała się zwłaszcza przyjściu tutaj pod wieczór.

– No więc o co chodzi? – spytała, usiłując ponaglić brata.

Zamiast odpowiedzi zagrał inną melodię. Po raz pierwszy od przyjęcia podarunku Leto był głęboko przekonany, że jego baliseta wyszła spod ręki lutniczego mistrza z Kaladanu. Miał dziedziczną pamięć, zdolną obudzić w nim bezmierną nostalgię za tą przepiękną planetą, którą władał ród Atrydów. Wystarczyło poluzować wewnętrzne blokady, by wsłuchiwać się we wspomnienia z czasów, kiedy Gurney zabawiał muzykowaniem swojego przyjaciela i podopiecznego, Paula Atrydę. Teraz, przy dźwiękach balisety, Leto czuł się coraz bardziej zdominowany fizyczną obecnością ojca. Jednak grał dalej, z każdą chwilą coraz silniej zespoleony z instrumentem. Czuł w sobie ducha absolutnej perfekcji, który doskonale opanował grę na balisecie, a tylko mięśnie palców dziewięciolatka jeszcze się nie dostroiły do tej duchowej maestrii.

Ganima ze zniecierpliwieniem poruszała stopą, bezwiednie przytupując w takt muzyki. Skrzywiwszy usta w grymasie skupienia, Leto urwał ograną melodię i podjął pieśń tak starą, że nawet Gurney jej nie wykonywał. Była już stara, kiedy Fremeni przybyli na swoją piątą z kolei planetę. Zensunnicki motyw przewijał się w słowach, które słyszał w pamięci, podczas gdy jego palce wydobywały kulejącą wersję melodii.

*W natury pięknej formie
Jest istota czarowna
Niemądrze zwana śmiercią.
Jej esencja cudowna
Rodzi nowe życie.
Cicho płynące łzy
Są wodą stworzenia:
Nowemu życiu
Dają ból istnienia –
Okruchy widzenia,
Które scala śmierć.*

Gdy brał końcowy akord, usłyszał za plecami głos Ganimy:

- To stara jak świat, dziadowska pieśń. Dlaczego akurat ta?
- Ponieważ jest odpowiednia.
- Zagrasz ją Gurneyowi?
- Być może.
- Nazwie to głodnymi kawałkami melancholii.

– Wiem.

Spojrzał przez ramię na siostrę. Nie zdziwił się, że zna melodię i słowa, tylko nagle poraziła go jedność ich bliźniaczych istnień. Jedno mogło umrzeć, a mimo to nadal żyć w świadomości drugiego, bez szkody dla któregośkolwiek ze wspólnych wspomnień – tak bardzo byli sobie bliscy. Ogarnął go lęk na myśl o tym ponadczasowym oprzędzie bliskości i uciekł wzrokiem od Ganimy. Wiedział, że w oprzędzie powstają dziury. To te najnowsze budziły w nim strach. Czuł, że jego i jej życie zaczęło się rozdzielać, i był w rozterce. „Jak mam jej powiedzieć o tym, co spotkało tylko mnie?” – spytał się w myśli.

Popatrzywszy w głąb pustyni, przyglądał się głębokim cieniom za barchanami – wysokimi wydrami wędrownymi w kształcie półksiężyca, które rozchodziły się po Arrakis jak fale. Spoglądał na Kedem, wewnętrzną pustynię, której wydmy w tych czasach rzadko przecinały bruzdy po przejściu ogromnych czerw. Zachód słońca malował wydmy w krwawe pasy, nakreślając granice cienia ognistym światłem. Jastrząb nurkujący z purpurowego nieba pochwycił w locie kuropatkę skalną, a z nią na chwilę uwagę Leto.

W dole, prosto pod nim, bujna zieleń porastała piaski nawadniane kanatem, który biegł w części pod gołym niebem, w części krytymi tunelami. Wodę dostarczały kolektory ogromnych oddzielaczy wiatru na najwyższym cyplu skalnym za plecami Leto. Tam gdzie dumnie powiewał zielono-czarny sztandar Atrydów.

„Woda i zieleń” – skonstatował.

Nowe symbole Arrakis: woda i zieleń.

Romboidalna oaza zadrzewionych wydm rozpościerająca się pod skalną grzędą Leto skupiła uwagę jego podwyższonej fremeńskiej świadomości. Krzyk nocnego ptaka dochodzący z dołu urwiska zaostrił wrażenie przeżywania chwili z dzikiej przeszłości.

„*Nous avons changé tout cela*” – pomyślał, gładko przechodząc na jeden ze starożytnych języków, którymi posługiwali się z Ganimą na osobności. „Zmieniliśmy to wszystko”. Westchnął. „*Oublier je ne puis*”. „Nie mogę zapomnieć”.

W pierzchającym świetle za oazą leżała kraina, którą Fremeni nazwali Pustkowiec – kraina, w której nic nie rośnie, która niczego nie rodzi. Woda i wielki plan ekologiczny zmieniały tę krainę. Na Arrakis są już miejsca, w których można ujrzyć miękką, aksamitną zieleń lesistych wzgórz. Lasy na

Arrakis! Fremenom z młodego pokolenia trudno było wyobrazić sobie wydmy pod tymi falistymi, zielonymi pagórkami. Dla młodych oczu nie było nic szokującego w widoku zielonej pokrywy deszczowych lasów. Leto przyłapał się na tym, że myśli na modłę dawnych Fremenów, nieufnych wobec zmian i pełnych obawy w obliczu wszystkiego, co nowe.

– Dzieciaki opowiadają, że bardzo rzadko już trafia im się piaskowa troć tuż pod powierzchnią – rzekł.

– I czego to niby dowodzi? – Ganimi była wyraźnie rozdrażniona.

– Wszystko zaczyna się bardzo szybko zmieniać – odparł.

Znowu z dołu urwiska zawołał ptak i noc spadła na pustynię jak tamten jastrząb na kuropatwę. Noc często wystawiała Leto na atak wspomnień – te wszystkie wewnętrzne istnienia dobijały się swoich pięciu minut. Ganimi nie opierała się temu zjawisku tak jak on. Jednak niepokój brata nie był jej obcy i ze współczuciem położyła mu dłoń na ramieniu.

Leto wyszarpał gniewny akord z balisety. Jak mógł powiedzieć siostrze, co się z nim dzieje? W głowie miał młyn pamięci, do którego niezliczone rzesze istnień wrzucały swoje pradawne wspomnienia: tragiczne wypadki, szaleństwa miłości, kolory mnóstwa miejsc i rysy mnóstwa twarzy... skrywane smutki i dzikie radości nieprzebranych tłumów. Słyszał elegie do wiosny na planetach, które już nie istnieją, widział obrzędowe tańce przy ognisku, lamentsy i wiwaty, szum niezliczonych rozmów. Najciężej było przetrwać atak demonów o zmroku na otwartym terenie.

– Nie powinniśmy wracać? – zapytała Ganimi.

Potrząsnął głową, a siostra, wyczuwając ten ruch, w końcu uświadomiła sobie, że jego problemy są głębszej natury, niż przypuszczała.

„Dlaczego tak często witam tutaj noc?” – zadał sobie pytanie.

Nie poczuł, jak Ganimi zabrała dłoń z jego ramienia.

– Wiesz, dlaczego torturujesz się w ten sposób – powiedziała.

Usłyszał w jej głosie łagodną przyganę. Tak, wiedział... W jego świadomości jawiła się oczywista odpowiedź: „Dlatego, że to wielkie wiadome-niewiadome unosi mnie jak fala”. Czuł się, jakby surfował na grzbiecie swojej przeszłości. Miał czasoprzestrzenne wspomnienia proroczych wizji ojca, które zasnuwały wszystko inne, ale pragnął wszystkich przeszłości. Potrzebował ich. A były tak szalenie niebezpieczne. Teraz widział to i jeszcze coś nowego, o czym będzie musiał powiedzieć Ganimie.

Pustynia zaczynała się jarzyć w blasku wschodzącego pierwszego księżyca. Spojrzał w dal, na ciągnące się w nieskończoność fale piasku w zwodniczym bezruchu. W pobliżu, po lewej, majaczył Towarzysz, ogryziony przez piaski skalny ostaniec, niski, węzowaty kształt niby smolisty czerw przecinający wydmy. Pewnego dnia skała pod Leto zostanie starta do podobnej postaci, a sicz Tabr będzie istniała już tylko we wspomnieniach kogoś takiego jak on. Nie wątpił, że będzie ktoś taki jak on.

– Co się tak gapisz na Towarzysza? – spytała Ganimi.

Wzruszył ramionami. Wbrew zakazom opiekunów często chodzili z Ganimą do ostańca. Znaleźli tam sekretną kryjówkę i Leto wiedział, dlaczego wabi ich to miejsce. Na dole, w skróconej przez mrok perspektywie, odkryty odcinek kanatu lśnił w blasku księżyca; powierzchnię toni marszczyły przepływające drapieżne ryby, które Fremeni zawsze wpuszczali do swoich zbiorników dla ochrony przed piaskową trocią.

– Stoję między rybą a czerwem – odezwał się półgłosem.

– Co?

Powtórzył głośniej.

Zakryła usta dłonią, zaczynając się domyślać, co porywa brata. Tak postępował ojciec; wystarczyło zajrzeć w siebie i porównać to.

Leto wzdrygnął się. Wspomnienia wiążące go z miejscami, w których jego noga nigdy nie powstała, podsuwały mu odpowiedzi na pytania, których nigdy nie zadał. Oglądał zależności i rozwój wydarzeń na ogromnym wewnętrznym ekranie. Czerw z Diuny nie przekracza wody; dla niego jest ona śmiertelną trucizną. Jednak w czasach prehistorycznych woda tu występowała. Panwie białego gipsu dowodziły istnienia jezior i mórz. W odpowiednio głębokich odwiertach znajdowano wodę uwięzioną przez piaskową troć. Wyraźnie, jak gdyby był naocznym świadkiem owych wydarzeń, zobaczył, co zaszło na tej planecie, i to napełniło go przeczuciem katastrofalnych zmian, do których prowadziła ludzka ingerencja.

– Wiem, co się zdarzyło, Ganimi – rzekł głosem ledwie głośniejszym od szeptu.

Nachyliła się ku niemu.

– Tak?

– Piaskowa troć...

Umilkł, a ją zastanowiło, dlaczego jej brat wciąż napomyka o haploidalnej fazie olbrzymiego czerwia pustyni, ale nie śmiała go ponaglać.

– Piaskowa troć – powtórzył – została tu przywleczona z jakiegoś innego miejsca. Arrakis była wówczas bogatą w wilgoć planetą. Troć rozmnożyła się tak, że istniejące ekosystemy nie mogły sobie z nią poradzić. Otorbiła dostępne wody i obróciła ten świat w pustynię... a wszystko to, by przeżyć. Na dostatecznie suchej planecie mogła przejść do fazy czerwia pustyni.

– Piaskowa troć?

Potrząsnęła głową; nie żeby mu nie dowierzała, tylko nie miała ochoty dokopywać się głębi, z których czerpał takie wiadomości. „Piaskowa troć?” – powtórzyła w myśli. We własnym ciele i w innym wiele razy brała udział w dziecięcej zabawie w tyczenie piaskowej troci. Podsuwała im dłoń, aż utworzyły rękawiczkę z cienkiej błony, po czym zanosila je do alembika śmierci, by pozyskać ich wodę. Trudno było uznać bezmózgie, małe stworzonko za formierza wielkich wydarzeń.

Leto pokiwał głową, przytakując własnym myślom. Fremeni zawsze pamiętali o wpuszczeniu drapieżnych ryb do zbiorników. Haploidalna piaskowa troć stawiała opór wielkim masom podskórnych wód planety; w kanacie na dole pływają drapieżniki. Nosiciele czerwia pustyni radzą sobie z niewielkimi ilościami wody – na przykład zamkniętymi w komórkach ludzkiego ciała. Jednak w zetknięciu z dużymi masami wody ich metaboliczne laboratoria wariują i eksplodują w metamorfozie śmierci, dającej niebezpieczne stężenie melanzu, narkotyku najwyższej świadomości, który w rozcieńczonej postaci jest zażywany podczas siczowej orgii. Ten czysty melanz przeprowadził Paula Muad'Diba przez ściany czasu, daleko w głąb studni nicości, dokąd nie przedarł się przed nim żaden inny mężczyzna.

Ganima wyczuła, jak siedzącego przed nią brata przeszedł dreszcz.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała.

On wszakże ani myślał przerywać ciągu swoich objawień.

– Mniej piaskowej troci to ekologiczna transformacja planety...

– Stawiają jej opór, rzecz jasna – powiedziała Ganima, zaczynając już rozumieć strach w jego głosie. Wciągała się w to mimo woli.

– Kiedy wyginie piaskowa troć, wyginą również wszystkie czerwie – powiedział. – Trzeba ostrzec plemiona.

– Koniec przyprawy – dodała Ganima.

Słowa jedynie zaznaczały węzłowe punkty zagrożenia dla układu, jakie w oczach obojga stanowiła interwencja człowieka w odwieczne porządki Diuny.

– Alia wie o tym – rzekł. – I to ją cieszy.

– Może się mylisz?

– Nie mylę się.

Już wiedziała, co go niepokoi, i poczuła, jak ta wiedza przejmuję ją chłodem.

– Plemiona nie uwierzą nam, jeśli ona temu zaprzeczy – powiedział.

Nawiązał do ich głównego życiowego problemu: który Fremen spodziewa się mądrości po dziewięciolatku? Alia wykorzystywała to, odchodząc z każdym dniem coraz dalej i dalej od siebie.

– Musimy przekonać Stilgara – powiedziała Ganimi.

Obróciwszy jak na komendę głowy, zapatrzyli się na pustynię skąpaną w księżycowym blasku. Była już innym miejscem, odmienionym za sprawą paru chwil zrozumienia. Współzależność człowieka i tego środowiska jawiła im się tak wyraźnie jak nigdy. Czuli się częstkami dynamicznego układu, którego porządek pozostaje w delikatnej równowadze. Nowe spojrzenie wiązało się z przemianą świadomości, która zalewała ich spostrzeżeniami. Jak to kiedyś powiedział Liet-Kynes, wszechświat jest miejscem ciągłej konwersacji między populacjami zwierząt. Haploidalna piaskowa troć przemawiała do nich jako ludzkich zwierząt.

– Plemiona zrozumiałyby zagrożenie dla wody – rzekł Leto.

– Ale to nie tylko zagrożenie dla wody. To...

Umilkła, pojawiając głębsze znaczenie jego słów. Woda była na Arrakis symbolem najwyższej władzy. W głębi serca Fremen pozostali szczególnie przystosowanymi zwierzętami, stworzeniami pustyni, mistrzami zarządzania w krytycznych sytuacjach. Z nastaniem obfitości wody odczuwali osobliwe przesunięcie symbolu, mimo że rozumieli dawne ograniczenia.

– Masz na myśli zagrożenie dla władzy – poprawiła brata.

– Oczywiście.

– Ale czy nam uwierzą?

– Jeśli zobaczą, że to się dzieje, jeśli zobaczą brak równowagi...

– Równowaga – podjęła i przytoczyła wypowiedziane dawno temu słowa ojca: – „Właśnie to odróżnia ludzi od tłuszczu”.

Wywołała w nim ojca.

– Ekonomia kontra uroda... historia starsza niż Saba – dodał, po czym westchnąwszy, spojrział na nią przez ramię. – Zaczynam miewać prorocze sny, Gani.

Zaparło jej dech.

– Kiedy Stilgar zawiadomił nas, że babka się spóźni... ja już znałem tę chwilę. Teraz inne moje sny są podejrzone.

– Leto... – Potrząsnęła głową, oczy zaszczyły jej łzami. – U ojca zaczęło się to później. Nie sądzisz, że to może być...

– Śniło mi się, że zakuty w zbroję biegnę na przełaj przez wydmy! I byłem w Dżakurutu.

– Dżaku... – Odchrząknęła. – Stara legenda!

– To rzeczywiste miejsce, Gani! Muszę odnaleźć człowieka, którego nazywają Kaznodzieją. Muszę go odnaleźć i wypytać.

– Myślisz, że to... nasz ojciec?

– O to zapytaj sama siebie.

– To byłoby do niego podobne – przyznała – ale...

– Nie podobają mi się rzeczy, o których wiem, że je zrobię – powiedział. – Po raz pierwszy w życiu rozumiem ojca.

Poczuła się wykluczona z jego myśli.

– Kaznodzieja to zapewne jakiś stary mistyk – powiedziała.

– Modłę się o to – wyszeptał. – Och, jakże modłę się o to! – Pochylił się do przodu, wstając ze skały. Brzęknęła baliseta w jego rękę. – Oby tylko był Gabrielem bez trąbki!

W milczeniu spoglądał na pustynię skąpaną w księżycowej poświacie.

Skierowawszy wzrok tam, gdzie brat, Ganimą patrzyła na fosforyzujący blask roślinnej butwiny na skraju siczowych zasiewów, które dalej płynnie przechodziły w szeregi wydm. Pustynia żyła. Nawet gdy zapadała w sen, coś na niej czuwało. Ta czujność docierała do Ganimy z odgłosami zwierząt pojących się z kanatu w dole. Odkrycie Leto przemieniło noc w żywą chwilę, czas odkrywania rytmów nieustającej przemiany, moment przeżywania owej długiej podróży z ich ziemskiej przeszłości, która żyła cała w jej wspomnieniach.

– Dlaczego Dżakurutu? – zapytała, niweczając nastrój bezbarwnym głosem.

– Dlaczego...? Nie wiem. Kiedy Stilgar po raz pierwszy opowiedział, jak zabijali tam ludzi, aż miejsce stało się tabu, pomyślałem... to samo co ty. Ale stamtąd nadchodzi teraz niebezpieczeństwo... i Kaznodzieja.

Nie odezwała się, nie poprosiła, żeby powiedział jej więcej o swoich proroczych snach, i miała świadomość, jak wiele to mu mówi o jej przerażeniu. Oboje wiedzieli, że na tej drodze czyha Zły Duch.

Niewymówione słowa zawisły między nimi, gdy Leto się obrócił i ruszył wśród skał w powrotną drogę do siczy.

„Zły Duch”.



Wszechświat jest dziełem Bożym. Jednością. Całością, wobec której możemy ustalać tożsamość wszelkich oddzielności. Przejściowe życie, nawet to świadome siebie i rozumujące życie, które nazywamy odczuwaniem, posiada li tylko drobny okruch owej całości i w krótkotrwałym powiernictwie.

– *Komentarze KEF (Kongresu Ekumenicznej Federacji)*

Halleck przekazał wiadomość za pomocą znaków migowych, głośno mówiąc o czymś innym. Nie podobała mu się udostępniona przez kapłanów salka, w której składał meldunek, jak nie naszpikowana urządzeniami szpiegowskimi. Niech no jednak spróbują złamać te nieznaczące znaki dłonią! Atrydzi od wieków posługują się tym językiem migowym i jeszcze się taki mądrała nie znalazł.

Na zewnątrz zapadła noc, ale pomieszczenie i tak nie miało okien, za to pod sufitem, w każdym rogu, jaśniały lumisfery.

– *Wśród zatrzymanych jest wielu ludzi Alii* – przekazał znakami, nie spuszczać wzroku z twarzy Jessiki i mówiąc, że jeszcze trwają przesłuchania.

– *Tak jak przewidziałeś* – odmigiała Jessika.

– Oczekuję szczegółowego raportu, kiedy skończysz, Gurney – powiedziała głośno, skinąwszy głową.

– Oczywiście, moja pani – rzekł.

– *Druga sprawa, bardzo niepokojąca* – nadawał palcami. – *Kilku więźniów po naszpicykowaniu narkotykiem zaczęło bredzić o Dżakurutu i gdy tylko wymówili tę nazwę, zmarli.*

– *Uwarunkowany kardiotoper?* – zapytały palce Jessiki.

– *Zwolniłeś kogoś z zatrzymanych?*

– *Paru, moja pani... co oczywistszą mierzwę.*

– *Podejrzewamy wymuszone zatrzymanie akcji serca, ale jak dotąd, nie jesteśmy tego pewni* – migał. – *Autopsje są w toku. Uznałem jednak, że powinnaś wiedzieć o tej historii z Dżakurutu, i natychmiast się stawilem.*

– *Mój książkę i ja uważaliśmy Dżakurutu za interesującą legendę, zapewne opartą na faktach* – mówiły jej palce, a Jessika udawała, że nie czuje ukłucia

bólu, jak zawsze na wspomnienie od dawna nieżyjącego ukochanego.

– Co rozkażesz? – zapytał głośno Halleck.

Poleciała mu wracać na lądowisko i meldować, gdy się dowie czegoś konkretnego, ale znakami migowymi przekazała inną wiadomość.

– *Skontaktuj się ze swoimi przyjaciółmi wśród przemytników. Jeśli Dżakurutu istnieje, utrzymuje się ze sprzedaży przyprawy. Jej jedynymi nabywcami mogą być przemytnicy.*

Halleck skinął głową.

– *Już się zakręciłem wokół tego, moja pani* – zamigał i nie potrafiąc uchybić wyszkoleniu, na którym zjadł zęby, dodał: – *Miej się tutaj na baczności. Alia jest twoim wrogiem, a większość kapłanów to jej ludzie.*

– *Nie Dżawid* – odpowiedziały palce Jessiki. – *On nienawidzi Atrydów. Wątpię, by ktokolwiek spoza wtajemniczonych to wykrył, ale jestem tego pewna. Alia nie wie, że on spiskuje.*

– Przydzielam ci dodatkową ochronę – rzekł głośno Halleck, unikając iskerek irytacji w jej oczach. – Zagrożenie nie minęło, jestem pewny. Zostaniesz tu na noc?

– Później lecimy do siczy Tabr.

Zawahała się, omal nie zakazawszy mu wzmocnienia straży, ale ugryzła się w język. Przeczucia nigdy nie zawodziły Gurneya. Przekonał się o tym niejeden Atryda, tak ku swemu zadowoleniu, jak i rozpaczy.

– Mam jeszcze jedno spotkanie, tym razem z mistrzem nowicjatu – dodała. – To już ostatnie, a potem z radością pożegnam się z tym miejscem.



I widziałem inną bestię wychodzącą z piasku, a miała dwa rogi jak u baranka, ale w jej paszczy były kły i ogień jak u smoka, i jej ciało było rozpalone do czerwoności od wielkiego żaru, i syczała jak wąż.

– zrewidowana Biblia Protestancko-Katolicka

On sam zwał siebie Kaznodzieją, a wśród wielu mieszkańców Arrakis panował zabobonny strach, że to być może Muad'Dib, jak najbardziej żywy, powrócił z pustyni. Muad'Dib mógł być żywy, no bo czy ktoś widział jego zwłoki? A skądinąd, czy ktoś widział jakiegokolwiek zwłoki ofiary pustyni?

Ale mimo wszystko... Muad'Dib? Można się było dopatrzeć podobieństw, chociaż nikt z dawnych czasów nie wystąpił i nie powiedział: „Tak, widzę, że to Muad'Dib. Poznaję go”.

Niemniej jednak... Kaznodzieja, podobnie jak Muad'Dib, był niewidomy; tego rodzaju czarne zbliżnowacenia oczodołów mogły pochodzić od wypalacza skał. I jego głos przeszywał z tą samą nieodpartą siłą, która po odpowiedź sięgała trzewi słuchacza. Wielu to przyznawało. Chudy był ten Kaznodzieja, o zasuszonej, pobrużdżonej twarzy i posiwiały. Ale otwarta pustynia naznaczyła w ten sposób mnóstwo ludzi. Wystarczyło się rozejrzeć, by się o tym przekonać. I jeszcze jedno było przedmiotem sporów: Kaznodziei drogę wskazywał fremeński wyrostek z nikomu nieznannej siczy, który gdy go pytano, odpowiadał, że najął się do tej roboty. Podkreślano, że widzący przyszłość Muad'Dib nie potrzebował takiej pomocy, nie licząc ostatnich dni, kiedy zaślepiony był rozpaczą. No ale wtedy jej potrzebował.

Kaznodzieja pojawił się na ulicach Arrakin pewnego zimowego ranka, opierając zbrązowiałą, żyłastą dłoń na ramieniu młodziutkiego przewodnika. Chłopak mówił, że nazywa się Assan Tarik, i ze zręcznością wychowanka jaskiniowych labiryntów szedł w zalatującym krzemionką pyłe oraz porannym tłumie, wiodąc swego podopiecznego i ani na chwilę nie tracąc z nim kontaktu.

Zauważono, że ślepiec nosi tradycyjną burkę, a pod nią filtrak, z wyglądu jeden z tych, jakie wyrabiano kiedyś w siczowych jaskiniach w głębi nieprzebytej pustyni. Nie przypominał współczesnej, lichej masówki. Nosowód łowiący wilgoć z wydechu był cały w oplocie, i to w oplocie z czarnej liany, dziś niesłychanie rzadko spotykanym. Na osłonie dolnej części twarzy widniały zielonkawe liszaje wytrawione przez zacinający piasek. Razem wzięwszy, ten Kaznodzieja był postacią z przeszłości Diuny.

Owego zimowego ranka wielu zwróciło uwagę na jego pojawienie się wśród tłumów. W końcu ślepy Fremen wciąż należał do rzadkości. Fremeńskie prawo nadal oddawało niewidomych Szej-huludowi. Treść prawa, aczkolwiek już nie tak ściśle przestrzeganego w obecnych czasach łatwej wody, pozostała niezmienną od najdawniejszych dni. Ślepcy byli darem dla Szej-huluda. Należało ich zostawić na otwartym blechu wielkiemu czerwiovi na pożarcie. I tak czyniono – a wieści o tym docierały do miast – zawsze tam, gdzie nadal królowały największe czerwie, te, które nazywano praszczurami pustyni. Toteż ślepy Fremen stanowił dziwowisko i ludzie, przystając, gapili się na osobliwą parę.

Chłopak, mający na oko czternaście standardowych lat, należał do nowego pokolenia tych, którzy paradują w zmodyfikowanych filtrakach i wystawiają oblicze na okradające z wilgoci powietrze. Miał pociągłą twarz, całkowicie błękitne, zabarwione przyprawą oczy, perkaty nos i ów wyraz niewinnej naiwności, który jakże często maskuje wyrachowanie młodych. W przeciwieństwie do młodzika ślepiec był figurą z niemal zapomnianej bajki – długi krok i sprężystość piechura mówiły o latach przemierzania piasku wyłącznie na własnych nogach albo na grzbiecie czerwia. Głowę trzymał nieruchomo, z charakterystyczną sztywnością karku, której wielu ociemniałych nie może się pozbyć. Zakapturzona głowa poruszała się tylko wtedy, gdy nadstawiał ucha, zaciekawiony jakimś odgłosem.

Przebijając się przez gęstniejący stopniowo tłum, niezwykła para dotarła do schodów, które niczym tarasowe pola wznosiły się po skarpe świątyni Alii, godnego dopełnienia twierdzy Paula. Kaznodzieja wraz z młodym przewodnikiem wspięli się schodami na trzeci taras, na którym uczestnicy hadzdzu wyczekiwali porannego otwarcia górujących nad nimi gigantycznych wrót. Wrót tak ogromnych, że pomieściłyby katedrę którejś ze starożytnych religii. Mijanie ich – powiadano – sprowadza duszę ludzką do drobiny dostatecznie małej, żeby przeszła przez ucho igielne i dostała się do nieba.

Na skraju trzeciego tarasu Kaznodzieja obrócił się i jak gdyby rozejrzał wokoło. Można by przysiąc, że pustymi oczodołami widzi wyelegantowanych mieszczuchów, a wśród nich Fremenów w niby-filtrakach, w rzeczywistości skrojonych z ozdobnej tkaniny, że widzi gorliwych pielgrzymów przybyłych wprost z kosmicznej fregaty Gildii i wyczekujących tego pierwszego kroku na drodze bogobojności, który zapewni im miejsce w raju.

Zgiełk był jak na jarmarku. Czcciele Ducha Mahdiego przyszli w zielonych szatach i z żywymi jastrzębiami przyuczonymi do „kwilenia do niebios”. Jazgotali sprzedawcy jedzenia. Przekrzykując się, oferowano wiele różności; królował Tarot Diuny z szigastrunową odbitką podręcznika kartomancji. Pewien handlarz sprzedawał ścinki egzotycznej tkaniny, którą „gwarantowanie dotykał sam Muad’Dib”. Inny miał flakoniki z wodą „poświadczoną pochodzenia z siczy Tabr, w której mieszkał Muad’Dib”. A wszystko to wśród gwaru rozmów w stu albo i więcej dialektach galachu przemieszanych z welarną chrapliwością i piskami języków out-frein zebranych pod sztandarem Świętego Imperium.

W ciżbie kręcili się i uwijali jaskrawo przyodziani maskaradnicy i lilipuci z tleilaxańskich planet podejrzanym rzemiosł. Migwały twarze szczupłe i twarze wodokrągłe. Dochodziło niecierpliwe szuranie stóp po zapiaszczonej plastali szerokich stopni. Ponad tę kakofonię od czasu do czasu wzbijała się czyjaś jękliwa modlitwa: „Muad’Dibie! Muaaaaad’Dibie! Bądź łaskaw błaganiom duszy mojej! Pomazańcu Boży, bądź łaskaw duszy mojej! Muaaaaad’Dibie!”

Nieopodal wśród pielgrzymów występowała para komedianów, za kilka groszy deklamując kwestie z popularnej ostatnio *Rozprawy między Armistydem a Lindgrafem*. Kaznodzieja przekrzywił głowę i nasłuchiwał. Komedianci, mieszcuchy w średnim wieku, mieli znudzone głosy. Na polecenie ślepcy młody przewodnik opisał ich: Ciała nalane wodą, obleczone w luźne szaty, które nawet nie próbują udawać filtraków. Assana Tarika śmieszyli, ale Kaznodzieja go ofuknął.

Komediant grający rolę Lindgrafa właśnie kończył swoją tyradę.

– Tere-fere! Świat można uchwycić tylko światłą garścią. To dłoń wprawia w ruch twój bezcenny umysł i wprawia w ruch wszystko inne, co bierze początek z umysłu. Patrzysz i widzisz, co stworzyłeś, stajesz się oświecony, ale dopiero gdy dłoń odwali swoją robotę!

Występ nagrodzono nikłymi oklaskami.

Kaznodzieja pociągnął nosem, chłonąc bogactwo zapachów tego miejsca: lotne estry z lichu dopasowanych filtraków, najrozmaitsze rodzaje odwaniającego piżma, pospolitą krzemionkę, wydychane odory niezliczonych egzotycznych potraw i wonie rzadkich kadzideł zapalonych w świątyni Alii, spływające w dół schodów z pomysłowo sterowanymi prądami powietrza. Z twarzy Kaznodziei dało się odczytać, co myśli o otoczeniu: „Na to nam zeszło, nam, Fremenom!”

Niespodziewana atrakcja wywołała falę poruszenia w tłumie. Na placu u podnóża schodów pojawili się Piaskowi Tanecznicy, pół setki tańcówników powiązanych linami z włókien elakki. Płásali tak najwyraźniej od wielu dni, dążąc do ekstazy. Piana ściekała im z warg, gdy podrygiwali i przytupywali w rytm niesłyszalnej muzyki. Przynajmniej jedna trzecia z nich zawisała nieprzytomnie na sznurach, reszta kołysała nimi tam i z powrotem jak marionetkami. Jedna z tych marionetek nagle się ocknęła, a tłum najwidoczniej wiedział, czego może się spodziewać.

– Widziaaaaaaałem! – zawył oprzytomniały tanecznik. – Widziaaaaaaałem! – Opierając się szarpnięciom towarzyszy, toczył błędnym

wzrokiem na wszystkie strony. – Tu, gdzie to miasto, będzie goły piasek! Widziaaaaaaałem!

Gromki ryk śmiechu poszedł po gapiach. Nawet nowi pielgrzymi się przyłączyli.

Tego już Kaznodzieja nie zdzierzył. Wzniósł ręce i zagrział głosem, który z całą pewnością zwykł stawiać na bacność jeźdźców czerwia.

– Milczeć!

Cały tłum na placu zamarł, usłyszawszy ten bojowy okrzyk.

Kaznodzieja wskazał wychudzoną ręką taneczników, sprawiając niesamowite wrażenie, że rzeczywiście ich widzi.

– Nie słyszeliście tego człowieka? Bluźniercy i bałwochwalcy! Wy wszyscy! Religia Muad’Diba to nie Muad’Dib. On ją wyklina, tak jak was wyklina! Piasek zasypie to miejsce. Piasek zasypie was. – Powiedziawszy to, opuścił ręce, położył dłoń na ramieniu młodego przewodnika i rozkazał: – Zabierz mnie stąd.

Może zadziałała magia słów Kaznodziei: „On ją wyklina, tak jak was wyklina!” Może jego ton, bezsprzecznie nadludzki, coś w artykulacji, na pewno ze szkolenia Bene Gesserit w sztuce Głosu, który narzuca posłuch samymi odcieniami subtelnej modulacji. Może zaś był to jedynie mistyczny charakter tego miejsca, w którym mieszkał, chodził i panował Muad’Dib. Ktoś z tarasu, za plecami oddalającego się Kaznodziei, zawołał głosem drżącym od religijnego uniesienia:

– Czy to Muad’Dib wraca do nas?

Kaznodzieja zatrzymał się, sięgnął do torby pod burką i wydobył z niej coś, co rozpoznali wyłącznie stojący najbliżej. Był to jeden z psikusów, jakie planeta płatała śmiertelnikom: zmumifikowana w piasku ludzka dłoń z rodzaju tych, które od czasu do czasu znajdowano na pustyni i powszechnie uważano za wiadomość od Szej-huluda. Dłoń zasuszona w zaciśniętą pięść na kikucie białej kości nadgryzionej piaskowymi zamieciami.

– Przynoszę Dłoń Boga i to wszystko, co przynoszę! – zawołał. – Przemawiam w imię Dłoni Boga. Jestem Kaznodzieją.

Niektórzy zrozumieli z tego tyle, że to dłoń Muad’Diba, lecz uwagę innych przykuły sama władcza postać i piorunujący głos – oto jak na Arrakis poznano jego imię. Ale nie po raz ostatni usłyszano jego głos.



Mówi się, drogi Georadzie, że w doświadczeniu melanżu jest jakoby wielka, naturalna doskonałość moralna. Być może to prawda. Mnie jednakowoż nie opuszczają głębokie wątpliwości, czy każdorazowe użycie przyprawy zawsze niesie ze sobą moralną doskonałość. Wydaje mi się, że niektórzy ludzie demoralizują użycie melanżu na przekór Bogu. Kaleczą ducha, mówiąc językiem Ekumeny. Ślizgają się po powierzchni melanżu i ludzą, że tak oto dostępują łaski. Szydzą z bliźnich, przynoszą wielki uszczerbek bogobojności i urągliwie wypaczają istotę tego przebogatego daru, a naprostowanie tej koślawości jest ponad siły człowieka. Chcąc być w prawdziwej zgodzie z moralną doskonałością przyprawy, niezdemoralizowany pod każdym względem, pełen honoru człowiek musi dopuścić, by jego czyny zgadzały się z jego słowami. Kiedy jego uczynki wpasowują się w ciąg niemoralnych następstw, należy osądzać człowieka po tychże następstwach, nie zaś po jego usprawiedliwieniach. Tym sposobem winniśmy osądzać Muad'Diba.

– *Scholastyka herezji*

Zapach ozonu przenikał nieduży pokój, w którym panowała szarówka przyćmionych lumisfer i stalowoniebieskiej poświaty pojedynczego ekranu teleoka. Ekran miał około metra szerokości i tylko dwie trzecie metra wysokości. Pokazywał odległy fragment jałowej, skalistej doliny, w której dwa tygrysy lazajskie pożywiały się krwawymi ochłapami świeżej zdobyczy. Na stoku, powyżej zwierząt, widać było szczupłego mężczyznę w polowym mundurze sardaukara z naszywkami lewenbrecha na kołnierzu. Przez pierś miał przewieszoną klawiaturę serwonadajnika.

W jedynym zmiennokształtnym fotelu dryfowym przed ekranem siedziała jasnowłosa kobieta w nieokreślonym wieku. Miała trójkątną twarz i smukłe dłonie, które zacisnęła na poręczach, obserwując ekran. Luźna biała suknia ze złotą lamówką kryła jej figurę. O krok od niej, po prawej stronie, stał zwalisty mężczyzna w brązowo-złotym mundurze pułkownika baszara dawnych Sardaukarów Imperialnych. Jego siwiejące włosy były przycięte na jeża, a kanciaste rysy nie zdradzały żadnych emocji.

Kobieta odchrząknęła.

– Poszło tak, jak przewidziałeś, Tajkenik.

– Oczywiście, księżno – odparł ochryple pułkownik baszar.

Uśmiechnęła się, usłyszawszy napięcie w jego głosie.

– Powiedz mi, Tajkenik, jak mojemu synowi spodoba się fraza „Imperator Farad’n I”?

– Tytuł pasuje do niego, księżno.

– Nie o to pytałam.

– Mógłby nie pochwalać paru rzeczy zrobionych dla zdobycia mu tego, hmm, tytułu.

– Z drugiej strony... – Obróciła się i w mroku podniosła na niego oczy. – Dobrze służyłeś mojemu ojcu. To nie twoja wina, że stracił tron na rzecz Atrydów. Ale z pewnością strata ta musi cię boleć równie dotkliwie jak każdego...

– Czy księżna Wensicja ma dla mnie jakieś specjalne zadanie? – spytał Tajkenik. W ochryplym głosie pojawił się twardszy ton.

– Masz brzydki zwyczaj przerywania mi – powiedziała.

Z kolei uśmiechnął się Tajkenik, pokazując mocne zęby, które błysnęły w świetle ekranu.

– Czasami przypominasz mi twego ojca, pani – rzekł. – Zawsze dużo mówisz, nim zażadasz, bym wykonał delikatną, hmm, misję.

Uciekła wzrokiem, aby ukryć złość.

– Naprawdę sądzisz, że te lazajczyki osadzą mojego syna na tronie?

– To bardzo prawdopodobne, księżno. Musisz przyznać, że bękarty Muad'Diba są na jeden ząb dla tej pary. A bez tych bliźniąt... – Wzruszył ramionami.

– Wnuk Szaddama IV staje się logicznym następcą – powiedziała. – Pod warunkiem że zdołamy przełamać opory Fremenów, Landsraadu i KHOAM, że już nie wspomnę o pozostałych przy życiu Atrydach, którzy mogliby...

– Dżawid zapewnia mnie, że jego ludzie są w stanie bez trudu poradzić sobie z Alią. Lady Jessiki nie zaliczam do Atrydów. Kto jeszcze zostaje?

– Landsraad i KHOAM pójdą za zyskiem – stwierdziła – ale co z Fremenami?

– Fremenów utopimy w ich religii Muad'Diba!

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, mój pocziwcze.

– Rozumiem – rzekł. – Wracamy do poprzedniego sporu.

– Ród Corrinów zrobił gorsze rzeczy, aby dojść do władzy – powiedziała.

– Ale żeby przyjąć tę... tę religię Mahdiego!

– Mój syn cię podziwia.

– Księżno, nie mogę się doczekać dnia, w którym ród Corrinów odzyska należny mu tron. Podobnie myśli każdy sardaukar tutaj, na Salusie. Ale jeśli ty...

– Tajkenik! Ta planeta nazywa się Salusa *Secundus*! Nie wpadaj w nawyk lenistwa, który szerzy się w naszym Imperium. Pełna nazwa, kompletny

tytuł... dbałość o najmniejszy drobiazg. Dzięki tym przymiotom krew Atrydów zniknie w piaskach Arrakis. Najmniejszy drobiazg, Tajkenik!

Wiedział, do czego ona pije. Ten atak był elementem chytrej taktyki, której nauczyła się od swojej siostry Irulany. Jednak czuł, że ustępuje pola.

– Rozumiesz, Tajkenik?

– Rozumiem, księżno.

– Pragnę, byś przyjął religię Muad'Diba.

– Księżno, dla ciebie skoczyłbym w ogień, ale ta...

– To rozkaz, Tajkenik!

Sardaukar przełknął ślinę i popatrzył na ekran. Tygrysy lazajskie zakończyły ucztę i polegiwały na piasku, zajmując się toaletą; długimi językami myły przednie łapy.

– Rozkaz, Tajkenik. Zrozumiano?

– Słyszę i jestem posłuszny, księżno. – Jego ton się nie zmienił.

Wensicja westchnęła.

– Och, gdyby tylko żył mój ojciec...

– Tak jest, księżno.

– Nie kpij ze mnie, Tajkenik. Wiem, jakie to dla ciebie wstrętne. Ale jeśli dasz przykład...

– On może nie pójść za moim przykładem, księżno.

– Pójdzie. – Wskazała na ekran. – Wydaje mi się, że ten lewenbrech mógłby stanowić problem.

– Problem? Jak to?

– Ilu ludzi wie o naszej zabawie z tygrysami?

– Ten lewenbrech, który jest ich treserem, pilot przewoźnik, ty i oczywiście... – Uderzył się w pierś.

– Co z dostawcami?

– Oni nic nie wiedzą. Czego się obawiasz, księżno?

– Mój syn jest, niestety, wrażliwy.

– Sardaukarzy nie zdradzają tajemnic.

– Martwi też nie. – Wyciągnąwszy rękę, nacisnęła czerwony guzik pod rozświetlonym ekranem.

Tygrysy lazajskie nagle uniosły łby. Poderwały się i wbiły ślepia w lewenbrecha u szczytu wzgórza. Jak jeden zawróciły i ruszyły pędem w górę zbocza.

Z początku sardaukar nie wyglądał na zaniepokojonego; wcisnął guzik na swojej konsolce. Ruchy miał opanowane, lecz gdy koty nadal sadziły ku

niemu, coraz bardziej rozgorączkowany raz za razem wduszał przycisk. Wstrząs zrozumienia odmalował się na jego twarzy i dłoń śmignęła do pasa po nóż bojowy. Za późno. Chłasknięty pazurem przez pierś, runął jak długi. Drugi z tygrysów jednym kłapnięciem chwycił go wielkimi kłami za kark i potrząsnął. Trzasnął kręgosłup.

– Dbałość o drobiazgi – powiedziała księżna.

Obróciła się i zeszytywniała, gdy Tajkenik wyciągnął nóż. Ale baszar podał jej broń rękojeścią do przodu.

– Zechciej łaskawie użyć mojego noża do zadbania o jeszcze jeden drobiazg.

– Schowaj go do pochwy i nie strugaj wariata! – wybuchnęła. – Czasami, Tajkenik, doprowadzasz mnie do...

– To był dobry żołnierz, księżno. Jeden z moich najlepszych.

– Jeden z *moich* najlepszych – poprawiła go.

Wziął głęboki, rwący się oddech i wsadził nóż do pochwy.

– A co z moim pilotem transportowca?

– To pójdzie na karb wypadku – powiedziała. – Poradź mu, żeby zachował najwyższą ostrożność, gdy będzie odwoził nam tygrysy. I, oczywiście, kiedy już dostarczy nasze kotki przewoźnikom Dżawida... – Spojrzała na jego nóż.

– To rozkaz, księżno?

– Tak.

– Czy potem mam się nadziać na własny nóż, czy sama zadbasz o ten, hmm, drobiazg?

– Tajkenik – przemówiła z nienaturalnym spokojem i powagą – gdybym nie była absolutnie pewna, że na mój rozkaz nadziałbyś się na swój nóż, nie stałbyś tutaj przy mnie... uzbrojony.

Sardaukar przełknął ślinę, zerkając na ekran. Tygrysy znowu się pożywiały. Żeby tego nie oglądać, księżna patrzyła na baszara.

– Zawiadom także dostawców, aby nie przysyłali już par dzieci według podanego rysopisu.

– Jak każesz, księżno.

– Nie mów do mnie takim tonem, Tajkenik.

– Tak jest, księżno.

Zacisnęła wargi w cienką kreskę.

– Ile nam zostało tych podwójnych strojów?

– Sześć kompletnych zestawów, w tym filtraki i pustynne buty, wszystko ozdobione godłem Atrydów.

– Tkanina jest równie bogata jak na tamtej parze? – Skinęła głową w stronę ekranu.

– Godna królów, księżno.

– Dbłość o drobiazgi – przypomniła. – Stroje mają być wysłane na Arrakis jako podarunek dla naszych królewskich krewniaków. Jako podarunek od mojego syna, rozumiesz, Tajkenik?

– Doskonale, księżno.

– Zagoń go do wysmarowania odpowiedniej dedykacji. Że wysła tych kilka skromnych drobiazgów w dowód swego oddania rodowi Atrydów. Coś w tym guście.

– Z jakiej okazji?

– Muszą być jakieś urodziny, święto czy coś takiego, Tajkenik. Zdaję się na ciebie. Ufam ci, przyjacielu.

Patrzył na nią bez słowa.

Jej rysy stwardniały.

– Ty chyba wiesz o tym najlepiej? Komu innemu mogę ufać po śmierci mojego małżonka?

Wzruszył ramionami, myśląc, jak bardzo Wensicja upodabnia się do pajęczycy. Czułby się nieswojo, wchodząc z nią w bliższe relacje, co, jak teraz podejrzewał, uczynił jego lewenbrech.

– Aha, Tajkenik – powiedziała – jeszcze jeden drobiazg.

– Słucham, księżno.

– Mój syn jest szkolony do panowania. Przyjdzie czas, że będzie musiał sam ująć miecz. Ty poznasz, kiedy ta chwila nadejdzie. I natychmiast mnie zawiadomisz.

– Jak każesz, księżno.

Odchyliwszy się do tyłu, zmierzyła Tajkenika wymownym spojrzeniem.

– Nie pochwalasz moich metod, wiem. Dla mnie to bez znaczenia, bylebyś tylko zapamiętał przesłanie lewenbrecha.

– Bardzo dobrze radził sobie ze zwierzętami, ale nie był niezastąpiony. Tak jest, księżno.

– Nie to mam na myśli!

– Nie to? W takim razie... nie rozumiem.

– Armia – powiedziała – składa się z łatwych do zastąpienia, całkowicie wymiennych elementów. Takie jest przesłanie lewenbrecha.

– Wymienne elementy – powtórzył. – Nie wyłączając naczelnego dowództwa?

– Bez naczelnego dowództwa rzadko istnieje potrzeba armii. Dlatego natychmiast przyjmiesz tę religię Mahdiego i jednocześnie rozpoczniesz akcję nawracania mojego syna.

– Tak jest, księżno. Zakładam, że nie życzysz sobie, abym głosił mu tę, hmm, religię kosztem nauczania innych sztuk walki?

Podniosła się z fotela, przemaszerowała obok Tajkenika i przystanęła w progu.

– Któregoś dnia nadużyjesz mojej cierpliwości o jeden raz za dużo – powiedziała, nie obejrzawszy się.

Własnoręcznie zamknęła za sobą drzwi.



Albo odchodzimy od wyznawanej z dawien dawna teorii względności, albo przestajemy wierzyć, że możemy się włączyć w dokładną przepowiednię przyszłości! W rzeczy samej, znajomość przyszłości nasuwa mnóstwo pytań, na które nie daje się odpowiedzieć, przyjmując klasyczne założenia, chyba że, po pierwsze, wyrzuci się obserwatora poza czas i, po drugie, wyeliminuje wszelki ruch. Opierając się na teorii względności, można wykazać, że czas i obserwator muszą pozostawać w stanie spoczynku względem siebie, w przeciwnym razie występują niedokładności. Z tego wynikałoby, że włączenie się w dokładną przepowiednię przyszłości jest niemożliwe. Jak zatem wyjaśnimy ciągłą pogoń szacownych naukowców za tym wizjonerskim celem? Jak zatem wyjaśnimy fenomen Muad'Diba?

– Wykłady jasnowidztwa pióra Harka al-Ady

– Muszę ci coś wyznać – powiedziała Jessica – chociaż wiem, że moje słowa przypomną ci wiele doznań z naszej wspólnej przeszłości i że to cię narazi na niebezpieczeństwo.

Umilkła, by zobaczyć, jak Ganimida to przyjmuje.

Siedziały na niskich poduszkach w komorze siczy Tabr. Wykombinowanie spotkania sam na sam wymagało niemałego sprytu, ale Jessica nie miała wcale pewności, że była jedyną kombinatorką w tej grze; Ganimida najwyraźniej uprzedzała i wzmacniała każde jej posunięcie.

Dzień zgasił prawie dwie godziny wcześniej, a z nim emocje powitań i rozpoznawania znajomych twarzy i kątów. Uspokoiwszy bijące mocno

serce, Jessika skupiła uwagę na skalnej komorze, na ciemnych kobiercach i żółtych poduszkach. Złapała się na tym, że po raz pierwszy od lat powtarza w pamięci *Litanie przeciw strachowi* z obrządku Bene Gesserit.

„Nie wolno się bać. Strach zabija duszę. Strach to mała śmierć, a wielkie unicestwienie. Stawię mu czoło. Niechaj przejdzie po mnie i przeze mnie, a kiedy przejdzie, obrócę oko swej jaźni na jego drogę. Którędy przeszedł strach, tam nie ma nic. Jestem tylko ja”.

Odmówiła to w milczeniu i wzięła głęboki, uspokajający oddech.

– Czasami to pomaga – powiedziała Ganimi. – Mam na myśli litanie.

Jessika zamknęła oczy, by ukryć wstrząs wywołany niesamowitą przenikliwością dziewczynki. Od dawna nikt nie potrafił czytać w niej jak w otwartej księdze. Tym bardziej była zażenowana, że dokonał tego umysł schowany za maską dziecinności. Jednak stawiawszy czoło strachowi, otwierając oczy, Jessika już wiedziała, co jest przyczyną jej roztrzęsienia. „Boję się o wnuki”. Żadne z dwójki dzieci nie nosiło stygmatów Złego Ducha, z jakimi paradowała Alia, aczkolwiek Leto wykazywał wszelkie symptomy jakiejś strasznej tajemnicy. Właśnie z tego powodu został zgrabnie wykluczony ze spotkania.

Pod wpływem impulsu Jessika odrzuciła utrwalone emocjonalne maski, uznawszy je za niewiele tu przydatne hamulce porozumienia. Od czasu miłosnych chwil ze swoim księciem nigdy nie zwolniła tych hamulców, co teraz przyniosło jej zarówno ulgę, jak i ból. Istniała rzeczywistość, której żadne zaklęcie, modlitwa ani litanie nie zmiecie w niebyt. Nie ucieknie się od faktów. Nie da się przymknąć na nie oczu. Elementy wizji Paula zostały poprzestawiane i czasy doścignęły jego dzieci. One są jak magnes w pustej przestrzeni; zło i wszystkie pożądania godne nadużycia władzy zbierają się wokół nich.

Obserwując grę emocji na twarzy babki, Ganimi nie mogła się nadziwić, że Jessika uwolniła je spod kontroli. Zniewalająco zgodnym ruchem babka i wnuczka obróciły głowy, spotkały się wzrokiem i zajrzały sobie głęboko w oczy, badając się nawzajem. Myśli przepłynęły między nimi.

Jessika: „Chcę, żebyś zobaczyła mój strach”.

Ganimi: „Teraz wiem, że mnie kochasz”.

Ulotna była ta chwila najgłębszego zaufania.

– Kiedy twój ojciec był jeszcze małym chłopcem – powiedziała Jessika – sprowadziłam Matkę Wielebną na Kaladan, żeby poddała go próbie.

Ganimi kiwnęła głową. Wspomnienie było jak żywe.

– My, Bene Gesserit, zawsze dbaliśmy o to, żeby się upewnić, że nasze dzieci są ludźmi, nie zwierzętami. A pozory często mylą.

– Tak was wyszkolono.

Ganimę ogarnęła fala wspomnień. Stara Bene Gesserit, Gaius Helena Mohiam. Na zamek Kaladan przybyła ze swoim zatrutym gom dżabbar i pudełkiem palącego bólu. Dłoń Paula (dłoń Ganimy we wspólnej pamięci) skręca się w męczarniach pudełka, podczas gdy starucha spokojnie zapowiada chłopcu natychmiastową śmierć, jeśli cofnie rękę. I nie ma żadnych wątpliwości co do śmierci w owej igle trzymanej w pogotowiu przy szyi dziecka ani w starczym głosie mamroczącym uzasadnienia: „Słyszałeś o tym, że zwierzęta odgryzają sobie kończynę, by umknąć z potrzasku? To zwierzęca sztuczka. Człowiek pozostanie w sidłach, zniesie ból i uda śmierć, by zabić myśliwego, usuwając zagrożenie dla swego gatunku”.

Ganima potrząsnęła głową, opędzając się od wspomnienia bólu. „Palę się! Palę się!” Paul miał wrażenie, że skóra zwija się i czernieje na konającej dłoni w pudełku, ciało przepala się i odpada, obnażając zwęglone kości. A to tylko magiczna sztuczka – dłoń jest cała. Jednak na wspomnienie tego pot wystąpił dziewczynce na czoło.

– Ty, oczywiście, pamiętasz to w niedostępny dla mnie sposób – powiedziała Jessika.

Przez chwilę, pod wpływem wspomnień, Ganima widziała babkę w innym świetle: do czego może być zdolna ta kobieta, powodowana nieodpartymi koniecznościami z owych wczesnych uwarunkowań wyniesionych ze szkół Bene Gesserit. I stawiało to w nowym świetle powrót Jessiki na Arrakis.

– Poddawanie takiej samej próbie ciebie albo twojego brata nie miałoby sensu – rzekła Jessika. – Wiecie już, na czym ona polega. Muszę przyjąć, że jesteście ludźmi i że nie nadużyjecie odziedziczonych mocy.

– Jednak ty wcale tego nie zakładasz – powiedziała Ganima.

Jessika zamrugała, uświadomiła sobie, że maski niepostrzeżenie wracają na swoje miejsce, i odrzuciła je raz jeszcze.

– Uwierzysz mi, że cię kocham?

– Tak. – Ganima uniosła dłoń, nie dając babce dojść do głosu. – Ale ta miłość nie powstrzymałaby cię od zabicia nas. Och, znam to rozumowanie: „Lepiej, żeby zwierzoczek zdechł, niż się oszczenił”. A już zwłaszcza jeśli ów zwierzoczek jest z Atrydów.

– Ty przynajmniej jesteś człowiekiem – wyrwało się Jessica. – Tutaj mój instynkt mnie nie myli.

Ganima wyczuła prawdę w jej słowach.

– Ale nie jesteś pewna Leto.

– Nie jestem.

– Zły Duch?

Jessika potrafiła jedynie skinąć głową.

– Nie, przynajmniej jeszcze nie teraz – powiedziała Ganima. – Choć oboje znamy niebezpieczeństwo. Widzimy, jak to postępuje u Alii.

Jessika przycisnęła dłonie do oczu. „Nawet miłość nie chroni nas przed niepożądanymi faktami” – pomyślała. Wtem, pojmując, że nadal kocha swoją córkę, wzniosła niemy lament przeciwko losowi: „Alio! Alio! Wybacz mi, że przyczyniłam się do twojej zguby!”

Ganima głośno odchrząknęła.

Jessika opuściła ręce. „Powinnam opłakiwać moją nieszczęsną córkę, ale teraz są inne potrzeby” – stwierdziła.

– Więc dostrzeżliście, co się stało z Alią – powiedziała.

– Leto i ja widzieliśmy, jak to się staje. Nie byliśmy w stanie temu zapobiec, chociaż rozważaliśmy wiele możliwości.

– Jesteś pewna, że twój brat wolny jest od przekleństwa?

– Jestem.

Z jej wypowiedzi biła niewzruszona pewność; Jessica nie pozostało nic innego, jak dać się przekonać.

– A wy jak ocaleliście?

Ganima rozgadała się o teorii, do jakiej doszli z Leto – że Alia często wprowadza się w przyprawowy trans, czego oni unikają i co stawia ich w zupełnie innej sytuacji. Jednym tchem przeszła do snów Leto i planów, które razem snuli. Napomknęła nawet o Dżakurutu.

Jessika skinęła głową.

– Alia jest, mimo wszystko, Atrydką, a to stwarza ogromne problemy.

Ganima umilkła, nagle zrozumiawszy, że Jessica wciąż opłakuje swojego księcia, jakby zginął zaledwie wczoraj, i że będzie broniła jego imienia i pamięci przed wszelkimi zagrożeniami. Osobiste wspomnienia z życia księcia przemknęły w świadomości dziewczynki, utwierdzając tę opinię i łagodząc ją zrozumieniem.

– A co – zapytała Jessica raźniejszym głosem – z tym Kaznodzieją? Otrzymałam niepokojące informacje po tej wczorajszej zatraconej lustracji.

Ganima wzruszyła ramionami.

– To może być...

– Paul?

– Tak, ale nie spotkaliśmy go, żeby móc to sprawdzić.

– Dżawid śmieje się z tych pogłosek.

– Ufasz temu Dżawidowi? – spytała Ganima po chwili wahania.

Złowrogi uśmiech przemknął po ustach Jessiki.

– Nie bardziej niż ty.

– Leto twierdzi, że Dżawid śmieje się z niewłaściwych rzeczy – powiedziała Ganima.

– I tyle co do śmiechu Dżawida – odparła Jessika. – Ale czy wy rzeczywiście dopuszczacie do siebie myśl, że mój syn nadal żyje, że powrócił w tym przebraniu?

– Uważamy, że to możliwe. A Leto... – Nagle poczuła suchość w ustach, zapamiętane lęki ścisnęły jej pierś. Przewyciężywszy je, opowiedziała o innych odkryciach z proroczych snów Leto.

Jessika poruszała głową w lewo i w prawo jak ogłuszona.

– Leto mówi, że musi odszukać tego Kaznodzieję i się upewnić – dodała Ganima.

– Tak... Oczywiście. Przenigdy nie powinnam stąd uciekać. Zachowałam się jak tchórz.

– Niczemu nie jesteś winna. Osiągnęłaś swój kres. Ja to wiem. Leto również. Pewnie nawet Alia to wie.

Jessika potarła dłonią gardło.

– Tak, problem Alii.

– Ona rzuca jakiś dziwny urok na Leto – powiedziała Ganima. – Dlatego ułatwiłam ci spotkanie ze mną w cztery oczy. On przyznaje, że nie ma dla niej ratunku, ale nadal robi wszystko, żeby z nią przebywać i... obserwować ją. I... to jest bardzo niepokojące. Kiedy próbuję mu to wyperswadować, zasypia. On...

– Czy Alia odurza go narkotykiem?

– Nieee. – Ganima pokręciła głową. – Ale on ma dla niej tyle dziwnego zrozumienia. I... przez sen często mamrocze: „Dżakurutu”.

– To jakaś epidemia!

I Jessika, chcąc nie chcąc, przytoczyła meldunek Gurneya o spiskowcach z lądowiska.

– Czasami się obawiam, że Alia chce, żeby Leto odszukał Dżakurutu – wyznała Ganimi. – A ja zawsze uważałam, że to tylko legenda. Znasz ją, oczywiście.

Jessika wzdrygnęła się.

– Okropna historia. Okropna.

– Co mamy robić? – spytała dziewczynka. – Boję się przepatrzeć wszystkie moje pamięci, wszystkie moje istnienia...

– Gani! Ostrzegam cię przed tym. Nie możesz ryzykować...

– To się może zdarzyć, nawet jeśli nie zaryzykuję. Skąd wiemy, co się naprawdę przytrafiło Alii?

– Nie! Możesz sobie oszczędzić tego... opętania. – Zmełła to słowo w zębach. – No cóż... chodzi o Dżakurutu, prawda? Wysłałam Gurneya, żeby odnalazł to miejsce... o ile istnieje.

– Ale jak on może...? Och! Oczywiście, przemytnicy.

Jessika zamilkła pod wrażeniem kolejnego przykładu działania umysłu Ganimy, jak nic pospołu z wewnętrzną świadomością innych jaźni. „Mojej jaźni!”

„Wprost nie do wiary – myślała – że w tym młodym ciele mieszczą się wszystkie wspomnienia Paula, przynajmniej do chwili spermowej separacji od jego przeszłości”. To było naruszenie prywatności, przeciwko któremu burzyło się coś pierwotnego w Jessice. Przez chwilę czuła, jak krzepnie w niej ostateczny i nieodwołalny wyrok Bene Gesserit: „Zły Duch!” Jednak w tym dziecku była słodycz, gotowość poświęcenia się dla brata, której nie dało się zaprzeczyć.

„Stanowimy jedno życie sięgające w mrok przyszłości – stwierdziła. – Jesteśmy z jednej krwi”. I przygotowała się na nieunikniony bieg wydarzeń, który wprowadziła w ruch z Gurneyem Halleckiem. Trzeba oddzielić Leto od siostry, trzeba poddać go szkoleniu zgodnie z wolą zgromadzenia.



Słyszę wiatr wiejący nad pustynią i widzę księżyc zimowej nocy jak wielkie okręty wychodzące w pustkę. Im składam ślubowanie: Będę niezłomny i uczynię z rządzenia sztukę; utrzymam moją dziedziczną przeszłość w równowadze i stanę się doskonałą przechowalnią reliktyw moich pamięci. Zasłynę bardziej z łaskawości niż z uczoności. Moje oblicze będzie rozjaśniać korytarze czasu, dopóki istnieć będą ludzie.

Od maleńkości Alia Atryda godzinami ćwiczyła się w transie prana i bindu, próbując umocnić własne jestestwo przeciwko naporowi „tamtych innych”. Znała swój problem – w siczowym labiryncie nie ma ucieczki od melanżu. Melanż przesycił wszystko: jedzenie, wodę, powietrze, nawet tkaniny posłania, w które wypłakiwała się nocami. Bardzo wcześnie dostrzegła pożytki z siczowych orgii, podczas których plemię piło wodę czerwionej śmierci. Fremeni uwalniali się wtedy od emocjonalnego balastu genetycznych wspomnień i oczyszczali z nich świadomość. Oglądała współplemieńców przejściowo opętanych w trakcie orgii.

Dla niej nie było uwolnienia, nie było katharsis. Na długo przed narodzinami posiadała pełną świadomość. Ze świadomością zaś dopadło ją apokaliptyczne objawienie o jej położeniu: uwięziona w macicy, w głębokiej, nierozzerwalnej więzi z jaźniami wszystkich swoich przodków i jestestwami, które przyjęła lady Jessika w przekazie śmierci podczas przyprawowej tau. Nienarodzona Alia wchłonęła cały świat wiedzy przynależny Matce Wielebnej Bene Gesserit... i dużo, dużo więcej od „tamtych innych”.

Iluminacja objawiła straszną rzeczywistość: Złego Ducha. Kompletność wiedzy podkopywała siły Alii. Przednarodzeni stali na straconej pozycji. Jednak wydała wojnę co straszliwszym antenatom, odnosząc co jakiś czas pyrrusowe zwycięstwo, i toczyła walkę przez całe dzieciństwo. Zaznawała swojego jestestwa, ale ono nie było odporne na doraźne najścia tych, którzy żyli odbitym w niej życiem. „Oto, czym będę pewnego dnia – zmroziła ją myśl. – Zjawą i maską w jaźni rodzonego dziecka, natrętem czepiającym się cudzej świadomości, żeby podrzucić jej jakieś kwantum moich przeżyć”.

Jej dzieciństwo nawiedził strach. Nie opuścił w okresie dojrzewania. Walczyła z nim, nigdy nie prosząc o pomoc. Kto by zrozumiał, jakiej pomocy potrzebuje? Nie matka, która nigdy nie zdołała odegnać upiora wyroku Bene Gesserit: przednarodzeni są Złymi Duchami.

Pewnej pamiętnej nocy jej brat odszedł samotnie na pustynię na spotkanie śmierci, składając się w ofierze Szej-huludowi i spełniając powinność ociemniałych Fremenów. Niespełna miesiąc później Alia poślubiła jego mistrza miecza, Duncana Idaho, mentata wskrzeszonego z martwych sztuką Tleilaxan. Jej matka znów powróciła na Kaladan. Alia objęła prawną opiekę nad bliźniętami Paula.

I regencję w jego Imperium.

Dawne strachy ustąpiły miejsca nowym stresom i Alia przypuściła do siebie duchy jaźni, pytając o radę i szukając w przyprawowym transie przewodnich wizji.

Przełomowy okazał się dzień, jakich wiele wiosennego miesiąca laab; ranek w twierdzy Muad'Diba był jasny, zimny wiatr wiał od bieguna. Alia nosiła jeszcze żałobę w żółtym kolorze sterylne słońca. W ostatnich tygodniach dawała coraz silniejszy odpór wewnętrznemu głosowi matki, która zazwyczaj wyśmiewała przygotowania do zbliżających się Świętych Dni i głównych obchodów w świątyni. Jessika w jej świadomości słabła, zanikała... w końcu rozplynęła się z pożegnalnym, bezosobowym już przykazaniem, żeby córka lepiej zajęła się wprowadzaniem prawa Atrydów. Nowe istoty jęły się gromko domagać swojej chwili świadomości. Alia miała wrażenie, że rozwarła bezdenną czeluść, w której niczym chmara szarańczy roją się postacie; wreszcie jej uwagę przykuła jedna z nich, podobna bestii: stary baron Harkonnen. Z wściekłością i przerażeniem zgromiła cały ten jazgot, osiągając chwilowy rozejm.

Tego ranka, przed śniadaniem, wyszła na przechadzkę po ogrodzie na dachu twierdzy. W kolejnej próbie wygrania wewnętrznej batalii starała się utrzymywać całą świadomość w karchach przestrogi Szody dla zensunnitów: „Schodząc po drabinie, można spaść do góry”. Jednak ciągle rozpraszał ją brask na urwiskach Muru Zaporowego.

Sprężysta trawa kędzierzawka porastała ogrodowe alejki. Odrywając wzrok od Muru Zaporowego, Alia widziała na żdźbłach rosę – odłów całej wilgoci, jaka przechodziła tędy nocą. Krople odbijały przejście Alii jako tłumny pochód. Od lustrzanej tłumności zakreśliło się jej w głowie. W każdym odbiciu był wizerunek jakiejś twarzy z wewnętrznego tłumy.

Uczepiła się myślami tego, o czym świadczyła obecność trawy. Obfitość rosy wskazywała, jak daleko zaszła ekologiczna transformacja Arrakis. Ociepiał się klimat północnych szerokości, wzrastało stężenie dwutlenku węgla w atmosferze. Przypomniła sobie, jak wiele hektarów zostanie obsadzonych w najbliższym roku – a do nawodnienia tylko jednego hektara potrzeba było trzydziestu siedmiu tysięcy stóp sześciennych wody.

Mimo wysiłków, żeby myśleć o sprawach przyziemnych, nie mogła odegnąć tych wszystkich innych krążących na podobieństwo rekinów. Przycisnęła dłonie do czoła.

Poprzedniego dnia o zachodzie słońca strażniczki świątyni doprowadziły jej na sąd więźnia, niejakiego Issasa Pajmona, czarniawego człowieczka

rzekomo na żołdzie niskiego rodu Nebirów, handlarzy dewocjonaliami i wyrobami drobnego rzemiosła artystycznego. W rzeczywistości Pajmon okazał się szpiegiem KHOAM, który miał szacować roczne zbiory przyprawy. Alia zamierzała już wsadzić go do lochów, kiedy więzień głośno przeklął „atrydką niesprawiedliwość”. Za to mógł z miejsca zawisnąć na trójnogu śmierci, jednak regentkę zaciekało jego zuchwalstwo. Groźnym tonem z wysokości sędziowskiego tronu spróbowała zastraszyć Pajmona, żeby zdradził więcej, niż zeznał jej inkwizytorom.

– Dlaczego Konsorcjum Honnete tak bardzo interesuje się naszymi zbiorami przyprawy? Odpowiedz nam, a może cię ułaskawimy.

– Ja tylko zbieram to, na co jest zbyt – odparł Pajmon. – Nie wiem nic o tym, co nabywcy robią z moim plonem.

– I dla nikłego zysku przeszkadzasz naszym królewskim planom? – zapytała Alia.

– Władza królewska nigdy nie bierze pod uwagę, że my też możemy mieć plany – odparł.

Straceńczą odwagą zrobił na Alii wrażenie.

– Issasie Pajmonie, chcesz pracować dla mnie?

Uśmiech rozjaśnił jego ciemną twarz.

– Zamierzałaś bez skrupułów spisać mnie na straty. Czy mam jakąś wartość dodaną, na którą nagle reflektujesz?

– Masz prostą i praktyczną wartość – powiedziała. – Jesteś zuchwały i do wynajęcia przez tego, kto oferuje najwyższą cenę. Ja mogę zaoferować więcej niż ktokolwiek w Imperium.

Wymienił niebagatelną sumę jako wynagrodzenie za swoje usługi. Alia zbyła ją śmiechem i zaproponowała sensowniejszą jej zdaniem zapłatę, a na pewno o wiele większą, niż kiedykolwiek otrzymał.

– I oczywiście dorzucam darowanie ci życia, które, mniemam, ma dla ciebie jeszcze bardziej przesadną wartość.

– Zgoda! – dobił targu Pajmon i na znak Alii został wyprowadzony przez jej mistrza ceremonii Dżawida oraz Zajankę.

Niespełna godzinę później, gdy zbierała się do opuszczenia Auli Sądu, wpadł Dżawid z doniesieniem, że podsłuchano, jak Pajmon mruczał pod nosem złowrogie słowa z Biblii Protestancko-Katolickiej: „*Maleficos non patieris vivere*”.

„Czarownicy nie zostawisz przy życiu” – przetłumaczyła sobie Alia. A to niewdzięcznik! Jeden z tych, którzy spiskują i nastają na jej życie!

W porywie gniewu, jakiemu nigdy jeszcze nie uległa, kazała natychmiast go stracić i odesłać ciało do świątynnego alembiku śmierci, gdzie jego woda w końcu będzie miała ustaloną wartość w kapłańskiej szkatule.

A przez całą noc nawiedzał ją obraz ciemnej twarzy Pajmona. Wypróbowałszy przeciwko tej natrętnej, oskarżycielskiej zjawie wszystkie swoje sztuczki, odklepała nawet *Bju Dzi* z fremeńskiej *Księgi Kreosa*: „Nic się nie zjawia! Nic się nie zjawia!” Ale Pajmon przeszwarcował się z nią przez bezsenną noc do tego oszałamiającego poranka, kiedy to jego twarz dołączyła do tłumu innych lustrzanych odbić w brylantowej rosie.

Głos strażniczki od furty za niskim żywopłotem z mimozy przywołał ją na śniadanie. Alia westchnęła. Odczuła znikomość wyboru między dwoma pieklami: głosy duchów albo głosy świty – wszystkie bezsensowne, lecz niezmordowane w swych żądaniach, błędne koło jazgotów, które najchętniej uciszyłaby ostrzem noża.

Lekceważąc strażniczkę, poszybowała spojrzeniem nad dachowym ogrodem, w kierunku Muru Zaporowego. Szeroki nanos bahady wyglądał na powierzchni osłoniętego terenu jak stożek napływowy. Zatrzymała wzrok na tej rozległej delcie piasku rysującej się w porannym słońcu. Przyszło jej na myśl, że niewtajemniczone oko mogłoby się dopatrzeć w szerokiej delcie śladu po nurcie rzeki, tymczasem jej brat skruszył w tym miejscu Mur Zaporowy za pomocą jądrowego arsenału Atrydów, otwierając drogę czerwiom pustyni, które niosły oddziały Fremenów do walnego zwycięstwa nad jego imperialnym poprzednikiem, Szaddamem IV. Teraz szeroki kanat toczył wody po drugiej stronie Muru Zaporowego, broniąc czerwiom dostępu. Czerwie pustyni nie przejdą otwartej wody, jest dla nich trująca.

„Żeby to ja miała taką barierę w umyśle” – pomyślała. Spotęgowało to w niej oszałamiające wrażenie oderwania od rzeczywistości. „Czerwie pustyni! Czerwie pustyni!”

Pamięć podsunęła jej szereg wizerunków czerwia pustyni: potężny Szejhulud, demiurg Fremenów, zabójcza bestia z pustynnych otchłani, której miazmaty zawierają bezcenną przyprawę. „Zdumiewające, że taki czerw pustyni wyrasta z płaskiej, skórzastej piaskowej troci”. Trocie przypominały rojny tłum z jej świadomości. Złączone bokami tworzą na macierzystej skale planety żywe cysterny; zatrzymują wodę, aby nosiciel czerwia pustyni mógł przeżyć. Alia dopatrzyła się analogii: niektórzy z „tamtych innych” w jej umyśle powstrzymywali niebezpieczne siły mogące ją zniszczyć.

Strażniczka z nieskrywanym zniecierpliwieniem przypomniła jej o śniadaniu.

Alia obróciła się i odprawiła ją gniewnym gestem.

Amazonka usłuchała, ale trzasnęła dachową furtą.

Odgłos zatraskiwanej furty sprawił, że Alia poczuła się osaczona przez wszystko, czemu usiłowała się przeciwstawiać. Inne jestestwa wezbrały w niej upiornym przypływem. Twarze napastliwych istot wdzierały się jedna przez drugą do jej ośrodków widzenia – chmara twarzy. I dziobatych, i o zgrubiałej cerze, i w sadzastych plamach, i o ustach jak zaślinione landrynki. Tłumnie napierały na nią, żądając, by popłynęła i pograżyła się w ich fali.

– Nie – wyszeptała. – Nie... nie... nie...

Runęłaby na trawę, gdyby nie pobliska ławka, która przyjęła jej omdlałe ciało. Próbowwała siedzieć, lecz osuwała się dalej i w końcu wyciągnęła się na chłodnej plastali, wciąż z szeptem odmowy na wargach.

Przypływ wzbierał w niej nieprzerwanie.

Czuła się wrażliwa na najmniejszy przejaw uwagi i choć świadoma ryzyka, nasłuchiwała każdego okrzyku z tych niedopuszczonych do głosu ust, które przepełniały ją głośnym protestem: *Ja! Ja!, Nie on, ja!* I wiedziała, że jeśli raz poświęci im uwagę, poświęci ją całkowicie, będzie zgubiona. Wystarczy, żeby się zapatrzyła na jedną twarz z tłumu i zasłuchała w jej głos, a nie wyjdzie z matni obcej jaźni dzielącej z nią istnienie.

– *Profetyzm ci to robi* – szepnął głos.

Zatkała uszy dłońmi.

„Przecież ja nie widzę przyszłości! Trans nie działa na mnie!” – pomyślała.

Ale głos nie ustępował.

– *Może by działał, gdybyś miała pomoc.*

– Nie... nie – wyszeptała.

Inne głosy omotywały jej umysł.

– *Ja, Agamemnon, twój przodek, żądam posłuchania!*

– Nie... nie. – Przycisnęła dłonie do uszu, aż poczuła ból.

W głowie usłyszała szalony chichot.

– *Co się stało z Owidiuszem? Proste. Jest „ibidem” w Znanych cytatach Johna Bartletta!*

Imiona były bez znaczenia w jej sytuacji. Pragnęła zagłuszyć je i wszystkie pozostałe głosy, ale własny głos odmówił jej posłuszeństwa.

Strażniczka odesłana przez przełożonych na dach, raz jeszcze wyrzała z wejścia za mimozami i dostrzegłszy Alię na ławce, odezwała się do drugiej amazonki:

– Ach, zdrzemnęła się. Zauważyłaś, że źle spała tej nocy. Dobrze jej zrobi krótka zaha, poranna sjesta.

Alia nie słyszała strażniczki. Jej uwagę pochłonął wrzaskliwy zaśpiew:

– *Wesołeśmy ptaszki, hura!*

Głosy huczały jej pod czaszką.

„Tracę zmysły – pomyślała. – Wariuję”.

Jej stopy niemrawo podrywały się z ławki. Czuła, że gdyby tylko zmusiła ciało do biegu, mogłaby uciec. Musiała uciekać, by jakaś fala tego wewnętrznego przypływu nie zepchnęła jej w głąb ciszy, na zawsze zatruwając duszę. Ale ciało odmówiło jej posłuszeństwa. Najpotężniejsze siły imperialnego wszechświata spełniały najmniejszy jej kaprys, a własne ciało nie było jej posłuszne.

Wewnętrzny głos zachichotał.

– *Z pewnej perspektywy każdy przypadek stworzenia jest katastrofą.* – Basowy głos zadudnił jej pod gałkami ocznymi i ponowił chichot, jak gdyby drwiąc z własnej arbitralności. – *Kochana dziewczynko, pomogę ci, ale ty musisz w zamian pomóc mnie.*

Wbrew narastającej w tle basowego głosu wrzawie protestu, Alia odezwała się, dzwoniąc zębami:

– Kto...? Kto...?

W jej świadomości ukształtowała się czyjaś twarz. Uśmiechnięta i tak pucołowata, że mogłaby należeć do niemowlęcia, gdyby nie łakomie połyskujące oczy. Alia chciała się wycofać, lecz zyskała jedynie szersze pole widzenia, obejmujące dołączone do twarzy ciało. Było potwornie, niesamowicie wręcz otyłe, obleczone w szatę, której nieznaczne wypukłości zdradzały, że tę górę sadła muszą podtrzymywać przenośne dryfy.

– *Widzisz – zadudnił basowy głos – to tylko ja, twój dziadek ze strony matki. Znasz mnie. Byłem baronem Vladimirem Harkonnenem.*

– Ty... ty nie żyjesz! – wydyszała.

– *Ależ oczywiście, kochanie! Większość z nas, obecnych w tobie, nie żyje. Ale tak naprawdę żadne z nich nie pragnie ci pomóc. One cię nie rozumieją.*

– Odejdź – poprosiła. – Och, błagam cię, odejdź.

– *Przecież ty potrzebujesz pomocy, wnuczko.*

„Wygląda niezwykle” – pomyślała Alia, oglądając projekcję barona na ekranie zamkniętych powiek.

– *Chętnie ci pomogę* – kusił. – *Tutaj reszta walczyłaby tylko, żeby przejąć twoją świadomość. Każde z nich próbowałoby cię wyrugować. Ja natomiast... ja pragnę jedynie maciupkiego kącika dla siebie.*

Inne istnienia w jej wnętrzu znowu podniosły krzyk. Przypływ raz jeszcze zagroził jej pochłonięciem i usłyszała pisk matki. „Ona żyje” – przemknęło jej przez myśl.

– *Zamknąć mordy!* – rozkazał baron.

Alia czuła, że jej pragnienia wzmacniają ów rozkaz, który przenika całą jej świadomość. Wewnętrzna cisza otuliła ją niczym chłodna kąpiel, łomoczące serce stopniowo się uspokoiło.

– *Widzisz? Razem jesteśmy niezwyciężeni. Ty pomagasz mnie, ja tobie* – zabrzmiał kojąco głos barona.

– Czego... czego chcesz? – wyszeptwała.

Na nalanym obliczu przesłaniającym jej zamknięte powieki zagościł wyraz rozmarzenia.

– *Aaach, moja kochana wnuczko* – rzekł – *pragnę tylko paru niewyszukanych przyjemności. Raz na jakiś czas podaruj mi chwilkę kontaktu z twoimi zmysłami. Nikt się nigdy nie dowie. Pozwól mi poczuć jeno drobny okruch twojego życia, kiedy, na przykład, jesteś w objęciach kochanka. Chyba nie żądam zbyt wiele?*

– Nnnie.

– *Doskonale, doskonale.* – Baron zachichotał. – *W zamian, kochana wnuczko, mogę ci służyć na wiele sposobów. Mogę ci doradzać, wspierać opinią. Będiesz niezwyciężona wewnątrz i na zewnątrz. Złamiesz wszelki opór. Historia zapomni o twoim bracie, a ukocha ciebie. Twoja będzie przyszłość.*

– Nie pozwolisz... żeby doszli do głosu ci... pozostali?

– *Nie dadzą nam rady! Pojedynczo jesteśmy do pokonania, ale razem będziemy górą. Zademonstruję ci. Słuchaj.*

I baron zamilkł, wycofując swój obraz, swą wewnętrzną obecność. Ani jedna pamięć, twarz czy głos innych istnień nie zakłóciły ciszy.

Alia pozwoliła sobie na przeciągłe westchnienie. Westchnieniu towarzyszyła myśl. Wtargnęła do jej świadomości, jak gdyby była jej, lecz Alia wyczuła w niej podszepty niemych głosów.

– *Stary baron był zły. Zamordował twojego ojca. Zabilby też ciebie i Paula. Próbował, ale mu się nie udało.*

Doszedł do niej głos barona bez twarzy.

– *Oczywiście, że bym cię zabił. Czyż nie stałaś mi na drodze? Ale ten spór się zakończył. Ty go wygrałaś, dziewczynko! Ty jesteś nową prawdą.*

Bezwiednie kiwnęła głową, trąc policzkiem o szorstką powierzchnię ławki. „Jego słowa brzmią rozsądnie” – pomyślała. Zdrowy rozsądek w słowach barona wspierała reguła Bene Gesserit: „Istotą sporu jest zmiana istoty prawdy”.

„Tak... to jest w duchu Bene Gesserit” – przyznała.

– *Oczywiście! – zahuczał baron. – I to ty żyjesz, a ja jestem martwy. Mam jedynie namiastkę istnienia. Jestem tylko mnemobytem w twojej głowie. Pozostaję na twoje rozkazy. I jakże niewiele żądam za mądre rady, które mam na podorędziu.*

– Co mi poradzisz teraz? – rzuciła na próbę.

– *Gryziesz się wyrokiem z wczorajszego wieczoru. Zastanawiasz się, czy nie wypaczono słów Pajmona. Być może Dżawid dostrzegł w Pajmonie zagrożenie dla swej pozycji zausznika. Nęka cię taka wątpliwość?*

– Taaak.

– *A twoja wątpliwość opiera się na wnikliwej obserwacji, nieprawdaż? Dżawid zachowuje się wobec ciebie coraz bardziej poufale. Nawet Duncan to zauważył, mam rację?*

– Wiesz, że tak.

– *Zatem do rzeczy. Weź Dżawida za kochanka i...*

– Nie!

– *Przejmujesz się Duncanem? Przecież twój małżonek jest mentatem i mistykiem. Nic, co dotyczy ciała, nie może go ani dosięgnąć, ani zranić. Nie czujesz niekiedy, jak bardzo odsunął się od ciebie?*

– Ale on...

– *Mentacka część Duncana zrozumie, o ile w ogóle musi się dowiedzieć, jak zniszczysz Dżawida.*

– Zniszczę...

– *Oczywiście! Można używać niebezpiecznych narzędzi, ale należy się ich pozbyć, gdy stają się zbyt niebezpieczne.*

– Więc... dlaczego mam... to znaczy...

– *Aaach, ty głupiutka gąsko! Z powodu wartości zawartej w lekcji.*

– Nie rozumiem.

– *Probierzem wartości, kochana wnuczko, jest ich sukces. Posłuszeństwo Dżawida musi być bezwarunkowe, poddanie się twojej władzy absolutne, a jego...*

– *Moralność tej lekcji umyka...*

– *Nie bądź niemądra, wnuczko! Moralność musi się zawsze opierać na użyteczności. „Oddajcie cesarzowi” i takie tam bla-bla. Zwycięstwo jest nic niewarte, jeśli nie zaspokaja najgłębszych pragnień człowieka. A chyba przyznasz, że pociąga cię męskość Dżawida?*

Alia przełknęła ślinę, nieskora się przyznać, jednak czując się kompletnie naga przed wewnętrznym podglądaczem, nie miała wyboru.

– *Taaak.*

– *Brawo!* – Słowo radośnie zahuczało jej w głowie. – *Już zaczynamy się rozumieć. Otóż kiedy będzie leżał z tobą w łóżku, bezbronny, przekonany, że to ty jesteś niewolnicą, zapytaj go o Pajmona. Ma to być żart: kupa śmiechu we dwoje. A gdy przyzna się do kłamstwa, wsadź mu krysnóż między żebra. Aaach, struga krwi sprawia tyle dodatkowej satys...*

– *Nie* – szepnęła, ze wstrętu czując suchość w ustach. – *Nie... nie... nie...*

– *W takim razie zrobię to za ciebie* – nalegał baron. – *Trzeba to zrobić, sama przyznasz. Wystarczy, że przygotujesz sytuację, ja zaś na chwilę przejmę kontrolę nad...*

– *Nie!*

– *Twój strach jest aż nadto oczywisty, wnuczko. Moja kontrola nad twoimi zmysłami może być jedynie chwilowa. Są tacy, zgoda, którzy potrafiliby naśladować cię tak doskonale, że... Ale wiesz o tym. Co do mnie, aaach, ludzie natychmiast wykryliby moją obecność. Znasz fremeńskie prawo dotyczące opętanych. Zabiliby cię od ręki. Tak... nawet ciebie. A wiesz, że nie pragnę, by tak się stało. Zajmę się Dżawidem za ciebie i po wszystkim się usunę. Ty musisz tylko...*

– *Co daje ta twoja dobra rada?*

– *Uwalnia cię od niebezpiecznego narzędzia. No i, dziewczynko, ustanawia naszą owocną współpracę, współpracę, która przynajmniej dobrze nauczy cię wydawania wyroków, żebyś...*

– *Nauczy mnie?*

– *Oczywiście!*

Alia zakryła oczy dłońmi, próbując zebrać myśli; wiedziała, że ten demon może znać każdą jej myśl, że może zrodzić w niej myśl, którą ona weźmie za własną.

– *Niepotrzebnie się gryziesz – pocieszył ją baron. – A wracając do tego wieśniaka Pajmona, on był...*

– *Źle zrobiłam. Byłam zmęczona i postąpiłam pochopnie. Winnam się była postarać o potwierdzenie...*

– *Dobrze zrobiłaś! Twoje wyroki nie mogą się opierać na tak idiotycznej teorii jak owo atrydzkie pojęcie równości. To ono spędza ci sen z powiek, nie śmierć Pajmona. Powzięłaś słuszną decyzję! Pajmon był jeszcze jednym niebezpiecznym narzędziem. Działałaś w obronie porządku w twoim społeczeństwie. Oto, co jest moralnym uzasadnieniem wyroków, a nie te mrzonki o sprawiedliwości. Taki dziwoląg jak równość wobec sprawiedliwości nigdzie nie istnieje. Próba realizacji takiej nienaturalnej równowagi wywraca społeczeństwo.*

Obrona jej wyroku na Pajmona sprawiła Alii przyjemność, ale wstrząsnęła nią amoralność założeń przyjętych w tym wywodzie.

– *Równość wobec sprawiedliwości była atrydką... była...* – Odjęła dłonie od oczu, ale nie otworzyła powiek.

– *Trzeba przestrzec wszystkich twoich sędziów kapłanów przed tym błędem – zadudnił baron. – Istotą orzeczeń sądowych musi być wyłącznie utrzymanie społecznej dyscypliny. Mnóstwo cywilizacji poszło na dno, rozbiwszy się na skałach równej sprawiedliwości. Ten idiotyzm burzy daleko ważniejsze, naturalne hierarchie. Jednostka nabiera znaczenia jedynie w relacji do ogółu społeczeństwa. Jeśli społeczeństwo to nie jest uporządkowane według logicznej hierarchii, nikt nie znajduje w nim swojego miejsca... ni najpodlejsi, ni najmożniejsi. Weź się w garść, wnuczko! Musisz być surową matką dla swoich poddanych. Twoim obowiązkiem jest utrzymanie ładu.*

– *Wszystko, co zrobił Paul, zrobił dla...*

– *Twój brat nie żyje, przegrał!*

– *Ty też!*

– *To prawda... ale ja uległem nie z własnej winy. Mniejsza o mnie, zamknijmy sprawę Dżawida tak, jak ci przedstawiłem.*

Poczuła, że robi jej się gorąco.

– *Muszę to sobie przemyśleć – powiedziała szybko.*

„Jeśli już, to tylko żeby nauczyć Dżawida moresu – myślała. – Nie trzeba go od razu zabijać. A dureń może się rzeczywiście wygadać... w moim łóżku”.

– *Z kim rozmawiasz, moja pani?*

Skołowanej Alii przez chwilę wydawało się, że to jeszcze jeden natręt z wewnętrznego tłumu krzykaczy, ale rozpoznała głos i otworzyła oczy.

Stojąca przed ławką przywódczyni jej amazonek, Zajanka Valefor, miała zatroskaną minę.

– Rozmawiam z moimi wewnętrznymi głosami – odparła Alia, siadając.

Czuła się rześko i było jej rażniej na duchu po ustaniu nieznosnej wewnętrznej wrzawy.

– Z głosami, moja pani. Rozumiem.

Zajanka przyjęła wyjaśnienie z błyskiem w oczach. Wszyscy wiedzieli, że święta Alia korzysta z sił ducha niedostępnych jakimukolwiek innemu człowiekowi.

– Przyprowadź Dżawida do mojej kwatery – powiedziała Alia. – Muszę z nim wyjaśnić pewną ważną sprawę.

– Do twojej kwatery, moja pani?

– Tak! Do mojej prywatnej komnaty.

– Wedle rozkazu, moja pani. – Amazonka ruszyła wykonać polecenie.

– Chwileczkę – zatrzymała ją Alia. – Czy milord Idaho udał się już do siczy Tabr?

– Tak, moja pani. Odleciał przed świtem, jak pani przykazała. Mam wezwać...?

– Nie. Sama dam sobie radę. I jeszcze jedno, Zaja. Nikt nie może się dowiedzieć o wizycie Dżawida u mnie. Doprowadź go osobiście. To bardzo ważne.

Amazonka dotknęła krysnoża za pasem.

– Czy coś zagraża...?

– Tak, coś nam zagraża, a Dżawid może tkwić w tym po uszy.

– Och, moja pani, może bym wzięła ze sobą...

– Zaja! Uważasz, że nie poradzę sobie z kimś takim?

Wilczy uśmiech pojawił się na ustach amazonki.

– Wybacz, moja pani. Zaraz doprowadzę go do twojej komnaty, ale... za pozwoleniem mojej pani, stanę na straży pod drzwiami.

– Tylko ty – powiedziała Alia.

– Tak jest, moja pani. Bez zwłoki.

Alia pokiwała głową, odprowadzając Zajankę wzrokiem. Zatem Dżawid nie cieszy się nadmierną sympatią jej straży przybocznej. Kolejny punkt na jego niekorzyść. Ale wciąż jest cenny... bardzo cenny. Jest kluczem do Dżakurutu, a z Dżakurutu, no cóż...

– Chyba miałeś rację, baronie – szepnęła.
– *Sama widzisz!* – Głos w niej zarechotał. – *Aaach, miło będzie ci służyć, dziewczynko, a to dopiero początek...*



Skuteczna religia musi szerzyć następujące iluzje popularnej historii: złym ludziom nigdy się nie szczęści; jeno dzielni zasługują na hurysy; uczciwość popłaca; czyny przemawiają głośniej niż słowa; cnota zawsze triumfuje; dobry uczynek sam w sobie jest nagrodą; każdego złego człowieka da się zmienić na lepsze; religijne talizmany chronią przed opętaniem przez demona; jedynie kobiety znają starożytne tajemnice; bogacze są skazani na niedolę...

– z *Podręcznego przewodnika Missionaria Protectiva*

– Jestem Muriz – oznajmił żyłasty Fremen.

Siedział na głazie w blasku przyprawowej lampy, której migotliwe światło ukazywało zawilgłe ściany i ciemne wyloty korytarzy odchodzących z jaskiniowej komory. W głębi jednego z nich słyszeć było kapanie wody, a chociaż wodna muzyka jest symbolem fremeńskiego raju, rytmiczne kapanie nie brzmiało mile w uszach sześciu spętanych mężczyzn naprzeciwko Muriza. Komorę przenikał zatechły fetor alembiku śmierci.

Wyrostek wyglądający na jakieś czternaście standardowych lat wyszedł z jednego z korytarzy i stanął po lewej ręce Muriza. Bładożółty odbłask przyprawowej lampy załśnił na uniesionym ostrzu krysnoża, które chłopak kolejno wymierzył w każdego ze spętanej szóstki.

– To mój syn, Assan Tarik, który przystępuje do próby inicjacji. – Muriz wskazał wyrostka.

Odchrząknął i popatrzył po kolei na jeńców. Siedzieli naprzeciw niego szerokim półkolem, mocno skrępowani sznurami z przyprawowego włókna; mieli skrzyżowane nogi i ręce za plecami. Więzy kończyły się pętlą zaciągniętą na gardle. Wszystkim obcięto filtraki pod szyją.

Spętani wpatrywali się w Muriza bez zmrużenia oka. Luźne, obcoświatowe szaty dwóch mężczyzn zdradzały zamożnych mieszkańców stołecznego Arrakin. Mieli gładszą i jaśniejszą cerę niż ich towarzysze, których karbowane rysy i kościste sylwetki świadczyły, że są dziećmi pustyni.

Muriz ich przypominał, jedynie oczy bez białek miał głębiej osadzone, jak ciemnice, do których nie docierał nawet blask przyprawówki. Syn sprawiał wrażenie niedorośniętej kopii ojca, tylko spod obojętnej miny wyzierało rozsadzające go podniecenie.

– My, Wygnańcy, mamy swoisty sprawdzian dorosłości mężczyzny – podjął Muriz z monotonną rytualną intonacją. – Pewnego dnia syn mój zostanie sędzią Szulochu. Musimy wiedzieć, że potrafi postępować jak trzeba. Nasi sędziowie nie mogą zapomnieć o Dżakurutu i dniu naszej rozpaczki. Kralizek, Tajfun Walki, ożywia nasze serca.

Jeden z gładkoliczych mieszczan szarpnął się w powrozach.

– Źle czynisz, grożąc nam i trzymając nas w pętach. Przybyliśmy w pokojowych intencjach ummy.

Muriz kiwnął głową.

– Przyszlście szukać przebudzenia religijnego? Dobrze. Będziecie mieli to swoje przebudzenie.

– Gdybyśmy... – zaczął gładkolicy.

– Milcz, głupcze! – rzekł jego śniady towarzysz. – To wodokradzy. Ci, których, jak nam się zdawało, zmiotliśmy z powierzchni pustyni.

– Stara przypowieść – powiedział gładkolicy.

– Dżakurutu to więcej niż przypowieść. – Muriz ponownie wskazał syna. – Przedstawiłem wam Assana Tarika. Ja tu jestem arifem, waszym jedynym sędzią. Mój syn też nauczy się wykrywać demony. Stare zwyczaje są najlepsze.

– Dlatego udaliśmy się na pustynię – zapewnił gładkolicy. – Wybraliśmy stary zwyczaj wędrowki po...

– Z płatnymi przewodnikami. – Muriz wskazał na smaglejszych jeńców. – Kupujecie sobie wstęp do raju? – Podniósł wzrok na syna. – Assan, jesteś gotowy?

– Wciąż myślę o tamtej nocy, kiedy zjawili się obcy i zabili naszych ludzi – odparł chłopak. – Są nam dłużni wodę.

– Ojciec daje ci sześciu z nich – rzekł Muriz. – Ich woda jest nasza. Ich cienie są twoje, twoje anioły stróże po wsze czasy. Ich cienie ustrzegą cię od demonów. Będą twoimi niewolnikami, gdy przejdiesz do Alam al-Mithal. Co ty na to, mój synu?

– Dziękuję mojemu ojcu. – Assan postąpił mały krok do przodu. – Przyjmuję dorosłość pośród Wygnańców. Ta woda jest naszą wodą.

Po ostatnim słowie podszedł do jeńców. Zaczawszy od pierwszego z lewej, łapał ich za włosy i wbijał krysnóż przez podgardle do mózgu. Robił to zręcznie, upuszczając możliwie najmniej krwi. Zaprotestował tylko gładkolicy Fremen z miasta, wrzeszcząc, gdy wyrostek chwycił go za włosy. Pozostali starym zwyczajem splunęli na Assana Tarika, co znaczyło: „Widzisz, jak mało cenię moją wodę, gdy ją biorą zwierzęta!”

Kiedy było po wszystkim, Muriz klasnął. Wkroczyła obsługa alembiku śmierci, zabierano zwłoki do odwodnienia. Muriz powstał i spojrzał na syna, który głęboko oddychał, przyglądając się wynoszeniu trupów.

– Teraz jesteś dorosłym mężczyzną – rzekł Fremen. – Wodą naszych wrogów napoimy niewolników. Ale, synu mój...

Assan Tarik obrócił bystre, drapieżne spojrzenie na ojca. Na zaciśniętych wargach chłopaka błąkał się uśmiešek.

– Kaznodzieja nie może się o tym dowiedzieć – dokończył Muriz.

– Rozumiem, ojciec.

– Dobrze się spisałeś. Ci, którzy się natkną na Szuloch, muszą umrzeć.

– Tak jest, ojciec.

– Powierzono ci odpowiedzialne zadania – powiedział Muriz. – Jestem z ciebie dumny.



Człowiek cywilizowany może się stać prymitywny. W istocie oznacza to, że styl ludzkiego życia jest zmienny. Wraz ze zmianą starych wartości człowiek staje się związany z krajobrazem, z roślinami i zwierzętami. Nowa egzystencja wymaga praktycznej znajomości owej sieci wielorakich, naprzemiennie powiązanych zdarzeń, określanych zazwyczaj mianem przyrody. Wymaga też pewnej dozy szacunku dla siły bezwładności w tego rodzaju naturalnych systemach. Kiedy człowiek nabywa tej praktycznej znajomości i szacunku, nazywa się to „byciem prymitywnym”. Odwrotność, oczywiście, jest równie prawdziwa: ludzie prymitywni mogą się stać cywilizowani, jednak nie bez przyzwolenia na fatalne okaleczenie psychiki.

– *Komentarze Leto według Harka al-Ady*

– Skąd możemy mieć pewność? – zapytała Ganim. – To bardzo niebezpieczne.

– Próbowaliśmy już tego – odparł Leto.

– Tym razem może być inaczej. A jeśli...

– Nie ma dla nas innej drogi – przerwał jej Leto. – Przyznasz, że nie możemy pójść drogą przyprawy.

Ganima westchnęła. Nie podobały jej się zapalczywe słowa brata, ale знаła konieczność, którą coraz silniej odczuwał. Znała też przerażający powód ich oporów. Wystarczyło spojrzeć na Alię, żeby zobaczyć niebezpieczeństwa tego wewnętrznego świata.

– No więc? – ponaglił ją Leto.

Ponownie westchnęła.

Siedzieli ze skrzyżowanymi nogami w jednym ze swoich ustroni – przed otworem jaskini wychodzącym na skraj urwiska, skąd ich matka z ojcem często oglądali zachód słońca nad blechem. Były dwie godziny po wieczornym posiłku, pora, w której bliźnięta miały się oddawać ćwiczeniom ciała i umysłu. Wybrały gimnastykę umysłu.

– Spróbuję sam, jeśli odmówisz mi pomocy – powiedział.

Ganima przeniosła z niego wzrok na czarne zasłony grodzi chroniące otwór w skale. Leto nie odrywał oczu od pustyni.

Od pewnego czasu rozmawiali w pradawnym języku, tak starym, że nikt już nawet nie znał jego nazwy. I nikt nie przeniknąłby tajemnicy, jaką język ten okrywał ich myśli. Nawet Alia, wystrzegająca się manowców swego wewnętrznego świata, nie miała synaps pamięci, które pozwoliłyby jej wychwycić coś więcej niż pojedyncze słowo.

Leto wciągał z głębokim oddechem charakterystyczny, gęsty odór jaskiniowej siczy, zalegający w tej zacisznej wnęce. Brak szmerzącego gwaru siczy i jej parnej duchoty przynosił obojgu ulgę.

– Przyznaję, że potrzebujemy przewodnictwa – odezwała się Ganima. – Ale gdybyśmy...

– Gani! Potrzebujemy więcej niż przewodnictwa. Potrzebujemy ochrony.

– Może nie ma ochrony.

Spojrzawszy bratu prosto w oczy, zobaczyła w nich znajomy wyraz napiętej uwagi, jak u drapieżcy. Oczy zadawały kłam łagodności rysów twarzy Leto.

– Trzeba uniknąć opętania – powiedział.

Użył wyjątkowego infinitiwu starożytnej mowy, formy o niedookreślonej stronie i czasie, ale o głębokich implikacjach strony czynnej.

Ganima bezbłędnie zinterpretowała jego argument.

– *Mohw'pwium d'mi hish pash moh'm ka* – zaintonowała. „Porwanie mej duszy to porwanie dusz tysięcy”.

– Znacznie więcej.

– I obstajesz przy tym, znając niebezpieczeństwa – ni to spytała, ni stwierdziła.

– *Wabun 'k wabunat!* – odparł. „Wstając, powstałeś”.

Traktował swoją decyzję jako oczywistą konieczność. Najlepszą obroną jest atak. Musi przewinąć przeszłość do teraźniejszości i pozwolić jej rozwinąć się w przyszłość.

– *Muriyat* – ustąpiła. „Najlepszą obroną jest miłość”.

– Oczywiście. – W szerokim geście zamknął swą absolutną zgodę. – Potem się naradzimy, tak jak naradzali się nasi rodzice.

Ganima w milczeniu próbowała przełknąć grudę tkwiącą w gardle. Odruchowo spojrzała na południe, w dal wielkiego ergu, który niewyraźnym deseniem szarych wydm majaczył o zmierzchu. Tam odszedł ich ojciec w swojej ostatniej pustynnej wędrówce.

Leto patrzył z krawędzi urwiska w dół, na zieloność siczowej oazy. Ginęła w półmroku, lecz on znał wszystkie jej kształty i kolory: drzewa w kwiatkach barwy rudobrazowej, złotej, czerwonej, żółtej, sjeny i umbry rosły aż po skalne graniczniki wyznaczające kres obszaru nawadnianego wodą kanatu. Za granicznikami ciągnął się smrodliwy pas martwicy arrakańskiej przyrody, którą zabiły obce rośliny i nadmiar wody, tworząc rubież obrony przed pustynią.

– Jestem gotowa – powiedziała po chwili Ganima. – Zaczynamy.

– Tak, do wszystkich demonów! – Wyciągnawszy rękę, pogłaskał siostrę po ramieniu, żeby złagodzić swój wybuch. – Proszę, Gani... zaśpiewaj tę piosenkę. Z nią mi łatwiej.

Ganima przytuliła się do brata, opasała go lewym ramieniem i odchrząknawszy, podjęła czystym, ciekim głosem piosnkę, którą matka często śpiewała ojcu:

*Oto splacam twoje śluby,
Obmywam cię w słodkiej wodzie.
W tym zaciszu górą będzie życie:
Zamieszkas w pałacu, mój luby,
Nicość pochłonie twych wrogów.
Razem idziemy szlakiem,
Jaki wytycza ci miłość.
Ja śmiało wskazuję drogę,*

Bo palacem twym jest moja miłość.

Głos Ganimy zatonął w pustynnej ciszy, którą zakłócić potrafi byle szmer, i Leto poczuł, jak się pogrąża, pogrąża – staje ojcem, którego wspomnienia nawarstwiły mu się w genach na niedawnej przeszłości.

„Przez krótki czas muszę być Paulem – powiedział sobie w duchu. – To nie Gani jest przy mnie, to moja ukochana Chani, której mądra rada wyrwała nas z niejednego potrzasku”.

Ganima z kolei wśliznęła się w mnemoosobowość matki z napawającą lękiem łatwością, tak jak się spodziewała. Dużo łatwiejsze to było dla kobiety – i dużo niebezpieczniejsze.

– Zobacz, kochanie! – rzekła głosem, który nagle stał się gardłowy.

Wszedł pierwszy księżyc i na tle jego zimnej poświaty ujrzeli pomarańczowy łuk ognia wzlatującego w przestrzeń. Transportowiec, który wysadził lady Jessikę, wyładowany przyprawą, wracał do macierzystej jednostki na orbicie. Z głębi pamięci Leto wychynęły wspomnienia, wyraźne i ostre niczym dźwięki dzwonu. Przez mgnienie oka był drugim Leto – księciem Jessiki. Z konieczności odepchnął te wspomnienia, ale zdążyły przepełnić go miłością i bólem.

„Muszę być Paulem” – powtórzył w duchu.

Przemiana objęła go zatrważającą dwoistością, jak gdyby stał się czarnym ekranem, na którym wyświetlił się jego ojciec. Poczuł, że tkwi zarówno w ciele ojca, jak i w swoim, a migawkowe różnice groziły mu paralizem.

– Pomóż mi, ojcie – wyszeptał.

Migawkowy młynek zatrzymał się, ustąpił miejsca innej odbitce na świadomości Leto, podczas gdy jego tożsamość stanęła z boku jako obserwator.

– Moja ostatnia wizja jeszcze się nie wypełniła – powiedział już głosem Paula. Zwrócił się do Ganimy. – Wiesz, co widziałem.

Pogłaskała go po policzku.

– Czy odszedłeś na pustynię, by umrzeć, kochany? Właśnie po to?

– Może i po to, jednak ta wizja... Czy nie byłaby dostatecznym powodem, by pozostać przy życiu?

– Ale ślepy?

– Mimo wszystko.

– Dokąd mogłeś pójść?

Zadrzał, wciągając głęboko powietrze.

– Do Dżakurutu.
– Kochany! – Łzy stoczyły się jej po policzkach.
– Muad’Diba, bohatera, trzeba zniszczyć do szczeru – rzekł. –
W przeciwnym razie to dziecko nie zdoła wyprowadzić nas z chaosu.
– Złoty Szlak – powiedziała. – To niedobra wizja.
– Jedyna możliwa.
– Więc Alia zawiodła...
– Całkowicie. Widzisz oznaki.
– Twoja matka wróciła za późno. – Ganima pokiwała głową, a na jej dziecinnej buzi pojawiła się rezerwowana mina Chani. – Czy naprawdę nie ma innej wizji?
– Nie, kochana. Jeszcze nie. Ten dzieciak nie może jeszcze zajrzeć w przyszłość i powrócić cało.
Ponownie zadrżał przy głębokim wdechu i obserwator Leto poczuł, jak ojciec strasznie pragnie żyć raz jeszcze w pełnokrwistym ciele, podejmować istotne decyzje i... jak rozpaczliwie rwie się do naprawiania popełnionych błędów!
– Tato! – krzyknął Leto, jak gdyby wołał pod sklepieniem odpowiadającej echem własnej czaszki.
To, co następnie poczuł, było najwyższym aktem woli: powolny, oporny odwrót wewnętrznej obecności ojca, zrzeczenie się zmysłów i mięśni.
– Kochany – szeptał Chani u jego boku spowolnił ten odwrót – co się dzieje?
– Nie odchodź jeszcze. – Leto odzyskał głos, chrapliwy i niepewny, ale własny. – Chani, musisz nam powiedzieć, jak mamy uniknąć tego... tego, co spotkało Alię?
Jednak to tkwiący w nim Paul odpowiedział mu rwącymi się słowami, które trafiały do jego wewnętrznego ucha po długich chwilach ciszy.
– Nie ma pewności. Ty... widziałeś... co prawie... wydarzyło się... ze... mną.
– Lecz Alia...
– Alię dopadł ten cholerny baron!
Leto piekło zaschnięte gardło.
– Czy on...? Czy ja...?
– On jest w tobie... ale... ja... my nie możemy... chwilami wyczuwamy... się nawzajem, lecz ty...

– Nie możesz czytać moich myśli? – zapytał Leto. – A wiesz może, czy on...?

– Niekiedy wyczuwam twoje myśli... ale ja... my żyjemy tylko... jako... odbicie... twojej świadomości. Twoja pamięć nas stwarza. Co jest niebezpieczne... to akuraterna pamięć. I... ci z nas... ci ogarnięci żądzą władzy... którzy dążyli do niej... po trupach... ci mogą być... akuratniejsi.

– Silniejsi? – szepnął Leto.

– Silniejsi.

– Znam twoją wizję – powiedział Leto. – Nie poddam się baronowi, prędzej stanę się tobą.

– Ani się waż!

Leto skinął głową, pojmując, jak ogromnej siły woli potrzebował ojciec, żeby się wycofać, i jakie byłyby skutki, gdyby wola go zawiodła. *Każde* opętanie obraca opętanego w Złego Ducha. To spostrzeżenie dało mu świeże poczucie siły, nienaturalnie ostre doznanie własnego ciała i płynącą z jego głębi świadomość starych błędów: własnych i przodków. To niepewność jest źródłem słabości – teraz już wiedział. Przez chwilę pokusa walczyła w nim ze strachem. Jego ciało ma zdolność przemiany melanżu w wizję przyszłości. Za pomocą przyprawy mógłby otworzyć przyszłość, zerwać zasłony czasu. Nie mogąc zwalczyć pokusy, splótł palce i pogрузił się w transie prana i bindu. Ciało było niewrażliwe na pokusę. Ciało było pełne wiedzy, którą Paul okupił krwią. Odkrywcy przyszłości liczyli na wygranie zakładu w jutrzejszej gonitwie. Tymczasem znajdowali się w pułapce życia, którego każda radość i każdy smutek są z góry znane. Ostatnia wizja Paula wskazywała ryzykowne wyjście z tej pułapki i Leto już wiedział, że nie ma wyboru. Musiał podążać tą drogą.

– Sedno radości życia, jego piękna, tkwi w tym, że życie może nas zaskakiwać – rzekł.

Czuły głos wyszeptał mu do ucha:

– Dla mnie życie zawsze było piękne.

Leto obrócił głowę i popatrzył Ganimie w połyskujące w blasku księżyca oczy. Napotkał w nich spojrzenie Chani.

– Matko – powiedział – musisz odejść.

– Aaach, cóż to za pokusa. – Cmoknęła go w policzek.

Odepchnął ją.

– Chcesz odebrać córce życie? – zapytał.

– To takie proste... dziecinnie proste – odparła.

Czując, że wpada w panikę, Leto przypomniał sobie, na jak ogromny wysiłek woli musiał się zdobyć mnemobyt ojca, aby ustąpić z ciała. Czyżby Ganima przepadła w tym samym świecie-observatorium, w którym on patrzył i słuchał ojca, dowiadując się ważnych prawd?

– Będę gardził tobą, matko – oznajmił.

– Inni nie będą mną gardzili – stwierdziła. – Stań się moim ukochanym.

– Jeśli to zrobię... wiesz, czym się obie staniecie. Mój ojciec będzie tobą gardził.

– Przenigdy!

– Będę!

Słowo to bez udziału jego woli wyrwało mu się z gardła, rozbrzmiewając dawnym bogactwem alikwotów Głosu, którego Paul nauczył się od swojej matki czarownicy.

– Nie mów tak – jęknęła.

– Będę tobą gardził!

– Proszę... proszę, nie mów tak.

Leto rozmasował sobie krtani. Poczuł, że jej mięśnie ponownie należą do niego.

– On będzie tobą gardził. Odwróci się od ciebie. Jeszcze raz odejdzie na pustynię.

– Nie... nie...

Ganima pokręciła głową.

– Musisz odejść, matko – powtórzył.

– Nie... nie...

Jednak w jej głosie brakowało początkowej siły.

Leto przyglądał się twarzy siostry. Jeden wielki grymas! Ciałem targały emocje rozpetane przez wewnętrzną burzę.

– Odejdź – wyszeptał. – Odejdź.

– Nieee...

Chwyciwszy ją za ramię, wyczuł pulsowanie mięśni, wibracje nerwów. Wiła się i szarpała, lecz trzymał ją mocno.

– Odejdź... odejdź... – szeptał raz za razem.

I cały czas wyrzucał sobie, że wciągnął Ganimę do tej psychozabawy w rodziców, której do niedawna często się oddawali, a której ona ostatnio się sprzeciwiała. Zdał sobie sprawę, że kobiety są rzeczywiście mniej odporne na ten wewnętrzny atak. Stąd brał się lęk Bene Gesserit.

Minęły godziny, a ciałem Ganimy nadal wstrząsały dreszcze wewnętrznej batalii, jednak głos siostry już się włączył do sporu. Słyszał słowa kierowane do wewnętrznego imago, jej błagania.

– Matko... proszę... – I w pewnej chwili: – Widziałaś Alię! Chcesz być drugą Alią?

Wreszcie Ganimi osunęła się na niego.

– Pogodziła się z tym – wyszeptała. – Odeszła.

Pogłaskała siostrę po głowie.

– Przepraszam, Gani. Przepraszam. Nigdy już nie poproszę cię o to. Byłem samolubem. Wybacz mi.

– Nie ma czego wybaczać. – Dyszała jak po wielkim wysiłku. – Musieliśmy się tego dowiedzieć.

– Powiedziała ci wiele rzeczy. Podzielimy się tym później, kiedy...

– Nie! Zrobimy to teraz. Miałaś rację.

– Mój Złoty Szlak?

– Twój przeklęty Złoty Szlak!

– Logika jest bezużyteczna, dopóki nie zasilą jej podstawowe dane – zauważył. – Ale ja...

– Babka wróciła, żeby pokierować naszą edukacją i żeby się przekonać, czy zostaliśmy... skażeni.

– Tak twierdzi Duncan. Nie ma nic nowego w...

– Prymarna kalkulacja – powiedziała silniejszym już głosem.

Odsunawszy się od niego, popatrzyła na pustynię zastygłą w ciszy przedświt. Ta walka... ta wiedza kosztowała ich całą noc. Królewscy gwardziści za grodzią wilgoci musieli się sporo natłumaczyć. Leto nakazał, żeby jemu i siostrze nie przeszkadzano.

– Ludzie z wiekiem nabywają trafności sądów – powiedział. – Czego my nabywamy z całą tą wiekowością do dyspozycji?

– Świat, jaki widzimy, nigdy nie jest dokładnie taki jak świat fizyczny – odparła. – Nie wolno nam postrzegać naszej babki tylko jako naszej babki.

– To by było niebezpieczne – zgodził się Leto. – Ale moje pyta...

– Istnieje coś więcej niż trafność sądu – wtrąciła Ganimi. – Musimy mieć jakiś obszar świadomości do postrzegania tego, czego nie potrafimy sobie wykombinować. Dlatego... matka często mówiła mi o Jessice. Poprzednim razem, kiedy oboje oddaliśmy się tej wewnętrznej podmianie, opowiedziała mi wiele rzeczy. – Westchnęła.

– Wiemy, że jest naszą babką – rzekł. – Wczoraj przebywałaś z nią wiele godzin. Czy dlatego...

– Jeśli do tego dopuścimy, ta wiedza określi nasze zachowanie wobec niej. Właśnie przed tym wciąż ostrzegała mnie matka. Raz przytoczyła słowa babki i – Ganimie dotknęła jego ramienia – usłyszałam, jak wewnętrzne echo odpowiedziało głosem Jessiki.

– Ostrzegała cię – powtórzył Leto. Myślał o tym z niepokojem. Czy nie było nic pewnego na tym świecie?

– „Najfatalniejsze pomyłki biorą się z nieaktualnych założeń”. To właśnie matka wciąż cytowała.

– To czysty benegesserityzm.

– Gdyby... gdyby Jessika bez reszty wróciła do zgromadzenia...

– Byłoby to dla nas bardzo niebezpieczne – dokończył myśl. – W naszych żyłach płynie krew ich Kwisatz Haderach: Bene Gesserit płci męskiej.

– One nie zrezygnują z poszukiwań – powiedziała Ganimie – ale mogą zrezygnować z nas. Babka może być ich narzędziem.

– Istnieje inny sposób – rzekł Leto.

– Tak. Skojarzenie... nas dwojga. Ale one wiedzą, że cechy recesywne mogłyby skomplikować tę krzyżówkę.

– Na pewno rozważały taką możliwość.

– Z naszą babką, na dokładkę.

– Nie podoba mi się ten sposób.

– Ani mnie.

– Jednak nie byłby to pierwszy raz, gdy królewski ród spróbował...

– Odrażające.

Wyczuła, jak się wzdrygnął, i zamilkła.

– Moc – powiedział.

Dzięki osobliwej alchemii bliźniaczego podobieństwa wiedziała, dokąd podążał myślą.

– Moc Kwisatz Haderach musi zgasnąć – zgodziła się.

– Ta używana na ich modłę – dodał.

W tej chwili nad pustynią i ich skalną amboną wstał dzień. Przyniósł zaczyn upału. Roślinność u stóp urwiska wystrzeliła kolorami. Szarozielone liście rzuciły spiczaste cienie na podłoże. Łagodne poranne światło srebrzystego słońca Diuny ukazało zazielenioną oazę w kręgu urwisk, pełną złocistych i fioletowych cieni.

Leto wstał i przeciągnął się.

– Zatem Złoty Szlak – powiedziała Ganimi tyleż do siebie, co do brata, wiedząc, że ostatnia wizja ich ojca spotkała się i stopiła ze snami Leto.

Od grodzi wilgoci za nimi doleciał jakiś chrobot i szmer głosów.

Leto powrócił do starożytnego języka.

– *L’ii ani howr samis sm’kwi owr samit sut.*

Przypieczętował tym decyzję, odtąd na dobre zadowoloną w ich świadomości. Dosłownie znaczyło to: „Odprowadzimy się nawzajem do śmiertelności, chociaż tylko jedno może powrócić, by dać temu świadectwo”.

Po chwili Ganimi też wstała i przez grodzie wilgoci wrócili razem do siczy, gdzie poderwali się gwardziści i w marszu formując eskortę, podążyli za bliźniętami do ich kwater. Tego ranka ludzie inaczej ustępowali im drogi, wymieniając spojrzenia z gwardzistami. Samotne spędzanie nocy z pustynią u stóp było starym fremeńskim zwyczajem świętych mędrców. Wszyscy ummowie praktykowali ten rodzaj czuwania. Robił to Paul Muad’Dib... i Alia. Teraz przyszła kolej na królewskie bliźnięta.

Leto zauważył tę zmianę i napomknął o niej siostrze.

– Nie wiedzą, co im zgotowaliśmy – powiedziała. – Nie mają zielonego pojęcia.

– To wymaga najszcześniejszego początku – odparł w ich tajemnym języku.

Ganimi chwilę milczała, zbierając myśli.

– Oplakując jedno z rodzeństwa, trzeba to robić jak najprawdziwiej, aż po budowę grobowca. Serce musi podążyć za snem, inaczej nie będzie przebudzenia.

Było to niezwykle złożone zdanie w pradawnym języku, z użyciem zaimkowego dopełnienia rozłącznego od bezokolicznika. Składnia dopuszczała zwrotność każdej frazy okresu, przybierającego kilka odmiennych znaczeń: określonych i jasnych z osobna, ale subtelnie współzależnych. Jej słowa po części znaczyły tyle, że plan Leto naraża ich na śmierć, a czy prawdziwą, czy udawaną, nie stanowi to żadnej różnicy. Wynikła zmiana będzie jak śmierć, dosłownie: „mord pogrzebowy”. Całość miała dodane znaczenie, wskazujące winnego w tym, które „przeżyło”, by dać świadectwo, to znaczy: „odgrywa rolę żyjącego”. Jeden fałszywy krok z tej strony unicestwi cały plan i Złoty Szlak stanie się ślepym zaułkiem.

– Śliska sprawa – przyznał Leto.

Rozdzielił zasłony i wkroczyli we własne progi. Przerywając na chwilę krzątanie służby, bliźnięta przeszły przez komorę i zniknęły w sklepionym korytarzu wiodącym do kwatery przydzielonej lady Jessice.

– Nie jesteś Ozyrysem – powiedziała Ganim.

– I nie zamierzam być.

Złapała go za ramię, żeby przystanął.

– *Alia darsatay haunus m'smow* – ostrzegła.

Spojrzał jej w oczy. Rzeczywiście, za działaniami Alii ciągnął się smród, co babka musiała zauważyć. Z uznaniem uśmiechnął się do siostry. Łącząc starożytny język z fremeńską przesadnością, sięgnęła po najbardziej fundamentalny plemienny omen: *M'smow* – smród upalnej nocy, zwiastun śmierci w szponach demonów. A Izyda była boginią i demonem śmierci dla ludzi, w których języku właśnie rozmawiali.

– My, Atrydzi, musimy pamiętać, że słyniemy ze śmiałości – powiedział.

– Więc będziemy brać wszystko, czego potrzebujemy.

– Albo to, albo chodzimy po prośbie do własnej regencji – odparł. – Alia byłaby zachwycona.

– Ale nasz plan... – Umilkła, nie dokończywszy zdania.

„Nasz plan” – pomyślał Leto. Tkwiła już w tym po uszy.

– Patrzę na nasz plan jak na znój szadufa – rzekł.

Ganima zerknęła w kierunku komory, z której wyszli i z której dolatywały gęste, poranne zapachy – aura wiecznego początku. Podobało jej się to, jak Leto ujął plan w sekretnym języku. „Znój szadufa”. To było ślubowanie. Nazwał plan trudem rolnika w znaczeniu czarnej roboty: nawożenia, nawadniania, pielienia, flancowania, przycinania – ale z fremeńskim podtekstem, że praca ta jednocześnie odbywa się też w Innym Świecie, gdzie symbolizuje dogłębne bogactwo ducha. Popatrzyła na brata stojącego przed nią w skalnym korytarzu. Coraz wyraźniej dostrzegała dwutorowość jego argumentacji: po pierwsze, za Złotym Szlakiem z wizji jego i ich ojca, i po drugie, za tym, by dała mu wolną rękę w dokonaniu wyjątkowo niebezpiecznej mitologizacji wyłaniającej się z planu. To ją przerażało. Czy wizja Leto kryje coś więcej, czego jej nie zdradził? Czy mógł zobaczyć siebie w deifikowanej najpewniej postaci, która poprowadzi ludzkość do odrodzenia... jaki ojciec, taki syn? Kult Muad'Diba zwyrodniał, podlegając pod nieudolnymi rządami Alii i w nieograniczonym pachcie zbrojnego kapłaństwa wyrosłego na fremeńskiej potędze. Leto pragnął odrodzenia.

„Ukrywa coś przede mną” – skonstatowała Ganim. Odtworzyła w pamięci to, co mówił jej o swoim śnie. Śnił mu się we wszystkich barwach jawy i po przebudzeniu Leto chodził skołowany wiele godzin. Powiedział, że sen nigdy się nie zmienia.

„Stoję na piasku w złotej jasności dnia, chociaż nie ma słońca. Wtem świta mi w głowie, że to ja jestem słońcem. Moje światło kładzie się Złotym Szlakiem. Kiedy dociera to do mnie, wychodzę z siebie. Obracam się, przekonany, że ujrzę siebie w postaci słońca. Ale nie jestem słońcem; jestem pajacykiem z rysunku dziecka, mam zygzaki błyskawic w miejsce oczu, a nogi i ręce jak patyczki. W lewej dłoni dzierżę królewskie berło, i to berło jest prawdziwe – o wiele prawdziwsze w rzeczywistej szczegółowości niż trzymający je pajacyk. Berło się porusza, a to mnie przeraża. I budzi ze snu, choć wiem, że to też mi się śni. I wtedy uzmysławiam sobie, że coś okrywa moją skórę: zbroja, która się porusza wraz z nią. Nie widzę tej zbroi, tylko ją czuję. Wtedy mija mój strach, bo ta zbroja daje mi siłę dziesięciu tysięcy ludzi”.

Ganima wpatrywała się w brata, nie pozwalając mu ruszyć w dalszą drogę do kwatery Jessiki. Chociaż próbował.

– Ten twój Złoty Szlak może być nie lepszy niż jakakolwiek inna droga – powiedziała.

Wyczuwszy ostry nawrót wątpliwości siostry, utkwił wzrok w dzielącym ich skrawku skalnej posadzki.

– Muszę to zrobić.

– Alia jest opętana – stwierdziła. – To samo może spotkać nas. Już mogło nas spotkać, tylko jeszcze tego nie wiemy.

– Nie. – Pokręcił głową i spojrzał siostrze w oczy. – Alia stawiała opór. To dało siłę jej wewnętrznym żywotom. Poległa od własnej siły. My ośmieliliśmy się myszkować w świecie wewnętrznym, odkrywać dawne języki i dawną wiedzę. My już jesteśmy zlepkami tych istnień wewnątrz nas. My nie stawiamy oporu, my płyniemy z nimi. Właśnie tego się dowiedziałem od ojca dzisiejszej nocy. Właśnie tego musiałem się dowiedzieć.

– Nie mówił nic o tym we mnie.

– Ty słuchałaś matki. Tak żeśmy to...

– I omal nie uległam.

– Wciąż jest silna w tobie? – Twarz ściągnął mu lęk.

– Tak... ale sądzę, że teraz strzeże mnie swoją miłością. – Pomyślała o fantomie matki. – Dla mnie matka istnieje obecnie w Alam al-Mithal razem z innymi, lecz skosztowała owocu piekła. Teraz mogę jej słuchać bez lęku. Co do innych...

– Tak – rzekł Leto. – A ja słuchałem ojca, ale myślę, że tak naprawdę słucham rad dziadka, po którym noszę imię. Może mi łatwiej ze względu na nie.

– Radzili ci, żebyś powiedział babce o Złotym Szlaku?

Leto milczał, dopóki nie minął ich posługacz niosący śniadanie dla lady Jessiki. W powietrzu zapachniało mocno świeżym melanzem.

– Ona żyje w nas i we własnym ciele – odparł po chwili. – Może nam dwakroć służyć radą.

– Nie mnie – zaprotestowała Ganima. – Nie zaryzykuję drugi raz.

– W takim razie mnie.

– Myślałam, że się zgodziliśmy, że powróciła do zgromadzenia.

– Jasne. Była Bene Gesserit na początku, sama sobie panią pośrodku i jest Bene Gesserit na koniec. Ale nie zapominaj, że ona ma też w żyłach krew Harkonnenów, i to więcej niż my, i że nie jest jej obca pewna forma tej naszej duchowej wspólnoty.

– Bardzo uboga forma. A ty nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Raczej nie wspomnę o Złotym Szlaku.

– Może ja wspomnę.

– Gani!

– Nie potrzebujemy atrydzkich bogów! Potrzebujemy przestrzeni dla człowieczeństwa!

– Czy kiedykolwiek temu zaprzeczałem?

– Nie.

Z głębokim westchnieniem odwróciła od niego wzrok. Usłyszawszy podniesione głosy, słudzy patrzyli na nich z komory, choć nie rozumieli starożytnych słów.

– Musimy to zrobić – powiedział. – Jeśli zaniechamy działania, równie dobrze możemy nadziać się na własny nóż.

Posłużył się fremeńskim wyrażeniem oznaczającym: „Wylać naszą wodę do plemiennego zbiornika”.

Ganima ponownie zmierzyła brata spojrzeniem. Nie mogła nie przyznać mu racji. Ale poczuła się jak w mnogościennej matni. Oboje wiedzieli, że dzień zapłaty czeka na ich drodze, cokolwiek by zrobili. Ona wiedziała to

z absolutną pewnością czerpaną z pamięciowych jaźni, a teraz lękała się siły, którą sama natchnęła te mnemonady, sięgając po ich przeżycia. Przywarowały w jej świadomości jak harpie, jak upiory istnienia czatujące w zasadzce. Z wyjątkiem matki, która ucieleśniła swą moc, ale się jej wyrzekła. Ganima wciąż była roztrzęsiona po tej wewnętrznej walce, zdając sobie sprawę, że przegrałaby, gdyby nie siła perswazji brata. Leto twierdził, że jego Złoty Szlak wyprowadza z pułapki. Gdyby nie dręczące poczucie, że zataił coś ze swojej wizji, bez wahania uwierzyłaby w jego szczerość. Potrzebował jej twórczej fantazji do udoskonalenia swego planu.

– Poddadzą nas próbie – rzekł Leto, wychodząc naprzeciw jej wątpliwościom.

– Byle nie przyprawy.

– Może i próbie przyprawy. Z pewnością na pustyni, w Ordaliach Opętania.

– Nigdy nie wspomniałeś o Ordaliach Opętania! Czy są w twoim śnie?

Przeklinając wpadkę, usiłował przełknąć ślinę w wyschniętym gardle.

– Tak.

– Więc będziemy... opętani?

– Nie.

Pomyślała o ordaliach – starodawnym fremieńskim sądzie bożym, najczęściej z okropną śmiercią w finale. Plan Leto ma zatem dodatkowe haczyki. Wywiedzie ich na samą grań, skąd nie ma w pojęciu człowieka takiego zejścia, które pozwoli mu pozostać przy zdrowych zmysłach.

Wiedząc, wokół czego krążą jej myśli, Leto powiedział:

– Władza przyciąga psychopatów. Zawsze. Tego właśnie musimy uniknąć w nas samych.

– Na pewno nie będziemy... opętani?

– Nie, jeśli otworzymy Złoty Szlak.

Nie przekonał jej do końca.

– Nie wydam na świat twoich dzieci, Leto – oświadczyła.

Potrząsnął głową i kryjąc własne myśli, przeszedł na dworsko-ceremonialną formę pradażnego języka.

– Siostro moja, kocham cię bardziej niż samego siebie, jednakże to nie jest materią moich pragnień.

– W porządku, wróćmy zatem do jeszcze jednej sprawy, nim staniemy przed babką. Pchnięcie Alii nożem rozwiązałoby większość naszych problemów.

– Jeśli tak sądzisz, to wierzysz w chodzenie po błocie bez zostawiania śladów – rzekł. – Poza tym, kiedy Alia dała komukolwiek taką sposobność?

– Słyszysz się o tym jej Dżawidzie.

– Czy Duncan obnosi się z rogami?

Ganima wzruszyła ramionami.

– „Jedna trucizna, dwie trucizny”.

Było to powszechne określenie królewskiego zwyczaju katalogowania towarzyszy według stopnia zagrożenia z ich strony, cechy wszystkich władców.

– Musimy to zrobić na moją modłę – rzekł.

– Na inną modłę mogłoby być czyściej.

Z jej odpowiedzi wyczytał, że wreszcie pokonała wątpliwości i skłonna jest zgodzić się na jego plan. Przyjął to bez cienia radości. Mimowolnie popatrzył na dłonie, zastanawiając się, czy przylgnie do nich brud.



Tego odkrycia dokonał Muad'Dib: w podprogowej sferze każdej osobowości dopatrzył się banku podświadomych pamięci sięgających wstecz do pierwotnej komórki naszej wspólnej genezy. Każdy z nas, stwierdził, może przemierzyć swoją odległość od tego wspólnego początku. Co pojawiwszy i ujawniwszy, Muad'Dib powziął śmiałą decyzję. Postawił sobie zadanie włączenia genetycznej pamięci do bieżącej oceny. W ten sposób przebił się przez zasłony czasu, łącząc w jedno przyszłość i przeszłość. Stworzony przez Muad'Diba świat ucieleśnił się w jego synu i córce.

– *Testament Arrakis* pióra Harka al-Ady

Farad'n przemierzał ogrody królewskiego pałacu dziadka, obserwując swój cień, coraz krótszy, w miarę jak słońce Salusy Secundusa wspinało się do zenitu. Musiał nieco wyciągać nogi, aby dotrzymać kroku wysokiemu baszarowi.

– Mam wątpliwości, Tajkenik – rzekł. – Och, nie da się zaprzeczyć urokom tronu, ale... – Wziął głęboki oddech. – Tyle jest innych pasjonujących rzeczy.

Tajkenik, świeżo po ostrej sprzeczce z matką Farad'na, zerkał na księcia z ukosa, zauważając, jak bardzo zmęźniał, zbliżywszy się do osiemnastych urodzin. Z każdym dniem coraz mniej było w nim z Wensicji, a coraz więcej

ze starego Szaddama, który przedkładał własne pasje nad królewskie obowiązki. W końcu zapłacił za to utratą tronu, jakżeby inaczej. Stał się zbyt miękki jak na przywódcę.

– Musisz dokonać wyboru – powiedział Tajkenik. – Och, niewątpliwie będzie też czas na jakieś własne zainteresowania, ale...

Farad'n zagryzł dolną wargę. Był tu z obowiązku, a to psuło mu humor. O wiele chętniej wybrałby się do skalistej enklawy, gdzie przeprowadzano doświadczenia z piaskową trocią. To dopiero był program o kolosalnym potencjale: odebrać Atrydom przyprawowy monopol, a wszystko może się zdarzyć.

– Jesteś pewny, że te bliźnięta zostaną... wyeliminowane?

– Absolutnej pewności nie ma, mój książę, ale szanse są nieźle.

Farad'n wzruszył ramionami. Mord stanowił smutną rzeczywistość królewskiego życia. Język pełen był subtelnych rozróżnień sposobów eliminacji ważnych person. Osobnymi słowami określało się truciznę w napoju i truciznę w potrawie. Książę przypuszczał, że atrydzkie bliźnięta zostaną wyeliminowane za pomocą trucizny. Nie była to przyjemna myśl. Z tego, co słyszał, stanowiły nader interesującą parę.

– Czy musielibyśmy się przenieść na Arrakis? – zapytał.

– To najlepszy wybór, stawiający nas w punkcie największego nacisku.

Tajkenik zastanawiał się, o co tak naprawdę chciał zapytać Farad'n, sprawiający wrażenie, jakby unikał jakiegoś tematu.

– Coś mnie gnębi, Tajkenik – powiedział młodzieniec, kiedy minawszy zakręt żywopłotu, zbliżali się do fontanny pośród olbrzymich czarnych róż. Słysząc było ciachnięcie nożyc ogrodniczych za żywopłotami.

– Tak? – rzucił baszar na zachętę.

– Ta, hmm, religia, którą wyznajesz...

– Nic w tym nadzwyczajnego, mój książę. – Tajkenik miał nadzieję, że mówi pewnym głosem. – Ta religia przemawia do mej duszy wojownika. Pasuje do sardaukara.

To przynajmniej była prawda.

– Taaak... Ale matka wydaje się strasznie zadowolona z tego powodu.

„Przekłęta Wensicja! – pomyślał Tajkenik. – Obudziła podejrzliwość syna”.

– Nie obchodzi mnie, co myśli twoja matka – powiedział. – Religia jest prywatną sprawą każdego człowieka. Twoja matka pewnie dostrzega w tym coś, co może pomóc w osadzeniu cię na tronie.

– Tak myślałem.

„Aaach, bystry chłopak!” – przyznał Tajkenik w duchu.

– Przyjrzyj się bliżej tej religii, a od razu zrozumiesz, dlaczego ją wybrałem.

– Ale... nauki Muad'Diba? W końcu był Atrydą.

– Mogę tylko rzec, że niezbadane są wyroki Boga – odparł baszar.

– Rozumiem. Powiedz mi, Tajk, dlaczego zabrałeś mnie na przechadzkę akurat teraz?

Tajkenik zatrzymał się przy kamiennej ławce naprzeciwko fontanny osłoniętej ścianą olbrzymich róż. Uspokajał go plusk wody; nie odrywał od niej oczu.

– Mój księżę, zrobiłem coś, co może się nie spodobać twojej matce.

„Jeśli on mi uwierzy, ten jej cholerny podstęp się uda – myślał, niemal życząc Wensicji niepowodzenia. – Żeby sprowadzać tu tego zatraconego Kaznodzieję. Ta kobieta oszalała! A jaki wydatek!”

Tajkenik milczał i czekał.

– No dobrze, Tajk, coś ty zrobił? – zapytał Farad'n.

– Sprowadziłem mistrza oneirokrytyki.

Księżę obrzucił swego towarzysza bacnym spojrzeniem. Niektórzy starsi sardaukarzy zabawiali się wrózeniem ze snów, zwłaszcza po tym, jak zostali pobici przez tego „Demona Snów”, Muad'Diba. Gdzieś w sennych marzeniach – wmawiali sobie – może się narodzić powrót do potęgi i chwały. Jednak Tajkenik zawsze stronił od takich rozrywek.

– To do ciebie niepodobne, Tajk – powiedział Farad'n.

– Więc mogę się tylko odwołać do mojej religii – odparł baszar, kierując słowa do fontanny. Właśnie dla rozmowy o religii, rzecz jasna, zaryzykowali sprowadzenie Kaznodziei.

– No to się odwołaj do tej religii – rzekł Farad'n.

– Skoro taka jest wola mojego księcia. – Tajkenik obrócił się i spojrzał na młodego szafarza tych wszystkich snów, którymi wybrukowano teraz drogę rodu Corrinów. – Kościół i państwo, mój księżę, nawet nauka i wiara, i jeszcze więcej: postęp i tradycja, wszystko to jest pogodzone w naukach Muad'Diba. On nauczał, że nie ma bezwzględnych przeciwieństw, że bywają tylko w wierzeniach ludzi i, czasami, w ich snach. Człowiek odkrywa przyszłość w przeszłości, a obie stanowią całość.

Mimo opadających go wątpliwości Farad'n był pod wrażeniem tych słów. W głosie Tajkenika słyszał niechętną szczerłość, jak gdyby sardaukar

przełamywał wewnętrzne opory.

– I dlatego sprowadziłeś mi tego... wykładacza snów?

– Tak, mój książę. A nuż twój sen przenika czas. Odzyskasz świadomość swej jaźni, uznając wszechświat za spójną całość. Twoje sny... otóż...

– Nie mówiłem o nich poważnie. To ciekawostka i tyle. Nie przyszło mi do głowy, że ty...

– Mój książę, cokolwiek robisz, jest to ważne.

– Pochlebiasz mi, Tajk. Naprawdę wierzysz, że twój gość potrafi przejrzyć niezgłębione tajemnice?

– Wierzę, mój książę.

– No to zagrajmy mojej matce na nerwach.

– Przyjmiesz go?

– Oczywiście... skoro go ściągnąłeś, by zdenerwować moją matkę.

„Drwi ze mnie?” – zadał sobie pytanie sardaukar.

– Muszę cię uprzedzić, że starzec nosi maskę – rzekł. – Taki ixański aparat umożliwiający niewidomym widzenie za pomocą skóry.

– Jest ślepy?

– Tak, mój książę.

– Wie, kim jestem?

– Powiedziałem mu, mój książę.

– W porządku. Chodźmy do niego.

– Jeśli mój książę zaczeka tutaj, przyprowadzę mu tego człowieka.

Farad'n objął spojrzeniem ogród wokół fontanny i uśmiechnął się. Miejsce równie dobre jak każde inne na takie wygłupy.

– Powiedziałeś mu, co mi się śniło?

– Bardzo ogólnie, mój książę. Poprosi cię o osobistą relację.

– Och, w porządku. Zaczekam tutaj. Sprowadź tego człowieka.

Farad'n odwrócił się do Tajkenika plecami i słyszał, jak sardaukar oddala się w pośpiechu. Tuż obok, za ścianą zieleni, pracował ogrodnik; widać było czubek głowy w brązowej czapce i błyski nożyc chlastających koronę żywopłotu. Ich ruchy miały w sobie coś hipnotyzującego. „Idiotyzm z tymi snami – pomyślał książę. – Tajk nie powinien tego robić bez mojej zgody. Dziwne, że w tym wieku zajął się religią. A teraz snami”.

Niebawem złowił uchem odgłosy kroków za sobą. Znajomy, pewny chód Tajkenika i bardziej powłóczyście stąpanie. Obrócił się i utkwiał wzrok w zbliżającym się wykładaczu snów. Ixańska maska z czarnej gazy

zakrywała twarz od czoła po szyję. Nie było otworów na oczy. Jeśli wierzyć ixańskim przechwałkom, cała maska stanowiła jedno wielkie oko.

Tajkenik zatrzymał się dwa kroki od księcia, tymczasem starzec w masce zbliżył się na mniej niż krok.

– Tłumacz snów – oznajmił baszar.

Farad'n skinął głową.

Starzec w masce ni to zakasłał, ni to odchrząknął, jakby usiłował pozbyć się czegoś z żołądka. Księżę poczuł wyraźną, kwaśną woń przyprawy. Wydzielała się z szarej, długiej szaty, która spowijała całą postać przybysza.

– Czy ta maska rzeczywiście jest częścią twego ciała? – spytał Farad'n, uświadamiając sobie, że próbuje odwlec sprawę snów.

– Kiedy ją noszę – odparł starzec cierpkim tonem z cieniem fremeńskiego akcentu. – Twój sen. Opowiedz mi.

Farad'n wzruszył ramionami. „Czemu nie?” W końcu po to Tajk przyprowadził starego. A może nie po to? Ogarnęły go wątpliwości.

– Naprawdę jesteś mistrzem oneiromantyki? – zapytał.

– Przychodzę zinterpretować twój sen, wielmożny panie.

Farad'n ponownie wzruszył ramionami. Zamaskowana postać budziła w nim niepokój, więc zerknął na Tajkenika, który stał z założonymi rękami tam, gdzie się zatrzymał, gapiąc się na fontannę.

– Twój sen – ponaglił starzec.

Wziąwszy głęboki oddech, księżę zaczął opowieść. Im dalej był, tym łatwiej mu szło. Opowiedział o wodzie wylewającej się z otworu studni, o planetach, które były atomami krążącymi w jego głowie, o wężu, który przemienił się w czerwia pustyni i eksplodował, zostawiając obłok pyłu. Mówienie o wężu – odkrył ze zdziwieniem – sprawiło mu największą trudność. Okropna niechęć pętała mu język, co złościło go przy każdym słowie.

Starzec ani drgnął, gdy księżę w końcu umilkł. Czarna gaza nieznacznie poruszała się z oddechem. Farad'n czekał. Milczenie się przedłużało.

– Nie zamierzasz zinterpretować mojego snu? – zapytał wreszcie młodzieniec.

– Zinterpretowałem twój sen.

– I co? – Farad'n usłyszał piskliwość swego głosu, znak, że sen nieźle go zdenerwował.

Starzec milczał nieporuszony.

– Wyjaśnij mi go! – W tonie księcia był wyraźny gniew.

– Obiecałem, że go zinterpretuję – rzekł wieszczek. – Nie obiecałem, że wyjaśnię.

Tego było za wiele nawet dla Tajkenika, który opuścił ręce i zacisnął pięści.

– Co?! – warknął.

– Nie mówiłem, że ujawnię moją interpretację.

– Żądasz większej zapłaty? – spytał Farad’n.

– Nie żądałem zapłaty, gdy mnie tu sprowadzono.

Jakaś wyniosła duma w odpowiedzi złagodziła gniew księcia. Stary był odważny, nie dało się ukryć. Musiał wiedzieć, że nieposłuszeństwo grozi mu śmiercią.

– Za pozwoleniem, mój książę – wtrącił się Tajkenik. – Wyjaśnisz nam, starcze, dlaczego nie ujawnisz swojej interpretacji?

– Tak, moi panowie. Ten sen mówi mi, że wyjaśnienie jego treści byłoby bezcelowe.

Farad’n nie wytrzymał.

– Chcesz powiedzieć, że już wiem, co znaczy mój sen?

– Być może, mój panie, ale nie w tym problem.

Tajkenik stanął u boku księcia. Obaj patrzyli na starca.

– Wy tłumacz, co masz na myśli – rozkazał sardaukar.

– Otóż to – rzekł Farad’n.

– Gdybym miał się wypowiedzieć o tym śnie, zgłębiać sprawy wody i pyłu, węży i czerwi, analizować atomy, które tańczą w twojej głowie tak samo jak w mojej... aaach, wielmożny panie, moje słowa tylko by cię zmyliły i obstawałbyś przy opacznym zrozumieniu.

– Boisz się, że twoje słowa mogłyby mnie rozgniewać?

– Mój panie, tyś już jest zagniewany!

– Chodzi o to, że nam nie ufasz? – zapytał Tajkenik.

– Mniej więcej trafiłeś w sedno, mój panie. Nie ufam żadnemu z was, a to z tej prostej przyczyny, że wy nie ufacie sobie.

– Niebezpiecznie zbliżasz się do cienkiej granicy – powiedział baszar. – Zabijano ludzi za mniej obraźliwe zachowanie.

Farad’n kiwnął głową.

– Nie przywódź nas do gniewu.

– Zgubne następstwa gniewu Corrinów są powszechnie znane, mój panie Salusy Secundusa – odparł staruch.

Tajkenik uspokajająco położył dłoń na ramieniu księcia.

– Próbujesz nas sprowokować, byśmy cię zabili? – spytał.

O tym Farad'n nie pomyślał. Spojrzawszy pod tym kątem na zachowanie starca, poczuł nagle zimny dreszcz. Czy starzec, który zwie siebie Kaznodzieją... czy jest kimś więcej, niż się wydaje? Jakie byłyby następstwa jego śmierci? Męczennicy bywają niebezpiecznymi wytworami.

– Wątpię, żebyście mnie zabili, cokolwiek bym powiedział – odparł Kaznodzieja. – Sądzę, że znasz moją wartość, baszarze, a twój książę już się jej domyśla.

– Kategorycznie odmawiasz interpretacji jego snu? – spytał Tajkenik.

– *Zinterpretowałem sen.*

– I nie zdradzisz nam, co w nim widzisz?

– Potępiasz mnie, mój panie?

– Jaką możesz mieć dla mnie wartość? – zapytał Farad'n.

Kaznodzieja wyciągnął prawą rękę.

– Wystarczy jedno skinienie tej dłoni, a Duncan Idaho stawia się na moje rozkazy i będzie im posłuszny.

– Co to za czcze przechwałki? – burknął młodzieniec.

Jednak Tajkenik pokręcił głową, przypomniawszy sobie spór z Wensicją.

– Mój książę, to może być prawda. Ten Kaznodzieja ma wielu zwolenników na Diunie.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, że on jest stamtąd?

Zanim Tajkenik zdążył odpowiedzieć, Kaznodzieja zwrócił się do księcia.

– Mój panie, nie możesz się poczuwać do winy za Arrakis. Jesteś jeno owocem swoich czasów. To taka szczególna obrona, na którą stać każdego człowieka, kiedy go dręczą jego winy.

– Winy? – zaperzył się Farad'n.

Kaznodzieja tylko wzruszył ramionami.

O dziwo, rozbawiony tym Farad'n wybuchnął śmiechem, przyciągając zdumione spojrzenie Tajkenika.

– Podobasz mi się, Kaznodziejo.

– Miło mi to słyszeć, książę.

Chichocząc, Farad'n powiedział:

– Znajdziemy ci piękne lokum tutaj, w pałacu. Będiesz moim urzędowym tłumaczem snów, chociaż nigdy niczego mi nie wytłumaczysz. Za to możesz mi służyć informacjami o Diunie. Szalenie ciekawi mnie ta planeta.

– Nic z tego, książę.

Rozgniewany już nie na żarty, Farad'n świdrował wzrokiem czarną maskę.

– Czemuż to, jeśli łaska?

– Mój książę. – Tajkenik ponownie położył dłoń na ramieniu młodzieńca.

– O co chodzi, Tajk?

– Sprowadziliśmy go tutaj na warunkach poręczonej umowy z Gildią. Musimy go odesłać na Diunę.

– Wzywają mnie na Arrakis – wyjaśnił Kaznodzieja.

– Kto? – zapytał Farad'n.

– Potęga większa niż twoja, książę.

Farad'n rzucił Tajkenikowi pytające spojrzenie.

– Czy on jest szpiegiem Atrydów?

– Wykluczone, mój książę. Alia naznaczyła cenę na jego głowę.

– Jeśli nie Atrydzi, to kto cię wzywa? – Farad'n wrócił wzrokiem do Kaznodziei.

– Potęga większa niż Atrydzi.

Książę parsknął śmiechem. To po prostu mistyczna bzdura. I Tajk dał się nabrać na takie plewy. Tego Kaznodzieję rzeczywiście wzywają... zapewne sny. A jakie znaczenie mają sny?

– Marnujemy czas, Tajk – rzekł. – Za co mnie skazałeś na tę... farsę?

– Za podwójną cenę, mój książę. Ten wykładacz snów obiecał mi Duncana Idaho jako agenta rodu Corrinów. W zamian chciał jedynie spotkać się z tobą i zinterpretować twój sen. – „Albo tylko tak powiedział Wensicji!” – dodał w myślach. Baszara opadły nowe wątpliwości.

– Dlaczego mój sen jest aż tak ważny dla ciebie, starcze? – spytał Farad'n.

– Mówi mi, że wielkie wydarzenia zmierzają do logicznego końca. Muszę przyspieszyć powrót.

– I nie piśniesz ani słówka, nie zostawisz mi żadnej rady – powiedział drwiąco Farad'n.

– Rada, książę, jest rzeczą niebezpieczną. Ale zaryzykuję parę słów, które możesz potraktować jako radę, czy jak ci się żywnie podoba.

– Bardzo proszę.

Kaznodzieja skierował zamaskowaną twarz na księcia.

– Rządy mogą powstawać i upadać z powodów, które wydają się błahe. Jakże błahe są to wydarzenia! Sprzeczka dwóch kobiet... kierunek, z którego pewnego dnia wieje wiatr... kichnięcie, kaszel, długość szaty albo przypadkowe zderzenie ziarnka piasku z okiem dworaka. Nie zawsze są to

wielkie sprawy imperialnych ministrów, wyznaczające bieg historii, ani nie muszą to być nawiedzone prawdy kapłanów kierujących rękami Boga.

Słowa te w niezrozumiały dla niego sposób głęboko poruszyły Farad'na.

Uwagę Tajkenika przykuło jedno wyrażenie. Dlaczego ten Kaznodzieja mówi o szacie? Baszarowi stanęły w pamięci imperialne szaty wysłane atrydzkim bliźniętom, tygrysy wyszkolone do ataku. Czyżby starzec wypowiadał dyskretne ostrzeżenie? Ile wiedział?

– A gdzie rada? – zapytał ksiązę.

– Żeby odnieść sukces – odparł Kaznodzieja – musisz przykroić swoją strategię do pola jej działania. Gdzie stosujemy strategię? W określonym miejscu i z określonymi ludźmi na uwadze. Ale nawet przy największej dbałości o szczegóły zawsze umknie ci jakiś drobiazg, do którego nie przywiązuje się wagi. Czy potrafisz, ksiązę, przykroić swoją strategię do ambicji żony regionalnego gubernatora?

– Co ty tak w kółko o strategii, Kaznodziejo? – przerwał mu Tajkenik zimnym tonem. – Co takiego, według ciebie, czeka mojego księcia?

– Budzi się w nim pragnienie tronu – rzekł Kaznodzieja. – Życzę mu szczęścia, ale będzie potrzebował znacznie więcej niż szczęścia.

– Niebezpieczne słowa – powiedział Farad'n. – Czemu się na nie ważysz?

– Ambicje zwykle nie liczą się z faktami – odparł Kaznodzieja. – Ważę się na takie słowa, gdyż stoisz na rozstajnych drogach. Mógłbyś zasłużyć na podziw. Ale otaczają cię ludzie, którzy nie poszukują moralnych racji, konsyliarze skupieni na strategii. Jesteś młody, silny i wytrzymały, ale brakuje ci pewnego wyższego szkolenia, dzięki któremu mógłbyś się rozwinąć twój charakter. Szkoda, bo masz słabości, których zakres tu nakreśliłem.

– Co masz na myśli? – zapytał Tajkenik.

– Uważaj, co powiesz – ostrzegł Farad'n. – Co to za słabości?

– Nie zastanawiasz się, jaki ład społeczny wolisz – rzekł Kaznodzieja. – Nie bierzesz pod uwagę nadziei twoich poddanych. W twoich wyobrażeniach nawet kształt Imperium, o które się ubiegasz, jest niewyraźny. – Obrócił zamaskowaną twarz do Tajkenika. – Masz na oku władzę, a nie jej wyrafinowane zastosowania i niebezpieczeństwa. Tym samym twą przyszłość wypełniają oczywiste niewiadome: zwaśnione kobiety, pokasywania i wietrzne dni. Jak możesz ustanowić epokę, kiedy nie widzisz każdego szczegółu? Twój ograniczony umysł ci nie posłuży. W tym tkwi twoja słabość.

Farad'n długo przypatrywał się starcowi, dumając nad głębszym podłożem takich myśli, nad trwałością takich skompromitowanych idei. Moralność! Społeczne dążenia! Bajki odłożone do lamusa razem z wiarą w ewolucję.

– Dość już słów. Co z umówioną ceną, Kaznodziejo? – spytał Tajkenik.

– Duncan Idaho jest wasz. Ostrożnie korzystajcie z jego usług. To bezcenny klejnot.

– Och, mamy dla niego odpowiednie zadanie – powiedział Tajkenik. – Za twoim pozwoleniem, mój książę?

– Niech pakuje manatki, nim zmienię zdanie. – Farad'n spiorunował sardaukara wzrokiem. – Nie podoba mi się to, jak mnie wykorzystales, Tajk!

– Wybacz mu, książę – odezwał się Kaznodzieja. – Twój wierny baszar spełnia wolę Boga, nawet o tym nie wiedząc.

Złożywszy ukłon, oddalił się, a Tajkenik pogonił za nim.

„Muszę się bliżej przyjrzeć tej religii, której apostołuje Tajk” – pomyślał Farad'n, odprowadzając ich spojrzeniem. Uśmiechnął się ponuro. „Też mi tłumacz snów! Co za różnica? Mój sen nic nie znaczył”.



I ujrzał na sobie zbroję. Jego skóra nie była jego i była zbroją mocniejszą niż plastal. Nic nie przenikało jego zbroi – ani nóż, ani trucizna, ani piasek, ani pył pustyni, ani jej spopielający żar. W prawej dłoni miał moc rozpętywania kurzawy Coriolisa, wstrząsania ziemią i obracania jej w nicość. Jego wzrok spoczywał na Złotym Szlaku, a w lewej dłoni trzymał berło absolutnego wszechwładztwa. I poza daleką Złotego Szlaku zaglądały jego oczy w wieczność, o której wiedział, że jest karmą dla jego ducha i dla jego wiekuistego ciała.

– *Heighia. Sen mojego brata z Księgi Ganimy*

– Dla mnie byłoby lepiej, żebym nigdy nie został Imperatorem – powiedział Leto. – Och, nie daję do zrozumienia, że popełniłem błąd mego ojca i zajrzałem w przyszłość za pomocą przyprawowego szkiełka. Przemawia przeze mnie egoizm. Siostra i ja rozpaczliwie potrzebujemy czasu, by nauczyć się radzić sobie z tym, czym jesteśmy.

Umilkł i badawczo przypatrywał się lady Jessice. Powiedział swoje, jak to uzgodnili z Ganimą. Jaka będzie odpowiedź babki?

Jessika przyglądała się wnukowi w słabym blasku lumisfer oświetlających kwaterę w siczy Tabr. Był jeszcze wczesny ranek drugiego dnia jej pobytu, a już zdążyła odebrać niepokojące meldunki, że bliźnięta czuwały całą noc poza siczą. Co robiły?

Źle spała i czuła zmęczenie swojego organicznego materiału domagającego się obniżenia hiperaktywacji, jaką od krytycznej zagrywki na lądowisku wspomagała się w każdej trudnej sytuacji. Sicz była znajomym koszmarem z jej snów – ale pustynia na zewnątrz nie była taka, jaką pamiętała. „Skąd wzięły się te wszystkie kwiaty?” I w powietrzu wyczuwało się za dużo wilgoci. Młode pokolenie nie przestrzegało reżimu wody.

– Czym jesteś, dziecko, że potrzebujesz czasu na poznanie siebie? – zapytała.

Leto pobłażliwie pokręcił głową, wiedząc, jak niezwykła jest dorosła mowa dziecięcego ciała. Nie zapominał, że musi wytrącać tę kobietę z równowagi.

– Po pierwsze, nie jestem dzieckiem. Och... – Klepnął się w pierś. – Ciało jest dziecka, bez dwóch zdań. Ale *ja* nie jestem dzieckiem.

Jessika przygryzła górną wargę, nie bacząc, że się tym zdradza. Jej ksiązę, zabity jakże dawno temu na tej przeklętej planecie, naśmiewał się z tego nawyku. „Twoja jedyna niekontrolowana reakcja. – Tak nazwał to przygryzanie wargi. – Mówi mi ona, że jesteś zdenerwowana, więc muszę ucałować te usta, żeby uśmierzyć ich drżenie”.

I teraz przeżyła szok przyprawiający ją o łomotanie serca, kiedy wnuk noszący imię jej księcia, uśmiechając się pod nosem, powiedział:

– Jesteś zdenerwowana, poznaję to po drżeniu warg.

Potrzebowała całego kunsztu Bene Gesserit, żeby jako tako wziąć się w karby i odzyskać głos.

– Kpisz sobie ze mnie?

– Kpić z ciebie? Nigdy w życiu. Jednak muszę ci uzmysłwić, jak ogromnie się różnimy. Pozwól, że przypomnę ci siczową orgię sprzed lat, kiedy to stara Matka Wielebna przekazała ci żywoty i pamięci. Zestroiła się z tobą i przekazała ci ten... ten długi sznur serdelków, po jednej osobie każdy. Masz je nadal. Więc wiesz co nieco o tym, czego Ganima i ja doświadczamy.

– Alia też? – podchwytliwie zapytała Jessika.

– Nie omawiałaś tego z Gani?

– Chcę omówić to z tobą.

– W porządku. Alia wyparła się tego, czym jest, i stała się tym, czego się najbardziej obawiała. Wewnętrznej przeszłości nie da się zepchnąć w nieświadomość. Takie postępowanie jest niebezpieczne dla każdego człowieka, a dla nas, przednarodzonych, gorsze niż śmierć. I to wszystko, co mam do powiedzenia na temat Alii.

– No więc nie jesteś dzieckiem.

– Mam miliony lat. To wymaga przystosowania się do wyzwań, przed jakimi ludzie nigdy dotąd nie stawali.

Jessika skinęła głową, już spokojniejsza i dużo ostrożniejsza niż w rozmowie z Ganimą. A gdzie jest Ganimą? Dlaczego Leto przyszedł sam?

– Więc jak, babciu, jesteśmy Złymi Duchami czy wielką nadzieją Atrydów?

Jessika puściła pytanie mimo uszu.

– Gdzie twoja siostra?

– Zawraca głowę Alii, żeby nam nie przeszkadzano. To konieczne. Zresztą Gani nie powiedziałałaby ci więcej niż ja. Nie zauważyłaś tego wczoraj?

– Moja sprawa, co zauważyłam wczoraj. Po co papłasz o Złym Duchu?

– Paplam? Nie wciskaj mi kitu Bene Gesserit, babciu. Odplacę ci pięknym za nadobne, słowo w słowo, prosto z twoich wspomnień. Potrzebuję więcej niż drżenia twych warg.

Jessika pokręciła głową, wyczuwając chłód w tym... osobniku, w którego żyłach płynęła jej krew. Moce, jakimi dysponował, budziły w niej lęk.

– Co ty wiesz o moich zamiarach? – spytała, próbując dorównać mu tonem.

Skrzywił się z politowaniem.

– Nie musisz dociekać, czy popełniłem ten sam błąd co mój ojciec. Nie wyglądałem poza nasze podwórko czasu... przynajmniej ani mi to było w głowie. Zostawmy absolutną znajomość przyszłości momentom *déjà vu*, którego doznać może każdy człowiek. Znam pułapkę jasnowidztwa. Życie mego ojca pokazuje mi wszystko, co muszę o tym wiedzieć. Nie, babciu, całkowicie poznać przyszłość to być całkowicie w niej uwięzionym. To zapadnięcie się czasu. Teraźniejszość staje się przyszłością. Ja potrzebuję o wiele więcej swobody.

Jessika czuła, że język jej się plącze od niewypowiedzianych słów. Co miała mu odpowiedzieć, o czym by jeszcze nie wiedział? Potworność! „On jest mną! Jest moim ukochanym Leto!” – pomyślała.

Działo się z nią coś strasznego. Przez chwilę nie była pewna, czy spod dziecięcej maski nie wyłonią się ukochane rysy i czy nie ożyje... „Nie!”

Leto pochylił głowę, nie spuszczać z Jessiki badawczego spojrzenia. Tak, mimo wszystko można ją urobić.

– Kiedy myślisz, mam nadzieję nieczęsto, o jasnowidztwie, zapewne nie różnisz się w tym od innych. Większość ludzi wyobraża sobie, jak fajnie byłoby poznać jutrzejsze notowania cen wielorybich futer. Albo dowiedzieć się, czy Harkonnen znowu obejmie rządy na Giedi Prime, ich rodowej planecie. Ale my znamy Harkonnenów bez pomocy jasnowidzenia, prawda, babciu?

Nie chwyciła przynęty. Oczywiście wiedział o przeklętej krwi Harkonnenów w swoim rodowodzie.

– Kto jest Harkonnenem? Kto jest Bestią Rabbanem? Każde z nas, czyż nie? Ale odbiegam od tematu. Wróćmy do powszechnego mitu jasnowidztwa: całkowite poznanie przyszłości! Ileż fortun mogłoby powstać – i upaść – dzięki takiej całkowitej znajomości, nieprawdaż? Motłoch w to wierzy. Ludziom się wydaje, że skoro dobry jest fragment, to całość jest lepsza. O wiele lepsza! A gdyby komuś wręczyć kompletny scenariusz jego życia z niezmiennym dialogiem do samej śmierci... byłby to isticie szatański dar. Dar śmiertelnej nudy. W każdej chwili swego życia człowiek ów powtarzałby to, co zna całkowicie. Żadnej odchyłki. Z góry wiadoma byłaby każda reakcja, każda wypowiedź: w kółko i w kółko, i w kółko, i w kółko, i... – Potrząsnął głową. – Niewiedza ma swoje zalety. A mnie się marzy wszechświat niespodzianek!

Była to długa przemowa, ale Jessika słuchała jak zahipnotyzowana, tak bardzo z mimiki i intonacji przypominał swojego ojca – jej utraconego syna. Nawet poglądami: coś takiego mógłby wygłosić Paul.

– Przypominasz mi twego ojca – powiedziała.

– Czy to rani twoje uczucia?

– Poniekąd, lecz dobrze wiedzieć, że on żyje w tobie.

– Nie masz pojęcia, jak on żyje we mnie.

Uderzył ją bezmiar goryczy w spokojnym głosie wnuka. Uniosła głowę, żeby patrzeć mu prosto w oczy.

– Ani jak twój książę żyje we mnie – ciągnął Leto. – Babciu, Ganima jest tobą! Jest tobą do takiego stopnia, że twoje życie nie ma przed nią żadnego sekretu, aż do chwili, kiedy urodziłaś naszego ojca. No i ja! Chodząca

kartoteka cielesnych fiszek. Chwilami to nie do wytrzymania. Przybyłaś nas osądzić? Przybyłaś osądzić Alię? Uważaj, żebyśmy nie osądzili ciebie!

Mimo wysiłków Jessica nie znajdowała odpowiedzi. Co on wyprawia? Czemu tak podkreśla swoją odmienność? Czy prowokuje odrzucenie? Spotkał go los Alii: Zły Duch?

– To cię denerwuje – stwierdził.

– Denerwuje. – Pozwoliła sobie na bezradne wzruszenie ramionami. – Tak, denerwuje mnie... i bardzo dobrze wiesz dlaczego. Jestem pewna, że przestudiowałaś moje szkolenie Bene Gesserit; Ganimi przyznaje się, że to zrobiła. Wiem, że Alia... też. Znasz konsekwencje swojej *odmienności*.

Z irytującym skupieniem wpatrywał się w nią spod oka.

– Omal nie zrezygnowaliśmy z takiego podejścia do ciebie – rzekł z nutą jej zmęczenia w głosie. – Znamy drżenie twoich warg, jak znał je twój kochanek. Każde czułe słówko, które twój książę wyszeptał w sypialni, możemy sobie przypomnieć od ręki. Mentalnie się z tym pogodziłaś, bez wątplenia. Ale przestrzegam cię, że mentalna zgoda to za mało. Jeśli któreś z nas stanie się Złym Duchem, ty możesz być w nas tą, która to sprawiła! Albo mój ojciec... albo matka! Twój książę! Każde z was mogłoby nas opętać i sytuacja byłaby taka sama.

Jessikę piekło w piersi, oczy jej zwilgotniały.

– Leto... – Wreszcie zdobyła się na to, by wymówić jego imię. Ból okazał się mniejszy, niż sobie wyobrażała, więc brnęła dalej. – Czego ty chcesz ode mnie?

– Chciałbym pouczyć własną babkę.

– O czym?

– Tej nocy Gani i ja odegraliśmy role rodziców, o włos unikając zguby, ale wiele się dowiedzieliśmy. Rzeczy można poznać, jeśli ma się świadomość warunków. Działania można przewidzieć. Alia, na ten przykład... niemalże na pewno knuje twoje uprowadzenie.

Jessika wytrzeszczyła oczy, porażona błyskawicznym oskarżeniem. Dobrze znała tę sztuczkę i stosowała ją wiele razy: prowadzisz osobnika jednym tokiem rozumowania, a z drugiej strony ciskasz mu bombę. Doszła do siebie, biorąc głęboki oddech.

– Wiem, co robi Alia... kim jest, ale...

– Babciu, ty lituj się nad nią. Zrób użytek zarówno z serca, jak i rozumu. Jak zrobiłaś kiedyś. Stanowisz zagrożenie, Alia zaś pragnie dla siebie Imperium... przynajmniej to coś, czym się stała.

– Skąd mam wiedzieć, czy nie mówi tego drugi Zły Duch?

Wzruszył ramionami.

– To już sprawa twojego serca. Gani i ja wiemy, jak ona poległa. Niełatwo się przystosować do zgiełku tych wewnętrznych hord. Wygłuszysz ich jaźnie, a oni wracają chmarą, ilekroć odwołujesz się do pamięci. Któregoś dnia – przełknął ślinę – jakiś silny osobnik z tej wewnętrznej watahy postanawia, że czas już posiadać ciało.

– I nie ma na to rady?

– Sądzimy, że jest jakaś... tak. Musimy unikać przyprawy, to najważniejsze. I nie możemy zupełnie stłumić przeszłości. Musimy ją wykorzystać, stworzyć z niej amalgamat. W końcu wmieszamy ich wszystkich w siebie. Nie będziemy już tacy sami jak przedtem... ale *nie będziemy opętani*.

– Mówisz o spisku, żeby mnie porwać.

– To oczywiste. Wensicja ma ambicje co do syna. Alia ma ambicje co do siebie, a...

– Alia i Farad'n?

– Czytelnych sygnałów nie ma, lecz Alia i Wensicja chwilowo jadą na jednym wózku. Wensicja ma siostrę na dworze Alii. Cóż prostszego niż liścik do...

– Wiesz o takim liściku?

– Jak gdybym go widział i przeczytał każde słowo.

– Ale nie widziałeś?

– Nie muszę. Wystarczy mi świadomość, że wszyscy Atrydzi są razem tu, na Arrakis. Cała woda w jednym zbiorniku. – Ogarnął planetę gestem.

– Ród Corrinów nie ośmieli się napaść nas tutaj!

– Alia skorzystałaby, gdyby to zrobili.

Kpina w jego głosie wytrąciła ją z równowagi.

– Nie będzie mnie pouczał własny wnuk!

– Więc, do licha, kobieto, przestań uważać mnie za swojego wnuka! Uważaj mnie za swojego *księcia* Leto!

Głos i wyraz twarzy, nawet gwałtowny ruch dłonią, były tak wierne, że odebrało jej mowę.

– Próbowałem cię przygotować. Przyznaj mi to przynajmniej – dodał Leto bezbarwnym, zrezygnowanym tonem.

– Po co Alia miałaby mnie porwać?

– Żeby zwalić winę na ród Corrinów, rzecz jasna.

– Nie wierzę. Nawet dla niej byłoby to potworne! Zbyt niebezpieczne! Jak mogłaby tego dokonać bez... Nie wierzę!

– Uwierzysz, kiedy to się stanie. Aaach, babciu, Gani i mnie wystarczy tylko podsłuchać własne jaźnie i już wiemy. Z czystego instynktu samozachowawczego... Jak inaczej moglibyśmy się choćby domyślać popełnianych wokół nas błędów?

– Ani myślę przyjąć do wiadomości, że dla Alii porwanie jest...

– Bogowie podziemi! Jak ty, Bene Gesserit, możesz być taka tępą? Całe Imperium podejrzewa, po co tu jesteś. Agitatorzy Wensicji są gotowi cię skompromitować. Alia nie może czekać, aż to się stanie. Twój upadek byłby śmiertelnym ciosem dla rodu Atrydów.

– Co podejrzewa całe Imperium? – Ważyła słowa jak najstaranniej, wiedząc, że sztuczki Głosu nie mają się tego „niedziecka”.

– Lady Jessika zamierza skojarzyć ze sobą obecne tu bliźnięta! – warknęła.
– Oto, czego żąda zgromadzenie. Kazirodu!

Zamrugła.

– To wyssana z palca plotka. – Przełknęła ślinę. – Bene Gesserit nie pozwolą rozsiewać takiej plotki w Imperium. Wciąż mamy duże wpływy. Pamiętaj o tym.

– Plotka? Jaka plotka? Na pewno zachowujecie sobie możliwość skrzyżowania nas. – Pokręcił głową, nie dopuszczając jej do głosu. – Nie zaprzeczaj. Niech no tylko dojrzejemy płciowo, pozostając pod jednym dachem i z tobą w gościnie, a wasze „wpływy” będą tyle warte, co opędzanie się chustą od paszczy czerwia.

– Uważasz nas za takie skończone idiotki?

– W rzeczy samej. Twoje zgromadzenie to jedna wielka banda cholernie durnych starych bab, które myślą tylko o swoim cennym planie eugenicznym! Gani i ja wiemy, jaki mają straszak. A ty uważasz *nas* za idiotów?

– Straszak?

– Wiedzą, że płynie w tobie krew Harkonnenów! To jest zapisane w tej ich cedula doboru: Jessika z Tanidii Nerus przez barona Vladimira Harkonnena. Ten zapis, „przypadkowo” ujawniony, pozbawiłby cię zębów...

– Myślisz, że zgromadzenie zniżyłoby się do szantażu?

– Ja to wiem. Och, pięknie to ubrały. Kazały ci zbadać pogłoski o twojej córce. Podsyciły twoją ciekawość i twoje obawy. Odwołały się do twojego

poczucia odpowiedzialności, obudziły w tobie wyrzuty sumienia, że uciekłaś na Kaladan. I dały ci szansę „uratowania” twoich wnuków.

Jessika potrafiła jedynie gapić się na niego w milczeniu. Zupełnie jakby podsłuchiwał jej pełne emocji rozmowy z cenzorkami zgromadzenia. Czuła się kompletnie sparaliżowana jego słowami i zaczynała już dopuszczać możliwość, że mówił prawdę o planowanym przez Alię porwaniu.

– Bo widzisz, babciu, muszę powziąć niełatwą decyzję – rzekł. – Czy trzymać się atrydzkiej mistyki? Życ dla poddanych... i umrzeć dla nich? Czy może obrać inną drogę: taką, która pozwoli mi żyć tysiące lat?

Jessika zachnęła się mimowolnie. Wypowiedziane z taką łatwością słowa dotykały tabu Bene Gesserit, czegoś wręcz niewyobrażalnego. Mnóstwo Matek Wielebnych mogło pójść tą drogą... albo jej próbować. Manipulować chemią ustroju potrafią już nowicjuszeki zgromadzenia. Ale gdyby jedna to zrobiła, prędzej czy później zrobiłyby to wszystkie. Nie do ukrycia byłaby wieczna młodość takiej gromady kobiet. Wiedziały, że ta droga niezawodnie przywiodłaby je do zguby. Napiętnowana krótkim życiem ludzkość wystąpiłaby przeciwko nieśmiertelnym. Nie, to było nie do pomyślenia.

– Nie podoba mi się kierunek twoich myśli – powiedziała.

– Ty nie rozumiesz moich myśli – odparł. – Gani i ja... – Potrząsnął głową. – Alia pojęła to, ale odrzuciła.

– Jesteś pewny? Wysłałam już wiadomość do zgromadzenia, że Alia praktykuje niewyobrażalne. Przypatrz się jej! Nie postarzała się ani o dzień, odkąd ją ostatnio...

– Ach, to! – Machnięciem ręki zbył kwestię ustrojowej równowagi Bene Gesserit. – Mówię o czymś innym: o doskonałości istnienia przewyższającej wszystko, co ludzie osiągnęli do tej pory.

Jessika oniemiała, uświadomiwszy sobie z osłupieniem, że tak gładko wyciągnął z niej wyznanie. Oczywiście wiedział, że tego rodzaju wiadomość oznacza wyrok śmierci dla Alii. A jakkolwiek żonglowałby słowami, mógł mówić tylko o swojej przymiarce do takiego samego występk. Czy nie widzi, jak niebezpieczne są jego słowa?

– Musisz to wyjaśnić – powiedziała wreszcie.

– Jak? Skoro nie rozumiesz, że czas nie jest taki, jaki się jawi, nawet nie mogę zacząć. Ojciec obawiał się tego. Był o krok od spełnienia, ale się cofnął. Teraz to zależy od Gani i ode mnie.

– Masz mi to wyjaśnić.

W palcach ukrytych pod fałdą szaty przesunęła zatrutą igłę – zabójczy gom dżabbar, który najlżejszym draśnięciem uśmierca w ciągu paru sekund. „Uprzedzały mnie, że może będę zmuszona go użyć” – przypomniała sobie. Na myśl o tym poczuła dreszcz przechodzący falami po mięśniach ramienia, które, na szczęście, chowała pod szatą.

– Niech ci będzie. – Leto westchnął. – Zaczniemy od czasu. Nie ma różnicy między dziesięcioma tysiącami lat a rokiem, między stoma tysiącami lat a chwilką. Nie ma różnicy. To pierwsza właściwość czasu. Właściwość druga: cały wszechświat z jego czasem jest we mnie.

– Co to za androny?

– No widzisz? Nie pojmujesz. No to spróbujmy z innej beczki. – Uniósł prawą dłoń i poruszał nią dla zobrazowania swych słów. – Idziemy – wracamy, do przodu – do tyłu.

– Te słowa niczego nie wyjaśniają!

– To prawda – przyznał. – Są rzeczy, których nie da się wyjaśnić słowami. Trzeba je poznawać bez słów. Ale ty nie jesteś przygotowana na taki krok, nawet mnie nie widzisz, kiedy na mnie patrzysz.

– Przecież... Patrzę prosto na ciebie. Widzę cię jak na dłoni!

Utkwiła w nim spojrzenie. Jego słowa zdradzały znajomość *Kodeksu zensunnity*. Jessikę uczono tego w szkołach Bene Gesserit; ta zabawa słowami miała wywoływać filozoficzny mętlik w głowie.

– Pewne rzeczy zachodzą niezależnie od naszej woli – rzekł.

– Jak to wyjaśnia tę... tę „doskonałość”, która daleko wykracza poza doświadczenia innych ludzi?

Skinął głową.

– Kiedy opóźnisz starość lub śmierć za pomocą melanzu albo tej wyuczonej regulacji równowagi ustroju, czego wy, Bene Gesserit, tak słusznie się lękacie, zwłoka owa stwarza jedynie iluzję kontroli. Bez względu na to, czy idziesz przez sicz szybko czy wolno, przechodzisz przez sicz. A sam upływ czasu jest doświadczany wewnętrznie.

– Po co bawisz się ze mną w potyczki słowne? Na takich dyrdymałach zjadłam zęby mądrości, jeszcze zanim urodził się twój ojciec.

– Zjadłaś je razem z mądrością – odparł.

– Słowa! Słowa!

– Aaach, ciepło, ciepło!

– Ha!

– Babciu?

– Tak?

Leto pomilczał przez długą chwilę.

– No widzisz? – podjął w końcu. – Odpowiadasz, bo wciąż potrafisz być sobą. – Uśmiechnął się do niej. – Ale nie potrafisz przeniknąć wzrokiem ciemności. Jestem tutaj. – Znów się uśmiechnął. – Ojciec był o krok od tego. Żył, kiedy żył, lecz nie umarł, kiedy umarł.

– Co ty wygadujesz?

– Pokaż mi jego ciało!

– Myślisz, że ten Kaznodzieja...

– Możliwe, lecz gdyby nawet, to nie jest jego ciało.

– Niczego nie wyjaśniłeś.

– Uprzedzałem cię.

– To po co...

– Zadałaś pytanie. Musiałaś dostać odpowiedź. Wróćmy teraz do Alii i jej planów uprowadzenia...

– Czy ty planujesz niewyobrażalne? – przerwała mu, trzymając trucieliści gom dżabbar w pogotowiu.

– Będiesz jej katem? – spytał zwodniczo łagodnym tonem. Wskazał palcem jej dłoń pod szatą. – Łudzisz się, że Alia pozwoli ci tego użyć? A może myślisz, że ja bym ci pozwolił?

Jessika miała kłopoty z przełknięciem śliny.

– Odpowiadając na twoje pytanie – ciągnął – nie planuję niewyobrażalnego. Nie jestem taki głupi. Ale jestem oburzony na ciebie. Ty śmiesz sądzić Alię? Owszem, złamała to zasmarkane przykazanie Bene Gesserit! Czego się spodziewałaś? Porzuciłaś ją, zostawiłaś w roli królowej, wprowadzie bez korony, ale z władzą w garści. Z wielką władzą! A sama wróciłaś na Kaladan koić ból w ramionach Gurneya! No i na zdrowie. Ale czy to daje ci prawo sądzić Alię?

– Na pewno nie zamierzam dyskuto...

– Och, zamknij się!

Odwrócił od niej rozgoryczony wzrok. Posłużył się jednak szczególną techniką Bene Gesserit: niewołącym Głosem. Jessika umilkła, jak gdyby ktoś zatkał jej usta dłonią. „Któż lepiej niż on umiałby porazić mnie Głosem?” – pocieszyła się w myśli, żeby jakoś utulić zranione uczucia. Tyle razy używała tej sztuki wobec innych, święcie przekonana, że sama nie okaże się podatna na Głos... już nigdy... od szkolnych czasów, kiedy...

Leto znowu na nią spojrzał.

– Przepraszam. Tak się składa, że wiem, jak bardzo ślepa bywasz w swoich reakcjach, gdy...

– Ślepa? Ja?

Tym słowem wyprowadził ją z równowagi bardziej niż mistrzowskim użyciem przeciwko niej Głosu.

– Ty – odparł. – Ślepa. Gdyby została ci choć odrobina szczerości, rozpoznałabyś swoje reakcje. Zwracam się do ciebie, a ty odpowiadasz: „Tak?” Zamykam ci usta. Odwołuję się do wszystkich twoich mitów Bene Gesserit. Zajrzyj w głąb siebie, jak cię nauczono. Przynajmniej tyle możesz zrobić dla swojej...

– Jak śmiesz?! Co ty wiesz o...

Zamilkła w pół zdania. Oczywiście, on wie!

– Zajrzyj w głąb siebie, mówię!

Jego ton nie znosił sprzeciwu. Ponownie zniewolił ją Głosem. Poczowała martwość zmysłów, przyspieszenie oddechu. Niemal poza świadomością kryły się bijące mocno serce, dyszące płuca... Nagle dotarło do niej, że walenie serca i zdyszany oddech nie są zatajone, nie są trzymane w cuglach jej samokontroli Bene Gesserit. Otworzyła szeroko oczy, uświadomiwszy sobie, że czuje, jak jej ciało poddaje się cudzym rozkazom. Powoli wróciła do siebie, ale świadomość pozostała. To niedziecko od początku spotkania grało na niej jak na czułym instrumencie.

– Teraz wiesz, jak głęboko uwarunkowały cię twoje drogie Bene Gesserit – powiedział Leto.

Mogła jedynie skinąć głową. Jej wiara w słowa legła w gruzach. Leto zderzył Jessikę z jej fizycznym wszechświatem i wyszła z tego zdruzgotana, z umysłem przepełnionym nową świadomością. „Pokaż mi jego ciało!” Pokazał Jessice jej ciało jak nowo narodzone. Od najdawniejszych szkolnych lat na Wallach, od okropnych dni sprzed przybycia po nią agentów księcia, nigdy nie doznała takiej rozdygotanej niepewności co do swoich najbliższych chwil.

– Pozwolisz się uprowadzić – powiedział Leto.

– Ale...

– Nie otwieram dyskusji na ten temat – uciął. – Pozwolisz, i już. Potraktuj to jako rozkaz twojego księcia. Zrozumiesz cel, gdy będzie po wszystkim. Trafi ci się niezwykle interesujący uczeń. – Leto powstał i skinął głową. – Niektóre działania mają koniec, a nie mają początku; niektóre zaczynają się, a nie kończą. Wszystko zależy od tego, gdzie stoi obserwator.

Obrócił się i wyszedł z komnaty. W drugiej przedsionkowej komorze wpadł na Ganimę spieszącą do ich kwater. Zatrzymała się na jego widok.

– Alia jest zajęta Konwokacją Wiernych – powiedziała. Rzuciła pytające spojrzenie w głąb korytarza, który prowadził do kwatery Jessiki.

– Udało się – odparł Leto.



Bestialstwo jest uznawane jako takie zarówno przez ofiarę, jak i sprawcę, przez wszystkich, którzy o tym usłyszą w najdalszych choćby stronach. Bestialstwo nie ma usprawiedliwienia ani okoliczności łagodzącej. Bestialstwo nigdy nie bilansuje ani nie rekompensuje przeszłości. Bestialstwo li tylko popycha przyszłość do nowych bestialstw. Samonapędza się – jest barbarzyńską formą kazirodztwa. Ktokolwiek dopuszcza się bestialstwa, dopuszcza się również splodzonych w ten sposób przyszłych bestialstw.

– *Apokryfy Muad'Diba*

Tuż po południu, kiedy większość pielgrzymów rozeszła się i zażywała wytchnienia w byle cieniu i przy byle łyku dla ochłody, Kaznodzieja dotarł do wielkiego placu przed świątynią Alii. Szedł wsparty na młodym Assanie Tariku zastępującym mu oczy. W kieszeni, pod falującym płaszczem, miał maskę z czarnej gazy, którą nosił na Salusie Secundusie. Bawiła go myśl, że maska i chłopak służą do tego samego – zachowywania pozorów. Dopóki potrzebuje zastępczych oczu, dopóty istnieją wątpliwości.

„Niech mit narasta, ale podsycaj wątpliwości” – pomyślał.

Nikt nie może się dowiedzieć, że maska to zwykła szmata, żadne tam ixańskie чудо. Jego dłoń nie może opuścić kościstego ramienia Assana Tarika. Wystarczy, że Kaznodzieja z ziejącymi pustką oczodołami raz się przejdzie jak widzący, a znikną wszystkie wątpliwości. I ostatnia iskierka nadziei, jaką jeszcze żywi.

Dzień w dzień modlił się o jakąś zmianę, coś innego, o co mógłby się potknąć, lecz nawet Salusa Secundus była niczym znany z każdej strony kamyk. Nic się nie zmieniło, nic się nie daje zmienić... jeszcze nie.

Wielu świadków jego przejścia pasażem handlowym nie przeoczyło faktu, że obracając głowę w lewo czy w prawo, namierzał jakiś przedsięwzięcie lub osobę. Te ruchy głowy nie zawsze były typowe dla ślepoty, co dokładało się do narastającego mitu.

Alia patrzyła przez ukryty przeziernik na wysokości blankowania świątyni. Wypatrywała z wysoka jakiegoś znamienia na pobrużdżonym obliczu – jakiejś niezbitej oznaki tożsamości. Informowano ją o każdej pogłosce. Każda nowa budziła kolejny dreszcz lęku. Myślała, że jej rozkaz ujęcia Kaznodziei pozostanie tajny, ale również on wrócił do niej w plotce. Nawet w gwardii przybocznej ktoś nie umiał trzymać języka za zębami. Miała tylko nadzieję, że strażnicy zastosują się do jej nowych rozkazów i nie aresztują tej chodzącej zagadki w miejscu publicznym, gdzie rzecz może się wydać i roznieść.

Plac prażył się w upale. Młody przewodnik Kaznodziei nasunął zasłonę twarzy aż na nos, zostawiwszy odkryte tylko atramentowociemne oczy i wąziutki skrawek czoła. Zasłona wybrzuszała się zarysem chwytowodu filtraka. Alia poznała po tym, że obaj przyszli z pustyni. Gdzie oni się tam kryją?

Kaznodzieja nie osłonił twarzy przed rozpalonym powietrzem. Opuścił nawet klapę z chwytowodami pod szyją. Jego twarz była wystawiona na skwar słońca i prądy żaru z widocznym drżeniem podnoszące się falami znad bruku.

U podnóża świątynnych schodów stało dziewięciu pielgrzymów składających pożegnalny pokłon. W cieniu na skraju placu zebrało się jeszcze z pięćdziesiąt osób; przeważali pielgrzymi odprawiający zadane im przez kapłanów rozmaite pokuty. Pośród gapiów widać było posłańców i kilku handlarzy, którzy nie utargowali jeszcze dość, żeby zwinąć kramik na czas największej spiekoty.

Stojąc przed otwartym przeziernikiem, Alia czuła ognisty dech upału i wiedziała, że – jak często obserwowała u brata – uwięzła między myśleniem a doznaniem. Pokusa, żeby skorzystać z wewnętrznej narady, nękała ją złowrogim pomrukiem w głowie. Baron był w niej: sumienny, lecz zawsze skory do budzenia upiorów strachu, gdy zawodził ją rozum, a otaczająca rzeczywistość zatracala sens przeszłości, teraźniejszości i przyszłości.

„A jeśli to Paul jest tam, na dole?” – zadała sobie pytanie.

– *Bzdura!* – odparł jej wewnętrzny głos.

Jednak przekazane w meldunkach słowa Kaznodziei nie pozostawiały wątpliwości. „Herezja!” Przerazenie ogarniało ją na myśl, że Paul może zmieść budowlę wzniesioną w jego imię.

„A dlaczego nie?”

Przypomniało jej się, co rano powiedziała na posiedzeniu rady, wydarłszy się na Irulanę, która namawiała ich do przyjęcia szat otrzymanych w darze od rodu Corrinów.

„Wszystkie podarki dla bliźniąt zostaną dokładnie sprawdzone, tak jak zwykle” – zapewniała Irulana.

„A jeśli odkryjemy, że podarek jest nieszkodliwy?!” – wrzasnęła Alia.

Z jakiegoś powodu było to najstraszniejsze: przekonać się, że dar niczym nie zagraża. W końcu przyjęli wspaniałe stroje i przeszli do następnej sprawy: Czy lady Jessica ma zasiadać w radzie? Alii udało się przełożyć głosowanie.

Zadumała się nad tym, patrząc na Kaznodzieję. To, co się teraz działo z jej regencją, było niczym druga, gorsza strona transformacji, którą narzucili tej planecie. Kiedyś Diuna symbolizowała potęgę pierwotnej pustyni. Jej mit wyrósł na potęgę, lecz fizyczna potęga się skurczyła. Ostał się jedynie pustynny ocean w mateczniku planety, ogromna Matka Pustynia o rubieży porośniętej ostrokrzewem, który Fremeni nadal nazywają Królową Nocy. Za ostrokrzewami wznosiły się już łagodne zielone wzgórza zakotwiczone w piasku. Wszystkie były dziełem człowieka. Każdy pagórek obsadzony został przez ludzi uwijających się jak mrówki. Zieleń wzgórz niemal porażała tego, kto – jak Alia – wychował się w świecie tradycyjnych szarości i brązów piasku. W umyśle Alii, tak jak w umysłach wszystkich Fremenów, pustynny ocean nadal trzymał Diunę w swym uścisku i nigdy jej nie puści. Wystarczyło, by zamknęła oczy, i widziała tę pustynię.

Otwarte teraz oczy widziały zieleniące się pagórki na skraju pustyni, bagnisty szlam wyciągający się zielonymi nibynózkami w stronę piasku – ale tamta druga pustynia nie straciła nic ze swej potęgi.

Alia potrząsnęła głową, patrząc na Kaznodzieję, który dotarł na pierwszy tarasowy podest świątynnych schodów i obrócił się twarzą do niemal wyludnionego placu. Wcisnęła guzik w obramieniu przeziernika, włączając wzmacniacz siły płynących z dołu głosów. W duchu użaliła się nad swoją samotnością. Komu mogła ufać? Dotąd sądziła, że może polegać na Stilgarze, ale ten ślepiec z dołu zaraził go. „Wiesz, jak on liczy? – zapytał ją Stilgar. – Słyszałem, jak rachował monety, płacąc swemu przewodnikowi. On liczy: szak, iszkej, kimsa, kaska, pika, sakta i tak dalej. Takiego liczenia nie słyszałem od dawnych czasów na pustyni”.

To przekonało Alię, że Stilgarowi nie można powierzyć zadania, które musi zostać wykonane. Będzie też musiała uważać ze swoimi strażniczkami, które najmniejsze zainteresowanie regentki brały zwykle za bezwzględny rozkaz.

Co ten Kaznodzieja tam robi?

Targowisko pod balkonami i arkadami krużganka ciągle pławiło się w jarmarcznej krasie: pozostawiono rozłożone towary i paru wyrostków do ich pilnowania. Kilku kramarzy trwało na posterunku, wietrząc zapach mamony interioru: przyprawowych biskwitek, albo nasłuchując brzęku w pielgrzymiej sakiewce.

Alia utkwiała wzrok w plecach Kaznodziei. Wyglądał na gotowego do przemowy, tylko coś go powstrzymywało.

„Po co ja tutaj tkwię i gapię się na tę starczą ruinę? – zadała sobie pytanie. – Ten ludzki wrak nie może być »naczyniem wspaniałości«, jakim swego czasu był mój brat”. Frustracja mieszała się w Alii ze złością. Jak mogła się czegoś dowiedzieć o Kaznodziei, dowiedzieć się czegoś pewnego, bez „dowiadywania się”? Była w pułapce. Nie śmiała okazać więcej niż przelotnego zainteresowania tym heretykiem. Wyczuła to Irulana. Diabli wzięli jej sławetne opanowanie Bene Gesserit i wybuchnęła na zebraniu rady: „Utraciliśmy zdolność myślenia dobrze o sobie!” Nawet Stilgar był wstrząśnięty. Dżawid sprowadził ich na ziemię, stwierdziwszy: „Szkoda czasu na takie głupstwa!”

Święta racja. Jakie ma znaczenie, co oni myślą o sobie? Liczy się tylko utrzymanie imperialnej władzy.

Jednak Irulana, opanowawszy się, jeszcze bardziej dała im do wiwatu: „Utraciliśmy coś arcyważnego, mówię wam. A tracąc to, utraciliśmy zdolność podejmowania dobrych decyzji. I teraz dopadamy decyzji tak, jak się dopada wroga... albo, co jest rodzajem kapitulacji, czekamy bez końca na decyzje innych i tańczymy, jak nam zagrają. Czyżbyśmy zapomnieli, że to my wprowadziliśmy ten żywioł w ruch?”

A wszystko z powodu wątpliwości, czy przyjąć dar rodu Corrinów.

„Trzeba usunąć Irulanę” – postanowiła Alia.

Na co czeka ten staruch na dole? Nazwał się Kaznodzieją. Dlaczego nie prawi kazania?

„Irulana myliła się co do naszego podejmowania decyzji – pomyślała Alia. – Ja wciąż jestem władna powziąć właściwe decyzje!”

Ten, do kogo należą decyzje o życiu i śmierci, musi je podejmować, inaczej zawiśnie jak zatrzymane wahadło. Paul zawsze twierdził, że zastój jest najgroźniejszą ze wszystkich sprzecznych z naturą rzeczy. Jediną stałością jest płynność. Liczy się tylko zmiana.

„Ja im pokażę zmianę!” – pomyślała Alia.

Kaznodzieja uniósł ręce w geście błogosławieństwa.

Alia zauważyła, że z pozostałych na placu ludzi niewielu, i wyraźnie się ociągając, podeszło bliżej. Tak, krążyły słuchy, że Kaznodzieja budzi gniew Alii. Pochyliła się ku ixańskiemu głośnikowi obok przeziernika. Głośnik przyniósł szmer głosów z placu, szum wiatru, szelest piasku pod stopami.

– Przynoszę wam cztery przesłania! – oznajmił Kaznodzieja.

Głos zagrzmiął w głośniku Alii, więc go ściszyła.

– Każde przesłanie jest dla określonej osoby. Pierwsze jest dla Alii, suzerenki tego przybytku. – Kaznodzieja wskazał za siebie palcem, dokładnie na jej przeziernik. – Przynoszę jej przestrożę: Ty, która w łonie nosisz tajemnicę trwania, sprzedałaś swą przyszłość za pustą sakiewkę!

„Jak on śmie?!” – pomyślała. Ale słowa Kaznodziei ją zmroziły.

– Drugie przesłanie – powiedział Kaznodzieja – jest dla Stilgara, fremeńskiego naiba, który łudzi się, że może przemienić potęgę plemion w potęgę Imperium. Ostrzegam cię, Stilgarze: Najgroźniejszym ze wszystkich tworów jest sztywny kodeks etyczny. Obróć się przeciwko tobie i skaże cię na banicję!

„Posunął się za daleko! – stwierdziła Alia. – Muszę wysłać po niego strażę, nie bacząc na konsekwencje”. Nie ruszyła jednak palcem.

Kaznodzieja obrócił się w stronę świątyni, wspiął na wyższy stopień i ponownie stanął twarzą do placu, ani na chwilę nie zdejmując lewej dłoni z ramienia przewodnika.

– Trzecie przesłanie jest dla księżnej Irulany. Księżno! Nie można zapomnieć czegoś takiego jak poniżenie. Ratuj się ucieczką!

„Co on wygaduje? – głowiła się Alia. – Poniżyliśmy Irulanę, ale... Dlaczego on każe jej uciekać? Decyzję powzięłam przed chwilą!”

Strach przeszył ją dreszczem. Skąd on o tym wiedział?

– Czwarte przesłanie mam dla Duncana Idaho – zagrzmiął Kaznodzieja. – Duncanie! Wpojono ci, że wierność jest zapłatą za wierność. Oooch, Duncanie, nie wierz historii, gdyż historia sprzedaje się za wszystko, co uchodzi za pieniądź. Duncanie! Schowaj rogi i rób to, co umiesz robić najlepiej.

Alia wbiła zęby w grzbiet dłoni. „Rogi!” Chciała sięgnąć do przycisku i wezwać strażę, ale ręka odmówiła jej posłuszeństwa.

– Wygłoszę teraz kazanie – powiedział Kaznodzieja. – Słowo pustyni. Kieruję je do kapłanów Muad’Diba, tych, którzy uprawiają ekumenizm miecza. Oooch, wy wyznawcy świetlanego przeznaczenia! Czyżbyście nie wiedzieli, że świetlane przeznaczenie ma swoją ciemną stronę? Pokrzykujecie, że jesteście wywyższeni przez samo to, że należycie do pokolenia Muad’Diba. Powiadam wam, żeście porzucili Muad’Diba. Świętość zastąpiła miłość w waszej religii! Wołacie o pomstę pustyni! – Opuścił głowę, jakby się modlił.

Alia poczuła wstrząs objawienia. Bogowie podziemi! Ten głos! Zdarty, ale po latach wśród palących piasków tyle mogło pozostać z głosu Paula.

Kaznodzieja ponownie uniósł głowę. Jego głos zahuczał nad placem, na którym zaczęło się zbierać więcej ludzi, zaciekawionych tym cudakiem z przeszłości.

– Tak jest zapisane! – zagrmiał. – Ci, którzy wołają o rosę na skraju pustyni, wywołają potop! Nie odwrócą swego losu siłą rozumu. Rozum czerpie siłę z dumy, której nie może tak doświadczać ten, kto czyni zło. – Ściszył głos. – Powiadano o Muad’Dibie, że umarł od proroczego widzenia, że zabiła go wizja przyszłości i odszedł ze świata rzeczywistego do Alam al-Mithal. A ja wam powiadam, że to Maja: ułuda. Takie idee nie mają samodzielnego bytu. Nie mogą oddzielić się od was i stanowić rzeczywistości. Muad’Dib powiedział o sobie, że nie włada magią rihani, by za jej pomocą przekształcać wszechświat. Dajcie mu wiarę. – Ponownie wyciągnął ręce i zawołał: – Ostrzegam kapłanów Muad’Diba! Spali was ogień ze szczytu urwiska! Ci, którzy aż za dobrze opanowali sztukę oszukiwania samych siebie, zginą od tego oszustwa. Nie da się zmazać bratniej krwi!

Zwiesił ręce, odnalazł ramię przewodnika i opuścił plac, zanim Alia wyrwała się z odrętwienia. Co za nieustraszona herezja! To musi być Paul. Trzeba uprzedzić strażników. Nie odważyli się przy ludziach dopaść tego „Kaznodziei”. Wyraźnie ujrzała to na placu. Pomimo herezji nikt nie ścigał odchodzącego bluźniercy. Żaden strażnik świątynny nie rzucił się za nim w pogoń. Żaden pielgrzym nie próbował go zatrzymać.

Miał ślepiec charyzmę! Z jego postaci, z jego głosu była wyczuwana przez wszystkich moc, świadectwo nadprzyrodzonego daru.

Mimo upalnego dnia nagle zdjął Alię chłód. Czuła w swoich drobnych dłoniach niemal fizyczny ciężar władzy nad Imperium. Jak gdyby chcąc go utrzymać, zacisnęła palce na krawędzi framugi i dumiała o kruchości władzy. Jej osią była równowaga sił Landsraadu, KHOAM i fremeńskich legionów, przy czym za sznurki pociągały też, trzymając się w cieniu, Bene Gesserit i Gildia Kosmiczna. Rozwój zakazanej techniki przenikał z najdalszych rubieży migracji ludzkości i podkopywał centralną władzę. Dopuszczone do obrotu produkty ixańskich i tleilaxańskich fabryk nie zmniejszały wcale problemu. I zawsze za kulisami stał Farad'n z rodu Corrinów, sukcesor Szaddama IV.

Bez Fremenów, bez monopolu rodu Atrydów na geriatryczną przyprawę, nie starczy jej siły w garści. Cała władza się jej wymknie. Już się jej wymyka. Lud słucha tego Kaznodziei. Niebezpiecznie byłoby go uciszyć, równie niebezpiecznie, jak pozwolić mu na głoszenie takich słów, jakie dziś wykrzykiwał na placu. Dostrzegła pierwsze zwiastuny swej przegranej, a знаła reguły tej gry na pamięć. Bene Gesserit sformalizowały ów problem:

Szerokie masy pod jarzmem małej, lecz wpływowej oligarchii to dość częste zjawisko w naszym wszechświecie. Znane są podstawowe warunki, po spełnieniu których poddani mogą powstać przeciwko swoim panom. Primo: Kiedy znajdą przywódcę. To największe zagrożenie dla włodarzy. Przywódcy muszą być pod twoją kontrolą. Secundo: Kiedy dostrzegą swe kajdany. Dbaj, żeby poddani pozostali ślepi i głusi. Tertio: Kiedy zaświta im nadzieja zdobycia wolności. Poddanym nie wolno nawet się łudzić, że wolność jest możliwa.

Alia gwałtownie pokręciła głową, aż jej się zatrzęsły policzki. Wszystko się zgadzało. Raporty szpiegów ze wszystkich stron Imperium nie pozostawiały wątpliwości. Wieczna wojna fremeńskiego dżihadu wyciskała wszędzie swoje piętno. Gdziekolwiek zawitał „ekumenizm miecza”, zaszczepiał w masach postawę ludności podbitego kraju: wrogość, skrytość, nieufność. Wszelkie przejawy władzy – w rzeczy samej *władzy religijnej* – budziły opór. Och, pielgrzymi nadal przybywali milionami i część z nich pewnie z pobożności. Zazwyczaj jednak pielgrzymka miała inne podłoże. Najczęściej stanowiła wyrachowane zabezpieczenie przyszłości pielgrzymy. Podkreślając pokorę, w rzeczywistości zapewniała wywyższenie łatwo przekuwane na majątek. Hadzi, który powrócił z Arrakis, zyskiwał u siebie nowy szacunek i zajmował nową, wyższą pozycję społeczną. W interesach umiał podejmować opłacalne ryzyko, przed którym wzdragali się jego przypisani do ojczystej planety ziomkowie. Alia znała popularną zagadkę:

„Co widzisz w pustej sakiewce przywiezionej do domu z Diuny?”
I odpowiedź: „Oczy Muad’Diba”. (Ogniowe diamenty.)

Alia przypomniła sobie tradycyjne metody gaszenia niepokoju w zarodku: Poddani muszą się nauczyć, że bunt jest zawsze karany, a popieranie władcy nagradzane. Imperialne garnizony muszą losowo zmieniać miejsca stacjonowania. Ważniejsi poplecznicy imperialnej władzy muszą pozostawać w cieniu. Każdy ruch regencji uprzedzający możliwy atak wymaga precyzyjnego wyboru chwili, żeby opozycja zawsze była w rozsypce.

„Czyżbym straciła wyczucie chwili?” – pomyślała Alia.

– *Cóż to za jałowa spekulacja?* – zapytał głos z jej wnętrza.

Poczuła się spokojniejsza. Tak, plan barona jest dobry. Usuwamy zagrożenie ze strony lady Jessiki i równocześnie oczerniamy ród Corrinów. Tak.

Kaznodzieją można się zająć później. Rozumiała jego grę. Symbolika była klarowna. Oto pradawny demon nieokiełznanej myśli, duch herezji powołany do życia i działania na pustyni ortodoksji. Z niej czerpał siłę. Nieważne, czy to Paul... byle tylko rzecz pozostała w sferze niepewności. A filozofia Bene Gesserit podpowiadała Alii, że w jego sile tkwi klucz do jego słabości.

„Znajdziemy słaby punkt Kaznodziei. Każę go obserwować, śledzić na każdym kroku. A gdy nadarzy się okazja, strącimy go z piedestału”.



Nie mnie szydzić z pretensji Fremenów do boskiego nakazu, z którego szerzą religijne objawienie. To ich jednoczesna pretensja do objawienia ideologicznego nakazuje mi postawić Fremenów pod pręgierzem szyderstwa. Naturalnie, roszczę sobie oni tę dubeltową pretensję w nadziei, że umocni ich mandarynat i pomoże im przetrwać w świecie, który widzi w nich coraz dotkliwszych ciemniźycieli. Właśnie w imieniu tych ciemniżonych ludzi ostrzegam Fremenów: taktyka chwilowych korzyści na dłuższą metę zawsze zawodzi.

– *Kaznodzieja w Arrakin*

Leto ze Stilgarem weszli nocą na grzbiet niskiej wychodni skalnej, którą w siczy Tabr nazywano Towarzyszem. W bladym świetle drugiego księżyca

z wąskiej półki otwierał się rozległy widok – na północ Mur Zaporowy z górą Idaho, na południe Wielka Równina, na wschód faliste wydmy aż po grań Habbanja. Tuman pyłu po przejściu burzy przesłaniał południowy horyzont. Blask księżyca wysrebrzył krawędzie Muru Zaporowego.

Stilgar znalazł się tu wbrew sobie; wziął udział w sekretnej wyprawie dlatego, że Leto w końcu rozbudził jego ciekawość. Dlaczego trzeba ryzykować nocne przejście piasku? Chłopak zagroził mu, że w razie odmowy wymknie się i samotnie przemierzy tę drogę. Jednak wszystko w Stilgarze burzyło się przeciwko tego rodzaju eskapadzie. Tylko we dwóch i po nocy, takie ważne figury wystawione na cel?

Leto przykucnął na półce, zwrócony w stronę równiny na południu. Od czasu do czasu klepał się w kolano, jak gdyby zirytowany.

Stilgar czekał. Dobry w milczącym czekaniu, znieruchomiał dwa kroki obok swego podopiecznego z założonymi rękami i w płaszczu lekko falującym od nocnej bryzy.

Przejście piasku było sposobem Leto na tajoną rozpacz, na potrzebę szukania nowego ładu dla życia w stanie cichej wojny, w której Ganima już nie mogła się narażać. Wyciągnął Stilgara na tę wyprawę, ponieważ miał mu parę rzeczy do powiedzenia, musiał go przygotować na nadchodzące dni.

Leto kolejny raz klepnął się w kolano. Niełatwo jest znaleźć początek! Chwilami czuł się jak przedłużenie tych niezliczonych wewnętrznych istnień, co do jednego równie realnych, równie „tu i teraz”, jak jego. W napływie owych istnień nie było kresu, nie było końca – jedynie wieczny początek. Potrafiły też jawić się chmarą, wrzeszcząc na niego, jak gdyby był jedynym oknem na świat, przez które każde z nich pragnęło spojrzeć. W tym tkwiło zagrożenie, to stało się zgubą Alii.

Leto zagapił się na krajobraz po burzy srebrzący się w księżycowej poświacie. Fałdy i przefałdowania wydm ciągnęły się przez równinę: odważone wichrami okruchy krzemionki – piaski, żwiry, kamyki. Miał wrażenie, że zatrzymuje jedną z tych gotowych do odlotu chwil przedświt.

Czas naglił. Był już miesiąc akkad, przeminął najgorszy okres oczekiwania: długie, upalne dni i suche, gorące wiatry, noce jak dzisiejsza, targane porywami wiatru i stałym podmuchem z pieca Jastrzębiego Blechu.

Leto zerknął przez ramię na Mur Zaporowy, zębaty szaniec skąpany w blasku księżyca. Za tym szanćcem, w Niece Północnej, znajdowało się epicentrum jego kłopotów. Wrócił spojrzeniem do pustyni. Wpatrując się w rozpalony mrok, ujrzał, jak wstaje świt, jak słońce wyłania się z welonów

pyłu i przydaje pozłoty czerwonym wstęgom burzy. Zamknął oczy, pragnąc zobaczyć, jak wygląda ten dzień nad Arrakin, i objawił mu się obraz miasta – niczym klocki rozrzucone pośród światła i nowych cieni.

Pustynia... klocki... pustynia... klocki...

Otworzył oczy. Pustynia trwała w najlepsze: ochrowy przestwór czesanego wiatrem piasku. Oleiste cienie u podnóża każdej wydmy wyciągały się jak macki dopiero co zakończonej nocy. Łączyły obie pory. Pomyślał o nocy, którą spędził obok zniecierpliwionego Stilgara, zaniepokojonego milczeniem i niewyjaśnionymi powodami, które sprowadziły ich w to miejsce. Stilgar z pewnością pamięta wiele takich eskapad ze swoim umiłowanym Muad'Dibem. W tej chwili nie stał w bezruchu; rozglądał się, wypatrując niebezpieczeństw. Nie lubił otwartego terenu za dnia. Prawdziwy, stary Fremen w każdym calu.

Leto ciężko było odwrócić myśli od nocy i prostych zmagania z przejściem piasku. Tutaj, wśród skał, noc zastygała w swej ciemności. Rozumiałienne lęki Stilgara. Ciemność jest jednolita, nawet jeśli kryje kłębowisko strachów. Światło jest wielorakie. Noc ma swoje odory strachu i swoje szelesty. W nocy rozchodzą się wymiary, wszystko się potęguje – kolce są ostrzejsze, ostrza są bardziej tnące. Aleienne koszmary bywają straszniejsze.

Stilgar odchrząknął.

– Mam bardzo poważny problem, Stil – rzekł Leto, nie odwracając się.

– Tak przypuszczałem.

Stilgar odezwał się cichym, pełnym rezerwy głosem. Dzieciak niepokojąco wchodził w skórę ojca. Było w tym coś z zakazanej magii, co budziło w naibie odrazę.

Fremeni znali koszmary opętania. Zgodnie z prawem zabijali opętanych, a ich wodę oddawali piaskom, żeby nie skazić plemiennego zbiornika. Umarli winni być umarli. Nieśmiertelność zapewniają dzieci, i to jest w porządku, ale dzieci nie mają prawa zbyt doskonale wcielać się w jakąś postać ze swej przeszłości.

– Problem w tym, że mój ojciec tyle spraw zostawił w prozku – powiedział Leto. – Zwłaszcza ośrodek naszego życia. Imperium nie może się tak sobie toczyć bez właściwego ośrodka ludzkiego życia. Chodzi o życie, rozumiesz? Życie, nie śmierć.

– Pewnego razu, gdy nękała go wizja, twój ojciec wypowiedział się w podobnym duchu – rzekł Stilgar.

Leto aż korciło, by uspić jego czujny niepokój jakąś beztroską uwagą, może ogłosić zakończenie postu. Uprzytomnił sobie, że jest głodny jak wilk. Ostatnio jedli wczoraj w południe; sam zażądał całonocnego postu. Ale w tej chwili odczuwał inny głód.

„Problemem mojego życia jest problem tego miejsca – pomyślał. – Bez początkowych narodzin. Sięgam wstecz i wstecz, i wstecz, i tylko odległości się rozplývają. Nie widzę horyzontu. Nie widzę grani Habbanja. Nie mogę odnaleźć pierwotnego miejsca próby”.

– W gruncie rzeczy nic nie zastąpi jasnowidzenia – powiedział. – Może powinienem się zmierzyć z przyprawą.

– I zginąć jak ojciec?

– Oto dylemat – przyznał Leto.

– Twój ojciec zwierzył mi się kiedyś, że zbyt dokładnie poznana przeszłość więzi cię w sobie i nie pozwala na żadne zmiany.

– Paradoks i zarazem nasz problem – stwierdził Leto. – Jasnowidztwo to delikatny, lecz potężny instrument. Przyszłość staje się teraźniejszością. Zdolność widzenia w krainie ślepców naraża nas na szczególne niebezpieczeństwa. Próbuąc objaśnić ślepcom, co widzimy, zwykle zapominamy, że ślepcy mają inherentny ruch uwarunkowany swoją ślepotą. Są jak monstrualna maszyna krocząca własną drogą. Mają własny pęd, własne fiksacje. Boję się ślepców, Stil. Bardzo się boję. Potrafią z łatwością zgnieść wszystko na swej drodze.

Stilgar utkwiał wzrok w pustyni. Złotawy świt stał się szarym dniem.

– Po co tu przyszliśmy?

– Chciałem, żebyś zobaczył miejsce, gdzie mogę umrzeć.

Stilgar zeszywniał.

– Więc miałeś wizję! – rzekł po chwili.

– Może to był tylko sen.

– Dlaczego przychodzimy w tak niebezpieczne miejsce? – Naib spiorunował chłopca wzrokiem. – Wracajmy natychmiast.

– Nie umrę dzisiaj, Stil.

– Nie? Co było w tej wizji?

– Widziałem trzy ścieżki. – Głos Leto niósł senną nutę wspomnienia. – Jedna z tych przyszłości wymaga, żebym zabił babkę.

Stilgar zerknął szybko za siebie, w kierunku siczy Tabr, jak gdyby się obawiał, że lady Jessica usłyszy ich zza piaszczystej dali.

– Po co?

- Aby zachować przyprawowy monopol.
- Nie rozumiem.
- Ja też nie. Ala taka myśl mi przyświeca, kiedy we śnie używam noża.
- Och.

Stilgar rozumiał użycie noża. Wziął głęboki oddech.

- Jaka jest druga ścieżka?
- Gani i ja pobieramy się, aby scementować linię rodu Atrydów.
- Grrr! – Fremen wzdrygnął się z niepohamowanego wstrętu.
- Tak robili w prastarych czasach królowie i królowe i było to normalne.

Gani i ja postanowiliśmy, że nie będziemy ze sobą współżyć.

– Radzę wam trzymać się mocno tego postanowienia. – W głosie Stilgara była śmierć. Kazirodztwo według fremeńskiego prawa karano powieszeniem na trójnogu śmierci. Naib odchrząknął. – A trzecia ścieżka?

- Mam sprowadzić ojca do ludzkiego wymiaru.
- Muad'Dib był moim przyjacielem – mruknął Stilgar.
- Był twoim bogiem! Muszę go odbóstwić.

Obróciwszy się plecami do pustyni, Stilgar spojrzał w stronę oazy swojej ukochanej siczy Tabr. Tego rodzaju rozmowy zawsze wytrącały go z równowagi.

Leto poczuł zapach potu przy ruchu Stilgara. Jakże wielka była pokusa, żeby pominąć istotne wątki z tego, co musiało tu zostać powiedziane. Mogli przegadać pół dnia, przechodząc od konkretów do ogólników, jak gdyby odciągnięci od ważkich decyzji, od naglących konieczności, przed którymi stali. I nie ulegało wątpliwości, że ród Corrinów stanowi konkretne zagrożenie dla konkretnych istnień: jego i Gani. Jednak wszystko, co teraz Leto robił, musiało być wyważone i przykrojone na miarę zatajonych potrzeb. Stilgar już raz głosował za zgładzeniem Farad'na, obstając przy dyskretnym podsunięciu mu chaumurky: trucizny podawanej w napoju.

Wiadomo było, że Farad'n ma słabość do pewnych słodkich trunków. Nie wolno jednak dopuścić do jego skrytobójstwa.

– Jeśli umrę tutaj, Stil, strzeż się Alii. Ona już nie jest twoim przyjacielem – powiedział Leto.

– Co to za gadki o śmierci i twojej ciotce? – Stilgar był rozeźlony nie na żarty. „Zabić lady Jessikę! Strzec się Alii! Umrzeć w tym miejscu!”

– Mali ludzie zmieniają front na jej skinienie – rzekł Leto. – Władca nie musi być prorokiem, Stil. Ani nawet półbogiem. Władca musi być wrażliwy. Przyprowadziłem cię tutaj, żeby wyjaśnić, czego trzeba naszemu Imperium.

Trzeba mu dobrej władzy. Dobra władza nie zależy od praw ani hierarchii, lecz od osobistych przymiotów tego, kto rządzi.

– Regencja całkiem dobrze radzi sobie z imperialnymi obowiązkami – powiedział Stilgar. – Kiedy będziesz pełnoletni...

– Ja *jestem* pełnoletni! Jestem najstarszy z was. Przy mnie jesteś kwilącym niemowlakiem. Pamiętam czasy sprzed z górą pięćdziesięciu stuleci. Ha! Ja nawet pamiętam, jak my, Fremeni, byliśmy na Turgrodzie.

– Po co puszczasz wodze fantazji? – zapytał ostro Stilgar.

Leto przytaknął mu w duchu. Rzeczywiście, po co? Po co snuć wspomnienia z minionych stuleci? Pałacy problem stanowią dzisiejsi Fremeni, w większości nadal na poły jedynie obłaskawione dzikusy, skore do szydzenia z politowania godnej niewinności.

– Krysnóż rozpada się po śmierci właściciela – powiedział Leto. – Muad'Dib się rozpadł. Dlaczego Fremeni nadal żyją?

Była to jedna z tych wolt myślowych, które wprawiały Stilgara w osłupienie. Zaniemówił na chwilę. Takie słowa miały znaczenie, ale jego sens mu umykał.

– Oczekuje się, że zostanę Imperatorem, a ja muszę być sługą. – Leto spojrzał przez ramię na Stilgara. – Mój dziadek, po którym noszę imię, dodał nowe słowa do swojej herbowej dewizy, kiedy przybył tutaj, na Diunę: „Jestem tu i tu zostanę”.

– Nie miał wyboru – stwierdził Stilgar.

– Brawo, Stil. Ja też nie mam. Powinienem być Imperatorem przez wzgląd na moje urodzenie, na trafność mojego rozumowania, na wszystko, co we mnie wstąpiło. Ja nawet wiem, czego potrzebuje Imperium: dobrej władzy.

– „Naib” ma prastare znaczenie – rzekł Stilgar. – Oznacza „sługę siczy”.

– Pamiętam twoje nauki, Stil. Aby mieć dobre przywództwo, plemię musi stosować metody umożliwiające wybór takich ludzi, których życie pokazuje, jak powinna postępować władza.

Ustami Stilgara przemówiła jego fremeńska dusza.

– Przejmiesz ster Imperium, jeżeli się nadasz. Najpierw jednak musisz udowodnić, że potrafisz postępować jak na władcę przystało.

Nieoczekiwanie Leto roześmiał się.

– Wątpisz w moją uczciwość, Stil?

– Oczywiście, że nie.

– W moje przyrodzone prawo?

– Jesteś, kim jesteś.

– I jeżeli robię to, czego się ode mnie oczekuje, jest to miarą mojej uczciwości, czyż nie?

– Taki jest fremeński zwyczaj.

– Nie mogę więc postępować tak, jak mi dyktują rozum i serce?

– Nie rozumiem, co...

– Jeżeli zawsze postępuję odpowiednio, bez względu na koszt tłumienia mych pragnień, wtedy to jest miarą mojej wartości?

– Na tym polega panowanie nad sobą, chłopcze.

– Chłopcze! – Leto pokręcił głową. – Aaach, Stil, dajesz mi klucz do racjonalnej etyki rządzenia. Muszę być niezmienny, tkwić każdym czynem w tradycjach przeszłości.

– Zgodnie z obyczajem.

– Ale moja przeszłość sięga dalej niż twoja!

– Co za różnica...

– Ja nie mam pierwszej osoby liczby pojedynczej, Stil. Jestem mnogim osobnikiem, który pamięta tradycje dawniejsze, niż potrafisz sobie wyobrazić. To moje brzemie, Stil. Jestem rzecznikiem przeszłości. Przepelnia mnie wrodzona wiedza przeciwna nowości i zmianie. Jednak Muad'Dib zmienił to wszystko. – Kolistym ruchem ręki objął pustynię i Mur Zaporowy w dali za sobą.

Stilgar obrócił się i spojrzał na Mur Zaporowy. Od czasu Muad'Diba wzniesiono u jego stóp osadę, domy chroniące zespół planetologów, który wspomagał rośliny w podboju pustyni. Stilgar nie odrywał oczu od dokonanej przez człowieka rysy w krajobrazie. Zmiana? Tak. Geometria tej osady, jej rozplanowanie, raziły go. Stał w milczeniu, zapomniawszy o gryzących drobinach piasku pod filtrakiem. Osada uwłaczała temu, czym była ta planeta. Nagle Stilgar zapragnął, by wyjąca fryga wichru runęła znad wydm i zmiotła budynki. Wizja przyprawiła go o dreszcz.

– Zauważyłeś, Stil, że nowe filtraki są marnej jakości? Tracą za dużo wody.

Stilgarowiomal nie wyrwało się: „A nie mówiłem?”

– Nasi ludzie coraz bardziej uzależniają się od pigułek – rzekł.

Leto skinął głową. Pigułki obniżały ciepłotę ciała, zmniejszając ubytek wody. Były tańsze i wygodniejsze niż filtraki. Za to powodowały skutki uboczne, jak spowolniony czas reakcji lub zaburzenie widzenia.

– Czy po to się tu wybraliśmy? – zapytał Stilgar. – Żeby pogadać o jakości filtraków?

– Czemu nie? – odparł Leto. – Skoro nie w smak ci to, co mam do powiedzenia.

– Dlaczego muszę się strzec twojej ciotki? – Z głosu naiba przebijał gniew.

– Dlatego, że ona wykorzystuje odwieczną fremeńską niechęć do zmiany, a ściąga straszliwą zmianę, o jakiej ci się nawet nie śniło.

– Robisz z igły widły! Alia jest Fremenką w każdym calu.

– Aaach, zatem Fremeni w każdym calu nie odstępować od starodawnych zwyczajów, a ja mam starodawną przeszłość, Stil. Gdybym popuścił cugli tej inklinacji, domagałbym się zamkniętego społeczeństwa, całkowicie uzależnionego od uświęconych obyczajów z przeszłości. Kontrolowałbym migrację, tłumacząc, że sprzyja ona nowym ideom, a nowe idee niosą zagrożenie dla całego gmachu życia. Każde maciupkie planetarne polis szłoby własną drogą, kształtowało się na własną modłę. W końcu Imperium zawaliłoby się pod ciężarem wewnętrznych różnic.

Stilgar bez powodzenia usiłował przełknąć ślinę. Takie słowa mógł wypowiedzieć sam Muad'Dib. To była jego śpiewka. Jego przerażający paradoks. Jeśli jednak dopuści się do jakiegóż zmiany... Potrząsnął głową.

– Przeszłość może wskazywać słuszną drogę postępowania, Stil, jeśli żyjesz w przeszłości, ale warunki się zmieniają.

Stilgar nijak nie mógł zaprzeczyć, że warunki się zmieniają. Jak wobec tego należy postępować? Gapił się w przestrzeń za Leto, widząc pustynię i nie widząc jej. Tam powędrował Muad'Dib.

Ze wschodem słońca na równinie nastało królestwo złocistych i fioletowych cieni, piaskowych potoków okrytych pióropuszcami pyłu. Hen, na horyzoncie było już widać tuman pyłowej mgły wiszącej zwykle nad grania Habbanja, a pośrodku, jak okiem sięgnął, pustynia roztaczała swoje malejące, zlewające się ze sobą w dali wydmy.

W migotliwej osnowie upału widział rośliny, które rozpełzły się po skraju pustyni. Muad'Dib sprawił, że życie rozkwitło na tym pustkowiu. Miedź i złoto, czerwone kwiaty, żółte kwiaty, cynober i cynamon, szarozielone liście, ciernie, ostre cienie pod krzewami. Cienie drżały i falowały w upalnym oddechu dnia.

– Jestem jedynie przywódcą Fremaków, ty zaś synem księcia – rzekł Stilgar po chwili.

– Powiedziałeś to, nie wiedząc, co powiedziałeś – odparł Leto.

Naib zmarszczył brwi. Kiedyś, dawno temu, tak samo przygadał mu Muad'Dib.

– Przypominasz to sobie, co, Stil? – ciągnął chłopiec. – Byliśmy pod granią Habbanja i kapitan sardaukarów... pamiętasz kapitana Aramszama? Zabił przyjaciela, żeby się uratować. Ty zaś kilka razy tego dnia ostrzegałeś nas, byśmy nie oszczędzali sardaukarów, którzy poznali nasze tajemnice. W końcu stwierdziłeś, że należy ich zabić, bo na pewno wyjawia, co widzieli. A mój ojciec rzekł: „Powiedziałeś to, nie wiedząc, co powiedziałeś”. Byłeś urażony. Oświadczyłeś, że jesteś jedynie prostym przywódcą Fremenów, a książętom pewnie ważniejsze rzeczy w głowie.

Stilgar pożerał Leto wzrokiem. „Byliśmy pod granią Habbanja! My!” Ten... ten dzieciak, tamtego dnia nawet jeszcze niepoczęty, wiedział ze szczegółami, co się wydarzyło, ze szczegółami, które mógł znać tylko ktoś, kto tam był. To kolejny dowód, że atrydzkich dzieci nie można mierzyć zwykłą miarą.

– No to teraz wysłuchaj mnie – rzekł Leto. – Jeżeli umrę albo zaginę na pustyni, masz uciekać z siczy Tabr. Tak rozkazuję. Masz zabrać Gani i...

– Jeszcze nie jesteś moim księciem! Jesteś... dzieckiem!

– Jestem dorosłym w ciele dziecka – odparł Leto. Wskazał szczelinę między skałami na dole. – Jeżeli umrę, to właśnie w tamtym miejscu. Znajdziesz tam ślady krwi. Wtedy będziesz wiedział. Zabierz moją siostrę i...

– Podwajam twoje straże – przerwał mu Stilgar. – Więcej się tu nie pokażesz. W tej chwili wracamy i ty...

– Stil! Nie powstrzymasz mnie. Raz jeszcze wróc pamięcią do wydarzeń pod granią Habbanja. Pamiętasz? Nadchodził wielki stworzyciel, a gąsienik siedział na piasku. I w żaden sposób nie dało się uratować zgarniarki przed czerwem. Mój ojciec był zły, że nie mógł jej uratować. Tymczasem Gurney myślał tylko o ludziach, których stracił na piaskach. Pamiętasz, co powiedział? „Twój ojciec bardziej by się przejął ludźmi, których nie udało się ocalić”. Stil, rozkazuję ci ocalić ludzi. Są ważniejsi od rzeczy. A Gani jest najcenniejsza ze wszystkich, ponieważ, beze mnie, jest jedyną nadzieją Atrydów.

– Więcej nie chcę tego słyszeć – rzekł Stilgar. Obrócił się i ruszył w dół skalnego zbocza, ku oazie po drugiej stronie piasków. Słyszał, jak chłopiec podąża za nim.

Wkrótce Leto wyprzedził go.

– Zauważyłeś, Stil, jak piękne są dziewczęta tego roku? – rzucił, obejrzawszy się.



Życie jednego człowieka, jak i życie rodu czy całego ludu, ostaje się jako pamięć. Moi poddani muszą dojść do postrzegania tego jako elementu procesu ich dojrzewania. Oni są ludem jak *organizm*, a w tej ostającej się pamięci gromadzą coraz więcej i więcej doświadczeń składowanych w podprogowym zbiorniku. Ludzkość ma nadzieję, że w potrzebie znajdzie tam odpowiedź na wyzwanie zmieniającego się wszechświata. Jednak wiele z tego zasobu możemy stracić w owej losowej grze z przypadkiem, którą nazywamy „*fatum*”. Wiele z tego zasobu może się nie scalić z ewolucyjnymi układami, może więc zostać nieoszacowane i niewprzęgnięte do działania przez postępujące zmiany środowiskowe, które oddziałują na ciało. *Gatunek* potrafi zapomnieć! Kwisatz Haderach ma wyjątkową wartość, której Bene Gesserit nigdy się nie domyśliły: Kwisatz Haderach nie potrafi zapomnieć.

– *Księga Leto* według Harka al-Ady

Stilgar nie umiał tego wyjaśnić, ale zdawkowa uwaga Leto budziła w nim głęboki niepokój. Tłukła mu się po głowie całą powrotną drogę przez piaski do siczy Tabr, przesłaniając wszystko inne, o czym Leto mówił na Towarzyszu.

Faktycznie, arrakańskie dziewczęta są wyjątkowo piękne tego roku. Zresztą młodzieńcy też. Oblicza jaśniej im promiennie od obfitości wody. Spojrzenia mają otwarte i śmiałe. Wystawiają twarze często bez choćby atrapy filtrakowej osłony i chwytwodów. Nierzadko nawet pod gołym niebem nie noszą filtraków, woląc te nowe szaty, pod którymi przy każdym ruchu rysują się młode, gibkie kształty.

Taka uroda człowieka rozbłysła na tle nowej urody krajobrazu. Zderzenie nowego ze starym na Arrakis potrafiło urzekać oko widokiem kępki zielonych witek wyrastających wśród czerwonobrunatnych skał. Stare siczowe mrowiska cywilizacji jaskiniowych polis, z ich skomplikowanymi grodziami i śluzami wilgoci w każdym wejściu, ustępowały miejsca osadom na otwartym terenie, budowanym nierzadko z surowych mułowych cegieł.

Cegły z błota!

„Dlaczego pragnąłem zniszczenia osady?” – Stilgar zamyślił się i potknął. Wiedział, że należy do wymierającego gatunku. Starym Fremenom dech zapierało ze zdumienia nad rozrzutnością ich planety – marnotrawieniem wody na takie szaleństwa jak lepienie na powietrzu mułowych cegieł. Wody zużytej na domostwo dla jednej rodziny starczyłoby całej siczy do życia przez okrągły rok.

Nowe budynki miały nawet przezroczyste okna wpuszczające wysuszający ciało słoneczny żar. Okna te otwierały się na zewnątrz.

Nowi Fremen ze swoich domów z błota mogli podziwiać widoki. Już nie siedzieli gromadnie, zamknięci w siczy. Gdzie przenosi się nowe spojrzenie, tam również przenosi się wyobraźnia. Stilgar wyczuwał to. Nowe spojrzenie przyłączało Fremenów do reszty imperialnego świata, przysposabiało ich do nieograniczoności przestrzeni. Surowe warunki przykuwały ich kiedyś do ubogiej w wodę Arrakis. Nie dzielali tej otwartości, która uwarunkowała myślenie mieszkańców większości planet Imperium.

Naib widział zmiany współgrające z jego wątpliwościami i obawami. Za dawnych dni rzadko trafiał się Fremen, który chociażby brał pod uwagę możliwość opuszczenia Arrakis i rozpoczęcia nowego życia na jakiejś bogatej w wodę planecie. Już samo *marzenie* o ucieczce było owocem zakazanym.

Stilgar patrzył na plecy maszerującego przed nim chłopca. Leto gadał o zakazach opuszczania planety. No cóż, zawsze obejmowały one większość obcoświatowców, i to nawet tam, gdzie marzenie było dozwolonym wentylem bezpieczeństwa. Ale planetarna niewola osiągnęła apogeum tu, na Arrakis. Fremen zamknęli się w sobie, zasklepili w swoich umysłach tak, jak zasklepiali się w jaskiniowych ulach. Samo znaczenie słowa „sicz” – miejsce zbiórki w razie zagrożenia – uległo przeobrażeniu w wielką kryjówkę dla całego plemienia.

Leto powiedział prawdę: Muad'Dib zmienił to wszystko.

Stilgar zaczynał się gubić. Czuł, jak się kruszą jego dawne przekonania. Nowy ogląd zewnętrznego świata budził życie, które pragnęło się wyrwać z zamknięcia.

„Jakie piękne są dziewczęta tego roku”.

Stare zwyczaje („Moje zwyczaje” – przyznał) zmuszały jego Fremenów do wyrzucenia ze świadomości całej historii, z wyjątkiem tego, co zapadło cierpieniem w dusze. Dawni Fremen poznawali historię ze swych strasznych migracji, ucieczek od pogromu do pogromu. Stara administracja

planetarna przestrzegała polityki Starego Imperium. Dławiła kreatywność i wszelką myśl o postępie, o ewolucji. Rozwój był niebezpieczny dla Starego Imperium i jego władców.

Raptownie dotarło do Stilgara, że to wszystko jest równie niebezpieczne dla drogi, którą obiera Alia. Znowu się potknąwszy, został bardziej w tyle za Leto.

W dawnych zwyczajach i religiach nie było przyszłości, było jedno nieustające *teraz*. Przed Muad'Dibem – pojął Stilgar – fremeńskim odruchem warunkowym była wiara w niepowodzenie, przenigdy w osiągnięcie sukcesu. Owszem... uwierzyli Lietowi-Kynesowi, ale on wyznaczył czterdziestopokoleniowy horyzont. To nie było osiągnięcie, to było marzenie, które – co teraz widział – również zapadło w duszę.

„Muad'Dib to zmienił!”

Podczas dżihadu Fremeni wiele się dowiedzieli o dawnym Padyszachu Imperatorze Szaddamie IV. Ten osiemdziesiąty pierwszy władca z dynastii Corrinów, zasiadając na Tronie Złotego Lwa i panując nad niezliczonymi planetami, wykorzystywał Arrakis jako poligon dla polityki, jaką miał nadzieję wprowadzić w całym Imperium. Jego planetarni gubernatorzy pielęgnowali tu chroniczny pesymizm, aby umocnić fundament swojej władzy. Zadbali o to, żeby wszyscy na Arrakis, nie wyłączając swobodnie wędrujących Fremenów, zetknęli się z rozlicznymi przypadkami niesprawiedliwości i nierozwiązywalnych problemów, nauczyli się uważać siebie za bezradnych ludzi, dla których nie ma ratunku.

„Jakie piękne są dziewczęta tego roku!”

Popatrując na idącego przed nim Leto, Stilgar nie mógł wyjść ze zdumienia, jak ten chłopiec nadał bieg jego myślom – jedną pozornie błąhą odzywką. Za sprawą tej odzywki Stilgar łapał się teraz na tym, że całkiem inaczej widzi Alię i swoją rolę w radzie.

Alia z upodobaniem powtarzała, że stare zwyczaje odchodzą powoli. Stilgar przyznał w duchu, że zawsze znajdował coś krzepiącego w tym stwierdzeniu. Zmiana jest niebezpieczna. Trzeba tłumić inwencję. Trzeba odbierać człowiekowi siłę woli. W końcu do czego innego nadaje się kapłaństwo, jak nie do odbierania jednostce woli?

Alia stale mówi, że należy ograniczać możliwości wolnej konkurencji, żeby się nie wymknęła spod kontroli. Ale to oznacza, że nawroty groźnej techniki mogą służyć jedynie do pętania ludności... tak jak służyły

starożytnym satrapom. Korzenie wszelkich dozwolonych zdobyczy techniki muszą tkwić w rytuale. Bo inaczej... Bo inaczej...

Potknął się raz jeszcze.

Już był przy kanacie i spostrzegł, że Leto czeka na końcu morelowego sadu rosnącego nad brzegiem. Niezzęta trawa zaszeleściła Stilgarowi pod stopami.

Niezzęta trawa!

„W co ja mogę wierzyć?” – zadał sobie pytanie.

Fremenowi z jego pokolenia wypadało wierzyć, że jednostki potrzebują głębokiego poczucia własnych ograniczeń. Zwyczaję z pewnością były najbardziej ograniczającym elementem społecznego ładu. Ludzie muszą znać granice swojego czasu, swojej wspólnoty, swojego terytorium. Co złego jest w siczy jako sposobie myślenia? Poczucie ograniczenia powinno przenikać każdy indywidualny wybór: powinno ograniczać rodzinę, plemię i każdy krok podejmowany przez odpowiednie władze.

Zatrzymał się i utkwiał wzrok w Leto. Chłopak stał i przyglądał mu się z uśmiechem.

„Czy on wie o zamęcie w mojej głowie?” – zastanowił się Stilgar.

I stary fremeński naib próbował znaleźć oparcie w tradycyjnym katechizmie swojego ludu. Każdy przejaw życia wymaga jednostkowej formy, jemu właściwej perfekcji opartej na tajemnej wewnętrznej wiedzy o tym, co się sprawdzi, a co się nie sprawdzi. Wzorcem dla życia, dla wspólnoty, dla każdego ogniwa większej społeczności aż po same szczyty i wyżej niż szczyty władzy – musi być sicz i jej pustynny kontrpunkt: Szejhulud. Olbrzymi czerw pustyni jest niewątpliwie najpotężniejszym stworzeniem, lecz w razie zagrożenia kryje się w niedostępnych głębiach.

„Zmiana jest niebezpieczna!” – powtórzył w duchu.

Niezmiennność i stałość to słuszne cele władzy. Jednak młodzieńcy i dziewczęta są piękni. I pamiętają, co Muad'Dib powiedział, pozbawiając Szaddama IV tronu: „Nie zabiegam o długi żywot Imperatora, lecz o długi żywot Imperium”.

„Czyż nie mówiłem tego sobie w duchu?” – zdziwił się Stilgar.

Podjął marsz, kierując się ku wejściu do siczy, nieco w prawo od Leto. Chłopiec ruszył mu na spotkanie.

Naib przypomniał sobie, że Muad'Dib powiedział coś jeszcze: „Społeczeństwa, cywilizacje i rządy tak jak jednostki rodzą się, dojrzewają, rozmnażają i umierają”.

Niebezpieczna zmiana tak czy owak nastąpi. Wie o tym piękna fremeńska młodzież. Patrzy na świat, widzi to i sposobi się do tego.

Stilgar musiał się zatrzymać, inaczej stratowałby Leto. Chłopak zmierzył go bystrym spojrzeniem.

– No widzisz, Stil? Tradycja nie jest taką znowu ostateczną busolą, jak ci się wydawało.



Fremen umiera od zbyt długiej rozłąki z pustynią. Nazywamy to „wodną chorobą”.

– *Komentarze Stilgara*

– Niełatwo mi prosić cię, żebyś to zrobił – powiedziała Alia. – Jednak... muszę zadbać, by dzieci Paula odziedziczyły Imperium. To jedyna racja bytu regencji.

Odwróciła się od lustra, przed którym kończyła poranną toaletę. Spojrzała na małżonka, badając, jak przyjął te słowa. W takich momentach Duncanowi Idaho należała się baczna uwaga; nie ulegało wątpliwości, że stał się kimś znacznie przemyślniejszym i groźniejszym niż dawny mistrz miecza rodu Atrydów. Wyglądał jak niegdyś – te same włosy czarne jak skrzydło kruka, ostre rysy śniadej twarzy – lecz w ciągu długich lat od przebudzenia ze stanu gholi uległ wewnętrznej metamorfozie.

Jak wiele razy przedtem, tak i teraz zastanawiała się, co jego zmartwychpowstanie w postaci gholi chowa w utajonym odludztwie.

Zanim Duncan trafił w ręce naukowych sztukmistrzów z Tleilaxa, jego reakcje nosiły czytelne dla Atrydów znamiona – był lojalny, fanatycznie wierny kodeksowi honorowemu swoich kondotierskich antenatów, prędko do gniewu, prędko do opamiętania. Zaciekły w szukaniu zemsty na Harkonnenach. I zginął, ratując Paulowi życie. Tleilaxanie odkupili trupa od sardaukarów i w kadziach aksolotlowych wyhodowali zombi katrundo: ciało Duncana Idaho wyprane ze świadomych wspomnień. Wyszkolono go na mentata i wysłano Paulowi w podarunku jako ludzki komputer, precyzyjny instrument z zaszczerpionym wewnętrznym przymusem zabicia właściciela. Ciało Duncana Idaho oparło się przymusowi, a od przeciążenia ponad wytrzymałość przywróciło mu jego celularną przeszłość.

Alia już dawno uznała, że myślenie o nim jako Duncanie jest dla niej niebezpieczne. Lepiej myśleć o nim jako gholi imieniem Hayt. Znacznie lepiej. A najważniejsze, żeby nie zauważył ani śladu obecności starego barona Harkonnena w jej umyśle.

Widząc, jak Alia mu się przypatruje, Duncan odwrócił głowę. Miłość nie uczyniła go ślepym na zmiany, jakie w niej zaszły, ani nie przyćmiła klarowności jej motywów. Od Tleilaxan dostał wielofasetkowe oczy z metalu, które miały okrutną wręcz zdolność przejrzenia oszustwa. Teraz w ich iluminacji ujrzał pełną złośliwej uciechy, niemal męską postać Alii, a nie chciał jej takiej oglądać.

– Dlaczego się odwracasz? – spytała Alia.

– Muszę to przemyśleć. Lady Jessica jest... Atrydką.

– A ty jesteś wierny rodowi Atrydów, nie mnie. – Wydęła wargi.

– Nie obrażaj mojej inteligencji – rzekł.

Alia zacisnęła usta. Czyżby się zagalopowała?

Duncan zbliżył się do przeziernika wychodzącego na narożnik świątynnego placu. Stał i patrzył, jak w dole zaczynają się gromadzić pielgrzymi, jak na obrzeża ściągają na żer arrakińscy kramarze, niczym wataha wilków za stadem owiec. Jego uwagę przyciągnął osobliwy korowód handlarzy – każdy z koszem z przyprawowego włókna na ramieniu, za każdym fremencki najemnik. Z tępą siłą torowali sobie drogę przez gęstniejący tłum.

– Sprzedają marmurowe wytrawki – powiedział, wskazując palcem. – Wiedziałaś o tym? Zostawiają odłamki marmuru do wytrawienia przez piaskowe wichry w głębi pustyni. Czasami otrzymują ciekawe formy. Nazywają toto nowym rodzajem sztuki. Oryginalny marmurowy burzoryt z Diuny ma wielkie wzięcie. Kupiłem jeden w zeszłym tygodniu: złociste drzewko z pięcioma kitkami, śliczne, ale bardzo kruche.

– Nie zmieniaj tematu – powiedziała Alia.

– Nie zmieniam. Jest piękny, ale to nie sztuka. Sztukę tworzą ludzie z własnej woli, własnej pasji. – Położył prawą dłoń na okiennym parapecie. – Bliźnięta nie cierpią tego miasta i wcale im się nie dziwię.

– Nie widzę związku – powiedziała Alia. – Porwanie mojej matki jest uprowadzeniem na niby. Będzie bezpieczna w twoich rękach.

– To miasto zbudowali ślepcy – rzekł Duncan. – Wiedziałaś, że w ubiegłym tygodniu Leto ze Stilgarem wybrali się z siczy Tabr na pustynię? Nie było ich całą noc.

– Doniesiono mi o tym – odparła. – Co do tych cacek z pustyni... chcesz, żebym zakazała ich sprzedaży?

– Zaszкодziłabyś interesom – stwierdził, odwracając się od okna. – Wiesz, co powiedział Stilgar, kiedy zapytałem, dlaczego się tak wykradli na piaski? Powiedział, że Leto chciał się skomunikować z duchem Muad'Diba.

Nagły strach zdjął Alię chłodem. Spojrzała w lustro, potrzebując chwili, by ochłonać. Leto nie zrobiłby wypadu z siczy dla takiej głupoty. Czyżby spisek?

Przesłoniwszy oczy dłonią, żeby tego nie oglądać, Idaho dodał:

– Stilgar powiedział mi, że poszedł za Leto, gdyż ciągle wierzy w Muad'Diba.

– Jasne, że wierzy!

Mentat zaśmiał się niewesoło.

– Powiedział, że ciągle wierzy, ponieważ Muad'Dib zawsze trzymał stronę dzieci.

– A co ty na to? – Głos Alii zdradzał strach.

Idaho cofnął dłoń od oczu.

– Powiedziałem: „Wychodzi na to, żeś dzieciak”.

– Duncan! To niebezpieczna gra! Drażniąc tego fremeńskiego naiba, mogłeś obudzić bestię na zgubę nas wszystkich.

– On ciągle wierzy w Muad'Diba – rzekł Idaho. – To nas chroni.

– Co ci odpowiedział?

– Że własne myśli zna jak własne.

– Rozumiem.

– Nie... Chyba nie rozumiesz. Kąsające bestie mają dłuższe zęby niż Stilgar.

– Nie poznaję cię dzisiaj, Duncan. Proszę, żebyś zrobił coś bardzo ważnego, o kluczowym znaczeniu dla... O co tyle hałasu? – Wyglądała na strasznie nadąsaną.

Obrócił się z powrotem do przeziernika.

– Szkoląc się na mentata... Bardzo trudno jest, Alio, nauczyć się operowania własnym umysłem. Najpierw się dowiadujesz, że umysł musi pracować sam. Bardzo to dziwne. Możesz wprawiać w ruch własne mięśnie, ćwiczyć je i wzmacniać, ale umysł chodzi sam. Kiedy już to wiesz, umysł czasami pokazuje ci rzeczy, których nie chcesz widzieć.

– I dlatego próbowałeś obrazić Stilgara?

– Stilgar nie zna swoich myśli. On nie puszcza umysłu na swobodę.

– Z wyjątkiem przyprawowej orgii.

– Wtedy też nie. Właśnie to czyni go naibem. Aby przewodzić ludziom, kontroluje i ogranicza swoje reakcje. Robi to, czego się od niego oczekuje. Jeśli znasz tę prawdę, znasz Stilgara i możesz zmierzyć długość jego zębów.

– Tacy są Fremeni – rzekła Alia. – Więc jak, Duncan, zrobisz to czy nie? Musi zostać uprowadzona i musi to wyglądać na sprawkę rodu Corrinów.

Milczał, ważąc jej ton i argumenty w umyśle mentata. Plan porwania świadczył o bezdusznosci i okrucieństwie, których w ten sposób ujawnione rozmiary wstrząsnęły Idaho. Wystawiać życie matki na szwank z przedstawionych tutaj powodów? Alia kłamie. Być może plotki o niej i Dżawidzie są prawdziwe. Na myśl o tym poczuł zimną kulę w żołądku.

– Tylko tobie mogę to zawierzyć – powiedziała Alia.

– Rozumiem.

Uznawszy, że wyraził zgodę, uśmiechnęła się do swego odbicia w lustrze.

– Wiesz – rzekł Idaho – mentat uczy się patrzeć na każdego człowieka jak na ciąg zależności.

Alia nie odpowiedziała. Z nieprzeniknionej miną nagle zatopiła się w osobistych wspomnieniach.

Zerknąwszy przez ramię, Duncan zadrżał na widok jej twarzy. Wyglądało to tak, jak gdyby porozumiewała się z głosami, które słyszy tylko ona.

– Zależności – wyszeptał. I ciągnął w myśli: „Należy odrzucać stare cierpienia, tak jak wąż odrzuca swoją skórę... a potem obrastać nowym ich zestawem i godzić się na wszystkie ich ograniczenia. To samo dotyczy rządów... nawet Regencji. Pozostałości dawnych rządów odnajduje się jak porzucone wylinki. Muszę zrealizować ten plan, tylko nie tak, jak żąda Alia”.

Alia po chwili wzruszyła ramionami.

– Leto nie powinien się teraz wałęsać po pustyni – powiedziała. – Przywołam go do porządku.

– Nawet ze Stilgarem?

– Nawet z nim.

Wstała od lustra, podeszła do stojącego przy oknie Idaho i położyła mu dłoń na ramieniu. Idaho opanował dreszcz, sprowadzając swój odruch do mentackiej kalkulacji. W Alii było coś odpychającego.

Coś w Alii. Nie potrafił się przemóc, żeby na nią spojrzeć. Odchrząknął, czując melanzową woń jej kosmetyków.

– Zajmę się dziś sprawdzeniem podarunków od Farad’na – oświadczyła.

– Strojów?

– Tak. Z nim nigdy nic nie wiadomo. I musimy pamiętać, że jego baszar, Tajkenik, jest mistrzem chaumas, chaumurky i całej reszty królewskiej sztuki skrytobójstwa.

– Cena władzy – rzekł, odsuwając się od niej. – Ale my dalej jesteśmy mobilni, a Farad’n nie.

Alia przyjrzała się wyrazistemu profilowi Idaho. Czasami trudno było nadążyć za jego rozumowaniem. Czy miał na myśli tylko tyle, że swoboda działania stwarza militarną przewagę? No tak, życie na Arrakis za długo było zbyt bezpieczne. Zmysły, niegdyś wyostrzone wszechobecnym zagrożeniem, mogły się zdegenerować od beczynności.

– Tak – odparła. – Nadal mamy Fremenów.

– Mobilność – podkreślił. – Nie wolno się stoczyć do poziomu infanterii. To byłoby głupotą.

– Farad’n użyje wszelkich sposobów, żeby nas zniszczyć – powiedziała, zirytowana jego tonem.

– Aaach, o to chodzi – rzekł. – To rodzaj inicjatywy, mobilność, jakiej nie mieliśmy za dawnych czasów. Mieliśmy kodeks, kodeks rodu Atrydów. Zawsze płaciliśmy za siebie, pozostawiając wrogom rolę grabieżców. Ta reguła już nie obowiązuje, oczywiście. Jesteśmy tu jednakowo mobilni, ród Atrydów i ród Corrinów.

– Porywam moją matkę między innymi dlatego, żeby nic się jej nie stało – powiedziała Alia. – Nadal żyjemy zgodnie z kodeksem!

Idaho spojrzał na nią z góry. Wiedziała, czym grozi pobudzenie mentata do kalkulacji. Powinna wiedzieć, co skalkulował. Mimo to... wciąż ją kochał. Przesunął dłonią po oczach. Alia wygląda strasznie młodo. Lady Jessica ma rację: z wyglądu w ciągu ich wspólnych lat Alia jakby się nie postarzała ani o dzień. Nie zmieniły się jej delikatne rysy po matce Bene Gesserit, tylko oczy miała Atrydów: badawcze, władcze, jastrzębie. Ale teraz na dnie tych oczu czaiło się coś obdarzonego okrutnym wyrachowaniem.

Idaho służył rodowi Atrydów zbyt wiele lat, żeby nie orientować się zarówno w rodowych przymiotach, jak i przywarach. Jednak to coś w Alii... to było coś nowego. Atrydzi mogli prowadzić podwójną grę wobec wrogów, lecz nigdy wobec przyjaciół i sojuszników, a już przenigdy wobec członków rodu. Mieli wpojone zasady: dbaj o poddanych najlepiej, jak potrafisz, niech

widzą, że dużo lepiej im się żyje pod atrydzkim panowaniem. Okazują miłość przyjaciółom szczerością swego postępowania wobec nich.

Żądanie Alii było nietypowe dla Atrydów. Wyczuwał to każdą komórką ciała i każdym włóknem systemu nerwowego. Obcość w jej postawie odbierał całym niepodzielnym układem swojego jestestwa.

Całe to jego mentackie sensorium nagle zaskoczyło na pełną świadomość, umysł wpadł w trans, w którym nie istnieje czas, tylko przestrzeń kalkulacji. Alia rozpozna, co się z nim dzieje, ale tego nie da się uniknąć. Oddał się kalkulacji.

Kalkulacja: mnemoniczna lady Jessika żyje parażyciem w świadomości Alii. Postrzegał to tak samo jak stałą obecność mnemonady pregholowego Duncana Idaho w swojej świadomości. Alia posiadała taką świadomość, będąc jedną z przednarodzonych. On wyniósł to z kadzi aksolotlowych Tleilaxan. Jednak Alia zerwała tę więź i ryzykuje życie matki, więc nie jest w kontakcie ze swą wewnętrzną paraJessiką. Ergo, Alia jest całkowicie opętana przez inne paraistnienie, z wyłączeniem wszystkim pozostałych.

„Opętana!”

„Obca!”

„Zły Duch!”

Mentackim trybem przyjął to do wiadomości, przechodząc do innych aspektów problemu.

Wszyscy Atrydzi są tutaj, wszyscy na jednej planecie. Czy ród Corrinów poważy się na atak z kosmosu? Przebiegł myślą przesłanki konwencji kładącej kres pierwotnym rodzajom wojny.

Primo. Wszystkie planety są wystawione na atak z przestrzeni kosmicznej, ergo: każdy wysoki ród umieszcza środki odwetu-zemsty poza planetą. Farad’n wie, że Atrydzi nie zaniedbali tej elementarnej asekuracji.

Secundo. Tarcze siłowe całkowicie chronią przed konwencjonalnymi pociskami i materiałami wybuchowymi – to podstawowa przyczyna powrotu do starcia wręcz na polu walki. Ale piechota ma ograniczenia. Ród Corrinów może ponownie doprowadzać swoich sardaukarów do przedarrakańskiej zaciekłości, a i tak nie dotrzymają placu szaleńczej fremieńskiej furii.

Tertio. Klasa techniczna podkopuje planetarny feudalizm, lecz pokłosie Dżihadu Butleriańskiego nadal kładzie tamę technologicznym rewoltom. Techniczne zagrożenie jest możliwe jedynie ze strony Ixan, Tleilaxan i mieszkańców kilku rozproszonych planet zewnętrznych, planetarnych pestek dla karzącego gniewu całej reszty Imperium.

Skutki Dżihadu Butleriańskiego są nieodwracalne. Zmechanizowana wojna wymaga szerokiej klasy technicznej. Atrydzkie Imperium skierowało ten żywioł na inne tory. Żadna liczniejsza klasa techniczna nie pozostaje bez nadzoru, a ustrój Imperium jest niezagrożony. Feudalny, naturalnie, bo to najlepszy ustrój społeczny dla kolonizacji szeroko rozproszonych, dzikich rubieży – nowych planet.

Duncan czuł iskrzenie mentackiej świadomości, w której pamięciowe dane śmigały poza czasem. Do przekonania, że ród Corrinów nie odważy się na *niezgodny z prawem* jądrowy atak, doszedł w błyskowej kalkulacji, głównej ścieżce decyzyjnej, jednak w pełni świadom elementów, które złożyły się na to przekonanie.

Imperium ma tyle broni nuklearnej i pochodnej, co wszystkie wysokie rody razem wzięte. Przynajmniej połowa wysokich rodów zareaguje bez namysłu, jeśli ród Corrinów złamie konwencję. Ogromne siły wesprą atrydzki pozaplanetarny system odwetowy, i to bez wzywania kogokolwiek. Strach ich wezwie. Salusa Secundus ze swoimi sojusznikami rozplynie się w obłokach pary. Ród Corrinów nie zaryzykuje takiej hekatombi. Z pewnością szczerze podpisują się pod uzasadnieniem, że trzymanie broni jądrowej w odwodzie służy jednemu: obronie ludzkości, gdyby kiedykolwiek doszło do spotkania z wrogą „obcą inteligencją”.

Kalkulacyjne myśli miały wyraźne kontury, ostry rysunek. Żadnych rozmazanych ubytków obrazu.

Alia wybiera porwanie i terror, ponieważ stała się obca, nieatrydzka. Ród Corrinów stanowi zagrożenie, ale bynajmniej nie w takim sensie, jak Alia przedstawiła na zebraniu rady. Alia zażądała usunięcia lady Jessiki, bo ta bystra Bene Gesserit dostrzegła to, co dla niego dopiero teraz stało się jasne.

Idaho ocknął się z mentackiego transu i napotkał chłodny, taksujący wzrok stojącej przed nim Alii.

– Nie wolałabyś, żeby lady Jessikę pozbawić życia? – zapytał.

Obcy przebłysk na mgnienie oka zdradził mu jej radość, którą natychmiast pokryła udawanym gniewem.

– Duncan!

Tak, ta obca Alia woli matkobójstwo.

– Ty się boisz matki, a nie boisz o nią – rzekł.

Nic się nie zmieniło w jej taksującym spojrzeniu.

– Jasne, że się jej boję – powiedziała. – Doniosła o mnie zgromadzeniu.

– O czym ty mówisz?

– Nie wiesz o największej pokusie Bene Gesserit? – Uwodzicielsko przysunęła się do niego i spojrzała spod rzęs. – Chciałam tylko zachować siły i bystrość umysłu dla dobra bliźniąt.

– Pokusa, powiadasz – zauważył bezbarwnym głosem mentata.

– To coś, co zgromadzenie trzyma w największej tajemnicy, czego one najbardziej się boją. Dlatego nazywają mnie Złym Duchem. Wiedzą, że ich zakazy mnie nie powstrzymają. Pokusa – zawsze wypowiadają to z przesadną afektacją – Wielka Pokusa. Bo widzisz, my, stosujący nauki Bene Gesserit, potrafimy oddziaływać na takie rzeczy, jak wewnętrzna regulacja enzymowej homeostazy w naszych ciałach. To pozwala zachować młodość... o wiele dłużej niż melanż. Wyobrażasz sobie konsekwencje, gdyby Bene Gesserit robiły to masowo? To by nie uszło uwagi. Nie wątpię, że kalkulujesz ścisłość tego, co mówię. Melanż czyni nas ofiarami bardzo wielu spisków. Panujemy nad substancją, która przedłuża życie. A jeśli wyjdzie na jaw, że Bene Gesserit władają jeszcze potężniejszym sekretem? Sam widzisz! Żadna Matka Wielebna nie będzie bezpieczna. Porywanie i torturowanie Bene Gesserit będzie najpowszedniejszym zajęciem.

– Dokonałaś tej enzymowej kompensacji. – To było stwierdzenie, nie pytanie.

– Sprzeciwiłam się zgromadzeniu! Donosy mojej matki zrobią z Bene Gesserit najwierniejsze sojuszniczki rodu Corrínów.

„Bardzo to zręczne” – przyznał w duchu.

– Ale chyba twoja rodzona matka nie wystąpi przeciw tobie! – dolał oliwy do ognia.

– Była Bene Gesserit na długo przed tym, zanim została moją matką. Duncan, ona pozwoliła, żeby jej syna, mojego brata, poddać próbie gom dżabbar! Sama ją urządziła! Wiedząc, że on może nie przeżyć! Bene Gesserit zawsze cierpiały na niedostatek wiary i nadmiar pragmatyzmu. Wystąpi przeciwko mnie, jeśli uzna, że to będzie dla dobra zgromadzenia.

Pokiwał głową. Alia była bardzo przekonująca. I bardzo smutna była ta myśl.

– Musimy zachować inicjatywę – powiedziała Alia. – To nasza najbardziej zabójcza broń.

– Jest kłopot z Gurneyem Halleckiem – rzekł. – Czy muszę zabić najlepszego przyjaciela?

– Gurney poleciał w głąb pustyni na przeszpiegi – odparła, wiedząc, że Idaho też wie o tym. – Zaszył się gdzieś daleko.

– Bardzo dziwne – rzekł. – Gubernator regent Kaladanu chłopcem na przeszeptu na Arrakis.

– Czemu nie? Jest jej kochankiem... jeśli nie w życiu, to w marzeniach.

– Tak, oczywiście.

Zdumiał się, że Alia nie słyszy nieszczerości w jego głosie.

– Kiedy ją porwiesz? – zagadnęła.

– Lepiej, żebyś nie wiedziała.

– Tak... tak, rozumiem. Gdzie ją ukryjesz?

– Tam gdzie jej nie znajda. Bądź pewna, że nie zostanie tutaj, by ci zagrażać.

Nie można było nie rozpoznać radości w oczach Alii.

– Ale gdzie...

– Jeśli nie będziesz wiedziała, to w razie potrzeby odpowiesz przed Prawdomówczynią, że nie wiesz, gdzie ona jest.

– Aaach, sprytnie, Duncan.

„Teraz wierzy, że zabije lady Jessikę” – pomyślał. I usłyszał swój głos:

– Żegnaj, ukochana.

Nie uловиła finalnej nuty, jeszcze dała mu całusa na drogę.

Pokonując podobny do siczowych labirynt świątynnych korytarzy, Idaho całą drogę pocierał oczy. Tleilaxańskie oczy nie były uodpornione na łzy.



*Kochaliście Kaladan,
Oplakaliście pana,
Tylko ból sprawia,
Że nowym kochankom
Wtórują duchy.*

– refren z *Lamentu Habbanji*

Stilgar w czwórnasób zwiększył siczowe straże bliźniąt, ale wiedział, że nic to nie da. Leto był kubek w kubek jak jego dziadek, po którym nosił imię. Zauważał to każdy, kto znał atrydzkiego księcia.

Owszem, chłopak sprawiał wrażenie rozsądnego, nawet ostrożnego, jednak należało zrewidować to wrażenie maskujące dzikość i skłonność do ryzykownych decyzji.

Ganima przypominała bardziej Chani. Miała włosy rude po matce, oczy matki i coś z jej przemyślnego wyrachowania, z jakim dostosowywała się do trudności. Często powtarzała, że robi tylko to, co musi, ale za Leto szła wszędzie. A Leto zamierzał poprowadzić ich na spotkanie z niebezpieczeństwem.

Stilgar ani myślał iść ze swoim problemem do Alii. To wykluczało Irulanę, która do Alii latała ze wszystkim, co popadło. Tak postanowiwszy, naib zdał sobie sprawę, że tym samym dopuszcza możliwość, że Leto właściwie osądził Alię.

„Bez skrupułów i bez litości wykorzystuje ludzi – pomyślał. – Nawet Duncana wykorzystuje w taki sposób. Nie trzeba wiele, żeby wzięła się do mnie i mnie zabiła. *Usunęła mnie*”.

Na razie wzmocniono strażę, a spowity płaszczem Stilgar niby wszędobyłski duch krążył po siczy. W jego głowie trwał nieustanny zamęt – plon zasianych przez Leto wątpliwości. Skoro nie można się opierać na tradycji, to gdzie jest opoka, na której człowiek ma budować swoje życie?

Ganimę z babką Stilgar wypatrzył po południu dnia konwokacji powitalnej lady Jessiki. Stały obok wejścia do wielkiej siczowej sali zgromadzeń. Było wcześniej, Alia jeszcze nie przybyła, ale Fremeni już napływali tłumnie do sali, obrzucając mijaną kobietę z dziewczynką ukradkowymi spojrzeniami.

Stilgar przystanął w mrocznej niszy i obserwował je, ale nie mógł podsłuchać ich rozmowy ginącej w szumie ludzkiego mrowiska. Tego dnia Fremeni z licznych plemion witali tu swoją dawną Matkę Wielebną. Jednak Stilgar jak urzeczony wpatrywał się w Ganimę. Te oczy, to rozhasanie oczu małej rozmówczyni! Hipnotyzowały go swoim płasem. Ciemnobłękitne, śmiałe, bystre, uważne oczy. I jeszcze to potrząśnięcie głową, z jakim Ganim odrzucała rudozłote włosy z ramienia – wykapana Chani. Chani jak żywa, podobna jak dwie krople wody.

Stilgar wolno podszedł bliżej i zajął pozycję w następnej niszy.

Obserwacyjny nawyk małej nie kojarzył mu się z żadnym innym dzieckiem – z wyjątkiem jej brata. Gdzie jest Leto? Naib obejrzał się na zatłoczony korytarz. Straże podniosłyby alarm, gdyby coś było nie tak. Pokręcił głową. Te bliźniacze gagatki robiły mu piasek z mózgu. Bez ustanku naruszały spokój ducha. Niemal je znienawidził. Krewni nie są wyjęci spod nienawiści, ale więzy krwi (i jej drogocennej wody) wymagają

przymykania oczu na większość innych problemów. Te bliźnięta to jego najświętszy obowiązek.

Zrudziało od pyłu światło z przepastnej auli padało z tyłu na Ganime i Jessikę. Jasność spływała na ramiona, na nową, białą szatę dziewczynki, rozświetlając jej włosy, ilekroć obracała się, żeby zerknąć na tłum, który ciągnął korytarzem.

„Dlaczego Leto zasiał we mnie wątpliwości?” – zastanawiał się Stilgar. Było jasne, że zrobił to umyślnie. „Może chciał, żebym zaznał maleńkiej cząstki jego umysłowego wtajemniczenia?” Stilgar wiedział, dlaczego bliźnięta różnią się od innych, ale jakoś nigdy nie potrafił tego objąć swoim rozumem. Nigdy nie doświadczył macicy jako więzienia dla przebudzonej świadomości – jaźni żywej od drugiego miesiąca ciąży, jak mówiono.

Kiedyś Leto powiedział, że jego pamięć jest jak „wewnętrzny hologram, który od tamtego wstrząsu przebudzenia rozszerza się w układzie wymiaru i szczegółu, nigdy nie zmieniając konturu ani kształtu”.

Stilgar patrzył na Ganime i lady Jessikę i po raz pierwszy zaczynał pojmować, jak to jest żyć w takiej splątanej sieci pamięci, nie mogąc się wyrwać ani zaszyć w jakiejś umysłowej mysiej dziurze. Człowiek w takim położeniu musi przyswajać szaleństwo, wybierać lub odrzucać spośród nieprzebranych możliwości układu, w którym odpowiedzi zmieniają się równie szybko jak pytania.

Nie ma stałości tradycji. Nie ma jednoznacznych odpowiedzi na wieloznaczne pytania. Co działa? To, co nie działa. Co nie działa? To, co działa. Stilgar akceptował tę formułę. To była tradycyjna fremieńska zgadywanka.

Pytanie: Co odbiera i daje życie?

Odpowiedź: Kurzawa Coriolisa.

„Dlaczego Leto chce, żebym ja to rozumiał?” – zapytał sam siebie.

Z tego, co delikatnie z nich wyciągnął, naib wiedział, że bliźnięta mają taki sam pogląd na swoją odmienność: uważały to za rodzaj choroby. „Dla kogoś takiego kanał rodny jest kanałem ściekowym” – pomyślał Stilgar.

Nieświadomość łagodzi wstrząs pewnych doznań, lecz oni byli świadomi porodu. Jak by to było wieść życie, wiedząc wszystko o wszystkim, co się może źle skończyć? Toczyłbyś nieustanną wojnę z wątpliwościami. Przeklinałbyś swoją odmienność. Z przyjemnością dałbyś innym chociażby posmakować tej odmienności. „Dlaczego ja?” byłoby twoim pierwszym pytaniem bez odpowiedzi.

„A sam jakie zadaję sobie pytanie?” – pomyślał Stilgar. Krzywy uśmiech przemknął mu po wargach. „Dlaczego ja?”

Patrząc na bliźnięta nowym okiem, rozumiał łatwość, z jaką ryzykowały skrócenie młodych karków. Raz zwięźle ujęła to Ganim, kiedy ją złajał za wspinaczkę zachodnią ścianą na krawędź urwiska siczy Tabr: „Dlaczego mam się lękać śmierci? Już tam przecież byłam... wiele razy”.

„Jak mogę mieć czelność pouczać takie dzieci? – pomyślał Stilgar. – Jak ktokolwiek może?”

O dziwo, podobnym torem biegły myśli Jessiki rozmawiającej z wnuczką. Myślała o tym, jak trudno jest posiadaczowi dojrzałego umysłu w niedojrzałym ciele. Umysł wie, co potrafi ciało, które to musi się tego dopiero uczyć, dostrajając reakcje i odruchy.

Bliźnięta miały dostęp do prana i bindu, starodawnego drylu Bene Gesserit, ale nawet w tym transie umysł poszybuje tam, gdzie ciało nie zdoła. Gurney otrzymał od niej wyjątkowo trudne zadanie.

– Stilgar nas obserwuje z niszy – powiedziała Ganim.

Jessika nie obejrzała się. To, co usłyszała w głosie wnuczki, wprawilo ją w osłupienie. Mała kochała starego Fremena jak ojca. Kochała go, chociaż wyrażała się o nim pobłaźliwie i podśmiewała z niego.

Pod wpływem swego odkrycia Jessika zobaczyła starego naiba w nowym świetle, objawiającym istotę tego, co łączy go z bliźniętami. Zdała sobie sprawę, że ta nowa Arrakis nie pasuje do Stilgara. Ani ten nowy wszechświat do jej wnuków.

Ni z tego, ni z owego przyszedł jej do głowy aforyzm Bene Gesserit: „Podejrzewając swoją śmiertelność, zaznajemy początku grozy; upewniając się, że jesteśmy śmiertelni, zaznajemy jej końca”.

Tak, jarzmo śmierci nie ciąży Stilgarowi ani bliźniętom – to życie przypieka ich na wolnym ogniu. To świat, jaki zastali, uwiera ich, więc łakną przestrzeni zmian zaznawalnych bez grozy. Oni są dziećmi Abrahama i więcej wyczytują z lotu jastrzębia nad pustynią niż z jakiegokolwiek dotychczas napisanej księgi.

Nie dalej jak tego ranka, nad kanatem płynącym u podnóża siczy, Leto wprawił Jessikę w zakłopotanie. Przystanąwszy, powiedział: „Woda więzi nas, babciu. Lepiej byśmy się mieli, żyjąc jako pył, bo wtedy wiatr unosiłby nas ponad najwyższe urwiska Muru Zaporowego”.

Mimo że obeznana z mądrościami płynącymi z ust tych dzieciaków, Jessica była wstrząśnięta. Zachowała jednak twarz, stwierdziwszy: „Twój ojciec mógłby powiedzieć coś takiego”.

Leto podrzucił garść piasku i patrzył, jak opada.

„Tak, mógłby – rzekł. – Ale ojciec nie brał wtedy pod uwagę, jak szybko woda sprawia, że wszystko spada na ziemię, z której się uniosło”.

Stojąc teraz obok Ganimy w siczy, Jessica ponownie odczuła siłę tych słów. Obejrzała się na napływający ciągle tłum, zawadziła wzrokiem o cień Stilgara w niszy. Stilgar nie jest oswojonym ptakiem, który potrafi tylko przynosić patyki do budowy gniazda. Wciąż jest jastrzębiem. Kiedy myśli o czerwieni, widzi nie kwiatki, lecz krew.

– Jakbyś nagle zamarła – zauważyła Ganimą. – Coś się stało?

Jessika pokręciła głową.

– Nic. Tylko Leto powiedział coś dziś rano.

– Kiedy poszłicie do zasiewów? Co powiedział?

Jessice przypomniał się osobliwy wyraz dojrzałej mądrości goszczący wówczas na twarzy Leto. Taki sam, jaki w tej chwili zagościł na twarzy Ganimy.

– Wspominał dzień, w którym Gurney wrócił od przemytników pod sztandar Atrydów – odparła.

– Więc rozmawialiście o Stilgarze – stwierdziła Ganimą.

Jessika nie dociekała, skąd się bierze ten szósty zmysł. Wyglądało na to, że bliźnięta potrafią na zawołanie powielać swój tok myślenia.

– Tak, o Stilgarze – przyznała. – Że z niezadowoleniem słuchał, jak Gurney tytułuje... Paula swoim księciem. Ale obecność Gurneya narzuciła to wszystkim Fremenom. Gurney wszędzie wtykał to „mój książę”.

– Rozumiem – powiedziała dziewczynka. – I, rzecz jasna, Leto zauważył, że ojciec nie był jeszcze księciem Stilgara.

– Zgadza się.

– Oczywiście wiesz, co on z tobą robił?

– Prawdę mówiąc, nie – odparła Jessica wyjątkowo zirytowana tym wyznaniem, ponieważ nie przyszło jej do głowy, że Leto w ogóle cokolwiek z nią robił.

– Próbował wykrzesać z ciebie wspomnienia o naszym ojcu – wyjaśniła Ganimą. – Leto jest zawsze spragniony wiedzy o ojcu, o tym, jaki był w oczach tych, którzy go znali.

– Ale... czy Leto nie ma...

– Och, może słuchać głosu jaźni. Naturalnie. Ale to nie to samo. Mówiłaś o nim, rzecz jasna. To znaczy, o naszym ojcu. Mówiłaś o nim jako twoim synu.

– Tak – ucięła Jessica.

Nie w smak jej była świadomość, że para dzieciaków według swego widzimisię może otwierać ją i zamykać, odsłaniać jej wspomnienia do wiwisekcji, trącać strunę każdego uczucia, które budziło ich ciekawość. Być może Ganima robi to w tej chwili!

– Leto powiedział coś, co cię zdenerwowało – stwierdziła Ganima.

Konieczność stłumienia gniewu wstrząsnęła Jessiką.

– Tak... zrobił to.

– Nie podoba ci się fakt, że on zna naszego ojca, jak znała go nasza matka, i zna naszą matkę, jak znał ją nasz ojciec – powiedziała Ganima. – Nie podoba ci się ciąg dalszy: co my możemy wiedzieć o tobie.

– Doprawdy nigdy nie myślałam o tym w ten sposób – odparła Jessica, słysząc chłód w swoim głosie.

– Ludzi zwykle denerwuje nasza znajomość spraw zmysłowych – rzekła dziewczynka. – To kwestia twego uwarunkowania. Niezwykle trudno ci pomieścić w głowie, że my wcale nie jesteśmy dziećmi. A wszystko, co nasi rodzice robili publicznie czy prywatnie, nie stanowi dla nas tajemnicy.

Przez chwilę Jessica czuła, że – tak jak nad kanatem – wszystko się w niej buntuje, tyle że teraz przeciwko Ganimie.

– Pewnie chlapnął coś o „chutliwej zmysłowości” twojego księcia – powiedziała Ganima. – Leto niekiedy prosi się o kłódkę na głowę.

„Czy dla tych bliźniąt nie ma żadnej świętości?” – pomyślała Jessica, przechodząc od szoku przez wściekłość do odrazy. Jak one śmiały mówić o chuci jej Leto? Oczywiście, że mężczyzna i kobieta zażywają rozkoszy cielesnej miłości. Są to sprawy intymne i piękne, tego się nie wywleka w przygodnej rozmowie dziecka z dorosłym.

„Dziecka z dorosłym!”

Jessika nagle zdała sobie sprawę, że ani Leto, ani Ganima nie zrobili tego przez przypadek.

– Zgorszyliśmy cię – powiedziała Ganima, widząc, że jej babka milczy. – Przepraszam za nas oboje. Znając Leto, wiem, że nie wziął przeprosin pod uwagę. Kiedy podąża jakimś tropem, czasami zapomina, jak bardzo inni jesteśmy... niż ty, na przykład.

„I dlatego oboje to robicie, rzecz jasna – pomyślała Jessika. – Nauczacie mnie!” I zadała sobie pytanie: „Kogo jeszcze nauczacie? Stilgara? Duncana?”

– Leto stara się widzieć rzeczy tak, jak ty je widzisz – powiedziała Ganimi. – Wspomnienia to za mało. Najczęściej zawodzimy właśnie wtedy, kiedy najbardziej się staramy.

Jessika westchnęła.

Ganimi dotknęła ramienia babki.

– Twój syn nie dopowiedział wielu rzeczy, które trzeba jeszcze powiedzieć, nawet tobie. Wybacz nam, ale on cię kochał. Nie wiesz o tym?

Jessika odwróciła głowę, żeby ukryć łzy błyszczące w oczach.

– Znał twoje obawy – rzekła Ganimi. – Znał też obawy Stilgara. Kochany Stil. Nasz ojciec był jego „lekarzem zwierząt”, a Stil to ten mały ślimak schowany w muszli. – Zanuciła hymn, z którego zaczerpnęła porównania.

Melodia bezlitośnie zarzuciła świadomość Jessiki słowami.

*O, lekarzu zwierząt,
U muszli ślimaka,
Gdzie cud się płochy skrył
Przed okiem śmierci,
Ty stajesz jako bóg!
Nawet ślimak wie,
Że bóg niesie śmierć,
Że lek sprawia ból,
A niebo widać
Przez bramy ognia.
O, lekarzu zwierząt,
Ja, człowiek ślimak, widzę,
Jak jednym okiem
Zaglądasz do mej muszli!
Dlaczego, Muad'Dibie?*

– Niestety – powiedziała Ganimi – nasz ojciec pozostawił na tym świecie mnóstwo ludzi ślimaków.



Założenie, że ludzie istnieją na niestałym w samej rzeczy świecie, przyjęte za regułę działania, wymaga, aby intelekt stał się aktywnie świadomym instrumentem równowagi. Intelekt nie może jednak reagować w oderwaniu od całego organizmu. Taki organizm możemy rozpoznać po jego gorączkowym, ożywionym zachowaniu. Nie inaczej jest ze społeczeństwem traktowanym jako organizm. Ale tu napotykamy starodawną inercję. Społeczeństwa działają pod wpływem bardzo starych reaktywnych bodźców. Potrzebują stałości. Każda próba przedstawienia niestałości świata uruchamia mechanizmy odrzucenia, strach, gniew i rozpacz. Jak zatem wyjaśnić akceptację jasnowidztwa? Prosto: jako że objawiciel proroczych wizji przedstawia ostateczny (stały) kształt rzeczywistości, ludzkość przyjmuje go z radością, nawet gdy przepowiada najstraszliwsze wydarzenia.

– *Księga Leto* według Harka al-Ady

– To jest jak walka po omacku – stwierdziła Alia.

Przemierzała nerwowymi krokami Salę Rady od srebrzystych zasłon łagodzących poranne słońce we wschodnich oknach do otoman ustawionych pod dekoracyjnymi filunkami ściennymi w drugim końcu pomieszczenia. Jej sandały przemykały po kilimach z przyprawowego włókna, parkiecie, płytkach z olbrzymich almandynów i znowu kilimach. Wreszcie stanęła nad Irulaną i Idaho, którzy siedzieli naprzeciwko siebie na otomanach krytych szarym wielorybim futrem.

Idaho sprzeciwiał się powrotowi z siczy Tabr, lecz przekazała kategoryczne rozkazy. Porwanie Jessiki było teraz ważniejsze niż przedtem, ale musiało poczekać. Potrzebowała jego mentackiej percepcji.

– Wszystko jest skrojone według jednego szablonu – powiedziała Alia. – Wszystko śmierdzi dalekosiężnym spiskiem.

– Niekoniecznie – odezwała się Irulana, ale popatrzyła pytająco na Idaho.

Na twarzy Alii odmalowało się jawne szyderstwo. Jak Irulana może być aż tak naiwna? Chyba że... Alia obrzuciła księżnę ostrym, badawczym spojrzeniem.

Żrenice naznaczonych przyprawą oczu Irulany były ciemne jak noszona przez nią skromna, czarna aba. Jasne włosy, ciasno zebrane w węzeł na karku, podkreślały szczupłość twarzy wysuszonej przez lata pobytu na Arrakis. Zachowała dumną postawę wyniesioną z dworu ojca, Szaddama IV, i Alia często miała wrażenie, że ta jej wyniosłość to maska spiskowca.

Idaho siedział swobodnie w czarno-zielonym mundurze atrydzkiej gwardii bez dystynkcji. Tą nonszalancją obrażał wielu gwardzistów, zwłaszcza amazonki Alii, które szczyły się służbowymi naszywkami. Siermiężna prezencja tego gholi, mistrza miecza i mentata drażniła je tym bardziej, że był małżonkiem ich pani.

– Zatem plemiona chcą przywrócenia lady Jessice miejsca w Radzie Regencyjnej – rzekł Idaho. – Jaki to ma...

– Występują z jednomyślnym żądaniem! – Alia wskazała pismo na gofrowanym papierze przyprawowym, leżące obok Irulany na otomanie. – Farad’n to jedno, ale to tutaj... to śmierdzi innymi sojuszami.

– Co na to Stilgar? – spytała Irulana.

– Jego podpis jest na tym świstku! – odparła Alia.

– Ale jeśli on...

– Jak mógłby odmówić matce swojego boga? – zadrwiła Alia.

Idaho podniósł na nią wzrok, myśląc: „To było strasznie bliskie pójścia z Irulaną na noże”. Ponownie zastanowił się, dlaczego Alia go ściągnęła, wiedząc, że jest potrzebny w siczy Tabr, jeżeli mają przeprowadzić plan porwania. Czy to możliwe, że dowiedziała się o wiadomości, jaką otrzymał od Kaznodziei? Myśl o tym nie dawała mu spokoju. Skąd żebrzący mistyk znał tajemny znak, którym posługiwał się Paul Atryda, wzywając swojego mistrza miecza? Idaho pragnął opuścić jałową naradę i wrócić do szukania odpowiedzi na to pytanie.

– Nie ulega wątpliwości, że Kaznodzieja bawił poza planetą – powiedziała Alia. – Gildia nie ważyłaby się oszukać nas w takiej sprawie. Każę go...

– Ostrożnie! – wtrąciła Irulana.

– Tak, więcej ostrożności – rzekł Idaho. – Połowa planety widzi w nim – wzruszył ramionami – twojego brata. – Miał nadzieję, że wyszło mu to jak najbardziej naturalnie. Skąd ten człowiek znał tajemny znak?

– Ale jeśli on jest kurierem albo szpiegiem tych...

– Nie kontaktował się z nikim z KHOAM ani z rodu Corrinów – powiedziała Irulana. – Możemy być pewni, że...

– Niczego nie możemy być pewni!

Alia nawet nie starała się ukryć lekceważenia. Pokazując Irulanie plecy, obróciła się twarzą do Idaho. On wie, po co tu jest. Dlaczego nie robi tego, co do niego należy? Jest tutaj, bo jest tu Irulana. Nigdy nie wolno zapomnieć historii, która sprowadziła księżną z rodu Corrinów pod dach Atrydów. Kto

raz zmienił stronę, może ją zmienić po raz drugi. Duncan ze swymi zdolnościami mentata powinien wyłowić fałsz, ledwie dostrzegalne odchyłki w zachowaniu Irulany.

Idaho poruszył się i spojrzał na Irulanę. Chwilami mierziły go proste determinanty wpisane w rolę mentata. Wiedział, co myśli Alia. Irulana pewnie też wiedziała. Ale ta księżna, małżonka Paula Muad'Diba, przezwyciężyła determinanty stawiające ją niżej od królewskiej konkubiny Chani. Ponad wszelką wątpliwość jest oddana królewskim bliźniętom. Wyparła się rodziny i Bene Gesserit, oddając się Atrydom.

– Moja matka macza palce w tym spisku! – zaperzyła się Alia. – Z jakiego innego powodu zgromadzenie podrzuciłoby ją nam z powrotem akurat w tym czasie?

– Histeria nic nam nie da – rzekł Idaho.

Alia odwróciła się od niego jak oparzona, tak jak się spodziewał. Ulżyło mu, że nie musi patrzeć na te ukochane kiedyś rysy, jakże teraz odmienione przez obcego ducha.

– No cóż – odezwała się Irulana – Gildia nie zasługuje na całkowite zaufanie...

– Gildia! – prychnęła Alia.

– Nie możemy wykluczyć wrogości Gildii ani Bene Gesserit – powiedział Idaho. – Ale musimy je zaszeregować do szczególnej kategorii praktycznie biernych przeciwników. Gildia trzyma się swojej naczelnej zasady: „Nigdy u władzy”. Oni są pasożytniczą naroślą i dobrze o tym wiedzą. Nie przyłożą ręki do zabicia swojego żywiciela.

– Ich pojęcie żywiciela może się różnić od naszego – wycodziła Irulana. W jej wydaniu był to szczyt szyderstwa, ten rozwlekły głos, jakby mówiła: Trafiłeś kulą w płot, mentacie.

Alia sprawiała wrażenie zaskoczonej. Nie spodziewała się, że Irulana poruszy ten temat. Spiskowiec nie życzyłby sobie, żeby rozpatrywano taki punkt widzenia.

– Bezsprzecznie – przyznał Idaho. – Ale Gildia nie wystąpi otwarcie przeciwko rodowi Atrydów. Z drugiej strony, zgromadzenie mogłoby zaryzykować jakiś przewrót polityczny, który...

– Jeśli nawet, to pod przykrywką: rękami osoby albo osób, od których łatwo się odciąć – powiedziała Irulana. – Nie myśl, że Bene Gesserit istnieje długie stulecia, nie wiedząc, że warto pozostawać w cieniu. Woli stać za tronem, niż na nim zasiadać.

„Pozostawać w cieniu?” – powtórzyła w myślach Alia. Czy to wybrała Irulana?

– Dokładnie to samo twierdzą o Gildii – rzekł Idaho. Konieczność dowodzenia i obrony swoich racji dobrze mu robiła. Odrywała umysł od innych problemów.

Alia zamaszystym krokiem wróciła pod wypełnione słońcem okna. Znała mentacki martwy punkt Idaho, mieli go wszyscy mentaci. Musieli wygłaszać sądy. Stąd brała się ich zależność od prawd absolutnych, zrozumienie zamknięte w granicznych wartościach. Sami mieli tego świadomość. Był to element ich szkolenia. A jednak w działaniu wychodzili poza ograniczające ich parametry.

„Powinnam zostawić go w siczy Tabr – pomyślała Alia. – Lepiej byłoby po prostu przekazać Irulanę Dżawidowi”.

– *Właśnie!* – usłyszała dudniący głos w czaszce.

„Zamilcz! Zamilcz! Zamilcz!” – powtórzyła w myśli.

Łatwo było o niebezpieczną pomyłkę, tymczasem nie potrafiła rozpoznać niebezpieczeństwa. Przeczuciwała je tylko. Idaho musi pomóc jej wybrnąć z tej trudnej sytuacji. Jest mentatem. Mentaci są niezbędni. Ludzki komputer zastąpił mechaniczne urządzenia zniszczone przez Dżihad Butleriański. „Nie będziesz czynił machin na obraz i podobieństwo umysłu ludzkiego!” Alia chciałaby teraz mieć taką usługową maszynę. Były im obce ograniczenia Idaho. Nie można nie ufać maszynie.

Doszedł ją rozwlekły głos Irulany.

– Finta fintę fintą w fencie pogania – powiedziała księżna. – Wszyscy znamy powszechnie akceptowaną taktykę ataku na sprawujących władzę. Nie mam pretensji do Alii za jej podejrzenia. Podejrzewa, naturalnie, wszystkich... nawet nas. Jednak odłóżmy to chwilowo na bok. Co nam pozostaje jako główne targowisko motywów, najobfitsze źródło zagrożenia dla regencji?

– KHOAM – rzekł Idaho beznamiętnym głosem mentata.

Alia pozwoliła sobie na ponury uśmiech. Konsorcjum Honnete Ober Advancer Mercantiles! Ale ród Atrydów z pięćdziesięcioma jeden procentami udziałów kontrolował KHOAM. A kapłan Muad’Diba posiadał następne pięć procent akcji; to wyraz pogodzenia się wysokich rodów z faktem, że Diuna ma monopol na bezcenny melanż. Nie bez powodu przyprawę często nazywano tajną walutą. Bez melanżu statki Gildii Kosmicznej nie mogły przemierzać przestrzeni. Melanż wywoływał „trans

nawigacyjny”, w którym nawigator „widział” transświetlną drogę, nim została ona przebyta. Bez melanżu i melanżowego wzmocnienia układu immunologicznego człowieka średnia długość życia bardzo bogatych ludzi zmniejszała się co najmniej czterokrotnie. Nawet ogromna klasa średnia Imperium minimum raz dziennie spożywała szczyptę rozcieńczonego melanżu.

Niemniej Alia usłyszała w głosie Idaho wyczekiwany z ogromną nadzieją ton mentackiej prawdomówności. KHOAM. Konsorcjum Honnete to dużo więcej niż ród Atrydów, dużo więcej niż Diuna, dużo więcej niż kapłanat czy melanż. KHOAM to krwawin, wielorybie futro, szigastruna, ixańskie artefakty i artyści, handel ludźmi i siedzibami, hadżdż, cuda lawirującej na granicy prawa tleilaxańskiej techniki, to uzależniające narkotyki i zdobycze medycyny, to transport (Gildia, i cały wielowymiarowy rynek Imperium obejmującego tysiące znanych planet oraz trochę takich, którym w zamian za świadczone usługi pozwalano bogacić się cichaczem gdzieś na rubieżach.

Wspominając o KHOAM, Idaho mówił o nieustannym fermencie, spisku w spisku, grze sił, w której przesunięcie o jedno miejsce dwunastkowego przecinka w warunkach oprocentowania może spowodować zmianę własności całej planety.

Alia ponownie stanęła nad siedzącą na otomanach parą.

– Coś konkretnego niepokoi was w KHOAM? – zapytała.

– Pewne rody wciąż na potęgę gromadzą spekulacyjne zapasy melanżu – powiedziała Irulana.

Alia uderzyła się dłońmi po udach, po czym wskazała wytłaczany papier przyprawowy koło Irulany.

– Nie intryguje was, że to żądanie, w takiej postaci...

– Dobra! – warknął Idaho. – Karty na stół. Co ukrywasz? Odmawiając mi informacji, nie możesz wymagać, żebym się bawił w...

– Wielce znamienny jest niedawny wzrost handlu ludźmi czterech szczególnych specjalności – przerwała mu Alia.

Nie była pewna, czy dla tych dwojga to rzeczywiście będzie nowina.

– Jakich? – spytała Irulana.

– Mistrzów miecza, wypaczonych mentatów z Tleilaxa, uwarunkowanych medyków z Akademii Suk i rachmistrzów kapitału finansowego, przede wszystkim tych ostatnich. Skąd ten nagły popyt na podejrzaną rachunkowość? – Pytanie skierowała do Idaho.

„Postępuj jak mentat” – pomyślał Idaho. Cóż, lepsze to niż roztrząsanie opętania Alii. Skupił się na jej słowach, przetwarzając je w typowy dla mentata sposób.

„Mistrzowie miecza?” Kiedyś jego profesja. Mistrz miecza to, rzecz jasna, więcej niż zwykły wojownik. Potrafi naprawiać tarcze obronne, planować kampanie, projektować instalacje wojskowe, improwizować broń.

„Wypaczeni mentaci?” Tleilaxanie, jakżeby inaczej, obstawali przy tej mistyfikacji. Jako mentat Idaho na własnej skórze doświadczył kruchości zabezpieczeń tleilaxańskiego „wypaczenia”. Wysokie rody kupują takich mentatów, licząc, że będą ich całkowicie kontrolować. Akurat! Nawet Piter de Vries, który służył Harkonnenom w czasie ataku na ród Atrydów, do końca zachował minimum godności i wolał umrzeć, niż wyrzec się swej istoty.

„Lekarze z Akademii Suk?” Ich uwarunkowanie rzekomo wyklucza nielojalność wobec właścicieli. Tacy medycy kosztują majątek. Zwiększone ich zakupy powodują wzrost przepływu kapitałów. Idaho zestawiał te fakty z przyrostem liczby rachmistrzów kapitału finansowego.

– Prymarna kalkulacja – powiedział, sygnalizując bezwzględną pewność, że podaje indukcyjne fakty. – Ostatnio rośnie zamożność niskich rodów. Niektóre musiały po cichu dążyć do statusu wysokiego rodu. Takie bogactwo mogły im zapewnić tylko konkretne zmiany politycznych sojuszków.

– W końcu dochodzimy do Landsraadu – powiedziała Alia, wyrażając swe przekonanie.

– Najbliższa sesja Landsraadu jest za prawie dwa standardowe lata – przypomniała jej Irulana.

– Ale polityczne targi nigdy nie ustają – odparła Alia. – I ręczę, że kilka z tych plemion sygnatariuszy – wskazała dokument koło księżnej – znajduje się w gronie niskich rodów, które zmieniły sojusz.

– Być może – przyznała Irulana.

– Landsraad – powtórzyła Alia. – Czy może być lepsza przykrywka dla Bene Gesserit? Albo lepsza agentka Bene Gesserit niż moja matka? – Stała przed Idaho. – Co, Duncan?

„Dlaczego nie postępować jak mentat?” – pomyślał Idaho. Już wiedział, co tkwi na dnie podejrzeń Alii. W końcu przez wiele lat był osobistym strażnikiem lady Jessiki.

– Duncan? – ponagliła go Alia.

– Powinnaś wziąć pod lupę wszelkie opinie jurystów przygotowywane na najbliższą sesję Landsraadu. Mogli ustalić, że w obecnym stanie prawnym regencja nie może wetować pewnych ustaw, w szczególności regulacji podatkowych i kartelowych. Są też inne...

– Postawią na niewłaściwego konia, jeśli zajmą takie stanowisko – stwierdziła Irulana.

– Fakt – zgodziła się Alia. – Sardaukarzy stracili kły, my zaś wciąż mamy nasze legiony Fremenów.

– Uważaj, Alia – przestrzegł ją Idaho. – Robiąc z siebie potwory, sprawimy naszym wrogom największą radość. Bez względu na to, ile masz legionów, władza w tak rozproszonym Imperium ostatecznie opiera się jedynie na tym, że jest powszechnie tolerowana.

– Powszechnie tolerowana? – zdziwiła się Irulana.

– Masz na myśli, że jest tolerowana przez wysokie rody – powiedziała Alia.

– A ile wysokich rodów stawia nam czoło w tym nowym sojuszu? – zapytał Idaho. – Pieniądz gromadzi się w niewiadomych miejscach!

– Na rubieżach? – spytała Irulana.

Idaho wzruszył ramionami. To było pytanie bez odpowiedzi. Wszyscy podejrzewali, że kiedyś Tleilaxanie czy inne techniczne majsterklepki z rubieży Imperium odeślą do lamusa zjawisko Holtzmana. Tego dnia tarcze staną się bezużyteczne. Zawali się cała delikatna równowaga utrzymująca planetarne lenna.

Alia nie brała pod uwagę tej możliwości.

– Wystarczy nam to, co mamy – powiedziała. – A mamy powszechne przekonanie w radzie zarządzającej KHOAM, że jeśli przyprą nas do muru, możemy zniszczyć przyprawę. Nie pójdą na takie ryzyko.

– Wracamy do KHOAM – zauważyła Irulana.

– Chyba że komuś udało się odtworzyć na innej planecie cykl od piaskowej troci do czerwia pustyni – rzekł Idaho. Spojrzał pytająco na Irulanę. – Salusa Secundus?

– Tu możemy polegać na moich koneksjach – odparła księżna. – Nie Salusa.

– Stało się więc na moim. – Alia utkwiała wzrok w Idaho. – Wystarczy nam to, co mamy.

„Mój ruch” – pomyślał mentat.

– Dlaczego oderwałaś mnie od pilnej roboty? To wszystko mogłaś sobie wykombinować sama.

– Nie do mnie takim tonem! – warknęła Alia.

Idaho szeroko otworzył oczy. Przez chwilę widział rysy obcej osoby na twarzy Alii i nie był to przyjemny widok. Spojrzał na Irulanę, lecz ona tego albo nie widziała, albo nie chciała widzieć.

– Niepotrzebna mi nauka abecadła. – Złość obcego wciąż przebijała z głosu Alii.

Idaho zdobył się na smutny uśmiech, lecz ból w sercu pozostał.

– Zajmując się władzą, zawsze będziemy się kręcić wokół bogactwa we wszelkiej jego postaci. – Irulana śpiewnie przeciągnęła samogłoski. – Paul był społeczną mutacją i musimy pamiętać, że jako taki zmienił stary bilans bogactwa.

– Takie mutacje nie są nieodwracalne. – Alia stanęła tyłem do nich, jak gdyby nie odsłoniła już swojej strasznej inności. – Gdziekolwiek jest bogactwo w Imperium, wiedzą o tym.

– Wiedzą również – powiedziała Irulana – że jest troje ludzi, którzy mogliby utrwalić tę mutację: bliźnięta i... – Wskazała Alię.

„Czy one postradały zmysły?” – zdumiał się Idaho.

– Spróbują mnie zamordować! – rzuciła Alia.

Duncan siedział jak skamieniały, ale mentacka karuzela jego świadomości wirowała. Zamordować Alię? Po co? Z dziecinną łatwością mogli ją zdyskredytować. W każdej chwili mogli ją odciąć od fremieńskiej watahy i upolować jak psa. Bliźnięta natomiast... Wiedział, że nie ma w sobie właściwego mentackiego spokoju, żeby się podjąć takiej oceny, ale musiał spróbować. Musiał się postarać o jak największą precyzję. Zarazem jednak wiedział, że precyzyjne rozumowanie operuje niesprecyzowanymi bytami. Natura nie jest precyzyjna. Nie jest precyzyjny wszechświat wyrażony w skali mentata; jest mętny i mglisty, pełen niespodziewanych ruchów i zmian. Do tych kalkulacji trzeba wprowadzić ludzkość jako zjawisko naturalne. A cały proces precyzyjnej analizy odpowiada kawałkowaniu, wycinkowi toczącego się nurtu wszechświata. Trzeba sięgnąć tego nurtu, widzieć go w ruchu.

– Trafnie skupiliśmy się na KHOAM i Landsraadzie – rzekła przeciągle Irulana. – Uwaga Idaho wskazuje tylko, co wziąć na pierwszy ogień w dochodzeniu...

– Pieniądza jako wyrazu energii nie da się oddzielić od energii, którą wyraża – weszła jej w słowo Alia. – To wszyscy wiemy. Ale musimy odpowiedzieć sobie na trzy konkretne pytania: Kiedy? Czym? Gdzie?

„Bliźnięta... bliźnięta – myślał Idaho. – To bliźnięta są w niebezpieczeństwie, nie Alia”.

– Nie interesuje cię „Kto?” ani „Jak?” – spytała Irulana.

– Jeśli ród Corrinów, KHOAM czy inna grupa zechce użyć jakichś ludzi na naszej planecie – powiedziała Alia – to mamy więcej niż sześćdziesiąt procent szans, że wyłapiemy ich, zanim przystąpią do działania. Wiedząc, kiedy i gdzie zamierzają uderzyć, znacznie zwiększamy te szanse. A „Jak?” To po prostu pytanie „Czym?”

„Dlaczego nie widzą tego co ja?” – dziwił się Idaho.

– No dobrze – powiedziała Irulana. – Kiedy?

– Kiedy uwaga będzie skupiona na kimś innym – odparła Alia.

– Była skupiona na twojej matce podczas konwokacji. Nie doszło do zamachu.

– Nie to miejsce – stwierdziła Alia.

„Co ona wyprawia?” – zadawał sobie pytanie Idaho.

– Gdzie w takim razie? – spytała księżna.

– Tutaj, w twierdzy. W miejscu, gdzie czuję się najbezpieczniej i najmniej mam się na baczności.

– Czym?

– Typową bronią... czymś, co Fremeni mógłby mieć przy sobie: zatrutym krysnożem, pistoletem maula, może...

– Od bardzo dawna nie próbowano grota-gończaka – podsunęła Irulana.

– Jest nieskuteczny w tłumie. A musi być tłum.

– Broń biologiczna?

– Czynniki zakaźne? – Alia nie wierzyła własnym uszom. Jak Irulana mogła przypuszczać, że czynniki zakaźne pokona immunologiczne bariery Atrydki?

– Miałam na myśli raczej świat zwierząt – powiedziała Irulana. – Jakiegoś domowego zwierzęcia wytresowanego do ukąszenia wybranej ofiary i przekazującego przy ukąszeniu truciznę.

– Powstrzymają go pałacowe fretki – odparła Alia.

– To może właśnie fretka?

– Nie da rady. Pałacowe fretki nie przyjmą obcej, zabiją intruza. Przecież wiesz.

– Ja tylko rozważałam możliwości w nadziei, że...

– Uprzedzę moją straż – ucieła Alia.

Gdy z ust Alii padło słowo „straż”, Idaho zakrył dłonią swoje tleilaxańskie oczy, próbując zatrzymać ruszającą centryfugę umysłu. To była Radzaja, pęd nieskończoności wyrażający się życiem, uśpiony stan całkowitego pograżenia się w mentackiej świadomości, który czyhał na każdego mentata. Radzaja zarzuciła jego świadomość niczym sieć na wszechświat, zarysowując pod nią kształty. Złowił wizję przycupniętych w ciemności bliźniąt, nad którymi orały powietrze ogromne pazury.

– Nie – wyszeptał.

– Co? – Alia spojrzała na niego, jakby była zaskoczona, że jeszcze tu siedzi.

Odjął dłoń od oczu.

– Czy szaty, które przysłał ród Corrinów, przekazano już bliźniętom? – zapytał.

– Oczywiście – odparła Irulana. – Są całkowicie bezpieczne.

– Nikt nie porwie się na bliźnięta w siczy Tabr – powiedziała Alia. – Nie przy tej armii wyszkolonych przez Stilgara strażników.

Idaho świdrował ją wzrokiem. Nie miał żadnych danych pozwalających bronić tezy opartej na mentackiej kalkulacji, ale był pewny. Wiedział. To coś, czego doznał, było bardzo bliskie jasnowidzeniu Paula. Ani Irulana, ani Alia nie uwierzą jednak proroczej wizji Duncana Idaho.

– Chciałbym uprzedzić zarząd lądowiska, żeby nie zezwalano na przywóz żadnych obcoświatowych zwierząt – powiedział.

– Chyba nie bierzesz poważnie dywagacji Irulany – sprzeciwiła się Alia.

– Po co ryzykować?

– Powiedz to przemytnikom – odparła. – Mnie wystarczą do obrony pałacowe fretki.

Idaho pokręcił głową. Cóż mogły zwojować pałacowe fretki przeciwko olbrzymim pazurom z jego wizji? Jednak Alia miała rację. Łapówki w odpowiednich miejscach, jeden przychylny nawigator Gildii i gdzie bądź w Strefie Pustki robi się lądowisko. Gildia w żadnym ataku na ród Atrydów nie stanie w pierwszej linii, ale za odpowiednią opłatą... No cóż, trzeba było patrzeć na Gildię jak na rodzaj naturalnej przeszkody terenowej, która utrudnia, ale nie uniemożliwia natarcia. W Gildii zawsze mogą się zarzekać, że są tylko spedytorem. I że nie mogą wiedzieć, komu i do czego posłuży taryfowe cargo.

Alia przerwała milczenie czysto fremeńskim gestem – uniesioną pięścią z poziomo odgiętym kciukiem. Gestowi towarzyszył tradycyjny okrzyk, który oznaczał: „Za Tajfun Walki!”

Najwyraźniej uznała siebie za jedyny logiczny cel asasynów i rzuciła tym gestem wyzwanie światu pełnemu ukrytych zagrożeń. Zapowiadała, że spuści wicher śmierci na każdego, kto się na nią porwie.

Idaho czuł, że wszelki spór z Alią jest daremny. Widział, że ona już go nie podejrzewa. Wyprawiała go ponownie do siczy Tabr, oczekując perfekcyjnie wykonanego porwania lady Jessiki. W przyptywie gniewu podniósł się z otomany, myśląc: „Oby to Alia była celem! Oby to ją dopadli asasyni!”

Przez chwilę ścisnął rękojeść noża, ale nie zdobył się na ten krok. Aczkolwiek męczeńska śmierć byłaby dla niej dużo lepsza niż życie zakończone hańbą i grobem w piasku.

– Tak – powiedziała Alia, błędnie wzięwszy jego gest za wyraz troski o nią. – Lepiej wracaj czym prędzej do Tabr.

„Byłam głupia, podejrzewając Duncana – myślała. – On jest mój, nie Jessiki!”

Usprawiedliwiła się tym, że rozstroiła ją petycja fremeńskich plemion. Beztrosko pomachała Idaho na pożegnanie.

Idaho z rozpaczą w sercu opuścił salę rady. Mało, że Alia była opętana przez obcego ducha, to z każdą krytyczną sytuacją jej obłąd przybierał na sile. Wypłynęła już poza ostrzegawczą boję i nie ma dla niej ratunku. Ale jak ratować bliźnięta? Kogo przekonać? Stilgara? A co takiego Stilgar może zrobić, czego już nie robił?

„Zatem lady Jessika?”

Tak, to jest jakieś wyjście, tylko że Jessika z kolei może tkwić po uszy w spisku swojego zgromadzenia.

Niewiele żywił złudzeń co do tej atrydzkiej konkubiny. Mogła zrobić wszystko na rozkaz Bene Gesserit... nawet wystąpić przeciwko własnym wnukom.



Dobra władza nigdy nie stoi prawami, tylko przymiotami tych, którzy są u władzy. Machina władzy zawsze posłuszna jest woli tych, którzy nią zawiadują. Przeto

najważniejszym elementem władzy jest sposób wyłaniania przywódców.

– *Prawo a władza z Vademecum Gildii Kosmicznej*

„Dlaczego Alia życzy sobie, bym wzięła udział w porannej audyencji? – zachodziła w głowę Jessika. – Nie przegłosowali mojego powrotu do rady”.

Jessika stała w przedsionku Wielkiej Sali twierdzy. Sam przedsionek byłby wielką salą gdziekolwiek poza Arrakis. W miarę kumulacji bogactwa i władzy w Arrakin wznoszono coraz większe gmachy na modłę Atrydów, a to pomieszczenie ucieleśniało złe przeczucia Jessiki. Nie podobał jej się ów przedsionek z podłogową mozaiką przedstawiającą tryumf jej syna nad Szaddamem IV. W polerowanej plastali drzwi Wielkiej Sali zobaczyła odbicie swojej twarzy. Powrót na Diunę wymuszał porównania i Jessika łowiła we własnych rysach oznaki starzenia się: drobne zmarszczki na owalnej twarzy, zimniejszy błękit w oczach. A pamiętała jeszcze białka wokół tego błękitu. Elegancki kasztanowy kolor włosów zawdzięczała jedynie staranności profesjonalnej fryzjerki. Jak dawniej miała mały nos i szerokie usta oraz smukłą wciąż figurę, lecz z upływem czasu nawet wyćwiczone mięśnie Bene Gesserit stawały się wolniejsze. Ktoś mógłby tego nie zauważyć i rzec: „Nic się nie zmieniłaś!” Ale szkolenie Bene Gesserit jest obosieczną bronią: drobne zmiany rzadko umykają tak wyszkolonej uwagi.

I brak drobnych zmian w Alii nie uszedł uwagi Jessiki.

Bardzo pompatyczny tego ranka Dżawid, mistrz ceremonii Alii, stał przed ogromnymi drzwiami. Z cynicznym uśmieszkiem na puciołowatej twarzy wyglądał jak strojny, gotów na każde skinienie dżin. Raził Jessikę jako paradoks: upasiony Fremen.

Zauważywszy jej spojrzenie, uśmiechnął się wymownie i wzruszył ramionami. Jego obecność w świetle Jessiki trwała krótko, co było mu wiadome od początku. Nienawidził Atrydów, lecz był oddany Alii nie tylko duszą, jeśli wierzyć plotkom.

Jessika nie przeoczyła jego gestu. „Nastał wiek wzruszania ramionami – pomyślała. – Dżawid wie, że słyszałam wszystko, co można o nim usłyszeć, ale ma to w nosie. Nasza cywilizacja prędzej upadnie od własnej obojętności niż na skutek ataku z zewnątrz”.

Przybocznym gwardzistom, których przydzielił jej Gurney, zanim się wyprawił do przemytników i na pustynię, nie podobało się, że ona przybędzie tu bez nich. Ale Jessika czuła się dziwnie bezpieczna. Niech no

ktoś zrobi z niej męczennicę w tym miejscu; to by był koniec Alii. I Alia wie o tym.

Gdy Jessika nie odpowiedziała na jego wzruszenie ramionami i uśmiech, Dżawid odchrząknął, jakby mu się odbiło. Jakieś zaburzenie w krtani, osiągalne tylko dzięki praktyce. Niczym sekretny język. Mówiło: „My rozumiemy bezsens całej tej pompy, moja pani. Zadziwiające, w co ludzie zdolni są uwierzyć!”

„Zadziwiające!” – zgodziła się Jessika w duchu, ale jej twarz pozostała bez wyrazu.

PrzedSIONEK całkiem już zapelnili przewidziani na rano suplikanci, którzy uzyskali od ludzi Dżawida prawo wejścia. Drzwi zewnętrzne zamknięto. Suplikanci i oficjałowie trzymali się uprzejmie z daleka od lady Jessiki, ale nie umknęło im, że nosi ceremonialną czarną abę fremeńskiej Matki Wielebnej. Ani że nie ma na niej atrybutów kapłanatu Muad’Diba. Nasuwało się wiele pytań. Wśród szmeru rozmów dzielono uwagę między Jessikę a małe boczne drzwi, przez które wkroczy Alia, żeby wprowadzić ich do Wielkiej Sali.

Dla Jessiki jasne było, że zachwiał się dotychczasowy układ określający, w czyich rękach jest władza regencji.

„Sprawiłam to samym przybyciem tutaj – pomyślała. – Ale zjawiłam się na prośbę Alii”.

Odczytawszy znaki podminowania, uświadomiła sobie, że Alia celowo przeciąga ten moment, pozostawiając podskórne prądy ich biegowi. I, rzecz jasna, patrzy przez ukryty wizjer.

Niewiele niuansów w zachowaniu Alii umykało Jessice i z każdą chwilą była coraz bardziej pewna, że słusznie podjęła się misji, jaką obarczyło ją zgromadzenie.

„Nie można pozwolić, żeby sprawy dalej tak się toczyły – naciskała przełożona delegacji Bene Gesserit. – Ty z pewnością nie przeoczyłaś oznak rozkładu... zwłaszcza ty! Wiemy, dlaczego odeszłaś od nas, ale wiemy też, jak zostałaś wyszkolona. W twojej edukacji nie pominięto niczego. Jesteś adeptką panoplia prophetica i musisz wiedzieć, kiedy gnucie potężnej religii zagraża nam wszystkim”.

Zamyślona Jessika zacisnęła wówczas wargi, obserwując pierwsze oznaki wiosny za oknem zamku Kaladan. Nie lubiła się poddawać takiej żelaznej logice rozumowania. Jedno z pierwszych przykazań zgromadzenia zalecało

podchodzić ze sceptyczną podejrzliwością do wszystkiego, co się stroi w piórka logiki. Delegatki też знаły to przykazanie.

Rozglądając się po przybytku Alii, Jessica wspominała, jakie wilgotne było powietrze owego ranka. Jakie rześkie i wilgotne. Tutaj panował parny zaduch, który rodził w niej niepokój. „Powróciłam do fremieńskich zasad” – pomyślała. Powietrze w tej nadziemnej siczy było zbyt wilgotne. Co się stało z mistrzem filtrów? Paul nigdy by nie dopuścił do takiego niedbalstwa.

Zerknęła na spokojne, błyszczące oblicze Dżawida, który zdawał się nie zauważać nadmiernej wilgotności powietrza w przedsionku. Kiepska szkoła jak na kogoś urodzonego na Arrakis.

Delegatki Bene Gesserit chciały wiedzieć, czy Jessica życzy sobie dowodów ich stwierdzeń. Ze złością udzieliła odpowiedzi, cytując ich kompendia: „Wszelkie dowody nieuchronnie wiodą do stwierdzeń niepopartych żadnym dowodem! Wszelkie przedmioty są znane, ponieważ chcemy w nie wierzyć”.

„Ale my przedłożyłyśmy te kwestie mentatom” – zaprotestowała przełożona delegacji.

Jessika spojrzała na nią ze zdumieniem.

„Dziwię się, że osiągnęłaś swoje stanowisko, a jeszcze nie poznałaś ograniczeń mentatów” – powiedziała.

Na te słowa delegatki odprężyły się. Wszystko to najwyraźniej było próbą, którą Jessica przeszła pomyślnie. Obawiały się, rzecz jasna, że zatraciła leżącą u podstaw szkolenia Bene Gesserit umiejętność rozważenia przeciwstawnych racji.

Jessika zebrała się w sobie, bo Dżawid właśnie opuścił posterunek pod drzwiami i podszedł do niej.

Złożył ukłon.

– Moja pani. Przyszło mi na myśl, że mogłaś nie słyszeć o ostatnim wyczynie Kaznodziei.

– Codziennie dostaję meldunki o wszystkim, co się tu dzieje – odparła Jessica. „Niech to powtórzy Alii!”

Dżawid się uśmiechnął.

– Zatem wiadomo ci, że on łży twoją rodzinę. Nie dalej jak wczoraj wieczorem wygłosił kazanie na południowym przedmieściu i nikt nie odważył się go tknąć. Oczywiście wiesz dlaczego.

– Dlatego, że im się wydaje, że to mój syn wrócił do nich – powiedziała znudzonym głosem.

– Dotąd nie przedłożono mentatowi Idaho tej kwestii – rzekł Dżawid. – Może trzeba było to zrobić i rzecz ustalić.

„Oto ktoś, kto naprawdę nie zna ograniczeń mentata, chociaż śmie przyprawiać jednemu rogi... jeśli nie na jawie, to przynajmniej we śnie” – pomyślała Jessika.

– Mentaci dzielają ułomności swoich użytkowników – powiedziała. – Ludzki umysł, tak jak umysł każdego zwierzęcia, jest rezonatorem. Reaguje na rezonanse w środowisku. Mentat nauczył się rozciągać swoją świadomość na wiele równoległych pętli przyczynowości i wychodzić tymi pętlami na długie łańcuchy skutków.

„Niech on to przetrawi!”

– A zatem ten Kaznodzieja nie przeszkadza pani? – Głos Dżawida raptownie zrobił się urzędowy i nadęty.

– Uważam go za zdrowy objaw – powiedziała. – Nie chcę, żeby mu przeszkadzano.

Dżawid najwyraźniej nie spodziewał się aż tak kategorycznej odpowiedzi. Próbował się uśmiechnąć, lecz bez powodzenia.

– Naczelną kapituła Kościoła deifikującego pani syna przychyli się, naturalnie, do twojej woli, skoro nalegasz – rzekł po chwili. – Ale jakieś wyjaśnienie z pewnością...

– Może wolałbyś, żebym raczej wyjaśniła, jak pasuję do waszych planów – powiedziała.

Dżawid z uwagą przyjrzał się Jessice.

– Pani, nie znajduję żadnego zasadnego powodu dla odmowy potępienia tego Kaznodziei. On nie może być pani synem. Zwracam się z uzasadnioną prośbą: potęp go.

„To ukartowana scena – pomyślała Jessika. – Alia go podpuściła”.

– Nie – odparła.

– Toż on kała imię pani syna! Głosi szkaradne rzeczy i urąga pani świętej córce. Podburza przeciwko nam ludność. Pytany o ciebie, mówił, że nawet w tobie jest pierwotne zło i że twój...

– Dość tych bzdur! – ucięła Jessika. – Powiedz Alii, że odmawiam. Od mego powrotu nic tylko słyszę opowiastki o tym Kaznodziei. On mnie już nudzi.

– Czy nudzi cię, pani, świadomość, że w swojej ostatniej profanacji mówił, że nie obrócisz się przeciw niemu? I oto ty najwyraźniej...

– Mimo że taki ze mnie diabeł wcielony, nie potępię go – przerwała mu.

– To nie jest temat do żartów, pani!

Jessika odprawiła go gniewnym gestem.

– Precz! – Podniosła głos na tyle, że dotarło to do innych, i musiał usłuchać.

Zmierzył ją wściekłym wzrokiem, ale zdobył się na sztywny ukłon i wrócił na swój posterunek pod drzwiami.

Ta utarczka idealnie współgrała z dotychczasowymi spostrzeżeniami Jessiki. Kiedy Dżawid mówił o Alii, w jego głosie pobrzmiwały gardłowe nuty kochanka; nie można się było co do tego pomylić. Plotki bez wątpienia były prawdziwe. Alia sprowadzała swoje życie na straszliwe manowce. Uświadomiwszy to sobie, Jessika zaczęła żywić podejrzenia, że Alia wręcz hołubi Złego Ducha. Czyżby to był perwersyjny pociąg do autodestrukcji? Bo nie ulegało wątpliwości, że Alia dąży do zniszczenia siebie wraz z fundamentem władzy położonym na naukach jej brata.

Lekki niepokój coraz wyraźniej mącił nastrój oczekiwania. Bywalcy tego przybytku wiedzieli, kiedy Alia gra na zwłokę, a wszyscy zdążyli już usłyszeć o tym, jak Jessika obcesowo pogoniła faworyta Alii.

Jessika westchnęła. Miała wrażenie, że wkroczyła tu ciałem, podczas gdy jej dusza wlokła się z tyłu.

Jakże czytelne były manewry dworaków! W korowodach za ważnymi osobistościami tłum tańczył niczym łan zboża na wietrze. Balowicze z namarszczonymi czołami oznaczali aktualną ważność ziomka stosownym numerem w rankingu. Odprawienie przez Jessikę w oczywisty sposób zaszkodziło Dżawidowi; mało kto się teraz do niego odzywał. Za to reszta! Jessika wprawnym okiem odczytywała pozycje w rankingu według liczby satelitów wokół ważnych figur.

„Mi nie nadskakują, bo jestem niebezpieczna – pomyślała. – Śmierdzą im kimś, kogo się boi Alia”.

Rozglądając się po sali, widziała, jak odwracają oczy. Byli tak strasznie nijacy, że miała ochotę wykrzyczeć protest przeciwko banalnym usprawiedliwieniom ich banalnego życia. Och, gdyby Kaznodzieja zobaczył, jak teraz wyglądają na tej sali!

Jej uwagę przyciągnął urywek toczoney w pobliżu rozmowy. Wysoki, szczupły kapłan zwracał się do swego towarzystwa wzajemnej adoracji, zapewne suplikantów pod kapłańskim patronatem.

– Często muszę mówić co innego, niż myślę – rzekł. – To się nazywa dyplomacja.

Śmiech, który się rozległ, był zbyt hałaśliwy i zbyt szybko zgasł. Zebrana gromadka spostrzegła, że Jessica podsłuchuje.

„Mój książę wyekspediowałby taką gnidę tam, gdzie diabeł mówi dobranoc! – pomyślała. – Wróciłam w samą porę”.

Dotarło do niej, że na odległym Kaladanie tkwiła w izolowanej kapsule, przez którą przebijały się jedynie najgłośniejsze ekscesy Alii. „Żyłam we własnej bajce” – skwitowała w myśli. Kaladan stwarzał coś w rodzaju izolacji, jaką zapewnia fregata pierwszej klasy podróżująca bezpiecznie w ładowni liniowca Gildii. Odczuwasz wyłącznie najgwałtowniejsze manewry, a i te jako łagodne kołysanie. „Jakże kuszące jest życie w spokoju” – pomyślała.

Im lepiej poznawała dwór Alii, tym bardziej przemawiały do niej słowa niewidomego Kaznodziei. Tak, Paul mógłby wypowiedzieć takie słowa, widząc, co się dzieje z jego królestwem. I Jessica zastanowiła się, co Gurney odkrył wśród przemytników.

Zdała sobie sprawę, że jej pierwsze wrażenie z Arrakin było trafne. Podczas przejazdu z Dżawidem przez miasto jej uwagę zwróciły pancerne osłony wokół domostw, pilnie strzeżone dojścia i przejścia, niestrudzeni wartownicy na każdym rogu, wysokie mury i potężne fundamenty zdradzające obecność głębokich podziemi. Arrakin stało się miastem niełaskawym, miastem zapartym, bezdusznym i zadufanym w swoich surowych konturach.

Małe boczne drzwi otworzyły się gwałtownie. Wypluły przednią straż kapłańskich amazonek osłaniających Alię, która kroczyła dumnie ze świadomością prawdziwej i ogromnej władzy. Nie zdradzając żadnych emocji, Alia bez zmrużenia oczu skrzyżowała spojrzenia z matką. Obie jednak wiedziały, że przyjmują bitwę.

Na rozkaz Dżawida otwarto olbrzymie drzwi do Wielkiej Sali. Poruszały się bezgłośnie i z nieodpartym wrażeniem ukrytej mocy.

Alia podeszła do Jessiki, biorąc ją w swój pierścień amazonek.

– Czy chcesz, żebyśmy już weszły do środka, matko? – spytała.

– Najwyższy czas – odparła Jessica. A widząc wyraz złośliwej uciechy w oczach córki, pomyślała: „Jej się wydaje, że może mnie zabić i ująć cało. Oszalała!”

I przemknęło jej przez myśl, czy nie w tym rzecz z Idaho. Przekazał jej wiadomość, na którą nie była w stanie odpowiedzieć. Dość zagadkowa wiadomość brzmiała: „Niebezpieczeństwo. Musimy się spotkać”. Do

określenia pojęcia „niebezpieczeństwo” Idaho użył wyrazu, który w starożytnym dialekcie chakobsa oznacza „spisek”.

„Spotkam się z nim zaraz po powrocie do siczy Tabr” – pomyślała.



Oto błędne przekonanie władzy: działać skutecznie można tylko w ograniczonym wszechświecie, w którym wszystko jest stałe. Ale podstawową nauką, jakiej udziela nam nasz relatywistyczny wszechświat, jest to, że wszystko się zmienia. Każda władza musi kiedyś ulec potężniejszej. Nauczkę tę dał sardaukarom Paul Muad'Dib na równinie pod Arrakin. Jego potomkowie muszą jeszcze odrobić tę lekcję.

– *Kaznodzieja w Arrakin*

Pierwszym suplikantem podczas porannej audyencji był kadeszański trubadur, odbywający hadżdż pielgrzym, któremu arrakińscy najemnicy opróżnili sakiewkę. Stanął na posadzce koloru zielonej wody, nie sprawiając najmniejszego wrażenia, że w ogóle o coś prosi.

Jessika podziwiała jego śmiałość, spoglądając na niego z siedmioschodkowego podwyższenia, na którym siedziała z Alią. Dla matki i córki ustawiono takie same trony, ale Jessika zakonotowała sobie, że Alia zasiadła po prawej, w miejscu zarezerwowanym dla *mężczyzny*.

Co zaś do kadeszańskiego trubadura, było oczywiste, że ludzie Dżawida pozwolili mu wejść ze względu na okazywaną właśnie śmiałość. Spodziewano się, że dostarczy rozrywki dworzanom w Wielkiej Sali; miała to być zapłata w naturze zamiast pieniędzy, których już nie posiadał.

Z relacji kapłana-adwokata, który występował teraz w jego sprawie, wynikało, że Kadeszanin zachował jedynie ubranie, które miał na sobie, i balisetę przewieszoną przez ramię na rzemiennym pasku.

– Mówi, że podano mu jakiś ciemny napój – powiedział adwokat, ledwie powstrzymując uśmiech, który zaczął wykrzywiać jego wargi. – Za przeproszeniem waszych świątobliwości, napój ten ponoć sprawił, że choć miał świadomość, że odcinają mu sakiewkę, był bezradny.

Kiedy adwokat głądził z fałszywą służalczością, prawiąc obłudne morały, Jessika przyglądała się uważnie trubadurowi. Kadeszanin był wysoki, miał co najmniej dwa metry wzrostu. Jego bystre spojrzenie świadczyło o żywej inteligencji i poczuciu humoru. Złociste włosy opadały mu, zgodnie ze

stylem przyjętym na jego planecie, na ramiona, a szeroka pierś i wąskie biodra, których nie mogła ukryć jego szara pielgrzymia szata, świadczyły o sile i jurności. Podano, że nazywa się Tagir Mohandis, wywodzi się z inżynierów handlu i jest dumny ze swojego pochodzenia i z siebie.

Alia przerwała w końcu te żale machnięciem ręki.

– Dla uczczenia powrotu do nas pierwszy osąd wyda lady Jessika – powiedziała, nie obracając się.

– Dziękuję ci, córko – odparła Jessika, oznajmiając wszystkim, którzy tego słuchali, swą przewagę. „Córko”! Zatem ten Tagir Mohandis był częścią ich planu. A może był nieświadomym tego, w co go wplątano, naiwnym wesółkiem? Zdała sobie sprawę, że jej osąd miał się stać podstawą do otwartego ataku na nią. Widać to było w postawie Alii.

– Dobrze grasz na tym instrumencie? – zapytała, wskazując dziewięciostrunową balisetę przewieszoną przez ramię trubadura.

– Równie dobrze jak wielki Gurney Halleck! – odparł Tagir Mohandis tak głośno, by usłyszeli go wszyscy w sali, a jego słowa wywołały pełne zainteresowania poruszenie wśród dworzan.

– Oczekujesz pieniędzy na powrót – powiedziała Jessika. – Dokąd byś się za nie udał?

– Na Salusę Secundusa i dwór Farad’na – odparł Mohandis. – Słyszałem, że poszukuje trubadurów i minstreli, że wspiera sztukę i że przyczynia się do wspaniałego odrodzenia życia kulturalnego w swoim otoczeniu.

Jessika powstrzymała się od zerknięcia na Alię. Oczywiście wiedzieli, o co poprosi Mohandis. Stwierdziła, że podoba jej się ta podwójna gra. Czyżby uważali, że nie będzie w stanie przyjąć tego ciosu?

– Zagrasz w zamian za przelot? – spytała. – Stawiam ci fremeńskie warunki. Jeśli spodoba mi się twoja muzyka, mogę cię tutaj zatrzymać, byś uśmierzał moje troski. Jeśli mnie urazi, mogę cię posłać na pustynię, byś w pocie czoła zarabiał na lot. Jeśli dojdę do wniosku, że twoja gra jest w sam raz dla Farad’na, który – jak powiadają – jest wrogiem Atrydów, wyślę cię do niego z moim błogosławieństwem. Zagrasz na tych warunkach, Tagirze Mohandis?

Odrzucił głowę do tyłu, wybuchając gromkim śmiechem. Jego jasne włosy zafalowały, kiedy zsunął z ramienia balisetę i wprawnie ją podstroił, pokazując tym samym, że podjął wyzwanie.

Thum w sali zaczął naciskać na strażę i dworzan, bo każdy chciał podejść bliżej, ale został przez nich odepchnięty.

Mohandis trącił boczne struny, wydobywając z nich długie basowe buczenie i uważnie wsłuchując się w ich zniewalającą wibrację, po czym zaśpiewał aksamitnym tenorem. Wyraźnie improwizował, ale z taką maestrią, że Jessika słuchała jak urzeczona, zanim skupiła uwagę na słowach.

*Mówicie, Atrydzi, że za morzami Kaladanu,
Gdzie niegdyś władza została wam dana,
Tęsknicie od zmierzchu do rana –
Ale wygnańcy żyją na obcej ziemi!*

*Mówicie, że w gorycz się przemienia
Świadomość, że wasze marzenia
O Szej-huludzie sprzedano za miskę jedzenia –
A wygnańcy żyją na obcej ziemi.*

*To przez was Arrakis choruje,
Ślad czerwia się zamazuje
I kres waszej władzy zwiastuje –
Jako wygnańcy żyjecie na obcej ziemi.*

*Alio, zwą cię dziewczyną Koan,
Duchem, co nigdy nie wywołan,
Dopóki...*

– *Dość!* – wrzasnęła Alia. Na poły uniosła się z tronu. – Każę cię...

– Alio! – powiedziała Jessika na tyle głośno i tonem tak dobranym, by uniknąć scysji, ale przyciągnąć całą jej uwagę. Było to mistrzowskie użycie Głosu i wszyscy, którzy to usłyszeli, rozpoznali w tym pokazie doskonale opanowane umiejętności. Alia osunęła się na tron i Jessika zauważyła, że nie pokazuje po sobie najmniejszej nawet konsternacji.

„Również to zostało przewidziane – pomyślała. – Bardzo interesujące”.

– Osądzenie pierwszego petenta należy do mnie – przypomniała.

– Bardzo dobrze. – Słowa Alii były ledwie słyszalne.

– Stwierdzam, że ten trubadur jest odpowiednim darem dla Farad’na – powiedziała Jessika. – Ma język ostry jak krysnóż. Upust krwi, który może

wywołać cię nim, byłby korzystny dla naszego dworu, ale wolałabym, żeby przeprowadził ten zabieg na rodzie Corrinów.

Przez tłum przeszła lekka fala śmiechu.

Alia pozwoliła sobie na prychnięcie.

– Wiesz, jak mnie nazwał?

– Nijak cię nie nazwał, córko. Powtórzył tylko to, co on sam lub ktokolwiek inny mógłby usłyszeć na ulicy. Mówią tam o tobie, że jesteś dziewczyną Koan...

– Duchem kobiety, który porusza się bez stóp! – warknęła Alia.

– Jeśli odsuniesz tych, którzy dokładnie donoszą o tym, co się mówi, zostaniesz tylko z tymi, którzy mówią to, co chcesz usłyszeć – powiedziała słodkim głosem Jessika. – Nie przychodzi mi do głowy nic bardziej szkodliwego niż gnienie w smrodzie własnych wyobrażeń.

Osoby stojące najbliżej tronów wstrzymały oddech.

Jessika skupiła się na Mohandisie, który zachowywał milczenie, nie okazując ani odrobiny strachu. Czekał na wyrok, jakikolwiek będzie, jakby nie miało to dla niego znaczenia. Był dokładnie takim człowiekiem, jakiego jej książę chciałby mieć u boku w niespokojnych czasach: postępującym z wiarą w słuszność swojego osądu, ale przyjmującym z pokorą wszystko, co go mogło spotkać, nawet śmierć, bez narzekania na swój los. Dlaczego zatem zdecydował się na tę rolę?

– Dlaczego zaśpiewałeś akurat te słowa? – zapytała go Jessika.

Podniósł głowę, by mówić wyraźnie.

– Słyszałem, że Atrydzi są honorowi i nie mają uprzedzeń. Przyszło mi do głowy, by to sprawdzić i może zostać u was na służbie, co dałoby mi czas na odszukanie tych, którzy mnie obrabowali, i porachowanie się z nimi.

– On śmie sprawdzać *nas*! – mruknęła Alia.

– A dlaczego nie? – zapytała Jessika.

Uśmiechnęła się do trubadura, by zasygnalizować mu życzliwość. Przyszedł tutaj tylko dlatego, że dawało mu to okazję przeżycia kolejnej przygody, kolejnej podróży przez wszechświat. Jessika stwierdziła, że odczuwa pokusę, by włączyć go do swojej świty, ale reakcja Alii źle wróżyła dzielnemu Mohandisowi. Widziała poza tym oznaki, które świadczyły, że tego właśnie się po niej spodziewano – że przyjmie odważnego i przystojnego trubadura na służbę, tak jak przyjęła odważnego Gurneya Hallecka. Najlepiej było odesłać Mohandisa, chociaż bolała nad tym, że straci tak wspaniałego człowieka na rzecz Farad'na.

– Polecą do Farad’na – oznajmiła. – Dopilnujcie, by dostał pieniądze na podróż. Niech jego język toczy krew rodowi Corrinów, a zobaczymy, jak to przetrwa.

Alia spojrzała spode łba na podłogę, a potem przywołała na twarz spóźniony uśmiech.

– Przeważała mądrość lady Jessiki – powiedziała i machnięciem ręki odesłała Mohandisa.

„Nie poszło to tak, jak chciała” – stwierdziła Jessika, ale w zachowaniu Alii dostrzegła oznaki wskazujące, że czeka ją poważniejsza próba.

Wprowadzono następnego petenta.

Zauważywszy reakcję córki, Jessika poczuła dręczące wątpliwości. Potrzebna była tutaj nauka, którą wyniosła z rozmowy z bliźniętami. Choćby nawet Alia była *Złym Duchem*, nadal pozostawała jedną z przednarodzonych. Mogła poznać matkę równie dobrze, jak znała siebie. Nie wydawało się możliwe, by błędnie przewidziała jej reakcje w sprawie trubadura. „Dlaczego zatem zainscenizowała tę konfrontację? – myślała Jessika. – Aby rozproszyć moją uwagę?”

Nie było czasu na rozmyślanie nad tym. Przed bliźniaczymi tronami zajął miejsce drugi petent ze swoim adwokatem u boku.

Tym razem suplikantem był Fremen, stary mężczyzna z charakterystycznymi dla urodzonych na pustyni bruzdami na twarzy. Nie był wysoki, ale miał żylaste ciało, a długa diszdasza noszona zwykle na filtraku nadawała mu dostojny wygląd. Szata ta harmonizowała z jego pociągłą twarzą i haczykowatym nosem oraz gniewnym spojrzeniem błękitnych w błękiecie oczu. Nie miał filtraka i najwyraźniej czuł się bez niego niezbyt swobodnie. Ogromna przestrzeń sali posłuchań musiała mu nieco przypominać niebezpieczny bezmiar pustyni ograbiającej jego ciało z bezcennej wilgoci. Pod częściowo odrzuconym do tyłu kapturem widać było keffiję, misterną fryzurę naiba.

– Jestem Ghadhean al-Fali – rzekł, stawiając jedną stopę na stopniach prowadzących do tronu, by podkreślić, że jego pozycja jest wyższa od reszty tłumu. – Byłem jednym z komandosów śmierci Muad’Diba i przybywam tutaj w sprawie pustyni.

Alia lekko zeszytywniała, nieznacznie się zdradzając. Nazwisko al-Falego widniało pod żądaniem włączenia Jessiki do rady.

„W sprawie pustyni!” – pomyślała Jessika.

Ghadhean al-Fali odezwał się, zanim jego adwokat zdążył wnieść prośbę. Tym oficjalnym fremieńskim zwrotem powiadamiał ich, że przychodzi z czymś, co leży w interesie całej Diuny, i że przemawia przez niego autorytet fedajkina, który gotów był złożyć w ofierze swoje życie u boku Muad'Diba. Jessika wątpiła, by starając się o audiencję, Ghadhean al-Fali powiedział Dżawidowi lub Adwokatowi Generalnemu, że właśnie to go sprowadza. Jej domysły potwierdziły się, kiedy wysoki urzędnik kapłanatu zaczął się szybko przeciskać z tylnych rzędów do przodu, powiewając czarną płachtą na znak, że chce przerwać Fremenowi.

– Szlachetne panie! – krzyknął. – Nie słuchajcie tego człowieka! Przybywa pod fałszywym...

Patrząc, jak urzędnik biegnie ku nim, Jessika uchwyciła kątem oka jakiś ruch i obróciwszy głowę, zobaczyła rękę Alii sygnalizującą w starym języku walki Atrydów: „Teraz!” Nie była w stanie określić, do kogo skierowany był ten sygnał, ale działając instynktownie, rzuciła się w lewo. Padając, przekościłkowała, by oddalić się od walącego się na podłogę tronu, i poderwała się akurat w chwili, kiedy usłyszała ostry trzask pistoletu maula... a po nim następny. Ale już przy pierwszym dźwięku zrobiła unik i poczuła, że coś szarpnęło jej prawym rękawem. Zanurkowała w tłum petentów i dworzan zebranych pod podium. Zauważyła, że Alia nawet nie drgnęła.

Otoczona przez ludzi, zatrzymała się.

Spostrzegła, że Ghadhean al-Fali uskoczył w drugą stronę, ale adwokat pozostał tam, gdzie stał.

Wszystko rozegrało się tak szybko, jakby wpadli w zasadzkę, ale każdy w sali wiedział, gdzie wyćwiczone odruchy powinny skierować kogoś zaskoczonego niespodziewanym atakiem. Alia i adwokat stali jak skamieniali, zdemaskowani przez swój bezruch.

Uwagę Jessiki zwróciło zamieszanie pośrodku sali. Przepchnęła się przez tłum i zobaczyła czterech petentów trzymających urzędnika kapłanatu. Czarna płachta, którą wymachiwał, by przerwać posłuchanie, leżała u jego stóp, a z jej fałd wyłaniał się pistolet maula.

Al-Fali utorował sobie drogę przez tłum obok Jessiki, spojrzał na pistolet, a potem na kapłana. Wydał okrzyk wściekłości i wyprostowanymi palcami lewej ręki wyprowadził od pasa cios achag. Uderzenie trafiło kapłana w krtąń. Osunął się na podłogę, dusząc się. Nie zerknąwszy nawet na mężczyznę, którego zabił, stary naib obrócił zagniewaną twarz ku podium.

– *Dalal-il ‘an-nubuwwa!* – krzyknął, przykładając dłonie do czoła i opuszczając je. – Kadis as-Salaf nie pozwolił mnie uciszyć! Jeśli ja nie zabiję tych, którzy przeszkadzają, zrobią to inni!

„Myśli, że to on był celem” – zdała sobie sprawę Jessika. Spojrzała na rękaw i włożyła palec w dziurę po pocisku maula. Bez wątpienia zatrutego.

Suplikanci puścili kapłana. Umierał, wijąc się na podłodze ze zmiażdżoną krtanią. Jessika skinęła na dwóch wstrząśniętych dworzan stojących po jej lewej i powiedziała:

– Chcę, żeby uratowano tego człowieka, by można go było przesłuchać. Jeśli umrze, wy też umrzecie! – Kiedy się wahali, zerkając ku podium, użyła wobec nich Głosu: – Ruszajcie!

Posłuchali.

Jessika przecisnęła się do al-Falego i trąciła go łokciem.

– Jesteś głupcem, naibie! – powiedziała. – Chodziło im o mnie, nie o ciebie.

Usłyszało ją kilka osób. W ciszy, która natychmiast zapadła, al-Fali spojrzał na podium z przewróconym jednym tronem i Alią nadal siedzącą na drugim. Wyraz zrozumienia, który pojawił się na jego twarzy, odczytałaby nawet nowicjuszka.

– Fedajkinie – rzekła Jessika, przypominając mu o służbie, którą onegdaj pełnił dla jej rodziny – my, spaleni słońcem, wiemy, jak stanąć plecy w plecy.

– Zaufaj mi, moja pani – rzekł, pojawiając się w lot, o co jej chodzi.

Stłumiony okrzyk za Jessiką sprawił, że błyskawicznie się odwróciła; poczuła, że al-Fali stanął plecami do niej. Obok leżącego na podłodze kapłana prostowała się pochylona wcześniej nad nim kobieta w krzykliwym stroju miejskiej Fremenki. Dwóch dworzan, którzy mieli się nim zająć, nigdzie nie było widać. Kobieta nawet nie spojrzała na Jessikę, tylko podniosła głos w starodawnym lamencie swojego ludu – przyzywaniu tych, którzy obsługiwali alembik śmierci, nawoływaniu, by przyszli i zabrali wodę ciała do plemiennego zbiornika. Głos dziwnie kłócił się z ubiorem tej kobiety. Jessika poczuła uporczywe trwanie starych zwyczajów, choć dostrzegła też fałsz w owej miejskiej kobiecie. Ta kreatura w jarmarcznym stroju oczywiście dobiła kapłana, by mieć pewność, że zostanie uciszony.

„Dlaczego się zaniepokoiła? – zastanawiała się Jessika. – Musiała tylko poczekać, aż ten człowiek się udusi”. Był to akt desperacji, oznaka wielkiego strachu.

Alia przesunęła się na brzeg tronu, a jej oczy błyszczały czujnie. Obok Jessiki przeszła wielkimi krokami szczupła kobieta, której warkoczyki wskazywały, że jest jedną ze strażniczek Alii, pochyliła się nad kapłanem, wyprostowała i spojrzała w stronę podium.

– Nie żyje – powiedziała.

– Usuńcie go! – krzyknęła Alia. Skinęła na strażniczki u stóp podium. – Postawcie tron lady Jessiki.

„A więc będziesz się starała zachowywać, jakby nic się nie stało!” – pomyślała Jessika. Czy Alia sądziła, że ktokolwiek dał się nabrać? Al-Fali mówił o Kadis as-Salaf, wzywając jako swoich obrońców świętych praojców z fremeńskiej mitologii. Ale do sali, do której nikomu nie wolno było wchodzić z bronią, pistoletu maula nie wniosła żadna nadprzyrodzona siła. Jedynym wyjaśnieniem był spisek zawiązany przez ludzi Dżawida, a fakt, że Alia nie okazała strachu o własne życie, mówił wszystkim, że była uczestniczką tego spisku.

– Przyjmij moje przeprosiny, moja pani – powiedział stary naib przez ramię do Jessiki. – My, ludzie pustyni, przybywamy do ciebie jako naszej ostatniej nadziei, a teraz widzimy, że ty sama nadal nas potrzebujesz.

– Z matkobójstwem mojej córce nie do twarzy – powiedziała Jessika.

– Plemiona usłyszą o tym – obiecał al-Fali.

– Jeśli jestem wam tak rozpaczliwie potrzebna, dlaczego nie podeszłście do mnie podczas konwokacji w siczy Tabr? – zapytała Jessika.

– Stilgar by na to nie pozwolił.

„Aaach – pomyślała Jessika – władza naibów! W Tabr słowo Stilgara jest prawem”.

Postawiono przewrócony tron. Alia skinęła na matkę, by wróciła.

– Proszę was wszystkich, byście zapamiętali śmierć tego kapłana zdrajcy. Ci, którzy mi zagrażają, giną. – Spojrzała na al-Falego. – Składam ci podziękowania, naibie.

– Podziękowania za pomyłkę – mruknął al-Fali i zerknął na Jessikę. – Miałas rację, moja pani. Moja wściekłość usunęła tego, który powinien zostać przesłuchany.

– Zapamiętaj tych dwóch dworzan i tę kobietę w kolorowym stroju, fedajkinie – szepnęła Jessika. – Chcę, żeby ich pojmano i przesłuchano.

– Tak się stanie – odparł.

– Jeśli wyjdziemy stąd żywi – powiedziała Jessika. – Wróćmy i odegrajmy nasze role.

– Jak sobie życzysz, moja pani.

Wrócili pod podium. Jessica weszła po stopniach i zajęła swoje miejsce obok Alii, al-Fali został w postawie petenta niżej.

– Mów! – rozkazała Alia.

– Jedną chwilę, córko – rzekła Jessica. Podniosła rękaw i pokazała dziurę, wkładając w nią palec. – Ten atak był wymierzony we mnie. Pocisk omal mnie nie dosięgnął, gdy robiłam unik. Zauważcie wszyscy, że pistoletu maula już tam nie ma. – Wskazała podłogę. – Kto go wziął?

Nie było odpowiedzi.

– Może uda się go odnaleźć – powiedziała Jessica.

– Cóż to za nonsens! – oburzyła się Alia. – To ja byłam...

Jessika na poły obróciła się do córki i wskazała lewą ręką.

– Ktoś tam ma ten pistolet. Nie boisz się, że...

– Ma go jedna z moich strażniczek! – przerwała jej Alia.

– Wobec tego niech mi go przyniesie.

– Już go stąd zabrała.

– Cóż za przypadek – skomentowała Jessica.

– Co mówisz? – zażądała wyjaśnień Alia.

Jessika pozwoliła sobie na ponury uśmiech.

– Mówię, że dwóch twoich ludzi otrzymało polecenie odratowania tego *kapłana zdrajcy*. Ostrzegłam ich, że zginą, jeśli on umrze. A więc zginą.

– Zabraniam tego!

Jessika tylko wzruszyła ramionami.

– Mamy tutaj dzielnego fedajkina – powiedziała Alia, wskazując al-Falego. – Ta dyskusja może poczekać.

– Może czekać całą wieczność – rzekła kąśliwie Jessica w chakobsa, by dać jej do zrozumienia, że żadna dyskusja nie powstrzyma wykonania wyroku śmierci.

– Zobaczymy! – odparła Alia. – Dlaczego przybyłeś tutaj, Ghadheanie al-Fali? – zwróciła się do naiba.

– Żeby spotkać się z matką Muad’Diba – odpowiedział Fremen. – Cóż innego pozostało fedajkinom, bractwu służącemu jej synowi, niż zebrać swoje skromne środki, aby kupić mi dojsście tutaj u chciwych strażników, którzy odgradzają Atrydów od rzeczywistości Arrakis.

– Jeśli fedajkini czegoś potrzebują – rzekła Alia – muszą tylko...

– Przybył tu, żeby spotkać się ze mną – przerwała jej Jessica. – Jakaż to rozpaczliwa potrzeba sprowadza cię, fedajkinie?

– Tutaj ja przemawiam w imieniu Atrydów! – zachnęła się Alia. – Co...

– Milcz, morderczy Zły Duchu! – warknęła Jessika. – Próbowalaś mnie zabić, *córko*! Mówię to wszem i wobec. Nie zdołasz zabić wszystkich w tej sali, by zamknąć im usta, tak jak zamknęłaś usta temu kapłanowi. Można go było przesłuchać! W ogóle nie przejmujesz się tym, że został uciszony. Możesz do woli protestować, ale twoje działania świadczą o twojej winie!

Alia siedziała jak skamieniała, z pobladłą twarzą. A Jessika, przyglądając się grze emocji na twarzy córki, zobaczyła przerażająco znajome ruchy jej rąk, nieświadomą reakcję, w której od razu rozpoznała gesty śmiertelnego wroga Atrydów. Palce Alii poruszyły się, jakby wystukiwały rytm: mały palec dwukrotnie, wskazujący trzykrotnie, serdeczny dwa razy, mały palec raz, serdeczny dwukrotnie... i od nowa w tym samym porządku.

Stary baron!

Skupiony wzrok Jessiki zwrócił uwagę Alii. Zerknęła na swoją dłoń, powstrzymała palce, ponownie spojrzała na matkę i zorientowała się, że ona już wie. Na ustach Alii pojawił się triumfalny uśmiech.

– A więc zemściłeś się na nas – wyszeptała Jessika.

– Oszalałaś, matko – rzekła Alia.

– Chciałabym, by tak było – odparła Jessika i pomyślała: „Wie, że potwierdzę to przed zgromadzeniem. Wie. Może nawet podejrzewa, że powiem o tym Fremenom i zmuszę ją do poddania się Ordaliom Opętania. Nie może pozwolić, bym wyszła stąd żywa”.

– Nasz dzielny fedajkin czeka, a my się sprzecząmy – stwierdziła Alia.

Jessika zmusiła się do skupienia uwagi na starym naibie. Zapanowała nad swoimi reakcjami.

– Przybyłeś, by się ze mną zobaczyć, Ghadheanie al-Fali – powiedziała.

– Tak, moja pani. My, ludzie pustyni, widzimy, że dzieją się straszne rzeczy. Z piasku wychodzą maleńkie stworzyciele, jak zapowiadały najstarsze proroctwa. Nigdzie, oprócz jądra Strefy Pustki, nie można już spotkać Szej-huluda. Porzuciliśmy naszą przyjaciółkę pustynię!

Jessika zerknęła na Alię, ta zaś tylko skinęła jej ręką, by kontynuowała. Spojrzawszy na tłum w sali, Jessika zobaczyła na wszystkich twarzach szok i czujność. Zebrani doskonale rozumieli znaczenie tej walki między matką i córką i musieli zachodzić w głowę, dlaczego audyencja wciąż trwa.

– Co ma znaczyć ta mowa o maleńkich stworzycielach i przersedzeniu się czerwici? – zapytała.

– Matko Wilgoci – odparł, używając jej starego fremeńskiego tytułu – ostrzega nas przed tym *Kitab al-Ibar*. Błagamy cię! Oby nie zostało zapomniane, że w dniu śmierci Muad’Diba Arrakis sama się zmieniła! Nie możemy porzucić pustyni!

– Ha! – sarknęła drwiąco Alia. – Ta zabobonna hołota z wewnętrznej pustyni boi się transformacji ekologicznej. Oni...

– Słucham cię, Ghadheanie al-Fali – rzekła Jessika. – Jeśli zniknie czerw, zniknie przyprawa. Jeśli zniknie przyprawa, czym zapłacimy za nasze pragnienia?

W Wielkiej Sali rozległy się odgłosy zaskoczenia: stłumione okrzyki i spłoszone szepty.

Alia wzruszyła ramionami.

– Bzdurne przesady!

Al-Fali podniósł prawą rękę i wskazał Alię.

– Mówię do Matki Wilgoci, nie do dziewczyny Koan!

Dłonie Alii zacisnęły się na poręczach tronu, ale pozostała na miejscu.

Al-Fali spojrzał na Jessikę.

– Kiedyś była to kraina, w której nic nie rosło – powiedział. – Teraz są tam rośliny. Rozprzestrzeniają się jak wszy w ranie. Na Diunie pojawiają się chmury i pada deszcz! Deszcz, moja pani! Och, ukochana matko Muad’Diba, tak jak sen jest bratem śmierci, tak jest nim deszcz na obszarze Diuny. To śmierć nas wszystkich.

– Robimy tylko to, co przygotowali dla nas Liet-Kynes i sam Muad’Dib – zaprotestowała Alia. – O co chodzi w całym tym zabobonnym bełkocie? Szanujemy słowa Lieta-Kynesa, który powiedział nam: „Pragnę zobaczyć, jak całą tę planetę spowija sieć zielonych roślin”. I tak się stanie.

– A co z czerwiami i przyprawą? – zapytała Jessika.

– Zawsze będzie jakaś pustynia – odparła Alia. – Czerwie przetrwają.

„Kłamie – pomyślała Jessika. – Dlaczego?”

– Pomóż nam, Matko Wilgoci – rzekł błagalnie al-Fali.

Jessika poczuła nagle, jak pod wpływem słów starego naiba jej świadomość wykonuje skok, i doznała wrażenia, że widzi podwójnie. Była to niewątpliwie adab, władcza pamięć, która samoistnie ogarnia człowieka. Pojawiła się bez ostrzeżenia i unieruchomiła jej zmysły, a w jej świadomości odcisnęła się lekcja z przeszłości. Ogarnęła ją całkowicie, jak sieć rybę. Pomimo to odczuwała jej kategoryczność jako *najbardziej ludzkie* przeżycie, którego każda, najmniejsza nawet cząstka była przypomnieniem dzieła

stworzenia. Każdy element tego wspomnienia-lekcji był realny, ale niematerialny, i podlegał ustawicznym zmianom. Wiedziała, że jest to największe, na jakie ją stać, przybliżenie do owych proroczych wizji, w których uchwycie miotał się niegdyś jej syn.

„Alia kłamała, ponieważ jest opętana przez tego, kto chce zniszczyć Atrydów. Sama jest pierwszą ofiarą tego dzieła zniszczenia. Al-Fali zaś mówił prawdę: czerwie skazane są na zagładę, jeśli proces ekologicznej transformacji nie ulegnie zmianie”.

Pod naporem objawienia postrzegała zgromadzonych w sali jako wolno poruszające się istoty, a ich role były dla niej oczywiste. Mogła z łatwością wyłuskać z tłumu tych, którzy mieli dopilnować, by nie uszła stąd z życiem! A droga przez tę ciżbę rysowała się w jej świadomości tak wyraźnie, jakby wytyczało ją jaskrawe światło – panowało tam zamieszanie, ktoś zasłabł i zatoczył się na kogoś innego, mieszały się całe grupy. Widziała też, że może opuścić Wielką Salę tylko po to, by wpaść w inne ręce. Alia nie przejmowała się tym, że może zrobić z niej męczennicę. Nie – nie przejmowało się tym to *coś, co ją opętało*.

W tym zastygłym czasie Jessika wybrała sposób ocalenia starego naiba i wysłania go jako posłańca. Droga przez tłum pozostawała niezatarte wyrażna. Jakież to było proste! To zgromadzenie zaślepionych bufonów kulących ramiona w obronie przed ciosem. Każdy układ osób w tej ogromnej sali jawił się jako atroficzne zderzenie, w wyniku którego z jego uczestników może odpaść ciało i obnażyć szkielety. Ich postacie, stroje i twarze ukazywały osobiste piekło każdego z nich: wciągnięte piersi, w których kryło się przerażenie, lśniące klejnoty, które stały się zastępczymi zbrojami, katedry brwi pokazujące wzniosłe religijne uczucia, którym zaprzeczały ich lędźwie.

Jessika wyczuwała rozpad, którym groziły Arrakis siły kształtujące teraz planetę. Głos al-Falego był niczym dystrans, który obudził bestię drzemającą w najgłębszym zakątku jej duszy.

W mgnieniu oka przeniosła się z adab do wszechświata ruchu, ale był to wszechświat odmienny od tego, który zaledwie przed sekundą przykuwał jej uwagę.

Alia zaczynała właśnie mówić.

– Cisza! – przerwała jej Jessika, po czym kontynuowała: – Są tacy, którzy boją się, że powróciłam bez zastrzeżeń na łono zgromadzenia. Ale od owego dnia na pustyni, kiedy to Fremeni ofiarowali mnie i mojemu synowi dar

życia, jestem Fremenką! – I przeszła na stary język, zrozumiały tylko dla tych w sali, którzy mogli z tego skorzystać. – *Onsar akhaka zeliman aw maslumen!*

„Wspieraj swego brata w potrzebie, bez względu na to, czy jest sprawiedliwy czy niesprawiedliwy”. Jej słowa wywarły pożądany wpływ, bo w sali subtelnie zmieniły się pozycje kilku osób.

– Ghadhean al-Fali, uczciwy Fremen – ciągnęła mimo to gniewnie – przybył tu, by powiedzieć mi o tym, co inni już dawno powinni mi ujawnić. Niech nikt temu nie zaprzecza! Ekologiczna transformacja stała się żywiołem poza wszelką kontrolą!

W sali widać było nieme potwierdzenie jej słów.

– A moja córka zachwyca się tym! – mówiła dalej. – *Mektub al mellah!* Tniesz moje ciało i posypujesz rany solą! Dlaczego Atrydzi znaleźli tutaj ojczyznę? Dlatego, że *Mohalata* była dla nas czymś naturalnym. Dla Atrydów sprawowanie władzy było zawsze obronnym partnerstwem: od zawsze znaną Fremenom Mohalata. A teraz spójrzcie na nią! – Wskazała Alię. – Śmieje się sama w nocy, rozmyślając o złu, które czyni! Produkcja przyprawy spadnie do zera, w najlepszym razie będzie to ułamek poprzedniego poziomu! A kiedy wieść o tym się rozniesie...

– Zachowamy monopol na najcenniejszy produkt we wszechświecie! – krzyknęła Alia.

– Zachowamy monopol na piekło! – wściekła się Jessika.

Alia przeszła na najdawniejszą formę chakobsa, prywatnego języka Atrydów, z trudnymi zwarciami krtaniowymi i mlaskami.

– Teraz już wiesz, *matko!* Myślałaś, że wnuczka barona Harkonnena nie doceni tych wszystkich istnień, które wepchnęłaś we mnie jeszcze przed moimi narodzinami? Kiedy wściekałam się na to, co mi zrobiłaś, musiałam tylko zadać sobie pytanie, co na moim miejscu zrobiłby baron Vladimir Harkonnen. I odpowiedział mi! Zrozum mnie, atrydzka suko! Odpowiedział *mi!*

Jessika słyszała kapiący z tych słów jad, który potwierdzał jej domysły. *Zły Duch!* Alia została owładnięta od wewnątrz, opętana przez to cahueit zła, barona Vladimira Harkonnena. Teraz jej ustami przemawiał sam baron, nie dbając o to, co ujawnił. Chciał, by widziała jego zemstę, chciał, by widziała, że nie da się go wypędzić.

„Mam pozostać tutaj, bezradna z moją wiedzą” – pomyślała Jessika. I z tą myślą wskoczyła na drogę, którą ukazała jej adab.

– Fedajkini, za mną! – krzyknęła.

Okazało się, że w sali było ich sześciu. Pięciu wraz z nią dotarło do wyjścia.



Kiedy jestem słabszy od ciebie, proszę cię o wolność, ponieważ jest to zgodne z twoimi zasadami. Kiedy jestem silniejszy, odbieram ci wolność, ponieważ jest to zgodne z moimi zasadami.

– słowa starożytnego filozofa (przypisywane przez Harka al-Adę niejakiemu Louisowi Veuillotowi)

Leto wychylił się z ukrytego wyjścia z siczy i zobaczył zakole urwiska wznoszącego się ponad jego ograniczonym polem widzenia. Popołudniowe słońce kładło długie cienie w pionowych szczelinach. W cieniach tych zanurzał się, po czym wyłaniał z nich motyl szkieletowy, a jego żyłkowane skrzydła wyglądały na tle światła jak przezroczysta koronka. „Jak taki delikatny motyl może tutaj żyć?” – pomyślał.

Na wprost niego rozciągał się sad morelowy, w którym dzieci pracownice zbierały leżące pod drzewami owoce. Za sadem znajdował się kanat. Leto z Ganimą wymknęli się swoim strażnikom, gubiąc ich w tłumie przybyłych nagle robotników. Prześlizgnięcie się przez gródz wilgoci na schody prowadzące do ukrytego wyjścia było stosunkowo proste. Teraz musieli już tylko wmieszać się w dzieci, przedostać do kanatu i zagłębić w tunelu. Tam będą mogli przejść obok drapieżnych ryb, które powstrzymują piaskową troć przed otorbieniem wody w kanałach irygacyjnych plemienia. Żadnemu Fremenowi nie przyszło dotąd do głowy, że jakiś człowiek zaryzykowałby przypadkowe zanurzenie się w wodzie.

Leto wyszedł z bezpiecznego przejścia. Po obu stronach rozpościerało się urwisko, które wskutek jego pozycji przybrało poziome położenie.

Ganima posuwała się tuż za nim. Oboje mieli uplecione z włókna przyprawowego koszyki na owoce, ale w każdym z nich znajdowała się zamknięta paczka, a w niej fremsak, pistolet maula, krysnóż... i nowe szaty przysłane przez Farad’na.

Weszła za bratem do sadu i wtopiła się w tłum pracujących dzieci. Każdą twarz zakrywała maska filtraka. Byli tu po prostu jeszcze jedną parą

pracowników, ale czuła, że to, co robi, oddala ją od ochronnych grodzi i bezpiecznych ścieżek. Jakież prosty był ten krok, krok z jednego zagrożenia w drugie!

Przysłane przez Farad'na szaty miały służyć celowi, z którego oboje doskonale zdawali sobie sprawę. Ganimi nie omieszkała zaznaczyć, że wiedzą o tym, wyszywając na każdej piersi nad wizerunkiem jastrzębia ich osobistą dewizę: „Działamy wspólnie” w chakobsa.

Wkrótce zapadnie zmierzch, a wtedy za kanatem wyznaczającym granicę upraw siczy zacznie się wieczór, z którego szczególnym urokiem mogło się równać niewiele innych we wszechświecie. Pustynny świat, z jego narzucającym się nieodparcie wrażeniem osamotnienia, poczuciem, że każde stworzenie jest zdane wyłącznie na siebie, ogarnie łagodne światło.

– Widziano nas – szepnęła Ganimi, nachylając się obok brata, by zbierać owoce.

– Strażnicy?

– Nie... inni.

– To dobrze.

– Musimy działać szybko – powiedziała.

Leto przyznał jej rację, odchodząc w głąb sadu. „Na pustyni wszystko pozostaje w ruchu albo ginie” – błysnęła mu myśl ojca. O potrzebie ruchu przypominał widoczny w oddali Towarzysz. Nieruchome skały wychodni, zastygłe w czujnym zdziwieniu, kurczyły się z roku na rok pod naporem niesionego przez wiatr piasku. Pewnego dnia Towarzysz zamieni się w piasek.

Kiedy zbliżyli się do kanatu, usłyszeli muzykę dobiegającą z położonego wysoko wejścia do siczy. Był to zespół grający w starodawnym fremieńskim składzie: flety dwuotworowe, tamburyny oraz bębny o korpusach z przyprawowego plastiku, z jednym końcem obciążniętym sztywno skórą. Nikt nigdy nie pytał, jakie zwierzę na tej planecie może dostarczyć aż tyle skóry.

„Stilgar będzie pamiętał, co mu powiedziałem o tej szczelinie na Towarzyszu – pomyślał Leto. – Przyjdzie po ciemku, kiedy już będzie za późno, a wtedy się dowie”.

Znaleźli się przy kanacie. Wśliznęli się do otwartej rury i zeszli po drabinie na półkę dla obsługi. Wewnątrz panował półmrok i wilgotny chłód. Słyszeli pluskające drapieżne ryby. Rzuciłyby się na zmiękczoną przez wodę

spodnią stronę każdej piaskowej troci, która spróbowałaby podkraść choć trochę tej wody. Również ludzie musieli się mieć przed nimi na baczności.

– Ostrożnie – rzekł Leto, idąc po śliskiej półce. Sięgał pamięcią do czasów i miejsc, w których nigdy nie był. Ganimą trzymała się za nim.

Na końcu kanatu rozebrali się do filtraków i przywdziali nowe szaty. Zostawili stare fremeńskie stroje, wyszli inną studzienką inspekcyjną, wdrapali się na wydnię i opuścili po jej przeciwległym zboczach. Usiedli tam, niewidoczni z sicz, przytroczyli pistolety maula i krysnoże, zarzucili na plecy fremsaki. Muzyka już do nich nie docierała.

Leto wstał i ruszył szybko doliną pomiędzy wydmi.

Ganima podążyła za nim wyćwiczonym, nierównym, cichym krokiem.

Przed grzbietem każdej wydmy pochylali się i przeczołgiwali na drugą stronę, a potem spoglądali z ukrycia za siebie, wypatrując pościgu. Kiedy dotarli do pierwszych skał, na blechu nie pojawił się jeszcze żaden łowca.

W cieniu skał obeszlę Towarzysza i wspięli się na półkę, z której roztaczał się widok na pustynię. Hen, daleko na blechu gasły wieczorne zorze. W gęstniejącym mroku powietrze miało kruchość delikatnego kryształu. Krajobraz, który ukazał się ich oczom, był bezlitosny – piaski bez najmniejszego wahania ciągnęły się aż po linię nieboskłonu, nigdzie się nie zatrzymując.

„Oto horyzont wieczności” – pomyślał Leto.

Ganima przykucnęła obok brata. „Wkrótce nastąpi atak” – przemknęło jej przez głowę. Cała zamieniona w słuch, czekała na najcichszy dźwięk.

Leto siedział równie czujny. Poznał teraz szczyt umiejętności zdobytych w ciągu lat szkolenia przez tych wszystkich, w których życiu brał tak intymny udział. W tej dziczy człowiek był całkowicie uzależniony od sprawności swych zmysłów, wszystkich zmysłów. Życie stawało się skarbnicą nagromadzonych doświadczeń, z których każde łączyło się z chwilowym tylko przetrwaniem.

Ganima wdrapała się wyżej na skały i przez prześwit między nimi zerknęła na drogę, którą przyszli. Bezpieczna sicz, cichy masyw skał wyrastających w brązopurpurowej oddali, o krawędziach zamazujących się w świetle ostatnich, srebrnych promieni słońca, wydawała się odległa o całe wieki. Na rozległej przestrzeni między nią a Towarzyszem nadal nie było widać śladu pościgu. Wróciła i usiadła obok brata.

– To będzie drapieżne zwierzę – powiedział Leto. – Tak wynika z moich obliczeń trzeciego stopnia.

– Myślę, że za wcześnie je skończyłeś – rzekła Ganim. – To nie będzie jedno zwierzę. Ród Corrinów przekonał się, że nie można stawiać wszystkiego na jedną kartę.

Leto skinął głową na znak zgody.

Nagle poczuł, że jego umysłowi ciąży mnogość istnień, z którymi łączność dawała mu jego odmienność – wszystkich tych osób, z którymi się zspolił jeszcze przed narodzeniem. Życie przepelniało go tak, że chciał uciec od własnej świadomości. Wewnętrzny świat był ogromną bestią, która mogła go pożreć.

Podniósł się niespokojnie i dotarł do prześwitu, przez który wcześniej patrzyła Ganim. Spojrzał na skały siczy. Pod urwiskiem widział kanat wyznaczający granicę między życiem a śmiercią. Na skraju oazy widział szalwie wielbłądzą, trawę cebulkową, ostnicę gobi, dziką lucernę. W ostatnich promieniach słońca dostrzegł czarne kształty ptaków podskakujących w lucernie. Odległe kłosa mierzwił wiatr, którego podmuchy rysowały na prawo od sadu ruchome cienie. Ten ruch przyciągnął jego uwagę i wtedy zobaczył, że cienie te skrywają w swoim płynnym kształcie znacznie większą przemianę, która płaci okup tęczom pojawiającym się na przyprószonym srebrem niebie.

„Co się tu dzisiaj wydarzy?” – zadał sobie pytanie.

A wiedział, że będzie to albo śmierć, albo przedstawienie śmierci, z nim w roli głównej. Powróci stąd tylko Ganim, wierząc, że śmierć, którą widziała, była rzeczywista, albo opowiadając ze szczerym przekonaniem, narzuconym jej w głębokiej hipnozie, że jej brat istotnie został zabity.

Dręczyły go niewiadome tego miejsca. Myślał o tym, jak łatwo byłoby ulec pokusie, by przenieść się świadomością w niezmienną, absolutną przyszłość i przewidzieć to, co ma nastąpić. Jednak już ta skromna wizja, której doznał we śnie, była wystarczająco zła. Wiedział, że nie ośmieli się zaryzykować i ujrzeć więcej.

Wrócił do siostry.

– Jeszcze nikt nie ruszył za nami – powiedział.

– Bestie, które na nas naślą, będą duże – rzekła Ganim. – Może będziemy mieli dość czasu, by dojrzeć, jak się zbliżają.

– Nie, jeśli nadejdą nocą.

– Wkrótce zapadnie zmrok – stwierdziła.

– Tak. Pora, żebyśmy zeszli do naszego miejsca. – Leto wskazał skały z lewej strony, gdzie niesiony wiatrem piasek wyłobił w bazalcie wąską

szczelinę. Była wystarczająco duża, by się w niej zmieścili, ale na tyle mała, że duże stworzenia nie miały dostępu do nisz. Leto z niechęcią myślał o wejściu do niej, lecz wiedział, że trzeba to zrobić. Było to miejsce, które pokazał Stilgarowi.

– Oni naprawdę mogą nas zabić – powiedział.

– To ryzyko, które musimy podjąć – odparła Ganim. – Jesteśmy to winni ojcu.

– Nie spieram się z tobą.

„To właściwa droga – pomyślał. – Zrobimy to”. Wiedział jednak, jak niebezpiecznie jest *mieć rację* w tym wszechświecie. Przetrwanie wymagało teraz od nich sprawności i energii, ale także świadomości własnych ograniczeń. Ich najlepszą bronią były fremieńskie sposoby, a wiedza Bene Gesserit trzymanym w rezerwie orężem. Myśleli jak zaprawieni w bojach, wyszkoleni przez Atrydów weterani, mogący polegać wyłącznie na fremieńskiej twardości, której w tych dziecięcych ciałach nikt by się nawet nie domyślał.

Leto dotknął rękojeści krysnoża o zatrutym ostrzu, który miał przy pasie. Ganim. nieświadomie powtórzyła jego gest.

– Zejdziemy już? – zapytała.

Jeszcze nie skończyła mówić, kiedy daleko w dole dostrzegła nieznacznym ruch, który z powodu odległości wydawał się niezbyt groźny. Znieruchomiała, co obudziło czujność Leto, nim zdążyła wyszeptać ostrzeżenie.

– Tygrysy – stwierdził.

– Lazajskie tygrysy – poprawiła go.

– Widzą nas.

– Lepiej się pospieszmy – powiedziała. – Tych stworzeń nie zatrzyma pistolet maula. Zostały dobrze wytresowane.

– Gdzieś w pobliżu musi być człowiek, który nimi kieruje – rzekł Leto, rzucając się długimi susami ku skałom po lewej stronie.

Ganim. zgodziła się z nim, ale nic nie powiedziała, oszczędzając siły. Musiał tu gdzieś być jakiś człowiek. Aż do właściwej chwili nie można było pozwolić tym tygrysom biec bez kontroli.

Zwierzęta poruszały się szybko w resztkach światła, skacząc ze skały na skałę. Były stworzeniami kierującymi się wzrokiem, a niebawem zapadnie noc – pora tych, które kierują się słuchem. Jakby na potwierdzenie tego

spomiędzy skał Towarzysza dobiegł krzyk nocnego ptaka. Stworzenia ciemności wierciły się już w cieniach skalnych rozpadlin.

Mimo to tygrysy wciąż były widoczne. Biła od nich siła, a każdy ruch pulsował złocistą pewnością siebie.

Leto czuł, że znalazł się w tym miejscu, by uwolnić się od swej duszy. Biegł, pewny, że i on, i Ganima dotrą w porę do wąskiej szczeliny, ale zafascynowany, co rusz powracał wzrokiem do zbliżających się bestii.

„Jedno potknięcie i już po nas” – stwierdził.

Ta myśl osłabiła jego pewność siebie, więc pomknął szybciej.



Wy, Bene Gesserit, nazywacie swoje panoplia prophetica „nauką religii”. I bardzo dobrze. Ja, poszukiwacz innego rodzaju *nauki*, uważam, że to właściwa definicja. Istotnie, tworzycie własne mity, ale robią to wszystkie społeczności. Muszę was jednak przestrzec. Zachowujecie się jak wielu innych niemających rozeznania naukowców. Wasze działania pokazują, że chcecie usunąć [odjąć] coś z życia. Pora więc przypomnieć wam o czymś, co same tak często głosicie: nie można osiąść żadnej rzeczy bez jej przeciwieństwa.

– *Kaznodzieja w Arrakin. Przesłanie dla zgromadzenia żeńskiego*

W godzinie przedświtku Jessika siedziała na wytartym dywaniku z tkaniny przyprawowej. Otaczały ją nagie skały starej, biednej siczy, jednego z pierwszych tego typu osiedli. Leżało ono poniżej skraju Czerwonej Czeluści, osłonięte przed zachodnimi wiatrami znad pustyni. Jessikę sprowadził tutaj al-Fali ze swoimi braćmi; teraz czekali na wiadomość od Stilgara. Jednak fedajkini bardzo ostrożnie podeszli do sprawy kontaktów, by Stilgar nie wiedział, gdzie się znajdują.

Wiedzieli już, że są pod protokołem, oficjalnie oskarżeni o zbrodnie przeciw Imperium. Alia rozgłaszała, że jej matkę przekupili wrogowie monarchii, chociaż nie padła jeszcze nazwa zgromadzenia. Ukazał się za to bez osłonek arbitralny, despotyczny charakter rządów Alii, a jej przekonanie, że skoro ma władzę nad kapłanatem, to ma ją też nad Fremenami, miało wkrótce zostać wystawione na próbę.

Wiadomość przesłana przez Jessikę Stilgarowi była prosta i bezpośrednia: „Moja córka jest opętana i trzeba ją poddać ordaliom”.

Jednak obawy niszczyły wartości i wiadomo już było, że niektórzy Fremeni wolą nie dawać wiary temu oskarżeniu. Ich usiłowania, by wykorzystać je jako przepustkę, doprowadziły tej nocy do dwóch starców, niemniej ornitoptery skradzione przez ludzi al-Falego przeniosły uciekinierów do tego zapewniającego wątpliwe bezpieczeństwo miejsca – siczy pod Czerwoną Czelusią. Rozsyłano stąd wieści do fedajkinów, ale na Arrakis pozostały ich niespełna dwie setki. Reszta piastowała stanowiska w całym Imperium.

Rozmyślając nad tym wszystkim, Jessika zastanawiała się, czy nie przybyła na miejsce swojej zagłady. Niekktórzy fedajkini byli o tym święcie przekonani, ale komandosi śmierci przyjmowali tę możliwość nader spokojnie. Al-Fali tylko się do niej uśmiechnął, gdy część jego młodych podwładnych dała wyraz swoim obawom. „Kiedy Bóg wyznacza jakiejś istocie miejsce śmierci, sprawia On, by potrzeby ją w owe miejsce przywiodły” – odrzekł im stary naib.

Zaszeleściła kotara w wejściu i ukazał się w nim al-Fali. Pociągła, ogorzała od wiatru twarz starego mężczyzny wydawała się wymizerowana, a jego oczy płonęły gorączkowym blaskiem. Najwyraźniej tej nocy nie spoczął ani na chwilę.

– Ktoś przybywa – oznajmił.

– Od Stilgara?

– Być może. – Al-Fali spuścił wzrok i zwyczajem starych Fremenów, którzy przynoszą złe wieści, spojrzał w lewo.

– O co chodzi? – zapytała Jessika.

– Otrzymaliśmy wiadomość z Tabr, że twoich wnuków nie ma w siczy – rzekł, nie patrząc na nią.

– Alia...

– Zażądała, by przekazano jej bliźnięta pod opiekę, ale z Tabr donoszą, że ich tam nie ma. To wszystko, co wiemy.

– Stilgar wysłał je na pustynię – orzekła Jessika.

– Możliwe, ale wiadomo, że szukał ich całą noc. Może robił to dla zamydlenia oczu...

– To nie w jego stylu – odparła i pomyślała: „Chyba że one go do tego nakłoniły”. Ale również to wyjaśnienie nie wydawało jej się właściwe. Zastanowiła ją własna reakcja: żadnej paniki, którą musiałaby stłumić. Pewnie jej obawy o los bliźnięt usunęło to, co wytłumaczyła jej Ganim.

Zerknęła na al-Falego. Przyglądał się jej ze współczuciem. – Same poszły na pustynię – stwierdziła.

– Same? Dwoje dzieci?!

Nie zawracała sobie głowy wyjaśnianiem mu, że tych „dwoje dzieci” wiedziało zapewne o przetrwaniu na pustyni więcej niż większość żyjących Fremenów. Zamiast tego skupiła się na dziwnym zachowaniu Leto, kiedy nalegał, żeby dała się uprowadzić. Zepchnęła to wspomnienie w jakieś zakamarki pamięci, ale obecna chwila wymagała, by je przywołała. Powiedział, że sama rozpozna moment, w którym ma go posłuchać.

– Posłaniec powinien być już w siczy – przerwał jej rozmyślania al-Fali. – Przyprowadzę go do ciebie – dodał i zniknął za połataną kotarą.

Jessika popatrzyła na nią. Zrobiona była z czerwonej tkaniny z włókien przyprawowych, ale łąty były niebieskie.

Opowiadano, że ta sicz nie chciała czerpać zysków z religii Muad’Diba, czym naraziła się na wrogość kapłanatu Alii. Tutejsi ludzie rzekomo zainwestowali swój kapitał w hodowlę wielkich niczym kuce psów, które układano do ochrony dzieci. Wszystkie zdechły. Niektórzy twierdzili, że zostały otrute, a winą za to obarczano kapłanów.

Potrząsnęła głową, by odgonić te rozważania, w których trafnie rozpoznała gafkę: natrętne myśli odwracające uwagę od istotnych spraw.

Dokąd udały się te dzieci? Do Dżakurutu? Miały jakiś plan. „Usiłowały wyjaśnić mi go w takim stopniu, jaki ich zdaniem wystarczał, bym go zaakceptowała” – przypomniawszy sobie. A kiedy doszły do granicy, którą uznały za nieprzekraczalną, Leto nakazał jej, by go posłuchała.

On nakazał to jej!

Leto poznał się na tym, co robi Alia; to było oczywiste. Bliźnięta mówiły o „przypadłości”, na którą cierpi ciotka, nawet kiedy jej broniły. Alia stawiała wszystko na *prawowitość* swej pozycji w regencji. Potwierdzał to fakt, że domagała się, by powierzyć jej opiekę nad nimi. Jessika poczuła, że wzbiera w niej gorzki śmiech. Matka Wielebna Gaius Helena Mohiam wyjaśniała niegdyś z upodobaniem swojej uczennicy Jessice, na czym polega ten błąd. „Jeśli skupiasz całą uwagę na swojej prawowitości, to tym samym zachęcasz przeciwstawne siły, by tobą zawładnęły. To powszechny błąd. Nawet ja, twoja nauczycielka, nie zdołałam się go ustrzec”.

– Nie zdołałam się go ustrzec nawet ja, twoja uczennica – wyszeptała Jessika do siebie.

Usłyszała szelest w korytarzu za kotarą. Weszło dwóch młodych Fremenów ze świty, którą zgromadzili w nocy. Czuli wyraźny respekt przed matką Muad'Diba. Jessica przejrzała ich na wylot – byli bezmyślni i służyli każdej władzy, która dawała im poczucie tożsamości. Nie świecąc odbitym od niej światłem, byli nikim. A zatem byli niebezpieczni.

– Al-Fali wysłał nas przodem, by cię przygotować – powiedział jeden z nich.

Jessika poczuła nagły ucisk w piersiach, ale jej głos pozostał spokojny.

– Na co? – zapytała.

– Stilgar wyprawił jako swojego posłańca Duncana Idaho.

Jessika naciągnęła nieświadomym gestem kaptur aby na włosy. „Duncana?” Ależ on jest narzędziem Alii.

Fremen, który mówił, wysunął się o pół kroku.

– Idaho twierdzi, że przybył, aby zabrać cię w bezpieczne miejsce, lecz al-Fali mu nie wierzy.

– Rzeczywiście to bardzo dziwne – powiedziała Jessica. – Ale w naszym wszechświecie zdarzają się jeszcze dziwniejsze rzeczy. Przyprowadźcie go.

Spojrzeli po sobie, lecz posłuchali, a wychodząc, szarpnęli kotarę tak gwałtownie, że rozdarli ją w jeszcze jednym miejscu.

Wkrótce potem kotara rozsunęła się ponownie i wszedł Idaho, za nim obaj Fremeni, a na końcu al-Fali z dłonią na krysnożu. Idaho wydawał się spokojny. Miał na sobie zwykły mundur gwardii Atrydów, który od ponad czternastu wieków niewiele się zmienił. Na Arrakis zastąpiono starą plastalową klingę ze złotą rękojeścią krysnożem, ale nic poza tym.

– Powiedziano mi, że pragniesz mi pomóc – odezwała się Jessica.

– Tak, jakkolwiek dziwne może się to wydawać – rzekł.

– Czy aby nie przysłała cię Alia, żebyś mnie uprowadził? – zapytała.

Jedyną oznaką zdziwienia było lekkie uniesienie czarnych brwi. Idaho wpatrywał się w nią intensywnie wielofasetowymi, skrzącymi się tleilaxańskimi oczami.

– Takie otrzymałem rozkazy – odparł.

Al-Fali zacisnął palce na rękojeści tak mocno, że aż zbiełały mu knykcie, ale nie dobył noża.

– Przez większą część nocy analizowałam błędy, które popełniłam wobec córki.

– Było ich wiele – przyznał Idaho – a w większości z nich i ja miałem udział.

Spostrzegła, że drżą mu mięśnie szczęki.

– Łatwo było dać wiarę argumentom, które wywiodły nas na manowce – powiedziała Jessika. – Ja chciałam opuścić tę planetę... a ty... ty pragnąłeś dziewczyny, w której widziałeś moją młodszą wersję.

Przyjął to milczeniem.

– Gdzie są moje wnuki? – zapytała ostrym tonem.

Duncan zamrugał.

– Stilgar uważa, że poszły na pustynię... szukać ukrycia – rzekł. – Być może dostrzegły oznaki obecnego kryzysu.

Jessika zerknęła na al-Falego. Potwierdził skinieniem głowy, że zorientował się, iż ona się tego spodziewała.

– Co robi Alia? – spytała z kolei Jessika.

– Ryzykuje wojnę domową.

– Wierysz, że do tego dojdzie?

Idaho wzruszył ramionami.

– Pewnie nie. Żyjemy w łagodniejszych czasach. Więcej ludzi gotowych jest ulec mile brzmiącym argumentom.

– Zgadza się – rzekła. – No dobrze, a co z moimi wnukami?

– Stilgar je znajdzie, jeśli...

– Tak, rozumiem. – A zatem wszystko zależało od Gurneya Hallecka. Obróciła się i spojrzała na skalną ścianę po swojej lewej. – Alia dzierży teraz mocno władzę. – Ponownie skierowała wzrok na Idaho. – Rozumiesz? Władzę ma się w rękę tylko wtedy, kiedy lekko trzyma się jej ster. Chwyć go za mocno, a ona zapanuje nad tobą i staniesz się jej ofiarą.

– Tak zawsze powiadał mój książę – stwierdził Idaho.

Jessika jakoś wiedziała, że miał na myśli nie Paula, lecz starszego Leto.

– Dokąd mam zostać zabrana po tym... uprowadzeniu? – zapytała.

Idaho popatrzył na nią tak, jakby chciał dojrzeć, co się kryje w cieniu rzucanym przez jej kaptur.

Al-Fali wysunął się do przodu.

– Moja pani, chyba nie myślisz poważnie...

– Czy nie mam prawa decydować o własnym losie? – przerwała mu Jessika.

– Ale ten... – Al-Fali wskazał głową Idaho.

– Był moim wiernym strażnikiem, zanim urodziła się Alia – powiedziała.

– Zanim zginął w obronie życia mego syna i mego. My, Atrydzi, zawsze dotrzemy pewnych zobowiązań.

– A zatem polecisz ze mną? – chciał się upewnić Idaho.

– Dokąd byś ją zabrał? – spytał al-Fali.

– Lepiej, żebyś nie wiedział – odparła Jessika za mentata.

Al-Fali przybrał gniewną minę, ale nic nie rzekł. Wyraz jego twarzy zdradzał, że się waha, że rozumie mądrość tkwiącą w jej słowach, ale nie potrafi się pozbyć nieufności wobec Idaho.

– A co się stanie z fedajkinami, którzy mi pomogli? – spytała Jessika.

– Jeśli zdołają dotrzeć do Tabr, Stilgar wstawi się za nimi – odparł Idaho.

Jessika zwróciła się do al-Falego.

– Rozkazuję ci udać się tam, przyjacielu – rzekła. – Stilgar może skorzystać z pomocy fedajkinów przy poszukiwaniu moich wnucząt.

Stary naib opuścił wzrok.

– Jak matka Muad'Diba rozkaże.

„On nadal jest posłuszny Paulowi” – pomyślała.

– Powinniśmy szybko się stąd wynieść – rzekł Idaho. – Poszukiwania na pewno obejmą to miejsce, i to niedługo.

Jessika zakołysała się, pochyliła do przodu i wstała z tą płynną gracją, której Bene Gesserit nie wyzbywały się nawet wtedy, kiedy czuły spoczywający na ich barkach ciężar wieku. A po tej nocnej ucieczce czuła się stara. Nawet teraz, gdy się ruszyła, była myślami przy owej osobliwej rozmowie z wnukiem. Co on tak naprawdę robił? Potrząsnęła głową, ale ukryła to, poprawiając kaptur. Nazbyt łatwo było wpaść w pułapkę niedoceniań Leto. Życie pośród zwykłych dzieci prowadziło do wytworzenia sobie fałszywego poglądu na to, co przypadło w dziedzictwie tym bliźniętom.

Jej uwagę przykuła poza Idaho. Stał rozluźniony, gotów do odparcia ataku, z jedną nogą wysuniętą przed drugą – w postawie, której sama go nauczyła. Obrzuciła szybkim spojrzeniem młodych Fremenów i al-Falego. Starym przywódcą nadal targały wątpliwości i młodzi to wyczuwali.

– Powierzam temu człowiekowi moje życie – zwróciła się do al-Falego. – I to nie pierwszy raz.

– Moja pani – zaprotestował naib – chodzi o to... – Spiorunował wzrokiem Idaho. – To mąż dziewczyny Koan!

– Ale wyszkolony przez księcia i przeze mnie – rzekła.

– Przecież to ghola! – wyrwało się al-Falemu.

– Ghola mojego syna – przypomniła mu.

Tego było już za wiele dla byłego fedajkina, który przysiągł, że będzie wspierał Muad'Diba aż do śmierci. Westchnął, ustąpił na bok i gestem nakazał obu młodzieńcom rozsunąć kotarę.

Jessika ruszyła do wyjścia, Idaho za nią.

– Masz się udać do Stilgara. Trzeba mu zaufać – rzekła do al-Falego, odwróciwszy się w progu.

– Tak... – odparł stary przywódca, ale w jego głosie nadal słychać było powątpiewanie.

Idaho dotknął jej ramienia.

– Powinniśmy natychmiast wyruszyć. Chcesz coś ze sobą zabrać?

– Tylko zdrowy rozsądek.

– Dlaczego? Obawiasz się, że popełniasz błąd?

Spojrzała na niego.

– Zawsze byłeś naszym najlepszym pilotem, Duncan.

Nie rozbawiło go to. Szybko wysunął się przed nią, wracając drogą, którą przyszedł. Al-Fali zrównał się z Jessiką.

– Skąd wiedziałaś, że przyleciał ornitopterem?

– Nie ma na sobie filtraka – wyjaśniła.

Al-Fali wyglądał na speszonego tym prostym spostrzeżeniem, jednak nie zamierzał milczeć.

– Nasz wysłannik sprowadził go tutaj prosto od Stilgara – powiedział. – Może ich widziano.

– Widziano was, Duncan? – zapytała Jessika idącego przed nią Idaho.

– Przecież wiesz, moja pani – odparł, nie odwracając się. – Lecieliśmy poniżej szczytów wydm.

Skręcili w boczny korytarz, z którego kręte schody prowadziły w dół, do pomieszczenia jasno oświetlonego osadzonymi wysoko w brązowej skale lumisferami. Pod przeciwległą ścianą stał ornitopter. Wyglądał jak owad, który przycupnął, gotując się do skoku. A zatem ściana owa jedynie imitowała skałę, będąc w istocie bramą na pustynię. Chociaż ta sicz była uboga, dbała o urządzenia chroniące ją przed niepowołanymi oczami, a zarazem dające swobodę przemieszczania się.

Idaho otworzył przed Jessiką drzwiczki ornitoptera i pomógł jej usadowić się na fotelu po prawej stronie. Kiedy przechodziła obok niego, zauważyła pot na jego czole, w miejscu, gdzie opadł na nie kosmyk czarnych jak u kozła włosów. Mimo woli obudziło to w niej wspomnienie tej głowy zalanej krwią w zgiełkliwej jaskini. Stalowy chłód tleilaxańskich oczu

przywołał ją jednak do rzeczywistości. Nic już nie było takie, jak się wydawało. Zajęła się zapinaniem pasów.

– Dużo czasu minęło, odkąd ostatni raz wiozłeś mnie ornitopterem, Duncan – powiedziała.

– Dawne, odległe czasy – mruknął, sprawdzając stery.

Przy mechanizmie uruchamiającym bramę ze sztucznej skały czekał, gotów ją otworzyć, al-Fali z dwoma młodszymi Fremenami.

– Myślisz, że ci nie dowierzam? – spytała łagodnie Jessika.

Idaho skupił uwagę na obrotomierzu, włączył wirniki i obserwował, jak porusza się wskazówka. Na jego ustach zaigrał uśmiech ostro kontrastujący z surowymi rysami, ale zniknął równie szybko, jak się pojawił.

– Wciąż jestem Atrydką – powiedziała Jessika. – Alia nie jest.

– Nie obawiaj się – odparł chropawym głosem. – Nadal służę Atrydom.

– Alia nie jest już Atrydką – powtórzyła.

– Nie musisz mi o tym przypominać! – warknął. – A teraz zamknij się i daj mi pilotować.

W jego głosie zabrzmiała niespodziewana desperacja, zupełnie niepodobna do tego Idaho, którego niegdyś znała.

– Dokąd lecimy, Duncan? – spytała, opanowawszy ponowny przypływ strachu. – Teraz możesz mi już powiedzieć.

Ale on tylko skinął głową al-Falemu i sztuczna skała się rozstąpiła, ukazując przestrzeń zalaną srebrzystym światłem słonecznym. Ornitopter poderwał się z rykiem silników, aż od tego wysiłku zadrżały jego skrzydła, wystrzelił z jaskini i wzbił się w puste niebo. Idaho obrał kurs na południowy zachód, ku grani Sihai, która rysowała się w oddali jako ciemna linia nad piaskami.

– Nie myśl o mnie surowo, moja pani – odezwał się w końcu.

– Nie myślałam o tobie surowo od owej nocy, kiedy spity piwem przyprawowym wszedłeś do Wielkiej Sali rezydencji w Arrakin – odparła. Ale jego słowa na nowo wzbudziły w niej wątpliwości, zapadła więc w trans prana i bindu, pełnej rozluźnienia gotowości do obrony.

– Dobrze pamiętam tę noc – rzekł. – Byłem bardzo młody i... niedoświadczony.

– Mimo to byłeś najlepszym mistrzem miecza w orszaku księcia.

– Niezupełnie, moja pani. W sześciu pojedynkach na dziesięć pokonywał mnie Gurney. – Zerknął na Jessikę. – A gdzie on się podziewa?

– Wykonuje moje polecenie.

Idaho potrząsnął głową.

– Wiesz, dokąd lecimy? – zapytała.

– Tak, moja pani.

– Więc mi powiedz.

– Dobrze. Obiecałem przygotować wiarygodny spiszek przeciwko rodowi Atrydów. Tak naprawdę można to zrobić tylko w jeden sposób. – Nacisnął przycisk na pulpicie sterowniczym i z fotela Jessiki wystrzeliły więzy, które spowiły ją miękkim, ale nie dającym się rozerwać kokonem, pozostawiając nieskrępowaną jedynie głowę. – Zabieram cię na Salusę Secundusa – powiedział. – Do Farad’na.

W rzadkim u niej niekontrolowanym odruchu Jessika szarpnęła się, próbując się wyswobodzić, lecz pęta zacisnęły się jeszcze mocniej. Poluzowały się dopiero wtedy, kiedy się uspokoiła, wyczuwszy ukrytą w zabezpieczającej osłonce śmiertelnością szigastrunę.

– Mechanizm zwalniający szigastrunę został odłączony – rzekł Idaho, nie patrząc na Jessikę. – Aha, i nie próbuj używać przeciw mnie Głosu. Dużo przeszedłem od czasu, gdy mogłaś mną w ten sposób sterować. – Spojrzał na nią. – Tleilaxanie uodpornili mnie na takie sztuczki.

– Jesteś posłuszny Alii – powiedziała Jessika – a ona...

– Nie Alii – przerwał jej Idaho. – Wykonujemy polecenie Kaznodziei. On chce, żebyś uczyła Farad’na, tak jak kiedyś uczyłaś... Paula.

Jessika zamarła, przypomniawszy sobie słowa Leto, że znajdzie interesującego ucznia.

– Ten Kaznodzieja... czy to mój syn? – spytała po chwili.

Odniosła wrażenie, że głos Idaho dochodzi z bardzo daleka.

– Sam chciałbym wiedzieć.



Wszechświat po prostu *jest*; to jedyny sposób, w jaki fedajkin może go postrzegać i pozostać przy zdrowych zmysłach. Wszechświat ani niczym nie grozi, ani niczego nie obiecuje. Jest pełen zjawisk, na które nie mamy wpływu, jak upadek meteorytu, wybuch przyprawy, starzenie się i umieranie. Takie są realia tego wszechświata i trzeba stawiać im czoło bez względu na to, jakie budzą w nas uczucia. Realiów tych nie można zbyć słowami. Natrą na was w swój niemy sposób i wtedy zrozumiecie, co znaczy „życie i śmierć”. A kiedy to zrozumiecie, przepelni was radość.

– Oto sprawy, które wprowadziliśmy w ruch – podsumowała Wensicja. – Zrobiliśmy to dla ciebie.

Farad'n nie poruszył się. Siedział naprzeciw matki w jej porannym saloniku. Zza jego pleców wpadało złote światło słońca, rzucając cień na pokrytą białym dywanem podłogę. Odbite od ściany za matką tworzyło aureolę wokół jej głowy. Miała na sobie tę samą co zwykle białą suknię lamowaną złotem – wspomnienie królewskich czasów. Jej trójkątna twarz wydawała się spokojna, ale Farad'n wiedział, że bacznie obserwuje każdą jego reakcję. Czuł pustkę w żołądku, chociaż przyszedł zaraz po śniadaniu.

– Nie pochwalasz tego? – zapytała Wensicja.

– A czego tu można nie pochwalać? – odparł pytaniem.

– Cóż... tego, że aż do tej chwili ukrywaliśmy to przed tobą.

– Ach, o to chodzi. – Przyglądał się badawczo matce i usiłował ocenić złożoną sytuację, w której się znalazł, ale jego myśli krążyły uparcie wokół czegoś, co ostatnio zauważył, a mianowicie, że Tajkenik nie zwracał się już do niej per „księżno”.

Jak ją tytułował? Królową Matką?

„Dlaczego mam poczucie straty? – zastanawiał się. – Co tracę?”
Odpowiedź była oczywista: tracił beztroskie dni, swobodę oddawania się naukowym dociekaniom, które zawsze tak go pociągały. Jeśli uknuty przez matkę spisek się powiedzie, czasy te miną bezpowrotnie. Pochłoną go nowe obowiązki. Czuł do tego głęboką odrazę. Jak śmieli tak bezceremonialnie rozporządzać jego czasem?! I to bez porozumienia z nim!

– Wyduś to z siebie – powiedziała Wensicja. – Widzę, że coś cię gnębi.

– A jeśli ten plan się nie powiedzie? – zapytał, mówiąc to, co mu pierwsze przyszło do głowy.

– Jak może się nie powieść?

– Nie wiem... Każdy plan może spalić na panewce. Jaką rolę w tym wszystkim odgrywa Idaho?

– Idaho? Skąd to nagle zainteresowanie... Ach, tak. To wpływ tego mistyka, którego sprowadził Tajk, nie pytając mnie o zdanie. Źle zrobił. To ten mistyk mówił o Idaho, tak?

Było to nieudolne kłamstwo i Farad'n spojrzał na matkę ze zdumieniem. Cały czas wiedziała o Kaznodziei!

– Po prostu nigdy nie widziałem gholi – odparł.

Przyjęła to wyjaśnienie.

– Zachowujemy Idaho do czegoś ważnego – oznajmiła.

Farad'n zagryzł górną wargę.

Wensicji stanął przed oczami jego zmarły ojciec. Dalak też czasem był taki, bardzo skryty i skomplikowany, trudny do rozgryzienia. Przypomniała sobie, że Dalak był spokrewniony z hrabią Hasimirem Fenringiem i że obaj mieli w sobie coś z dandysa i fanatyka. Czy Farad'n pójdzie w ich ślady? Zaczęła żałować, że poleciła Tajkowi, by zapoznał chłopca z zasadami arrakańskiej religii. Kto wie, dokąd może go to doprowadzić?

– Jak teraz nazywa cię Tajk? – zapytał Farad'n.

– A to co znowu? – Zaskoczył ją ten nagły przeskok.

– Zauważyłem, że nie zwraca się już do ciebie „księżno”.

„Jakiż on jest spostrzegawczy – pomyślała Wensicja, zastanawiając się, dlaczego napęła ją to niepokojem. – Czyżby myślał, że Tajk został moim kochankiem? Bzdura, to nie miałoby żadnego znaczenia. Wobec tego skąd to pytanie?”

– Zwraca się do mnie „moja pani” – odparła.

– Dlaczego?

– Bo taki jest zwyczaj we wszystkich wysokich rodach.

„Włącznie z Atrydami” – pomyślał Farad'n.

– Rodzi mniej podejrzeń, jeśli ktoś podsłucha rozmowę – wyjaśniła. – Niektórzy mogą pomyśleć, że wyrzekliśmy się naszych uzasadnionych aspiracji.

– Kto byłby aż tak głupi? – spytał.

Księżna zasznurowała usta i postanowiła zbyć to milczeniem. Niby drobiazg, ale wielkie kampanie składają się z mnóstwa drobiazgów.

– Lady Jessika nie powinna opuszczać Kaladanu – powiedział.

Potrząsnęła gwałtownie głową. A to co? Umysł Farad'na robił dziwne wolty.

– Co masz na myśli? – zapytała.

– Nie powinna wracać na Arrakis – odparł. – To zła strategia. Skłania do zastanowienia. Byłoby dla niej lepiej, gdyby wnuki odwiedziły ją na Kaladanie.

„To prawda” – pomyślała Wensicja, skonsternowana, że jej samej nigdy nie przyszło to do głowy. Tajk będzie musiał to natychmiast zbadać. Ponownie potrząsnęła głową. „Nie!” Co Farad'n robi? Przecież musi wiedzieć, że kapłanat nigdy nie dopuściłby, żeby bliźnięta znalazły się jednocześnie w kosmosie. Za duże ryzyko.

Powiedziała to.

– Kapłanat czy lady Alia? – zapytał, spostrzegłszy, że jej myśli skierowały się tam, gdzie chciał. Stwierdził, że te nowe wyzwania, zmaganie się umysłów w politycznych knowaniach i intrygach, są ekscytujące. Minęło wiele czasu, odkąd interesował go umysł matki. Zbyt łatwo można było nią manipulować.

– Myślisz, że Alia chce władzy dla siebie? – zapytała Wensicja.

Odwrócił od niej wzrok. Oczywiście, że Alia chciała władzy dla siebie! Wszystkie doniesienia z tej przeklętej planety były co do tego zgodne. Jego myśli pobiegły w innym kierunku.

– Czytałem o tym ich planetologu – powiedział. – Musi tam być jakaś wskazówka dotycząca czerwiej pustyni i haploidów, jeśli tylko...

– Teraz zostaw to innym! – przerwała mu, zaczynając tracić cierpliwość. – Czy to wszystko, co masz do powiedzenia o tym, co zrobiliśmy dla ciebie?

– Nie zrobiliście tego dla mnie – odparł.

– Cooo?

– Zrobiłaś to dla rodu Corrinów – rzekł – a teraz ty jesteś jego głową. Nie nadano mi tytułu.

– Masz obowiązki! – powiedziała z oburzeniem Wensicja. – Co z tymi wszystkimi ludźmi, których los zależy od ciebie?

Farad'n poczuł nagle, jakby jej słowa zrzuciły nań ciężar odpowiedzialności za spełnienie wszystkich marzeń i nadziei wiązanych z rodem Corrinów.

– Tak – odparł. – Rozumiem, że mam wobec nich obowiązki, ale niektóre rzeczy robione w moim imieniu napawają mnie wstrętem.

– Wstrę... Jak możesz mówić coś takiego? Robimy to, co zrobiliby każdy wysoki ród zabiegający o swoje dobro!

– Czyżby? Moim zdaniem posunęłaś się ciut za daleko. Nie! Nie przerywaj mi. Skoro mam być Imperatorem, lepiej naucz się mnie słuchać. Myślisz, że nie potrafię czytać między wierszami? Jak tresowano te tygrysy?

Odjęło jej mowę wobec tak zdumiewającego przejawu jego spostrzegawczości.

– Rozumiem – powiedział. – Zatrzymam Tajka, bo wiem, że to ty go w to wciągnęłaś. W większości sytuacji jest dobrym oficerem, ale o swoje zasady będzie walczył tylko na przyjaznej arenie.

– O swoje... *zasady*?

– Różnica między dobrym a złym oficerem sprowadza się do siły charakteru i około pięciu uderzeń serca – odparł Farad’n. – Musi bronić swoich zasad, ilekroć zostaną zakwestionowane.

– Te tygrysy były niezbędne – powiedziała.

– Uwierzę w to, jeśli im się uda – rzekł. – Ale nie wybaczę tego, co zrobiono podczas ich szkolenia. Nie protestuj. To oczywiste. Zostały *uwarunkowane*. Sama to powiedziałaś.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała Wensicja.

– Poczekam, zobaczę. Może zostanę Imperatorem.

Przyłożyła rękę do piersi i westchnęła. Przez kilka chwil była przerażona. Niemal uwierzyła, że Farad’n ją wyda. Zasady! Ale teraz widziała, że się w to zaangażował.

Farad’n wstał, podszedł do drzwi i zadzwonił po służbę matki. Spojrzał przez ramię na Wensicję.

– Skończyliśmy, prawda? – rzekł.

– Tak. – Podniosła rękę, gdy się zbierał do wyjścia. – Dokąd idziesz?

– Do biblioteki. Ostatnio zafascynowały mnie dzieje Corrinów – odparł. A potem ją zostawił, czując na swoich barkach ciężar nowego zobowiązania. „Niech ją diabli!”

Ale wiedział, że już w tym ugrzązł, i zdawał sobie sprawę, że między historią zapisaną na szigastrunach i czytaną w wolnych chwilach a historią, w której się żyje, jest wielka emocjonalna różnica. Czuł, że ta żywa historia, która go otacza, wciąga go w nieodwracalną przyszłość. Miał wrażenie, że kierują nim teraz pragnienia tych wszystkich, którzy związali z nim swoje losy. Wydało mu się dziwne, że nie może w tym rozpoznać własnych pragnień.



Powiadają o Muad’Dibie, że kiedy pewnego razu dostrzegł roślinkę próbującą się przebić między dwoma kamieniami, usunął jeden z nich. Później, gdy rozkwitła, przykrył ją pozostałym kamieniem. „Taki los był jej pisany” – wyjaśnił.

– *Komentarze*

– Teraz! – krzyknęła Ganimi.

Leto, który dwa kroki przed nią dotarł do szczeliny, nie wahał się ani chwili. Zanurkował w rozpadlinę i czołgał się, aż otoczyła go ciemność. Za sobą usłyszał uderzenie ciała Ganimy, po którym nagle zapadła cisza, i w końcu jej głos, ani go nie ponaglający, ani bojaźliwy:

– Uwięzłam.

Wstał, wiedząc, że jego głowa znajdzie się w zasięgu szukających ofiary pazurów, odwrócił się w wąskim przejściu i popęzł z powrotem, dopóki nie natrafił na wyciągniętą rękę Ganimy.

– To przez mój płaszcz – powiedziała. – Zahaczył o coś.

Usłyszał osypujące się pod nimi kamienie i pociągnął ją za rękę, ale niewiele zyskali.

Z dołu dobiegło sapanie i pomruk.

Leto napiął wszystkie mięśnie, zaparł się biodrami o skałę i szarpnął siostrę za rękę. Rozległ się trzask rozdieranej tkaniny i Leto poczuł, że opór ustąpił. Ganimy syknęła z bólu, ale pociągnął raz jeszcze, mocniej. Wcisnęła się głębiej w szczelinę i padła obok niego. Byli jednak zbyt blisko otworu, więc odwrócił się i na czworakach popęzł dalej. Ganimy trzymała się tuż za nim. Przy każdym ruchu dyszała, domyślił się więc, że jest ranna. Dotarł do końca rozpadliny, przekręcił się na plecy i spojrzał w górę, na wąską szparę prowadzącą do ich schronienia. Otwór znajdował się około dwóch metrów nad nim, wypełniały go gwiazdy. Nagle przesłoniło je coś dużego.

Powietrze wokół bliźniąt wypełnił dudniący pomruk. Był to niski, groźny, pradawny dźwięk – łowca obwieszczał ofierze swoje przybycie.

– Jesteś poważnie ranna? – zapytał Leto, starając się, by jego głos brzmiał spokojnie.

– Jeden z nich zahaczył mnie pazurami – odparła, dostosowując swój ton do jego. – Rozerwał mi filtrak na lewej nodze. Krwawię.

– Mocno?

– Z żyły. Zatomuję krwotok.

– Zastosuj ucisk – powiedział. – Nie ruszaj się. Ja się zajmę naszymi przyjaciółmi.

– Uważaj – ostrzegła go Ganimy. – Są większe, niż przypuszczałam.

Leto wy dobył krysnoż z pochwy i skierował ostrzem w górę. Wiedział, że tygrys będzie gmerał łapą w dziurze, przeczesując wąskie przejście, w którym nie mogło się zmieścić jego cielsko.

Powoli wyciągał rękę z nożem. Nagle coś uderzyło w koniec ostrza. Cios był tak silny, że odczuł go w całej ręce i omal nie wypuścił broni. Krew

trysnęła na jego dłoń i spryskała twarz. Rozległ się ryk, który niemal go ogłuszył. W otworze znowu ukazały się gwiazdy. Coś rzuciło się gwałtownie i spadło na piasek u podnóża skał, wydając przeraźliwe miauknięcia.

Gwiazdy ponownie przesłonił cień i Leto usłyszał pomruk łowcy. Na miejsce przybył drugi tygrys, niepomny losu swojego towarzysza.

– Są uparte – powiedział chłopiec.

– Jednego na pewno załatwiłeś – rzekła Ganimi. – Posłuchaj!

Dochodzące z dołu żalosne miauczenie i odgłosy miotającego się w konwulsjach cielska były coraz słabsze. Jednak drugi tygrys nadal odgradzał ich od światła gwiazd.

Leto wsunął ostrze do pochwy i dotknął ramienia Ganimy.

– Daj mi swój nóż – powiedział. – Potrzebuję świeżego ostrza, żeby mieć pewność, że załatwię również tego.

– Myślisz, że mają w rezerwie trzeciego? – zapytała.

– Mało prawdopodobne. Lazajskie tygrysy polują parami.

– Tak jak my – powiedziała Ganimi.

– Jak my – przyznał Leto. Poczuł, że rękojeść jej noża wśliznęła mu się w dłoń, i mocno ją ujął. Ponownie zaczął wznosić rękę w poszukiwaniu celu. Ostrze napotykało jedynie powietrze, nawet kiedy sięgnął tak wysoko, że sam naraził się na niebezpieczeństwo. Cofnął rękę i zaczął się zastanawiać.

– Nie możesz go znaleźć?

– Nie zachowuje się tak jak tamten.

– Ale wciąż tu jest. Czujesz?

Leto zaschło w gardle. Przełknął ślinę, a wtedy w nozdrza uderzył go piżmowy odór wilgotnej sierści kota. Coś nadal przesłaniało gwiazdy. Pierwszego zwierzęcia nie było słychać; zatruty krysnóż zrobił swoje.

– Chyba będę musiał wstać – rzekł.

– Nie!

– Trzeba go zwabić w zasięg noża.

– Tak, ale ustaliliśmy, że jeśli jedno z nas zdoła wyjść z tego bez szwanku...

– A ty jesteś ranna, więc to ty wracasz – przerwał jej.

– Ale jeśli odniesiesz poważną ranę, nie będę mogła cię zostawić.

– Masz lepszy pomysł?

– Oddaj mi nóż.

– Ale twoja noga!

– Mogę stać na zdrowej.
– Ta bestia jest w stanie jednym machnięciem łapy urwać ci głowę. Może użyjemy maula...
– Jeśli jest tu gdzieś ktoś i to usłyszy, będą wiedzieli, że przyszedliśmy przygotowani...
– Nie chcę, żebyś tak ryzykowała! – zaprotestował Leto.
– Ten, kto tu jest, nie może się dowiedzieć, że mamy pistolety maula. Jeszcze nie teraz. – Dotknęła jego ramienia. – Będę ostrożna. Będę trzymała głowę nisko.

Nie odpowiadał.

– Wiesz, że ja muszę to zrobić – przekonywała Ganima. – Oddaj mi nóż.
Z ociąganiem pomacał wolną ręką, znalazł jej dłoń i zwrócił nóż. Było to logiczne postępowanie, ale wszystko w nim buntowało się przeciw temu.

Poczuł, że Ganima się odsuwa, i usłyszał szelest jej płaszcza ocierającego się o skałę. Stęknęła, zorientował się więc, że wstała. „Bądź ostrożna!” – pomyślał i niewiele brakowało, by ją odciągnął i ponownie zaproponował użycie pistoletu maula. Ostrzegłoby to jednak człowieka, który czaił się na zewnątrz, że mają taką broń. Co gorsza, mogłoby to przepłoszyć zwierzę, a wtedy zostaliby w rozpadlinie jak w pułapce, z rannym tygrysem czekającym na nich gdzieś wśród skał.

Ganima wzięła głęboki oddech i oparła się mocno plecami o ścianę rozpadliny. „Muszę być szybka” – pomyślała. Podniosła rękę z nożem i sondowała jego sztychem otwór szczeliny. Rwało ją w lewej nodze, w miejscu, gdzie rozorały ją pazury. Czuła tam zaskorupiałą krew i ciepło spływającej świeżej. „Bardzo szybka!” Zgodnie z metodą Bene Gesserit skupiła wszystkie zmysły, osiągając stan spokojnej gotowości do stawienia czoła zagrożeniu. Wyparła ze świadomości ból i wszystkie inne rozprasające uwagę sprawy. Kot musi sięgnąć łapą w dół! Przesunęła powoli ostrze wzdłuż otworu. Gdzie jest to przeklęte zwierzę? Raz jeszcze przeczesła nożem powietrze. Nic. Trzeba będzie sprowokować tygrysa do ataku.

Spróbowała wykorzystać węch. Z lewej strony dochodził ciepły zapach oddechu. Przygotowała się do zadania ciosu i krzyknęła: „Takwa!” Był to pradaowny okrzyk wojenny Fremenów, który według najstarszych legend oznaczał: „Cena wolności!” Dźgnęła nożem ciemną plamę zasłaniającą wylot szczeliny i przejechała po niej. Zanim ostrze dotknęło ciała tygrysa, jego pazury znalazły łokieć Ganimy. Zdążyła tylko zwrócić nadgarstek

w stronę, z której dochodził ból, kiedy straciła czucie w ręce aż do łokcia. Nóż wypadł ze zdrtwiałych palców, ale w wąskim otworze rozpadliny znowu pojawiły się gwiazdy, a nocnym powietrzem wstrząsnął rozpaczliwy ryk zdychającego kota. Słyszeli, jak zwierzę miota się w przedśmiertnych konwulsjach i spada, obijając się, ze skał. A potem zapadła grobowa cisza.

– Zahaczył mnie – powiedziała Ganima, starając się owinać ranę luźną fałdą płaszcza.

– Mocno?

– Chyba tak. Nie czuję ręki.

– Poczekaj, zapalę światło i...

– Najpierw musimy się przykryć!

– Pośpieszę się.

Usłyszała, że się obraca, by sięgnąć po swój fremsak, następnie zaś poczuła gładkie muśnięcie rozwijającej się nad jej głową nocnej osłony, której koniec Leto utknął za nią. Nie zadbał o to, by ją uszczelnić, chroniąc ich przed utratą wilgoci.

– Mój krysnóż leży z tej strony – powiedziała. – Czuję kolanem rękojeść.

– Na razie go zostaw.

Leto zapalił małą lumisferę. Zrobiło się tak jasno, że zmrużyła oczy. Chłopiec postawił lampę na piaszczystym dnie rozpadliny. Kiedy zobaczył rękę siostry, zaniemówił z wrażenia. Pazur rozorał jej przedramię od łokcia aż po wewnętrzną stronę nadgarstka. Rana odtwarzała kierunek, w którym obróciła rękę, by sięgnąć sztychem łapy tygrysa.

Ganima tylko raz zerknęła na rękę, zamknęła oczy i zaczęła odmawiać *Litanie przeciw strachowi*.

Leto najchętniej by się do niej przyłączył, ale stłumił targające nim emocje i zabrał się do opatrywania rany. Musiał to zrobić starannie, by powstrzymać upływ krwi, a jednocześnie sprawić wrażenie nieudolnego opatrunku, który Ganima mogła sobie założyć sama. Podał jej jeden koniec bandaża, by zacisnęła go wolną ręką, trzymając drugi w zębach.

– Teraz przyjrzyjmy się nodze – powiedział.

Obróciła się, by pokazać drugą ranę. Ta nie była tak groźna: dwa płytkie rozcięcia na łydce. Mimo to broczyły obficie, a krew spływała w nogawkę filtraka. Oczyszczył je najlepiej jak potrafił i obwiązał ranę. Zapiął filtrak.

– Dostał się tam piach – stwierdził. – Zadbaj o to, by ktoś się tym zajął, jak tylko wrócisz.

– Piasek w naszych ranach – rzekła. – Nic nowego dla Fremena.

Zmusił się do uśmiechu i wyprostował.

Ganima wzięła głęboki oddech.

– Odparliśmy to – powiedziała.

– Jeszcze nie.

Przełknęła ślinę, starając się przyjść do siebie po doznanych wstrząsach. W świetle lumisfery jej twarz wyglądała blado. „Tak, teraz musimy działać szybko – pomyślała. – Ten, kto kierował tymi tygrysami, może już czekać gdzieś na zewnątrz”.

Patrząc na siostrę, Leto doznał nagle dojmującego poczucia straty. Piers przeszył mu rozdzierający ból. Muszą się rozdzielić. Przez te wszystkie lata od narodzin byli jakby jedną osobą, ale teraz ich plan wymagał, by przeszli metamorfozę i by każde z nich podążyło inną ścieżką, do odrębności, w której nigdy już nie będą ich spajały wspólne przeżycia i doznania, tak jak niegdyś.

Otrząsnął się z tych rozmyślań i wrócił do naglających przyziemnych spraw.

– Weź mój fremsak. Wyjąłem z niego bandaż. Ktoś może to sprawdzić.

– Tak. – Zamieniła się z nim plecakami.

– Ten ktoś na zewnątrz ma nadajnik, przez który przekazywał polecenia kotom – powiedział Leto. – Najprawdopodobniej będzie czekał koło kanatu, żeby się upewnić, że już po nas.

Ganima wymacała pistolet maula na wierzchu fremsaka, wyjęła go i wsunęła za pas pod płaszczem.

– Mam rozdarty płaszcz – powiedziała.

– Istotnie. Wkrótce mogą tu dotrzeć poszukiwacze – stwierdził. – Wśród nich może być zdrajca. Lepiej się stąd wymknij. Niech Hara cię ukryje.

– Jak... jak tylko wrócę, zacznę szukać zdrajcy – powiedziała. Spojrzała na twarz brata, łącząc się z nim w bolesnej świadomości, że od tej pory będą się nawarstwiać coraz większe różnice między nimi. Nigdy już nie będą, jak dotąd, jednością, nigdy nie będą się dzielić wiedzą, której nie rozumiał nikt inny.

– Udam się do Dżakurutu – rzekł Leto.

– Do Fondak – poprawiła go.

Kiwnął głową na znak zgody. Dżakurutu i Fondak – to musiało być to samo miejsce. Tylko w ten sposób można było utrzymać w tajemnicy położenie legendarnej siczy. Oczywiście postarali się o to przemytnicy. Jakże łatwo było im zastąpić jedną nazwę drugą, działając w ramach

niepisanej umowy, za sprawą której mogli egzystować. Ród rządzący planetą musiał zawsze mieć furtkę, którą w razie potrzeby mógł uciec. A dzięki małemu udziałowi w zyskach z przemytu kanał ten pozostawał drożny. W Fondak/Dżakurutu przemytnicy przejęli dobrze funkcjonującą sieć bez oporu ze strony jej mieszkańców. I ukryli Dżakurutu wprost na otwartej przestrzeni, chronieni tabu, które utrzymywało Fremenów z dala od tej osady.

– Fremenom nie przyjdzie do głowy szukać mnie w takim miejscu – powiedział. – Oczywiście będą wypytywali przemytników, ale...

– Zrobimy, jak uzgodniliśmy – rzekła. – Problem w tym...

– Wiem. – Usłyszawszy swój głos, Leto zdał sobie sprawę, że przeciągają te ostatnie chwile tożsamości. Na jego ustach pojawił się gorzki uśmiech, dodając mu lat.

Ganima uświadomiła sobie, że widzi brata z perspektywy czasu, patrzy na starszego Leto. Oczy zapiekły ją od łez.

– Nie powinnaś jeszcze ofiarowywać wody umarłym – powiedział, wycierając palcem wilgoć z jej policzków. – Odejdę na tyle daleko, żeby nikt mnie nie usłyszał, i wezwę czerwia. – Wskazał przytroczone do plecaka haki stwórcy. – Pojutrze przed świtem będę w Dżakurutu.

– Jedź szybko, stary przyjacielu – wyszeptała.

– Wrócę do ciebie, moja jedyna przyjaciółko – rzekł. – Pamiętaj o zachowaniu ostrożności przy kanacie.

– Wybierz dobrego czerwia – wypowiedziała słowa starego fremeńskiego pożegnania. Lewą ręką zgasła lumisferę. Nocna osłona zaszeleściła, kiedy ją odsunęła, zwinęła i wepchnęła do fremsaka. Wyczuła, że Leto odchodzi; łowiła uchem ledwie słyszalne dźwięki, szybko rozplywające się w ciszy, kiedy zsuwał się ze skał na pustynię.

Przygotowała się do tego, co musiała zrobić. Leto musi się stać dla niej martwy. Musi w to uwierzyć. W jej głowie nie może pozostać żadna myśl o Dżakurutu, o bracie szukającym miejsca zagubionego we fremeńskiej mitologii. Od tej chwili nie wolno jej myśleć o nim jak o żywym. Musi się tak nastawić, by działać z pełnym przekonaniem, że jej brat nie żyje, że został tutaj zabity przez lazajskie tygrysy. Niewielu ludzi potrafiło oszukać Prawdomówczynię, ale wiedziała, że jej się to uda... że może się udać. Sposobu na to nauczyły ją wielorakie istnienia, które dzieliła z Leto; był to hipnotyczny proces, stary już w czasach Saby, choć była prawdopodobnie jedyną żyjącą osobą, która nadal pamiętała Sabę jako kobietę z krwi i kości.

Przymus, do którego musiała się uciec, został starannie zaplanowany i przez długi czas po odejściu Leto Ganimi przekształcała swoją jaźń, budując w niej przekonanie o sobie jako tej, która ocalała, aż w końcu stało się ono wiarygodne. Kiedy osiągnęła ten stan, jej wewnętrzny świat umilkł, usunął się poza granice świadomości. Był to skutek uboczny, którego się nie spodziewała.

„Gdybyż Leto mógł dożyć tej chwili i poznać to” – pomyślała i nie uznała tego za paradoks. Wstając, spojrzała na pustynię, na której tygrys dopadł Leto. Dobiegał stamtąd coraz głośniejszy, znany każdemu Fremenowi dźwięk: odgłos sunącego czerwia. Chociaż były już w tych stronach rzadkością, jakiś nadciągał. Może zwabiły go przedśmiertne konwulsje pierwszego tygrysa... Tak, Leto go zabił, nim dopadł go drugi. W przybyciu czerwia było coś dziwnie symbolicznego. Przymus, któremu się poddała, był tak silny, że w oddali, na piasku, zobaczyła trzy ciemne punkty: dwa tygrysy i Leto. A potem nadciągnął czerw i na powierzchni piasku widać już było tylko fale po przejściu szej-huluda. Czerw nie był zbyt wielki... ale dostatecznie duży. Przymus zaś, któremu się poddała, nie pozwalał jej dojrzeć małej postaci na jego pierścieniowatym grzbiecie.

Odpędzając smutek, Ganimi zamknęła fremsak i ostrożnie wysunęła się z kryjówki. Rozejrzała się z ręką na pistolecie maula. Ani śladu człowieka z nadajnikiem. Zaczęła się wdrapywać na skały, oddalając od rozpadliny. Ukryta w cieniu rzucanym przez głązy, na które padało światło księżyca, przystawała co rusz i nasłuchiwała, czy na drodze nie czai się jakiś asasyn.

Za rozległymi piaskami dostrzegła migotanie pochodni w siczy Tabr, widomy znak poszukiwań. Ku Towarzyszowi przesuwała się ciemna plama. Wybrała trasę daleko na północ od grupy poszukiwawczej, zeszła na piasek i ruszyła, kryjąc się w cieniu wydm. Dbając, by stąpać nierytmicznie i nie przywabić czerwia, zaczęła samotnie pokonywać odległość dzielącą Tabr od miejsca, w którym zginął Leto. Wiedziała, że będzie musiała być ostrożna przy kanacie. Nic nie mogło powstrzymać Ganimy przed opowiedzeniem o tym, jak zginął jej brat, ratując ją przed tygrysami.



Rządy, jeśli przetrwają, mają wielką skłonność do przeradzania się w arystokrację. Historia nie zna ani jednego przypadku odbiegającego od tego schematu. A kiedy już wykształci się arystokracja, władze coraz bardziej skłonne są działać wyłącznie w interesie klasy rządzącej, bez względu na to, czy jest to monarchia dziedziczna, oligarchia finansowa czy pilnująca swoich stołków biurokracja.

– *Polityka jako zjawisko powtarzalne z Podręcznika szkoleniowego Bene Gesserit*

– Dlaczego składa nam tę propozycję? – zapytał Farad’n. – To bardzo istotne pytanie.

Wraz z baszarem Tajkenikiem stał w swoich prywatnych apartamentach. Z boku, na niskiej niebieskiej otomanie, siedziała Wensicja, bardziej przysłuchując się, niż biorąc udział w rozmowie. Wiedziała, jaka jest jej pozycja, i nie mogła się z tym pogodzić, ale od owego ranka, kiedy wyjawiała mu ich intrygę, w Farad’nie dokonała się straszna przemiana.

Było późne popołudnie i światło nisko wiszącego słońca uwypuklało komfort tego spokojnego miejsca – pokoju ze stojącymi przy ścianach półkami z plastinowymi reprodukcjami książek, mnóstwem szpul z nagraniami, blokami danych, szigastrunowymi rolkami i mnemotechnicznymi wzmacniaczami. Wszystko to nosiło ślady częstego używania: wytarte okładki książek, błyszczący metal wzmacniaczy, wystrzępione rogi bloków danych. Była tam tylko ta jedna otomana, ale za to wiele krzeseł dryfowych, które dostosowywały się do siedzącego, zapewniając mu wygodę bez jakichkolwiek starań z jego strony.

Farad’n stał tyłem do okna. Miał na sobie szaro-czarny mundur szeregowego sardaukara, którego jedyną ozdobą były złote lwie łapy na rogach kołnierza. Postanowił przyjąć baszara i matkę w tym pokoju, mając nadzieję, że stworzy to atmosferę do swobodniejszej rozmowy niż w bardziej oficjalnym otoczeniu. Niestety, stale powtarzające się „mój panie, to” i „moja pani, tamto” Tajkenika trzymało ich na dystans.

– Mój panie, nie sędzę, żeby złożył tę ofertę, gdyby nie był w stanie jej wydać – rzekł Tajkenik.

– Oczywiście – wtrąciła Wensicja.

Farad’n uciszył matkę wzrokiem.

– Nie wywieraliśmy na Idaho żadnego nacisku, nie staraliśmy się skłonić go do spełnienia obietnicy Kaznodziei? – zapytał.

– Nie – odparł Tajkenik.

– To dlaczego Duncan Idaho, znany z tego, że całe życie był fanatycznie oddany Atrydom, składa teraz propozycję wydania nam lady Jessiki?

– Te pogłoski o niepokojach na Arrakis... – zasugerowała Wensicja.

– Niepotwierdzone – uciął Farad’n. – Czy możliwe, że doprowadził do tego Kaznodzieja?

– Możliwe – przyznał baszar – ale nie widzę motywu.

– Idaho twierdzi, że szuka dla niej schronienia – powiedział Farad’n. – To mogłoby mieć sens, jeśli te pogłoski...

– No właśnie – rzekła jego matka.

– Ale może to też być jakiś podstęp – zauważył Tajkenik.

– Możemy przyjąć kilka założeń i zbadać je – powiedział Farad’n. – A jeśli Idaho popadł w niełaskę u lady Alii?

– To by wiele wyjaśniało – stwierdziła Wensicja – ale on...

– Nie ma jeszcze żadnych wieści od przemytników? – przerwał jej Farad’n. – Dlaczego nie mielibyśmy...

– O tej porze roku wiadomości zawsze docierają wolno – wyjaśnił Tajk – a względy bezpieczeństwa...

– Tak, oczywiście, ale mimo to... – Farad’n pokręcił głową. – Nie podoba mi się to przypuszczenie.

– Nie odrzucaj go pochopnie – powiedziała Wensicja. – Te wszystkie opowieści o Alii i tym kapłanie, jak mu tam...

– Dżawid – rzekł Farad’n. – Ale ten człowiek jest oczywiście...

– Był dla nas bardzo cennym źródłem informacji – rzekła Wensicja.

– Chciałem powiedzieć, że on jest oczywiście podwójnym agentem – dokończył Farad’n. – Jak mógł się w to wplątać? Nie można mu ufać. Jest zbyt wiele oznak...

– Ja ich nie widzę – przerwała mu matka.

Jej uniki nagle rozłożyły Farad’na.

– Masz na to moje słowo, matko! Są oznaki. Wyjaśnię to później.

– Obawiam się, że muszę się z tym zgodzić – rzekł Tajkenik.

Zraniona Wensicja umilkła. Jak śmieli w taki sposób zignorować jej zdanie? Zupełnie jakby była jakąś słodką idiotką...

– Nie możemy zapominać, że Idaho był gholą – powiedział Farad’n. – Tleilaxanie... – Zerknął z ukosa na Tajkenika.

– Ta możliwość zostanie zbadana – rzekł baszar. Podziwiał sposób, w jaki pracował umysł młodzieńca: czujny, dociekliwy, przenikliwy. Tak, Tleilaxanie, przywracając Idaho do życia, mogli dla własnych celów jakoś go uwarunkować.

– Ale nie pojmuję, jaki mogliby mieć motyw – dodał Farad’n.

– Inwestycja w nasze losy – rzekł Tajkenik. – Małe zabezpieczenie w nadziei na przyszłe łaski?

– Powiedziałbym, że to całkiem spora inwestycja – skomentował Farad’n.

– I niebezpieczna – dorzuciła Wensicja.

Farad’n musiał się z nią zgodzić. Umiejętności lady Jessiki były znane w całym Imperium. W końcu to ona wyszkoliła Muad’Diba.

– Gdyby się rozeszło, że ją mamy – rzekł.

– Tak, to byłby obosieczny miecz – przyznał Tajkenik. – Ale nie musi się rozejść.

– Założmy – ciągnął Farad’n – że przyjmujemy tę propozycję. Ile jest warta? Czy możemy ją wymienić na coś cenniejszego?

– Nie otwarcie – stwierdziła Wensicja.

– Oczywiście, że nie! – Młodzieniec spojrzał wyczekująco na Tajkenika.

– To się jeszcze okaże – powiedział baszar.

– Tak. – Farad’n skinął głową. – Sądzę, że jeśli skorzystamy z tej propozycji, to powinniśmy traktować lady Jessikę jak depozyt bankowy na nieokreślony termin. W końcu majątku nie trzeba koniecznie wydawać na konkretną rzecz. Może być... potencjalnie użyteczny.

– Byłaby bardzo niebezpiecznym jeńcem – zauważył Tajkenik.

– To istotnie trzeba wziąć pod uwagę – przyznał Farad’n. – Słyszałem, że metody Bene Gesserit pozwalają im manipulować człowiekiem za pomocą samego tylko subtelного wykorzystania głosu.

– Albo ciała – rzekła Wensicja. – Irulana wyjawiała mi kiedyś pewne rzeczy, których się nauczyła. Popisywała się, a ja nie zauważyłam niczego szczególnego. Mimo to istnieją przekonujące dowody, że Bene Gesserit znają sposoby osiągnięcia swoich celów.

– Sugerujesz – zapytał Farad’n – że mogłaby mnie uwieść?

Wensicja tylko wzruszyła ramionami.

– Powiedziałbym, że jest na to trochę za stara, nieprawdaż? – naciskał Farad’n.

– Jeśli chodzi o Bene Gesserit, niczego nie można być pewnym – zauważył Tajkenik.

Farad’n poczuł dreszcz ekscytacji zabarwiony strachem. Ta gra o odzyskanie przez ród Corrinów tronu jednocześnie pociągała go i odstręczała. Jakże go kusilo, by wycofać się z tej gry i poświęcić ulubionym zajęciom – badaniom historycznym i poznawaniu obowiązków związanych z rządzeniem tutaj, na Salusie Secundusie. Już samo

przywrócenie potęgi sardaukarów było nie lada wyzwaniem... a do tego zadania wciąż znakomicie nadawał się Tajk. W końcu rządzenie jedną choćby planetą wiązało się z ogromną odpowiedzialnością, a Imperium oznaczało jeszcze większą odpowiedzialność, chociaż dawało pociągające narzędzia władzy. Im więcej zaś czytał o Muad'Dibie – Paulu Atrydzie – tym bardziej fascynowało go korzystanie z niej. Jak wielkim osiągnięciem byłoby dla niego, tytularnej głowy rodu Corrinów i spadkobiercy Szaddama IV, przywrócenie jego linii genealogicznej na Tron Złotego Lwa. Chciał tego! Chciał. Czuł, że powtarzając wielokrotnie tę kuszącą litanie, pokona chwilowe wątpliwości.

– ...no i oczywiście – mówił Tajkenik – Bene Gesserit nauczają, że pokój zachęca do agresji, stając się tym samym zarzewiem wojen. Paradoks...

– Jak zeszliście na ten temat? – zapytał Farad'n, porzucając spekulacje, które zaprzętnęły jego uwagę.

– No cóż – odparła słodko Wensicja, zauważywszy minę syna świadczącą o tym, że bujał w obłokach – zapytałam po prostu Tajka, czy zna filozofię, którą kieruje się zgromadzenie żeńskie.

– Do filozofii należy podchodzić bez szacunku – rzekł Farad'n, obracając się w stronę Tajkenika. – Co do propozycji Idaho, uważam, że powinniśmy dokładniej ją zbadać. Kiedy myślimy, że coś wiemy, znaczy to, że właśnie nadeszła pora, by głębiej wniknąć w tę sprawę.

– Tak się stanie – odparł baszar.

Podobała mu się ostrożność Farad'na, ale miał nadzieję, że nie rozciąga się ona na decyzje wojskowe, które wymagały szybkości i precyzji.

– Wiecie, co mnie najbardziej interesuje w historii Arrakis? – spytał młodzieniec pozornie bez związku. – Otóż ów zwyczaj pradawnych Fremenów, którzy zabijali bez wahania każdego, kto nie był odziany w filtrak z jego dobrze widocznym, charakterystycznym kapturem.

– Skąd ta fascynacja filtrakami? – zapytał Tajkenik.

– A więc zauważyłeś, tak?

– Jak mogliśmy tego nie zauważyć? – odparła pytaniem Wensicja.

Farad'n posłał matce zirytowane spojrzenie. Dlaczego mu przerwała? Ponownie skierował uwagę na Tajkenika.

– Filtrak jest kluczem do natury tej planety, Tajk. Jest znakiem rozpoznawczym Diuny. Ludzie koncentrują się na jego cechach fizycznych: zatrzymuje wilgoć ciała, przetwarza ją i umożliwia życie tam. Wiecie, że zgodnie z fremeńskim zwyczajem każdy członek rodziny miał jeden filtrak,

ale nie dotyczyło to dostarczających pożywienia. Oni mieli zapasowe. Ale raczcie oboje – włączył w to matkę – zauważyć, jak modne stały się w Imperium stroje, które przypominają filtraki, lecz nimi nie są. Jakież to charakterystyczne dla ludzi: naśladować zwycięzcę!

– Naprawdę uważasz, mój panie, takie informacje za cenne? – spytał Tajkenik zdumionym głosem.

– Tajk, Tajk... bez takich informacji nie można rządzić. Powiedziałem, że filtrak jest kluczem do ich natury, i tak jest! Świadczy to o ich zachowawczości. Błędy, które popełnią, będą wynikać z ich konserwatyzmu!

Tajkenik zerknął na Wensicję, która przyglądała się synowi z zafrasowaną miną. Ta cecha Farad’na budziła zarówno uznanie, jak i niepokój baszara. Było to tak niepodobne do starego Szaddama. Był on sardaukarem z krwi i kości – zabójcą bez zahamowań. Mimo to uległ Atrydom pod wodzą tego przekłętego Paula. Prawdę mówiąc, z tego, co przeczytał o Paulu Atrydzie, wynikało, że wykazywał się on takimi samymi cechami jak te, które przejawiał teraz Farad’n. Możliwe, że Farad’n mniej niż Atryda wahałby się w obliczu brutalnych konieczności, ale wynikało to z jego sardaukarskiego wykształcenia.

– Wielu rządziło bez informacji tego rodzaju – powiedział Tajkenik.

Farad’n tylko zmierzył go wzrokiem.

– Rządziło i upadło – odparł.

Baszar zacisnął usta na tę oczywistą aluzję do upadku Szaddama IV. Była to również klęska sardaukarów i żaden z nich nie mógł zachować spokoju na jej wspomnienie.

– Widzisz, Tajk – rzekł Farad’n, zrobiwszy tę uwagę – nigdy w pełni nie zbadano wpływu jakiejś planety na zbiorową podświadomość jej mieszkańców. Aby pokonać Atrydów, musimy zrozumieć nie tylko Kaladan, lecz również Arrakis. Jedna z tych planet jest łagodna, druga natomiast to poligon, na którym człowiek uczy się podejmowania trudnych decyzji. Ów mariaż Atrydów z Fremenami był wyjątkowym wydarzeniem. Musimy się dowiedzieć, jak do tego doszło, bo w przeciwnym razie nie zdołamy im sprostać, nie mówiąc już o zwycięstwie.

– A co to ma wspólnego z propozycją Idaho? – zapytała Wensicja.

Farad’n zerknął na matkę z politowaniem.

– Pokonamy ich, zaczynając od wprowadzenia pewnych napięć w ich społeczności. Napięcie jest bardzo potężnym narzędziem. Tak samo jego

brak. Nie zauważyłaś, jak bardzo Atrydzi starali się, żeby było tu miło i przyjemnie?

Tajkenik pozwolił sobie na lekkie skiniecie głową na znak zgody. Była to trafna uwaga. Sardaukar nie mógł dopuścić do tego, by stać się zbyt miękkim. Niemniej propozycja Idaho nadal nie dawała mu spokoju.

– Może najlepiej byłoby odrzucić tę ofertę – powiedział.

– Jeszcze nie teraz – rzekła Wensicja. – Mamy cały wachlarz możliwości. Naszym zadaniem jest rozważyć tyle z nich, ile zdołamy. Mój syn ma rację: potrzebujemy więcej informacji.

Farad'n patrzył na nią, oceniając zarówno jej intencje, jak i dosłowne znaczenie wypowiedzianych słów.

– Ale czy się zorientujemy, kiedy przekroczymy punkt, w którym nie będzie już wyboru? – zapytał.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, mój panie – zachichotał gorzko Tajkenik – to już dawno weszliśmy na drogę, z której nie ma odwrotu.

Farad'n odchylił głowę do tyłu i zaniósł się gromkim śmiechem.

– Ależ nadal mamy możliwość wyboru, Tajk! – powiedział. – Ważne, byśmy się zorientowali, że ją tracimy, zanim zbliżymy się do punktu, w którym zniknie!



W epoce, w której środki transportu obejmują urządzenia zdolne pokonać w mgnieniu oka ogromny obszar kosmosu oraz urządzenia przenoszące szybko ludzi po niemożliwych w zasadzie do przebycia powierzchniach planet, myśl o podejmowaniu pieszo długich wypraw wydaje się dziwna. A jednak na Arrakis pozostaje to głównym sposobem podróżowania. Fakt ten przypisuje się po części preferencjom mieszkańców planety, po części zaś brutalnemu traktowaniu przez nią wszelkich urządzeń mechanicznych. W ciężkich warunkach panujących na Arrakis ludzkie ciało stanowi najtrwalszy i najbardziej niezawodny środek hadźdzu. Być może to właśnie ukryta świadomość tego sprawia, że Arrakis jest wspaniałym zwierciadłem duszy.

– *Podręcznik hadźdzu*

Ganima wracała do Tabr powoli i ostrożnie, trzymając się w najgłębszym cieniu wydm, i przycupnęła nieruchomo, kiedy na południe od niej przechodziła grupa poszukiwawcza. Dręczyła ją straszna świadomość tego, że czerw zabrał ciała tygrysów i Leto i że czyhają na nią niebezpieczeństwa.

Leto odszedł – nie miała już brata bliźniaka. Stłumiła łzy i podsycala wzbierającą w niej wściekłość. Pod tym względem była prawdziwą Fremenką. Wiedziała o tym i upajała się tym uczuciem.

Zdawała sobie sprawę z tego, co mówiono o Fremenach. Rzekomo nie mieli sumienia, gdyż zatracili je, pałając żądzą zemsty na tych, którzy podczas długiej tułaczki przeganiali ich z planety na planetę. Było to oczywiście niedorzeczne gadanie. Tylko największy prymityw pozbawiony jest sumienia. Fremen mieli bardzo rozwinięte sumienie, którego oś stanowiła troska o dobro własnego ludu. Okrutni wydawali się jedynie obcoświatowcom, tak jak tamci im wydawali się okrutni. Każdy Fremen doskonale wiedział, że może się dopuścić okrucieństwa i nie mieć krzty poczucia winy. Fremen nie odczuwali wyrzutów sumienia z powodu rzeczy, które wywoływały je u innych. Ich rytuały uwalniały ich od poczucia winy, które w przeciwnym razie mogłoby ich zniszczyć. W głębi duszy wiedzieli, że każde wykroczenie można, przynajmniej częściowo, złożyć na karb dobrze znanych okoliczności łagodzących: „nieudolności władzy”, wspólnych wszystkim ludziom „naturalnych złych skłonności” albo „pecha”, w którym każda czująca istota powinna potrafić rozpoznać zderzenie śmiertelnego ciała z chaosem wszechświata.

W tym kontekście Ganimi czuła się prawdziwą Fremenką, starannie ukształtowanym przedłużeniem okrucieństwa plemienia. Potrzebowała tylko celu, a ten stanowił oczywiście ród Corrinów. Pragnęła zobaczyć krew Farad’na rozlaną u swych stóp.

Przy kanacie nie czekał na nią żaden wróg. Nawet grupy poszukiwawcze podążyły gdzie indziej. Przeszła na drugi brzeg po mostku bez poręczy i przez wysoką trawę skradała się ku ukrytemu wyjściu z siczy. Nagle rozbłysło przed nią światło, padła więc na ziemię. Zerknęła przez łądygi wysokiej lucerny. W ukrytym przejściu zniknęła jakaś kobieta. Ktoś pamiętał, żeby przygotować wejście tak, jak powinny być przygotowane wszystkie wejścia do siczy. W niespokojnych czasach witano każdego wkraczającego do siczy jaskrawym światłem, oślepiając go na chwilę i dając strażom czas na podjęcie decyzji. Dbano jednak, by tego powitania nie było widać z pustyni. Skoro zatem zobaczyła tutaj światło, zewnętrzne zamknięcia rozsunięto.

Ganimi poczuła przyływ goryczy na ten widomy znak narażenia na szwank bezpieczeństwa siczy. Wszędzie docierały nowe obyczaje fircykowatych Fremenów!

Światło nadal kładło się kręgiem u podnóża urwiska. W ten krąg wbiegła z ciemnego sadu młoda dziewczyna, w której ruchach widać było strach. W głębi korytarza Ganimi zobaczyła zapaloną lumisferę otoczoną aureolą owadów. Jej blask oświecał dwa ciemne cienie w wejściu: mężczyznę i tę dziewczynę. Trzymali się za ręce, spoglądając sobie w oczy.

Ganima czuła, że z tym mężczyzną i tą dziewczyną coś jest nie tak. Nie byli parą zakochanych, którzy zrobili sobie przerwę w poszukiwaniach. Lumisfera zawieszona była wysoko za nimi. Rozmawiali na tle jarzącego się łuku, rzucając cienie na zewnątrz, gdzie ktoś kryjący się w mroku łatwo mógł ich podejrzec. Mężczyzna od czasu do czasu uwalniał rękę. Pojawiała się w blasku światła, wykonując ostre, ale ukradkowe ruchy, po czym na powrót zanurzała się w cieniu.

Ciemność wokół Ganimy wypełniały samotne głosy nocnych stworzeń, ale nie zwracała na nie uwagi.

Co było nie tak z tą parą?

Ruchy mężczyzny były niezmiennie, ostrożne.

Obrócił się. Padło na niego światło odbite od sukni dziewczyny, wydobywając z cienia czerwoną twarz z dużym, pokrytym plamami nosem. Ganimi stłumiła okrzyk. Palimbasza! Był wnukiem naiba, którego synowie polegli w służbie Atrydów. Ta twarz – a także rzecz, która ukazała się w rozcięciu jego płaszcza, gdy się obrócił – dała Ganimie pełny obraz. Pod płaszczem miał pas, do niego zaś przytroczone pudełko, na którym połyskiwały klawisze i okienka wskaźników. Był to na pewno przyrząd skonstruowany przez Tleilaxan lub Ixan. I musiał to być nadajnik kierujący tygrysami. Palimbasza. Znaczyło to, że rodzina jeszcze jednego naiba przeszła na stronę Corrinów.

Kim zatem była ta dziewczyna? Nieważne. Była osobą, którą posługiwał się Palimbasza.

Mimo woli Ganimie przyszła na myśl maksyma Bene Gesserit: „Każda planeta ma swój cykl, podobnie życie każdego z nas”.

Dobrze pamiętała Palimbaszę, patrząc, jak stoi tam z tą dziewczyną, widząc nadajnik, ukradkowe ruchy mężczyzny. Palimbasza uczył matematyki w siczowej szkole. Miał kręcka na tym punkcie. Starał się wyjaśnić fenomen Muad'Diba za pomocą wzorów matematycznych, dopóki nie został potępiony przez kapłanów. Zniewalał umysły, a proces tego zniewalania można było wyjaśnić niezwykle prosto: przekazywał wiedzę techniczną bez przekazywania wartości.

„Powinnam podejrzewać go wcześniej – pomyślała Ganimi. – Oznaki były oczywiste”.

Poczuła ostry skurcz żołądka.

„Zabił mojego brata!”

Zmusiła się do zachowania spokoju. Palimbasha zabiłby i ją, gdyby spróbowała przejść obok niego ukrytym korytarzem. Zrozumiała teraz powód tego zupełnie obcego Fremenom pokazu światła, zdradzenia tajnego wejścia. Patrzyli przy tym świetle, czy którejs z ich ofiar nie udało się uciec. Musieli przeżywać straszne chwile, czekając na nich i nie wiedząc, czy ich plan się powiódł. A teraz, kiedy Ganimi zobaczyła nadajnik, potrafiła już wyjaśnić ruchy ręki Palimbasy. Naciskał co rusz ze złością jeden z klawiszy nadajnika.

Obecność tej pary wiele mówiła Ganimie. Pewnie w głębi każdego wejścia do siczy czekał podobny obserwator.

Podrapała się po nosie w miejscu, gdzie połaskotał ją kurz. Nadal rwało ją w zranionej nodze, a rękę, w której miała nóż, przeszywał palący ból. Palce wciąż były zdrętwiałe. Gdyby przyszło jej użyć noża, musiałyby trzymać go w lewej ręce.

Pomyślała o pistolecie maula, ale jego charakterystyczny dźwięk przyciągnąłby na pewno czyjąś uwagę, a tego chciała uniknąć. Musiała znaleźć inny sposób.

Palimbasha ponownie odwrócił się od wejścia. Na tle światła rysowała się jego ciemna sylwetka. Towarzysząca mu dziewczyna, mówiąc coś, skierowała uwagę na zewnątrz. Była w niej jakaś wyćwiczona czujność, widać było, że wie, jak przenikać wzrokiem mrok nocy, patrząc kącikami oczu. A zatem była kimś więcej niż tylko użytecznym narzędziem. Stanowiła część sięgającego głęboko spisku.

Ganimi przypomniała sobie, że Palimbasha dążył do uzyskania godności kajmakama, gubernatora podlegającego regentce. Było jasne, że bierze udział w realizacji jakiegoś większego planu. Takich jak on było więcej. Nawet tutaj, w siczy Tabr. Pojawił się więc nowy problem. Zastanowiła się nad nim i doszła do wniosku, że gdyby udało jej się wziąć jednego z tych spiskowców żywcem, wydałby on wielu pozostałych.

Uwagę Ganimy przykuły odgłosy chleptania dochodzące z kanatu za nią. Jakieś małe zwierzę piło wodę. Naturalne dźwięki i naturalne sprawy. Sięgnęła pamięcią za dziwną, cichą blokadę w umyśle i znalazła tam kapłankę z Jowf schwytaną w Asyrii przez Sanheriba. Wspomnienie o tej

kapłance podpowiedziało jej, co trzeba zrobić tutaj. Palimbasza i jego dziewczyna byli jak dzieci – krnąbrni i dlatego niebezpieczni. Nie wiedzieli nic o Jowf, nie znali nawet nazwy planety, na której Sanherib i kapłanka obrócili się w proch. Gdyby trzeba było wyjaśnić parze spiskowców, co ich czeka, można by to było zrobić jedynie w kategoriach tego, co się zaczynało tutaj.

I tutaj się kończyło.

Przekręciwszy się na bok, Ganima zsunęła fremsak i odpięła od niego piachochrapy. Zdjęła z nich pokrywki i usunęła znajdujący się w środku długi filtr. Miała teraz pustą rurkę. Z niezbędnika wyjęła igłę, wydobyła z pochwy krysnóż i wetknęła igłę w otwór z trucizną na czubku ostrza, tam gdzie kiedyś znajdował się nerw czerwia. Zranione przedramię utrudniało jej pracę. Trzymając ostrożnie zatrutą igłę, wyjęła powoli z przegródki fremsaka kłębek włókna przyprawowego. Wsunęła w niego główkę igły i tak utworzony pocisk umieściła w otworze rurki.

Z tą bronią, trzymaną przy ziemi, Ganima podczołgała się bliżej światła. Poruszała się powoli, by kołysząca się lucerna nie zdradziła jej obecności. Posuwając się naprzód, przyjrzała się uważnie owadom krążącym wokół lumisfery. W tym kłębiącym się roju były muchy piume, znane z tego, że niemiłosiernie cięły ludzi. Zatruta strzałka mogła pozostać niezauważona, pacnięta jako kęsająca mucha. Należało już tylko podjąć decyzję, kogo z tej pary wybrać: mężczyznę czy kobietę.

„Muriz”. Ganima doznała nagle olśnienia. Tak miała na imię ta dziewczyna. Przywołało to wspomnienia tego, co o niej mówiono. Była jedną z tych, które – jak te owady wokół światła – kręciły się wokół Palimbaszy. Była słaba, więc łatwo byłoby ją przekabacić.

Znakomicie. Palimbasza wybrał na tę noc niewłaściwą towarzyszkę.

Ganima przyłożyła rurkę do ust i mając w pamięci wyrazisty obraz kapłanki z Jowf, dokładnie wymierzyła, po czym z całej siły dmuchnęła.

Palimbasza klepnął się w policzek, a kiedy odjął rękę, była na niej plamka krwi. Igły nie było nigdzie widać; odrzucił ją.

Dziewczyna powiedziała mu coś na ukojenie i Palimbasza się roześmiał. Jeszcze nie przebrzmiał jego śmiech, kiedy ugięły się pod nim nogi. Osunął się na swą towarzyszkę, która starała się go podtrzymać. Nadal chwiała się pod ciężarem zwłok, gdy Ganima stanęła obok niej i przytknęła jej do brzucha krysnóż.

– Nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów, Muriz – powiedziała tonem swobodnej rozmowy. – Nóż jest zatruty. Możesz już puścić Palimbaszę. Nie żyje.



We wszystkich znaczących siłach, które tworzą społeczeństwo, dostrzeżecie podskórne dążenie do zdobycia i utrzymania władzy za pomocą słów. Czy to szaman, czy kapłan, czy biurokrata, każdy robi to samo. Trzeba tak uwarunkować rządzonych, by przyjmowali słowa władzy jako rzeczywistość, by utożsamiali symbolizowany system z namacalnym wszechświatem. Dla utrzymania takiej struktury władzy dba się o to, by pewne symbole wymykały się powszechnemu zrozumieniu. Zaliczyć do nich można choćby te, które odnoszą się do ekonomicznych manipulacji osób tworzących lokalną interpretację pojęcia zdrowia psychicznego. Ukryte znaczenia tego typu symboli prowadzą do powstania różnych podjęzyków, z których każdy świadczy o tym, że jego użytkownicy skupiają w swoich rękach jakąś formę władzy. Mając tę wiedzę o procesie jej przejmowania, nasza Imperialna Służba Bezpieczeństwa powinna być zawsze wyczulona na tworzenie się podjęzyków.

– wykład księżnej Irulany w Akademii Wojennej w Arrakin

– Być może niepotrzebnie o tym mówię – rzekł Farad’n – ale byście nie popełnili jakiegoś błędu, oznajmiam, że jest tu głuchoniemy, który otrzymał rozkaz zabicia was, gdybym dostrzegł oznaki świadczące o tym, że uciekacie się do czarów.

Nie spodziewał się dostrzec efektu tych słów i faktycznie, lady Jessika i Idaho zachowali się zgodnie z jego oczekiwaniami.

Farad’n starannie wybrał scenerię pierwszego przesłuchania tej pary – dawną Salę Audiencji Szaddama. Wprawdzie nie było to wnętrze imponującej wielkości, ale niedostatek ten równoważył jego egzotyczny wystrój. Na zewnątrz było zimowe popołudnie, tymczasem oświetlenie w pozbawionym okien pomieszczeniu, skąpanym w złotym blasku pomysłowo rozmieszczonych lumisfer z najczystszej ixańskiego kryształu, stwarzało wrażenie ponadczasowego letniego dnia.

Więści z Arrakis wprawiły Farad’na w ciche uniesienie. Leto został zabity przez tygrysa, a Ganim, jego siostra bliźniaczka, znalazła się pod kuratelą swej ciotki i podobno przetrzymywana jest jako zakładniczka. Pełny raport w znacznym stopniu wyjaśniał przyczyny obecności Idaho i lady Jessiki. Potrzebowali schronienia. Szpiedzy Corrinów donosili o kruchym rozejmie

na Arrakis. Alia zgodziła się poddać próbie zwanej Ordaliami Opętania, której cel nie był całkowicie jasny. Nie wyznaczono jednak daty tej próby i dwaj szpiedzy Corrinów przypuszczali, że może nigdy nie zostać przeprowadzona. Pewne wszakże było, że doszło do walk między Fremenami z pustyni i Fremenami z Wojsk Imperialnych i że ta wojna domowa sparaliżowała na pewien czas rząd. Włości Stilgara stały się terenem neutralnym, wyznaczonym po wymianie jeńców. Ganimę najwyraźniej uważano za jedną z pojmanych, chociaż tok rozumowania, który do tego doprowadził, był niejasny.

Jessikę i Idaho sprowadzono do sali przywiązanych do foteli dryfowych. Oboje przytrzymywały śmiertelnie niebezpieczne szigastruny, które przy najmniejszej próbie uwolnienia się werznąłyby się w ciało. Dostarczyli ich dwaj sardaukarzy, którzy sprawdzili więzy i w milczeniu odeszli.

Ostrzeżenie było istotnie niepotrzebne. Jessica zauważyła głuchoniemego, stojącego po jej prawej stronie pod ścianą ze starą, ale skuteczną bronią miotającą w dłoni. Przesunęła wzrokiem po egzotycznym wystroju sali. Środek kopułowego sufitu tworzyły wysadzone perłami i splecione szerokie liście rzadkich krzewów żelazowych. Prostokątna podłoga składała się z ułożonych na przemian płyty drewna diamentowego i muszli kabuzu, obrzeżonych listwami z pociętych laserem i wypolerowanych kości passaqueta. Ściany ozdobione były wzorami wyciśniętymi w specjalnie dobranych twardych tworzywach. Wzory te otaczały przedstawienie lwa – symbol, do którego rościli sobie prawo potomkowie nieżyjącego Szaddama IV – w czterech pozycjach. Same lwy wykonane były z czystego złota.

Farad'n postanowił przyjąć więźniów na stojąco. Miał na sobie mundurowe szorty i rozpiętą pod szyją bluzę ze zwiewnego jedwabiu. Jego jedyną ozdobą była książęca wybuchająca gwiazda na lewej piersi, oznaka przynależności do królewskiego rodu. Towarzyszył mu baszar Tajkenik w jasnobrązowym sardaukarskim mundurze galowym, ciężkich butach i z ozdobnym pistoletem laserowym w kaburze przytroczonej z przodu, obok sprzączki pasa. Tajkenik, którego grube rysy były Jessice znane z raportów Bene Gesserit, stał o trzy kroki w lewo i nieco za Farad'nem. Przy ścianie, bezpośrednio za nimi, znajdował się tron z ciemnego drewna.

– A teraz – powiedział Farad'n, zwracając się do Jessiki – masz mi coś do powiedzenia?

– Chciałabym zapytać, dlaczego nas tak skrepowano – rzekła Jessica, wskazując spojrzeniem szigastruny.

– Właśnie otrzymaliśmy z Arrakis doniesienia, które wyjaśniają przyczyny waszej obecności tutaj – odparł Farad’n. – Być może zaraz każę was uwolnić. – Uśmiechnął się. – Jeśli... – Przerwał, kiedy w drzwiach za plecami pojmanych pojawiła się jego matka.

Wensicja przeszła pospiesznie obok Jessiki i Idaho, nawet nie spojrzawszy na nich, wręczyła Farad’nowi małą kostkę z wiadomością i włączyła ją. Patrzył z uwagą na jarzącą się ściankę, zerkając od czasu do czasu na Jessikę. W końcu ścianka pociemniała i Farad’n zwrócił kostkę matce, dając jej znać gestem, że powinna pokazać ją Tajkenikowi. Kiedy to robiła, spojrzał z nachmurzoną miną na Jessikę.

Po chwili Wensicja stanęła po prawej stronie Farad’na. Pociemniałą kostkę trzymała w dłoni częściowo ukrytej w fałdzie swej białej szaty.

Jessika zerknęła na Idaho, ale unikał jej wzroku.

– Bene Gesserit są ze mnie niezadowolone – oznajmił Farad’n. – Uważają, że jestem odpowiedzialny za śmierć twojego wnuka.

Jessika zachowała niewzruszoną minę, ale pomyślała: „Zatem trzeba dać wiarę opowieści Ganimy, chyba że...” Nie podobało jej się to, co podejrzewała.

Idaho zamknął oczy, po czym otworzył je i spojrzał na Jessikę, ale ona nadal wpatrywała się w Farad’na. Opowiedział jej o swojej wizji Radzaja, lecz odniósł wrażenie, że się tym nie przejęła. Nie wiedział, czemu przypisać jej brak emocji. Było oczywiste, że Jessika coś wie, ale nic mu nie wyjawiała.

– Sytuacja wygląda tak – powiedział Farad’n i przedstawił wszystko, czego się dowiedział o wydarzeniach na Arrakis, niczego nie zatajając. – Twoja wnuczka ocalała – zakończył – ale podobno jest pod kuratelą lady Alii. Ta wiadomość powinna cię ucieszyć.

– Zabiłeś mojego wnuka? – zapytała Jessika.

– Nie – odparł zgodnie z prawdą Farad’n. – Niedawno dowiedziałem się o spisku, ale nie miałem z nim nic wspólnego.

Jessika spojrzała na Wensicję i zobaczyła tryumfalny wyraz na jej trójkątnej twarzy. „To jej sprawka! – pomyślała. – Intryga uknuta przez lwicę dla dobra lwiatka”. Była to gra, której ta lwica mogła jeszcze pożałować.

Przeniosła z powrotem uwagę na Farad’na.

– Ale zgromadzenie żeńskie jest przekonane, że to ty go zabiłeś.

– Pokaż jej tę wiadomość – zwrócił się Farad’n do matki.

Wensicja się zawahała.

– Powiedziałem: „Pokaż jej tę wiadomość”! – rzekł książę z nutą złości, która nie uszła uwagi Jessiki.

Wensicja, z pobladłą twarzą, skierowała kostkę ścianką z wiadomością w stronę Jessiki i włączyła ją. Po ściance popłynęły słowa, reagując na ruchy oczu Jessiki.

„Rada Bene Gesserit na Wallach IX wniosła formalny protest przeciwko rodowi Corrinów w związku z zabójstwem Leto Atrydy II. Argumenty i dowody przedstawiono Komisji Bezpieczeństwa Wewnętrznego Landsraadu. Zostanie wybrany neutralny teren, a nazwiska sędziów podane wszystkim stronom do akceptacji. Wymagana jest wasza niezwłoczna odpowiedź. Za Landsraad: Sabit Rekusz”.

Wensicja powróciła na swoje miejsce u boku syna.

– Jak zamierzacie odpowiedzieć? – zapytała Jessika.

– Jako że mój syn nie został jeszcze formalnie ustanowiony głową rodu Corrinów – powiedziała Wensicja – ja... Dokąd idziesz? – Ostatnie słowa były skierowane do Farad’na, który odwrócił się i ruszył ku bocznym drzwiom znajdującym się obok czujnego głuchoniemego.

Farad’n zatrzymał się i na poły okręcił w jej stronę.

– Wracam do moich książek i innych zajęć, które mnie dużo bardziej interesują.

– Jak śmiesz?! – rzuciła Wensicja. Na jej szyję i twarz wypełznął ciemny rumieniec.

– Ośmielę się zrobić parę rzeczy we własnym imieniu – odparł Farad’n. – Podejmowałeś w moim imieniu decyzje, które są dla mnie obrzydliwe. Albo od tej pory to ja będę decydował, albo możesz sobie poszukać innego dziedzica chwały rodu Corrinów.

Dostrzegłszy na twarzy Farad’na prawdziwą złość, Jessika omiotła szybko wzrokiem uczestników tej konfrontacji. Adiutant księcia, baszar, stał sztywno na baczność, udając, że niczego nie słyszał. Wensicja z trudem powstrzymywała wybuch wściekłości. Farad’n postawił wszystko na jedną kartę i zdawał się gotów przyjąć ze spokojem każdy wynik swej zagrywki. Jessika podziwiała jego postawę, widząc w tym starciu wiele rzeczy, które mogła wykorzystać. Wyglądało na to, że decyzję o nasłaniu tygrysów na jej wnuki podjęto bez wiedzy młodzieńca. Trudno było wątpić w szczerość jego twierdzenia, że dowiedział się o spisku po fakcie. W jego oczach widać było nieklamany gniew, kiedy stał tam, gotów pogodzić się z każdą decyzją.

Wensicji drżały usta.

– A zatem dobrze – powiedziała, wzięwszy głęboki oddech. – Jutro odbędzie się oficjalna inwestytura. Już teraz możesz postępować tak, jakbyś miał wszelkie uprawnienia. – Spojrzała na Tajkenika, a ten umknął przed nią wzrokiem.

„Kiedy matka i syn stąd wyjdą, będzie karczemna awantura – pomyślała Jessika. – Ale jestem przekonana, że on już wygrał”. Pozwoliła, by jej myśli wróciły do wiadomości z Landsraadu. Zgromadzenie żeńskie wybrało swoich posłańców z finezją, za którą zdolności planowania Bene Gesserit należało się uznanie. W oficjalnym proteście ukryta była wiadomość przeznaczona tylko dla niej. Świadczyło to o tym, że szpiedzy zgromadzenia wiedzieli o sytuacji Jessiki i że niezwykle subtelnie ocenili Farad’na, a wynik tej oceny pozwolił im odgadnąć, iż pokaże on jej wiadomość o proteście.

– Chciałabym uzyskać odpowiedź na moje pytanie – powiedziała Jessika do Farad’na, kiedy zwrócił się twarzą do niej.

– Zeznam przed Landsraadem, że nie miałem nic wspólnego z tym zabójstwem – oświadczył. – Dodam, że podzielał oburzenie zgromadzenia takim postępowaniem, chociaż nie będę udawał, że jestem całkowicie niezadowolony z jego efektów. Przepraszam za ból, który mogło ci to sprawić. Los wszędzie może nam sprzyjać.

„Los wszędzie może nam sprzyjać!” – powtórzyła w myślach Jessika. Było to ulubione powiedzenie jej księcia, a w zachowaniu Farad’na było coś, co wskazywało, że wie o tym. Zmusiła się do odrzucenia możliwości, że naprawdę zabili Leto. Musiała założyć, że obawy Ganimy o brata skłoniły ją do całkowitego ujawnienia ich planu. W takiej sytuacji przemytnicy doprowadziliby do spotkania Gurneya z Leto, a to dałoby zgromadzeniu szansę użycia jego sposobów. Leto musiał zostać poddany próbie. Musiał. Bez niej byłby tak samo zgubiony, jak zgubiona była Alia. A Ganim... Cóż, z tym można będzie zmierzyć się później. Nie sposób było postawić przednarodzonej przed Matką Wielebną Gaius Heleną Mohiam.

– Wcześniej czy później – powiedziała – komuś przyjdzie do głowy, że ty i moja wnuczka możecie połączyć nasze rody i zbliżyć stare rany.

– Wspomniano mi już o tej możliwości – rzekł Farad’n, zerknąwszy szybko na matkę. – Odparłem, że wolałbym poczekać na wynik obecnych wydarzeń na Arrakis. Nie ma potrzeby podejmować pośpiesznej decyzji.

– Zawsze istnieje też możliwość, że już ułatwiłeś zadanie mojej córce – stwierdziła Jessika.

Farad'n zeszywniał.

– Wyjaśnij to!

– Sprawy na Arrakis wyglądają inaczej, niż może ci się wydawać – powiedziała Jessika. – Alia toczy własną grę, grę Złego Ducha. Jeśli nie wpadnie na jakiś pomysł wykorzystania jej do swoich celów, moja wnuczka będzie w niebezpieczeństwie.

– Spodziewasz się, że uwierzę, iż ty i twoja córka występujecie przeciwko sobie? Atrydka przeciwko Atrydce?

Jessika spojrzała na Wensicję, a potem znów na Farad'na.

– Podobnie jak Corrinowie.

Usta księcia wykrzywił cierpki uśmiech.

– Dobra riposta. Niby jak miałbym ułatwić zadanie twojej córce?

– Dając się wpłatać w śmierć mojego wnuka i uprowadzając mnie.

– Uprowa...

– Nie ufaj tej czarownicy! – przerwała mu ostrzegawczym tonem Wensicja.

– Ja decyduję o tym, komu mam ufać, matko – odparł Farad'n. – Wybacz mi, lady Jessiko, ale nie pojmuję, o co chodzi z tym uprowadzeniem. Zrozumiałem, że ty i twój wierny sługa...

– Który jest mężem Alii – wpadła mu w słowo Jessika.

Farad'n zmierzył Idaho wzrokiem i spojrzał na baszara.

– Co o tym sądzisz, Tajk?

Sardaukar najwyraźniej myślał podobnie jak Jessika.

– Podoba mi się jej rozumowanie – odparł. – Radzę zachować ostrożność.

– On jest mentatem, a do tego gholą – stwierdził Farad'n. – Moglibyśmy zadreńczyć go pytaniami na śmierć, a i tak nie otrzymalibyśmy żadnej pewnej odpowiedzi.

– Ale bezpieczniej jest przyjąć roboczą hipotezę, że mogliśmy zostać oszukani – zauważył Tajkenik.

Jessika wiedziała, że nadeszła pora na jej ruch. Oby tylko żal Idaho pozwolił mu wytrwać w roli, którą sobie wybrał. Nie podobało jej się, że będzie go musiała w taki sposób wykorzystać, ale miała poważniejsze zmartwienia.

– Zacznijmy od tego – rzekła – że mogłabym publicznie oświadczyć, iż przybyłam tutaj z własnej woli.

– To interesujące – powiedział Farad'n.

– Musielibyście mi zaufać i zapewnić całkowitą swobodę poruszania się po Salusie Secundusie – ciągnęła Jessica. – Nic nie mogłoby wskazywać na to, że wydałam to oświadczenie pod przymusem.

– Mowy nie ma! – sprzeciwiła się Wensicja.

Farad'n zignorował matkę.

– A jaki podałabyś powód? – zapytał.

– Stwierdziłabym, że jestem pełnomocniczką zgromadzenia przysłaną tutaj, by zająć się twoją edukacją.

– Ale zgromadzenie oskarża...

– Wymagałoby to od ciebie podjęcia zdecydowanych kroków – nie dała mu dokończyć Jessica.

– Nie ufaj jej! – ostrzegła go ponownie Wensicja.

Farad'n spojrzał na matkę.

– Jeśli jeszcze raz mi przerwiesz, każę Tajkowi cię usunąć – rzekł z wyszukaną grzecznością. – Słyszał, jak zgodziłaś się na moją oficjalną inwestyturę. Teraz musi wykonywać moje rozkazy.

– Mówię ci, to czarownica! – Wensicja spojrzała na głuchoniemego pod ścianą.

Farad'n się zawahał.

– Jak myślisz, Tajk? – zapytał. – Jestem pod wpływem czarów?

– Moim zdaniem, nie. Ona...

– Obaj jesteście pod wpływem czarów!

– Matko. – Ton Farad'na był kategoryczny.

Wensicja zacisnęła pięści i próbowała coś powiedzieć, ale w końcu obróciła się gwałtownie i wybiegła.

Książę zwrócił się ponownie do Jessiki.

– Czy Bene Gesserit zgodziłyby się na to?

– Tak.

Farad'n przeanalizował implikacje tego i uśmiechnął się cierpko.

– A jaki interes ma w tym zgromadzenie żeńskie?

– Chcą twojego małżeństwa z moją wnuczką.

Idaho spojrzał pytająco na Jessikę i zrobił minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale zachował milczenie.

– Miałaś zamiar coś powiedzieć, Duncan? – zachęciła go Jessica.

– Miałem zamiar powiedzieć, że Bene Gesserit chcą tego, czego chciały zawsze: żeby wszechświat nie wtrącał się do ich spraw.

– To oczywiste przypuszczenie – rzekł Farad’n – ale nie rozumiem, dlaczego uznałeś za stosowne podzielić się nim z nami.

Idaho wzruszył brwiami, ponieważ szigastruny krępowały mu ramiona. Na jego ustach pojawił się irytujący uśmiech.

Farad’n zauważył to i obrócił się, by stanąć z nim twarzą w twarz.

– Bawię cię?

– Bawi mnie cała ta sytuacja. Ktoś z twojego rodu skompromitował Gildię Kosmiczną, wykorzystując ją do przewiezienia na Arrakis narzędzi zabójstwa, których przeznaczenia nie sposób było ukryć. Ty sam znieważyleś Bene Gesserit, zabijając chłopca, którego chciały wykorzystać w swoim planie euge...

– Nazywasz mnie kłamcą, gholo? – przerwał mu Farad’n.

– Nie. Wierzę, że nie wiedziałeś o spisku. Pomyślałem jednak, że należy unaocznić tę sytuację.

– Nie zapominaj, że to mentat – napomniała Farad’na Jessika.

– Wyraził dokładnie moją myśl – stwierdził książę. Ponownie stanął naprzeciwko Jessiki. – Powiedzmy, że was uwolnię, a ty wygłosisz swoje oświadczenie. Nadal jednak pozostaje sprawa śmierci twojego wnuka. Mentat ma rację.

– Czy zrobiła to twoja matka?

– Mój panie! – przestrzegł go Tajkenik.

– W porządku, Tajk. – Farad’n machnął ręką. – A jeśli powiem, że to ona?

Jessika zaryzykowała wszystko w celu sprawdzenia, jak głęboki jest rozłam w rodzie Corrinów.

– Wtedy będziesz musiał ją potępić i skazać na banicję – odparła.

– Mój panie – wtrącił się Tajkenik – to może być podwójny podstęp.

– A tymi, którzy dali się na to nabrać, jesteśmy ja i lady Jessika – rzekł Idaho.

Farad’n zacisnął szczęki.

„Duncan, nie mieszaj się w to! Nie teraz!” – zaklinała go w myślach Jessika. Ale słowa Idaho uruchomiły jej własną, wpojoną przez Bene Gesserit umiejętność logicznego myślenia. Wstrząsnęły nią. Zaczęła się zastanawiać, czy aby ona sama nie była wykorzystywana w jakiś niepojęty dla niej sposób. Ganim i Leto... Przednarodzeni mogli czerpać z niezliczonych wewnętrznych doświadczeń, skarbnicy rad znacznie bogatszej od tej, do której sięgały żyjące Bene Gesserit. Pojawiło się jeszcze inne pytanie: Czy siostry z jej zgromadzenia były wobec niej całkowicie

szczerze? Nadal mogły jej nie ufać. Przecież już raz je zdradziła... dla swego księcia.

Farad'n spojrzał na Idaho z zaintrygowaną miną.

– Mentacie – rzekł – muszę wiedzieć, kim jest dla ciebie ten Kaznodzieja.

– To on zorganizował nasz przylot tutaj. Ja... Nie zamieniliśmy nawet dziesięciu słów. Wyręczali go inni. To może być... To może być Paul Atryda, ale nie mam dość danych, by zyskać pewność. Wiem tylko, że przyszła pora, bym wziął nogi za pas, a on miał na to środki.

– Mówiłeś, że padłeś ofiarą podstępów – przypomniał mu Farad'n.

– Alia spodziewa się, że zgładzisz nas po cichu i pozbędziesz się dowodów zbrodni – wyjaśnił Idaho. – Uwolniwszy ją od lady Jessiki, nie będę już potrzebny. A lady Jessika, posłużwszy celom Bene Gesserit, nie będzie już potrzebna zgromadzeniu. Alia zażąda od sióstr wyjaśnień, ale one zwyciężą.

Jessika zamknęła oczy i skoncentrowała się. Miał rację. Słyszała w jego głosie stanowczość mentata, owo szczerze przekonanie o swojej słuszności. Wszystkie elementy układanki utworzyły doskonale dopasowaną całość. Wzięła dwa głębokie oddechy i wprowadziła się w mnemoniczny trans. Obracała w umyśle dane, po czym wyszła z transu i otworzyła oczy. Wszystko to stało się w czasie, gdy Farad'n przesunął się od niej ku Idaho, robiąc najwyżej trzy kroki.

– Nie mów nic więcej, Duncan – rzekła i z żalem pomyślała o tym, jak Leto ostrzegał ją przed uwarunkowaniem przez Bene Gesserit.

Idaho, który miał już coś powiedzieć, zamknął usta.

– Ja tutaj rozkazuję – upomniął go Farad'n. – Mów dalej, mentacie.

Idaho zachował milczenie.

Farad'n zrobił półobrót i przyjrzał się Jessice.

Wpatrywała się w jakiś punkt na przeciwległej ścianie, analizując dane, których dostarczyły jej słowa Idaho i trans. Oczywiście Bene Gesserit nie pozostawiły linii Atrydów własnemu losowi, ale chciały mieć kontrolę nad Kwisatz Haderach i zbyt wiele zainwestowały w dalekosiężny plan eugeniczny. Pragnęły, by między Atrydami i Corrinami doszło do otwartego konfliktu, by powstała sytuacja, w której mogłyby wystąpić w roli rozjemczyń. Duncan miał rację. Wyszłyby z tego zwycięsko, zdobywszy kontrolę zarówno nad Ganimą, jak i nad Farad'nem. Był to dla nich jedyny możliwy do przyjęcia kompromis. Dziwne było tylko to, że nie dostrzegła tego Alia. Jessika z trudem przełknęła ślinę przez ściśnięte nagle gardło.

Alia... Zły Duch! Ganimą słusznie postąpiła, litując się nad nią. Ale kto zlituje się nad Ganimą?

– Zgromadzenie obiecało, że osadzi cię na tronie z Ganimą jako żoną – powiedziała.

Farad'n cofnął się o krok. Czy ta czarownica potrafiła czytać w myślach?

– Działy w sekrecie i nie za pośrednictwem twojej matki. Powiedziały ci, że nie jestem wtajemniczona w ich plan.

Z twarzy Farad'na wyczytała potwierdzenie swoich podejrzeń. Jakże łatwo było go przejrzeć. A więc cała ta konstrukcja istniała naprawdę. Jako mentat Idaho wykazał się mistrzowskimi zdolnościami, docierając na podstawie dostępnych mu ograniczonych informacji do sedna sprawy.

– A zatem prowadziły podwójną grę i powiedziały ci o wszystkim – stwierdził książę.

– Nic mi nie powiedziały – zaprzeczyła Jessica. – Duncan się nie mylił: oszukały mnie. – Pokiwała głową. Była to klasyczna gra na zwłokę w stylu zgromadzenia: zgrabna historyjka, której łatwo dawano wiarę, ponieważ zgadzała się z tym, co można było sądzić o ich motywach. W rzeczywistości chodziło im o usunięcie z drogi Jessiki, siostry ze skazą, która już raz je zawiodła.

Tajkenik podszedł do Farad'na.

– Mój panie, tych dwoje jest zbyt niebezpiecznych, żeby...

– Zaczekaj, Tajk – przerwał mu Farad'n. – To bardziej skomplikowane, niż się wydaje. – Spojrzał na Jessikę. – Mamy powody przypuszczać, że sama Alia może mi zaproponować swoją rękę.

Idaho mimowolnie drgnął. Opanował się, ale z lewego nadgarstka, w który wpila się szigastruna, zaczęła cieknąć krew.

Jessika pozwoliła sobie jedynie na wyrażające zdumienie rozszerzenie oczu. Dostrzegła w tym doskonale sobie znaną, sączoną teraz przez Złego Ducha, chłodną kalkulację pierwszego Leto, jej oblubieńca, ojca jej dzieci, powiernika i przyjaciela.

– Przyjmiesz jej propozycję? – zapytał Idaho.

– Jest rozważana.

– Duncan, powiedziałam ci, żebyś siedział cicho – skarciła go Jessica. Zwróciła się do Farad'na: – A ceną, którą za to wyznaczyła, jest śmierć nieistotnych osób: nas dwojga.

– Podejrzewaliśmy zdradę – rzekł Farad'n. – Czy to nie twój syn powiedział: „Zdrada rodzi zdradę”?

– Siostry koniecznie chcą zdobyć kontrolę zarówno nad Atrydami, jak i nad Corrinami – odparła Jessika. – Czyż to nie oczywiste?

– Rozważamy teraz przyjęcie twojej propozycji, lady Jessiko, ale Duncana Idaho należałoby odesłać do jego kochającej żony.

„Ból jest funkcją nerwów – przypomniawszy sobie Idaho. – Ból napływa jak światło do oczu. Wysiłek bierze się z mięśni, nie z nerwów”. Była to stara zasada mentatów. Przywołał ją w mgnieniu oka, napiął mięśnie nadgarstka i rozciął sobie szigastruną tętnicę.

Tajkenik doskoczył do jego fotela, wcisnął wyłącznik zamka, by poluznić krępujące Idaho więzy, i wezwał pomoc medyczną. To, że przez drzwi ukryte w panelach ściennych wpadli natychmiast służący, było wiele mówiące.

„W Duncanie zawsze była odrobina głupoty” – pomyślała Jessika.

Podczas gdy medycy opatrywali mentata, Farad’n przyglądał się jej badawczo.

– Nie powiedziałem, że zamierzam przyjąć propozycję Alii – stwierdził.

– Nie dlatego podciął sobie żyły – odparła.

– Ach tak? Myślałem, że po prostu wynosi się na tamten świat.

– Nie jesteś tak głupi – rzekła Jessika. – Przestań udawać przede mną.

Uśmiechnął się.

– Doskonale zdaję sobie sprawę, że Alia zniszczyłaby mnie. Nawet Bene Gesserit nie zmusiłyby mnie do przyjęcia jej propozycji.

Jessika popatrzyła na niego z zadumą. Kim był ten młody potomek rodu Corrinów? Niezbyt dobrze grał głupca. Ponownie przypomniawszy sobie słowa Leto, że znajdzie interesującego ucznia. Jak powiedział Idaho, chciał tego również Kaznodzieja. Żałowała, że nie poznała owego Kaznodziei.

– Wygnasz Wensicję? – zapytała.

– Wydaje się, że to rozsądny układ – odparł Farad’n.

Jessika spojrzała na Idaho. Medycy skończyli go opatrywać. W fotelu przytrzymały go mniej groźne więzy.

– Mentaci powinni się wystrzegać stosowania środków ostatecznych – powiedziała.

– Jestem zmęczony – rzekł na to Idaho. – Nie masz nawet pojęcia, jak bardzo.

– Nawet lojalność w końcu się wyczerpie, jeśli jest nadmiernie eksploatowana – stwierdził sentencjonalnie Farad’n.

Jessika znowu obrzuciła go taksującym spojrzeniem.

„Przyjdzie czas, że na pewno mnie pozna, a to mogłoby się okazać cenne – pomyślał Farad’n, dostrzegłszy to. – Moja własna, zbuntowana przeciw zgromadzeniu, Bene Gesserit! To jedyna rzecz, którą miał jej syn, a której ja nie mam. Niech teraz ujrzy fragment mojego prawdziwego »ja«. Resztę może zobaczyć później”.

– To uczciwa wymiana – powiedział. – Przyjmuję twoją ofertę na twoich warunkach.

Skomplikowanymi ruchami palców przesłał wiadomość głuchoniememu pod ścianą. Sługa skinął głową. Farad’n pochylił się nad mechanizmem sterującym więzami i uwolnił Jessikę.

– Jesteś pewien, mój panie? – zapytał Tajkenik.

– Czyż nie o tym rozmawialiśmy?

– Tak, ale...

Farad’n zachichotał i zwrócił się do Jessiki.

– Tajk odnosi się podejrzliwie do źródeł, z których czerpię wiedzę – rzekł.

– Ale z ksiąg i szpul można się dowiedzieć tylko tyle, że pewne rzeczy da się zrobić. Prawdziwą naukę wynosi się z robienia ich.

Jessika zastanowiła się nad tym, podnosząc się z fotela. Wróciła myślami do sygnałów dawanych ręką przez Farad’na. Używał języka walki w stylu Atrydów! Świadczyło to o starannej analizie. Ktoś tutaj świadomie wzorował się na Atrydach.

– Oczywiście chcesz, żebym uczyła cię tak, jak się uczy Bene Gesserit – powiedziała.

Farad’n się rozpromienił.

– To jedyna oferta, której nie mogę się oprzeć – odparł.



Hasło podał mi człowiek, który zmarł w lochach Arrakin. Widzisz, to tam dostałem ten pierścień w kształcie żółwia. Było to na suku poza miastem, gdzie ukryli mnie buntownicy. Hasło? Och, od tamtej pory zmieniano je wielokrotnie. Wówczas brzmiało „Wytrwałość”. A odzwem był „Żółw”. Dzięki temu uszedłem stamtąd z życiem. Dlatego kupiłem ten pierścień na pamiątkę.

– Tagir Mohandis, *Rozmowy z przyjacielem*

Leto był już daleko na piaskach, kiedy usłyszał za sobą czerwia ciągnącego do dudnika, który tam zostawił, i przyprawy, którą rozsypał wokół martwych tygrysów.

Był to dobry omen, ponieważ w tych stronach czerwie występowały dość rzadko. Wprawdzie czerw nie był niezbędnym elementem jego planu, ale ułatwiał wcielenie go w życie. Ganimi nie będzie się musiała zastanawiać, jak wytłumaczyć brak zwłok.

Wiedział, że do tej pory zdołała wmówić sobie, iż była świadkiem jego śmierci, i jest już święcie przekonana, że brat nie żyje. Pozostała jej jedynie drobna, odizolowana od reszty cząstka świadomości, że jest inaczej, dobrze odgródzone wspomnienie, które można będzie przywołać słowami wypowiedzianymi w starożytnym języku znanym już tylko im dwojgu w całym wszechświecie. *Secher Nbiw*. Przypomni go sobie, jeśli usłyszy te słowa... Złoty Szlak. Do tego czasu będzie dla niej martwy.

Teraz Leto czuł się naprawdę samotny.

Poruszał się nierównym krokiem, dzięki czemu piasek wydawał tylko naturalne dźwięki pustyni. W jego wędrowce nie było niczego, co zwróciłoby uwagę czerwia. Ten sposób chodzenia tak wszedł mu w krew, że Leto nie musiał o tym myśleć. Nogi poruszały się same i w jego krokach nie sposób było odkryć jakiegokolwiek rytmu. Odgłosy dobiegające spod jego stóp można było przypisać wiatrowi, sile ciężkości. Nie przechodził tędy żaden człowiek.

Kiedy czerw dokonał za nim swego dzieła, Leto przykucnął za pochyłością wydmy i spojrzał w stronę Towarzysza. Tak, był wystarczająco daleko. Wbił w piasek dudnik i wezwał swój środek transportu. Czerw nadciągnął tak szybko, że Leto ledwie zdążył zająć pozycję, nim stworzenie pochłonęło dudnik. Kiedy go mijalo, wskoczył na jego grzbiet, pomagając sobie hakami stworzyciela, a następnie odchylił wrażliwą krawędź pierścienia i skierował bezrozumną bestię na południowy wschód. Czerw był mały, ale silny. Leto czuł tę siłę w skrętach jego ciała, gdy czerw mknął ze świstem przez wydmy. Owiewało go roztrącane w tym pędzie powietrze, a ciepło spowodowane tarcie czerw przetwarzał w swoim cielsku w zaczątki przyprawy.

Zwierzę mknęło naprzód, Leto zaś podążał myślami wstecz. Na pierwszą jazdę na czerwiu zabrał go Stilgar. Wystarczyło, by pozwolił napłynąć wspomnieniom, a usłyszał głos naiba jak żywy – spokojny, precyzyjny, przepełniony uprzejmością z innej epoki. Nie dla Stilgara było groźne

zataczanie się Fremena spitego przyprawowym trunkiem. Nie dla Stilgara były wrzaski i ryki, tak częste w obecnych czasach. O nie, Stilgar znał swoje obowiązki. Był instruktorem dzieci monarchy. „W dawnych czasach – wyjaśniał – ptaki miały nazwy, które nawiązywały do ich pieśni. Każdy wiatr miał swoją nazwę. Sześciostopniowy zwał się Pastaza, dwudziestostopniowy Cueszma, stustopniowy zaś Heinali-Heinali, czyli Obalający Człowieka. Był też wiatr demona na otwartej pustyni: Hulasikali Wala, co znaczy Wiatr, który Zżera Ciało”.

A Leto, który znał już te rzeczy, kiwał głową w podzięcie za mądrość zawartą w owych naukach.

Ale głos Stilgara przekazywał też cenną wiedzę o wielu rzeczach, o których Leto nie miał wcześniej pojęcia.

„Żyły w dawnych czasach plemiona znane jako łowcy wody. Zwano je Iduali, co znaczyło „wodne robactwo”, gdyż ludzie ci nie wahali się kraść wody innym Fremenom. Gdyby schwytali cię samego na pustyni, nie zostawiliby ci nawet wody twojego ciała. Mieszkali w siczy Dżakurutu. Tam właśnie zebrały się pozostałe plemiona i starły Iduali z powierzchni planety. Było to dawno temu, nawet jeszcze przed Kynesem, w czasach mojego prapradziada. I od tamtego dnia żaden Fremen nie postawił stopy w Dżakurutu. To miejsce jest tabu”.

I tak oto Leto przypomniał sobie wiedzę ukrytą w jakimś zakamarku pamięci. Była to ważna lekcja na temat jej działania. Sam ślad pamięciowy nie wystarczał, nawet temu, kto miał przeszłość tak wielokształtną jak on, jeśli nie było wiadomo, jaki zrobić z niego użytek i nie poddano osądowi jego wartości. Dżakurutu będzie miało wodę, oddzielacz wiatru, wszystkie cechy fremeńskiej siczy, a na dodatek tę niezrównaną zaletę, że żaden Fremen nie zaryzykuje wyprawy w takie miejsce. Wielu młodych nie wiedziało nawet, że kiedykolwiek istniała taka sicz jak Dżakurutu. Oczywiście słyszeli o Fondak, ale była to siedziba przemysłowców.

Dla zmarłego, który chciał się ukryć, było to idealne miejsce – miejsce wśród przemysłowców i zmarłych z innej epoki.

„Dziękuję ci, Stilgar” – rzekł w myślach.

Czerw opadł z sił przed świtem. Leto zsunął się po jego boku i patrzył, jak stworzenie zakopuje się pośród wydm, poruszając się wolno w dobrze mu znany, charakterystyczny dla tego gatunku sposób. Zanurzy się głęboko i odpocznie.

„Muszę przeczekać dzień” – pomyślał.

Staął na szczycie wydmy i rozejrzał się – pustka, pustka, pustka. Monotonie otoczenia przerywał jedynie coraz słabiej widoczny ślad przejścia czerwia.

Przeciągły krzyk nocnego ptaka powitał pierwsze zielone pasmo światła na wschodnim horyzoncie. Leto zagrzebał się w piasku, nadmuchał filtrnamiot i wysunął piachochrapy, szukając powietrza.

Zanim nadszedł sen, długo leżał w tej sztucznej ciemności i myślał o decyzji, którą podjął z Ganimą. Nie była ona łatwa, zwłaszcza dla jego siostry. Nie opowiedział jej całej wizji ani nie podzielił się z nią wszystkimi wnioskami, które z niej wyciągnął. Teraz jasno widział, że była to wizja, nie sen. Osobliwość tego zjawiska polegała na tym, że postrzegał je jako wizję wizji. Jeśli można było znaleźć jakikolwiek argument, który przekonałby go, że jego ojciec żyje, to tylko w tej wizji wizji.

„Życie proroka więzi nas w jego wizji – myślał. – A prorok może się wydostać z tej wizji tylko wtedy, gdy wykreuje swoją śmierć niezgodnie z wizją”. Tak właśnie objawiło mu się to w owej podwójnej wizji i uznał, że ma to związek z wyborem, którego dokonał. „Biedny Jan Chrzciciel – dumał. – Gdyby miał odwagę umrzeć w jakiś inny sposób... Ale być może jego wybór był najważniejszy. Skąd mogę wiedzieć, przed jaką alternatywą stanął? Wiem jednak, przed jaką stanął mój ojciec”.

Westchnął. Odwrócenie się od ojca byłoby niczym wyrzeczenie się boga. Ale Imperium Atrydów potrzebowało wstrząsu. Stoczyło się w najczarniejszą czeluść z wizji Paula. Jak beztrąsko unicestwiała ludzi. Robiono to bez namysłu. Nakrecono do końca sprężynę religijnego oblędu i zostawiono tę bombę tykającą.

„A my jesteśmy uwięzieni w wizji mojego ojca”.

Wiedział, że drogą wyjścia z tego oblędu jest Złoty Szlak. Ujrzał to jego ojciec. Jednak ludzkość mogła zejść z tego szlaku i spojrzeć wstecz, na czasy Muad'Diba, widząc w nich lepszą epokę. Musiała wszakże doświadczyć czegoś, co było alternatywą dla drogi wyznaczonej przez Muad'Diba, bo inaczej nigdy nie zrozumiałaby swoich mitów.

„Bezpieczeństwo... pokój... dobrobyt...”

Nie było wątpliwości, co wybrałaby większość obywateli Imperium, gdyby dano im wybór.

„Chociaż mnie nienawidzą – pomyślał. – Chociaż nienawidzi mnie Gani”.

Zaswędziała go prawa ręka i pomyślał o strasznej rękawicy z tej wizji wizji. „Tak się stanie – myślał. – Tak się stanie”.

„Arrakis, daj mi siłę” – modlił się. Czuł pod sobą i wokół siebie moc i żywotność planety. Jej piasek napierał na filtrnamiot. Diuna była olbrzymem liczącym nagromadzone bogactwa. Urzekającą istotą, zarazem piękną i potwornie brzydką. Jediną monetą, do której mieli prawdziwe zaufanie żyjący na niej kupcy, było tętno ich władzy, bez względu na to, jak tę władzę skupili w swoich rękach. Posiedli tę planetę tak, jak mężczyzna może posiadać brankę albo jak Bene Gesserit biorą w posiadanie swoje siostry.

Nic dziwnego, że Stilgar nienawidził tych kupców-kapłanów.

„Dziękuję, Stilgar”.

Leto przywołał wspomnienia starych obyczajów siczowych, życia przed nastaniem technokracji Imperium, i jego myśli popłynęły w tym samym kierunku, w którym – jak wiedział – płynęły marzenia Stilgara. Zanim pojawiły się lumisfery i lasery, ornitoptery i gąsieniki do zbierania przyprawy, prowadzono tu inne życie: smagłe matki trzymały niemowlęta na biodrach, płonęły lampki na olej przyprawowy, roztaczając ciężką woń cynamonu, naibowie przekonywali ludzi, wiedząc, że nikogo nie można do niczego zmusić. W wykutych w skałach schronieniach kłębiło się życie...

„Tę równowagę przywróci straszna rękawica” – pomyślał, nim wreszcie zmorzył go sen.



Widziałem krew i strzęp płaszcza oddarty ostrymi pazurami. Jego siostra dokładnie opisuje tygrysy, niezawodność ich ataku. Przesłuchaliśmy jednego ze spiskowców; pozostali albo nie żyją, albo są w areszcie. Wszystko wskazuje na intrygę uknutą przez Corrinów. Niniejsze zeznanie potwierdziła Prawdomówczyni.

– sprawozdanie Stilgara dla komisji Landsraadu

Farad'n śledził Duncana Idaho za pomocą kamer, szukając klucza do zachowania tego dziwnego człowieka. Było tuż po południu, a Idaho czekał przed drzwiami apartamentu lady Jessiki na posłuchanie, o które poprosił. Czy go przyjmie? Oczywiście wie, że są śledzeni, ale czy go przyjmie?

Farad'n znajdował się w pomieszczeniu, z którego Tajkenik kierował szkoleniem tygrysów lazajskich. W istocie był to pokój urządony niezgodnie z prawem, ponieważ pełno w nim było zakazanych urządzeń

stworzonych przez Tleilaxan i Ixan. Operując przyciskami umieszczonymi po swej prawej, Farad'n mógł oglądać Idaho z sześciu różnych ujęć albo przenieść się do apartamentu lady Jessiki, w którym zainstalowana była równie wyrafinowana aparatura szpiegowska.

Niepokoili go oczy Idaho. Te drobno puncowane gałki, w które Tleilaxanie wyposażyli swojego gholę w kadziach regeneracyjnych, powodowały, że bardzo różnił się od innych ludzi. Farad'n dotknął swoich powiek i wyczuł twardą powierzchnię stałych szkieł kontaktowych skrywających całkowity błękit oczu – dowód uzależnienia od przyprawy. Oczy Idaho muszą rejestrować inny obraz wszechświata. Jakże mogłoby być inaczej? Księcia aż korciło, by odszukać tleilaxańskich chirurgów i samemu się o tym przekonać.

„Dlaczego Idaho próbował się zabić? Czy naprawdę chciał to zrobić? Musiał przecież wiedzieć, że nie pozwolilibyśmy mu na to. Idaho pozostaje groźnym znakiem zapytania”.

Tajkenik chciał zatrzymać go na Salusie albo zabić. Być może byłoby to najlepsze rozwiązanie.

Farad'n przełączył obraz na ujęcie z przodu. Idaho siedział na twardej ławce obok drzwi do apartamentu lady Jessiki. Ławka stała w pozbawionym okien korytarzu o ścianach z jasnego drewna ozdobionych proporczykami lanc. Mentat siedział na niej od ponad godziny i sprawiał wrażenie, jakby gotów był siedzieć w nieskończoność. Farad'n pochylił się nad ekranem. Lata spędzone na Arrakis obeszły się łagodnie z tym wiernym Atrydom mistrzem miecza, instruktorem Muad'Diba. Przybył sprężystym krokiem, jak młodzieniec. Oczywiście musiała się do tego przyczynić stała, bogata w melanz dieta. I ta cudowna równowaga metaboliczna, którą zawsze wytwarzały tleilaxańskie kadzie. Czy Idaho rzeczywiście pamiętał swoją przeszłość sprzed umieszczenia go w nich? Nikt inny przywrócony do życia przez Tleilaxan nie mógł się tym pochwalić. Jakąż zagadką jest ten Idaho!

W bibliotece znajdowały się raporty o jego śmierci. Sardaukar, który go zabił, donosił o sprawności mistrza miecza – zanim poległ, Idaho wysłał na tamten świat dziewiętnastu jego towarzyszy. Dziewiętnastu sardaukarów! Jego ciało naprawdę warto było wysłać do kadzi regeneracyjnych. Ale Tleilaxanie zrobili z niego mentata. Cóż za dziwna istota żyła w tym odrodzonym ciele! Jakie to uczucie mieć, oprócz wszystkich tych talentów, jeszcze możliwości komputera?

„Dlaczego próbował się zabić?”

Farad'n znał swoje zdolności i nie żywił co do nich żadnych złudzeń.

Był historykiem, archeologiem i znawcą ludzi. Konieczność zmusiła go, by stał się ekspertem w ocenianiu tych, którzy mu służyli. Konieczność i dokładne studia nad dziejami Atrydów. Postrzegał to jako cenę, którą zawsze musiała płacić arystokracja. Rządzenie wymagało precyzyjnego i wnikliwego oceniania tych, którzy byli narzędziami władzy. Niejeden władca upadł przez błędy i brak umiaru swoich podwładnych.

Dogłębne badania dziejów Atrydów ukazywały ich niezwykły talent do dobierania sług. Wiedzieli, jak zapewnić sobie ich trwałą wierność, jak podsycać zapal swoich wojowników.

Idaho nie zachowywał się w typowy sposób.

„Dlaczego?”

Farad'n zmrużył oczy, starając się przejrzeć tego człowieka. Było w nim coś, co w jakiś nieuchwytny sposób rodziło przekonanie, że jest nie do zdarcia, że nigdy się nie zużyje. Sprawiał wrażenie osoby kompletnej, zorganizowanej i doskonale zintegrowanej całości. Tleilaxańskie kadzie obudziły w nim jakieś nadludzkie możliwości. Farad'n to wyczuwał. Była w tym człowieku jakaś moc samoodnowy, jakby działał zgodnie z niezmiennymi prawami, zaczynając od nowa po dojściu do kresu drogi. Poruszał się wytrwale po stałej orbicie, niczym planeta wokół gwiazdy. Nie złamałby się pod naciskiem, przesunąłby tylko nieco orbitę, nie zmieniając niczego istotnego.

„Dlaczego podciął sobie żyły?”

Bez względu na to, czym się kierował, zrobił to dla Atrydów, dla rodu panującego. Gwiazdą, wokół której krążył, byli Atrydzi.

„On uważa, że to, iż trzymam tutaj lady Jessikę, wzmacnia jakoś Atrydów – stwierdził Farad'n, po chwili zaś przypomniał sobie: – A przecież jest mentatem”.

Ta myśl wzmogła jego czujność. Mentaci też się mylili, choć nieczęsto.

Doszedłszy do tego wniosku, książę omal nie nakazał służbie odesłać lady Jessiki razem z Idaho, zawahał się jednak i po namyśle stwierdził, że byłoby to działanie zbyt pochopne.

Oboje – mentat ghola i czarownica Bene Gesserit – byli w tej grze o władzę żetonami o nieznanym nominale. Idaho trzeba będzie odesłać, ponieważ na pewno spowoduje to niepokoje na Arrakis, natomiast Jessikę należy zatrzymać i dla dobra rodu Corrinów wydobyć z niej ową dziwną wiedzę.

Farad'n zdawał sobie sprawę, że gra, którą podejmuje, jest subtelna i śmiertelnie niebezpieczna, ale przygotowywał się do niej od lat, odkąd uświadomił sobie, że jest inteligentniejszy i wrażliwszy od otaczających go osób. Dla dziecka było to przerażające odkrycie i wiedział, że od tamtej pory biblioteka jest dla niego nie tylko skarbnicą wiedzy, ale i schronieniem.

Zzerały go jednak wątpliwości i zastanawiał się, czy dorósł do tej gry. Zraził do siebie matkę i pozbawił się możliwości zasięgnięcia jej rady, ale z drugiej strony jej postanowienia były dla niego zawsze niebezpieczne. Te tygrysy! Szkolenie ich było potwornością, a wykorzystanie – głupotą. Jak łatwo było dojść po nitce do kłębka! Powinna być wdzięczna, że skończy się to tylko wygnaniem. W tym względzie rada lady Jessiki idealnie odpowiadała jego potrzebom. Musi mu wyjaśnić sposób myślenia Atrydów.

Wątpliwości zaczęły się rozwiewać. Pomyślał o swoich sardaukarach, którzy ponownie stawali się twardzi i odporni dzięki nakazanemu przez niego surowemu szkoleniu i pozbawieniu ich luksusów. Wprawdzie legiony sardaukarów były wciąż nieliczne, ale znowu każdy z żołnierzy mógł sprostać Fremenowi w walce jeden na jednego. Dopóki obowiązywały narzucone przez Traktat Arrakiński limity wielkości sił zbrojnych, nie było z tego specjalnego pożytku. Fremen mogli ich nakryć czapkami – chyba że byliby zajęci i osłabieni wojną domową.

Na starcie sardaukarów z Fremenami było jeszcze za wcześnie. Farad'n potrzebował więcej czasu. Potrzebował sojuszników spośród niezadowolonych wysokich rodów i tych z niskich rodów, które niedawno zyskały na znaczeniu. Potrzebował dostępu do środków finansowych KHOAM. Potrzebował czasu na to, by jego sardaukarzy się wzmocnili, a Fremen osłabli.

Znowu spojrzał na ekran, który ukazywał mu cierpliwego gholę. Dlaczego Idaho chce się o tej porze widzieć z lady Jessiką? Przecież wie, że są szpiegowani, że każde ich słowo, każdy gest, są nagrywane i analizowane.

„Dlaczego?”

Odwrócił wzrok od ekranu i spojrzał na półkę obok pulpitu operatora. W bladym elektronicznym świetle dostrzegł niewyraźne zarysy szpul, które zawierały najnowsze doniesienia z Arrakis. Jego szpiedzy byli dokładni – musiał to przyznać. W raportach tych było wiele informacji, które dawały mu nadzieję i sprawiały przyjemność. Zamknął oczy i przez jego umysł przesunęły się, w skrótowej formie doniesień medialnych, którą nadał im na swój użytek, najważniejsze ich punkty:

„Wraz ze wzrastającą żyznością planety Fremen coraz bardziej wyzwalają się spod nacisku środowiska, a ich nowe społeczności tracą tradycyjny charakter siczy-twierdzy. W dawnej siczowej kulturze Fremenom od dziecka wpajano zasadę: »Sicz, jak świadomość własnego istnienia, stanowi trwałą bazę, z której wyruszasz w świat i wszechświat«.

Przywiązany do tradycji Fremen mówi: »Patrz na Masyw«, mając na myśli to, że główną nauką jest prawo. Ale w nowej strukturze społecznej dawne ograniczenia prawne tracą moc, dyscyplina się rozluźnia. Nowi fremeńscy przywódcy znają tylko *Mały katechizm* swoich przodków oraz historię w tej postaci, w jakiej ukryta jest ona w mitycznej strukturze ich pieśni. Członkowie tych nowych społeczności są bardziej wybuchowi, częściej się kłócą i mają mniejszy szacunek dla władzy. Ci ze starych siczy są bardziej zdyscyplinowani, bardziej skłonni do działań grupowych i ciężkiej pracy, bardziej też dbają o swoje zasoby. Młodzi odchodzą od tych przekonań. Ludzie, którzy są relikdami starej kultury, patrzą na młodych i mówią: »Wiatr śmierci starł ich przeszłość«”.

Farad’nowi podobała się rzeczowość streszczenia, które sporządził. Ten nowy podział społeczności na Arrakis mógł doprowadzić jedynie do przemocy. Najistotniejsze uwagi były mocno wyryte na szpulach:

„Religia Muad’Diba zakorzeniła się silnie w starej fremeńskiej tradycji kulturowej siczy, natomiast nowa kultura coraz bardziej odchodzi od tych surowych norm”.

Nie pierwszy raz książkę zadał sobie pytanie, dlaczego religię tę przyjął Tajkenik. Kierując się tą nową moralnością, zachowywał się dziwnie. Wydawał się całkowicie szczerzy, ale postępował jakby wbrew swej woli. Przypominał kogoś, kto wszedł w trąbę powietrzną, żeby ją zbadać, i został porwany przez siły, nad którymi nie miał absolutnie żadnej kontroli. Nawrócenie Tajkenika irytowało Farad’na, bo oddał się nowej wierze tak całkowicie, że zatracił swoją indywidualność. Był to powrót do starej sardaukarskiej tradycji. Ostrzegał, że to samo może się jeszcze stać z młodymi Fremenami, że górę wezmą wrodzone, głęboko zakorzenione dawne zwyczaje.

Farad’n ponownie pomyślał o szpulach z raportami. Donosiły o niepokojącej rzeczy: utrzymywaniu się reliktu kulturowego z najdawniejszych fremeńskich czasów – o „Wodzie Poczęcia”. Podczas porodu zbierano płyn owodniowy i po przedestyłowaniu podawano niemowlęciu jako pierwszy łyk wody. Zwyczajowa forma wymagała, by zrobiła to matka chrzestna, mówiąc: „Oto woda twojego poczęcia”. Tradycję tę kultywowali nawet młodzi Fremen.

„Woda twojego poczęcia”.

Farad'n wstrząsnął się z obrzydzeniem na myśl, że miałby wypić wodę wydestylowaną z płynu owodniowego, w którym się unosił, gdy był płodem. Pomyślał też o ocalałej bliźniaczce, Ganimie, której matka już nie żyła, kiedy małą pojono tą niesamowitą wodą. Czy zastanawiała się później nad ową dziwną więzią z własną przeszłością? Chyba nie. Została wychowana jako Fremenka. To, co było naturalne i możliwe do przyjęcia dla Fremenów, było też naturalne i możliwe do przyjęcia dla niej.

Przez chwilę żałował, że Leto II zginął. Dyskusja z nim na ten temat byłaby interesująca. Może zdarzy się okazja, by porozmawiać o tym z Ganimą.

„Dlaczego Idaho podciął sobie żyły?”

Pytanie to powracało, ilekroć zerknął na ekran systemu inwigilacyjnego. Znowu osaczyły go wątpliwości. Pragnął mieć zdolność pogrążania się – jak Muad'Dib – w tajemniczym transie przyprawowym, odnajdywania w nim przyszłości i *poznawania* odpowiedzi na nurtujące go pytania. Jednak bez względu na to, ile przyprawy zażył, jego świadomość płynęła zwykłym korytem *teraźniejszości*, odzwierciedlając wszechświat niepewności.

Na ekranie służąca otworzyła drzwi apartamentu lady Jessiki. Skinęła na Idaho, a ten podniósł się z ławki i przestąpił próg. Służąca sporządzi później dokładny raport, ale mimo to Farad'n, którego ciekawość została znowu pobudzona, dotknął innego przycisku na pulpicie i patrzył, jak Idaho wchodzi do saloniku lady Jessiki.

Jak spokojny i opanowany wydawał się mentat. I jak niezgłębione były jego oczy gholi.



Mentat musi nade wszystko ujmować sprawy całościowo, a nie szczegółowo. Mądrze jest zlecać nadzór nad podejmowaniem ważnych decyzji osobom, które potrafią spojrzeć na nie całościowo. Eksperci i specjaliści szybko wprowadzą chaos. Szukają dziury w całym, czepiają się każdego szczegółu i zażarcie kłócą o każdy przecinek. Natomiast nawykły do ogarniania całości spraw mentat powinien wnieść do procesu podejmowania decyzji zdrowy rozsądek. Nie wolno mu odcinać się od szerokiego oglądu tego, co się dzieje we wszechświecie. Musi być w stanie powiedzieć: „W tej chwili nie jest to żadna tajemnica. To właśnie to, czego teraz chcemy. Później może się okazać, że było to błędne posunięcie, ale naprawimy to, kiedy do tego dojdzie”. Mentat musi rozumieć, że wszystko, co postrzegamy jako nasz wszechświat, jest tylko częścią większej całości

zjawisk. Natomiast ekspert patrzy wstecz, bo ograniczają go ramy jego wąskiej specjalności. Człowiek, który patrzy całościowo, wybiega spojrzeniem poza te ramy i szuka żywych zasad, doskonale wiedząc, że takie zasady się zmieniają, że ewoluują. Mentat ogarniający wzrokiem całość musi wypatrywać właśnie oznak tej zmiany. Nie ma, bo być nie może, żadnego stałego katalogu takich zmian; nie można ich znaleźć w żadnym podręczniku. Patrząc na zmianę, musisz mieć jak najmniej z góry przyjętych założeń i stale zadawać sobie pytanie: „Co się właściwie dzieje?”

– *Podręcznik mentata*

Był to Dzień Kwisatz Haderach, najważniejsze święto dla tych, którzy poszli drogą wskazaną przez Muad'Diba. W tym dniu czczono wyniesionego do rangi bóstwa Paula Atrydę jako osobę, która jest w wielu miejscach naraz, Bene Gesserit płci męskiej, w którym dziedzictwo linii męskiej i żeńskiej połączyło się w niepodzielną moc i stało Jednością w Wielości. Wierni zwali ów dzień Ajil, Świętem Ofiarowania, na pamiątkę śmierci, dzięki której istniał „naprawdę we wszystkich miejscach”.

Kaznodzieja wybrał ten właśnie dzień, by wczesnym rankiem pojawić się ponownie na dziedzińcu świątyni Alii, lekceważąc nakaz aresztowania, o którym wszyscy wiedzieli. Między kapłanatem Alii a zbuntowanymi pustynnymi plemionami panował kruchy rozejm, który wyczuwało się niemal namacalnie, co napędliało wszystkich w Arrakin niepokojem. Kaznodzieja nie rozwiewał tego nastroju.

Był to dwudziesty ósmy dzień oficjalnej żałoby po synu Muad'Diba. Od czasu rytuału pożegnania na Starej Szczerbie, który odbył się z opóźnieniem z powodu rebelii, minęło sześć dni. Jednak nawet walki nie powstrzymały hadźdzu. Kaznodzieja wiedział, że tego dnia na dziedzińcu będą tłumy. Większość pielgrzymów tak zaplanowała pobyt na Arrakis, by spędzić tam Ajil i „poczuć świętą obecność Kwisatz Haderach w Jego dniu”.

Kaznodzieja wkroczył na dziedziniec o pierwszym brzasku, ale mimo tak wczesnej pory był tam już tłum wiernych. Trzymał lekko dłoń na ramieniu swojego młodego przewodnika, wyczuwając w jego kroku cyniczną dumę. Kiedy się zbliżał, ludzie zwracali uwagę na każdy, najdrobniejszy nawet szczegół jego zachowania. Dla prowadzącego go młodzieńca nie było to całkowicie niemiłe. Kaznodzieja przyjmował to jako nieuniknioną konieczność.

Stanąwszy na trzecim stopniu schodów prowadzących do świątyni, Kaznodzieja czekał, aż umilkną wszystkie głosy. Kiedy tłum ogarnęła, niczym zatapiająca wszystko fala, taka cisza, że słyszać było nawet pospieszne kroki wchodzących na dziedziniec, odchrząknął. Nadal panował

poranny chłód, a zza szczytów otaczających plac budynków nie padało jeszcze nań światło. Gdy zaczął mówić, czuł panującą wokół szarą ciszę.

– Przybyłem tu oddać cześć pamięci Leto Atrydy II i nauczać w jego imię! – zawołał głosem tak silnym, że przywodził na myśl jeźdźca piasku. – Robię to ze współczucia dla wszystkich, którzy cierpią. Powiadam wam, że – jak przekonał się zmarły Leto – jutro jeszcze nie nadeszło i może nigdy nie nadejdzie. Ta oto chwila tutaj to jedyne czas i miejsce we wszechświecie, które dane jest nam widzieć. Zaprawdę powiadam wam: rozkoszujcie się tą chwilą i upajajcie płynącą z niej nauką! Powiadam wam: narodziny i śmierć władzy widać w narodzinach i śmierci podległych jej obywateli.

Przez tłum na dziedzińcu przeszedł niespokojny pomruk. Czyżby Kaznodzieja szydził ze śmierci Leto II? Ludzie zastanawiali się, czy wybiegną i zatrzymają go świątynni strażnicy.

Alia wiedziała, że nikt nie przerwie w ten sposób Kaznodziei. Sama wydała rozkaz, by tego dnia dać mu spokój. Włożyła porządny filtrak, którego zatrzymująca wilgoć maska zakrywała jej nos i usta, oraz zwykły płaszcz z kapturem, by schować włosy. Stała w drugim rzędzie przed Kaznodzieją i uważnie mu się przypatrywała. Czy to Paul? Lata mogły go tak zmienić. I zawsze doskonale panował nad Głosem, wskutek czego trudno byłoby go rozpoznać po mowie. A ten Kaznodzieja posługiwał się głosem, jak chciał. Paul nie potrafiłby zrobić tego lepiej. Wiedziała, że musi się dowiedzieć, kim jest ten człowiek, zanim wystąpi przeciw niemu. Jak bardzo oszołomiły ją jego słowa!

W mowie Kaznodziei nie wyczuwała ani śladu ironii. Wykorzystywał uwodzicielski urok precyzyjnych, wygłaszanych absolutnie szczerze zdań. Ludzie mogli się jedynie przez chwilę wahać co do ich znaczenia, lecz natychmiast zdawali sobie sprawę, że chciał tego, nauczając ich w ten sposób.

– Ironia często maskuje niezdolność wyjścia poza własne założenia – rzekł jakby na potwierdzenie tego. – Ja nie ironizuję. Ganimi powiedziała wam, że nie da się zmyć krwi jej brata. Zgadzam się z nią. Będą mówić, że Leto udał się tam, dokąd poszedł jego ojciec, że zrobił to, co on. Kościół Muad'Diba powiada, że w imię swego człowieczeństwa wybrał on drogę, która może się wydać nonsensowna i ryzykowna, ale którą oceni historia. Właśnie teraz pisze się tę historię. Na nowo. Powiadam wam – kontynuował – z ich życia i jego zakończenia trzeba wyciągnąć inną naukę.

Alia, wyczulona na każdy niuans, zastanawiała się, dlaczego Kaznodzieja powiedział „jego zakończenia” zamiast „ich śmierci”. Czyżby mówił, że jeden z nich albo obaj żyją? Jak to możliwe? Prawdomówczyni potwierdziła opowieść Ganimy. Co zatem robił Kaznodzieja? Tworzył mit czy mówił o rzeczywistości?

– Dobrze zapamiętajcie tę naukę! – zagrzemiał Kaznodzieja, podnosząc ramiona. – Jeśli posiadziecie człowieczeństwo, niech wszechświat szeptem!

Opuścił ręce i skierował puste oczodoły wprost na Alię. Zdawało się, że mówi tylko do niej, a było to tak oczywiste, że kilkoro stojących koło niej osób spojrzało na nią badawczo. Alia zadrżała, poczuwszy jego moc. To mógł być Paul. To mógł być on!

– Zdaję sobie jednak sprawę, że ludzie nie potrafią znieść zbyt wiele rzeczywistości – ciągnął Kaznodzieja. – Życie większości z nich jest ucieczką od samych siebie. Większość woli prawdę stajni. Wkładacie głowy do żłobu i przeżuwacie z zadowoleniem, dopóki nie umrzecie. Inni wykorzystują was do swoich celów. Ani razu nie wytkniecie nosa poza stajnię, by podnieść głowę i być sobą. Muad’Dib przybył, by wam to powiedzieć. Jeśli nie rozumiecie jego przesłania, nie możecie go czcić!

Ktoś w tłumie, być może kapłan w przebraniu, nie mógł już tego zdzierżyć.

– Nie żyjesz życiem Muad’Diba! – krzyknął ochrypłym głosem. – Dlaczego ośmielasz się mówić innym, jak mają go czcić?!

– Bo on nie żyje! – ryknął Kaznodzieja.

Alia odwróciła się, by zobaczyć, kto rzucił mu wyzwanie. Zasłaniaли go inni, ale zza ich głów ponownie dobiegł jego krzyk:

– Jeśli naprawdę uważasz, że on nie żyje, to od tej chwili jesteś sam!

To z pewnością był kapłan, ale Alia nie potrafiła rozpoznać jego głosu.

– Przybyłem tylko po to, by zadać jedno proste pytanie – rzekł Kaznodzieja. – Czy po śmierci Muad’Diba wszyscy muszą popełnić moralne samobójstwo? Czy to nieuchronna konsekwencja pojawienia się mesjasza?

– A zatem przyznajesz, że był mesjaszem! – rozległ się ten sam głos.

– Dlaczego nie, skoro jestem prorokiem jego czasów?

W tonie i zachowaniu Kaznodziei była tak spokojna pewność siebie, że umilkł nawet jego przeciwnik. Przez tłum przebiegł niespokojny pomruk, niski, zwierzęcy odgłos.

– Tak – powtórzył – jestem prorokiem tych czasów.

Koncentrując na nim uwagę, Alia odkryła ledwie słyszalne modulacje Głosu. Na pewno miał władzę nad tłumem. Czyżby został wyszkolony przez Bene Gesserit? Czyżby była to kolejna sztuczka Missionaria Protectiva? Czyżby nie był to wcale Paul, ale kolejna odsłona niemającej końca gry o władzę?

– Wyrażam ten mit i marzenie! – krzyknął Kaznodzieja. – Jestem lekarzem, który odbiera dziecko i oznajmia, że się urodziło. Ale przychodzę do was w chwili śmierci. Czy to was nie niepokoi? Powinno to wstrząsnąć waszymi duszami!

Chociaż słowa te rozzłościły ją, Alia rozumiała, jaki jest ich cel. Stwierdziła, że razem z innymi przysuwa się ku schodom, ku temu wysokiemu mężczyźnie w pustynnym stroju. Jej uwagę przyciągnął jego młody przewodnik – jak bezczelny i zuchwały się wydawał! Czy Muad’Dib nająłby tak cynicznego młokosa?

– Chcę was niepokoić! – grzmiał Kaznodzieja. – Taki mam zamiar! Przybyłem tu walczyć z oszustwem i ułudą waszej konwencjonalnej, zinstytucjonalizowanej religii. Jak wszystkie takie religie, wasza instytucja zmierza ku tchórzostwu, przeciętności, bezwładowi i samozadowoleniu.

W tłumie rozległy się gniewne pomruki.

Alia czuła wzrastające napięcie i zastanawiała się z nadzieją w sercu, czy nie wybuchną zamieszki. Czy Kaznodzieja potrafi zapanować nad tym napięciem? Jeśli nie, może tu zginać!

– Gdzie jest ten kapłan, który rzucił mi wyzwanie?! – krzyknął Kaznodzieja, wskazując tłum.

„On wie!” – pomyślała Alia. Poczuła dreszczyk podniecenia o niemal seksualnym zabarwieniu. Ten człowiek prowadził niebezpieczną grę, ale robił to umiejętnie.

– Hej, kapłanie w mufti – zawołał Kaznodzieja. – Jesteś kapłanem zadowolonych z siebie. Nie przybyłem tu, by kwestionować prawdę Muad’Diba, ale to, co ty głosisz! Czy twoja religia jest prawdziwa, skoro nic cię nie kosztuje i nie niesie ze sobą żadnego ryzyka? Czy twoja religia jest prawdziwa, skoro się na niej tuczysz? Czy twoja religia jest prawdziwa, skoro popełniasz w jej imię potworności? Skąd się bierze twoje wypaczanie słów objawienia? Odpowiedz mi, kapłanie!

Ale wyzywany milczał. Alia zauważyła, że tłum znowu ulegle słucha każdego słowa Kaznodziei. Atakując kapłanów, zaskarbił sobie jego

sympatię! I jeśli jej szpiedzy się nie mylili, większość pielgrzymów i Fremenów na Arrakis wierzyła, że mężczyzna ten jest Muad'Dibem.

– Syn Muad'Diba zaryzykował! – krzyknął Kaznodzieja, a Alia usłyszała łzy w jego głosie. – Zaryzykował sam Muad'Dib! Obaj za to zapłacili! I co uzyskał Muad'Dib? Religię, która się go wyrzeka!

„Jakże odmiennie brzmiałyby te słowa, gdyby wyszły z ust Paula – pomyślała Alia. – Muszę zdobyć pewność!” Przeciskała się przez tłum, aż w końcu znalazła się tak blisko tajemniczego proroka, że omal mogła go dotknąć. Czuła bijący od niego zapach pustyni, woń przyprawy zmieszanej ze swądem krzemionki. Zarówno Kaznodzieja, jak i jego młody przewodnik pokryci byli kurzem, jakby przed chwilą przyszli z blechu. Na rękach mężczyzny, poniżej ściągaczy filtra nad nadgarstkami, widziała nabrzmiałe żyły. Spostrzegła, że na palcu lewej dłoni nosił kiedyś pierścień, bo pozostał po nim wklęsły ślad. Na tym właśnie palcu Paul nosił spoczywający teraz w siczy Tabr sygnet z rodowym jastrzębiem. Nosiłby go Leto, gdyby żył... albo gdyby pozwoliła mu zasiąść na tronie.

Kaznodzieja ponownie skierował puste oczodoły na Alię i przemówił wprost do niej, ale głosem, który niósł się daleko w tłum.

– Muad'Dib ukazał wam dwie drogi: pewną przyszłość i niepewną przyszłość. I z pełną świadomością stawiał czoło niepewności wszechświata. Wyrzekł się pozycji, którą miał na tym świecie, i *ślepo* wkroczył tam, gdzie nic nie jest pewne. Pokazał nam, że zawsze trzeba tak postępować: zamiast tego, co pewne, wybierać to, co niepewne.

Alii wydało się, że zakończył to błagalnym tonem. Rozejrzała się i powoli przesunęła dłoń na rękojęść krysoża.

„Co by zrobili, gdybym go teraz zabiła? – pomyślała i znowu poczuła dreszcz emocji. – Gdybym go teraz zabiła i ujawniła, kim jestem, ogłaszając go samozwańcem i heretykiem?”

Ale gdyby dowiedli, że był to Paul?

Ktoś popchnął ją jeszcze bliżej niego. Czuła, że jest pod jego urokiem, i usiłowała stłumić przepełniającą ją złość. Czyżby był to Paul? Bogowie podziemi! Co miała zrobić?

– Dlaczego zabrano nam drugiego Leto? – zapytał Kaznodzieja głosem, w którym słychać było dojmujący ból. – Odpowiedzcie mi, jeśli potraficie. Aaach... ich przesłanie jest jasne: „Wyzbądźcie się pewności”. – I powtórzył to gromkim, stentorowym głosem: – Wyzbądźcie się pewności! Oto najgłębszy nakaz życia, o to chodzi w życiu. Zagłębiamy się w to, co

nieznane, w to, co niepewne. Dlaczego nie słyszycie Muad'Diba? Jeśli pewność jest absolutną wiedzą o przyszłości, to jest tylko śmiercią w przebraniu! Taka przyszłość staje się teraźniejszością! Pokazał wam to!

Z przerażającym wyczuciem celu Kaznodzieja wyciągnął rękę i złapał Alię za ramię. Zrobił to bez najmniejszego wahania. Próbowano się wyrwać, ale trzymał ją w bolesnym uchwycie, mówiąc jej prosto w twarz, podczas gdy ci, którzy ich otaczali, cofali się skonsternowani.

– Co powiedział ci Paul Atryda, kobieto? – zapytał władczym głosem.

„Skąd wie, że jestem kobietą?” – zadała sobie pytanie. Chciała się zanurzyć w wewnętrznych istnieniach, poprosić je o ochronę, ale jej wewnętrzny świat odpowiadał przejmującym zgrozą milczeniem, zahipnotyzowany tą postacią z przeszłości.

– Powiedział ci, że spełnienie jest tożsame ze śmiercią! – krzyknął Kaznodzieja. – A przewidywanie absolutnie wszystkiego jest spełnieniem... jest śmiercią!

Usiłowała oderwać jego palce od swojego ramienia. Chciała dobyć noża i uwolnić się od niego cięciem, ale się nie odważyła. Nigdy w życiu nie czuła się tak onieśmielona.

Kaznodzieja uniósł brodę, by przemówić ponad jej głową do tłumu, i zawołał:

– Przekazuję wam słowa Muad'Diba! A powiedział: „Wcisnę was twarzami w to, czego staracie się uniknąć. Nie dziwi mnie, że wierzycie tylko w to, co jest dla was wygodne. Jakżeby inaczej ludzie wymyślali pułapki, które wciągają ich w przeciętność? Czyż możemy inaczej określić tchórzostwo?” Oto, co powiedział wam Muad'Dib!

Puścił nagle ramię Alii i pchnął ją w tłum. Upadłaby, gdyby nie napór ludzi, którzy ją podtrzymali.

– Istnieć to wyróżniać się, odstawać od tłą – ciągnął Kaznodzieja. – Nie będziecie myśleli ani naprawdę żyli, dopóki nie będziecie gotowi zaryzykować dla oceny swej egzystencji nawet utraty zmysłów.

Zszedłszy stopień niżej, ponownie ujął Alię za ramię – stanowczo, bez wahania. Tym razem jednak zrobił to łagodniej. Nachylił się i ściszył głos, kierując słowa tylko do niej:

– Zaprześć prób ponownego wepchnięcia mnie w tło, siostró.

A potem z dłonią na ramieniu młodego przewodnika zstąpił w tłum. Zrobiono przejście tej dziwnej parze. Wyciągały się ręce, by dotknąć

Kaznodziei, ale ludzie robili to z pełną respektu delikatnością, bojąc się tego, co mogli znaleźć pod fremeńskim płaszczem.

Wstrząśnięta Alia została sama, kiedy tłum ruszył za Kaznodzieją.

Zyskała pewność. To był Paul. Nie miała już najmniejszych wątpliwości. To jej brat. Czuła to, co czuł tłum. Stała wobec jego świętej obecności i zawalił się jej świat. Chciała za nim pobiec, błagać go, by ocalił ją przed nią samą, ale nie mogła się ruszyć. Gdy inni cisnęli się, by podążyć za Kaznodzieją i jego przewodnikiem, ona stała pogrążona w absolutnej rozpacz, cierpieniu tak głębokim, że tylko drżała, niezdolna rozkazywać swoim mięśniom.

„Co pocznę? Co pocznę?” – zadawała sobie pytanie.

Nie miała przy sobie nawet Duncana, żeby się na nim wesprzeć, nie było przy niej matki. Wewnętrzne istnienia zachowywały milczenie. Była wprawdzie Ganimą, trzymana bezpiecznie pod strażą w twierdzy, ale Alia nie mogła zwrócić się ze swoim cierpieniem do pozostałej przy życiu bliźniaczki.

„Wszyscy zwrócili się przeciwko mnie. Co mam robić?”



Jednooczne postrzeganie wszechświata przekonuje, że kłopotów nie musisz szukać daleko. Te mogą się nigdy nie pojawić. A więc zamiast ich wyglądać, zajmij się wilkami w swojej zagrodzie. Grasujące poza nią watahy mogą w ogóle nie istnieć.

– *Księga Azhara*, szamra I, 4

Jessika oczekiwała Idaho przy oknie saloniku. Był to wygodny pokój, z miękkimi otomanami i starymi krzesłami. W żadnym z przydzielonych jej pomieszczeń nie było fotela dryfowego, lumisfery zaś były kryształowe i pochodziły z innej epoki. Okno wychodziło na pałacowy ogród.

Usłyszała, jak służąca otwiera drzwi, a potem rozległy się kroki Idaho na drewnianej podłodze i w końcu na dywanie. Słuchała, nie odwracając się, ze wzrokiem utkwionym w plamach światła na zielonej murawie. Musiała stłumić bezgłośną, przejmującą lękem walkę emocji. Postępując zgodnie z wyuczonymi zasadami prana i bindu, wzięła kilka głębokich wdechów i poczuła, jak ogarnia ją wymuszony spokój.

Stojące wysoko słońce rzucało snop światła niczym szperacz, wydobywając z półmroku ogrodu tańczący pył i srebrne koło pajęczyny rozpiętej między gałęziami lipy, która sięgała niemal do okna. W pomieszczeniach Jessiki panował chłód, ale za zamkniętymi oknami powietrze drgało od nieruchomego żaru. Zamek Corrinów znajdował się w bezwietrznym i suchym miejscu, czego trudno byłoby się domyślić, patrząc na zielenią ogrodu.

Usłyszała, że Idaho zatrzymał się tuż za nią.

– Dar słów jest darem oszustwa i iluzji, Duncan – powiedziała, nadal skierowana ku oknu. – Dlaczego chcesz zamienić ze mną słowo?

– Być może przeżyje tylko jedno z nas – odparł.

– I chcesz, bym przedstawiła twoje wysiłki w dobrym świetle? – Odwróciła się i ujrzała, jak spokojnie stoi, patrząc na nią szarymi metalowymi oczami, których spojrzenie nie skupiało się na niczym. Jakże pusty był ten wzrok! – Czy to możliwe, Duncan, byś był zazdrosny o swoje miejsce w historii?

Powiedziała to oskarżycielskim tonem i przypomniała sobie, jak niegdyś mówiła podobnie, kiedy stanęła z tym mężczyzną twarzą w twarz. Był wtedy pijany, wyznaczony, by ją szpiegować, rozdarty sprzecznymi powinnościami. Ale był to Duncan z czasów, zanim został gholą. Teraz nie był już tym samym człowiekiem. Ten, który właśnie stał przed nią, nie miał żadnych wątpliwości co do tego, co ma robić, nie był wewnętrznie rozdarty.

Potwierdził jej podsumowanie uśmiechem.

– Historia ma własny sąd i wydaje własne wyroki – odparł. – Wątpię, bym się przejął, kiedy zapadnie wyrok w mojej sprawie.

– Dlaczego tutaj jesteś? – zapytała Jessika.

– Z tego samego powodu co ty, moja pani.

Żadna zewnętrzna oznaka nie zdradziła, jak mocno wstrząsnęły nią te proste słowa, ale zaczęła gorączkowo myśleć: „Czy on naprawdę wie, po co tutaj jestem?” Skąd mógłby wiedzieć? Wiedziała tylko Ganima. Czyżby więc miał dosyć danych, by dokonać mentackich obliczeń? To było możliwe. A jeśli powiedział coś, co ujawniło jej prawdziwy motyw? Czy zrobiłby to, gdyby był tutaj z tego samego powodu co ona? Musiał przecież wiedzieć, że Farad’n albo jego służba śledzi każdy ich ruch, podsłuchuje każde słowo.

– Ród Atrydów doszedł do rozdroża – rzekła. – Rodzina zwróciła się przeciw sobie. Byłeś jednym z najwierniejszych ludzi mojego księcia,

Duncan. Kiedy baron Harkonnen...

– Nie mówmy o Harkonnenach – przerwał jej. – To były inne czasy, a książę nie żyje.

„Czyż ona się nie domyśla, że Paul ujawnił mi, iż w żyłach Atrydów płynie też krew Harkonnenów?” – zadał sobie pytanie. Jakże ryzykowne było to dla Paula, ale jeszcze silniej związało z nim Duncana Idaho. Zaufanie, które okazał mu Paul, zwierając się z tej tajemnicy, trudno było wprost sobie wyobrazić. Paul wiedział, co ludzie barona zrobili Idaho.

– Ród Atrydów nie wyginął – stwierdziła Jessica.

– A cóż to jest ród Atrydów? – zapytał Duncan. – Ty go tworzysz? A może Alia? Ganim? Ludzie, którzy służą temu rodowi? Patrzę na nich i widzę znamie cierpień, których nie da się wyrazić słowami! Czyż oni mogą być Atrydami? Twój syn słusznie powiedział: „Cierpienia i prześladowania będą udziałem tych, którzy pójdą za mną”. Wolę odsunąć się od tego, moja pani.

– Czy naprawdę przeszedłeś na stronę Farad’na?

– A czyż ty tego nie zrobiłaś, moja pani? Nie przybyłaś tu przekonać Farad’na, że jego małżeństwo z Ganimą rozwiąże wszystkie nasze problemy?

„Czy on naprawdę tak myśli – zastanawiała się – czy też mówi to, by usłyszały go czujne uszy szpiegów?”

– Ród Atrydów zawsze był w istocie pewną ideą – powiedziała. – Wiesz o tym, Duncan. Kupowaliśmy sobie lojalność lojalnością.

– Służba ludowi – zadrwił Idaho. – Aaach, ileż razy słyszałem, jak mówi to książę. Musi się przewracać w grobie, moja pani.

– Naprawdę uważasz, że upadliśmy tak nisko?

– Czyżbyś nie wiedziała, moja pani, że są wśród Fremenów buntownicy – określają się mianem „maquisów z wewnętrznej pustyni” – którzy przeklinają ród Atrydów, a nawet Muad’Diba?

– Słyszałam raport przesłany Farad’nowi – odparła, zastanawiając się, ku czemu i po co Idaho kieruje tę rozmowę.

– Jest gorzej, moja pani. Gorzej, niż mówi ten raport. Słyszałem ich kłatwę na własne uszy. A brzmi ona tak: „Niech was ogień pochłonie, Atrydzi! Obyście nie mieli duszy ani ducha, ani ciała, ani cienia, ani czarów, ani kości, ani włosów, ani słów! Obyście nie znaleźli nigdzie schronienia: ni w domu, ni w grobie, ni w żadnej dziurze! Obyście nie mieli ogrodu, drzewa ani krzewu! Obyście nie mieli wody, chleba, światła ani ognia! Obyście nie

mieli dzieci, rodzin, potomków ani plemienia! Obyście nie mieli głowy, rąk, nóg, kroku ani nasienia! Obyście nie znaleźli miejsca na żadnej planecie! Oby waszym duszom nie pozwolono powstać spod ziemi ani nigdy żyć na niej! Obyście nigdy nie ujrzeli Szej-huluda, ale gnili w najgłębszej pogardzie, a wasze dusze zostały na zawsze pozbawione dostępu do wspaniałej światłości!” Tak brzmi ta klątwa, moja pani. Czy możesz sobie wyobrazić taką nienawiść ze strony Fremenów? Wszystkich Atrydów chcieliby widzieć po lewicy przekłętego, oddanych na pastwę buchającej ogniem kobiety słońca.

Jessika pozwoliła, by wstrząsnął nią zauważalny dreszcz. Idaho niewątpliwie przytoczył owe słowa tym samym tonem, jakim zostały wypowiedziane, gdy je usłyszał. Dlaczego wyjawiał je rodowi Corrinów? Mogła sobie wyobrazić oburzonego Fremena, strasznego w swym gniewie, jak stoi przed swoim plemieniem i rzuca tę odwieczną klątwę. Dlaczego Idaho chciał, by usłyszał ją Farad’n?

– Przytaczasz mocny argument na rzecz małżeństwa Ganimy i Farad’na – powiedziała.

– Zawsze miałaś jednostronne podejście do problemów – rzekł. – Ganimy jest Fremenką. Może poślubić tylko tego, kto nie płaci fai, podatku za ochronę. Ród Corrinów oddał wszystkie swoje udziały w KHOAM twojemu synowi i jego dziedzicom. Farad’n żyje na łasce Atrydów. I pamiętaj, co powiedział twój książę, kiedy zatknął sztandar z jastrzębiem na Arrakis: „Jestem tu i tu zostanę!” Jego kości nadal tam są. A Farad’n ze swoimi sardaukarami musiałby żyć na Arrakis. – Potrząsnął głową na samą myśl o takim aliansie.

– Jest takie stare powiedzenie, że problem obiera się jak cebulę – powiedziała chłodno Jessika. „Jak on śmie mnie pouczać? – pomyślała. – Chyba że odgrywa przedstawienie dla czujnych szpiegów Farad’na...”

– Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić Fremenów i sardaukarów żyjących na tej samej planecie – rzekł Idaho. – To warstwa, która nie zejdzie z cebuli.

Nie podobało jej się to, jakie myśli w głowach Farad’na i jego doradców mogły wzbudzić słowa Idaho.

– Ród Atrydów nadal stanowi prawo w tym Imperium! – powiedziała ostro. A pomyślała: „Czy Idaho chce, by Farad’n doszedł do przekonania, że może odzyskać tron bez pomocy Atrydów?”

– O tak – odparł mentat. – Nieomal zapomniałem. Prawo Atrydów! Wyłożone oczywiście przez kapłanów Złotego Eliksiru. Wystarczy, że

zamknę oczy, a słyszę twojego księcia, jak mówi, że dobra ziemskie zawsze zdobywa się i utrzymuje przemocą albo groźbą jej użycia. Los wszędzie może nam sprzyjać, jak zwykł śpiewać Gurney. Cel uświęca środki? A może pomieszałem przysłowia? Nie ma znaczenia, czy pięścią w stalowej rękawicy otwarcie machną legiony Fremenów albo sardaukarów, czy jest ona ukryta w prawie Atrydów: pięść zawsze będzie pięścią. I ta warstewka nie zejdzie z cebuli, moja pani. Wiesz, zastanawiam się, której pięści zażąda Farad'n.

„Co on wyprawia?” – zachodziła w głowę Jessika. Ród Corrinów podchwyci ten argument i będzie tryumfować.

– Zatem uważasz, że kapłani nie pozwolą Ganimie poślubić Farad'na? – sondowała Idaho, starając się odkryć, do czego zmierza.

– Nie pozwolą? Bogowie podziemi! Kapłani pozwolą Alii zrobić, co tylko sobie zażyczy. Sama mogłaby poślubić Farad'na!

„To do tego zmierza?” – zadała sobie pytanie Jessika.

– Nie, moja pani – rzekł Idaho. – Nie o to jednak chodzi. Poddani Imperium nie widzą różnicy między rządami Atrydów a rządami Bestii Rabbana. W lochach Arrakin codziennie umierają ludzie. Odszedłem, bo ani godziny dłużej nie mogłem wspierać moim zbrojnym ramieniem Atrydów! Nie rozumiesz, co mówię? Nie rozumiesz, dlaczego przyszedłem do ciebie jako do najbliższej przedstawicielki Atrydów? Imperium Atrydów zdradziło księcia i twojego syna. Kochałem twoją córkę, ale ona poszła jedną drogą, a ja drugą. Jeśli do tego dojdzie, poradzę Farad'nowi, by przyjął rękę Ganimy – czy Alii – ale na swoich warunkach!

„Aha, przygotowuje sobie grunt do formalnego odejścia z honorem ze służby Atrydów” – pomyślała Jessika. Ale czy wiedział, jak bardzo pomagało jej zrealizować zamierzenia to, co mówił o owych innych sprawach? Spojrzała na niego gniewnie.

– Wiesz, że każdemu naszemu słowu przysłuchują się szpiedzy, prawda?

– Szpiedzy? – Zachichotał. – Przysłuchują się, tak jak ja bym się przysłuchiwał, gdybym był na ich miejscu. Nie wiesz, że moja lojalność przesuwam się w inną stronę? Ileż nocy spędziłem samotnie na pustyni, a Fremen mają rację co do tego miejsca. Na pustyni, zwłaszcza nocą, człowiek narażony jest na niebezpieczeństwo poważnego zastanawiania się nad sobą i wszechświatem.

– To właśnie tam usłyszałeś, jak Fremen nas przeklinają?

– Tak. Wśród al-Uruba. Przyłączyłem się do nich, moja pani, na polecenie Kaznodziei. Nazywamy siebie Zarr Sadusami, tymi, którzy nie chcą się podporządkować kapłanom. Przybyłem tu, by oficjalnie oznajmić przedstawicielce rodu Atrydów, że przeszedłem do obozu wroga.

Jessika przyglądała mu się badawczo, szukając jakichś drobnych oznak zdradzających jego prawdziwe zamiary, ale nie dopatrzyła się ani jednej wskazówki, że mówił nieszczerze albo miał ukryte plany. Czy to możliwe, że naprawdę przeszedł na stronę Farad’na? Przypomniła sobie maksymę zgromadzenia: „W ludzkich sprawach nic nie jest stałe; wszystko kręci się w kółko, przesuwa i zmienia”. Jeśli Idaho rzeczywiście porzucił Atrydów, wyjaśniałoby to jego obecne zachowanie. Przesuwał się i zmieniał. Musiała rozważyć tę możliwość.

„Ale dlaczego podkreślił, że wykonał polecenie Kaznodziei?”

Myśli Jessiki pędziły jak szalone. Wziąwszy pod uwagę różne ewentualności, uświadomiła sobie, że być może będzie musiała zabić Idaho. Plan, na którym opierała swe nadzieje, był tak misternie utkany, że nie mogła pozwolić, by cokolwiek wplątało się w jego nici. A słowa Idaho zdawały się świadczyć, że przejrzał ten plan.

Oceniła ich ustawienie względem siebie i odwróciła się, by zająć pozycję do zadania śmiertelnego ciosu.

– Zawsze uważałam, że normujący wpływ faufreluches jest jednym z filarów naszej władzy – powiedziała. Niech Idaho się zastanawia, dlaczego zmieniła temat i przeszła do systemu podziału klasowego. – Rada Landsraadu złożona z przedstawicieli wysokich rodów, lokalne Sysselraady, wszystko to zasługuje na nasz...

– Nie odwrócisz mojej uwagi – przerwał jej Idaho.

Zdziwił się, jak przejrzyste stały się jej poczynania. Czy było tak dlatego, że w ukryciu zanadto się rozluźniła, czy też w końcu udało mu się przeniknąć przez mury szkolenia Bene Gesserit? Doszedł do wniosku, że prawdziwe jest to drugie wytłumaczenie, ale że i ona jest nieco inna niż poprzednio, że z upływem lat się zmieniła. Zasmuciło go to tak, jak zasmuciły go owe drobne na pozór rzeczy, którymi nowi Fremeni różnili się od dawnych. Przemijanie pustyni było przemijaniem czegoś cennego dla ludzi, ale nie potrafił opisać tego czegoś, tak jak nie potrafił opisać tego, co się stało z lady Jessiką.

Patrzyła na niego zdumiona, nie starając się ukryć swojej reakcji. Czyżby był w stanie z taką łatwością odczytać jej zamiary?

– Nie zabijesz mnie – powiedział. Użył w tym celu fremieńskiego ostrzeżenia: „Nie podstawiaj swojej krwi pod mój nóż”, myśląc: „Stałem się prawie Fremenem”. Świadomość tego, jak bardzo przesiał zwyczajami planety, która w drugim życiu stała się jego domem, napęliła go cierpkim poczuciem ciągłości.

– Lepiej już stąd wyjdź – rzekła Jessika.

– Nie zrobię tego, dopóki nie przyjmiesz mojej rezygnacji ze służby u Atrydów.

– Przyjęłam! – warknęła i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, ile takich odruchowych wypowiedzi padło w tej rozmowie. Potrzebowała czasu, żeby to przemyśleć. Skąd Idaho wiedział, co ona robi? Nie sądziła, by był zdolny do skoków przez czas w transie przyprawowym.

Idaho cofał się, dopóki nie poczuł drzwi za plecami. Skłonił się.

– Jeszcze raz zwróć się do ciebie „moja pani”, a potem nigdy już tego nie uczynię. Poradzę Farad’nowi, by przy pierwszej okazji szybko i bez rozgłosu odesłał cię na Wallach. Jesteś zbyt niebezpieczną zabawką, by cię tu trzymać, chociaż nie sądzę, by uważał cię za zabawkę. Działasz dla zgromadzenia żeńskiego, nie dla Atrydów. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek działałaś dla rodu swego księcia. Wy, czarownice, poruszacie się w zbyt głębokich i ciemnych rejonach, by kiedykolwiek mógł wam zaufać zwykły śmiertelnik.

– Coś takiego, ghola uważa się za zwykłego śmiertelnika! – rzekła drwiąco.

– W porównaniu z tobą – odparował.

– Wyjdź! – rozkazała.

– Taki mam zamiar. – Wyśliznął się, obrzucony zaintrygowanym spojrzeniem przez służącą, która oczywiście podsłuchiwała rozmowę.

„Zrobione – pomyślał. – I mogą to zinterpretować tylko w jeden sposób”.



Precyzyjną wizję przyszłości Muad’Diba można zrozumieć jedynie na gruncie matematyki. A zatem najpierw zakładamy istnienie w przestrzeni dowolnej liczby wymiarów punktowych. (Jest to klasyczny n -elementowy zbiór rozwinięty; zbiór n wymiarów.) Czas w potocznym rozumieniu staje się w tym ujęciu zbiorem jednowymiarowych własności. Jeśli zastosujemy to do zjawiska Muad’Diba,

stwierdzimy, że albo mamy do czynienia z nowymi własnościami czasu, albo (przez redukcję za pomocą rachunku nieskończoności) stajemy wobec oddzielnych systemów, które mają własności n ciał. W przypadku Muad'Diba przyjmujemy tę drugą możliwość. Jak pokazuje redukcja, wymiary punktowe n -elementowego zbioru mogą istnieć oddzielnie tylko w różnych strukturach czasowych. Tak oto zostaje dowiedzione, że współistnieją różne wymiary czasu. Ponieważ jest to nieuchronny wniosek, przewidywania Muad'Diba wymagały, by postrzegał on n -krotność nie jako zbiór, lecz jako operację w ramach jednej struktury. W rezultacie zamroził on swój wszechświat w ramach tej struktury, która była jego wizją czasu.

– Palimbasza, wykłady w siczy Tabr

Leto leżał na grzbiecie wydmy, patrząc ponad morzem piasku na wijącą się formację skalną. W promieniach porannego słońca przypominała ogromnego czerwia rozplaszczonego groźnie na piachu. Nie było tam żadnego ruchu. W górze nie krążył żaden ptak, pośród głązów nie przemykało żadne zwierzę. Niemal na środku widział szczeliny oddzielnika wiatru. Będzie tam woda. Skalisty czerw miał znajomy wygląd siczy, tyle że nie było tam żadnych żywych istot. Leto leżał cicho, wtapiając się w piasek, i obserwował.

W głowie rozbrzmiewała mu, monotonnie i natrętnie, jedna z piosenek Gurneya Hallecka:

*Pod wzgórzem, kędy lis przemyka,
Słońce spomiędzy chmur przenika
Tam, gdzie mój luby nieruchomo leży.*

*Pod wzgórzem, w gąszczu ukrytego,
Dostrzegam swojego lubego.
Śpi w grobie pod wzgórzem.*

„Gdzie jest wejście do tej siczy?” – zastanawiał się Leto. Był pewien, że to Dżakurutu/Fondak, ale oprócz braku zwierząt coś jeszcze było z tym miejscem nie tak. Coś migotało na obrzeżach jego świadomej percepcji i ostrzegało go.

Co się kryło za tym wzgórzem?

Brak zwierząt był niepokojący. Budził jego fremieńską czujność: „Jeśli chodzi o przeżycie na pustyni, nieobecność mówi więcej niż obecność”. Ale był tam oddzielnik wiatru. Powinna być więc też woda i ludzie, którzy jej używali. Było to miejsce tabu kryjące się pod nazwą Fondak, a pamiętać

o tym, jak się zwało pierwotnie, zaginęła u większości Fremenów. I nie widać tam było żadnych ptaków ani innych zwierząt.

Żadnego człowieka... a jednak to tutaj zaczynał się Złoty Szlak.

„W każdej chwili wszędzie wokół rozciąga się nieznane – powiedział kiedyś jego ojciec. – Tam właśnie szukasz wiedzy”.

Leto spojrzał w prawo, wzdłuż grzbietu wydmy. Niedawno przeszła tędy burza, która wydobyła spod piaszczystej okrywy jezioro Azrak, gipsową równinę. Fremeński przesąd mówił, że kto zobaczy Bijan, Białe Ziemie, ma prawo wypowiedzieć życzenie, ale życzenie to, niczym miecz obosieczny, może go zniszczyć. Leto widział tylko gipsową równinę, która świadczyła o tym, że na Arrakis były niegdyś otwarte zbiorniki wodne.

I miały się pojawić ponownie.

Spojrzał w górę, omiatając wzrokiem całą sicz w poszukiwaniu jakiegoś ruchu. Niebo po burzy było zaciągnięte pyłem. Przesączone przezeń światło miało mleczną barwę, stwarzając wrażenie, że gdzieś tam, za utrzymującą się na dużej wysokości zasłoną kurzu, zagubiło się srebrne słońce.

Leto ponownie skupił uwagę na wijącej się skale. Wyjął z fremsaka lornetkę, nastawił ostrość i przyglądał się nagiej szarości, wystającej z piasku wychodni, na której niegdyś żyli mieszkańcy Dżakurutu. Dzięki powiększeniu zobaczył ostrokrzew zwany Królową Nocy. Krzak wtulił się w cienistą szczelinę, która mogła być wejściem do starej siczy. Przesunął lornetką po całej wychodni. Srebrne słońce zamieniało czerwień w szarość, pogrążając masyw w bezbarwnym świetle.

Leto obrócił się tyłem do Dżakurutu i zatoczył koło lornetką, badając otoczenie. Na pustkowiu nie zachował się żaden ślad świadczący o tym, że przeszedł przez nie człowiek. Wiatr zatarł już jego trop, pozostawiając jedynie niewyraźne wgłębienie w miejscu, gdzie w nocy zsunął się z czerwia.

Ponownie spojrzał na Dżakurutu. Oprócz oddzielacza wiatru nie było najmniejszego śladu ludzi, a gdyby nie ta wijąca się skała, nic nie odcinałoby się od białego piasku, pustkowia sięgającego od horyzontu po horyzont.

Leto poczuł nagle, że znalazł się w tym miejscu, ponieważ nie chciał zostać więźniem systemu, który zostawili mu w spadku przodkowie. Pomyślał o tym, jak patrzyli na niego ludzie, o tej powszechnej pomyłce w spojrzeniu każdego oprócz Ganimy.

„Wyjawszy ten natłok poszarpanych wspomnień, to dziecko nigdy nie było dzieckiem”.

„Muszę przyjąć odpowiedzialność za decyzję, którą powzięliśmy” – pomyślał.

Jeszcze raz przeczesał wzrokiem całą skałę. Według wszelkich opisów musiał to być Fondak, a żadne inne miejsce nie mogło być Dżakurutu. Poczuł dziwny związek z otaczającym to miejsce tabu. Metodą Bene Gesserit otworzył umysł na Dżakurutu, starając się niczego o nim nie wiedzieć. *Wiedza* była barierą uniemożliwiającą poznanie. Pozwolił, by przez parę chwil nazwa ta tylko rozbrzmiewała w jego głowie, nie stawiał żadnych żądań, nie zadawał żadnych pytań.

Problem tkwił w braku jakiegokolwiek życia zwierzęcego, ale jego czujność wzbudziła jedna konkretna rzecz. I wtedy zrozumiał: nie było tu żadnych padlinożerców – ani sępów, ani orłów, ani jastrzębi. Oni pozostawali nawet wtedy, gdy inne stworzenia się kryły. W każdym miejscu na pustyni, w którym była choć odrobina wody, istniał łańcuch życia, a na jego końcu znajdowali się wszechobecni padlinożercy. Tymczasem tutaj żaden nie pojawił się, by sprawdzić, czy nie jest już ich łupem. Jakże dobrze znał te „psy podwórzowe” siczy, ten rząd ptaków czekających na mięso na krawędzi urwiska nad siczą Tabr. Jak powiadali Fremeni: „Naszych konkurentów”. Ale mówili to bez cienia zawiści, ponieważ ptaki często ostrzegały o przybyciu obcych.

„A jeśli ten Fondak został opuszczony nawet przez przemytników? – Leto pociągnął łyk z wodowodu. – A jeśli naprawdę nie ma tutaj wody?”

Przeanalizował swoją sytuację. Aby się tutaj dostać, prawie zajeździł dwa czerwie. Był w samym środku pustyni, gdzie powinna się znajdować kryjówka przemytników. Jeśli istniało tutaj życie, jeśli *mogło* tu istnieć, to tylko tam, gdzie jest woda.

„A jeśli nie ma tu wody? Jeśli to nie jest Fondak/Dżakurutu?”

Ponownie skierował lornetkę na oddzielacz wiatru. Jego zewnętrzne krawędzie były wyszczerbione przez piasek i wymagały naprawy, ale to, co pozostało, wyglądało na sprawne. Powinna być tam woda.

„A jeśli jej nie ma?”

Opuszczona sicz mogła stracić wodę wskutek parowania, w wyniku różnych katastrof. Dlaczego nie było tutaj padlinożernych ptaków? Zostały wybite dla swojej wody? Przez kogo? Czy to możliwe, by wszystkie uśmiercono? Jak? Za pomocą trucizny?

„Zatruta woda”.

W legendzie o Dżakurutu nie było żadnej wzmianki o zatrutym zbiorniku, ale przecież mógł zostać zatruty. Jeśli nawet stada, które bytowały tutaj pierwotnie, wybito, to czyż nie pojawiłyby się nowe ptaki? Iduali zostali zmieceni z powierzchni planety wiele pokoleń temu, ale opowieści o tym nie wspominały o truciźnie. Ponownie przyjrzał się uważnie skale przez lornetkę. Jak to możliwe, by starto w proch całą sicz? Niektórzy musieli ocaleć. Rzadko się zdarzało, by wszyscy mieszkańcy byli w siczy. Jakież grupy przemierzały pustynię, udawały się do miast.

Leto odłożył lornetkę z westchnieniem rezygnacji. Zsunął się po niewidocznym ze skały zboczu wydmy, z nadzwyczajną ostrożnością zakopał w filtrnamiocie i przygotowując się do spędzenia w nim godzin upału, zatarł wszystkie ślady swojej obecności. Kiedy zamknął się w ciemnościach, jego członki ogarnęły leniwie płynące strumyki znużenia. W dusznym wnętrzu namiotu spędził większość dnia, to drzemiąc, to wyobrażając sobie błędy, które mógł popełnić. W nawiedzających go snach szukał ucieczki, ale przed tym, co wybrali z Ganimą, nie można już było uciec. A niepowodzenie poparzyłoby ich dusze. Zjadł ciasteczka przyprawowe i zasnął, obudził się, zjadł jeszcze kilka i popił, by znowu zapaść w sen. Podróż do tego miejsca trwała długo i była surową próbą dla mięśni dziecka.

Pod wieczór obudził się odświeżony i zaczął nasłuchiwać odgłosów życia. Potem wypełznął z piaszczystego całunu. Wysoko na niebie wiatr unosił kurz, ale na policzku czuł ukłucia piasku miotanego z innej strony – pewnego zwiastuna zmiany pogody. Wyczuwał nadciągającą burzę.

Wczołgał się ostrożnie na grzbiet wydmy i raz jeszcze popatrzył na te zagadkowe skały. Powietrze między nim a nimi było żółte. Wszystko to wskazywało na zbliżanie się kurzawy Coriolisa, wiatru, który niósł ze sobą śmierć. Powstanie ogromna ściana wirującego, pędzonego przez wiatr piasku, która może się rozciągać nawet na cztery stopnie szerokości geograficznej. Wymarłe pustkowie panwi gipsowej przybrało teraz żółty kolor, odzwierciedlając chmury pyłu. Otoczył go złudny spokój wieczoru. A potem dzień nagle zgasł i nastąpiła noc, szybko zapadająca noc wewnętrznej pustyni. Skały przeistoczyły się w kamieniste szczyty oszronione światłem pierwszego księżyca. Czuł na skórze kłujące ciernie piasku. Suchy huk grzmotu zabrzmiał jak echo odległych bębnow i wtedy między poświatą

księżycą a ciemnością dostrzegł nagły ruch. Nietoperze. Słyszał trzepot ich skrzydeł i cienkie piski.

„Nietoperze”.

Zrządzeniem ludzi lub losu miejsce to napełniało poczuciem opuszczenia i smutku. Tutaj powinna się znajdować na poły legendarna twierdza przemytników – Fondak. A jeśli to nie Fondak? A jeśli nadal obowiązuje tabu i jest to tylko pusta skorupa upiornego Dżakurutu?

Leto skulił się za chroniącym przed wiatrem grzbietem wydmy i czekał, aż noc zacznie pulsować swoim rytmem. Cierpliwość i ostrożność, ostrożność i cierpliwość. Aby oderwać się na chwilę od ponurej rzeczywistości, zaczął odtwarzać drogę Chaucera z Londynu do Canterbury, zaczynając od Southwark: dwie mile do wód leczniczych świętego Tomasza, pięć mil do Deptfordu, sześć do Greenwich, trzydzieści do Rochester, stamtąd czterdzieści do Sittingbourne, następnie pięćdziesiąt pięć do Boughton pod Blean, pięćdziesiąt osiem do Harbledown i jeszcze sześćdziesiąt do Canterbury. Świadomość tego, iż niewiele osób we wszechświecie miało pojęcie o tym, że żył kiedyś Chaucer, albo znało jakiś inny Londyn oprócz wioski na Gansireedzie, napełniała go ponadczasowym spokojem ducha. Święty Tomasz zachował się w Biblii Protestancko-Katolickiej i *Księdze Azhara*, ale Canterbury, podobnie jak planeta, na której leżało, zatarło się w ludzkiej pamięci. Istniało jednak dalej w jego wspomnieniach, w przytłaczających go wspomnieniach tych wszystkich minionych istnień, które zagrażały mu pochłonięciem. Odbył kiedyś tę podróż do Canterbury.

Jego obecna podróż była dłuższa i bardziej niebezpieczna.

Przeczołgał się przez grzbiet wydmy i ruszył ku skąpanym w świetle księżycą skałom. Wtapiał się w cienie, zsuwał z wydmy, nie wydawał jakichkolwiek odgłosów, które mogłyby zdradzić jego obecność.

Kurz, jak często się zdarzało tuż przed burzą, zniknął i noc była jasna. W ciągu dnia nie zauważył żadnego ruchu, ale kiedy zbliżał się do skał, słyszał w ciemnościach przebiegające małe zwierzęta.

W dolinie między dwiema wydmami natknął się na rodzinę skoczków pustynnych, które pierzchnęły przed nim. Ostrożnie przesunął się przez następny grzbiet, dręczony coraz większym niepokojem. Czy szczelina, którą zauważył, prowadziła do wejścia? Miał też inne powody do obaw – dostępu do dawnych siczy zawsze broniły pułapki: zatrute kolce w dziurach, zatrute ciernie na roślinach. Czuł, że znalazł się w samym środku tego, co

Fremeni zwali „nocą, w której wyteżasz słuch”. A więc nasłuchiwał najcichszych choćby dźwięków.

Z bliska szare skały wyglądały jak potężna góra. Słyszał na urwisku niewidoczne ptaki, cichy zew skrzydlatych ofiar. Były to odgłosy ptaków dziennych, ale żerujących nocą. Co wywróciło do góry nogami ich świat? Drapieżnictwo ludzi?

Nagle Leto przypadł do piachu i zamarł. Na urwisku pojawił się ogień, taniec błyszczących, tajemniczych klejnotów na tle czarnej gazy nocy, sygnał z rodzaju tych, które mogły być wysyłane z siczy wędrowcom na blechu. Kim byli mieszkańcy tego miejsca? Przemknął w najgłębszy cień u podnóża urwiska, gdzie macając ręką skałę, posuwał się i szukał szczeliny, którą dojrzał za dnia. Znalazł ją przy ósmym kroku. Wyjął z fremsaka piachochrapy i zaczął sondować nimi ciemność. Kiedy się poruszył, na jego ręce i barki opadło coś, mocno go krępując i unieruchamiając.

„Sidłopnące!”

Oparł się chęci szarpnięcia; pnące tylko jeszcze mocniej zacisnęłyby się wokół niego. Wypuścił piachochrapy i wyprostował palce prawej dłoni, starając się dobyć noża, który miał u pasa. Czuł się jak ostatni niedołęga. Że też nie wrzucił czegoś z bezpiecznej odległości do tej szczeliny, by sprawdzić, czy w ciemnościach nie kryją się jakieś niebezpieczeństwa. Był zbyt pochłonięty tym ogniem na urwisku.

Każdy ruch powodował, że sidłopnące coraz bardziej go krępowało, ale w końcu dotknął palcami rękojeści noża. Ukradkiem zacisnął na niej dłoń i zaczął wysuwać ostrze z pochwy.

Zalało go oślepiające światło, paraliżując wszelkie ruchy.

– Aaach, piękny połów w naszej sieci – rozległ się za nim gruby męski głos, a w jego tonie było jakby coś znajomego.

Leto starał się odwrócić głowę, pamiętając wszakże o niebezpiecznej właściwości pnączy, które miażdżyły zbyt gwałtownie poruszające się ciało.

Zanim zobaczył tego, kto go schwytał, mężczyzna zabrał mu nóż. Następnie przesunął z wprawą ręką po jego ciele, pozbawiając go wszystkich drobiazgów, które on i Ganimi mieli przy sobie, by przeżyć na pustyni. Nic nie umknęło uwagi przeszukującego, nawet szigastrunowa garota ukryta we włosach Leto.

Chłopiec wciąż go nie widział.

Mężczyzna zrobił coś z sidłopnącym i Leto stwierdził, że łatwiej mu oddychać.

– Nie próbuj się uwolnić, Leto Atryda – usłyszał. – Mam twoją wodę w moim kubku.

Leto zachował spokój, choć przyszło mu to z największym trudem.

– Znasz moje imię? – zapytał.

– Oczywiście! Kiedy się zakłada pułapkę z przynętą, robi się to w określonym celu. Chce się schwytąć konkretną zwierzynę, czyż nie?

Leto zachował milczenie, ale jego myśli wirowały.

– Czujesz się zdradzony! – powiedział mężczyzna grubym głosem. Ręce odwróciły go łagodnie, ale dając oczywisty pokaz siły. Dorosły uświadamiał dziecku, jakie ma szanse.

Leto spojrzał i w blasku dwóch unoszących się flar zobaczył czarny zarys twarzy zasłoniętej maską filtraka i kapturem. Kiedy jego wzrok przyzwyczaił się do światła, dostrzegł ciemny pas skóry i całkowicie ciemne oczy świadczące o uzależnieniu od melanzu.

– Zastanawiasz się, dlaczego zadaliśmy sobie tyle trudu – stwierdził mężczyzna. Jego głos wydobywał się spod maski dziwnie stłumiony, jakby mówiący starał się ukryć specyficzny akcent.

– Już dawno przestałem się dziwić mnogości ludzi, którzy pragną śmierci potomków Atrydów – odparł Leto. – Powody, którymi się kierują, są oczywiste.

Kiedy to mówił, jego umysł rzucał się na nieznane jak ptak na ściany klatki, poszukując gwałtownie odpowiedzi. Pułapka z przynętą? Ale kto o tym wiedział prócz Ganimy? To niemożliwe. Ganimie nigdy nie zdradziłaby własnego brata. Czyżby więc ktoś znał go na tyle dobrze, by przewidzieć jego działania? Kto? Babka? Ale skąd?

– Nie można pozwolić, byś postępował tak, jak dotąd – rzekł mężczyzna.

– Bardzo źle. Zanim zasiądziesz na tronie, trzeba cię wyedukować. – Patrzą na niego z góry czy bez białek. – Dziwisz się, że ktoś może śmieć kształcić taką osobę jak ty? Osobę, w której pamięci zawiera się wiedza całej rzeszy ludzi? Widzisz, w tym rzecz! Uważasz się za wykształconego, podczas gdy jesteś tylko chodzącym zbiorem innych, którym przyświeca jeden cel: szukanie śmierci. Niedobrze, jeśli władca szuka śmierci. Usiałbyś wszystko wokół siebie zwłokami. Twój ojciec, na przykład, nigdy nie zrozumiał, że...

– Jak śmiesz mówić o nim w taki sposób?!

– Wiele razy się ośmieliłem. W końcu był tylko Paulem Atrydą. No cóż, chłopcze, witaj w swojej szkole.

Mężczyzna wyjął rękę spod płaszcza i dotknął policzka Leto. Ten poczuł uderzenie, jakby dostał na odlew w twarz, i potoczył się w ciemność, w której powiewał zielony sztandar. Był to sztandar Atrydów, z jego symbolami dnia i nocy oraz drzewcem, w którym ukryta była rurka z wodą. Leto słyszał bulgotanie tej wody, kiedy tracił przytomność. A może był to czyjś chichot?



Nadal możemy sięgnąć pamięcią do owych złotych czasów przed Heisenbergiem, który pokazał ludziom mury ograniczające nasze przesądzone z góry twierdzenia. Mnemonady, które są we mnie, uważają, że to zabawne. Widzicie, z wiedzy nie ma żadnego pożytku, jeśli nie wykorzystuje się jej w jakimś celu, ale to właśnie cel buduje owe ograniczające mury.

– Leto Atryda II, *Jego głos*

Alia zdała sobie sprawę, że mówi ostrym tonem do strażników, których spotkała w przedsionku świątyni. Było ich dziewięcioro, w zakurzonych zielonych mundurach podmiejskiego patrolu, wciąż spoconych i zdyszanych. Przez drzwi za nimi wpadało światło późnego popołudnia. Z terenu świątyni usunięto pielgrzymów.

– A więc moje rozkazy nic dla was nie znaczą? – zapytała z naciskiem.

Sama była zdumiona swoją złością, ale zamiast starać się ją pohamować, dawała jej upust. Cała się trzęsła pod wpływem napięcia, którego pozbywała się w tym wybuchu gniewu. Przepadł gdzieś Idaho... lady Jessika... żadnych raportów o miejscu ich pobytu... tylko plotki, że są na Salusie. Dlaczego Idaho nie przysłał wiadomości? Co zrobił? Czyżby w końcu dowiedział się o Dżawidzie?

Odziana była w arrakańską żałobną żółć, barwę palącego słońca z fremeńskiej historii. Za parę minut poprowadzi drugą i ostatnią procesję pogrzebową na Starą Szczerbę, by zakończyć ustawianie tam kamiennej tablicy upamiętniającej jej nieżyjącego bratanka. Prace dobiegną końca nocą, co będzie odpowiednim hołdem dla tego, który miał przewodzić Fremenom.

Wydawało się, że strażnicy zachowują się wyzywająco w obliczu jej gniewu, nie przejawiali ani cienia wstydu. Stali przed nią, a gasnące światło

ostro rysowało kontury ich ciał. Przez lekkie i mało wydajne filtry mieszkańców miasta przenikał odór potu. Ich dowódca, wysoki, jasnowłosy kaza ze znakami rodu Cadelamów na burce, odrzucił na bok maskę, by wyraźniej mówić. W jego głosie słychać było ton dumy, którego można się było spodziewać u potomka rodu rządzącego niegdyś siczą Abbir.

– Oczywiście, że staraliśmy się go pojmać! – Był wyraźnie oburzony jej napaścią. – Wygłasza bluźnierstwa! Znamy twoje rozkazy, ale słyszeliśmy to na własne uszy!

– A mimo to nie udało wam się go schwytać – powiedziała Alia cichym teraz i oskarżycielskim głosem.

– Był tam gęsty tłum! – odparła niska młoda kobieta, próbując się bronić. – Przysięgam, że ludzie nam przeszkadzali!

– Będziemy mu deptać po piętach – dodał Cadelam. – Kiedyś nam się uda.

– Czyżbyście nie zrozumieli moich rozkazów? – spytała Alia z chmurną miną.

– Moja pani, my...

– Co zrobisz, potomku Cade Lamba – przerwała mu – jeśli go pojmacie i przekonacie się, że to mój brat?

Najwyraźniej nie dotarło do niego, że wymówiła jego nazwisko ze szczególnym naciskiem, chociaż nie mógłby zostać strażnikiem świątynnym, gdyby nie miał przynajmniej podstawowego wykształcenia i rozumu, by się nim kierować. Czyżby chciał się poświęcić?

Strażnik przełknął ślinę.

– Musimy sami go zabić, bo sieje chaos – odparł.

Na twarzach pozostałych odmalowało się przerażenie, chociaż ich postawa nadal wyrażała sprzeciw. Zdawali sobie sprawę ze znaczenia tego, co usłyszeli.

– Nawołuje plemiona, by zjednoczyły się przeciw tobie – powiedział Cadelam.

Teraz Alia wiedziała, jak sobie z nim poradzić.

– Rozumiem – przemówiła spokojnym, rzeczowym tonem. – A zatem, skoro musisz się poświęcić w taki sposób, chwytając go otwarcie, by wszyscy zobaczyli, kim jesteś i co robisz, myślę, że nie ma wyjścia.

– Poświęć... – Urwał i spojrzał na swych towarzyszy. Jako kaza tej grupy, jej wyznaczony dowódca, miał prawo przemawiać w ich imieniu, ale widać było, że żałuje, iż nie zachował milczenia. Pozostali strażnicy poruszyli się

niespokojnie. Będąc jeszcze pod wrażeniem pościgu, mieli czelność sprzeciwić się Alii. Teraz mogli już tylko myśleć o konsekwencjach przeciwstawiania się „Łonu Niebios”. Z widocznym zakłopotaniem odsunęli się od swojego kazy.

– Dla dobra Kościoła nasza oficjalna reakcja powinna być ostra – powiedziała Alia. – Rozumiecie to, prawda?

– Ale on...

– Sama go słyszałam! – ucięła. – Ale to szczególny przypadek.

– On nie może być Muad’Dibem, moja pani!

„Jak mało wiecie!” – pomyślała Alia.

– Nie możemy ryzykować i zatrzymać go otwarcie, wyrzucić mu krzywdy w miejscu, w którym inni mogą to zobaczyć – powiedziała. – Oczywiście, jeśli pojawi się następna okazja.

– Teraz zawsze otaczają go tłumy!

– Wobec tego obawiam się, że musicie się uzbroić w cierpliwość. Jeśli jednak nadal będziecie mi się sprzeciwiać, to oczywiście... – W powietrzu zawisła niewypowiedziana, ale czytelna groźba. Cadelam był ambitny i droga do błyskotliwej kariery stała przed nim otworem.

– Nie mieliśmy zamiaru się sprzeciwiać, moja pani – odparł, panując już nad sobą. – Działaliśmy pośpiesznie, teraz to widzę. Wybacz nam, ale on...

– Nic się nie stało, więc nie ma czego wybaczać – przerwała mu, uciekając się do starej fremeńskiej formułki. Był to jeden z wielu sposobów utrzymania pokoju w plemieniu, a w tym Cadelamie pozostało wystarczająco dużo z dawnego Fremena, by o tym pamiętał. Jego ród mógł się poszczycić długą tradycją przywództwa. Wina była w ręku naiba biczem, którego należało używać oszczędnie. Fremeni służyli najlepiej wtedy, kiedy nie mieli poczucia winy ani nie żywili urazy.

Chyląc przed nią głowę, okazał, że zdaje sobie sprawę, czym się kierowała przy ocenie jego słów.

– Rozumiem. Dla dobra plemienia – rzekł.

– Idźcie się odświeżyć – poleciła. – Za parę minut zaczyna się procesja.

– Tak, moja pani. – Ruszyli hurmem do wyjścia, a każdy ich ruch wyrażał ulgę, że udało im się wybrnąć z groźnej sytuacji.

– *Aaach, poradziłaś sobie z tym nadzwyczaj zręcznie* – zahuczał w jej głowie basowy głos. – *Jeden czy dwóch z nich nadal wierzy, że pragniesz śmierci Kaznodziei. Znajdą na to sposób.*

– Zamknij się! – syknęła. – Zamknij się! Nie powinnam nigdy cię słuchać! Spójrz, co narobiłeś...

– *Wprowadziłem cię na drogę do nieśmiertelności* – odparł basowy głos.

Czuła, jak słowa te niosą się echem w jej głowie niczym ćmiący ból.

„Gdzie mam się schować? – pomyślała. – Nie ma takiego miejsca!”

– *Nóż Ganimy jest ostry* – rzekł baron. – *Pamiętaj o tym.*

Alia zamrugła. Tak, o tym warto pamiętać. Nóż Ganimy jest ostry i może jednym cięciem wydobyć ich z obecnej trudnej sytuacji.



Jeśli wierzysz pewnym słowom, wierzysz ukrytym w nich argumentom. Jeśli wierzysz, że coś jest słuszne lub niesłuszne, prawdziwe lub fałszywe, wierzysz założeniom zawartym w słowach, które wyrażają te argumenty. Założenia owe są często pełne dziur, ale dla przekonanych pozostają bardzo cenne.

– *Luźny dowód z panoplia prophetica*

Umysł Leto unosił się w zawieszaniu wściekłych zapachów. Chłopiec rozpoznawał ciężką cynamonową woń melanzu, kwaśny odór spoconych ludzi pracujących w zamkniętym pomieszczeniu, gryzący fetor otwartego alembiku śmierci i cierpki zapach różnych rodzajów kurzu, z dominującym akcentem krzemionki. Zapachy te wytyczały szlak przez piaszczystą krainę snu i tworzyły mgliste kształty w martwym krajobrazie. Wiedział, że powinny mu o czymś powiedzieć, ale część jego „ja” nie była jeszcze w stanie słuchać.

Przez jego umysł przepływały niczym zjawy myśli: „Nie mam teraz żadnych skończonych cech; jestem całością moich przodków. Słońce zapadające w piasek jest słońcem zapadającym w moją duszę. Kiedyś ten tłum we mnie był wspaniały, ale to się skończyło. Jestem Fremenem i dojdę do fremeńskiego kresu. Złoty Szlak się skończył, zanim się zaczął. Jest tylko zatartą przez wiatr ścieżką. My, Fremen, znaliśmy wszelkie możliwe sposoby ukrycia naszej obecności: nie zostawialiśmy odchodów, wody ani śladów stóp... Spójrz, jak znika mój trop”.

Męski głos mówił tuż obok jego ucha:

– Mogłem cię zabić, Atrydo. Mogłem cię zabić, Atrydo. – Powtarzało się to i powtarzało, aż straciło znaczenie i stało się ciągiem dźwięków

rozbrzmiewających w śnie Leto jak litania: – Mogłem cię zabić, Atrydo.

Leto odchrząknął i poczuł, jak rzeczywistość tej prostej czynności wstrząsa jego zmysłami.

– Kim... – zdołał wykrztusić przez zaschnięte gardło.

– Jestem wykształconym Fremenem – rozległ się obok niego głos – i zabiłem mojego człowieka. Odebraliście nam naszych bogów, Atrydo. Cóż nas obchodzi wasz śmierdzący Muad'Dib? Wasz Bóg umarł!

Czy był to głos realnie istniejącego członka plemienia Uruba, czy też kolejna część jego snu? Leto otworzył oczy i stwierdził, że leży nieskrępowany na twardym łożu. Spojrzał w górę i zobaczył nad sobą skałę, przyćmione lumisfery oraz twarz bez maski, pochyloną nad nim tak bardzo, że czuł oddech przesycony znanymi zapachami siczowej kuchni. Była to twarz Fremena; ciemna karnacja, ostre rysy i wyschnięta skóra nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Nie był to tłusty mieszczuch, lecz pustynny Fremen.

– Jestem Namri, ojciec Dżawida – powiedział mężczyzna. – Poznajesz mnie teraz, Atrydo?

– Znam Dżawida – wychrypiał Leto.

– Tak, twój ród dobrze zna mojego syna. Jestem z niego dumny. Wy, Atrydzi, być może wkrótce poznacie go jeszcze lepiej.

– Co...

– Jestem jednym z twoich nauczycieli, Atrydo. Mam tylko jedno zadanie: jestem tym, który może cię zabić. Zrobiłbym to z radością. Ukończenie tej szkoły jest równoznaczne z przeżyciem. Komu się to nie uda, ten dostaje się w moje ręce.

Leto słyszał w jego głosie niekłamana szczerość. Zmroziło go to. Był to gom dżabbar w ludzkiej skórze, wróg ostateczny, który miał sprawdzić, czy ma on prawo wejść do ludzkiej wspólnoty. Leto wyczuł w tym rękę babki i stojących za nią bezimiennych rzesz Bene Gesserit. Aż się skulił na myśl o tym.

– Twoja nauka zaczyna się ode mnie – rzekł Namri. – Słuszne to i sprawiedliwe, albowiem na mnie może się też zakończyć. Słuchaj mnie teraz uważnie. Każde moje słowo niesie ze sobą twoje życie. Wszystko, co robię, kryje w sobie zapowiedź twojej śmierci.

Leto obrzucił wzrokiem pomieszczenie, w którym się znajdowali: skalne ściany, brak jakichkolwiek sprzętów – poza łożem i przyćmionymi lumisferami – i ciemne przejście za Namrim.

– Nie prześlizgniesz się obok mnie – powiedział Namri i Leto mu uwierzył.

– Dlaczego to robisz? – zapytał.

– To zostało już wyjaśnione. Pomyśl lepiej o planach, które masz w głowie! Jesteś tutaj i nie możesz w swe obecne położenie wstawić żadnej przyszłości. Teraźniejszość i przyszłość nie pasują do siebie. Ale jeśli naprawdę znasz swoją przeszłość, jeśli spojrzysz wstecz, to być może znajdziesz w tym jakiś sens. Jeśli nie, czeka cię śmierć.

Leto zauważył, że ton Namriego nie jest nieprzyjazny. Był jednak stanowczy i nie pozostawiał wątpliwości, że nie są to czcze pogroźki.

Namri odchylił się do tyłu na piętach i spojrzał na skalne sklepienie.

– Ongiś Fremeni zwracali się o świcie twarzami na wschód – powiedział.

– Wiesz, co znaczy „Eos”? To świt w jednym ze starożytnych języków.

– Mówię tym językiem – odparł Leto z gorzką dumą w głosie.

– A więc nieuważnie mnie słuchałeś – rzekł Namri tonem ostrym jak nóż.

– Noc była porą chaosu. Dzień porą ładu. Oto, jak było w czasach używania tego języka, którym – jak twierdzisz – mówisz: ciemność to nieład, światło to ład. My, Fremeni, zmieniliśmy to. Eos był światłem, któremu nie ufaliśmy. Woleliśmy światło księżyca i gwiazd. Światło dzienne wprowadzało zbyt duży ład, co mogło mieć fatalne dla nas skutki. Widzisz teraz, do czego wy, Atrydzi, zwolennicy Eos, doprowadziliście? Człowiek jest zwolennikiem tylko tego światła, które go chroni. Na Diunie słońce było naszym wrogiem. – Przeniósł wzrok ze sklepienia jaskini na Leto. – A jakie światło ty wolisz, Atrydo?

Ze znieruchomiałej sylwetki Namriego Leto wywnioskował, że jest to pytanie niezwyklej wagi. Czy ten człowiek zabije go, jeśli nie udzieli mu poprawnej odpowiedzi? Może to zrobić. Chłopiec widział dłoń Namriego spoczywającą spokojnie obok polerowanej rękojeści krysnoża. Na palcu Fremena połyskiwał pierścień w kształcie magicznego żółwia.

Leto uniósł się na łokciach i skierował myśli ku fremeńskim wierzeniom. Jego umysł szukał właściwej odpowiedzi. Ci dawni Fremeni polegali na prawie i lubili słuchać, jak objaśniano jego zasady przez analogię. Czyżby światło księżyca?

– Wolę... światło Lisanu L'haqq – odparł, bacznie przyglądając się Namriemu, by dostrzec najdrobniejsze nawet oznaki tego, jak przyjął tę odpowiedź. Fremeni wydawał się rozczerowany, ale jego dłoń odsunęła się od noża. – To światło prawdy, światło doskonałego człowieka, w którym

wyraźnie widać wpływ al-Mutakallima – ciągnął Leto. – Czyż człowiek mógłby przedkładać nad nie jakieś inne światło?

– Mówisz jak ktoś, kto recytuje, a nie jak ktoś, kto wierzy – rzekł Namri.

„Bo recytowałem” – przyznał w duchu Leto. Ale zaczął już wyczuwać bieg myśli Namriego, to, jak jego słowa przepływały przez filtr wpojonej mu w dzieciństwie wiedzy o pradowej grze w szermierkę słowną, która polegała na zadawaniu przeciwnikowi zagadek. W zakres edukacji Fremena wchodziły tysiące zagadek i wystarczyło, że Leto skupił uwagę na tym zwyczaju, a natychmiast do głowy zaczęło mu się cisnąć mnóstwo przykładów. „Zaczepek: Cisza. Riposta: Przyjaciółka ściganych”.

Namri pokiwał głową, jakby myślał o tym samym.

– Jest taka jaskinia, która dla Fremenów jest jaskinią życia – powiedział. – Istnieje naprawdę, ale skrywa ją pustynia. Zamknął ją Szej-hulud, praprzodek wszystkich Fremenów. Opowiedział mi o niej mój wuj Ziamad, a on nigdy mnie nie okłamał. Jest taka jaskinia.

Kiedy Namri skończył, Leto wyczuł w jego milczeniu wyzwanie. „Jaskinia życia?”

– Również mój wuj Stilgar opowiadał mi o tej jaskini – odparł. – Została zamknięta, by nie mogli się w niej chować tchórze.

W głęboko osadzonych oczach Namriego odbijało się światło lumisfery.

– Czy wy, Atrydzi, otworzylibyście tę jaskinię? – zapytał. – Usiłujecie sprawować kontrolę nad życiem poprzez ministerstwo... wasze Centralne Ministerstwo Informacji, Aukafu i Hadźdzu. Maulana, który nim kieruje, zwie się Kausar. Wysoko zaszedł, bo jego rodzina zaczynała w kopalniach soli na Niazi. Powiedz mi, Atrydo, co się dzieje z tym waszym ministerstwem?

Leto usiadł, uświadomiwszy sobie, że za daleko zabrnął w grę w szermierkę słowną z Namrim, a stawką w niej jest jego życie. Mężczyzna dał mu wyraźnie do zrozumienia, że przy pierwszej błędnej odpowiedzi zrobi użytek ze swojego krysoża.

Namri zorientował się, że Leto ma świadomość tego, o co toczy się gra.

– Wierz mi, Atrydo, jestem tym, który kruszy bryły – rzekł. – Jestem Żelaznym Młotem.

Teraz Leto zrozumiał. Namri postrzegał siebie jako Mirzabaha, Żelazny Młot, którym okładani są zmarli nie potrafiący udzielić zadowalających odpowiedzi na pytania stawiane im przed wejściem do raju.

„Co się dzieje z centralnym ministerstwem, które stworzyli Alia i jej kapłani?”

Leto pomyślał o tym, po co się udał na pustynię, i wróciła mu odrobina nadziei, że w jego wszechświecie może się jeszcze pojawić Złoty Szlak. W pytaniu tym Namriemu chodziło bowiem jedynie o motyw ucieczki syna Muad'Diba w to zakazane miejsce.

– Drogę może wskazać tylko Bóg – powiedział.

Broda Namriego drgnęła. Spojrzał przenikliwie na Leto.

– Czyżbyś naprawdę w to wierzył? – zapytał.

– Dlatego tutaj jestem.

– Żeby znaleźć drogę?

– Dla siebie. – Leto spuścił nogi z łoża. Naga skalna posadzka była zimna.

– Kapłani utworzyli ministerstwo, by ukryć tę drogę.

– Mówisz jak prawdziwy buntownik – stwierdził Namri i potarł pierścień z żółwiem. – Przekonamy się. Raz jeszcze posłuchaj uważnie. Znasz Mur Zaporowy koło Dżalalud-Din? Są na nim znaki mojego rodu, wyryte w pierwszych dniach. Widział je mój syn Dżawid. Widział je mój siostrzeniec Abedi Dżalal. Nasze znaki widział też Mudżahid Szafkat z Innych. Znalazłem się w pobliżu tego miejsca z moim przyjacielem Jakupem Abadem, gdy koło Sukkaru panuje pora burzowa. Wieją tam wtedy piekielnie gorące wiatry, podobne do trąb powietrznych, na których wzorowaliśmy nasze tańce. Nie zdołaliśmy obejrzeć tych znaków, ponieważ drogę zagroziła nam burza. Ale kiedy przeszła, ujrzelśmy na nawianym piasku wizję Thatty. Ukazało nam się na chwilę oblicze Szakira Alego, patrzącego na jego miasto grobów. Zniknęło równie szybko, jak się pojawiło, ale wszyscy je widzieliśmy. Powiedz mi, Atrydo, gdzie mogę znaleźć to miasto grobów.

„Trąby powietrzne, na których wzorowaliśmy nasze tańce – pomyślał Leto. – Wizja Thatty i Szakira Alego”. Były to słowa zensunnickich Wędrowców, którzy uważali się za jedynych prawdziwych ludzi pustyni.

„A Fremeni nie mogli mieć grobów”.

– Miasto grobów jest na końcu drogi, którą podążają wszyscy ludzie – odparł. I przytoczył zensunnicką opowieść o miejscu wiecznego szczęścia: – Znajduje się ono w kwadratowym ogrodzie o boku długości tysiąca kroków. Prowadzi do niego wspaniały korytarz na dwieście trzydzieści trzy kroki długi i na sto kroków szeroki, wyłożony marmurem ze starożytnego Dżajpuru. Mieszka tam ar-Razzak, który nakarmi wszystkich łaknących.

A w dniu Sądu Ostatecznego ci, którzy wstaną i będą szukać miasta grobów, nie znajdą go. Albowiem Pismo mówi: „Tego, co znasz z jednego świata, nie znajdziesz w drugim”.

– Znowu recytujesz bez wiary – rzekł Namri drwiącym tonem. – Na razie przyjmę to jednak, bo myślę, że wiesz, po co się tu znalazłeś. – Na jego ustach pojawił się chłodny uśmiech. – Daję ci *tymczasową* przyszłość, Atrydo.

Leto przyglądał mu się nieufnie. Czy było to kolejne ukryte pytanie?

– Dobrze! – stwierdził Namri. – Zostałeś przygotowany i jesteś świadom tego, co się dzieje. Schowałem kolce. A zatem jeszcze jedno. Słyszałeś, że w miastach odległego Kadrysza noszą imitacje filtraków?

Fremen czekał, a Leto zastanawiał się nad pytaniem, szukając ukrytego znaczenia. „Imitacje filtraków? Nosi się je na wielu planetach”.

– Fircykowate upodobania mieszkańców Kadrysza to stara historia, która się często powtarza – odparł. – Mądre zwierzę wtapia się w otoczenie.

Namri powoli skinął głową.

– Wkrótce zobaczy się z tobą ten, który cię złapał w pułapkę i przyniósł tutaj – rzekł. – Nie próbuj stąd wyjść. Skończyłoby się to twoją śmiercią.

Powiedziawszy to, Namri wstał i zniknął w ciemnym przejściu.

Jeszcze długo po jego wyjściu Leto wpatrywał się w tę ciemność. Słyszał dobiegające stamtąd dźwięki, ciche głosy ludzi stojących na straży. Utkwiła mu w głowie opowieść Namriego o mirażu. Przywołała wspomnienie długiego przedzierania się przez pustynię do tego miejsca. Nie miało już znaczenia, czy jest to Dżakurutu/Fondak czy nie. Namri nie był przemytnikiem. Był kimś znacznie ważniejszym, a gra, którą prowadził, pachniała na odległość lady Jessiką, cuchnęła Bene Gesserit. Napawało to Leto poczuciem otaczającego go zewsząd zagrożenia. Ale jedyne wyjście stąd prowadziło przez mroczny otwór, w którym zniknął Namri. Za nim rozciągała się obca sicz, a dalej – pustynia. Niezmierna surowość tej pustyni, jej zorganizowany chaos, z mirażami i ciągnącymi się bez końca wydrami, sprawiały, że miał wrażenie, iż są częściami pułapki, w którą go schwytano. Mógł ponownie przebyć ten bezmiar piasku, ale dokąd zawiodłaby go ucieczka? Ta myśl była jak stęchła woda – nie mogła ugasić jego pragnienia.



Za sprawą jednokierunkowego pojmowania biegu czasu, w którego pętach tkwią konwencjonalne umysły, ludzie mają skłonność do myślenia o wszystkich wydarzeniach jako następujących kolejno po sobie. Ta umysłowa pułapka prowadzi do tworzenia tymczasowych pojęć skuteczności i następstw oraz stałych, niezaplanowanych reakcji na kryzysy.

– Liet-Kynes, *Arrakańska książka ćwiczeń*

„Jednoczesne słowa i ruchy” – powiedziała sobie Jessika i nagięła swoje myśli do niezbędnych przygotowań do zbliżającego się spotkania.

Była wczesna godzina, tuż po śniadaniu, i złote promienie słońca Salusy Secundusa dopiero zaczynały muskać przeciwległy do jej okna mur ogrodu. Ubrała się starannie – w czarny płaszcz z kapturem Matki Wielebnej, który wszakże tym różnił się od innych, że miał na skraju i na mankietach obu rękawów wyhaftowany złotą nicią, umieszczony w kole herb Atrydów. Jessika stanęła tyłem do okna i starannie udrapowała płaszcz, po czym położyła lewą rękę na brzuchu, by herbowy jastrząb rzucał się w oczy.

Farad’n natychmiast zauważył znak rodowy Atrydów i skomentował to już w wejściu, ale nie zdradzał żadnych oznak złości czy zdziwienia. To Jessikę ogarnęło zdumienie, kiedy w jego głosie odkryła ledwie uchwytną nutę rozbawienia. Spostrzegła, że zgodnie z jej sugestią przywdział na tę okazję szary trykot. Usiadł swobodnie na zielonej otomanie, którą mu wskazała, i podparł się z tyłu prawą ręką.

„Dlaczego jej ufam? – zastanawiał się. – Przecież to czarownica Bene Gesserit!”

Widząc kontrast między jego rozluźnionym ciałem a wyrazem twarzy, Jessika uśmiechnęła się.

– Ufasz mi, ponieważ wiesz, że zawarliśmy dobry układ, i chcesz tego, czego mogę cię nauczyć – rzekła.

Spostrzegłszy lekkie zmarszczenie jego brwi, machnęła uspokajająco lewą ręką.

– Nie, nie czytam w myślach – powiedziała. – Odczytuję emocje z wyrazu twarzy, ciała, nieświadomych gestów, tonu głosu, układu rąk. Potrafi to każdy, kiedy opanuje metodę Bene Gesserit.

– A nauczysz jej mnie?

– Jestem pewna, że czytałeś raporty o nas – odparła. – Czy istnieje jakiś, który stwierdza, że nie wywiązujemy się z wyraźnie sformułowanych obietnic?

– Nie raporty, ale...

– Przetrwaliśmy między innymi dzięki całkowitemu zaufaniu do naszej prawdomówności – przerwała mu. – To się nie zmieniło.

– Brzmi to rozsądnie – rzekł. – Nie mogę się doczekać, kiedy zaczniemy.

– Jestem zdziwiona, że nigdy nie poprosiłeś Bene Gesserit o nauczycielkę. Skwapliwie skorzystałyby z tej okazji, byś miał wobec nich dług wdzięczności.

– Matka nigdy nie chciała słuchać, gdy na to nalegałem – odparł. – Ale teraz... – Wzruszył ramionami, co było wymownym komentarzem na temat wygnania Wensicji. – Zaczniemy?

– Byłoby lepiej, gdybyś zaczął to, kiedy byłeś dużo młodszy – powiedziała Jessika. – Teraz będzie ci trudniej i potrwa to o wiele dłużej. Będziesz musiał zacząć od nauczania się cierpliwości, najwyższej cierpliwości. Obyś nie stwierdził, że to zbyt wysoka cena.

– Nie za nagrodę, którą oferujesz.

Usłyszała w jego głosie szczerość, natłok oczekiwań i odrobinę obawy. Dawało to dobry punkt wyjścia.

– A zatem sztuka cierpliwości – powiedziała. – Na początek kilka podstawowych ćwiczeń prana i bindu na nogi i ramiona oraz sposób oddychania. Dłonie i palce zostawimy na później. Jesteś gotowy?

Usiadła na stołku naprzeciw niego.

Farad'n skinął głową, pokrywając wyrazem oczekiwania nagły przypływ strachu. Tajkenik ostrzegł go, że w propozycji lady Jessiki musi się kryć jakiś podstęp, coś, co upichciło zgromadzenie żeńskie. „Trudno uwierzyć, że znowu się od nich odsunęła albo że one odsunęły się od niej”. Farad'n przerwał jego tyradę wybuchem złości, czego natychmiast zaczął żałować. Wstyd z powodu tej bardzo emocjonalnej reakcji sprawił, że tym szybciej zgodził się z przestrogami baszara. Zerknął w rogi pokoju, na mieniące się słabym blaskiem *klejnoty* wprawione w fasety. Nie każda z tych błyszczących ozdób była klejnotem: wszystko, co się będzie działo w tym pomieszczeniu, zostanie zarejestrowane, a tęgie umysły przeanalizują każdy niuans, każde słowo, każdy ruch.

Zauważywszy, gdzie skierował wzrok, Jessika uśmiechnęła się pod nosem, ale w żaden sposób nie okazała, że wie, w którą stronę powędrowała

jego uwaga.

– Aby nauczyć się cierpliwości według metody Bene Gesserit – powiedziała – musisz najpierw uświadomić sobie, że nasz wszechświat jest w istocie niestabilny. Naturę – pojmowaną jako całość, we wszystkich jej przejawach – nazywamy Najwyższym Nie-Absolutem. Aby uwolnić swe postrzeganie od krępujących je nawyków, co pozwoli ci poznać zmienny charakter owej względnej natury, wyciągniesz przed siebie obie ręce. Patrz na swoje wyprostowane dłonie, najpierw na ich spody, później na grzbiety. Przyjrzyj się uważnie palcom, ich przedniej i tylnej stronie. Zrób to.

Farad'n posłuchał, ale czuł się głupio. Przecież to były jego ręce. Znał je.

– Wyobraź sobie, że twoje ręce się starzeją – instruowała go dalej Jessika.

– W twoich oczach muszą się bardzo zestarzeć. Muszą się stać bardzo, bardzo stare. Zauważ, jak sucha jest skóra...

– Moje ręce się nie zmieniają – powiedział Farad'n. Czuł, że zaczynają już mu drżeć mięśnie ramion.

– Patrz na nie nadal. Niech staną się stare, tak stare, jak jesteś w stanie to sobie wyobrazić. To może potrwać. A kiedy zobaczysz, że się zestarzały, odwróć ten proces. Spraw, żeby twoje ręce odmłodziły... tak bardzo, jak to możliwe. Staraj się przenosić je wedle swojej woli od niemowlęctwa do późnej starości, tam i z powrotem, tam i z powrotem.

– Nie zmieniają się! – zaprotestował książę. Bolały go barki.

– Jeśli zażadasz tego od swoich zmysłów, twoje ręce się zmienią – zapewniła go. – Skoncentruj się na wizualizacji przepływu czasu, którego pragniesz: od niemowlęctwa do wieku starczego, od starości do niemowlęctwa. Może ci to zająć wiele godzin, dni, a nawet miesiące, ale jesteś w stanie to osiągnąć. Odwracanie upływu czasu nauczy cię postrzegać każdy układ jako coś wirującego we względnej, tylko względnej, stabilności.

– Myślałem, że mam się uczyć cierpliwości.

Jessika usłyszała w jego głosie złość i nutę rozczarowania.

– I względnej stabilności – powiedziała. – To perspektywa, która wynika z twoich przekonań o rzeczywistości, a rzeczywistość można zmieniać w wyobraźni. Nauczyłeś się patrzeć na wszechświat w sposób ograniczony przez twe przekonania. Pora, żeby wszechświat stał się twoim tworem. Pozwoli ci to wykorzystać go do twoich celów, do celów, jakie tylko zdołasz sobie wyobrazić.

– Mówiłaś, że jak długo może to potrwać?

– Cierpliwość – napomniała go.

Na ustach Farad'na wykwitł spontaniczny uśmiech. Jego spojrzenie powędrowało ku niej.

– Patrz na ręce! – warknęła.

Uśmiech zniknął, a wzrok księcia ponownie skoncentrował się na wyciągniętych rękach.

– Co mam zrobić, kiedy ręce mi się zmęczą? – zapytał.

– Przestań gadać i skup się – odparła. – Jeśli poczujesz się zbyt zmęczony, przerwij i wróć do tego po kilku minutach relaksacji. Musisz zacisnąć zęby i ćwiczyć to tak długo, aż ci się uda. W twoim obecnym stanie jest to ważniejsze, niż możesz sobie wyobrazić. Odrób tę lekcję, bo w przeciwnym razie innych nie będzie.

Farad'n wziął głęboki oddech, zagryzł wargi i wpatrywał się w swoje ręce. Obracał je wolno: grzbietami dłoni do góry, a potem do dołu, do góry, do dołu... Ramiona drżały mu z wysiłku. Do góry, do dołu... Nic się nie zmieniało.

Jessika wstała i podeszła do jedynych drzwi.

– Dokąd idziesz? – zapytał, nie odwracając uwagi od swoich rąk.

– Będzie ci szło lepiej, jeśli zostaniesz sam. Wrócę za godzinę. Cierpliwość!

– Wiem!

Przez chwilę przyglądała mu się badawczo. Jakiż był skupiony. I nagle poczuła bolesny skurcz serca, bo przypominał jej utraconego syna. Pozwoliła sobie na westchnienie.

– Kiedy wrócę, pokażę ci ćwiczenia rozluźniające mięśnie – powiedziała.

– Za jakiś czas będziesz zdumiony, do czego zdołasz zmusić swoje ciało i zmysły.

Wyszła.

Kiedy podążyła korytarzem, ruszyli, trzy kroki za nią, wszechobecni strażnicy. Ich respekt i strach rzucały się w oczy. Byli to sardaukarzy wychowani na opowieściach o klęsce zadanej im na Arrakis przez Fremenów. Mieli potrójny powód do obaw: ta czarownica była Matką Wielebną Fremenów, Bene Gesserit i Atrydką.

Zerknąwszy przez ramię na ich srogie twarze, Jessika pomyślała, że oto minęła kamień milowy na drodze do realizacji swoich planów. Dotarła do schodów, zeszła po nich i przemierzwszy krótki korytarz, znalazła się w ogrodzie pod swoimi oknami.

„Oby teraz Duncan i Gurney zrobili, co do nich należy” – pomyślała, czując pod stopami żwir, którym wysypana była ścieżka, i widząc złote światło sączące się przez zielone listowie.



Kiedy zakończysz następny etap edukacji mentata, będziesz znał techniki komunikacji zintegrowanej. Pełnią one nadrzędną funkcję wobec dróg pozyskiwania danych, scalając je w twojej świadomości i rozwiązując w ten sposób zawichość oraz porządkując masy danych wejściowych zgromadzonych dzięki technikom indeksowo-katalogowym, które już opanowałeś. Początkowo twoim problemem będą napięcia wynikające z rozbieżnych zbiorów szczegółów/danych dotyczących specjalistycznych zagadnień. Uważaj. Bez nadrzędnej integracji danych możesz się uwikłać w „problem wieży Babel”, jak nazywamy wszechobecne niebezpieczeństwo uzyskania błędnych kombinacji precyzyjnych informacji.

– *Podręcznik mentata*

Szelest ocierających się o siebie tkanin przywołał Leto do rzeczywistości. Zdumiało go, że tak wyostrzył swoją wrażliwość, iż automatycznie rozpoznawał tkaninę po wydawanym przez nią szeleście; teraz słyszał odgłos fremieńskiego płaszcza ocierającego się o zgrzebny materiał wiszącej w wejściu zasłony. Odwrócił się w stronę, skąd dochodził ten dźwięk. Dobiegał z przejścia, w którym przed kilkoma minutami zniknął Namri. Zobaczył, jak wchodzi człowiek, który go pojmał. Był to z pewnością ten sam mężczyzna: ten sam pas ciemnej skóry nad maską filtraka, ten sam świdrujący wzrok. Mężczyzna podniósł rękę, wyjął wtyki nosowe, opuścił maskę i tym samym ruchem odrzucił na plecy kaptur. Leto rozpoznał go, zanim jeszcze skupił wzrok na biegnącej wzdłuż szczęki bliźnie po krwawinie. Rozpoznanie zlało się w jego świadomości w jedną całość z szukaniem potwierdzających je szczegółów, które nastąpiło potem. Nie było żadnych wątpliwości – tym zwalistym mężczyzną, tym wojownikiem i trubadurem był Gurney Halleck.

Leto zacisnął pięści tak wstrząśnięty, że przez chwilę nie mógł dojść do siebie. Atrydzi nie mieli wierniejszego człowieka niż Halleck. Nie było nikogo, kto by lepiej od niego walczył. Był zaufanym powiernikiem i nauczycielem Paula.

Sługą lady Jessiki.

Te i inne myśli przebiegały mu przez głowę jak szalone. A więc to Gurney go schwytał. Gurney i Namri byli w zмовie. A kierowała nimi ręka Jessiki.

– Jak rozumiem, poznałeś już naszego Namriego – odezwał się Halleck. – Lepiej uwierz mu, paniczu. Ma tylko jedno zadanie. Jest tym, który może cię zabić, jeśli zajdzie potrzeba.

– Zatem przyłączyłeś się do naszych wrogów, Gurney! – odparł Leto, przybierając odruchowo ton ojca. – Nigdy bym nie pomyślał, że...

– Nie próbuj ze mną swoich diabelskich sztuczek, chłopcze – przerwał mu Halleck. – Jestem na nie uodporniony. Wykonuję rozkazy twej babki. Twoja edukacja została zaplanowana w najdrobniejszych szczegółach. To twoja babka zaaprobowała mój wybór: Namriego. To, co dalej nastąpi, choć może ci się wydać bolesne, stanie się z jej rozkazu.

– A cóż takiego rozkazała?

Halleck wyjął rękę spod między fałd płaszcza. Trzymał w niej fremieńską strzykawkę, prymitywną, lecz skuteczną. W jej przezroczystym tubusie znajdował się niebieski płyn.

Leto rzucił się na łóżko i zaczął cofać, ale powstrzymała go skalna ściana. W tym momencie wszedł Namri i stanął obok Hallecka z dłonią na rękojeści krysoża. Razem zablokowali jedyne wyjście.

– Widzę, że rozpoznałeś esencję przyprawową – rzekł Halleck. – Odbędziesz „podróż na czerwiu”, chłopcze. Musisz przez to przejść. W przeciwnym razie to, na co odważył się twój ojciec, a czego ty nie śmiesz zrobić, ciążyłoby ci przez resztę twoich dni.

Leto bez słowa pokręcił głową. To było to, co – jak oboje wiedzieli – mogło zmiażdżyć jego i Ganimę. Gurney był głupcem nieświadomym tego, co czyni! Jak Jessika mogła... Leto czuł obecność postaci ojca we wspomnieniach. Wtargnęła mu do umysłu, starając się przełamać jego opór. Chciał krzyknąć z oburzenia, ale nie mógł poruszyć wargami. To było owo niewysłowione coś, którego najbardziej się bała jego przednarodzona świadomość. Proroczy trans, odczytywanie nieodwołalnej przyszłości, z całą jej niewzruszoną stałością i przerażającymi wydarzeniami. Jessika niewątpliwie nie rozkazałaby poddać tak ciężkiej próbie jej wnuka. Ale pojawiła się w jego umyśle, zasypując go argumentami na rzecz pogodzenia się z tym, co ma nastąpić. Została mu narzucona nawet *Litania przeciw strachowi* i w jego głowie rozbrzmiewał monotony głos: „Nie wolno się bać. Strach zabija duszę. Strach to mała śmierć, a wielkie unicestwienie.

Stawię mu czoło. Niechaj przejdzie po mnie i przeze mnie, a kiedy przejdzie...”

Z przekleństwem, które było już stare, kiedy Chaldeja była wciąż w powijakach, Leto chciał się rzucić na stojących nad nim mężczyzn, ale mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Jakby był już pogrążony w transie, zobaczył ruch ręki Hallecka i zbliżającą się strzykawkę. W niebieskiej cieczy lśniło światło lumisfery. Strzykawka dotknęła lewego ramienia Leto. Przeszył go ból, który przeniknął aż do mięśni karku i do głowy.

Nagle Leto ujrzał młodą kobietę siedzącą o świecie przed ubogą chatą. Siedziała naprzeciw niego i prażyła ziarna kawy na różowy brąz, dodając kardamon i melanz. Skądś spoza niego dochodził dźwięk rebabu. Muzyka niosła się falami, aż w końcu przeniknęła do jego głowy, nadal rozbrzmiewając echem. Przepęłniła jego ciało i poczuł się duży, bardzo duży, zupełnie nie jak dziecko. A skóra nie była jego skórą. Znał to doznanie! Jego skóra nie była jego skórą. Po jego ciele rozeszło się ciepło. Równie nagle jak pierwsza, pojawiła się druga wizja. Stał w ciemnościach. Była noc. Z roziskrzonego nieba, niczym grad rozżarzonych węgielków, spadały gwiazdy.

Jakąś część swojego „ja” wiedział, że nie ma od tego ucieczki, ale mimo to nadal próbował z tym walczyć, dopóki nie wtrącił się obecny w nim ojciec.

– *Będę cię chronił w transie* – rzekł. – *Pozostali, którzy są w twoim wnętrzu, nie zawładną tobą.*

Leto porwał wiatr. Zakręcił nim, świszcząc, miotając weń pyłem i piaskiem, siekąc ramiona i twarz, ścierając ubranie, smagając strzępami bezużytecznej już tkaniny. Chłopiec nie czuł jednak bólu i widział, że rozcięcia goją się równie szybko, jak się pojawiają. Mimo to nadal toczył się, niesiony wiatrem, a skóra nie była jego skórą.

„To się stanie!” – przebiegło mu przez głowę, ale była to myśl odległa i jakby nie jego, tak naprawdę nie jego, podobnie jak skóra.

Wizja wchłonęła go. Przekształciła się w stereologiczną pamięć, w której oddzielone były od siebie przeszłość i teraźniejszość, przyszłość i teraźniejszość, przyszłość i przeszłość. Elementy każdego z członów tego podziału mieszały się ze sobą w trójokularowym ognisku, które postrzegał jako wielowymiarową mapę plastyczną swego przyszłego życia.

„Czas jest miarą przestrzeni – pomyślał – jak jest jej miarą dalmierz, ale mierzenie zamyka nas w miejscu, które mierzymy”.

Poczuł, że trans się pogłębia. Objawiło się to w postaci poszerzenia wewnętrznej świadomości, którą wchłaniało jego „ja” i poprzez którą się zmieniał. Był to żywy czas. Zalewały go fragmenty wspomnień zdarzeń przyszłych i minionych. Jednak ich wzajemne relacje ustawicznie się zmieniały, jakby właśnie trwał montaż ich sekwencji. Jego pamięć była niczym obiektyw, reflektor, który wydobywał z mroku te fragmenty, wyodrębniając je, ale nie mogła zatrzymać tego nieustannego ruchu i zmian, które dokonywały się w jego polu widzenia.

W świetle szperacza pojawiło się to, co zaplanował z Ganimą, ale teraz przejęło go to trwogą. Realność wizji boleśnie nim wstrząsnęła. Nieuchronność tego, co się miało stać, sprawiła, że jego „ja” się wzdrygnęło.

A jego skóra nie była jego skórą! Przewalały się przez niego przeszłość i teraźniejszość, przelewając się przez bariery jego strachu. Nie potrafił ich rozdzielić. W pewnej chwili poczuł, że wyrusza na Dżihad Butleriański, gotów zniszczyć każdą maszynę wyposażoną w imitację ludzkiej świadomości. Musiała to być dawno miniona przeszłość, a mimo to jego zmysły zanurzyły się w tym doznaniu, chłonąc najdrobniejsze szczegóły. Usłyszał urzędnika, swego towarzysza, wołającego z mównicy: „Musimy zniszczyć maszyny, które myślą! Ludzie muszą sami ustanawiać dla siebie zasady. Nie jest to coś, co mogą robić maszyny. Rozumowanie zależy od oprogramowania, nie od sprzętu, a fundamentalny program tworzymy my!”

Słyszał ten głos wyraźnie, znał otoczenie – przestronną drewnianą salę z ciemnymi oknami. Oświeślały ją trzaskające płomienie. Urzędnik, jego towarzysz, powiedział: „Nasz dżihad jest »programem eliminacji«. Wyeliminujemy rzeczy, które niszczą nas jako ludzi!”

W umyśle Leto znalazła się informacja, że mówca był niegdyś sługą komputerów, znał je i obsługiwał. Ale scena ta zniknęła i oto stała przed nim Ganima, mówiąc: „Gurney wie. Powiedział mi. Oto słowa Duncana, a Duncan mówił jako mentat: »Czyniąc dobro, unikaj rozgłosu. Czyniąc zło, wystrzegaj się samoświadomości«”.

To musiała być przyszłość – odległa przyszłość. Ale czuł jej realność równie intensywnie, jak przeszłość któregośkolwiek z tłumu przepełniających go istnień.

– Czyż to nie jest prawda, ojcze? – wyszeptał.

– *Nie kuś licha!* – rzekł ostrzegawczo obecny w nim ojciec. – *Teraz uczysz się stroboskopowej świadomości. Bez niej mógłbyś przekroczyć sam siebie, stracić swoje miejsce w czasie.*

Nadal napierały na niego obrazy niczym z wypukłej płaskorzeźby mapy plastycznej. Przeszłość-teraźniejszość-przyszłość. Nie było między nimi prawdziwego podziału. Wiedział, że musi popłynąć z tym prądem, ale przerażało go to. Jak zdoła wrócić w jakiekolwiek znane mu miejsce? Czuł jednak, że jakaś siła zmusza go do porzucenia wszelkiego oporu. Nie potrafił uchwycić swojego nowego wszechświata w nieruchomych, oznakowanych fragmentach. Żaden z nich nie zatrzymywał się ani na chwilę. Rzeczywistości nie można było uporządkować raz na zawsze. Musiał odkryć rytm zmian i dotrzeć do ich istoty. Nie wiedząc, gdzie się to zaczęło, znalazł się w gigantycznym *moment bienheureux* i był w stanie ujrzyć przeszłość w przyszłości, teraźniejszość w przeszłości, *chwilę obecną* zarówno w przeszłości, jak i w przyszłości. Było to nagromadzenie stuleci, którego doświadczał między jednym uderzeniem serca a drugim.

Świadomość Leto płynęła swobodnie, nieskrępowana żadną obiektywną psychiką i nieograniczona żadnymi barierami. „Tymczasowa przyszłość” Namriego pozostawała w jego pamięci, ale obok niej było wiele innych przyszłości. Cała jego przeszłość, wszystkie wewnętrzne istnienia, stały się jego własnością. Z pomocą największego z nich zapanował nad nimi. Należały do niego.

„Kiedy obserwujesz jakiś obiekt z daleka – pomyślał – możesz zobaczyć tylko jego zasadnicze cechy”. Zyskał ów dystans i mógł teraz spojrzeć na swoje życie: wieloraka przeszłość i jej wspomnienia były dla niego brzemieniem, radością i koniecznością. Ale „podróż na czerwiu” dodała jeszcze jeden wymiar i ojciec nie stał w nim na straży, bo nie było już takiej potrzeby. Z daleka Leto widział wyraźnie przeszłość i teraźniejszość. A przeszłość ukazała mu pierwszego przodka, niejakiego Haruma, bez którego nie byłoby owej odległej przyszłości. Odległości te tworzyły nowe zasady, nowe wymiary dzielenia przeszłości i pamięci tych, którzy w nim istnieli. Jakiegokolwiek życie by teraz wybrał, przeżyłby je w niezależnej sferze masowych doświadczeń, łańcuchu istnień tak poskręcanych, że nikt nie zdołałby zliczyć tworzących go pokoleń. Rozbudzone, to masowe doświadczenie stanowiło siłę zdolną podporządkować sobie jego jaźń. Mogło dać się odczuć jednostce, narodowi, społeczeństwu, a nawet całej cywilizacji. Oczywiście dlatego bał się go Gurney, dlatego czekał nóż Namriego. Nie może pozwolić, by dostrzegli w nim tę moc. Nikt nigdy nie może zobaczyć jej w pełni, nawet Ganimas.

Leto usiadł i zobaczył, że został tylko Namri, który bacznie mu się przyglądał.

– Nie ma jednego zbioru ograniczeń dla wszystkich ludzi – powiedział Leto dojrzałym głosem. – Możliwość przewidzenia wszystkiego jest pustym mitem. Przepowiedzieć można tylko najpotężniejsze miejscowe nurty czasu. Ale w nieskończonym wszechświecie to, co miejscowe, może być tak ogromne, że nie obejmiesz tego umysłem.

Namri potrząsnął głową, nic nie rozumiejąc.

– Gdzie jest Gurney? – zapytał Leto.

– Wszedł, żeby nie patrzeć, jak cię zabijam.

– Zabijesz mnie, Namri? – Pytanie to zabrzmiało niemal jak prośba.

Fremen zdjął rękę z noża.

– Nie, ponieważ mnie o to prosisz. Gdyby jednak było ci to obojętne...

– Choroba obojętności niszczy wiele rzeczy – rzekł Leto. Pokiwał głową.
– Tak... z tego powodu giną nawet cywilizacje. Zupełnie jakby była to cena, którą trzeba zapłacić za wzniesienie się na wyższy poziom złożoności czy świadomości. – Podniósł wzrok na Namriego. – Zatem powiedziano ci, żebyś wypatrywał u mnie oznak obojętności?

I spostrzegł, że Namri jest kimś więcej niż zabójcą – Namri był chytrym krętaczem.

– Oznak nieograniczonej mocy – odparł mężczyzna, ale było to kłamstwo.

– Obojętna moc, o tak. – Leto usiadł wygodniej i głęboko westchnął. – W życiu mojego ojca, Namri, nie było moralnej wzniosłości, a jedynie miejscowa pułapka, którą sam na siebie zastawił.



*O Paulu, tyś Muad'Dibem,
Mahdim wszystkich ludzi.
Gdy wydychasz powietrze,
Huragan się budzi.*

– *Pieśni Muad'Diba*

– Nigdy! – zaprotestowała Ganima. – Zabiłabym go w noc poślubną.

Mówiła z zacieklą uporem, którego nie udało się dotąd przełamać żadnymi pochlebstwami. Alia i jej doradczynie usiłowały wyperswadować

jej to przez pół nocy, wskutek czego w królewskich komnatach panowało zamieszanie, posyłano po nowe doradczynie, po jadło i napoje. W całej świątyni i przylegającej do niej twierdzy panowała wielka irytacja spowodowana niemożnością podjęcia decyzji.

Ganima siedziała spokojnie na zielonym krześle dryfowym w swoim apartamencie – dużym pokoju o szorstkich, jasnobrązowych ścianach imitujących siczową skałę. W odróżnieniu od surowej prostoty ścian, sufit wykonany był z imbarowego kryształu, w którym migotały niebieskawe refleksy światła, podłoga natomiast z czarnych płytek. Mebli było niewiele: mały stolik do pisania, pięć krzeseł dryfowych i wąska prycza ustawiona fremeńskim zwyczajem w niszy. Ganima miała na sobie żółty strój żałobny.

– Nie jesteś wolną osobą, która może decydować o każdym aspekcie swojego życia – powiedziała Alia chyba setny raz.

„Ta mała idiotka musi to sobie wcześniej czy później uświadomić! – myślała. – Musi się zgodzić na zaręczyny z Farad’nem. Musi! Niech go potem zabije, ale zaręczyny wymagają od fremeńskiej narzeczonej otwarcie wyrażonej zgody”.

– On zabił mojego brata – powiedziała Ganima, obstając przy swoim. – Wszyscy o tym wiedzą. Fremenom spluwaliby na sam dźwięk mojego imienia, gdybym się zgodziła na te zaręczyny.

„I to jest właśnie jeden z powodów, dla których musisz się zgodzić” – pomyślała Alia.

– Zrobiła to jego matka – powiedziała. – Skazał ją za to na wygnanie. Czego jeszcze chcesz od niego?

– Jego krwi – odparła Ganima. – Jest Corrinem.

– Potępił własną matkę – zaprotestowała Alia. – I niby dlaczego miałybyś się przejmować tą fremeńską hałastą? Pogodzą się z tym, z czym każemy im się pogodzić. Gani, pokój Imperium wymaga, abyś...

– Nie zgodzę się – przerwała jej Ganima. – Nie możesz ogłosić zaręczyn beze mnie.

Irulana, która weszła do pokoju, gdy Ganima wypowiadała te słowa, spojrzała pytająco na Alię i dwie doradczynie, które stały za nią z wyrazem przygnębienia na twarzach. Alia z odrazą wyrzuciła przed siebie ręce i opadła na krzesło naprzeciw Ganimy.

– Ty z nią porozmawiaj, Irulana – powiedziała.

Księżna przyciągnęła sobie krzesło dryfowe i usiadła obok Alii.

– Jesteś Corrinką, Irulana – rzekła Ganim. – Nie nalegaj, bo przeciągniesz strunę.

Wstała, podeszła do swojej pryczy i usiadła na niej ze skrzyżowanymi nogami, piorunując wzrokiem obie kobiety. Nie uszło jej uwagi, że Irulana przywdziała czarną abę, by dopasować się do Alii. Odrzucony na plecy kaptur ukazywał jej złote włosy. W blasku oświetlających pokój lumisfer miały one żółty kolor żałoby.

Irulana zerknęła na Alię, podniosła się, przeszła przez pokój i stanęła naprzeciw Ganimy.

– Gani, własnoręcznie bym go zabiła, gdyby to mogło rozwiązać sprawy. A przecież w żyłach Farad’na, jak byłaś uprzejma zauważyć, płynie ta sama krew co w moich. Ale spoczywają na tobie znacznie poważniejsze obowiązki niż zobowiązania wobec Fremenów...

– W twoich ustach nie brzmi to ani odrobinę lepiej niż w ustach mojej znakomitej ciotki – powiedziała z sarkazmem Ganim. – Krwi brata nie da się zmyć. I nie jest to jakiś fremeński aforyzm.

Irulana zacisnęła usta.

– Farad’n więzi twoją babkę – powiedziała po chwili. – Przetrzymuje też Duncana i jeśli nie...

– Nie przekonują mnie wasze opowieści o tym, jak do tego doszło – ucięła Ganim, patrząc ponad jej głową na Alię. – Kiedyś Duncan wolał zginąć, niż pozwolić wrogom pojmać mojego ojca. Być może to nowe ciało gholi nie jest już takie samo jak...

– Duncan miał za zadanie strzec życia twojej babki! – powiedziała ostro Alia, obracając się na krześle. – Jestem pewna, że wybrał jedyny sposób, by je wypełnić.

W duchu jednak pomyślała: „Duncanie! Duncanie! Nie tak miałeś to zrobić”.

Wychwyciwszy w głosie Alii nieszczerą nutę, Ganim spojrzała na ciotkę.

– Kłamiesz, Łono Niebios. Słyszałam o twoich utarczkach z moją babką. Czego boisz się nam powiedzieć o niej i o twoim cennym Duncanie?

– Usłyszałaś już wszystko – odparła Alia, ale stanąwszy wobec jej brutalnego oskarżenia i tego, co się za nim kryło, poczuła ukłucie strachu. Zdała sobie sprawę, że przez zmęczenie stała się nieostrożna. Podniosła się. – Wiesz tyle, co ja – oświadczyła, a zwracając się do Irulany, powiedziała: – Ty popracuj nad nią. Trzeba ją nakłonić do...

Ganima przerwała jej ordynarnym fremieńskim przekleństwem, które w ustach niedojrzałej osoby zabrzmiało szokująco.

– Uważasz mnie za zwykłe dziecko – rzekła w ciszy, która zapadła – myślisz, że masz wiele lat, żeby nade mną popracować, że w końcu się zgodzę. Zastanów się, boska regentko. Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, ile jest we mnie lat. Posłucham ich, nie ciebie.

Alia z trudem powstrzymała się od gniewnej riposty i spojrzała twardo na Ganimę. Zły duch? Kim było to dziecko? Ponownie zaczął w niej narastać strach przed Ganimą. Czyżby i ona zawarła kompromis z istnieniami, które weszły w nią przed urodzeniem?

– Masz jeszcze czas, żeby nabrać rozsądku.

– Może będę jeszcze miała czas, żeby zobaczyć, jak spod mojego noża tryska krew Farad’na – odparła Ganima. – Możesz być tego pewna. Jeśli kiedykolwiek zostanę z nim sama, jedno z nas na pewno zginie.

– Myślisz, że kochałaś swojego brata bardziej niż ja? – spytała cierpko Irulana. – Nie zgrywaj głupiej! Byłam dla niego matką, tak samo jak dla ciebie. Byłam...

– Nigdy go nie znałaś – przerwała jej Ganima. – Wy wszyscy, z wyjątkiem mojej *kochanej ciotki*, której od czasu do czasu przypomina się, kim jesteśmy, wciąż uważacie, że jesteśmy dziećmi. To wy jesteście głupcami! Alia wie, jak jest naprawdę. Spójrz, jak ucieka od...

– Od niczego nie uciekam – powiedziała Alia, lecz odwróciła się plecami do Irulany i Ganimy i utkwiała wzrok w dwóch amazonkach, które udawały, że nie słyszą tej sprzeczki. Najwyraźniej dały sobie spokój z Ganimą, a może nawet się z nią solidaryzowały. Alia odprawiła je ze złością. Kiedy wychodziły z pokoju, na ich twarzach widać było wyraźną ulgę.

– Właśnie, że uciekasz – upierała się Ganima.

– Wybrałam sposób życia, który mi odpowiada – oznajmiła Alia, odwracając się, by spojrzeć na Ganimę, która nadal siedziała ze skrzyżowanymi nogami na pryczy. Czy to możliwe, że poszła na ten straszny wewnętrzny kompromis? Usiłowała dostrzec w Ganimie jakieś tego oznaki, ale bratanica nie zdradziła się ani jednym gestem. „Czyżby zauważyła to u mnie? – zastanawiała się. – Ale jak?”

– Bałaś się zostać oknem dla tłumu innych – powiedziała oskarżycielskim tonem Ganima. – Ale my jesteśmy przednarodzeni, więc wiemy. Będziesz ich oknem, świadomie czy nieświadomie. Nie możesz im tego odmówić.

I pomyślała: „Tak, znam cię, Zły Duchu. Może ja też stanę się taka jak ty, ale na razie mogę mieć dla ciebie tylko współczucie i pogardę”.

Miedzy Ganimą i Alią zaległo niemal namacalne milczenie, które obudziło w Irulanie czujność wpojona jej podczas szkolenia Bene Gesserit. Spoglądała to na jedną, to na drugą.

– Dlaczego tak nagle zamilkłyście? – spytała w końcu.

– Właśnie przyszło mi do głowy coś, co wymaga poważnego zastanowienia – odparła Alia.

– Zastanawiaj się do woli, droga ciociu – zadrwiła Ganimą.

Alia stłumiła spowodowaną zmęczeniem złość.

– Na razie starczy tego! – powiedziała. – Zostaw ją, niech to sobie przemyśli. Może się opamięta.

Irulana wstała.

– I tak już prawie świt – stwierdziła. – Gani, zanim wyjdziemy, nie zechciałabyś wysłuchać ostatniej wiadomości od Farad’na? On...

– Nie – ucięła Ganimą. – I proszę, żebyś od tej pory przestała używać tego idiotycznego zdrobnienia. Gani! Nazywając mnie tak, tylko utwierdzasz się w błędnym przekonaniu, że jestem dzieckiem, które możesz...

– Dlaczego ty i Alia tak nagle umilkłyście? – zapytała Irulana, wracając do poprzedniego pytania, ale tym razem zadając je subtelnie modulowanym Głosem.

Ganima odrzuciła do tyłu głowę i wybuchnęła gromkim śmiechem.

– Irulano! Próbujesz zażyć mnie Głosem?

– Co? – Księżna była tak zaskoczona, że nie potrafiła się zdobyć na inną odpowiedź.

– Nie ucz księdza pacierza.

– Nie ucz czego?

– Fakt, że ja doskonale pamiętam to przysłowie, a ty nigdy go nie słyszałaś, powinien dać ci do myślenia – powiedziała Ganimą. – Było ono stare już wtedy, kiedy wy, Bene Gesserit, byłyście jeszcze w powijakach. Ale jeśli nie jest to dla ciebie wystarczająca nauczka, zadaj sobie pytanie, o czym mogli myśleć twoi koronowani rodzice, kiedy nadawali ci imię Irulana? A może Ruinala?

Pomimo swojego wyszkolenia Irulana się zaczerwieniła.

– Starasz się mnie sprowokować, Ganimą!

– A ty starałaś się zażyć mnie Głosem. Mnie! Pamiętam pierwsze ludzkie próby w tym kierunku. Pamiętam *tamte czasy*, Rujnująca Irulano. A teraz

obie się stąd wynoście!

Jednak Alię zaintrygowała pewna sugestia, którą podsunął jej wewnętrzny głos. Zmęczenie zniknęło.

– Być może mam propozycję, która mogłaby cię skłonić do zmiany decyzji, Gani – powiedziała.

– I znowu Gani! – Z ust Ganimy wyrwał się suchy śmiech. – Zastanów się chwilę – powiedziała. – Jeśli pragnę zabić Farad’na, to muszę się tylko dostosować do waszych planów. Strzeż się *Gani*, kiedy jest w ugodowym nastroju. Jak widzisz, jestem z tobą całkowicie szczerą.

– Taką miałam nadzieję – odparła Alia. – Jeśli...

– Krwi brata nie da się zmyć – powiedziała raz jeszcze Ganimi. – Nie stanę przed moimi ukochanymi Fremenami jako ta, która sprzeniewierzyła się temu. „Nigdy nie wybaczymy i nigdy nie zapomnimy”. Czyż to nie nasz katechizm? Ostrzegam was z tego miejsca i powiem to publicznie: nie możecie mnie zaręczyć z Farad’nem. Kto z tych, którzy mnie znają, uwierzyłby w to? Nie uwierzyłby sam Farad’n, a Fremeni, słysząc o takich zaręczynach, śmialiby się w kułak i mówili: „No proszę! Zwabiła go w pułapkę”. Jeśli...

– Rozumiem to. – Alia przerwała ten potok słów i przesunęła się w stronę Irulany, która stała w milczeniu, wstrząśnięta, bo zdawała już sobie sprawę, dokąd zmierza ta rozmowa.

– A więc wciągałabym go w pułapkę – powiedziała Ganimi. – Jeśli tego właśnie chcesz, zgodzę się, ale on może w nią nie wpaść. Skoro zamierzasz użyć tych fałszywych zaręczyn jako bezwartościowej monety, żeby wykupić za nią moją babkę i twojego cennego Duncana, niech tak będzie. Ale w tym już twoja głowa. Wykup ich. Natomiast Farad’n jest mój. Jego zabiję.

Irulana obróciła się do Alii, zanim ta zdążyła przemówić.

– Alio! Jeśli nie dotrzymamy słowa... – Zawiesiła na chwilę głos.

Alia z uśmiechem myślała tymczasem o tym, jaki gniew ogarnąłby wysokie rody w Zgromadzeniu Faufréluches, o zgubnych konsekwencjach wiary w honor Atrydów, o utracie zaufania religijnego, o tych wszystkich wielkich i małych klockach, które by się rozsypały.

– To się obróci przeciwko nam – podjęła Irulana. – Zniszczona zostałaby wiara w proroczą moc Paula. Imperium...

– Kto by się ośmielił zakwestionować nasze prawo decydowania o tym, co jest niesłuszne, a co słuszne? – zapytała Alia łagodnym głosem. – To my

rozstrzygamy, gdzie przebiega granica między dobrem a złem. Wystarczy, bym ogłosiła...

– Nie możesz tego zrobić! – zaprotestowała Irulana. – Pamięć o Paulu...

– Jest tylko narzędziem Kościoła i państwa – weszła jej w słowo Ganima.

– Nie mów głupstw, Irulana. – Dotknęła krysnoża u pasa i spojrzała na Alię.

– Nie doceniłam mojej sprytnej ciotki. Proszę o wybaczenie wszystkie świętości w Imperium Muad'Diba. Naprawdę cię nie doceniłam. Zwab tutaj Farad'na, jeśli chcesz.

– To lekkomyślność! – zaapelowała do nich Irulana.

– Zgadzasz się na te zaręczyny, Ganima? – spytała Alia, ignorując księżną.

– Na moich warunkach – odparła Ganima z dłonią na krysnożu.

– Umywam od tego ręce – oświadczyła Irulana i rzeczywiście, nie tyle je umyła, ile załamała. – Chciałam namawiać do prawdziwych zaręczyn, by zaleczyć...

– Alia i ja zadamy ci ranę o wiele trudniejszą do wyleczenia – powiedziała Ganima. – Sprowadź go szybko, jeśli zechce przyjechać. A być może zechce. Czy mógłby podejrzewać dziecko w moim wieku? Zaplanujmy oficjalną ceremonię zaręczyn, która będzie wymagała jego obecności. Niech się tylko nadarzy okazja, bym została z nim sama... na minutę czy dwie...

Irulanę przeszedł dreszcz, kiedy przekonała się osobiście, że Ganima jest w każdym calu Fremenką, dzieckiem nie różniącym się okrucieństwem od dorosłych. W końcu fremeńskie dzieci były przyzwyczajone do dobijania rannych na polu bitwy i uwalniania od tego obowiązku kobiet, by te mogły gromadzić ciała poległych i odciągać je do alembików śmierci. A Ganima, mówiąc głosem fremeńskiego dziecka, wzmacniała jeszcze grozę wystudiowaną dojrzałością wypowiedzi i otaczającym ją niczym aura odwiecznym pragnieniem wendety.

– Załatwione – powiedziała Alia, zmagając się ze sobą, by ani tonem głosu, ani wyrazem twarzy nie zdradzić przepełniającej ją złośliwej satysfakcji. – Wydamy oficjalny edykt zawiadamiający o zaręczynach. Podpisy złożymy w obecności odpowiedniego przedstawicielstwa wysokich rodów. Farad'n nie będzie miał wątpliwości...

– Będzie miał wątpliwości, ale mimo to przybędzie – stwierdziła Ganima.

– Weźmie ze sobą ochronę. Ale czy im się wydaje, że ochronią go przede mną?

– Na miłość wszystkiego, co próbował zrobić Paul – powiedziała błagalnie Irulana – postarajmy się przynajmniej, żeby śmierć Farad’na wyglądała na wypadek albo wynik knowań wrogów z...

– Z rozkoszą pokażę zakrwawiony nóż moim braciom – oświadczyła Ganima.

– Alia, błagam cię. – Irulana nie ustępowała. – Zarzuć ten nierozważny plan. To szaleństwo. Ogłoś kanły przeciw Farad’nowi, cokolwiek, tylko nie...

– Nie trzeba formalnie ogłaszać, że pragniemy zemsty na nim – przerwała jej Ganima. – Całe Imperium wie, jak musimy się czuć. – Wskazała rękaw swojej sukni. – Nosimy żółty kolor żałoby. Kiedy zamienię go na czerń fremeskiej narzeczonej, czy zwiedzie to kogoś?

– Oby zwiodło Farad’na – rzekła Alia – i przedstawiciele wysokich rodów, których zaprosimy, aby byli świadkami...

– Wszyscy ci przedstawiciele zwrócą się przeciw tobie – powiedziała Irulana. – Wiesz o tym!

– Celną uwaga – przyznała Ganima. – Starannie ich wybierz, Alia. Muszą to być osoby, które będziemy mogli później usunąć bez skrupułów.

Zrozpaczona, Irulana wyrzuciła przed siebie ręce, obróciła się i wybiegła.

– Każ śledzić każdy jej ruch, żeby nie ostrzegła swojego siostrzeńca – poradziła Ganima.

– Nie ucz mnie, jak organizować spisek – odparła Alia i podążyła za Irulaną, ale wolniejszym krokiem. Pociągnęła za sobą czekające na zewnątrz strażniczki i doradczynie jak wsysający drobiny piasku wir po wynurzającym się czerwiu.

Kiedy drzwi się zamknęły, Ganima potrząsnęła ze smutkiem głową i pomyślała: „Jest tak, jak biedny Leto i ja myśleliśmy. Bogowie podziemi! Żałuję, że to nie mnie zabił tygrys zamiast niego”.



Wiele sił chciało zdobyć kontrolę nad atrydzkimi bliźniętami, a kiedy ogłoszono śmierć Leto, ta gra spisków i kontrspisków jeszcze się nasiliła. A oto, czym kierowali się uczestnicy owej rozgrywki: zgromadzenie żeńskie bało się Alii, dorosłego Złego Ducha, ale mimo to pragnęło uzyskać możliwość manipulowania genetycznymi cechami przekazywanymi w rodzie Atrydów. Hierarchia kościelna Aukafu i Hadźdzu widziała

jedynie władzę, którą dawała kontrola nad potomkinią Muad'Diba. KHOAM chciała swobodnego dostępu do bogactw Diuny. Farad'n i jego sardaukarzy pragnęli przywrócić chwałę rodowi Corrinów. Gildia Kosmiczna obawiała się równania Arrakis = melanz; bez przyprawy jej nawigatorzy byli bezradni. Jessica chciała naprawić to, do czego doprowadziło jej nieposłuszeństwo wobec Bene Gesserit. Niewiele osób myślało o tym, by zapytać same bliźnięta, jakie mają plany, aż w końcu było już na to za późno.

– *Księga Kreosa*

Tuż po wieczornym posiłku Leto zobaczył mężczyznę mijającego łukowato zwieńczone wejście do komory i jego myśli podążyły za tym człowiekiem. Przejście zostawiono otwarte, więc chłopiec widział za nim pewien ruch – przetoczono trzy wózki z przyprawą, przeszły trzy kobiety ubrane z obcoświatową elegancją, która wyraźnie wskazywała, że są przemytniczkami. Mężczyzna, za którym powędrowały myśli Leto, nie różniłby się od reszty, gdyby nie to, że poruszał się jak Stilgar, dużo młodszy Stilgar.

Umysł Leto obrał dziwną drogę. Czas wypełnił jego świadomość niczym gwiazdny glob. Widział nieskończone czasoprzestrzenie, ale musiał się wcisnąć w swoją przyszłość, by się zorientować, gdzie jest jego ciało. Wieloaspektowe mnemonady napływały i cofały się, ale teraz należały do niego. Były jak fale na plaży, ilekroć jednak wzniosły się zbyt wysoko, mógł nakazać im, by się cofnęły, a one posłusznie spełniały jego polecenie i zostawał tylko król Harum.

Od czasu do czasu słuchał tych mnemonad. Któraś z nich wysuwała się niczym głowa suflera z budki przed sceną i podpowiadała, jak ma się zachować. W pewnym momencie tej wędrówki umysłu pojawił się na jego drodze ojciec i powiedział: „Jesteś dzieckiem, które chce zostać mężczyzną. Kiedy nim zostaniesz, będziesz na próżno szukał tego dziecka, którym byłeś”.

Leto bez przerwy nękały pchły i wszy, zmora kiepsko utrzymanej siczy. Te dokuczliwe stworzenia najwyraźniej jednak zupełnie nie przeszkadzały żadnemu ze służących, którzy przynosili mu mocno przyprawione melanzem jedzenie. Czy robactwo to zostawiało ich w spokoju, czy też zżyli się z nim tak, że nie zwracali już uwagi na tę niedogodność?

Kim byli ludzie zgromadzeni wokół Gurneya? Jak się tutaj dostali? Czy było to Dżakurutu? Jego wieloraka pamięć podsuwała odpowiedzi, które mu się nie podobały. Ci ludzie byli szpetni, a najszeptniejszy z nich był Halleck.

Jednak pod odrażającą powierzchnią spoczywała doskonałość, uśpiona, lecz gotowa w każdej chwili wypłynąć.

Jakaś cząstką swojego „ja” wiedział, że jest skrepowany przyprawą, trzymany w niewoli za pomocą ogromnych dawek melanżu w każdym posiłku. Jego dziecięce ciało pragnęło się zbuntować, natomiast jego osobowość była zachwycona bezpośredniością wspomnień sprzed tysięcy wieków.

Jego umysł powrócił z wędrówki i Leto zaczął się zastanawiać, czy jego ciało rzeczywiście zostało z tyłu. Przyprawa dezorientowała zmysły. Czuł napór samoograniczeń nawarstwiających się niczym długie barchany na blechu, które powoli tworzą coraz wyższą pochylnię przy pustynnej skale. Pewnego dnia przez grzbiet skalny przepłynię kilka strumyków piasku, potem będzie ich coraz więcej, aż w końcu tam, gdzie niegdyś sterczała w niebo skała, zostanie tylko piach.

Ale skała nadal będzie tkwiła pod jego powierzchnią.

„Wciąż jestem w transie” – pomyślał.

Wiedział, że wkrótce dotrze do rozstajów życia i śmierci. Ci, którzy go schwytali, nie przestawali odsyłać go w niewolę przyprawy, niezadowoleni z jego odpowiedzi po każdym powrocie. Zawsze czekał na niego z nożem podstępny Namri. Leto znał niezliczone przeszłości i przyszłości, ale musiał się dopiero dowiedzieć, co zadowoli Namriego... albo Gurneya Hallecka. Chcieli czegoś spoza wizji. Kusiło go, by stanąć na rozdrożu życia i śmierci. Wiedział, że jego życie będzie musiało mieć jakiś głębszy sens, który wyniesie je ponad otaczające go wizje. Kiedy o tym myślał, poczuł, że jego prawdziwym istnieniem jest to, co się kryje we wnętrzu – jego świadomość, a egzystencja zewnętrzna jest transem. Przeraziło go to. Nie chciał wracać do siczy, jej pcheł, Namriego, Gurneya Hallecka.

„Jestem tchórzem” – pomyślał.

Ale wystarczył tylko gest, by tchórz, nawet tchórz, zginął dzielnie. Gdzie był ten gest, który mógł ponownie zespolić go w całość? Jak mógł się przebudzić i wkroczyć z transu i wizji w ten wszechświat, którego żądał od niego Gurney? Wiedział, że jeśli nie dokona tego zwrotu, jeśli nie przebudzi się ze swojej bezsensownej wizji, umrze w więzieniu, które sam sobie wybrał. Tak oto dotarł w końcu do tego, w czym musiał współpracować z tymi, którzy go pojmali. Gdzieś musiał znaleźć mądrość, uzyskać wewnętrzną równowagę, która pozwoliłaby mu zastanowić się nad wszechświatem i przywrócić obraz spokojnej siły. Dopiero wtedy mógłby szukać Złotego Szlaku i przetrwać w skórze, która nie jest jego skórą.

Gdzieś w głębi siczy ktoś grał na balisecie. Leto zdawało się, że jego cielesna powłoka słyszy tę muzykę w czasie rzeczywistym. Pod plecami wyczuwał pryczę. Słyszał dźwięki muzyki. To był Gurney. Z mistrzostwem gry na tym bardzo trudnym do opanowania instrumencie nie mogły się równać żadne inne palce. Wykonywał starą fremeńską pieśń zwaną hadisem, ponieważ zarówno jej słowa, jak i melodia odwoływały się do zasad, których przestrzeganie było niezbędne dla przetrwania na Arrakis. Pieśń opowiadała o zajęciach ludzi w siczy.

Leto poczuł, że ta melodia prowadzi go przez wspaniałą starożytną jaskinię. Widział kobiety udeptujące pozostałości po przyprawie na opał, nastawiające ją, by się zsiadła, robiące z niej tkaniny. Melanż był w każdym miejscu siczy.

Były chwile, kiedy Leto nie potrafił odróżnić dźwięków muzyki od odgłosów, które pochodziły z wizji jaskini. Jęk i miarowy stukot krosna były zawodzeniem i rytmicznymi uderzeniami balisety, ale jego wewnętrzne oczy widziały tkaniny z ludzkich włosów, długiego futra zmutowanych szczurów, nici pustynnej bawełny i skręconych pasków ptasich skór. Widział siczową szkołę. Na skrzydłach muzyki przeleciał w szalonym pędzie ekojęzyk Diuny. Zobaczył kuchnie zasilane energią słoneczną, pomieszczenia, w których wytwarzano i utrzymywano w dobrym stanie filtraki. Widział prognozerów odczytujących dane z wyciągniętych z piasku tycek.

W pewnym momencie tej podróży ktoś przyniósł mu jedzenie i wkładał łyżką w usta, podtrzymując silną ręką głowę. Wiedział, że doznaje tego w czasie rzeczywistym, ale w jego wnętrzu trwała cudowna gra ruchu.

Jakby w następnej chwili po spożyciu pełnego przyprawy jadła zobaczył nadciągającą burzę piaskową. Obrazy przesuwające się w tumanach piasku przeistoczyły się w złote odbicia w oczach ćmy, a jego życie sprowadzone zostało do lepkiego śladu zostawionego przez pełznącą gąsienicę.

W uszach zadudniły mu słowa z panoplia prophetica: „Mówi się, iż w całutkim wszechświecie nie ma niczego stałego, niczego pozostającego w równowadze, niczego trwałego, iż nic nie pozostaje niezmienione, a każdy dzień, niekiedy każda godzina przynosi coś nowego”.

„Stara Missionaria Protectiva wiedziała, co robi – pomyślał. – One wiedziały o straszliwych przeznaczeniach. Wiedziały, jak manipulować ludźmi i religiami. W końcu nawet mój ojciec nie zdołał ujść przed nimi”.

Oto wskazówka, której szukał. Przeanalizował ją. Czuł, że jego ciało odzyskuje siły. Całe jego złożone jestestwo obróciło się i spojrzało na

wszechświat. Usiadł i stwierdził, że znajduje się sam w ponurej celi, rozjaśnianej tylko przez światło wpadające z korytarza, którym wieki temu przeszedł ów mężczyzna, zabierając ze sobą jego umysł.

– Przychylności losu dla nas wszystkich! – zawołał, przekazując tradycyjne fremeńskie pozdrowienie.

W zwieńczonym łukiem wejściu pojawił się Gurney Halleck. Na tle jaśniejszego korytarza widać było czarny zarys jego głowy.

– Wnieś światło – powiedział Leto.

– Chcesz, żeby poddał cię dalszym próbom?

– Nie. – Leto się roześmiał. – Przyszła kolej na to, żebym ja poddał próbie ciebie.

– Zobaczymy.

Halleck obrócił się i po chwili przyszedł z jasnoniebieską lumisferą w zgięciu łokcia lewej ręki. Puścił ją w celi, pozwalając, by unosiła się nad ich głowami.

– Gdzie jest Namri? – zapytał Leto.

– Niedaleko. W każdym momencie mogę go wezwać.

– Praojciec Wieczności zawsze czeka cierpliwie – rzekł Leto. Czuł się dziwnie swobodnie, jakby był o krok od odkrycia tajemnicy.

– Nazywasz Namriego imieniem zastrzeżonym dla Szej-huluda? – spytał ze zdziwieniem Halleck.

– Jego nóż jest zębem czerwia – odparł Leto – a zatem jest on Praojcem Wieczności.

Halleck uśmiechnął się ponuro, ale zachował milczenie.

– Nadal zwlekasz z wydaniem osądu o mnie – stwierdził Leto. – I przyznam, że nie sposób wymieniać się informacjami bez dokonywania osądów. Nie możesz jednak oczekiwać, że wszechświat udzieli ci dokładnej odpowiedzi.

Szelest za trubadurem powiadomił Leto o nadejściu Namriego. Fremen zatrzymał się pół kroku za Halleckiem, po jego lewej stronie.

– Aaach, oto lewica, po której stoją przekłęci – powiedział Leto.

– Nie jest mądrze stroić sobie żarty z Nieskończoności i Absolutu – warknął Namri. Spojrzał z ukosa na Hallecka.

– Jesteś Bogiem, Namri, że powołujesz się na Absolut? – zapytał Leto, ale nie spuszczał oka z Hallecka. To on wyda osąd.

Obaj mężczyźni wpatrywali się w niego bez słowa.

– Każdy osąd balansuje na krawędzi błędu – wyjaśnił Leto. – Przypisując sobie wiedzę absolutną, stajemy się potworami. Zdobywanie wiedzy jest nieustającą przygodą na granicy niepewności.

– Bawisz się z nami w grę słów? – zapytał Halleck.

– Pozwól mu mówić – odezwał się Namri.

– To gra, którą zaczął ze mną Namri – powiedział Leto i zobaczył, że stary Fremen kiwa głową. Na pewno rozpoznał grę w szermierkę słowną. – Nasze zmysły zawsze dostarczają nam informacje na co najmniej dwóch poziomach.

– Błahostki i przesłanie – rzekł Namri.

– Znakomicie! – pochwalił go Leto. – Daliście mi błahostki, ja przekazuję wam przesłanie. Widzę, słyszę, wyczuwam zapachy, rozpoznaję przez dotyk, odczuwam zmiany temperatury i smaku. Czuję upływ czasu. Aach! Jestem szczęśliwy. Rozumiesz, Gurney? A ty, Namri? W ludzkim życiu nie ma żadnej tajemnicy. Nie jest ono problemem, który trzeba rozwiązać, lecz rzeczywistością, której trzeba doświadczyć.

– Chłopcze, wystawiasz naszą cierpliwość na próbę – powiedział Namri. – Czy to jest miejsce, w którym chcesz umrzeć?

Ale Halleck powstrzymał go, wyciągając rękę.

– Po pierwsze, nie jestem chłopcem – rzekł Leto. Wykonał znak pięścią przy swoim prawym uchu. – Nie zabijesz mnie. Złożyłem na ciebie brzemię wody.

Namri wyciągnął do połowy krysnóż z pochwy.

– Nic ci nie jestem winien!

– Ale Bóg stworzył Arrakis, by ćwiczyć wiernych – powiedział Leto. – Nie tylko pokazałem wam swoją wiarę, ale uświadomiłem wam wasze istnienie. Życie wymaga dysputy. Dowiedziałeś się – dzięki mnie! – że twoja rzeczywistość różni się od wszystkich innych, a zatem wiesz, że żyjesz.

– Niebezpiecznie jest igrać ze mną, okazując brak szacunku – ostrzegł go Namri, nadal trzymając krysnóż do połowy wyciągnięty z pochwy.

– Brak szacunku to jeden z najniezbędniejszych składników religii – stwierdził Leto. – Nie mówiąc już o znaczeniu takiej postawy w filozofii. Brak szacunku to jedyny sposób badania wszechświata, który nam pozostawiono.

– A zatem uważasz, że rozumiesz wszechświat? – spytał Halleck i odsunął się od Namriego.

– Taaak – mruknął Namri, a w jego głosie była zapowiedź śmierci.

– Tylko wiatr może zrozumieć wszechświat – rzekł Leto. – Mózg nie jest potężną siedzibą rozumu. Tworzenie to odkrywanie. Bóg odkrył nas w próżni, gdyż poruszaliśmy się na tle tego, co już znał. Najpierw był pusty mur. Potem pojawił się ruch.

– Bawisz się w chowanego ze śmiercią – ostrzegł go Halleck.

– Przecież obaj jesteście moimi przyjaciółmi – odparł Leto. Zwrócił się do Namriego. – Gdy proponujecie komuś, by został przyjacielem waszej sicy, czyż nie składacie w ofierze jastrzębia i orła? Czyż odpowiedź nie brzmi: „Bóg przysłał na koniec każdemu człowiekowi takie jastrzębie, takie orły i takich przyjaciół”?

Dłoń Namriego zsunęła się z krysnoża. Ostrze wśliznęło się na powrót do pochwy. Fremen gapił się na Leto szeroko otwartymi oczami. Każda sicz trzymała swój rytuał zawierania przyjaźni w sekrecie, a mimo to chłopiec zacytował właśnie jego wybrany fragment.

– Czy twój koniec nadejdzie w tym miejscu? – spytał jednak Halleck.

– Wiem, co musisz ode mnie usłyszeć, Gurney – odparł Leto, przyglądając się walce nadziei z podejrzliwością na jego szpetnej twarzy. Dotknął swojej piersi. – To dziecko nigdy nie było dzieckiem. Żyje we mnie mój ojciec, ale nie jest mną. Kochałeś go, a on był walecznym człowiekiem, który mierzył wysoko. Chciał położyć kres wojnom, ale nie uwzględnił ruchu nieskończoności, który wyraża się w życiu. To Radżaja! Namri wie o tym. Jej ruch może dostrzec każdy śmiertelnik. Wystrzegaj się dróg, które zawężają przyszłe możliwości. Takie drogi odwodzą cię od nieskończoności i prowadzą w śmiertelne pułapki.

– Co muszę od ciebie usłyszeć? – zapytał Halleck.

– On po prostu bawi się słowami – rzekł Namri, lecz w jego głosie słychać było wahanie, głębokie wątpliwości.

– Sprzymierzam się z Namrim przeciwko mojemu ojcu – powiedział Leto.

– A ojciec wewnątrz mnie sprzymierza się z nami przeciwko temu, co z niego zrobiono.

– Dlaczego? – chciał wiedzieć Halleck.

– Ponieważ przynoszę ludzkości *amor fati*, akt ostatecznego rachunku sumienia. W tym wszechświecie wybieram przymierze przeciwko każdej sile, która sprowadza na ludzkość upokorzenie. Gurney! Gurney! Ty nie urodziłeś się ani nie wychowałeś na pustyni. Twoje ciało nie zna prawdy, o której mówię. Ale Namri ją zna. Na otwartym terenie każdy kierunek jest równie dobry.

– Nadal nie usłyszałem tego, co muszę usłyszeć! – warknął Halleck.

– On opowiada się za wojną, a przeciwko pokojowi – wyjaśnił Namri.

– Nie – sprzeciwił się Leto. – Mój ojciec też nie opowiadał się za wojną. Ale popatrzcie, co z niego zrobiono. W tym Imperium słowo „pokój” ma tylko jedno znaczenie. To podtrzymywanie jednego stylu życia. Kaza ci, żebyś był zadowolony. Życie na wszystkich planetach musi wyglądać jednakowo, jak w imperialnym rządzie. Głównym przedmiotem studiów kapłanów jest znalezienie właściwych form ludzkich zachowań. W tym celu zwracają się do słów Muad'Diba! Powiedz mi, Namri, jesteś zadowolony?

– Nie – odparł Fremen beznamiętnym tonem spontanicznego sprzeciwu.

– A zatem bluźnisz?

– Oczywiście, że nie!

– Ale nie jesteś zadowolony. Widzisz, Gurney? Namri nam to udowodnił. Na żadne pytanie nie ma jednej tylko poprawnej odpowiedzi. Trzeba dopuścić do głosu różnorodność. Monolit jest chwiejny. Dlaczego więc domagasz się ode mnie jednej poprawnej wypowiedzi? Czy ma ona być miarą twojego strasznego osądu?

– Chcesz mnie zmusić, bym kazał cię zabić? – zapytał Halleck pełnym bólu głosem.

– Nie, lituję się nad tobą – odparł Leto. – Wyślij mojej babce wiadomość, że będę współpracował. Zgromadzenie żeńskie może jeszcze pożałować, że przystałem na współpracę, ale Atryda dał słowo.

– Powinna to sprawdzić Prawdomówczyni – rzekł Namri. – Ci Atrydzi...

– Będzie miał możliwość powiedzieć przed babką to, co musi być powiedziane – oświadczył Halleck. Wskazał głową przejście.

Namri zawahał się i zerknął na Leto.

– Obyśmy postąpili słusznie, zostawiając go przy życiu – powiedział.

– Idźcie, przyjaciele – rzekł chłopiec. – Idźcie i zastanówcie się.

Kiedy obaj mężczyźni wyszli, Leto rzucił się plecami na łożo, czując rozchodzący się po kręgosłupie chłód. Ruch ten sprawił, że zawirowało mu w głowie i znalazł się na skraju obciążonej przyprawą świadomości. W jednej chwili zobaczył całą planetę: każdą wioskę, każde miasto, miejsca pustynne i uprawne. Wszystkie te kształty, które rozbijały się o jego wizję, miały ścisły związek z mieszaniną elementów w nich samych i poza nimi. Ujrzał struktury społeczne Imperium mające odzwierciedlenie w planetach i żyjących na nich społecznościach, ujrzał w tym otwierającym się przed nim objawieniu to, czym musiało być okno, z którego roztaczał się widok na

niewidzialne części społeczeństwa. Zdał sobie sprawę, że każdy system musi mieć takie okno. Nawet ten, który stanowili on i jego wszechświat. Zaczął zaglądać w te okna jak kosmiczny podglądacz.

Tego właśnie szukały jego babka i zgromadzenie żeńskie! Wiedział o tym. Jego świadomość wzniosła się na nowy, wyższy poziom. Czuł przeszłość spoczywającą w jego komórkach, we wspomnieniach, w archetypach, które ciążyły na jego założeniach, w mitach, które go otaczały, w językach, które znał, i w ich prehistorycznym osadzie. Składały się na nią, zespolone w nim w końcu, wszystkie kształty z jego ludzkiej i nieludzkiej przeszłości, wszystkie istnienia, nad którymi teraz panował. Miał wrażenie, że jest rzeczą porwaną przez nieprzerwany przypływ i odpływ nukleotydów. Na horyzoncie nieskończoności był pierwotniakiem, w którym narodziny i śmierć odbywały się praktycznie jednocześnie, ale był zarazem istotą nieskończoną i pierwotną, wytworem molekularnych wspomnień.

„My, ludzie, jesteśmy formą kolonii organizmów!” – olśniło go.

Chcieli jego współpracy. Jej obietnica kolejny raz ocaliła go przed nożem Namriego. Mieli nadzieję, że nakłaniając go do współpracy, poznają uzdrowiciela.

„Ale nie zaprowadzę porządku społecznego w taki sposób, jak się spodziewają!” – pomyślał.

Usta Leto wykrzywił grymas. Wiedział, że nie będzie tak nieświadomym sprawcą zła jak jego ojciec – na jednym biegunie despotyzm, na drugim niewolnictwo – ale wszechświat może jeszcze wzdychać za „dobrymi starymi czasami”.

Przemówił doń znajdujący się w nim ojciec, ostrożnie go sondując. Nie był w stanie domagać się uwagi, ale prosił o wysłuchanie.

– *Nie* – odparł Leto. – *Damy im zawilości, by zająć ich umysły. Jest wiele sposobów ucieczki przed niebezpieczeństwem. Skąd mają wiedzieć, że jestem niebezpieczny, jeśli nie doświadczą tego na własnej skórze przez tysiące lat? Tak, ojczu, któryś jest we mnie, damy im mnóstwo znaków zapytania.*



Nie ma w was winy ani niewinności. To wszystko jest przeszłością. Zmarli chłostani są za swoje winy, a ja nie jestem Żelaznym Młotem. Wy, ten tłum zmarłych, jesteście tylko

ludźmi, którzy dokonali pewnych rzeczy, a pamięć o nich oświeć mi drogę.

– Leto II do swoich minionych istnień, według Harka al-Ady

– Sama się porusza – powiedział Farad’n ledwo słyszalnym głosem.

Stał nad łóżem lady Jessiki, a tuż za nim stali półkolem strażnicy. Lady Jessika podźwignęła się na łóżku. Miała na sobie połyskującą białą koszulę nocną z parajedwabiu i harmonizującą z nią opaskę na miedzianych włosach. Zaledwie chwilę wcześniej książę wpadł do jej sypialni. Nadal był w szarym trykocie, a jego twarz była spocona z podniecenia i biegu przez pałacowe korytarze.

– Która godzina? – zapytała Jessika.

– Godzina? – Farad’n wyglądał na zaskoczonego.

– Jest trzecia po północy, moja pani – rzekł jeden ze strażników. Zerknął bojaźliwie na Farad’na. Młody książę wypadł w środku nocy na korytarz i popędził nim, pociągając za sobą przestraszone straże.

– Ale się porusza – powiedział Farad’n. Wyciągnął przed siebie lewą rękę, a potem prawą. – Widziałem na własne oczy, jak moje ręce się kurczą i zamieniają w pulchne piastki! I pamiętałem, że były to moje ręce w niemowlęctwie. Pamiętałem te czasy, ale to wspomnienie było... wyraźniejsze. Reorganizowałem moje stare wspomnienia!

– Bardzo dobrze – stwierdziła Jessika. Jego podniecenie było zaraźliwe. – A co się stało, kiedy twoje ręce się zestarzały?

– Mój... umysł... zrobił się ospały – odparł Farad’n. – Czułem ból pleców. Tutaj. – Dotknął miejsca powyżej lewej nerki.

– Otrzymałeś bardzo ważną lekcję – rzekła Jessika. – Wiesz, jaka płynie z niej nauka?

Opuścił ręce wzdłuż boków i wpatrywał się w Jessikę.

– Mój umysł kontroluje moją rzeczywistość. – Oczy mu rozbłysły i powtórzył, tym razem głośniejszym głosem: – Mój umysł kontroluje moją rzeczywistość!

– To początek równowagi prana i bindu – powiedziała Jessika. – Ale dopiero początek.

– Co mam robić dalej? – zapytał Farad’n.

– Moja pani. – Strażnik, który odpowiedział na jej pytanie, ośmielił się teraz wtrącić. – Godzina.

„Czyżby o tej porze ich stanowiska szpiegowskie nie były obsadzone?” – zdziwiła się Jessika.

– Precz! – powiedziała. – Mamy coś do zrobienia.

– Ależ, moja pani – rzekł strażnik i przenosił trwożliwe spojrzenie z Farad’na na Jessikę i z powrotem.

– Myślisz, że chcę go uwieść?

Strażnik zeszywniał.

Farad’n roześmiał się na całe gardło. Machnął ręką, odprowadzając straża.

– Słyszeliście. Precz!

Mężczyźni popatrzyli po sobie, ale posłuchali.

Księżę usiadł na brzegu łóżka.

– Co dalej? – Potrząsnął głową. – Chciałem ci wierzyć, ale nie wierzyłem. A potem... zupełnie jakby stopił mi się umysł. Byłem zmęczony. Mój umysł się poddał i przestał walczyć z tobą. I stało się. Ot, tak! – Pstryknął palcami.

– To nie ze mną walczył twój umysł – powiedziała Jessika.

– Oczywiście – przyznał. – Walczyłem ze sobą, z tymi wszystkimi bzdurami, których się nauczyłem. Co teraz?

Jessika się uśmiechnęła.

– Muszę wyznać, że nie spodziewałam się, iż tak szybko ci się uda. Minęło dopiero osiem dni, a...

– Byłem cierpliwy – powiedział, uśmiechając się szeroko.

– No i zaczęłaś się również uczyć cierpliwości – stwierdziła.

– Zaczęłem?

– Dopiero przebrnąłeś przez próg – odparła. – Teraz jesteś jak niemowlę. Przedtem... istniałeś tylko potencjalnie, nawet się jeszcze nie narodziłeś.

Farad’nowi zrzęda mina.

– Nie bądź taki ponury – powiedziała. – Udało ci się i to jest ważne. Ilu ludzi może powiedzieć, że narodziło się na nowo?

– Co będzie dalej? – nalegał.

– Będiesz ćwiczył to, czego się nauczyłeś – odparła. – Chcę, byś mógł to zrobić, kiedy zechcesz, z łatwością. Później wypełnisz nowe miejsce w swojej świadomości, które to otworzyło. Wypełni je zdolność sprawdzania każdej rzeczywistości pod kątem twoich wymogów.

– Czy to wszystko, co mam teraz robić... ćwiczyć...?

– Nie. Teraz zaczniesz ćwiczenie mięśni. Powiedz mi: możesz ruszyć małym palcem lewej stopy bez poruszania innymi mięśniami?

– Moim...

Zobaczyła jego nieobecna minę, kiedy starał się poruszyć tym palcem. Potem skierował wzrok na swoją stopę i wpatrywał się w nią z natężeniem. Na czoło wystąpił mu pot. Z piersi wyrwało się ciężkie westchnienie.

– Nie potrafię tego zrobić.

– Ależ potrafisz – powiedziała. – Nauczysz się tego. Nauczysz się panować nad każdym mięśniem swego ciała. Poznasz je tak, jak poznałeś swoje ręce.

Przełknął z trudem ślinę, urzeczony tą perspektywą.

– Co ze mną robisz? – spytał. – Jaki masz wobec mnie plan?

– Zamierzam nasłać cię na wszechświat – odparła. – Staniesz się tym, kim najbardziej pragniesz być.

Rozmyślał nad tym chwilę.

– Kimkolwiek zapragnę?

– Tak.

– To niemożliwe!

– Dopóki nie nauczysz się panować nad swoimi pragnieniami tak, jak panujesz nad swoją rzeczywistością – powiedziała. Pomyślała zaś: „Proszę bardzo. Niech się nad tym głowią jego analitycy. Doradzą mu, by się zgodził, chociaż z pewnymi zastrzeżeniami, ale Farad’n i tak zbliży się o krok do uświadomienia sobie tego, co naprawdę robię”.

Dowiodł, że się nie myliła.

– Powiedzieć komuś, że spełni pragnienia swego serca, to jedno, a zapewnić ich spełnienie to zupełnie inna sprawa – rzekł.

– Zaszedłeś dalej, niż się spodziewałam – powiedziała Jessica. – Bardzo dobrze. Przysięgam ci, że jeśli ukończysz ten program, będziesz panem swych poczyń. Cokolwiek zrobisz, stanie się tak, jak będziesz chciał.

„I niech stara się to rozwikłać Prawdomówczyni” – pomyślała.

Wstał, ale spojrzał na nią ciepło, z niemal przyjacielską miną.

– Wiesz co, wierzę ci – powiedział. – Niech mnie szlag trafi, jeśli wiem dlaczego, ale ci wierzę. I nie powiem ani słowa o innych sprawach, które przychodzą mi na myśl.

Jessika patrzyła na jego plecy, kiedy wychodził z sypialni. Zgasiła lumisfery i się położyła. Ten Farad’n był nieprzeniknioną osobą. Wprawdzie nie wprost, ale dał do zrozumienia, że zaczyna przenikać jej plany, a mimo to z własnej woli przyłączał się do jej spisku.

„Poczekajmy, aż zacznie poznawać swoje emocje”. Z tą myślą przygotowała się do ponownego zapadnięcia w sen. Wiedziała, że rano będzie miała mnóstwo przypadkowych spotkań z pałacową służbą, która zadawać jej będzie pozornie niewinne pytania.



Ludzkość co pewien czas przyspiesza, zdając sobie sprawę z odwiecznej rywalizacji między odnawialną witalnością życia a pokusą odbierającej siły dekadencji. Podczas tej rywalizacji każda chwila wytchnienia jest luksusem. Tylko wtedy można się zastanowić i dojść do wniosku, że wszystko jest dozwolone, że wszystko jest możliwe.

– *Apokryfy Muad'Diba*

„Dotyk piasku jest ważny” – powiedział sobie Leto.

Czuł pod sobą jego ziarna. Siedział pod jasnym niebem. Wmusili w niego jeszcze jedną potężną dawkę melanżu i teraz jego umysł wirował. Głęboko w leju tego wiru leżało pytanie, na które nie miał odpowiedzi: „Dlaczego nalegają, żebym to powiedział?” Gurney był uparty, nie było co do tego żadnych wątpliwości. No i dostał rozkazy od lady Jessiki.

Na tę „lekcję” wyprowadzili go z siczy na światło dzienne. Doznawał dziwnego uczucia, że pozwolił swojemu ciału wybrać się na tę krótką wycieczkę, natomiast jego wewnętrzna istota jest arbitrem w walce pomiędzy księciem Leto I a starym baronem Harkonnenem. Toczyli bój w nim i poprzez niego, gdyż nie pozwalał im na bezpośrednie starcie. Dzięki tej walce dowiedział się, co się stało z Alią. Biedna Alia.

„Miałem rację, że obawiałem się transu przyprawowego” – pomyślał.

Czuł wzbierającą gorycz z powodu postępowania lady Jessiki. Jej przeklęty gom dżabbar! Walcz z tym i zwycięż albo zgiń. Nie mogła przytknąć zatrutej igły do jego szyi, ale mogła wysłać go do doliny zatury, która pochłonęła jej córkę.

Do jego świadomości wtargnęły dźwięki przypominające sapanie. Na przemian nasilały się i słabły. Nie potrafił określić, czy są rzeczywiste, czy też są złudzeniem wywołanym przez przyprawę.

Tułów Leto opadł bezwładnie na jego złożone ręce. Pod pośladkami czuł gorący piasek. Tuż przed nim leżał dywanik, ale chłopiec siedział na piasku. Na dywanik padł cień – Namri. Leto patrzył na brunatny wzór na dywaniku, wyczuwając tworzące się tam pęcherzyki. Jego świadomość odpłynęła niesiona własnym prądem przez krajobraz, który ciągnął się aż po horyzont przyprawiającej o zawrót głowy zieleni.

Jego czaszkę rozsadzało dudnienie bębnow. Czuł żar, gorączkę. Miał wrażenie, że cały płonie. Doznania te były tak silne, że stracił czucie

i widział tylko poruszające się cienie, które wiodły go ku zatracie. Namri i jego nóż. Napór... napór... Leto leżał zawieszony między niebem i piaskiem, a jego umysłem zawładnęła gorączka. Czekał, aż coś się wydarzy, przeczuwając, że będzie to pierwsza i ostatnia rzecz.

Zalewał go nieubłagany żar słońca. „Gdzie jest mój Złoty Szlak?” – pomyślał z rozpaczą. Wszędzie wokół pełzały żuki. Wszędzie. „Ta skóra nie jest moja”. Wysyłał drogami nerwowymi sygnały i czekał na odpowiedzi tej drugiej, nie spieszącej się z nimi osoby.

„Głowa do góry” – powiedział swoim nerwom.

Podźwignęła się głowa, być może jego, i spojrzała na pasma czerni w jaskrawym świetle.

– Teraz tkwi w tym głęboko – szepnął ktoś.

Żadnej odpowiedzi.

Palące promienie słońca coraz bardziej potęgowały żar.

Strumień świadomości poniósł go wolno przez ostatnią zasłonę zielonej pustki, przez niskie, pofałdowane wydmy, a *tam*, nie dalej niż kilometr za kredową linią urwiska, roztaczała się rozkwitająca zielenią przyszłość, bezkresna, wszechogarniająca zielen.

Pośród tej zieleni nie było ani jednego wielkiego czerwia.

Bogactwo dzikich gąszczy, ale ani śladu szej-huluda.

Leto wyczuwał, że przekroczył stare granice i wszedł na nowy ląd, czego świadkiem była tylko jego wyobraźnia, i że patrzył teraz bezpośrednio na to, co się kryło za najbliższą zasłoną, którą ziewająca ludzkość zwała *Nieznany*.

Była to spragniona krwi rzeczywistość.

Czuł, jak dojrzały owoc jego życia kołysze się na gałęzi, jak z wolna wycieka z niego sok, a sokiem tym jest płynąca w jego żyłach esencja przyprawowa.

Bez szej-huluda nie będzie przyprawy.

Zobaczył przyszłość bez wielkiego, węzowatego, szarego czerwia Diuny. Wiedział o tym, ale nie mógł się wyrwać z transu i pomstować na to.

Nagle jego świadomość się cofnęła – zaczęła coraz bardziej oddalać się od tej przerażającej przyszłości. Myśli wnikały w jego trzewia, stały się pierwotnymi, podległymi emocjom odruchami. Stwierdził, że nie może się skupić na żadnym aspekcie swojej wizji ani na żadnym elemencie otoczenia, ale rozbrzmiewał w nim jakiś głos. Przemawiał w starożytnym języku,

a Leto doskonale go rozumiał. Głos był melodyjny, śpiewny, ale wypowiedane przezeń słowa boleśnie go chłostały.

„To nie terażniejszość wpływa na przyszłość, głupcze, lecz przyszłość kształtuje terażniejszość. Ujmujesz wszystko na opak. Skoro przyszłość jest ustalona, ustalony jest też i nieuchronny bieg wydarzeń, które do niej doprowadzą”.

Te słowa go przemieniły. Czuł strach zakorzeniony w ciężkiej materii swojego ciała. Dzięki temu wiedział, że ono wciąż istnieje, ale niebezpieczny charakter i ogromna moc jego wizji sprawiły, że czuł się zbrukany, bezbronny, niezdolny zmusić jakikolwiek mięsień do posłuszeństwa. Wiedział, że coraz bardziej ulega szturmowi owych bytów, których pamięci dawały mu niegdyś poczucie, że naprawdę istnieje. Przepelniała go trwoga. Pomyślał, że może traci panowanie nad swoim wnętrzem i osuwa się w szpony Złego Ducha.

Czuł, że jego ciało skręca się z przerażenia.

Zaczął już polegać na swoim zwycięstwie i świeżo pozyskanej życzliwej współpracy tych istniejących w nim pamięci, a oto zwróciły się przeciw niemu, nawet królewski Harum, któremu ufał. Leżał rozedrgany na powierzchni, która nie miała żadnych korzeni, niezdolny nadać jakiegokolwiek wyrazu swojemu życiu. Starał się skoncentrować na umysłowym obrazie siebie, lecz ukazywały mu się wzajemnie nakładające się sceny, z których każda przedstawiała go w innym wieku: od niemowlęcia po zgrzybiałego starca. Przypomniwał sobie ćwiczenia, których uczył go ojciec: „Niech ręce odmłodnieją, a potem się zestarzeją”. Ale teraz całe jego ciało zanurzone było w tej utraconej rzeczywistości i procesja obrazów stopiła się w inne twarze, rysy tych, którzy dali mu swoje wspomnienia.

Uderzył weń diamentowy grom.

Leto poczuł, że jego świadomość rozpada się na cząstki, ale zachował wrażenie, że jest zawieszony gdzieś między bytem a niebytem. Pojawiła się nadzieja; czuł, że jego ciało oddycha. Wdech... Wydech. Wziął głęboki wdech: yin. Wypuścił powietrze: yang.

Gdzieś, tuż poza jego kontrolą, znajdowało się miejsce najwyższej niezależności, zwycięstwa nad całym tym zamętem powodowanym przez jego mnogość istnień – nie żadne fałszywe poczucie władzy nad nimi, ale prawdziwe zwycięstwo. Wiedział już, jaki popełnił błąd: szukał mocy w rzeczywistości swojego transu, wybierając to, zamiast stawić czoło obawom, które z Ganimą nawzajem w sobie karmili.

„Biedna pokonana Alia!”

Ale to poszukiwanie mocy kryło w sobie inną pułapkę, odciągając go w sferę fantazji. Widział teraz tę iluzję. Cały proces owej iluzji wykonał pół obrotu i Leto poznał centrum, z którego mógł obserwować przepływ swoich wizji, swoich wewnętrznych istnień.

Ogarnęło go uniesienie. Chciało mu się śmiać, ale nie pozwolił sobie na ten luksus, wiedząc, że zamknęłoby to drzwi pamięci.

„Aaach, moje wspomnienia – pomyślał. – Widziałem waszą iluzję. Nie wynajdziecie już dla mnie następnej chwili. Pokażecie mi po prostu, jak tworzyć nowe chwile. Nie utknę w starych koleinach”.

Ta myśl przemknęła przez jego świadomość, jakby wycierając wszystko do czysta, i poczuł potem całe swoje ciało, *einfall*, które donosiło mu w najdrobniejszych szczegółach o każdej jego komórce, o każdym nerwie. Osiągnął stan wielkiego wyciszenia. W tej ciszy słyszał głosy, wiedząc, że dochodzą z wielkiej odległości, ale były tak wyraźne, jakby rozbrzmiewały w przepaści.

Jeden z tych głosów należał do Hallecka.

– Może daliśmy mu za dużo.

– Daliśmy mu dokładnie tyle, ile kazała mu dać – odparł Namri.

– Może powinniśmy wyjść i raz jeszcze mu się przyjrzeć – rzekł Halleck.

– Sabiha jest dobra w tych sprawach. Zawoła nas, jeśli coś zacznie iść nie tak – odparł Namri.

– Nie podoba mi się włączenie w to Sabihy.

– Ona jest koniecznym elementem.

Leto czuł jaskrawe światło wokół siebie i ciemność w sobie, ale ciemność ta była tajemnicza, opiekuńcza i ciepła. Światło zaczęło buchać płomieniem i czuł, że dochodzi ono z owej ciemności wewnątrz niego, kłębiąc się jak olśniewający obłok. Jego ciało stało się przezroczyste i ciągnęło go w górę, ale zachował kontakt z każdą komórką i nerwem. Tłum wewnętrznych istnień uporządkował się, nie było w nim żadnego zamieszania. Stały się bardzo ciche, powielając jego wewnętrzne milczenie; każde z nich było wyraźnym, niematerialnym i niepodzielnym bytem.

– *Jestem waszym duchem* – przemówił do nich. – *Jedynym istnieniem, z którego zdajecie sobie sprawę. Jestem siedzibą waszego ducha w krainie, której nigdzie nie ma, w krainie, która jest jedynym domem, jaki wam pozostał. Beze mnie pojmowalny wszechświat pogrąży się na powrót w chaosie. Łączy się we mnie nierozzerwalnie to, co jest twórcze, i to, co jest*

otchłania; tylko ja mogę pośredniczyć między nimi. Beze mnie ludzkość zatonie w grzęzawisku i marności wiedzy. Za moim pośrednictwem wy i oni znajdziecie jedyne wyjście z chaosu: zrozumienie poprzez życie.

A potem opuścił siebie i stał się sobą, tym, w którym zawierała się cała jego przeszłość. Nie było to zwycięstwo ani klęska, lecz coś zupełnie nowego, co mógł dzielić z każdym wewnętrznym istnieniem, które wybrał. Rozkoszował się tą nowością, pozwalając jej wziąć w posiadanie każdą komórkę i każdy nerw, porzucając to, co dawało mu owo *einfall*, i w tej samej chwili odzyskując tę całość.

Po pewnym czasie obudził się w białych ciemnościach. W przeblysku świadomości zorientował się, gdzie jest jego ciało: spoczywało na piasku około kilometra od ściany urwiska, która wyznaczała północną granicę sicz. Teraz wiedział, co to za sicz: na pewno Dżakurutu... i Fondak. Ale znacznie różniła się od obrazu przedstawianego w mitach, legendach i plotkach, na których głoszenie pozwalali przemysłowcy.

Na dywaniku przed nim siedziała młoda kobieta z przywiązaną do lewego rękawa jasną lumisferą, która unosiła się tuż nad jej głową. Kiedy odwrócił wzrok od lumisfery, zobaczył gwiazdy. Znał tę kobietę; widział ją we wcześniejszej wizji – to ona prażyła kawę. Była siostrzenicą Namriego, równie szybką do noża jak wuj. A krysnóż leżał na jej kolanach. Ubrana była w prostą zieloną suknię włożoną na szary filtrak. Sabiha – tak miała na imię. A Namri miał wobec niej własne plany.

Dostrzegła w jego oczach przebudzenie.

– Już prawie świta – powiedziała. – Przesiedziałam tu całą noc.

– I większość dnia – rzekł Leto. – Robisz dobrą kawę.

Zaskoczyło ją to stwierdzenie, ale zignorowała je z determinacją, która świadczyła o surowym treningu i wyraźnych instrukcjach co do jej obecnego zachowania.

– To pora asasynów – powiedział Leto. – Ale twój nóż nie jest już potrzebny. – Wskazał krysnóż na jej kolanach.

– To oceni Namri – odparła.

„A zatem nie Halleck” – pomyślał. Sabiha tylko potwierdziła to, o czym już wiedział.

– Szej-hulud jest wielkim zbieraczem śmieci i sprzątaczem niepożądanych dowodów – rzekł. – Sam go do tego wykorzystywałem.

Położyła lekko dłoń na rękojeści noża.

– Jak wiele mówi to, gdzie i jak siedzimy – ciągnął. – Ty na dywaniku, ja na piasku.

Jej dłonie zacisnęły się na rękojeści.

Leto ziewnął tak, że aż zaboląła go szczęka.

– Miałem wizję, w której ty też się pojawiłaś – powiedział.

Ramiona dziewczyny nieco się rozluźniły.

– Mamy bardzo jednostronny stosunek do Arrakis – mówił dalej. – To barbarzyństwo z naszej strony. W tym, co robimy, jest pewien rozmach, ale teraz musimy zniszczyć część owoców naszej pracy. Trzeba przywrócić równowagę.

Na twarzy Sabihy pojawił się wyraz lekkiego zdziwienia.

– Moja wizja – wyjaśnił. – Jeśli nie przywrócimy na Diunie tańca życia, smok zniknie na zawsze z jej powierzchni.

Użył starofremeńskiej nazwy wielkiego czerwia, więc nie od razu go zrozumiała.

– Czerwie? – spytała po chwili.

– Jesteśmy w ciemnym przejściu – mówił. – Bez przyprawy Imperium się rozpadnie. Ruch statków Gildii zamrze. Planety zaczną z wolna zapominać o innych. Każda zajmie się tylko sobą. Przyprawa stanie się granicą, za którą nawigatorzy Gildii utracą swoje umiejętności. My przywrzemy do szczytów naszych wydm i nie będziemy mieli pojęcia o tym, co jest nad nami i pod nami.

– Mówisz bardzo dziwnie – rzekła. – Jak zobaczyłeś mnie w swojej wizji? „Można polegać na fremeńskich przesadach!” – pomyślał.

– Stałem się rodzajem zapisu. Jestem żywym hieroglifem, a w nim zapisane są zmiany, które muszą nastąpić. Jeśli ich nie przekażę, czekają cię cierpienia, jakich nie powinien doznać żaden człowiek.

– Co znaczą te słowa? – zapytała, ale jej dłoń pozostała na rękojeści krysnoża.

Leto zwrócił głowę ku urwiskom Dżakurutu i ujrzał pojawiającą się na niebie poświatę. Był to drugi księżyc, wędrujący przed świtem za skałami. Przeszył go przedśmiertny krzyk zająca pustynnego. Spostrzegł, że Sabiha zadrżała. Dobiegł ich łopot skrzydeł drapieżnego ptaka, nocnego stworzenia. Leto widział jarzące się jak węgle w ognisku liczne oczy, które przesuwwały się nad nim, kierując ku szczelinom w urwisku.

– Muszę iść za nakazami mojego nowego serca – powiedział. – Patrzysz na mnie jak na dziecko, ale jeśli...

– Ostrzegli mnie przed tobą – przerwała mu, a jej ramiona napięły się gotowe do zadania ciosu.

Usłyszał strach w jej głosie.

– Nie bój się mnie, Sabiha – rzekł. – Żyjesz osiem lat dłużej niż to moje ciało. Dlatego mam do ciebie szacunek. Ale mam niezliczone tysiące lat innych istnień, dużo więcej, niż poznałaś. Nie patrz na mnie jak na dziecko. Objąłem spojrzeniem wiele przyszłości i w jednej z nich ujrzałem nas złączonych miłością. Ciebie i mnie, Sabiha.

– Co ty... To nie może... – Urwała zmieszana.

– Myśl o tym dojrzej w sobie – powiedział. – Teraz pomóż mi wrócić do siczy, bo byłem w dalekich miejscach i jestem słaby i znużony tymi podróżami. Namri musi usłyszeć, gdzie byłem. – Zobaczył w niej niezdecydowanie, rzekł więc: – Czyż nie jestem gościem jaskini? Namri musi się dowiedzieć tego, czego ja się dowiedziałem. Mamy do zrobienia mnóstwo rzeczy, żeby nasz wszechświat się nie zdegenerował.

– Nie wierzę w to... o czerwiah – odparła.

– Ani w to, że połączy nas miłość?

Pokręciła głową. Widział wszakże, że jej myśli wirują jak pióra niesione przez wiatr. Jego słowa zarazem ją pociągały i odrzucały. Być małżonką panującego – to na pewno miało duży powab. Musiała jednak słuchać rozkazów wuja. Z drugiej strony syn Muad'Diba mógł zdobyć władzę nie tylko tutaj, na Diunie, ale w najdalszych zakątkach wszechświata. I wtedy poczuła typowo fremieńską, zrodzoną z ukrywania się w jaskiniach niechęć do takiej przyszłości. Małżonka Leto byłaby stale na oczach wszystkich, stałaby się obiektem plotek i spekulacji. Ale miałyby bogactwo i...

– Jestem synem Muad'Diba i potrafię zobaczyć przyszłość – przerwał jej rozmyślanie.

Powoli wsunęła krysnóż do pochwy, podniosła się lekko z dywanika, podeszła do niego i pomogła mu wstać. To, co zrobiła potem, rozbawiło Leto. Zwinęła starannie dywanik i założyła go na prawe ramię. Zobaczył, że mierzy wzrokiem różnicę ich wzrostu, zastanawiając się nad jego słowami „złączeni miłością”.

„Wzrost jest jeszcze jedną rzeczą, która się zmienia” – pomyślał.

Położyła dłoń na jego ramieniu, by mu pomóc i kontrolować go.

– Na to jesteśmy za daleko od siczy! – powiedziała ostro, gdy się potknął.

Miała na myśli niepożądane odgłosy, które mogły zwabić czerwiah.

Leto miał wrażenie, że jego ciało stało się suchą skorupą, jak kokon, z którego wykluł się owad. Znał tę skorupę – była wytworem społeczeństwa, które powstało dzięki handlowi melanżem i religii Złotego Elik siru, a pusta stała się przez wybryki tego społeczeństwa. Szczytne cele Muad'Diba sprowadzone zostały do roli magicznych sztuczek narzuconych przez zbrojne ramię Aukafu. Religia Muad'Diba nosiła teraz inną nazwę: Szein-San-Szao, co było ixańskim terminem dobitnie wskazującym na szaleństwo tych, którzy myśleli, że pod groźbą krysnoża uda im się przemienić wszechświat w raj. Ale to się zmieni, tak jak zmienił się Ix, który był zaledwie dziewiątą planetą w swoim układzie i zapomniał nawet język, w którym nadano mu nazwę.

– Dżihad był zbiorowym szaleństwem – mruknął.

– Co? – rzekła zaskoczona Sabiha.

Koncentrowała się na takim kierowaniu Leto, by szedł nierytmicznym krokiem, wskutek czego czerwie nie mogły wykryć ich na otwartej pustyni. Przez chwilę zastanawiała się nad słowami chłopca, ale doszła do wniosku, że są one wynikiem jego widocznego znużenia. Czuła, że jest słaby, że trans go wyczerpał. Takie postępowanie z nim wydawało jej się bezcelowe i okrutne. Skoro – jak mówił Namri – Leto miał zostać zabity, powinno się to zrobić szybko, bez tych wszystkich gier. Jednak Leto powiedział jej o cudownym objawieniu, którego doznał. Być może właśnie o to chodziło Namriemu. Z pewnością tym właśnie kierowała się babka tego chłopca, bo cóż innego mogłoby skłonić Panią Diuny do usankcjonowania owych groźnych poczynań przeciw dziecku.

„Dziecku?”

Ponownie zaczęła się zastanawiać nad jego słowami. Dotarli już do podnóża urwiska, zatrzymała się więc, pozwalając mu trochę odsapnąć w miejscu, w którym byli bezpieczniejsi.

– Jak to możliwe, że nie będzie już czerwi? – spytała, patrząc na niego z góry w przyćmionym świetle gwiazd.

– Tylko ja mogę to odmienić – odparł. – Nie bój się. Mogę wszystko odmienić.

– Ale to...

– Na niektóre pytania nie ma odpowiedzi – przerwał jej. – Widziałem tę przyszłość, ale zawarte w niej sprzeczności wywołałyby tylko zamęt w twojej głowie. Ten wszechświat stale się zmienia, a najdziwniejsze zmiany są naszym udziałem. Podlegamy zbyt wielu wpływom. Nasza

przyszłość potrzebuje ciągłych korekt. Teraz wyrosła przed nami bariera, którą musimy usunąć. Wymaga to od nas okrutnych czynów, zwrócenia się przeciw naszym najgorętszym pragnieniom... Ale trzeba to zrobić.

– Co?

– Zabiłaś kiedyś przyjaciela? – spytał i odwróciwszy się, poszedł przodem w stronę szczeliny, która prowadziła do znajdującego się w górze ukrytego wejścia do siczy. Poruszał się tak szybko, jak pozwalało na to wyczerpanie transem, ale Sabiha była tuż za nim. Chwyciła go za płaszcz i zatrzymała.

– Co ma znaczyć to gadanie o zabiciu przyjaciela?

– On i tak umrze – odparł Leto. – Nie muszę tego robić, ale mógłbym temu zapobiec. Jeśli nie zapobiegnę, czyż nie jest to równoznaczne z zabiciem go?

– Kim jest ten... kto umrze?

– Ta alternatywa zamyka mi usta – rzekł. – Może będę musiał oddać siostrę potworowi.

Ponownie odwrócił się od niej i tym razem, kiedy pociągnęła go za płaszcz, oparł się jej, odmawiając odpowiedzi na dalsze pytania.

„Lepiej, żeby nie wiedziała, dopóki nie nadejdzie właściwy czas” – pomyślał.



Dobór naturalny opisuje się jako przesiewanie przez środowisko populacji w poszukiwaniu osobników, które będą mieć potomstwo. Jednak jeśli chodzi o ludzi, jest to bardzo ograniczony punkt widzenia. Rozmnażanie płciowe wykazuje tendencję do eksperymentów i innowacji. W związku z tym rodzi się wiele pytań, włącznie z odwiecznym dylematem: czy środowisko jest czynnikiem selekcji, który zaczyna działać po pojawieniu się zmiany, czy też odgrywa ono rolę preselekcyjną, decydując o zmianach, których poszukuje. Diuna nie dała tak naprawdę odpowiedzi na te pytania, a jedynie zrodziła nowe, na które Leto i zgromadzenie żeńskie mogą starać się odpowiedzieć przez następnych pięćset pokoleń.

– *Katastrofa Diuny* według Harka al-Ady

W oddali wznosiły się nagie, brązowe skały Muru Zaporowego, które były dla Ganimy ucieleśnieniem zjawy zagrażającej jej przyszłości. Stała na skraju ogrodu znajdującego się na dachu twierdzy, mając za plecami zachodzące słońce. Przesłaniające je chmury kurzu nadawały mu

ciemnopomarańczową barwę, kolor tak intensywny jak na obrzeżu paszczy czerwia. Westchnęła, myśląc: „Alio... Alio... Czy mam podzielić twój los?”

Wewnętrzne istnienia stały się ostatnio bardzo hałaśliwe. Było coś w wychowaniu kobiet we fremieńskim społeczeństwie – być może wynikało to z rzeczywistej różnicy płci – co sprawiało, że bardziej niż mężczyźni podatne były na ten wewnętrzny napór. Ostrzegała ją przed tym babka, gdy knuły intrygę, czerpiąc z nagromadzonej przez Bene Gesserit mądrości, ale zarazem rozbudzając w Ganimie świadomość zagrożeń stwarzanych przez tę mądrość.

– Ze Złym Duchem – powiedziała lady Jessika – co jest terminem, którym określamy przednarodzonych, mamy wielowiekowe gorzkie doświadczenia. Wydaje się, że polega to na tym, iż wewnętrzne istnienia się dzielą. Rozpadają się na dwie grupy: łagodne i złośliwe. Łagodne pozostają uległe, pożyteczne, natomiast złośliwe zdają się łączyć w jedną potężną psychikę, która próbuje zawładnąć ciałem i świadomością przednarodzonego. Wiadomo, że jest to długotrwały proces, ale jego oznaki są znane.

– Dlaczego porzuciłaś Alię? – zapytała Ganimia.

– Uciekłam, przerażona tym, co stworzyłam – odparła Jessika cicho. – Poddałam się. A teraz ciąży mi myśl, że... być może poddałam się zbyt szybko.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie potrafię jeszcze tego wytłumaczyć, ale... może... Nie! Nie będę ci robiła fałszywych nadziei. Gafla, zwodzenie przez Złego Ducha, ma w ludzkiej mitologii długą historię. Nazywano ją różnie, głównie jednak *opętaniem*. I tym właśnie, jak się wydaje, jest. Przestajesz być sobą i wtedy Zły Duch bierze cię w posiadanie.

– Leto... bał się przyprawy – rzekła Ganimia, stwierdzając, że może mówić o nim spokojnie. Ta straszna cena, której od nich żądano!

– I słusznie – skomentowała to wyznanie Jessika. Nie powiedziała ani słowa więcej.

Ale Ganimia zaryzykowała zbadanie obecnych w niej pamięci, zaglądając za dziwną, niewyraźną zasłonę i na próżno usiłując rozwiązać obawy Bene Gesserit. Wyjaśnienie tego, co spotkało Alię, ani trochę tego nie ułatwiało. Zgromadzone przez wieki doświadczenia Bene Gesserit wskazywały jednak możliwe wyjście z pułapki i kiedy Ganimia podjęła ryzyko zanurzenia się we wspomnienia zaludniających ją minionych istnień, jako pierwsze z nich przywołała Mohalatę, łagodne byty, które mogły ją ochronić.

Przypomniła sobie tę wyprawę do swojego wnętrza, stojąc w promieniach zachodzącego słońca w ogrodzie na dachu twierdzy. Natychmiast poczuła obecność matki; między nią a odległymi skałami stała zjawą Chani.

– *Wejdź tutaj, a będziesz jeść owoce drzewa zakkum, pożywienie piekła!* – powiedziała Chani. – *Zarygluj te drzwi, córko. To dla ciebie jedyna możliwość ocalenia.*

Wzmogła się wewnętrzna wrzawa wokół tej wizji i Ganimu uciekła przed nią, zatapiając się w credo zgromadzenia żeńskiego, bardziej z rozpaczy niż z ufności. Zaczęła je szybko recytować, poruszając tylko ustami, a potem podnosząc głos do szeptu:

– „Religia to naśladowanie dorosłych przez dziecko. Religia to nagromadzenie dawnych wierzeń: mitologii, która jest zbiorem domysłów, ukrytych założeń, na których opiera się zaufanie do wszechświata, oświadczeń, które składali ludzie, dążąc do władzy, a wszystko to wymieszane ze strzępami oświecenia. I zawsze naczelnym, niewypowiedzianym przykazaniem jest: »Nie będziesz kwestionował!« Ale my kwestionujemy. W sposób oczywisty łamiemy to przykazanie, albowiem poświęciliśmy się dziełu wyzwolenia wyobraźni i zaprzęgnięcia jej do rydwanu nieskrępowanej niczym ludzkiej twórczości”.

Powoli do myśli Ganimy wrócił ład. Mimo to czuła, że cała drży. Wiedziała też, jak kruchy jest spokój, który osiągnęła, bo w jej umyśle pozostała owa niewyraźna zasłona.

– *Leb Kamai* – wyszeptała. „Serce mego wroga, nie staniesz się moim sercem”.

Przywołała wspomnienie rysów Farad’na, posępnej młodej twarzy z grubymi brwiami i stanowczymi ustami.

„Nienawiść da mi siłę – pomyślała. – Dzięki niej nie podzielę losu Alii”.

Nadal jednak drżała, a jej pozycja pozostawała słaba i mogła myśleć tylko o tym, jak bardzo Farad’n jest podobny do swojego zmarłego wuja, Szaddama IV.

– Tu jesteś!

Z prawej strony nadchodziła wielkimi krokami Irulana, jej ruchy zaś przywodziły na myśl mężczyznę. Odwracając się ku niej, Ganimu pomyślała: „A oto córka Szaddama”.

– Dlaczego stale gdzieś się samotnie wymykasz? – zapytała księżna, zatrzymując się przed Ganimą i patrząc na nią gniewnie.

Ganima już miała odpowiedzieć, że nie jest sama, że strażnicy widzieli, jak pojawia się na dachu, ale się powstrzymała. Złość Irulany wywołało to, że znajdowały się na odkrytym terenie i że mógł je dosięgnąć pocisk z odległej broni.

– Nie masz filtraka – stwierdziła Ganima. – Wiesz, że w dawnych czasach automatycznie zabijano przyłapanego poza siczą bez filtraka? Marnotrawienie wody stwarzało zagrożenie dla całego plemienia.

– Woda! – warknęła Irulana. – Chcę wiedzieć, dlaczego ty stwarzasz w ten sposób zagrożenie dla siebie. Wracaj do środka. Wszystkim nam napytasz kłopotów.

– A istnieje teraz jakieś zagrożenie? – spytała Ganima. – Stilgar wyeliminował zdrajców. Wszędzie są strażniczki Alii.

Irulana spojrzała na ciemniejące niebo. Na jego szaroniebieskim tle widać już było gwiazdy. Ponownie skupiła uwagę na Ganimie.

– Nie będę się z tobą sprzeczać – oznajmiła. – Wysłano mnie, bym ci powiedziała, że dostaliśmy wiadomość od Farad’na. Zgadza się, ale z jakiegoś powodu chce odłożyć ceremonię.

– Na jak długo?

– Jeszcze nie wiemy. Jest to przedmiotem negocjacji. Za to odsyłają do domu Duncana.

– A co z moją babką?

– Na razie woli zostać na Salusie.

– Czy można jej się dziwić? – powiedziała Ganima.

– Ten nedorzeczny spór z Alią!

– Nie próbuj zamydlić mi oczu, Irulana. To nie był nedorzeczny spór. Słyszałam to i owo.

– Obawy zgromadzenia żeńskiego...

– Są uzasadnione – ucięła Ganima. – No, przekazałaś mi wiadomość, z którą cię przysłano. Wykorzystasz tę okazję, by raz jeszcze spróbować odwieść mnie od mojego zamiaru?

– Dałam za wygraną.

– Powinnaś wiedzieć, że nie uda ci się mnie okłamać – rzekła Ganima.

– A więc dobrze! Nadal będę się starała odwieść cię od tego. Kurs, który obrałaś, to czyste szaleństwo! – I w tym samym momencie Irulanę zastanowiło, dlaczego dopuściła do tego, że Ganima tak ją zirytowała. Bene Gesserit nic nie powinno wyprowadzić z równowagi. Opanowała się więc

i powiedziała: – Niepokoi mnie grożące ci wielkie niebezpieczeństwo. Wiesz o tym. Gani, Gani... jesteś córką Paula. Jak możesz...

– Właśnie dlatego, że jestem jego córką – wpadła jej w słowo Ganimi. – My, Atrydzi, wywodzimy się od Agamemnona i wiemy, co mamy we krwi. Nigdy o tym nie zapominaj, bezdzietna żono mojego ojca. Nasze dzieje są krwawe i jeszcze nie skończyliśmy z rozlewem krwi.

– Kim był Agamemnon? – spytała zbita z pantałyku Irulana.

– Jakże mizerne okazuje się osławione wykształcenie Bene Gesserit – powiedziała Ganimi. – Cały czas zapominam, że macie skróconą wersję historii. Natomiast ja sięgam wspomnieniami do... – Urwała. Lepiej było nie budzić tych duchów z płytkiego snu.

– Bez względu na to, co pamiętasz – rzekła Irulana – musisz zdawać sobie sprawę, jak niebezpieczny jest kurs, który...

– Zabiję go – ucieła Ganimi. – Jest mi winien życie.

– A ja temu zapobiegnę, jeśli będę mogła.

– Już o tym wiemy. Nie będziesz miała okazji. Alia wyśle cię do jednego z tych nowych miast na południu, gdzie zostaniesz do czasu, aż będzie po wszystkim.

Irulana pokręciła z konsternacją głową.

– Gani, przysięgam, że będę cię chronić przed wszystkimi niebezpieczeństwami. Gdy będzie to konieczne, oddam za ciebie życie. Jeśli sądzisz, że mam zamiar gnić w jakiejś ceglanej dziedzi, podczas gdy ty...

– Zawsze pozostaje Huanui – powiedziała łagodnie Ganimi. – Jako alternatywę mamy alembik śmierci. Jestem pewna, że stamtąd nie mogłabyś przeszkadzać.

Irulana pobladła i przyłożyła dłoń do ust, zapominając na chwilę o całym swoim wykszoleniu. To niemal całkowite pozbycie się wszystkiego oprócz czysto zwierzęcego strachu było miarą troski, jaką otaczała Ganimę. Dała wyraz temu pierwotnemu uczuciu, kiedy przemówiła, nie starając się zapanować nad wywołanym przez nie drżeniem warg.

– Nie boję się o siebie, Gani. Dla ciebie rzuciłabym się w paszczę czerwia. Tak, jestem tym, kim mnie nazwałaś, bezdzietną żoną twojego ojca, ale ty jesteś dla mnie dzieckiem, którego nigdy nie miałam. Błagam cię... – W kącikach jej oczu zalśniły łzy.

– Jest między nami jeszcze jedna różnica – powiedziała Ganimi, przemógłszy skurcz w gardle. – Nigdy nie byłaś Fremenką, a ja nie jestem

nikim innym. To przepaść, która nas dzieli. Alia o tym wie. Bez względu na to, kim jeszcze może być, wie o tym.

– Nie sposób dociec, co wie Alia – rzekła gorzko Irulana. – Gdybym nie wiedziała, że jest Atrydką, przysięgłabym, że postawiła sobie za zadanie zniszczenie własnego rodu.

„A skąd wiesz, że nadal jest Atrydką?” – pomyślała Gani, dziwiąc się ślepotcie Irulany. Była przecież Bene Gesserit, a kto lepiej od nich znał historię Złego Ducha? Tymczasem Irulana nie dopuściłaby do siebie nawet takiej myśli, a co dopiero mówić o tym, by uwierzyła w to oskarżenie. Alia musiała rzucić na tę biedną kobietę jakiś urok.

– Mam wobec ciebie dług wody – powiedziała głośno. – Z tego powodu będę strzegła twego życia. Ale twój kuzyn jest zgubiony. Nie mówmy o tym więcej.

Irulana opanowała drżenie warg, otarła oczy.

– Kochałam twojego ojca – wyszeptała. – Uświadomiłam to sobie dopiero wtedy, kiedy zginął.

– Może nie zginął – powiedziała Ganim. – Kaznodzieja...

– Gani! Czasami nie potrafię cię zrozumieć. Czy Paul zwróciłby się przeciw własnej rodzinie?

Ganima wzruszyła ramionami i spojrzała na ciemniejące niebo.

– Mógł uznać za zabawne takie...

– Jak możesz mówić tak niefrasobliwie o tym...

– Aby powstrzymać mroczne głębie – odparła Ganim. – Nie drwię z ciebie. Bogowie mi świadkami, że nie drwię. Ale nie jestem tylko córką mojego ojca. Jestem wszystkimi osobami, które wniosły swoje nasienie do rodu Atrydów. Ty nie chcesz myśleć o Złym Duchu, a ja nie mogę myśleć o niczym innym. Jestem przednarodzona. Wiem, co jest we mnie.

– Ten głupi stary przesąd...

– Cicho! – Ganim zakryła dłonią usta Irulanie. – Jestem wszystkimi Bene Gesserit z ich przekłętą planu eugenicznego, włącznie z moją babką. I jest we mnie dużo więcej. – Rozcięła sobie paznokciem lewą dłoń. – To ciało jest młode, ale doświadczenia, których jest skarbnicą... Och, bogowie, Irulana! Moje doświadczenia! Nie! – Ponownie cofnęła rękę, gdy księżna przysunęła się bliżej. – Znam wszystkie przyszłości, które badał mój ojciec. Mam mądrość tak wielu istnień, a także ich niewiedzę... wszystkie słabości. Jeśli chcesz mi pomóc, Irulana, dowiedz się najpierw, kim jestem.

Księżna pochyliła się instynktownie i wzięła Ganimę w ramiona, przyciskając mocno do siebie i przytulając policzek do jej policzka.

„Obym nie musiała zabić tej kobiety – pomyślała Ganimi. – Oby do tego nie doszło”.

Kiedy ta myśl przemknęła jej przez głowę, nad całą pustynią zapadła noc.



*Zawołał cię mały ptak,
Rozwierając dziób sphywający szkarłatem.
Krzyknął raz nad syczą Tabr
I poszedłeś na Żalobną Równinę.*

– *Lament nad Leto II*

Leto obudził brzęk talionów wody w kobiecych włosach. Spojrzał na otwarte wejście do swojej celi i zobaczył siedzącą tam Sabihę. Półprzytomny jeszcze po spożyciu przyprawy, widział ją otoczoną tym wszystkim, co ukazała mu wizja, w której ją ujrzał. Przekroczyła już o dwa lata wiek, w którym większość Fremenek wychodziła za mąż albo przynajmniej się zaręczała. Zatem rodzina zachowywała ją po coś... lub dla kogoś. Była ponętna... najwyraźniej. Przyćmionym przez wizję wzrokiem postrzegał ją jako istotę z ziemskiej przeszłości ludzkości: ciemne włosy i jasna cera, głębokie oczodoły, które nadawały jej błękitnym w błękitcie oczom zielonkawą odcień. Miała mały nos i wydatne usta nad ostrą brodą. I była dlań żywym świadectwem tego, że tutaj, w Dżakurutu, znano plan Bene Gesserit albo się go domyślano. A więc miały nadzieję, że uda się im poprzez niego wskrzesić imperium faraonów? Bo jeśli nie, to czemu miał służyć zamysł zmuszenia go do ślubu z własną siostrą? Na pewno nie mogła im w tym przeszkodzić Sabiha.

Jednak jego porywacze znali ten plan. Jak się o nim dowiedzieli? Przecież nie przeżyli razem z nim wizji. Nie udali się z nim tam, gdzie życie stało się błoną poruszającą się w innych wymiarach. Kolistą, zwrotną subiektywność wizji, w których pojawiała się Sabiha, była jego i tylko jego doznaniem.

Znowu zabrzęczały pierścienie we włosach Sabihy i dźwięk ten przywołał jego wizje. Wiedział, gdzie był i co poznał. Nic nie mogło tego wymazać. Nie jechał w palankinie na wielkim stwórcy, a brzęk talionów wody nie

wyznaczał rytmu pieśni drogi śpiewanych przez pasażerów. O nie... Znajdował się w celi w Dżakurutu i odbywał najniebezpieczniejszą ze wszystkich podróży: do *Ahl as-sunna wal-dżamas* i z powrotem, z rzeczywistego świata zmysłów w sferę wizji i z powrotem.

Co ona tam robiła, że tak brzęczały taliony wody w jej włosach? Ach tak. Mieszała kolejną porcję mikstury, która – jak sądzili – utrzyma go w niewoli: jedzenie z esencją przyprawową, by nadal tkwił na poły w realnym świecie, na poły zaś poza nim, dopóki albo nie umrze, albo nie ziści się plan jego babki. I ilekroć myślał, że wygrał, posyłali go tam z powrotem. Oczywiście lady Jessica miała rację. Stara czarownica! Ale co było robić. Przywołanie wszystkich jego wewnętrznych istnień na nic się nie zda, póki nie uda mu się uporządkować wszystkich danych i czerpać z nich według woli. Mnemonady owe były tworzywem anarchii. Jedno z nich albo wszystkie naraz mogły nim zawładnąć. To, co robił w Dżakurutu pod wpływem przyprawy, było niebezpieczną grą.

„Teraz Gurney czeka na znak, a ja nie chcę mu go dać – pomyślał. – Kiedy wyczerpie się jego cierpliwość?”

Spojrzał na Sabihę. Odrzuciła do tyłu kaptur, ukazując plemienne tatuaże na skroniach. Początkowo Leto ich nie rozpoznał, ale potem przypomniał sobie, gdzie jest. Tak, Dżakurutu nadal żyło.

Nie wiedział, czy ma być wdzięczny babce, czy jej nienawidzić. Chciała, by jego instynkty działały na poziomie świadomości, ale były one tylko pamięcią rasy o tym, jak radzić sobie z kryzysami. Bezpośrednia pamięć tych innych istnień mówiła mu dużo więcej. Teraz miał już to wszystko uporządkowane i dostrzegał niebezpieczeństwo, jakim byłoby ujawnienie się z tym przed Gurneyem. W żaden sposób nie udałooby się utrzymać tego w tajemnicy przed Namrim, a Namri był osobnym problemem.

Do celi weszła Sabiha z miską w dłoniach. Zachwyciły go tęczowe kręgi, które tworzyło wokół jej włosów wpadające z zewnątrz światło. Podniosła łagodnie jego głowę i zaczęła go karmić. Dopiero wtedy uświadomił sobie, jaki jest słaby. Pozwalał jej się karmić, błędząc myślami, przypominając sobie rozmowy z Namrim i Gurneyem. Uwierzyli mu! Namri bardziej niż Gurney, ale nawet Gurney nie mógł zaprzeczyć temu, co jego zmysły mówiły mu już o tej planecie.

Sabiha wytarła mu usta rąbkiem sukni.

„Aaach, Sabiha – pomyślał, przywołując inną wizję, która nappełniła bólem jego serce. – Wiele nocy marzyłem nad otwartą wodą, słysząc wiatr

świszczący w górze. Wiele nocy moje ciało leżało obok gniazda węża, a ja śniłem o Sabisze w letnim upale. Widziałem, jak chowa chleb przyprawowy upieczony na rozgrzanych do czerwoności arkuszach plastali. Widziałem czystą wodę w kanacie, spokojną i lśniąca, ale w moim sercu szalał huragan. Ona pije kawę i je. Jej zęby błyszczą w mroku. Widzę, jak wplata sobie we włosy moje taliony wody. Bursztynowy zapach jej łona do głębi porusza moje zmysły. Samo jej istnienie dręczy mnie i gnębi”.

Ciśnienie wielorakich pamięci, którym starał się oprzeć, rozsadziło otaczającą go torbiel zastygłego czasu. Czuł splatające się ciała, odgłosy wydawane podczas seksu, wpisane w każde doznanie zmysłowe rytmy ust, wilgotnych oddechów i języków. Gdzieś na peryferiach jego wizji majaczyły spiralne, czarne jak węgiel kształty i czuł ich pulsowanie, kiedy obracały się w jego wnętrzu. W głowie rozbrzmiewał mu błagalny głos: „Proszę, proszę, proszę, proszę...” Czuł, jak nabrzmiewają mu, niczym dojrzałemu mężczyźnie, lędźwie, jak otwierają się usta, przywierając do spowijającego go kształtu ekstazy. A potem wydał westchnienie, poczuł ogarniającą go falę słodczy i niemoc.

Och, jak miło było pozwolić, by to się stało!

– Sabiha – wyszeptał. – Och, moja Sabiha.

Kiedy jej podopieczny wyraźnie zapadł w trans po jedzeniu, dziewczyna wzięła miskę i ruszyła do wyjścia.

– Znowu wymówił moje imię – powiedziała Namriemu, zatrzymawszy się w progu.

– Wróć i zostań z nim – rzekł Namri. – Muszę znaleźć Hallecka, żeby z nim o tym porozmawiać.

Sabiha postawiła miskę przy wejściu i wróciła do celi. Usiadła na brzegu pryczy, patrząc na pogrążoną w cieniu twarz Leto.

Otworzył oczy, wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. Zaczął do niej mówić, opowiadając o wizji, w której się pojawiła.

Kiedy mówił, przykryła jego dłoń swoją dłonią. Był taki uroczy, taki uro...

Opadła na pryczę podtrzymywana jego ręką, pogrążywszy się w nieświadomości, zanim ją cofnął. Leto usiadł, czując bezmiar swojej słabości. Przyprawa i wywołane przez nią wizje wyssały zeń wszystkie siły. Przeszukał swoje komórki, gromadząc wszystkie iskierki pozostałej jeszcze energii, po czym wygramolił się z pryczy, nie budząc Sabihy. Wiedział, że musi iść, ale wiedział też, że daleko nie zajdzie. Powoli zapiął filtrak,

narzucił na niego płaszcz i wysliznął się na korytarz. Było tam kilkoro ludzi zajętych swoimi sprawami. Znali go, ale nie oni byli za niego odpowiedzialni. Namri i Halleck będą wiedzieli, co robił; Sabiha nie mogła być daleko.

Znalazł boczne przejście, które mu było potrzebne, i śmiało się nim puścił.

Sabiha spała snem sprawiedliwych, dopóki nie obudził jej Halleck.

Usiadła, przecierając oczy. Zobaczyła pustą pryczę, wuja stojącego obok Hallecka, złość na ich twarzach.

– Tak, nie ma go – odparł Namri na jej nieme pytanie.

– Jak mogłaś pozwolić mu uciec? – rzekł Halleck, nie posiadając się z wściekłości. – Jak to możliwe?

– Widziano go, jak szedł w stronę niższego wyjścia – powiedział Namri dziwnie spokojnym głosem.

Sabiha skuliła się, usiłując sobie przypomnieć, co się działo.

– Jak? – nalegał Halleck.

– Nie wiem. Nie wiem.

– Jest noc, a on jest słaby – stwierdził Namri. – Nie zajdzie daleko.

Halleck obrócił się gwałtownie w jego stronę.

– Chcesz, żeby ten chłopiec zginął!

– Nie miałbym nic przeciwko temu.

Gurney ponownie zwrócił się ku Sabisze.

– Powiedz mi, co się stało.

– Dotknął mojego policzka. Cały czas mówił o swojej wizji... o nas razem. – Spojrzała na pustą pryczę. – Uśpił mnie. Użył jakichś czarów.

Halleck zerknął na Namriego.

– Czy może się ukrywać gdzieś w siczy?

– Mowy nie ma. Zostałby znaleziony. Kierował się do wyjścia. Jest na zewnątrz.

– Czary – mruknęła dziewczyna.

– Żadne czary – obruszył się Namri. – Ale nie zajdzie daleko. Uszkodziłem pompy obcasowe w jego filtraku. Jeśli go nie znajdziemy, umrze z braku wody.

Halleck obrócił się raz jeszcze i omal nie uderzył Namriego, ale zdołał się powstrzymać. Jessica ostrzegła go, że Namri być może będzie musiał zabić chłopca. Bogowie podziemi! Do czego to doszło – Atryda przeciwko Atrydzie.

– Czy jest możliwe, by odszedł w transie przyprawowym?

– A co to za różnica? – odparł pytaniem Namri. – Skoro nam uciekł, musi umrzeć.

– Zaczniemy szukać o brzasku – rzekł Gurney. – Wziął ze sobą fremsak?

– Przy grodzi wyjściowej zawsze leży kilka – powiedział Namri. – Byłby głupcem, gdyby nie wziął jednego z nich. Jakoś nie zauważyłem, żeby nim był.

– Wobec tego wyślij wiadomość naszym przyjaciołom – polecił Halleck. – Poinformuj ich o tym, co się stało.

– Żadnych wiadomości tej nocy – oznajmił Namri. – Nadciąga burza. Plemiona śledzą jej szlak od trzech dni. Nadejdzie tutaj przed północą. Już wysiadły połączenia. Dwie godziny temu urwał się kontakt tego sektora z satelitami.

Z piersi Hallecka wyrwało się głębokie westchnienie. Jeśli złapie go burza piaskowa, chłopiec na pewno zginie. Samum oderwie jego ciało od kości, a kości potrzaska na kawałki. Upozorowana śmierć stanie się śmiercią prawdziwą. Rąbnął pięścią w otwartą dłoń. Nie mogli nawet zorganizować poszukiwań, a burza już odcięła sicz od reszty planety.

– Dystrans – powiedział, myśląc, że mogliby zapisać wiadomość w głosie nietoperza i wysłać go z nią.

Namri pokręcił głową.

– Nietoperz nie polecą podczas burzy. Daj spokój, człowieku. Są wrażliwsze niż my. Wcisną się w szczeliny urwiska i będą tam wisieć, dopóki burza nie przejdzie. Najlepiej poczekać, aż znowu uzyskamy łączność z satelitami. Potem możemy spróbować odnaleźć jego szczątki.

– Chyba że wziął fremsak i schował się w piasku – powiedziała Sabiha.

Zakławszy pod nosem, Halleck odwrócił się od nich i odszedł w głąb sicz.



Pokój wymaga rozwiązań, ale nigdy nie osiągamy trwałych; możemy jedynie usilnie starać się dążyć do nich. Przyjęte rozwiązanie jest na mocy definicji rozwiązaniem martwym. Kłopot z pokojem polega na tym, że z reguły jest on karą za błędy, a nie nagrodą za znakomite dzieło.

– *Słowa mojego ojca*, relacja o Muad'Dibie zrekonstruowana przez Harka al-Adę

– Ona go szkoli? Ona szkoli Farad’na?

Alia łypała na Duncana Idaho z rozmyślną mieszaniną złości i niedowierzania. Liniowiec Gildii wszedł na orbitę Arrakis w południe czasu miejscowego. Godzinę później lichtuga dowiozła Idaho do Arrakin, bez zapowiedzi jego powrotu, ale też zupełnie otwarcie, jakby było to coś zwykłego. Po paru minutach ornitopter wysadził go na dachu twierdzy. Uprzedzona o jego przybyciu, Alia chłodno i oficjalnie powitała go tam w obecności strażniczek, ale teraz stali naprzeciwko siebie w jej apartamentach pod północną krawędzią dachu. Właśnie przekazał jej sprawozdanie – zgodnie ze stanem faktycznym, dokładnie, podkreślając wszystkie dane w mentacki sposób.

– Postradała zmysły – rzekła Alia.

Idaho potraktował to stwierdzenie poważnie, jako problem do rozwiązania.

– Wszystko wskazuje na to, że jest zrównoważona i psychicznie zdrowa. Powiedziałbym, że wskaźnik jej zdrowia psychicznego...

– Przestań! – warknęła Alia. – Co ona zamierza?

Idaho, który wiedział, że jego równowaga emocjonalna zależy teraz od powrotu do chłodnego mentackiego rozumowania, odparł:

– Z moich kalkulacji wynika, że myśli o zaręczynach wnuczki.

Jego twarz pozostała bez wyrazu, ale pod tą maską kryły się wściekłość i żal. Nie było tutaj Alii. Alia była martwa. Do pewnego momentu podtrzymywał jej mit, mając przed oczami kogoś, kogo stworzył dla swoich potrzeb, ale mentat mógł się tak oszukiwać tylko przez ograniczony czas. Ta istota w ludzkiej skórze była opętana; kierowała nią psychika demona. Jego stalowe oczy o tysiącach faset, które mógł wykorzystywać według woli, odtworzyły w ośrodkach wzrokowych mnóstwo mitycznych Alii, ale kiedy połączył je w jeden obraz, nie pozostała żadna Alia. Jej rysy podporządkowały się żądaniom innych. Była skorupą, w której wnętrzu dokonywano aktów przemocy.

– Gdzie jest Ganima? – chciał wiedzieć.

Zbyła to pytanie machnięciem ręki.

– Wysłałam ją z Irulaną pod opiekę Stilgara.

„Na neutralne terytorium – pomyślał. – Prowadzone są kolejne negocjacje ze zbuntowanymi plemionami. Alia traci grunt pod nogami i nie wie

o tym... A może wie? Czy jest jakiś inny powód? Czyżby Stilgar przeszedł na jej stronę?”

– Zaręczyny – zadumała się Alia. – Jak wygląda sytuacja na dworze Corrinów?

– Na Salusie roi się od krewnych out-frein Farad’na i wszyscy go urabiają, mając nadzieję, że wyrwą coś dla siebie po jego powrocie do władzy.

– A ona uczy go sposobów Bene Gesserit...

– Czy nie jest to stosowne dla męża Ganimy?

Alia uśmiechnęła się pod nosem, myśląc o nieustępliwej wściekłości Ganimy. Niech Jessica szkoli Farad’na. Uczy trupa. Wszystko się powiedzie.

– Muszę się nad tym dokładnie zastanowić – oznajmiła. – Jesteś jakiś cichy, Duncan.

– Czekam na twoje pytania.

– Rozumiem. Wiesz, byłam na ciebie bardzo zła. Żeby zabrać ją do Farad’na!

– Poleciałś, żeby wyglądało to prawdziwie.

– Byłam zmuszona opublikować raport, że oboje zostaliście pojmani – powiedziała.

– Wykonywałem twoje rozkazy.

– Czasami bierzesz wszystko tak dosłownie, Duncan. Niemal mnie przerażasz. Ale gdybyś tego nie zrobił...

– Lady Jessice nic nie grozi – rzekł. – A ze względu na Ganimę powinniśmy być wdzięczni, że...

– Niezmiernie wdzięczni – zgodziła się z nim, ale pomyślała: „Już nie mogę mu ufać. Ta jego przekłeta wierność Atrydom. Muszę znaleźć jakąś wymówkę, by go odesłać... i kazać wyeliminować. Będzie to oczywiście wypadek”.

Dotknęła jego policzka.

Idaho zmusił się do reakcji na tę pieszczotę, ujmując i całując jej dłoń.

– Duncan, Duncan, jakież to smutne – powiedziała. – Ale nie mogę cię tu trzymać przy sobie. Dzieje się zbyt wiele, a mam tak mało osób, którym mogę ufać.

Puścił jej dłoń i czekał.

– Byłam zmuszona wysłać Ganimę do Tabr – ciągnęła. – Tutaj jest bardzo niespokojnie. Napastnicy z Ziemi Skalistej uszkodzili kanaty w basenie

Hagga i spuścili całą wodę w piasek. Mieszkańcom Arrakin trzeba było wydzielać jej skąpe racje. W basenie roi się teraz od piaskowych troci zbierających wodne żniwo. Oczywiście zajęto się nimi, ale cienko przedziemy.

Duncan zauważył już, jak mało widać było w twierdzy amazonek Alii.

„Maquisi z wewnętrznej pustyni nie przestaną sondować jej sił – pomyślał. – Czy ona o tym nie wie?”

– Tabr jest nadal neutralnym terytorium – powiedziała. – W tej chwili kontynuujemy tam negocjacje. Jest tam Dżawid z delegacją kapłanatu. Ale chciałabym, byś miał na nich oko w Tabr, szczególnie na Irulanę.

– Ona jest z Corrinów – przyznał.

Widział jednak w jej oczach, że go odrzuca. Jak łatwo było przejrzeć tę istotę, którą stała się Alia.

Machnęła ręką.

– Jedź zaraz, Duncan, nim zmiękne i zatrzymam cię przy sobie. Tak bardzo mi cię brakowało...

– A mnie ciebie – odparł, pozwalając, by żal, który czuł, przepełnił jego głos.

Spojrzała na niego, zaskoczona tym smutkiem.

– Przez wzgląd na mnie, Duncan – rzekła. Pomyślała zaś: „Niedobrze, Duncan” i dodała głośno: – Do Tabr zabierze cię Zaja. Będzie nam tutaj z powrotem potrzebny ornitopter.

„Jej ulubiona amazonka – pomyślał. – Muszę na nią uważać”.

– Rozumiem – powiedział, raz jeszcze ujmując i całując jej dłoń. Patrzył na to drogie ciało, które niegdyś było jego Alią. Nie potrafił się zmusić, by spojrzeć na jej twarz, kiedy wychodził. Jej oczami patrzył na niego ktoś inny.

Kiedy wchodził na lądowisko na dachu twierdzy, miał rosnące poczucie, że wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi. Spotkanie z Alią było niezmiernie trudne dla tej części jego osobowości, która była mentatem i cały czas odczytywała oznaki. Czekał obok ornitoptera z jedną z amazonek z twierdzy i patrzył ponuro na południe. W wyobraźni przeniósł się wzrokiem za Mur Zaporowy, do siczy Tabr.

„Dlaczego do Tabr zabiera mnie Zaja? – myślał. – Przyprowadzenie z powrotem ornitoptera nie wymaga wielkich umiejętności. Skąd ta zwłoka? Czyżby Zaja otrzymywała specjalne instrukcje?” – Zerknął na czujną strażniczkę i wdrapał się na fotel pilota. Wychylił się i oznajmił:

– Powiedz Alii, że natychmiast odeślę ornitopter z jednym z ludzi Stilgara.

Zanim strażniczka zdążyła zaprotestować, zamknął drzwi i uruchomił silnik. Widział, jak stoi niezdecydowana. Któż śmiałby się przeciwstawiać małżonkowi Alii? Poderwał ornitopter, nim się namyśliła.

Teraz, siedząc samotnie w maszynie, dał upust żalowi. Łkał rozdzierająco. Alii już nie było. Rozstali się na zawsze. Z jego tleilaxańskich oczu płynęły łzy, kiedy wyszeptał:

– Oby wszystkie wody Diuny wsiąkły w piasek. To nic w porównaniu z moimi łzami.

Była to jednak niegodna mentata przesada. Zdał sobie z tego sprawę i zmusił do trzeźwej oceny bieżących potrzeb. Ornitopter wymagał jego uwagi. Pilotowanie sprawiło mu pewną ulgę i na powrót wziął się garść.

„Ganima znowu ze Stilgarem – pomyślał. – I z Irulaną”.

Dlaczego do towarzyszenia mu wyznaczono Zaję? Podszedł do tego problemu jak mentat, a odpowiedź zmroziła mu krew w żyłach.

„Miałem zginąć w wypadku”.



Ta skalna kaplica z czaszką władcy nie przyjmuje żadnych modłów. Stała się grobowcem lamentu. Tylko wiatr słucha głosu tego miejsca. Krzyki nocnych stworzeń i przemijające zdziwienie dwóch księżyców mówią, że jego dni się skończyły. Nikt nie przychodzi już z prośbami. Goście opuścili ucztę. Jak pusta jest droga prowadząca z tej góry.

– anonimowy napis na kaplicy księcia Atrydy

Czekające Leto zadanie miało złudne pozory prostoty: unikać wizji, robić to, czego nie zobaczył. Znał tę myślową pułapkę, wiedział, jak splatają się przypadkowe nici przesądzonej przyszłości, aż w końcu omotają człowieka, ale obecnie trzymał je mocno w garści. Nigdzie nie widział siebie uciekającego z Dżakurutu. Najpierw musi przeciąć nić łączącą go z Sabihą.

Przykucnął w ostatnich promieniach słońca na wschodnim skraju skały chroniącej Dżakurutu. We fremsaku znalazł pigułki energetyczne i żywność. Czekał teraz, aż wróć mu siły. Na zachodzie leżało jezioro Azrak, gipsowa równina niegdyś, w czasach przed pojawieniem się czerw, zalana wodą. Na wschodzie, niewidoczne z miejsca, w którym był, znajdowało się Bene

Szerk, garstka nowych osiedli wdzierających się w otwarty blech. Na południu leżało Tanzerouft, Ziemia Grozy, trzy tysiące osiemset kilometrów pustkowia przerywanego tylko pasmami wydm unieruchomionych trawami i oddzielaczami wiatru do ich zraszania – owoc ekologicznych przemian krajobrazu Arrakis. Przeglądu tych urządzeń dokonywały ekipy dostarczane drogą powietrzną i nikt nie zostawał tam długo.

„Pójdę na południe – powiedział sobie Leto. – Gurney będzie oczekiwał, że to zrobię”.

Nie był to odpowiedni moment, żeby robić rzeczy zupełnie nieoczekiwane.

Niebawem zapadnie ciemność i będzie mógł opuścić tę tymczasową kryjówkę. Spojrzał na południowy horyzont. Niebo tam było ciemnobrązowe, kłębiła się jak dym falująca linia rozpalonego piasku – burza. Przyglądał się środkowi burzy unoszącej się nad Wielką Równiną niczym szukający łupu czerw. Obserwował go pełną minutę i w tym czasie środek burzy nie przesunął się ani w lewo, ani w prawo. Przyszło mu na myśl stare fremeńskie powiedzenie: „Kiedy środek burzy się nie przesuwają, jesteś na jej drodze”.

Ta burza wszystko zmieniała.

Przez chwilę patrzył na zachód, tam gdzie leżała sicz Tabr. Czuł zwodniczy spokój szarobrązowego pustynnego wieczoru, widział białą gipsową panew otoczoną wygładzonymi przez wiatr kamykami, wymarłą pustkę z nierzeczywistą powierzchnią oślepiającej bieli, w której odbijało się niebo. W żadnej wizji nie zobaczył siebie wychodzącego cało ze splotów szarego węża burzy ani zakopanego zbyt głęboko w piasku, by przeżyć. Była tylko ta wizja, w której toczył się, porwany przez wiatr... ale to mogło nastąpić później.

A tam szalała burza, przetaczając się przez wiele stopni szerokości geograficznej i zmuszając chłostą świat do uległości. Można było zaryzykować. Istniały stare opowieści, zawsze zasłyszane od znajomego znajomego, według których dało się utrzymać wyczerpanego czerwia na powierzchni hakiem stwórcy wsuniętym pod jeden z szerokich pierścieni i unieruchomiwszy go w ten sposób, przeczekać burzę, kryjąc się w jego cieniu przed wiatrem. Pomiędzy śmiałością a szaloną zuchwałością, która go kusiła, biegła cienka granica. Burza nadciągnie najwcześniej przed północą. Miał czas. Jak wiele nici może tutaj przeciąć? Wszystkie z wyjątkiem ostatniej?

„Gurney będzie przypuszczał, że pójdę na południe, ale nie wprost w objęcia burzy” – pomyślał.

Spojrzał na południe, szukając jakiejś drogi, i dostrzegł głęboki hebanowy wąwóz przecinający skałę Dżakurutu niczym gładkie pociągnięcie pędzla. W wąwozie widział kręte smugi lotnego piasku, który wylewał się na równinę jak woda. Kiedy zarzucił fremsak na plecy i puścił się ścieżką prowadzącą do wąwozu, poczuł w ustach drapiące pragnienie. Było jeszcze na tyle jasno, że ktoś mógł go zobaczyć, ale wiedział, że czas gra na jego niekorzyść.

Gdy dotarł do skraju wąwozu, ogarnęła go szybko zapadająca noc środkowej pustyni. Drogę do Tanzerouft oświetlało mu już tylko spieczone glissando blasku księżyca. Poczuł, jak z powodu wszystkich obaw, którymi napełniało go bogactwo wspomnień, przyspiesza rytm jego serca. Być może kierował się wprost ku Huanui-naa, jak Fremeni określali największe burze, czyli ziemskiemu alembikowi śmierci. Jednak cokolwiek nadejdzie, będzie spoza wizji. Z każdym krokiem zostawiał coraz dalej za sobą wywołaną przyprawą *dhjanę*, ową wszechogarniającą świadomość swojej intuicyjno-twórczej natury, z jej otwieraniem się na nieruchome łańcuch związków przyczynowych. Na każde sto kroków, które teraz robił, musiał przypadać co najmniej jeden w bok, prowadzący poza słowa, ku połączeniu ze świeżo uchwyconą rzeczywistością wewnętrzną.

„Tą drogą czy inną, idę do ciebie, ojczy” – pomyślał.

W skałach wokół niego kryły się ptaki, o których obecności świadczyły jedynie ich ciche odgłosy. Fremeńska mądrość nakazywała mu wsłuchiwać się w echa tych odgłosów i kierować nimi w miejscach, gdzie nic nie widział. Przechodząc przez zakątki wąwozu, dostrzegał złowrogie zielone lśnienie oczu skulonych w kryjówkach stworzeń, które wiedziały, że nadciąga burza.

Wyłonił się z wąwozu na pustyni. Piasek pod jego stopami poruszał się, jakby był żywy i oddychał, co świadczyło o podziemnej aktywności ukrytych fumaroli. Obejrzał się za siebie na skąpane w poświacie księżyca czapy lawy na wzniesieniach Dżakurutu. Cała ta struktura skalna była metamorficzna, ukształtowana głównie pod wpływem ciśnienia panującego we wnętrzu planety. Arrakis nadal miała coś do powiedzenia w sprawie swojej przyszłości. Wbił dudnik, by przywołać czerwia, a kiedy przyrząd zaczął wysłać drgania przez piasek, zajął pozycję. Prawa ręka powędrowała nieświadomie do pierścienia z jastrzębiem Atrydów ukrytego w zawiązanej

fałdzie diszdaszy. Gurney go znalazł, ale zostawił. Co pomyślał, ujrawszy pierścień Paula?

„Ojczy, oczekuj mnie wkrótce” – rzekł w duchu Leto.

Czerw przybył z południa. Skręcił, by uniknąć skał. Nie był tak duży, jak Leto się spodziewał, ale nic nie można było na to poradzić. Uciekinier ocenił prędkość i kierunek jego ataku, wbił haki i szybko wdrapał się po łuskowatym boku, kiedy czerw przetoczył się nad dudnikiem, wzbijając obłok pyłu. Pod naciskiem haków stworzenie łatwo się odwróciło. Płaszcz Leto zaczął smagać pęd powietrza. Chłopiec utkwiał wzrok w zamglonych przez pył gwiazdach południa i skierował czerwia w tamtą stronę.

„Prosto w oko burzy” – pomyślał.

Kiedy wstał pierwszy księżyc, Leto oszacował wysokość ściany burzy i skorygował poprzednią ocenę chwili jej nadejścia. Zespoły transformacji ekologicznej będą miały mnóstwo roboty. Zupełnie jakby planeta świadomie zwracała przeciw nim swoją wściekłość i wściekłość ta rosła, w miarę jak coraz więcej terenów było przekształcanych.

Nieustannie zmuszał czerwia do posuwania się na południe, wyczuwając z jego ruchów pod swoimi stopami, że zwierzę ma jeszcze zapas energii. Od czasu do czasu pozwalał bestii zboczyć nieco na zachód, co bez przerwy starała się zrobić, odpychana przez niewidzialne granice swego terytorium albo kierując się instynktem ostrzegającym ją przed nadciągającą burzą. Czerwie zakopywały się, by uciec przed chłoszczącymi piaskiem wiatrami, ale ten nie zanurzy się, dopóki haki stwórcy będą obnażały jego ciało pod jednym z pierścieni.

O północy czerw wykazywał już liczne oznaki wyczerpania. Leto przesunął się po wielkich pierścieniach do tyłu i sterował nim, stojąc na jego ogonie. Pozwolił zwierzęciu zwolnić, ale nadal kierował je na południe.

Burza nadeszła tuż po brzasku. Najpierw przerwany został bezruch rozciągającej się wokół pustyni – wydmy poczęły napierać na siebie. Potem nadlatujący pył zmusił Leto do zapięcia maski filtraka. W gęstniejącym kurzu pustynia stała się ciemnobrązowa i zatarły się wszelkie jej kontury. Igiełki piasku zaczęły siec jego policzki i kłuć powieki. Na języku czuł szorstki pył i wiedział, że nadeszła decydująca chwila. Czy powinien zaryzykować i zawierzyć starym opowieściom, zatrzymując wyczerpanego prawie całkowicie czerwia? Odrzucił tę możliwość w mgnieniu oka i poluzował haki. Ledwie się poruszając, stworzenie zaczęło się zakopywać. Ale jego nadmiernie obciążony układ przemiany ciepła powodował, że

wśród wzmagającej się burzy buzowało za nim jak w piecu. Fremeńskie dzieci już z pierwszych przekazywanych im opowieści dowiadywały się, jak niebezpieczne jest stanowisko w pobliżu ogona. Czerwie były fabrykami tlenu; ich przejście znaczył szalejący ogień podsycany przez obfite wyziewy produktów przemian chemicznych, które umożliwiały przystosowanie organizmu do skutków tarcia.

Stopy Leto zaczął chłostać piasek. Wyjął haki i dał potężnego susa w bok, by nie znaleźć się w palenisku za ogonem czerwia. Teraz wszystko zależało od tego, czy uda mu się zagrzebać w piasku poruszonym przez zwierzę.

Chwyciwszy lewą ręką kondensator elektrostatyczny, zanurzył się w zbocze wydmy. Wiedział, że czerw jest zbyt zmęczony, by się odwrócić i pochłonać go kłapieniem swej wielkiej, białopomarańczowej paszczy. Wykopując lewą ręką jamę, prawą wyciągnął z fremsaka namiot i przygotował go do nadmuchiwania. Wszystko to zajęło mu niespełna minutę: umieścił namiot w gnieździe piachu o twardych ścianach na zawietrznym zboczu wydmy. Nadmuchał go i wczółgał się do środka. Przed zamknięciem zwieracza wystawił na zewnątrz rękę z kondensatorem i odwrócił kierunek jego pracy. Na namiot zaczął się osypywać piasek. Kiedy zamknął otwór, do środka przedostało się tylko kilka ziarenek.

Teraz musiał działać jeszcze szybciej. Dopływu powietrza nie zapewniłyby mu żadne piachochrapy. Była to potężna burza, z tych, które przetrwało niewiele osób. Przykryje to miejsce tonami piachu. Leto będzie chronić tylko kruchy bąbel namiotu z utwardzoną zewnętrzną powłoką.

Chłopiec wyciągnął się płasko na plecach, złożył dłonie na piersiach i zapadł w trans uśpienia, podczas którego jego płuca będą się poruszać tylko raz na godzinę. Zrobiwszy to, wybrał nieznaną przyszłość. Burza w końcu przejdzie i jeśli nie odsłoni jego kruchego gniazda, może uda mu się wyłonić na powierzchnię... a może wejdzie do Madinat as-salam, Przybytku Spokoju. Wiedział, że cokolwiek się zdarzy, musi pozrywać, jedną po drugiej, wszystkie nici, aż zostanie mu tylko Złoty Szlak. Albo tak się stanie, albo nie będzie mógł wrócić do kalifatu dziedziców swojego ojca. Nie będzie już dłużej żył kłamstwem owych Desposyni, tego strasznego kalifatu wznoszącego hymny do jego ojca, z którego uczyniono demiurga. Nie będzie już dłużej milczał, gdy jakiś kapłan zacznie wygadywać te odrażające brednie: „Jego krysnóż rozpędzi demony!”

Z tym postanowieniem świadomość Leto osunęła się w sieć bezczasowego *dao*.



W każdym układzie planetarnym istnieją oczywiste wpływy wyższego rzędu. Często dowodzi tego wprowadzenie na nowo odkryte planety życia w ziemskich kształtach. We wszystkich takich przypadkach życie w podobnych strefach wykazuje uderzające podobieństwo form przystosowawczych. Formy te oznaczają dużo więcej niż kształt, określają bowiem organizację zapewniającą przetrwanie i związek takich organizacji. Ludzkie dążenie do zaprowadzenia porządku współzależnych form i stworzenia w nim niszy dla nas wynika z konieczności. Może się ono jednak przerodzić w wypaczoną postać zachowawczego utrzymywania jednolitości. Okazało się to już zabójcze dla całego układu.

– *Katastrofa Diuny według Harka al-Ady*

– Tak naprawdę mój syn nie widział *przyszłości*, a jedynie proces tworzenia i jego związek z mitami, w których, jak we śnie, pogrążeni są ludzie – powiedziała Jessika.

Mówiła szybko, ale nie na tyle, by sprawiać wrażenie, że to dla niej nagłąca sprawa. Wiedziała, że ukryci obserwatorzy znajdą sposób, by jej przerwać, jak tylko się zorientują, do czego zmierza.

Farad'n siedział na podłodze, a kontury jego sylwetki rysowały się ostro w snopie promieni popołudniowego słońca wpadających ukośnie przez okno za jego plecami. Kiedy zerknęła spod przeciwległej ściany, gdzie stała, zobaczyła wierzchołek drzewa w pałacowym ogrodzie. Widziała teraz nowego Farad'na – szczuplejszego, bardziej żyłastego. Miesiące szkolenia podziały na niego jak magia. Gdy patrzył na nią, błyszczały mu oczy.

– Widział kształty, które stworzyłyby już istniejące siły, gdyby nie zostało odwrócone ich działanie – ciągnęła Jessika. – Zamiast zwrócić się przeciw bliźnim, zwrócił się przeciw sobie. Nie chciał przyjmować tylko tego, co dawało mu otuchę, ponieważ byłoby to moralnym tchórzostwem.

Farad'n nauczył się słuchać w milczeniu, badając, sondując i powstrzymując się z pytaniami, dopóki nie przybrały formy ostrej jak brzytwa. Jessika mówiła o poglądzie Bene Gesserit na pamięć molekularną wyrażoną w rytuale i zupełnie naturalnie przeszła do sposobu, w jaki zgromadzenie żeńskie analizowało Paula Muad'Diba. Farad'n dostrzegł wszakże w jej słowach i gestach teatr cieni, projekcję nieświadomych form, które były sprzeczne z pozornym celem jej twierdzeń.

– Ze wszystkich naszych spostrzeżeń to jest najważniejsze – powiedziała.
– Życie jest maską, przez którą wyraża się wszechświat. Przyjmujemy, że cała ludzkość i wszystkie wspomagające ją formy życia stanowią *naturalną* wspólnotę i że los całego życia zawiera się w losie jednostki. Dlatego kiedy dochodzi do tego ostatecznego rachunku sumienia, *amor fati*, przestajemy bawić się w Boga i przechodzimy do nauczania. W krytycznym momencie wybieramy jednostkę i dajemy jej taką swobodę, jaką jesteśmy w stanie dać.

Farad'n zorientował się, do czego musiała zmierzać, i wiedząc, jak podzielała to na tych, którzy podglądali ich przez ukryte kamery, powstrzymał się od rzucenia niespokojnego spojrzenia na drzwi. Tę chwilową utratę równowagi mogło wykryć tylko wyćwiczone oko. Jessika zauważyła ją i uśmiechnęła się. W końcu uśmiech mógł oznaczać wszystko.

– To coś w rodzaju ceremonii wręczenia dyplomu – oznajmiła. – Jestem z ciebie bardzo zadowolona, Farad'n. Wstań, proszę.

Posłuchał i zasłonił jej wierzchołek drzewa za oknem.

Trzymając sztywno ręce przy bokach, Jessika rzekła:

– Oto, co nakazano mi ci powiedzieć: „Stoję w świętej ludzkiej obecności. Pewnego dnia również ty powinienes stanąć tak, jak ja teraz. Modłę się do twojej obecności, by się tak stało. Przyszłość pozostaje niepewna i tak być powinno, ponieważ jest płótnem, na którym malujemy nasze pragnienia. A zatem istotą ludzkiej kondycji jest to, że zawsze stajemy naprzeciw cudownie pustego płótna. Mamy tylko tę chwilę, by stale poświęcać się dla owej świętej obecności, w której uczestniczymy i którą tworzymy”.

Kiedy Jessika skończyła, przez drzwi po jej lewej wszedł Tajkenik, poruszając się z pozorną beztroską, której zadawała kłam jego chmurna mina.

– Mój panie – powiedział, ale było już za późno.

Słowa Jessiki i wszystkie poprzednie przygotowania zrobiły swoje. Farad'n nie był już Corrinem. Był teraz Bene Gesserit.



Wy z zarządu KHOAM najwyraźniej nie jesteście w stanie zrozumieć, że w handlu rzadko można się spotkać z prawdziwą wiernością. Kiedy ostatnio słyszeliście, by urzędnik oddał życie za swoje przedsiębiorstwo? Być może ta ułomność waszego

rozumowania zasadza się na błędnym założeniu, że możecie nakazać ludziom, by myśleli i współpracowali. W całych dziejach ludzkości to właśnie było przyczyną klęsk wszystkich instytucji, od religii poczynając, a na sztabach generalnych kończąc. Sztaby generalne cieszą się z dawien dawna złą sławą niszczenia własnych narodów. Co do religii, polecam ponowną lekturę Tomasza z Akwinu. A co do was z KHOAM, w jakież brednie wierzycie! Ludzie muszą chcieć coś robić z wewnętrznej potrzeby. To ludzie, nie zaś organizacje czy systemy dowodzenia, powodują, że rozkwitają wielkie cywilizacje. Każda cywilizacja zależy od jakości jednostek, które tworzy. Jeśli przytłacza się ludzi nadmiarem organizacji i uregulowań prawnych oraz tłumi ich pęd do wielkości, nie mogą swobodnie działać i ich cywilizacja upada.

– list do KHOAM (przypisywany Kaznodziei)

Leto wybudził się z transu, przechodząc z jednego stanu w drugi tak łagodnie, że trudno było oddzielić je od siebie. Przeniósł się po prostu z jednego poziomu świadomości na inny.

Wiedział, gdzie jest. Wezbrała w nim ponownie energia, ale w stęchłej martwocie niemal zupełnie pozbawionego tlenu powietrza w namiocie wyczuł groźną wiadomość. Zdawał sobie sprawę, że jeśli się nie ruszy, pozostanie zaplątany w ponadczasową sieć, w wieczną *teraźniejszość*, w której współistniały wszystkie wydarzenia. Kusiła go ta perspektywa. Widział czas jako wymiar umowny, ukształtowany przez zbiorowy umysł wszystkich istot czujących. Czas i przestrzeń były kategoriami narzuconymi wszechświatowi przez jego umysł. Musiał się tylko uwolnić od tego tłumy, którego prorocze wizje wabiły go. Śmiała selekcja mogła zmienić tymczasowe wersje przyszłości.

Jakiej śmiałości wymagała ta chwila?

Pociągał go stan transu. Leto czuł, że przeszedł z Alam al-Mithal do rzeczywistego wszechświata po to tylko, by stwierdzić, że są one identyczne. Chciał utrzymać magię rihani tego objawienia, ale jeśli miał przetrwać, musiał szybko podjąć decyzję. Niepohamowana chęć życia słała sygnały jego nerwami.

Sięgnął gwałtownie prawą ręką tam, gdzie zostawił kondensator elektrostatyczny. Chwycił je, obrócił się na brzuch i otworzył zwieracz filtrnamiotu. Na jego dłoń pociekł strumyk piasku. Pracując szybko w ciemności, dopingowany przez nieświeże powietrze, drażył stromy tunel. Zanim się wydostał na ciemne, czyste powietrze, przebił się przez zwały piasku na sześć długości swojego ciała. Znajdował się na skąpanym w poświacie księżycy nawietrznym zboczu długiej, sierpowatej wydmy, około jednej trzeciej od jej grzbietu.

Wisiał nad nim drugi księżyc. Przesuwał się szybko i schował za wydumą, a wtedy ukazały się gwiazdy ustawione niczym jasne kamienie obok ścieżki. Leto odszukał gwiazdozbiór Wędrowca i podążył wzrokiem wzdłuż jego ramienia do jasno świecącej Foun al-Hout, gwiazdy polarnej południa.

„Oto twój przeklęty wszechświat!” – pomyślał.

Widziany z bliska był w ciągłym ruchu, jak otaczający go zewsząd piasek, podlegał nieustannym zmianom, niepowtarzalne wydarzenia piętrzyły się jedno na drugim. Z daleka natomiast ukazywały się tylko pewne wzorce i schematy, które kusily, by uwierzyć w absoluty.

„Wśród absolutów możemy zgubić drogę”. Stwierdzenie to przywiodło mu na myśl znane ostrzeżenie z fremeńskiej śpiewki: „Kto traci drogę na Tanzerouft, ten traci życie”. Schematami można się było kierować, ale równie dobrze mogły one zaprowadzić w pułapkę. Trzeba pamiętać, że schematy się zmieniają.

Wziął głęboki oddech i zabrał się do pracy. Zsunął się do tunelu, złożył filtrnamiot, wyciągnął go na powierzchnię i spakował fremsak.

Na wschodzie pojawiła się zorza barwy wina. Leto zarzucił fremsak na ramię, wspiął się na grzbiet wydmy i stał tam w chłodnym powietrzu przedświt, dopóki nie poczuł na prawym policzku ciepłego dotyku słońca. Wtedy poczercił oczodoły, by zmniejszyć jego odbłask, wiedząc, że musi zabiegać o względy pustyni, zamiast z nią walczyć. Kiedy schował czernidło do fremsaka, pociągnął z wodowodu. W rurce zabalgotało, wypłynęło z niej parę kropel, a potem było już tylko powietrze.

Opadłszy na piasek, Leto zaczął sprawdzać filtrak i w końcu doszedł do pomp obcasowych. Zostały chytrze przecięte pchlim sztychem. Wyślizgnął się z filtraka i naprawił go, ale szkoda już się stała. Wyciekła co najmniej połowa wody jego ciała. Gdyby nie kieszenie łowne namiotu... Przywdziewając na powrót filtrak, zastanawiał się, dlaczego tego nie przewidział. Oto jedno z niebezpieczeństw czyhających w przyszłości, której nie zobaczył w wizji.

Przykucnął na szczycie wydmy i zebrał się w sobie, stawiając opór poczuciu osamotnienia, którym napawało go to miejsce. Błądził wokół wzrokiem, szukając otworu, w którym gwizdał wiatr, jakieś nieregularności wśród wydym, która mogłaby wskazywać na wybuch przyprawy albo przesuwanie się czerwia, ale burza stratowała i ujednoliciła cały ten teren. Wyjął więc z fremsaka dudnik i odbezpieczył go, by obracająca się kołatka przyzywała szej-huluda. A potem odszedł na bok i czekał.

Czerw długo nie przybywał. Leto wcześniej usłyszał go, niż zobaczył. Obrócił się na wschód, skąd dochodził wizg tak silny, że aż trzęsła się ziemia i drgało powietrze, i wypatrywał pomarańczowego błysku wynurzającej się paszczy. Czerw wyłonił się z głębin z potężnym świstem piasku, którego strumienie zakrywały jego boki. Wijąca się szara ściana przesunęła się obok Leto. Wbił hak i łatwo wdrapał się na grzbiet zwierzęcia. Już w trakcie tej wspinaczki skierował je wielkim łukiem na południe.

Pod naporem haków czerw nabrał prędkości. Wiatr łopotał płaszczem Leto. Chłopiec czuł się równie pobudzony jak bestia; w jego lędźwiach wzbierał strumień twórczej mocy. „Każda planeta ma swój okres, ma go też każde życie” – powiedział sobie.

Czerw był z rodzaju tych, które Fremeni zwali „ryczącymi”. Często zagłębiał się przednią częścią ciała w piasek, a pęd nadawał mu ogon. Wskutek tego, poruszając się, wydawał ryczący odgłos, a część jego ciała wystawała z ziemi jak ruchomy garb. Był jednak szybki i kiedy smagnął ich wiatr z tyłu, Leto owionęły gorące wyziewy bijące z rozgrzanego jak palenisko ogona. Na strumieniu tlenu niosły się w nich gryzące wonie.

Czerw pędził na południe, a Leto pozwolił, by jego umysł swobodnie wędrował. Starał się myśleć o tej jeździe jako o nowej ceremonii swego życia, dzięki której nie musiał się zastanawiać nad ceną, jaką będzie musiał zapłacić za Złoty Szlak. Podobnie jak dawni Fremeni, wiedział, że będzie się musiał pogodzić z wieloma nowymi ceremoniami, by nie dopuścić, żeby jego osobowość rozpadła się na poszczególne składające się na nią pamięci, żeby na zawsze powstrzymać drapieżnych łowców czyhających na jego duszę. Sprzeczne obrazy, niemożliwe do połączenia, musiał teraz otorbić żywym napięciem, polaryzującą siłą, która napędzała go od środka.

„Zawsze nowe – pomyślał. – Zawsze muszę znajdować nowe nici wychodzące z mojej wizji”.

Wczesnym popołudniem jego uwagę zwróciła wypukłość przed nim, nieco na prawo od kursu, którym zmierzał. Z wolna przybrała ona zarysy wąskiej skały sterczącej z piasku dokładnie tam, gdzie spodziewał się ją zobaczyć.

„No to teraz, Namri... No to teraz, Sabiha, zobaczmy, jak powitają mnie wasi bracia” – pomyślał.

Nić, która znajdowała się przed nim, była bardzo delikatna, bardziej niebezpieczna z powodu ponęt, którymi kusiła, niż jawnych zagrożeń.

Skala długo zmieniała rozmiary i przez chwilę wydawało się nawet, że to ona zbliża się do niego, a nie on do niej.

Opadający już z sił czerw nieustannie zbaczał w lewo. Leto ześlizgnął się po jego ogromnym grzbiecie i przełożył haki, utrzymując olbrzyma na kursie. Do jego nozdrzy dotarł ostry zapach przyprawy, oznaka bogatej żyły. Minęli liszajowate plamy fioletowego piasku, gdzie wystrzeliła przyprawa, i musiał mocno trzymać czerw, dopóki żyła nie została z tyłu. Jeszcze jakiś czas towarzyszyła im niesiona wiatrem woń cynamonu, która znikła, gdy Leto skierował bestię na nowy kurs, prosto ku wznoszącej się z piasku skale.

Na południowym blechu rozbłyśły nagle kolory, tęcza rzucana przez wytwór ludzkich rąk znajdujący się na tym bezmiarze. Leto wyjął lornetkę, dostroił soczewki olejowe i zobaczył w oddali lśniące w słońcu skrzydła przyprawowego szperacza. Pod nim wielki kombajn żniwny składał skrzydła niczym szykująca się do odejścia poczwarka. Kiedy Leto opuścił lornetkę, kombajn zmalął do plamki i chłopiec poczuł, jak przytłacza go *hadhdhab*, potężna wszechobecność pustyni. Wiedział, jak musi wyglądać dla tych łowców przyprawy – jak ciemny obiekt między pustynią a niebem, co było fremeńskim symbolem *człowieka*. Oczywiście dostrzegli go, będą więc ostrożni. Będą czekać. Na pustyni Fremeni zawsze byli wobec siebie podejrzliwi, dopóki nie rozpoznali przybysza albo nie upewnili się, że nie stanowi dla nich zagrożenia. Pod cienką warstewką imperialnej cywilizacji i jej wyrafinowanych reguł pozostawali na wpół okrzesanymi dzikusami, zawsze świadomymi tego, że krysnóż rozpada się po śmierci jego właściciela.

„To właśnie może nas ocalić – pomyślał Leto. – Ta dzikość”.

W oddali szperacz przechylił się w prawo, a później w lewo, dając sygnał tym, którzy byli na ziemi. Leto wyobraził sobie, jak jego załoga przeczesuje wzrokiem pustynię za nim, szukając oznak, które mogłyby świadczyć, że jest tam więcej ludzi niż jeden jeździec na jednym czerw.

Leto obrócił zwierzę w lewo i przytrzymał, dopóki nie zmieniło kursu, po czym zsunął się po jego boku i zeskoczył. Czerw, uwolniony od popędzającego go jeźdźcę, zatrzymał się na kilka oddechów na powierzchni, następnie zaś zanurzył w piasek jedną trzecią część ciała i leżał, odzyskując siły, co było dobitnym znakiem, że pędził za długo.

Leto odwrócił się od czerw, który przez pewien czas nie będzie się ruszać. Szperacz krążył nad gąsienikiem, nadal dając mu sygnały skrzydłami. Byli to na pewno opłacani przez przemytników buntownicy,

którzy nie ufali łączności elektronicznej. Musieli tam znaleźć przyprawę, o czym świadczyła obecność gąsienika.

Szperacz zrobił jeszcze jedno okrążenie, zanurkował i ruszył prosto w stronę Leto. Chłopiec rozpoznał jeden z lekkich ornitopterów, które jego dziadek wprowadził do użytku na Arrakis. Załoga zatoczyła nad nim koło, przeleciała wzdłuż wydmy, na której stał, i zeszła do lądowania pod wiatr. Siadła dziesięć metrów od niego, wzbijając obłok kurzu. Otworzyły się drzwiczki, wypuszczając postać w ciężkim fremeńskim płaszczu ze znakiem włóczni na prawej piersi.

Fremen zbliżył się powoli, dając im obu czas, by się sobie dobrze przyjrzeni. Był to wysoki mężczyzna o oczach koloru intensywnego indygo. Maskę filtraka zakrywała dolną połowę jego twarzy, a na czoło, aż po brwi, nasunięty miał kaptur. Ruch, który wykonał pod płaszczem, świadczył, że w ręku ma pistolet maula.

Zatrzymał się dwa kroki przed Leto i spojrzał na niego z góry, mrużąc ze zdziwienia oczy.

– Przychylności losu dla nas wszystkich – powiedział Leto.

Mężczyzna rozejrzał się, przeczesując badawczym spojrzeniem pustkowia, po czym ponownie skupił na nim uwagę.

– Co tutaj robisz, dziecko? – zapytał głosem stłumionym przez maskę. – Starasz się zostać korkiem dziury zrobionej przez czerwia?

I znowu Leto uciekł się do tradycyjnego fremeńskiego powiedzenia.

– Pustynia jest moim domem.

– *Wenn?* – zapytał tamten, co znaczyło: „Dokąd zmierzasz?”

– Podróżuję na południe z Dżakurutu.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

– No, no, Batig! Jesteś najdziwniejszym zjawiskiem, jakie kiedykolwiek widziałem na Tanzerouft.

– Nie jestem twoim Małym Melonem – rzekł Leto, odpowiadając na słowo „batig”. Była to nazwa ze złowieszczym podtekstem. Mały Melon na skraju pustyni oddawał wodę każdemu, kto go znalazł.

– Nie wypijemy cię, Batig – powiedział mężczyzna. – Nazywam się Muriz i jestem arifem tego taifu. – Ruchem głowy wskazał odległy gąsienik.

Leto zwrócił uwagę na to, że mężczyzna nazwał siebie sędzią tej grupy, a pozostałych określił mianem „taif”, czyli bandą albo towarzystwem. Nie byli więc ichwanem – braterstwem. To z pewnością płatni buntownicy. Oto była nić, której potrzebował.

Leto milczał.

– A ty masz jakieś imię? – spytał Muriz.

– Wystarczy Batig.

Mężczyznę wstrząsnął chichot.

– Nie powiedziałaś mi, co tutaj robisz – rzekł.

– Szukam śladów czerwia – odparł Leto religijnym zwrotem, który informował, że odbywa hadżdż w poszukiwaniu ummy, osobistego objawienia.

– W tak młodym wieku? – zdumiał się Muriz. Potrząsnął głową. – Nie wiem, co z tobą zrobić. Widziałeś nas.

– Co widziałem? – odparł pytaniem Leto. – Mówię o Dzakurutu, a ty nie reagujesz.

– Zabawa w szermierkę słowną – rzekł Muriz. – Wobec tego, co to jest? – Skinął głową w stronę skały.

– To tylko Szuloch – stwierdził Leto, kierując się tym, co ujrzał w wizji.

Muriz zeszywniał i Leto poczuł, że puls mu przyspieszył.

Nastąpiła długa cisza, podczas której Leto widział, że mężczyzna rozważa i odrzuca różne możliwości reakcji. *Szuloch!* W spokojnej porze snucia opowieści po posiłku często powtarzano w siczy historie o karawanseraju Szuloch. Słuchacze zawsze zakładali, że Szuloch jest miejscem mitycznym, wymyślonym po to i tylko po to, by było gdzie umiejscowić ciekawe zdarzenia. Leto przypominał sobie jedną z opowieści. Na skraju pustyni znaleziono bezdomne dziecko i przyprowadzono do siczy. Z początku nie odpowiadało na pytania wybawców, a potem, kiedy przemówiło, nikt nie rozumiał jego słów. Mijały dni, ono zaś nadal nie reagowało, nie chciało się przyodziać ani w żaden inny sposób włączyć do zajęć siczy. Ilekroć zostawało samo, wykonywało rękami dziwne ruchy. Wezwano wszystkich siczowych mędrców, by je dokładnie przebadali, ale nie uzyskano jakiegokolwiek odpowiedzi. I wtedy obok pomieszczenia, w którym się znajdowało, przeszła sędziwa kobieta, zobaczyła jego poruszające się ręce i się roześmiała. „Ono tylko naśladuje swojego ojca, który plecie liny z włókien przyprawowych – wyjaśniła. – Nadal robią to w ten sposób w Szulochu. Ono po prostu stara się czuć mniej samotnie”. A morał tego był taki: „W dawnych czasach Szuloch był poczuciem bezpieczeństwa i przynależności do złotej nici życia”.

Muriz nadal milczał, więc Leto powiedział:

– Jam jest tym bezdomnym dzieckiem z Szulochu, które wie tylko, jak poruszać rękami.

Po gwałtownym ruchu głowy Leto poznał, że Muriz zna tę opowieść.

– Jesteś człowiekiem? – odparł powoli mężczyzna cichym głosem, w którym pobrzmiwała groźba.

– Takim samym jak ty.

– Mówisz bardzo dziwnie jak na dziecko. Przypominam ci, że jestem sędzią, który może stanąć przeciw takwie.

„Ach tak” – pomyślał Leto. W ustach takiego sędzi słowa „takwa” oznaczało bezpośrednie zagrożenie. Takwa była przerażeniem wywołanym obecnością demona, a wierzyło w to szczerze wielu starszych Fremenów. Arif znał sposoby zabicia demona i zawsze wybierano go na ten urząd, „ponieważ miał mądrość pozwalającą być bezlitosnym bez okrucieństwa i wiedzę o tym, kiedy dobroć prowadzi do jeszcze większego okrucieństwa”.

Leto osiągnął zamierzony punkt.

– Mogę się poddać maszadowi – powiedział.

– Ja będę sędzią każdej duchowej próby – rzekł Muriz. – Przystajesz na to?

– *Bi-la kaifa* – odparł chłopiec. „Bez zastrzeżeń”.

Muriz zrobił chytrą minę.

– Nie wiem, dlaczego na to pozwalam – powiedział. – Najlepiej byłoby od razu cię zabić, ale jesteś Batigiem, a miałem syna, który już nie żyje. Chodź, pójdziemy do Szulochu. Zwołam Isnad, by zdecydował, co z tobą zrobić.

Widząc, jak każdy szczegół zachowania mężczyzny zdradza, że postanowił on już go zgładzić, Leto dziwił się, jak ktokolwiek mógłby się dać na to nabrać.

– Wiem, że Szuloch jest *Ahl as-sunna wal-dżamas* – rzekł.

– Co dziecko może wiedzieć o rzeczywistym świecie? – Muriz pokazał Leto ręką, by poszedł przed nim do ornitoptera.

Leto wykonał polecenie, ale czujnie nasłuchiwał kroków mężczyzny za swoimi plecami.

– Najpewniejszym sposobem utrzymania czegoś w sekrecie jest przekonanie ludzi, że już o tym wiedzą – rzekł Leto. – Wtedy nie zadają pytań. To było sprytne z waszej strony, kiedy wyrzucono was z Dżakurutu. Kto by pomyślał, że Szuloch, to mityczne miejsce z opowieści, istnieje naprawdę? A przy tym jakie to dogodne dla przemytników i wszystkich innych, którzy pragną mieć dostęp do Diuny.

Kroki Muriza ucichły. Leto odwrócił się, opierając plecami o ornitopter. Po lewej stronie miał skrzydło.

Muriz stał o pół kroku z wymierzonym w niego pistoletem maula.

– A zatem nie jesteś dzieckiem – powiedział. – Przeklęty karzeł, który przybył tutaj nas szpiegować! Od razu pomyślałem, że mówisz za mądrze jak na dziecko, ale powiedziałaś za dużo i za wcześnie.

– Nie dość dużo – odparł chłopiec. – Na imię mam Leto i jestem dzieckiem Paula Muad'Diba. Jeśli mnie zabijesz, ty i twoi ludzie wsiąkniecie w piach. Jeśli mnie oszczędzisz, poprowadzę was do wielkości.

– Nie próbuj ze mną żadnych sztuczek, karle! – warknął Muriz. – Leto jest w prawdziwym Dżakurutu, skąd, jak mówisz... – Urwał. Ręka z pistoletem lekko opadła, a brwi uniosły się ze zdumienia.

To była ta chwila wahania, której Leto oczekiwał. Napiął wszystkie mięśnie, markując ruch w lewo, dzięki czemu, chociaż nie przesunął się ani o milimetr, Fremen podążył ręką za tym fałszywym zwodem i uderzył nią gwałtownie w krawędź skrzydła. Pistolet wypadł mu z dłoni. Zanim Muriz zdołał ochłonąć, Leto stał już przy nim i przytknął mu do pleców jego krysnóż.

– Ostrze jest zatrute – ostrzegł. – Powiedz swojemu przyjacielowi w ornitopterze, że ma zostać tam, gdzie jest, i nie wykonywać żadnych ruchów. W przeciwnym razie będę musiał cię zabić.

Rozcierając zranioną dłoń, Muriz potrząsnął głową w stronę postaci w ornitopterze.

– Mój towarzysz Behalet słyszał cię. Będzie nieruchomy jak skała.

Leto wiedział, że ma bardzo mało czasu, zanim ci dwaj wymyślą jakiś plan albo zanim przybędą ich towarzysze, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Potrzebujesz mnie, Muriz – powiedział szybko. – Beze mnie znikną z Diuny czerwie i ich przyprawa.

Poczuł, że Fremen sztywnieje.

– Ale skąd wiesz o Szulochu? – zapytał Muriz. – Wiem, że w Dżakurutu nic o tym nie powiedzieli.

– Zatem przyznajesz, że jestem Leto Atrydą?

– A kim innym mógłbyś być? Ale jak...

– Bo wy tu jesteście – uciął Leto. – Szuloch istnieje, dlatego reszta jest zupełnie prosta. Jesteście Wygnańcami, którzy uciekli ze zniszczonego Dżakurutu. Widziałem, jak dawaliście sobie sygnały skrzydłami, a zatem nie używacie urządzeń, które można by podsłuchać z dużej odległości. Zbieracie

przyprawę, a zatem handlujecie nią. Możecie ją sprzedawać tylko przemytnikom. Jesteś przemytnikiem, ale jesteś też Fremenem. Musisz pochodzić z Szulochu.

– Dlaczego mnie prowokowałeś, żebym zabił cię na miejscu?

– Bo i tak byś mnie zabił, jak tylko przybylibyśmy do Szulochu.

Mięśnie Fremena nagle się napięły.

– Uważaj, Muriz – ostrzegł go Leto. – Znam wasze dzieje. Zabieraliście wodę nieostrożnych wędrowców. Do tej pory na pewno weszło wam to w krew, bo jak inaczej uciszylibyście tych, którzy się na was przypadkiem natknęli? Jak inaczej utrzymalibyście wasze istnienie w tajemnicy? Batig! Chciałeś mnie zwieść łagodnymi określeniami i miłymi słowami. Dlaczego miałbyś zmarnować choć kroplę mojej wody, pozwalając, żeby wsiąkła w piach? A gdybym zaginął jak wielu innych, to cóż... pochłonęło mnie Tanzerouft.

Muriz zrobił palcami prawej dłoni znak „rogów czerwia”, by odegnąć rihani, którą przywoływały słowa Leto. Ten zaś, wiedząc, z jaką nieufnością starsi Fremeni odnoszą się do mentatów i wszystkiego, co choćby trąci wyrafinowaną logiką, stłumił uśmiech.

– Powiedział ci o nas Namri w Dżakurutu – rzekł Muriz. – Wezmę jego wodę, kiedy...

– Będziesz miał tylko pusty piasek, jeśli nie przestaniesz zgrywać durnia – przerwał mu Leto. – Co zrobisz, jeśli całą Diunę pokryją trawa, drzewa i woda?

– Nigdy do tego nie dojdzie!

– To się już dzieje na twoich oczach.

Muriz zazgrzytał zębami z wściekłości i irytacji.

– Jak temu zapobiegiesz? – spytał.

– Znam cały plan przekształcenia planety – odparł Leto. – Znam wszystkie jego słabe i mocne punkty. Beze mnie szej-hulud zniknie na zawsze.

– Dlaczego mamy rozprawiać o tym tutaj? – W głosie Muriza ponownie zabrzmiała nuta przebiegłości. – Jesteśmy w sytuacji patowej. Masz mój nóż i możesz mnie zabić, ale wtedy Behalet cię zastrzeli.

– Podniosę twój pistolet, zanim zdąży to zrobić – rzekł Leto. – A potem wezmę wasz ornitopter. Owszem, potrafię nim latać.

Czoło Fremena zachmurzyło się pod kapturem.

– A jeśli nie jesteś tym, za kogo się podajesz?

– Czyż nie rozpozna mnie mój ojciec? – zapytał Leto.

– Aaach – mruknął Muriz. – To tak się dowiedziałeś, co? Ale... – Urwał i potrząsnął głową. – Jego przewodnikiem jest mój syn. Mówi, że wy dwaj nigdy... Jak mógłby...

– A zatem nie wierzycie, że Muad'Dib odczytuje przyszłość – powiedział Leto.

– Oczywiście, że wierzymy! Ale on sam mówi o sobie... – Znowu urwał.

– A wy myśleliście, że on nie zdaje sobie sprawy z waszej niewiary – stwierdził Leto. – Przybyłem dokładnie w to miejsce dokładnie w tym czasie, by cię spotkać, Muriz. Wiem o tobie wszystko, bo *widziałem* ciebie... i twojego syna. Wiem, jacy jesteście pewni swojego bezpieczeństwa, jak drwicie z Muad'Diba, jak knujecie, by ocalić wasz spłacheć pustyni. Ale beze mnie wasz spłacheć pustyni skazany jest na zagładę, Muriz. Straciecie go na zawsze. Sprawy na Diunie zaszły za daleko. Mój ojciec prawie całkowicie utracił zdolność doznawania wizji, możecie więc tylko zwrócić się do mnie.

– Ten ślepy... – Muriz ugryzł się w język.

– Wkrótce wróci z Arrakin – rzekł Leto – a wtedy zobaczymy, na ile jest ślepy. Jak daleko odeszliście od starych fremeńskich zwyczajów, Muriz?

– Co?

– On jest dla was *Wadquijas*. Wasi ludzie znaleźli go błądzącego samotnie po pustyni i przyprowadzili do Szulochu. Jak cennym był odkryciem! Cenniejszym niż żyła przyprawy. *Wadquijas!* Żył wśród was. Jego woda mieszała się z wodą waszego plemienia. Jest częścią waszej Rzeki Ducha. – Leto przycisnął mocniej krysnóż do płaszcza mężczyzny. – Uważaj, Muriz – powiedział, po czym podniósł lewą rękę, odpiął maskę zakrywającą twarz Fremena i opuścił ją.

– Dokąd byś się udał, gdybyś zabił nas obu? – spytał Muriz, wiedząc, co zamierza zrobić Leto.

– Z powrotem do Dżakurutu. – Leto przycisnął brzusek kciuka do ust Fremena. – Ugryź i pij, Muriz. Albo to zrobisz, albo umrzesz.

Muriz się zawahał, po czym wpił się w palec.

Leto przyglądał się uważnie gardłu mężczyzny. Zobaczył ruchy jego krtani świadczące o przełykaniu, cofnął nóż i zwrócił go właścicielowi.

– *Wadquijas* – rzekł. – Teraz musiałbym znieważyć plemię, żebyście wzięli moją wodę.

Muriz skinął głową.

- Twój pistolet leży tam. – Leto wskazał brodą.
- Teraz mi ufasz? – zapytał Muriz.
- A jak inaczej mogę żyć wśród Wygnańców?

Leto znowu ujrzał chytry błysk w oczach Muriza, ale tym razem Fremen ważył potencjalne korzyści. Odwrócił się raptownie, co wskazywało, że powziął decyzję, podniósł pistolet, a potem stanął na skrzydle, by wejść do ornitoptera.

– Chodź – powiedział do Leto. – Zbyt długo przebywamy w mateczniku czerw.



Przyszłość, która jawi się w widzeniu, nie zawsze można zamknąć w regułach przeszłości. Nici istnienia splatają się zgodnie z wieloma nieznanymi prawami. Przewidywana przyszłość domaga się własnych praw. Nie podporządkuje się nakazom zensunnitów ani nakazom nauki. Widzenie ukazuje względnie całościowy obraz, ale jest dziełem tylko tej chwili i zawsze ostrzega, że nie każdą nić można wpleść w tkaninę przeszłości.

– Kalima Słowa Muad'Diba, komentarz z Szulochu

Muriz poprowadził ornitopter nad Szuloch z łatwością wynikającą z długiej praktyki. Siedzący obok niego Leto czuł za plecami obecność uzbrojonego Behaleta. Teraz wszystko opierało się na zaufaniu i cienkiej nitce wizji, której się trzymał. Gdyby to zawiodło, *Allach akbar*. Czasem trzeba się było podporządkować sile wyższej.

Na tej pustyni ogromne wzniesienie Szulochu robiło wrażenie. To, że nie było go na żadnych mapach, świadczyło o wielu łapówkach i zgonach, o wielu przyjaciotach na wysokich stanowiskach. W sercu Szulochu Leto spostrzegł otoczoną skałami panew, do której prowadziły ślepe wąwozy. Dolne krańce tych wąwozów pokrywał gęszcz cieniołuski i łobody, a krąg palm pośrodku wskazywał na duże zasoby wody. Z dala od palm znajdowały się prymitywne chaty z zielokrzewu i włókna przyprawowego, które wyglądały jak rozrzucone na piasku zielone guziki. Mieszkali w nich wygnańcy spośród Wygnańców, którzy nie mogli już spaść niżej, chyba że w objęcia śmierci.

Muriz wylądował na panwi, obok wylotu jednego z wąwozów. Na piasku na wprost ornitoptera stała konstrukcja z łodyg pustynnych winorośli i liści bejato, połączonych stopionym na ogniu włóknem przyprawowym. Była to żywa kopia pierwszych, prymitywnych filtrnamiotów i świadczyła o nędzy niektórych mieszkańców Szulochu. Leto wiedział, że klitka ta przepuszcza wilgoć, a w nocy musi być pełna gryzoni z pobliskich gąszczy. A więc tak żył jego ojciec. I biedna Sabiha. Tu została zesłana za karę.

Na polecenie Muriza wysunął się z ornitoptera, zeskoczył na piasek i wielkimi krokami poszedł do chaty. Wśród palm, bliżej wąwozu, widział wielu pracujących ludzi. Wyglądali na obdartych i ubogich, to zaś, że ledwie zerknęli na niego i na ornitopter, dużo mówiło o ich przygnębieniu. Za robotnikami Leto dostrzegł skalną krawędź kanatu, a wyczuwalna w powietrzu wilgoć nieomylnie świadczyła o bliskości otwartej wody. Mijając chatę, Leto przekonał się, że faktycznie jest tak prymitywna, jak się spodziewał. Podeszedł do kanatu, spojrział w dół i zobaczył drapieżne ryby kłębiące się w ciemnej toni. Robotnicy, unikając jego wzroku, usuwali piasek z rzędu skalnych otworów.

Muriz zbliżył się do niego od tyłu.

– Stoisz na granicy między rybami i czerwiami – powiedział. – W każdym z tych wąwozów żyje czerw. Ten kanat został otworzony i teraz chcemy usunąć ryby, by przywabić piaskowe trocie.

– Oczywiście – rzekł Leto. – Do zagród. Sprzedajecie piaskowe trocie i czerwie na inne planety.

– Za radą Muad'Diba!

– Wiem. Ale ani czerwie, ani piaskowe trocie nie pożyją długo poza Diuną.

– Jeszcze nie – przyznał Muriz. – Ale z czasem...

– Ani za dziesięć tysięcy lat – stwierdził Leto i odwrócił się. Twarz Muriza wyrażała zmieszanie. Pytania kłębiły się tam jak woda w kanacie. Czy ten syn Muad'Diba naprawdę potrafi odczytywać przyszłość? Niektórzy nadal wierzyli, że robił to niegdyś Muad'Dib, ale... Jak można osądzić coś takiego?

Muriz odwrócił się i powiodł Leto do chaty. Otworzył prymitywną gródź i zaprosił go do środka. Pod przeciwległą ścianą świeciła lampa na olej przyprawowy, a obok niej siedziała w kucki, tyłem do drzwi, mała postać. Palący się olej wydzieliał ciężką woń cynamonu.

– Przysłano nową brankę, by dbała o sicz Muad’Diba – rzekł drwiąco Muriz. – Jeśli będzie się dobrze spisywała, może przez pewien czas zachowa swoją wodę. – Stał twarzą w twarz z Leto. – Niektórzy uważają, że branie takiej wody jest niegodziwe. Ci wymuskani Fremeni tworzą w swoich nowych miastach sterty śmieci. Sterty śmieci! Czy kiedykolwiek widziano na Diunie sterty śmieci? Gdy łapiemy kogoś takiego jak ta tutaj – wskazał postać przy lampie – zwykle jest na poły oszalała ze strachu, stracony dla podobnych sobie, ale nie do przyjęcia dla prawdziwych Fremenów. Rozumiesz mnie, Leto-Batigu?

– Rozumiem.

Skulona postać nawet się nie poruszyła.

– Mówisz, że nas powiesz – rzekł Muriz. – Fremenów wiodą mężczyźni, którzy zboczyli swoje ręce krwią. Dokąd mógłbyś nas powieść?

– Do Kralizeku – odparł Leto, skupiając uwagę na kucającej postaci.

Muriz spiorunował go wzrokiem, ściągając brwi nad oczami koloru indygo. Kralizek? To nie zwykła wojna czy rewolucja, to Tajfun Walki. Było to słowo z najstarszych fremeńskich legend i oznaczało bitwę na krańcu wszechświata. Kralizek?

Wysoki Fremen przełknął spazmatycznie ślinę. Ten młokos był równie nieprzewidywalny jak fircyk z miasta! Zwrócił się ku postaci przycupniętej przy lampie.

– Kobieto! *Liban wahid!* – rozkazał. „Przynieś nam napoju przyprawowego”.

Zawahała się.

– Zrób, co mówi, Sabiha – rzekł Leto.

Poderwała się na nogi i gwałtownie okręciła. Patrzyła na niego, nie mogąc oderwać wzroku od jego twarzy.

– Znasz ją? – zapytał Muriz.

– Jest siostrzenicą Namriego. Naraziła się w Dżakurutu, więc przysłali ją do ciebie.

– Namriego? Ale...

– *Liban wahid* – powtórzył Leto.

Przemknęła obok nich jak burza, wypadła przez gródź i usłyszeli szybko oddalający się tupot jej stóp.

– Nie odbiegnie daleko – powiedział Muriz. Przytknął palec do boku nosa. – Krewna Namriego, no, no. Ciekawe. A czym się naraziła?

– Pozwoliła mi uciec – odparł Leto, po czym odwrócił się i wyszedł za Sabihą.

Znalazł ją na brzegu kanatu. Stał obok niej i spojrzał na wodę. W pobliskich palmach były ptaki – słyszał ich głosy, łopot skrzydeł. Robotnicy odgarniali piach, zgrzytając łopatami o kamienie. Mimo tego robił to, co Sabiha: wpatrywał się w wodę i w refleksy światła na jej powierzchni. Kątem oka dostrzegł błękitne papużki aleksandryjki wśród strzępiastych liści palm. Jedna przeleciała nad kanatem i zobaczył jej odbicie w srebrzystym roju ryb. Sunęło wraz z nimi, jakby ptaki i wodne drapieżniki pływały po tym samym nieboskłonie.

Sabiha odchrząknęła.

– Nienawidzisz mnie – stwierdził Leto.

– Okryłeś mnie hańbą, okryłeś mnie hańbą przed moim ludem. Zwołali Isnad i zesłali mnie tutaj, bym utraciła swoją wodę. Wszystko przez ciebie!

Za ich plecami rozległ się śmiech Muriza.

– Zatem teraz widzisz, Leto-Batigu, że nasza Rzeka Ducha ma wiele dopływów.

– Ale w twoich żyłach płynie moja woda – rzekł Leto, odwracając się. – To nie żaden dopływ. Sabiha jest moim przeznaczeniem, które ujrzałem w wizji, podążam więc za nią. Uciekłem przez pustynię, żeby tutaj, w Szulochu, znaleźć swą przyszłość.

– Ty i... – Muriz wskazał Sabihę i wybuchnął tak gromkim śmiechem, że aż odrzuciło mu do tyłu głowę.

– Nie będzie tak, jak którekolwiek z was może uważać – powiedział Leto.

– Zapamiętaj to, Muriz. Znalazłem ślady mojego czerwia. – I poczuł, że do oczu napływają mu łzy.

– Oddaje wodę umarłym – wyszeptała Sabiha.

Nawet Muriz patrzył na niego z nabożnym lękiem. Fremeni nigdy nie płakali, chyba że chcieli przekazać największy dar duszy. Niemal zakłopotany, Muriz włożył filtr ustny i naciągnął niżej kaptur dżeballi.

Leto przeniósł wzrok poza niego.

– Tutaj, w Szulochu, nadal modlą się o rosę na skraju pustyni – rzekł. – Idź, Muriz, i módl się o Kralizek. Obiecuję ci, że nadejdzie.



Mowa Fremenów jest bardzo zwięzła, znaczenie wyrażen precyzyjne. Przebija przez nią złudne przekonanie o bezwzględnie zdeterminowanym charakterze wydarzeń, wskutek czego założenia, na których się opiera, stanowią podatny grunt dla rozwoju religii głoszących predestynację. Poza tym Fremen z upodobaniem oddają się moralizowaniu. Przerazającą niestabilność wszelkich rzeczy kwitują utartymi powiedzeniami. Mówią: „Wiemy, że nie istnieje *summa* całej osiągalnej wiedzy, że jest ona zarezerwowana dla Boga, ale człowiek może zachować wszystko, co jest w stanie poznać”. Taki stosunek do wszechświata stał się podstawą ich fanatycznej wiary w znaki, wróżby i przeznaczenie. Jest on też źródłem ich legendy o Kralizeku – wojnie na krańcu wszechświata.

– prywatne raporty Bene Gesserit, teczka 800881

– Trzymają go w bezpiecznym miejscu – rzekł Namri, posyłając Gurneyowi Halleckowi uśmiech przez kwadratowe kamienne pomieszczenie. – Możesz donieść o tym swoim przyjaciółm.

– A gdzie jest to bezpieczne miejsce? – zapytał Halleck.

Nie podobał mu się ton Namriego i czuł się skrzepowany rozkazami Jessiki. Niech szlag trafi tę czarownicę! Oprócz ostrzeżenia o tym, co mogłoby się zdarzyć, gdyby Leto nie udało się zapanować nad strasznymi wielorakimi pamięciami, jej wyjaśnienia nie miały dla niego sensu.

– To miejsce jest bezpieczne – odparł Namri. – To wszystko, co wolno mi tobie powiedzieć.

– Skąd o tym wiesz?

– Otrzymałem dystrans. Jest z nim Sabiha.

– Sabiha! Przecież ona powie mu...

– Nie tym razem.

– Zamierzasz go zabić?

– To już nie zależy ode mnie.

Halleck skrzywił się. *Dystrans*. Jaki zasięg miały te przeklęte nietoperze? Często widywał je śmigające nad pustynią z ukrytymi wiadomościami zapisanymi w ich piskliwych głosach. Ale jak daleko mogą dotrzeć na tej piekielnej planecie?

– Muszę go zobaczyć na własne oczy – rzekł.

– Nie ma na to pozwolenia.

Halleck wziął głęboki oddech, by się uspokoić. Dwa dni i dwie noce czekał na raporty poszukiwaczy. Teraz był kolejny ranek i czuł, że jego rola w tym wszystkim się kończy. Miał wrażenie, jakby jego strój nagle

rozpłynął się i pozostał nagi. Zresztą i tak nigdy nie lubił dowodzić. Dowódca zawsze czekał, podczas gdy inni wykonywali ciekawe i niebezpieczne zadania.

– Dlaczego nie ma na to pozwolenia? – zapytał.

Przemytnicy, którzy znaleźli tę bezpieczną sicz, pozostawili bez odpowiedzi zbyt wiele pytań i nie chciał, żeby Namri też zbył go niczym.

– Niektórzy uważają, że widząc tę sicz, już i tak zobaczyłeś za dużo – odparł Namri.

Halleck zrozumiał ukrytą w tym groźbę i rozluźniwszy mięśnie, przyjął postawę doświadczonego wojownika, z ręką nie na nożu, lecz obok niego. Wolałby mieć tarczę, ale była ona wykluczona z powodu wpływu, jaki wywierała na czerwie, a także krótkiej żywotności spowodowanej wyładowaniami podczas burz.

– Ta dyskrecja nie jest częścią naszej umowy – powiedział.

– A gdybym go zabił, byłaby to część naszej umowy?

I znowu Halleck odczuł zmaganie się niewidzialnych sił, przed którymi nie ostrzegła go lady Jessika. Ten jej przekłety plan! Może nie należało ufać Bene Gesserit. Zaledwie to pomyślał, skarcił się w duchu za nielojalność. Wyjaśniła mu, na czym polega problem, a on przystał na jej plan, spodziewając się, że jak wszystkie plany, będzie później wymagał korekt. To nie była *jakaś* Bene Gesserit, lecz Jessika z rodu Atrydów, która zawsze okazywała mu wyłącznie przyjaźń i służyła wsparciem. Wiedział, że gdyby nie ona, byłby zagubiony we wszechświecie bardziej niebezpiecznym niż planeta, na której teraz mieszkał.

– Nie potrafisz odpowiedzieć na moje pytanie – stwierdził Namri.

– Miałeś go zabić tylko wtedy, gdyby się okazał... opętany – rzekł Halleck. – Gdyby był Złym Duchem.

Namri przyłożył pięść do prawego ucha.

– Twoja pani wie, że mamy sposoby, by się o tym przekonać. Mądrze z jej strony, że mnie zostawiła osąd.

Halleck zacisnął usta z irytacji.

– Słyszałeś skierowane do mnie słowa Matki Wielebnej – rzekł Namri. – My, Fremeni, rozumiemy takie kobiety, tymczasem wy, obcoświatowcy, nigdy ich nie zrozumiecie. Fremeńskie kobiety często posyłają swoich synów na śmierć.

– Chcesz powiedzieć, że go zabiłeś? – spytał Halleck przez zaciśnięte usta.

– Żyje. Jest w bezpiecznym miejscu. Nadal będzie otrzymywał przyprawę.

– Ale jeśli to przetrzyma, mam go z powrotem zabrać do babki – powiedział Halleck.

Namri tylko wzruszył ramionami.

Gurney zrozumiał, że to już cała odpowiedź. Niech to szlag! Nie mógł wrócić do Jessiki z tyloma pytaniami bez odpowiedzi! Potrząsnął głową.

– Po co kwestionować to, czego nie można zmienić? – zapytał Namri. – Dobrze ci płacą.

Halleck spojrzał na niego gniewnie. Ci Fremeni! Sądzą, że wszyscy obcy myślą głównie o pieniądzach. Ale Namri wyrażał coś więcej niż tylko fremeńskie uprzedzenia. Działy tu inne siły, co było oczywiste dla kogoś wyszkolonego przez Bene Gesserit w sztuce obserwacji. Cała ta sprawa brzydko pachniała fintą wewnątrz finty w fencie...

– Lady Jessika nie będzie się posiadała ze złości – rzekł, przybrawszy obraźliwie poufalego ton. – Może wysłać kohorty przeciw...

– *Zanadiq!* – zaklął Namri. – Ty sługusie! Stoisz poza Mohalata! Z radością posiadę twoją wodę dla Szlachetnych!

Halleck położył dłoń na nożu i przygotował lewy rękaw, w którym ukrył małą niespodziankę dla napastników.

– Nie widzę tutaj rozlanej wody – powiedział. – Może zaślepiła cię twoja pycha.

– Żyjesz jeszcze tylko dlatego, byś dowiedział się przed śmiercią, że twoja lady Jessika nie wyśle kohort przeciwko nikomu. Nie zostaniesz spokojnie zwabiony do Huanui, ty obcoświatowy śmieciu. Ja należę Szlachetnych, a ty...

– A ja jestem tylko sługą Atrydów – przerwał mu łagodnie Halleck. – Jesteśmy śmieciami, którzy zdjęli z waszych śmierdzących karków jarzmo Harkonnenów.

Namri wykrzywił usta w grymasie, ukazując białe zęby.

– Twoja pani jest więziona na Salusie Secundusie – powiedział. – Wiadomości, które jak sądziłeś, otrzymywałeś od niej, wychodziły spod ręki mojej córki!

Halleckowi z najwyższym trudem udało się przemówić spokojnie.

– To bez znaczenia. Alia...

Namri wyciągnął krysnoż.

– A co ty wiesz o Łonie Niebios? Jestem jej sługą, ty męska dziwko. Wykonam jej polecenie i wezmę twoją wodę! – krzyknął i rzucił się wprost na Hallecka, ryzykując, że nadzieje się na jego nóż.

Gurney nie dał się zwieść tą pozorną niezdarnością. Trzepnął lewym rękawem swego płaszcza, wyrzucając kawał ciężkiej tkaniny, który tam wszyl, i parując nim cios Namriego. Tym samym płynnym ruchem owinał tkaniną głowę mężczyzny i od dołu pchnął go przez nią prosto w twarz. Poczuł, że sztych doszedł do celu, kiedy ciało Namriego zderzyło się z jego ciałem twardą metalową powierzchnią ukrytej pod płaszczem zbroi. Fremen wydał pełen wściekłości skowyt, szarpnął się do tyłu i zwałił na podłogę. Z jego ust buchała krew, a oczy patrzyły z nienawiścią na Hallecka, po czym powoli zasnuły się mgłą.

Halleck wypuścił ze świstem powietrze przez ściągnięte wargi. Jak ten głupiec Namri mógł przypuszczać, że nikt nie zauważy zbroi pod płaszczem? Włożył na miejsce doszytą część rękawa, wytarł nóż i wsunął go do pochwy.

– Myślałeś, głupcze – zwrócił się do trupa – że nas, sługi Atrydów, tak marnie wyszkolono?

Wziął głęboki oddech, myśląc: „No tak. Ciekawe, czyją fintą ja jestem”. Słowa Namriego brzmiały wiarygodnie. Jessika uwięziona przez Corrinów, Alia snuje chytre intrygi. Jessika przestrzegała go przed wieloma ewentualnościami, w których Alia występowała jako wróg, ale nie przewidziała, że sama może zostać więźniem. Tak czy inaczej, musiał wykonać rozkazy. Przede wszystkim należało się wydostać z tego miejsca. Na szczęście w płaszczu jeden Fremen niewiele różnił się od drugiego. Przetoczył zwłoki Namriego w kąt i przykrył poduszkami, przesunął dywan, by zakryć ślady krwi. Uporawszy się z tym, włożył wtyki do nosa i filtr do ust, założył maskę jak ktoś, kto przygotowuje się do wyjścia na pustynię, naciągnął kaptur płaszcza i wkroczył w długi korytarz.

„Niewinni nie poruszają się ostrożnie” – uświadomił sobie i obrał niedbały krok, jakby wybierał się na przechadzkę. Czuł się dziwnie swobodnie, jak gdyby właśnie uniknął zagrożenia, a nie zmierzał wprost ku niemu.

„Nigdy nie podobało mi się to, co zaplanowała dla tego chłopca – pomyślał – i powiem jej to wprost, jeśli się z nią zobaczę. Jeśli”. Bo jeżeli Namri mówił prawdę, wszedł w życie najgroźniejszy z przeciwnych

planów. Jeśli Alia go złapie, nie pożyje długo, ale zawsze jeszcze pozostawał Stilgar – przyzwoity Fremen z przyzwoitymi fremeńskimi przesadami.

„Prawdziwy charakter Stilgara pokrywa bardzo cienka warstewka cywilizowanych zachowań – wyjaśniła mu Jessika. – A oto, jak możesz usunąć tę warstewkę...”



Duch Muad'Diba jest czymś więcej niż słowa, czymś więcej niż litera Prawa, które powstaje w jego imię. Musi on zawsze wywoływać to wewnętrzne oburzenie na zadowolonych z siebie władców, na szarlatanów i dogmatycznych fanatyków. Trzeba pozwolić dojść do głosu temu oburzeniu, albowiem Muad'Dib nauczał nas przede wszystkim jednego: tego, że ludzie mogą przetrwać tylko w braterstwie sprawiedliwości społecznej.

– *Kompendium fedajkina*

Leto siedział oparty plecami o ścianę chaty, z uwagą skupioną na Sabisze, obserwując, jak rozwijają się nici jego wizji.

Sabiha przygotowała kawę i odstawiła ją. Teraz kucnęła naprzeciwko i mieszała jego wieczorny posiłek. Był to pachnący przyprawą kleik. Jej ręce poruszały szybko łyżką i boki miski pokryły ściekające plamy koloru indygo. Pochyliła szczupłą twarz nad naczyniem, dosypując koncentratu. Zgrzebna powłoka, czyniąca z chaty coś w rodzaju filtrnamiotu, była wprost za Sabihą połatana skrawkami jaśniejszego materiału, tworząc nimb, w którym w migocącym świetle płomienia kuchenki i jedynej lampy tańczył cień dziewczyny.

Ta lampa intrygowała Leto. Ludzie w Szulochu nie liczyli się z olejem przyprawowym – lampa, a nie lumisfera. Trzymali niewolników-wygnańców z siczy w warunkach znanych z najstarszych fremeńskich tradycji, a jednocześnie używali ornitopterów i najnowszych zniwiarek. Byli dziwną mieszkanką zacofania i nowoczesności.

Sabiha podsunęła mu miskę z kleikiem i zgasila płomyk kuchenki.

Leto zignorował posiłek.

– Zostanę ukarana, jeśli tego nie zjesz – powiedziała.

Patrzył na nią, myśląc: „Jeśli ją zabiję, zniweczy to jedną wizję. Jeśli powiem jej o planach Muriza, zniszczy to następną. Jeśli będę czekał tutaj na

ojca, nitka tej wizji stanie się mocnym sznurem”.

Jego umysł robił przegląd owych nitek. Część obiecywała słodycz, która go dręczyła. Przyszłość z Sabihą zapowiadała się jako kusząca rzeczywistość i wypierała wszystkie inne, dopóki nie prześledził jej aż do bolesnego końca.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – zapytała.

Nie odpowiedział.

Podsunęła bliżej miskę.

Leto starał się przełknąć ślinę przez suche gardło. Wzbierało w nim pragnienie zabicia Sabihy. Ten impuls był tak silny, że aż zaczął drżeć. Jak łatwo byłoby zniszczyć jedną wizję i wyzwolić dzikość.

– To rozkaz Muriza – powiedziała, dotykając miski.

Tak, Muriz kazał jej to zrobić. Przesąd panował nad wszystkim. Muriz chciał, żeby roztoczono przed nim wizję. Był niczym pradawny dzikus, który prosi szamana, by rzucił kości wołu i odczytał z ich rozkładu przyszłość. Zabrał filtrak jeńca „ze zwykłej przezorności”. Był w tej uwadze chytry przytyk pod adresem Namriego i Sabihy. „Tylko głupcy pozwalają więźniowi uciec”.

Muriz miał jednak poważny problem emocjonalny: Rzekę Ducha. W jego żyłach płynęła woda jeńca. Szukał pretekstu, który pozwoliłby mu zagrozić Leto śmiercią.

„Jaki ojciec, taki syn” – pomyślał Leto.

– Przyprawa wywoła tylko wizje – powiedziała Sabiha. Długie milczenie ją krępowało. – Wiele razy miałam wizje podczas orgii. One nic nie znaczą.

„To jest to!” – pomyślał Leto, a jego ciało zamarło. Skóra stała się zimna i lepka. Jego świadomością zawładnęło wyszkolenie Bene Gesserit: doznał olśnienia, które w porażającym blasku wizji ukazało mu Sabihę i wszystkich Wygnańców. Prastara nauka Bene Gesserit mówiła jednoznacznie: „Języki rozwijają się, by odzwierciedlać poszczególne sposoby życia, specjalizacje. Każdy z tych sposobów można rozpoznać po słowach, założeniach, na których się opiera, i budowie zdań. Szukaj przystanków. Specjalizacje oznaczają miejsca, w których życie się zatrzymuje, a wszelki ruch zostaje zatamowany i zamiera”. I wtedy Sabiha ukazała mu się jako wizjonerka nie gorsza niż inni ludzie, bo każdy człowiek miał taką zdolność. Pogardzała jednak wizjami, których doznawała podczas orgii przygotowowych. Wywoływały niepokój i dlatego trzeba je było usunąć na bok, rozmyślnie o nich zapomnieć. Jej lud modlił się do Szej-huluda, ponieważ dominował

on w wielu wizjach. Modlili się o rosę na skraju pustyni, ponieważ od wilgoci zależało ich życie, tymczasem pławili się w obfitości przyprawy i zwabiali piaskowe trocie do otwartych kanatów. Sabiha karmiła go wizjami z beztroską bezduszością, a mimo to dostrzegał w jej słowach wiele mówiące sygnały – polegała na prawdach absolutnych, szukała ostatecznych, dokładnie określonych granic, wszystko to zaś dlatego, że nie potrafiła znieść konsekwencji strasznych decyzji, które bezpośrednio jej dotyczyły. Trzymała się kurczowo swojej jednostronnej wizji wszechświata, mimo iż oznaczało to stagnację, gdyż przerażały ją inne możliwe jego wersje.

Natomiast Leto czuł, że jest czystym ruchem. Był błoną przybierającą nieskończoną liczbę wymiarów i ponieważ widział te wymiary, mógł podjąć owe straszne decyzje.

„Jak ojciec” – pomyślał.

– Musisz to zjeść! – powiedziała Sabiha rozdrażnionym głosem.

Leto zobaczył teraz cały układ wizji i wiedział, za którą nitką musi podążyć. „Moja skóra nie jest moją skórą”. Wstał, owijając się płaszczem. Bez chroniącego ciała filtraka czuł się dziwnie. Bosymi stopami wyczuwał drobiny piasku na podłodze ze stopionych włókien przyprawowych.

– Co robisz? – zapytała Sabiha.

– Powietrze tutaj jest nieświeże – odparł. – Wychodzę.

– Nie możesz uciec – stwierdziła. – W każdym wąwozie jest czerw. Jeśli wyjdiesz za kanat, wyczują twoją wilgoć. Te złapane czerwie są bardzo czujne, nie tak jak te na pustyni. A poza tym – jak triumfalny ton przybrał jej głos! – nie masz filtraka.

– To dlaczego się martwisz? – spytał, zastanawiając się, czy może ją sprowokować do autentycznej reakcji.

– Bo nie zjadłeś.

– A ty zostaniesz ukarana?

– Tak!

– Ale ja mam już przyprawy po dziurki w nosie – oznajmił. – Każda chwila jest wizją. – Wskazał bosą stopą miskę. – Wylej to na piasek. Kto się dowie?

– Obserwują nas – szepnęła.

Potrząsnął głową, wyrzucając ją ze swoich wizji, czując się na nowo wolnym. Nie trzeba było zabijać tego pionka. Tańczyła do innej muzyki, nie znając nawet kroków i wierząc, że może jeszcze zakosztować władzy, która

mamiła zgłodniałych rozbójników z Szulochu i Dżakurutu. Leto podszedł do grodzi, położył na niej dłoń.

– Kiedy przyjdzie Muriz – powiedziała – będzie zły, że...

– Muriz jest handlarzem pustki – przerwał jej. – Moja ciotka wysączyła z niego wszystkie soki.

Wstała.

– Pójdę z tobą – oświadczyła.

„Pamięta, jak jej uciekłem – pomyślał. – Czuje teraz, jak krucha jest jej władza nade mną. Klębią się w niej wizje”. Ale Sabiha nie chciała słuchać tych wizji. Musiała jedynie się zastanowić: Jak Leto zdoła przechytrzyć czerwia w wąskim wąwozie? Jak uda mu się przeżyć na Tanzerouft bez filtraka i fremsaka?

– Muszę samotnie sprawdzić moje wizje – powiedział. – Zostaniesz tutaj.

– Dokąd pójdziesz?

– Nad kanat.

– Nocą aż roi się tam od piaskowych troci.

– Nie zjedzą mnie.

– Czasami czerw podchodzi niemal do samej wody – powiedziała. – Jeśli wyjdiesz za kanat... – Umilkła, starając się nadać swoim słowom groźne brzmienie.

– Jak mógłbym się wspiąć na czerwia bez haków? – odparł, zastanawiając się, czy Sabisze nadal udawało się zachować jakiś fragment jej wizji.

– Zjesz, kiedy wrócisz? – zapytała, kucając ponownie przy misce, biorąc łyżkę i mieszając nią wywar barwy indygo.

– Wszystko w swoim czasie – rzekł, wiedząc, że Sabiha nie zdoła wykryć delikatnego użycia Głosu, tego, jak wplótł swoje pragnienia w jej proces decyzyjny.

– Muriz przyjdzie i sprawdzi, czy miałeś wizje – ostrzegła.

– Poradzę sobie z nim na swój sposób – odparł Leto, zauważywszy, jak ociężałe i ospałe stały się jej ruchy. Pokierował nią tak, że zupełnie naturalnie weszła w utarte koleiny wszystkich Fremenów. O wschodzie słońca rozpierała ich energia, ale o zachodzie ogarniała głęboka, senna melancholia. Sabiha chciała już zapaść w sen.

Leto wyszedł samotnie w noc.

Niebo było roziskrzane gwiazdami, w których świetle widział zarysy otaczających sicz skał. Ruszył pod palmy, do kanatu.

Długo siedział w kucki nad jego brzegiem, słuchając niespokojnego szelestu piasku za wodą. Sądząc z tych odgłosów, był to mały czerw; bez wątpienia właśnie dlatego został wybrany. Leto myślał o tym, jak go schwytano – łowcy odurzyli go rozpyloną wodą, co było tradycyjnym fremeńskim sposobem łapania czerwia dla potrzeb orgii albo rytuału przemiany. Ale ten czerw nie zostanie zabity przez zanurzenie w wodzie. Ten polecą liniowcem Gildii do jakiegoś pełnego nadziei nabywcy, którego pustynia prawdopodobnie będzie zbyt wilgotna. Niewielu obcoświatowców zdawało sobie sprawę z zasadniczego znaczenia suszy, którą utrzymywały na Arrakis piaskowe trocie. *Dotąd utrzymywały*, bo nawet tutaj, na Tanzerouft, wilgotność powietrza będzie wielokrotnie wyższa niż ta, której doświadczył jakikolwiek czerw, o ile nie zginął we fremeńskim zbiorniku.

Słyszał, jak w chacie za nim porusza się Sabiha. Była niespokojna, miotała się, dopingowana przez swoje stłumione wizje. Zaczął się zastanawiać, jak by to było żyć z nią poza wizją, dzielić z nią każdą chwilę tak, jak nadchodziła. Pociągało go to znacznie silniej niż jakakolwiek wizja przyprawowa. W stawieniu czoła nieznanej przyszłości było coś czystego.

„Pocałunek w siczy wart jest dwóch pocałunków w mieście”.

To stare fremeńskie porzekadło mówiło wszystko. W tradycyjnej siczy dzikość mieszała się ze wstydlivością. Ślady, ale tylko ślady, tej wstydlivości widać było w mieszkańcach Dżakurutu i Szulochu. Zasmucił się, dostrzegłszy, co zostało utracone.

Powoli, tak powoli, że uświadomił to sobie w pełni, zanim rozpoznał początki tego, co się dzieje, zdał sobie sprawę, że wokół niego porusza się wiele stworzeń.

„Piaskowe trocie”.

Wkrótce nadejdzie czas, by przejść z jednej wizji w drugą. Ruch troci odczuwał jak ruch we własnym ciele. Fremeni od pokoleń żyli obok tych dziwnych stworzeń, wiedzieli więc, że jeśli poświęciło się odrobinę wody na przynętę, można je było złapać. Wielu umierających z pragnienia Fremenów oddawało w tym celu ostatnie krople wody, bo słodki syrop wyciśnięty z piaskowej troci dawał zastrzyk energii. Ale było to głównie zajęcie dzieci, które łapały je dla Huanui. I dla zabawy.

Leto zadrżał na myśl o tym, co ta *zabawa* oznaczała teraz dla niego.

Poczuł, że jedno z tych stworzeń prześlizguje się po jego bosej stopie. Zawahało się, po czym ruszyło dalej, przyciągane większą ilością wody w kanacie.

Jednak przez chwilę czuł rzeczywiste znaczenie tej strasznej decyzji. „Trociowa rękawiczka”. Była to dziecięca zabawa. Jeśli złapało się troć i położyło na skórze, tworzyła żywą rękawiczkę. Stworzenia te wyczuwały krew w naczyniach włosowatych skóry, ale odstręczało je coś zmieszanego z wodą w krwi, więc wcześniej czy później rękawiczka spadała na piach, a stamtąd podnoszono ją i wrzucano do koszyka z włókna przyprawowego. Przyprawa uspokajała trocie, dopóki nie wrzucono ich do alembiku śmierci.

Słyszał plusk troci wpadających do kanatu, rzucanie się pożerających je drapieżnych ryb. Woda zmiękczała trocie. Dzieci szybko się o tym dowiadywały. Wystarczyła kropla śliny, by wydobyć z tych stworzeń słodki syrop. Leto słuchał pluskania. Trocie ciągnęły do otwartej wody, ale nie mogły otorbić kanatu pilnowanego przez ryby.

Mimo to nadchodziły, mimo to wpadały do niego z pluskiem.

Pomacał prawą ręką piasek i jego palce natrafiły na chropawą skórę troci. Była to duża sztuka, tak jak się spodziewał. Nie tylko nie starała się umknąć, ale ochoczo wpęzła na jego ciało. Wolną ręką zbadał kształt stworzenia – był mniej więcej romboidalny. Nie miało głowy, żadnych wypustek ani oczu, ale bezbłędnie potrafiło znaleźć wodę. Trocie łączyły się ze sobą, spletając długie rzęski, aż w końcu stawały się jednym dużym, zamykającym wodę organizmem i odgradzały tę „truciznę” od olbrzyma, którym w końcu miały się stać: od szej-huluda.

Troć wierciła się na jego dłoni, wydłużając się i rozciągając. Kiedy się poruszała, czuł harmonizujące z nią wydłużanie i rozciąganie się wizji, którą wybrał. „Ta nitka, nie tamta” – pomyślał. Troć stawała się coraz cieńsza, pokrywając coraz większą część jego ręki. Nigdy jeszcze żadna troć nie napotkała takiej ręki, w której każda komórka przesycona była przyprawą. Nigdy jeszcze żaden człowiek nie znalazł się w takim stanie. Leto delikatnie dostosował do tego poziom swoich enzymów, kierując się pewnością, którą zyskał w przyprawowym transie. Pewność tę dawała mu wiedza niezliczonych istnień, które połączyły się z jego istnieniem. Dzięki niej wybierał precyzyjne dostosowania, chroniące go przed śmiercią z przedawkowania, która porwałaby go w swoje szpony, gdyby choć na moment stracił czujność. Równocześnie stapiał się w jedno z piaskową trocią, żerując na niej, karmiąc ją i poznając. Wzór tego podsunęła mu wizja i stosował się do niej w każdym calu.

Czuł, że troć robi się coraz cieńsza, powlekając coraz większą część jego dłoni i sięgając aż do ramienia. Znalazł drugą i umieścił ją na pierwszej.

Wzajemny kontakt spowodował gorączkowe ruchy stworzeń. Splotły się rżęskami i utworzyły błonę okrywającą jego rękę aż po łokieć – niczym żywa rękawiczka z dziecięcych zabaw, ale cieńsza i wrażliwsza – kiedy wabił je, by weszły w symbiozę z jego skórą. Sięgnął w dół ręką w tej żywej rękawiczce i poczuł piasek, każde jego ziarno. Nie były to już piaskowe trocie, lecz coś twardszego, silniejszego. I z każdą chwilą stawało się to jeszcze silniejsze... Jego błądząca po ziemi ręka natrafiła na kolejną troć, ta zaś połączyła się z pierwszymi dwiema i przystosowała do nowej roli. Chropawa miękkość ogarnęła jego rękę po bark.

Dzięki ogromnej koncentracji doprowadził do zjednoczenia tej nowej skóry ze swoim ciałem, zapobiegając jej odrzuceniu. Nawet najmniejszej cząstki uwagi nie poświęcił rozważeniu straszliwych następstw tego, co robił. Liczyły się tylko wymogi jego wizji. Z tej ciężkiej próby mógł się wyłonić jedynie Złoty Szlak.

Zrzucił płaszcz i położył się nagi na piasku, wyciągając rękę w rękawicy na spotkanie ciągnącym do wody trociom. Pamiętał, jak kiedyś złapał z Ganimą piaskową troć i tarł nią o piasek, aż skurczyła się do postaci „dziecięcego czerwia”, sztywnej rurki nabrzmiałej zielonym syropem. Nagryzało się delikatnie jeden koniec i ssało, zanim ranka się zabiłiła, uzyskując parę kropel słodczy.

Teraz pokrywały całe jego ciało. Czuł pulsowanie swojej krwi pod tą żyjącą błoną. Jedna z troci usiłowała zakryć jego twarz, ale roztarł ją szorstko i zmieniła się w cienki rulon. Była dużo dłuższa niż dziecięcy czerw i zachowała elastyczność. Nagryzł jej koniec i poczuł w ustach strumyczek słodczy ciekący o wiele dłużej, niż zdarzyło się smakować jakimkolwiek Fremenowi. Zaznał przyptywu energii, a jednocześnie jego ciało przepełniło dziwne podniecenie. Jakiś czas zajęło mu usuwanie błony z twarzy, ale w końcu utworzył sztywną fałdę, sięgającą od szczęki po czoło i zostawiającą odkryte uszy.

Teraz trzeba było sprawdzić tę wizję.

Powstał, odwrócił się, by pobiec do chaty, i stwierdził, że jego nogi poruszają się tak szybko, iż nie może zachować równowagi. Padł na piasek, przekoziółkował i poderwał się. Ten skok wyniósł go dwa metry nad ziemię, a kiedy spadł na nią, starając się normalnie iść, znowu poruszał się zbyt szybko.

„Dość!” – pomyślał. Pogрузzył się w narzuconej sobie siłą woli koncentracji prana i bindu, zbierając zmysły w jedno źródło świadomości.

Skupiło to wewnętrzne falowanie owego *stałego teraz*, przez które doświadczał czasu, pozwolił więc, by ogrzało go uniesienie wywołane wizją. Błona zachowywała się dokładnie tak, jak ujrzał to w wizji.

„Moja skóra nie jest moją skórą”.

Ale jego mięśnie musiały trochę poćwiczyć, by przyzwycząić się do tego spotęgowanego ruchu. Kiedy szedł, przewracał się i koziółkował. Usiadł. W ciszy fałda pod jego szczęką usiłowała stać się błoną zakrywającą mu twarz. Splunął i ugryzł ją, smakując słodki syrop. Zsunęła się w dół pod naciskiem jego ręki. Minęło dosyć czasu, by błona utworzyła jedno z jego ciałem. Leto wyciągnął się na ziemi i przekręcił na brzuch. Zaczął się czołgać, trąc błoną o piasek. Czuł wyraźnie jego drobiny, ale nic nie szorowało jego ciała. Zaledwie kilkoma pływackimi ruchami przebył pięćdziesiąt metrów. Reakcją fizyczną było wywołane tarcie doznanie ciepła.

Błona nie próbowała już pokrywać jego nosa i ust, ale teraz stanął przed następnym dużym krokiem, który miał go wprowadzić na Złoty Szlak. Jego wysiłki zawiodły go za kanat, do wąwozu, w którym znajdował się uwięziony czerw. Słyszał, jak sunie ku niemu ze świstem, zwabiony jego ruchami.

Poderwał się na nogi z zamiarem poczekania na czerwia, ale ten ruch sprawił, że znalazł się dwadzieścia metrów dalej w wąwozie i padł płasko na ziemię. Usiadł, z najwyższym wysiłkiem panując nad swoimi reakcjami. Piasek przed nim zaczął się wybrzuszać i wyrósł z niego w blasku gwiazd potworny, zakrzywiony kształt, który rozwarł powierzchnię zaledwie dwie długości ciała od Leto. W przyćmionym świetle błysnęły kryształowe zęby. Widział ziejącą przepaść paszczy, pełgające w niej niewyraźne płomienie. Owionął go przemożny zapach przyprawy. Ale czerw się zatrzymał. Tkwił nieruchomo w blasku wschodzącego nad skałami pierwszego księżycy. Światło odbijało się od kłów zwierzęcia, obrzeżając poświatę bijącą od zachodzących w jego organizmie przemian chemicznych.

Wrodzony fremieński strach był tak silny, że Leto czuł targające nim pragnienie ucieczki, ale widok ów był tak fascynujący, że pozostał w bezruchu. Jeszcze nikt nie znalazł się tak blisko paszczy żywego czerwia i przeżył. Leto delikatnie przesunął prawą stopę i wymacał nią skraj leja, ale jego nienawykłe jeszcze do nowej sytuacji mięśnie zareagowały zbyt szybko i popchnęły go gwałtownie ku paszczy bestii. Wylądował na kolanach.

Mimo to czerw się nie poruszył.

Wyczuwał tylko trocie, a nie zaatakowałby przecież swojej formy przejściowej z piaskowych głębin. Owszem, rzuciłby się na innego czerwia na swoim terytorium i na odkrytą przyprawę; powstrzymywała go jedynie bariera wodna, barierę taką zaś stanowiły otorbiające wodę piaskowe trocie.

Leto wyciągnął na próbę rękę ku budzącej grozę paszczy. Czerw cofnął się o pełen metr.

Odzyskawszy pewność siebie, chłopiec odwrócił się od czerwia i zaczął oswajać mięśnie z nową przenikającą je siłą. Ostrożnie wrócił nad kanat. Czerw pozostał za nim w bezruchu. Kiedy Leto przekroczył barierę wodną, skoczył w górę z radości, przeleciał dziesięć metrów nad piaskiem, spadł i ze śmiechem przekoziołkował.

Otworzyła się gródź chaty i na piasek padło światło. Na tle żółto-fioletowej aureoli otaczającej lampę stała, patrząc na niego, Sabiha.

Śmiejąc się, Leto pobiegł z powrotem nad kanat, zatrzymał się przed czerwem i odwrócił do niej z rozłożonymi rękami.

– Spójrz! – zawołał. – Czerw robi, co mu każe!

Kiedy stała jak skamieniała, zszokowana tym widokiem, okręcił się, obiegł czerwia i pomknął w głąb wąwozu. Oswajając się z nową skórą, stwierdził, że może biec, ledwie napinając mięśnie. Przychodziło mu to niemal bez wysiłku. Gdy włożył w bieg więcej energii, pędził po piasku tak szybko, że wiatr smagał odsłonięty okrąg jego twarzy. Na ślepych końcu wąwozu, zamiast się zatrzymać, wyskoczył dobrych piętnaście metrów w górę, chwycił się skały i wspinając się jak owad, wszedł na jej górujący nad Tanzerouft grzbiet.

Przed nim rozpościerała się pustynia, rozległa, srebrzyście połyskująca w świetle księżycy pofałdowana równina.

Szaleńcza euforia ustąpiła.

Przykucnął, czując, jak lekkie jest jego ciało. Wskutek wysiłku pokryło się cienką powłóczką potu, który filtrak wchłonałby i przesłał do warstwy przejściowej, gdzie zostałyby usunięta sól. Ale pot zniknął i tak, wchłonięty przez błonę szybciej, niż zrobiłby to filtrak. Leto zwinął w zamyśleniu płat błony na brodzie, włożył rulonik do ust i napił się słodkiego syropu.

Nie miał jednak na ustach maski. Wiedziony fremieńską mądrością, wyczuwał, że z każdym oddechem traci wilgoć. Naciągnął fragment błony na usta, odwinął ją, kiedy próbowała zakryć mu nozdrza, i przytrzymał, dopóki nie znieruchomiała. Pustynnym sposobem przeszedł na automatyczny rytm oddychania: wdychał powietrze przez nos, wydychał

ustami. Błona na jego ustach wydeła się w mały pęcherzyk, ale pozostała na miejscu. Na wargach nie zbierała się wilgoć, a nozdrza były nadal odkryte. A zatem przystosowanie postępowało.

Między Leto a księżycem przeleciał ornitopter, zatoczył łuk i zszedł do lądowania na skałach jakieś sto metrów na lewo od niego. Leto zerknął na maszynę, odwrócił się i spojrzał na drogę, którą przebył wąwozem. Za kanatem widać było wiele świateł i mieszający się tłum. Słyszał słabe krzyki i wyczuwał w nich histerię. Z ornitoptera wysiadło i ruszyło ku niemu dwóch mężczyzn. Ich broń lśniła w blasku księżyca.

„Maszad” – pomyślał Leto ze smutkiem. Oto wykonał wielki skok i znalazł się na Złotym Szlaku. Przywdział żywy, samonaprawiający się filtrak z utworzonej przez piaskowe trocie błony, rzecz o nieocenionej wartości na Arrakis... dopóki nie zrozumiało się, jaką trzeba zapłacić za to cenę. „Nie jestem już człowiekiem – myślał. – Będą powstawały legendy o tej nocy, przetwarzając ją tak, że przybierze kształt nierozpoznawalny dla uczestników tych wydarzeń, ale legendy te staną się prawdą”.

Spojrzał w dół i ocenił, że pustynia znajduje się dwieście metrów poniżej skalnej krawędzi. Poświata księżyca wydobywała ze stromego zbocza zarysy półek i szczelin, ale nie widać było żadnej ścieżki łączącej szczyt z pustynią. Wstał, wziął głęboki oddech, zerknął ponownie na zbliżających się mężczyzn i skoczył. Jakies trzydzieści metrów niżej jego nogi napotkały wąską półkę. Wzmocnione mięśnie zamortyzowały wstrząs. Odbił się niczym piłka w bok, na drugą półkę, gdzie uchwycił się wąskiego występu, opadł dwadzieścia metrów, przerzucił się na inny występ i znowu ruszył w dół, skacząc, odbijając się, chwytając małych półek. Ostatnie czterdzieści metrów pokonał jednym skokiem, wylądował na ugiętych nogach i koziołkując, zaczął się staczać w chmurze piasku i pyłu ze zbocza wydmy. U jej podnóża wstał i jednym skokiem znalazł się na grzbiecie następnej. Słyszał ochryple krzyki ze szczytu urwiska, ale zignorował je, skupiając się na susach, którymi sadił od wydmy do wydmy.

Kiedy przywykł do spotęgowanej siły mięśni, to pochłanianie odległości zaczęło mu sprawiać zmysłową przyjemność, której się nie spodziewał. Był to balet na pustyni, niepodporządkowanie się Tanzerouft, którego nikt wcześniej nie doświadczył.

Gdy ocenił, że załoga ornitoptera otrząsnęła się już na tyle z szoku, by podjąć pościg, skoczył na ocienione zbocze wydmy i zakopał się w nim. Był teraz tak silny, że jego ręce zanurzały się w piasku niby w gęstej cieczy, ale

kiedy poruszał się zbyt szybko, niebezpiecznie wzrastała temperatura. Przebił się na drugą stronę wydmy i stwierdził, że błona zakryła mu nos. Usunął ją, czując, jak nowa skóra pulsuje na jego ciele i wchłania pot.

Uformował z niej rurkę przy ustach i napił się syropu, spoglądając na rozgwieżdżone niebo. Oceniał, że znajduje się piętnaście kilometrów od Szulochu. Na tle gwiazd ukazał się cień ornitoptera, niczym sylwetka wielkiego ptaka, za nim jeszcze jeden i jeszcze jeden. Leto słyszał miękki świst skrzydeł i stłumiony pomruk silników.

Czekał, pociągając syrop z żywej rurki. Pierwszy księżyc przemierzył swój szlak na niebie, potem drugi.

Godzinę przed świtem Leto wygrzebał się ze swojej kryjówki, wszedł na grzbiet wydmy i przyjrzał się niebu. Żadnych tropicieli. Teraz wiedział, że wkroczył na drogę, z której nie ma powrotu. Leżała przed nim pułapka w czasie i przestrzeni, przygotowana jako niezapomniana lekcja dla niego i całej ludzkości.

Zwrócił się na północny wschód i przebył susami kolejnych piętnaście kilometrów, zanim zagrzebał się na powrót w piasku, by przeczekać dzień, zostawiając tylko niewielki otwór, w który wsunął rurkę z troci. Teraz błona uczyła się z nim żyć, a on uczył się żyć z nią. Starał się nie myśleć o innych rzeczach, które robiła jego ciało.

„Jutro napadnę na Gejr Kulon – pomyślał. – Zniszczę ich kanat i wypuszczę z niego wodę, by wsiąkła w piach. Potem przyjdzie kolej na Wrota Wiatru, Starą Szczerbę i przełęcz Harga. Za miesiąc transformacja ekologiczna cofnie się o pełne pokolenie. Da nam to czas, by ustalić nowy harmonogram”.

Oczywiście winą spadnie na dzikość zbuntowanych plemion. Niektórzy ożywią wspomnienia o Dżakurutu. Alia będzie miała pełne ręce roboty. A co do Ganimy... Leto poruszył ustami, wymawiając bezgłośnie słowa, które przywrócą jej pamięć. Na to będzie czas później... jeśli wyjdą z życiem z tej strasznej płataniny nici.

Złoty Szlak, niczym coś fizycznego, co widział otwartymi oczami, wabił go na pustynię. I Leto zamyślił się nad tym, jak to jest: tak jak zwierzęta muszą się przemieszczać po ziemi, gdyż od tego zależy ich istnienie, tak też zahamowany od eonów duch ludzkości potrzebuje drogi, którą będzie mógł ruszyć.

Pomyślał o ojcu.

„Wkrótce porozmawiamy jak mężczyzna z mężczyzną i wyłoni się z tego tylko jedna wizja” – powiedział sobie.



Granice przetrwania wytycza klimat, owe długie ciągi zmian, których jedno pokolenie może nie zauważyć. A jego typ określają jego skrajności. Ludzie, których czas życia i postrzegania jest ograniczony, mogą zauważyć różnice między strefami klimatycznymi, zmiany pogody z roku na rok, a niekiedy pozwolić sobie nawet na stwierdzenie: „Nie pamiętam takiego zimnego roku”. Te rzeczy są odczuwalne i widoczne, ale ludzie rzadko dostrzegają zmianę średniego typu pogody na przestrzeni wielu lat. A tymczasem to właśnie dzięki wyczuleniu na te zmiany uczą się oni żyć na każdej planecie. Muszą poznać klimat.

– Arrakis. *Przemiana planety* według Harka al-Ady

Alia siedziała ze skrzyżowanymi nogami na łóżku i próbowała się opanować, recytując *Litanie przeciw strachowi*, ale wszystkie jej starania udaremniał drwiący chichot, który niósł się echem w jej głowie. Słyszała ten głos; zawładnął jej uszami, jej umysłem.

– *Cóż to za bzdury? Czego masz się bać?*

Drgnęły mięśnie jej łydek, kiedy stopy próbowały odruchowo ucieczki. Nie miała dokąd uciec.

Miała na sobie tylko złoty szlafrok z najcieńszego paliańskiego jedwabiu ukazujący pulchność, która zaczynała zaokrąglać jej kształty. Właśnie minęła pora asasynów; świt był bliski. Na czerwonej narzucie leżały przed nią raporty z ostatnich trzech miesięcy. Słyszała szum klimatyzacji, a nalepkami na szigastrunowych rołkach poruszał lekki powiew.

Dwie godziny wcześniej obudziły ją ze strachem doradczynie, przynosząc wieści o najnowszym akcie dywersji, i Alia zażądała rolek z raportami, by znaleźć w rozwoju wydarzeń jakiś zrozumiały schemat.

Dała sobie spokój z litaniami.

Te ataki musiały być dziełem buntowników. Oczywiście. Coraz więcej z nich zwracało się przeciw religii Muad'Diba.

– *No i co w tym złego?* – zapytał drwiący głos w jej wnętrzu.

Alia potrząsnęła gwałtownie głową. Namri ją zawiódł. Była głupia, że zaufała tak niebezpiecznemu podwójnemu agentowi. Doradczynie szeptały, że winą należy obarczyć Stilgara, że potajemnie sprzyja on buntownikom.

A co się stało z Halleckiem? Zapadł się pod ziemię pośród swoich przyjaciół przemytników? Możliwe.

Podniosła jedną z rolek z raportami. „I Muriz!” – pomyślała. Ten człowiek histeryzował. Było to jedyne możliwe wyjaśnienie, bo w przeciwnym razie musiałyby uwierzyć w cuda. Żaden człowiek, a co dopiero dziecko – nawet takie jak Leto – nie byłby w stanie przeżyć skoku z urwiska w Szulochu i uciec przez pustynię, sadząc z grzbietu jednej wydmy na drugą.

Czuła chłód szigastruny pod dłonią.

Gdzie zatem jest Leto? Ganimi nie chciała uwierzyć, że żyje. Jej opowieść potwierdziła Prawdomówczyni: Leto został zabity przez tygrysa lazajskiego. Kim wobec tego było dziecko, o którym donosili Namri i Muriz?

Zadrżała.

Zniszczonych zostało czterdzieści kanatów, a ich woda wsiąkła w piasek. Kanatów należących do lojalnych Fremenów, a nawet do przesądnych buntowników. Raporty pełne były opowieści o tajemniczych wydarzeniach. Piaskowe trocie skakały do kanatów i roztrzaskiwały się na malutkie zaczątki swoich wiernych kopii. Czerwie celowo się topiły. Z drugiego księżyca kapąca na Arrakis krew i wywoływała potężne burze. A przy tym *rosła* częstotliwość występowania burz!

Pomyślała o Duncanie trzymanym w odosobnieniu w siczy Tabr, poddanym ograniczeniom, których zastosowanie wymogła na Stilgarze. I on, i Irulana nie mówili o niczym innym, tylko o *rzeczywistym* znaczeniu tych omenów. Głupcy! Nawet jej szpiedzy zdradzali oznaki świadczące, że ulegają wpływowi tych szokujących opowieści!

Dlaczego Ganimi upierała się przy swojej opowieści o tygrysie lazajskim?

Alia westchnęła. Tylko jeden z raportów zawartych na szigastrunowych rolkach dodawał jej otuchy. Farad’n przysłał oddział swojej straży pałacowej, „by pomóc w kłopotach i przygotować oficjalną ceremonię zaręczyn”. Alia uśmiechnęła się do siebie i przyłączyła do chichotu, który rozbrzmiewał w jej głowie. Przynajmniej ten plan rozwijał się po jej myśli. A jeśli chodzi o pozostałe zabobonne brednie, znajdą się logiczne wyjaśnienia, które je rozwieją.

Tymczasem wykorzystała ludzi Farad’na do likwidacji Szulochu i aresztowania znanych dysydentów, zwłaszcza spośród przywódców

plemion. Rozważała posunięcie przeciw Stilgarowi, ale przestrzegł ją przed tym wewnętrzny głos.

– *Jeszcze nie teraz.*

– Moja matka i zgromadzenie żeńskie nadal realizują swój plan – szepnęła Alia. – Dlaczego szkoli Farad’na?

– *Może on ją podnieca* – odparł stary baron.

– Nie tę oziębłą kobietę.

– *Nie myślisz o tym, by poprosić Farad’na o odesłanie jej?*

– Wiem, jakie zagrożenia to ze sobą niesie!

– *Dobrze. A tymczasem ten młody pomocnik, którego sprowadziła Zaja. Zdaje się, że nazywa się Agarves... Buer Agarves. Gdybyś zaprosiła go w nocy...*

– Nie!

– *Alio...*

– Już prawie świta, ty nienasycony stary głupcze! Rano jest spotkanie Rady Wojkowej, kapłani będą...

– *Nie ufaj im, droga Alio.*

– Oczywiście!

– *Bardzo dobrze. Zatem ten Buer Agarves...*

– Powiedziałam: „Nie!”

Stary baron umilkł, ale zaczęła czuć ból w głowie. Pełznął powoli od lewego policzka do czaszki. Kiedyś sprawił za pomocą tej sztuczki, że pobięła jak oszalała korytarzami. Teraz postanowiła mu się oprzeć.

– Jeśli nie przestaniesz, wezmę środek uspokajający – powiedziała.

Widział, że mówiła poważnie. Ból głowy zaczął ustępować.

– *Bardzo dobrze* – rzekł z irytacją. – *Zatem innym razem.*

– Innym razem – zgodziła się.



Tyś podzielił piasek swoją mocą. Tyś zmiażdżył głowy smoków na pustyni. Zaprawdę, widzę ciebie jako bestię nadchodzącą spośród wydm – masz dwa rogi niczym jagnię, ale przemawiasz jak smok.

– zrewidowana Biblia Protestancko-Katolicka, arran II, 4

Było to nieodwołalnym proroctwem, nitkami, które stały się sznurem, czymś, o czym Leto zdawał się wiedzieć całe życie. Spojrzał przez wieczorny mrok na Tanzerouft. Sto siedemdziesiąt kilometrów stąd na północ leżała Stara Szczerba, głębokie i kręte pęknięcie w Murze Zaporowym, przez które pierwsi Fremeni przywędrowali na pustynię.

W jego głowie nie pozostał ani cień wątpliwości. Wiedział, dlaczego stoi tutaj, samotny pośród pustyni, ale przepełniony poczuciem, że jest panem całej tej ziemi, że musi ona postępować tak, jak jej rozkaże. Czuł więź łączącą go z całą ludzkością i ową głęboką potrzebę wszechświata doświadczeń, które miały logiczny sens, wszechświata regularności rozpoznawalnych w jego stałych zmianach.

„Znam ten wszechświat” – pomyślał.

Czerw, który go tutaj przywiózł, przybył na tupanie nogą i wzniosłszy się przed nim, zatrzymał jak posłuszne zwierzę. Leto wspiał się na niego i gołymi, wzmocnionymi przez błonę rękami uniósł brzeg pierwszego pierścienia, obnażając wrażliwe ciało, by utrzymać go na powierzchni. Trwająca całą noc szybka podróż na północ wyczerpała stworzenie. Jego wewnętrzna, krzemionkowo-siarczana „fabryka” pracowała pełną mocą, wydzielając obfite chmury tlenu, którymi powstały wskutek szybkiego ruchu wiatr owiewał Leto. Niekiedy przyprawiały go one o zawroty głowy i napełniały umysł dziwnymi spostrzeżeniami. Refleksyjna i kolista subiektywność wizji zwróciła się w głąb jego pradziejów, zmuszając go do ponownego przeżycia fragmentów jego ziemskiej przeszłości, a potem do porównania ich z jego zmieniającym się „ja”.

Czuł już, jak bardzo się oddalił od czegokolwiek, w czym można by rozpoznać człowieka. Znęcona przyprawą, którą pochłaniał, gdziekolwiek ją znalazł, pokrywająca go błona nie była już połączeniem piaskowych troci, tak jak on nie był już człowiekiem. Rzęski wniknęły w jego ciało, tworząc nową istotę, która całe eony będzie poszukiwała sedna swojej przemiany.

„Zobaczyłeś to, ojcie, i odrzuciłeś – pomyślał. – Było to zbyt straszne, by stawić temu czoło”.

Wiedział, co i dlaczego sądzono o jego ojcu.

„Muad’Dib zmarł z powodu daru przewidywania”.

Ale Paul Atryda przeszedł z tej rzeczywistości do Alam al-Mithal, gdzie nadal żył, uciekłszy przed tym, co ośmielił się zrobić jego syn.

Teraz pozostał tylko Kaznodzieja.

Leto kucnął na piasku i uważnie popatrzył na północ. Przybędzie stamtąd czerw, a na jego grzbiecie będą jechały dwie osoby: młody Fremen i ślepiec. Nad głową przemknęło mu stado bladych nietoperzy, skręcając na południowy wschód. Na ciemniejącym niebie stały się przypadkowo rozrzuconymi plamkami, lecz wprawne oko Fremena mogło prześledzić trasę ich lotu wstecz, do miejsca, w którym miały schronienie. Jednak Kaznodzieja nie skorzysta z niego. Celem jego podróży był Szuloch, gdzie nie dopuszczano dzikich nietoperzy, by nie doprowadziły obcych do tego ukrytego miejsca.

Pojawienie się czerwia zasygnalizował ruch między pustynią a północnym skrajem nieba. Przez kilka minut widok przysłaniał matar, deszcz drobin piasku spadających z dużej wysokości, na którą wyniosła je zamierająca teraz burza, ale potem zaczął się stawać coraz wyraźniejszy.

W chłodnym paśmie powietrza u podnóża wydmy, na której przycupnął Leto, zaczęła się tworzyć rosa. Poczuł tę słabą wilgoć nosem i naciągnął na usta skraj błony. Nie musiał już szukać wysięków ani haust-studni, z których mógłby zaczerpnąć łyk wody. Dzięki genom matki miał dłuższe i większe niż mieszkańcy innych planet typowo fremeńskie jelito grube, które odzyskiwało wodę ze wszystkiego, co się w nim znalazło. Żywy filtrak przechwytywał i zatrzymywał każdą kroplę wilgoci, którą napotkał. Nawet gdy siedział tutaj, część błony dotykająca piasku wypuściła nibyrzęski zbierające każdą drobinę energii, którą mogła przechować.

Leto badawczo przyglądał się zbliżającemu się czerwiewi. Wiedział, że tym razem młody jeździec zobaczył go na szczycie wydmy w postaci ciemnej plamki. Z daleka nie można wprawdzie było rozpoznać, co to za obiekt, ale Fremen nauczyli się radzić sobie z tym problemem. Każdy nieznany obiekt był niebezpieczny. Reakcje młodego przewodnika będą całkowicie przewidywalne.

Zgodnie z tym czerw zmienił nieco kurs i pędził wprost na Leto. Ogromne czerwie były bronią, którą Fremen wielokrotnie wykorzystywali. Pomogły im one pokonać Szaddama pod Arrakin. Jednak ten czerw nie posłuchał kierującego nim jeźdźcy. Zatrzymał się dziesięć metrów od Leto i za nic nie można go było zmusić, by posunął się dalej choćby o piędź.

Leto się podniósł, czując, jak rzęski chowają się w błonie. Odsłonił usta i krzyknął:

– *Achlan, wasachlan!* – „Bądźcie pozdrowieni, po dwakroć pozdrowieni!”

Ślepiec stał na grzbiecie czerwia za swoim przewodnikiem, z jedną ręką na jego ramieniu. Uniósł wysoko twarz z nosem skierowanym w stronę Leto, jakby chciał węchem wyczuć powód przerwania jazdy. Zachód słońca zabarwił jego czoło na pomarańczowo.

– Kto to jest? – zapytał, potrząsając ramieniem przewodnika. – Dlaczego się zatrzymaliśmy?

Za sprawą zatyczek jego głos miał nosowe brzmienie.

Młokos spojrzał ze strachem na Leto.

– To tylko ktoś samotny na pustyni – odparł. – Wygląda na dziecko. Staralem się go przejechać, ale czerw mnie nie słucha.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – zapytał ślepiec.

– Myślałem, że to tylko ktoś samotny na pustyni – zaprotestował Fremen. – Ale to demon.

– Oto słowa prawdziwego syna Dżakurutu – rzekł Leto. – A ty, panie, jesteś Kaznodzieją.

– Jestem nim, owszem – odparł ślepiec, w jego głosie zaś słyhać było strach, bo w końcu napotkał własną przeszłość.

– Wprawdzie to nie ogród – powiedział Leto – ale jesteście tu mile widziani i proszę, byście spędzili tutaj ze mną noc.

– Kim jesteś? – zapytał Kaznodzieja. – Jak zatrzymałeś naszego czerwia? – W jego słowach pobrzmiwała złowieszcza nuta, która świadczyła, że zaczyna sobie zdawać sprawę z tego, co się dzieje. Przywołał wspomnienia wizji tej alternatywnej przyszłości... wiedząc, że może tutaj osiągnąć swój kres.

– To demon – zaprotestował młody przewodnik. – Musimy uciec z tego miejsca, bo inaczej nasze dusze...

– Cisza! – ryknął Kaznodzieja.

– Jestem Leto Atryda – rzekł Leto. – Wasz czerw się zatrzymał, bo mu tak kazałem.

Kaznodzieja zastygł w milczeniu.

– Chodź, ojcie – powiedział Leto. – Zsiądźcie i spędźcie ze mną noc. Dam wam słodkiego syropu. Widzę, że macie fremsaki, a w nich naczynia z jedzeniem i wodą. Podzielimy się naszymi bogactwami.

– Leto jest jeszcze dzieckiem – zaoponował Kaznodzieja. – I mówią, że poniósł śmierć przez zdradę Corrinów. Twój głos nie brzmi jak głos dziecka.

– Znasz mnie, panie – odparł Leto. – Jestem mały, zgodnie z moim wiekiem, jak ty niegdyś byłeś, ale moje doświadczenie sięga czasów

starożytnych, a głos się wyszkolił.

– Co robisz tutaj, na wewnętrznej pustyni? – zapytał Kaznodzieja.

– *Bju dzi* – odparł Leto. „Nic z niczego”. Była to odpowiedź zensunnickiego wędrowca, który na nic się nie sili i działa w harmonii z otoczeniem.

Kaznodzieja potrząsnął ramieniem swego przewodnika.

– Czy to dziecko? Naprawdę dziecko?

– *Aija* – potwierdził młodzieniec, patrząc ze strachem na Leto.

Kaznodzieję przeszył silny dreszcz.

– Nie – wyszeptał.

– To demon w postaci dziecka – rzekł przewodnik.

– Spędzicie tutaj noc – oznajmił Leto.

– Zrobimy, jak mówi – stwierdził Kaznodzieja.

Puścił ramię przewodnika, zjechał po pierścieniu czerwia i odskoczył, kiedy dotknął stopami podłoża.

– Zabierz stąd czerwia, niech zanurzy się w piasku – powiedział, odwróciwszy się. – Jest zmęczony, więc da nam spokój.

– Czerw nie odpelźnie! – zaprotestował młodzieniec.

– Odpelźnie – rzekł Leto. – Ale jeśli spróbujesz na nim uciec, pozwolę mu cię pożreć. – Przesunął się w bok, wychodząc poza zasięg narządów zmysłu zwierzęcia, i wskazał w stronę, z której przybyli. – Jedź tędy.

Przewodnik stuknął ościeniem w pierścień za sobą i poruszył hakiem w miejscu, gdzie uniósł się jego brzeg. Czerw zaczął powoli sunąć po piasku, obracając się, kiedy przewodnik przesunął hak w bok.

Idąc za głosem Leto, Kaznodzieja wdrapał się po zboczu wydmy i stanął dwa kroki od niego. Zrobił to z taką szybkością i tak pewnie, że Leto zorientował się, iż nie będzie to łatwa rozgrywka.

Tutaj ich wizje się rozchodziły.

– Zdejmij maskę, ojczy – rzekł Leto.

Kaznodzieja posłuchał go, odrzucił kaptur i zdjął filtr ustny.

Leto przyglądał się badawczo tej twarzy, widząc rysy podobne do swoich tak wyraźnie, jakby zostały podkreślone światłem. Stapiały się w nich w zgodną całość niemożliwe do rozdzielenia linie genetyczne i nie można ich było pomylić z żadnymi innymi. Leto odziedziczył je po przodkach z czasów, kiedy brzęczały owady, padały deszcze i pluskały fale cudownych mórz Kaladanu. Teraz jednak, kiedy noc czekała, by zapaść nad wydmami, stali na rozdrożu.

– A więc, ojcie – rzekł Leto. Patrzył w lewo, tam gdzie brnął mozolnie przez piasek młody przewodnik, wracając z miejsca, w którym porzucił czerwia.

– *Mu zein!* – powiedział Kaznodzieja, wykonując ręką ruch, jakby coś przecinał. „Nic dobrego z tego nie wyniknie”.

– *Kulisz zein* – odparł cicho Leto. „Wyniknie z tego tyle dobrego, ile kiedykolwiek moglibyśmy osiągnąć”. I dodał w chakobsa, języku walki Atrydów: – Jestem tu i tu zostanę! Nie możemy o tym zapomnieć, ojcie.

Ramiona Kaznodziei opadły. Dawno niewykonywanym gestem przyłożył dłonie do pustych oczodołów.

– Oddałem ci kiedyś mój wzrok, a zabrałem twoje wspomnienia – rzekł Leto. – Znam twoje decyzje i byłem w miejscu, w którym się ukryłeś.

– Wiem. – Kaznodzieja opuścił ręce. – Zostaniesz?

– Dałeś mi imię po mężczyźnie, który w swoim herbie umieścił dewizę *J’y suis, j’y reste!* – odparł Leto.

Kaznodzieja ciężko westchnął.

– Jak daleko zaszło to, co ze sobą zrobiłeś? – zapytał.

– Moja skóra nie jest moją skórą, ojcie.

Mężczyzna zadrżał.

– A więc teraz wiem, jak mnie tu znalazłeś.

– Tak, wróciłem pamięcią do miejsca, w którym nigdy nie byłem ciałem – odparł Leto. – Muszę spędzić jeden wieczór z ojcem.

– Nie jestem twoim ojcem. Jestem tylko marną kopią, przeżytkiem. – Zwrócił głowę tam, skąd nadchodził jego młody przewodnik. – Nie sięgam już po wizje dotyczące mojej przyszłości.

Kiedy to mówił, pustynię spowiła ciemność. Na niebie nad nimi pojawiły się gwiazdy i również Leto zwrócił się do zbliżającego się przewodnika.

– *Subak ul kuhar!* – zawołał do młodzieńca. „Witam”.

– *Subak un nar!* – nadeszła odpowiedź.

– Ten Assan Tarik jest niebezpieczny – ostrzegł ochrypłym szeptem Kaznodzieja.

– Wszyscy Wygnańcy są niebezpieczni – odparł Leto. – Ale nie dla mnie. Powiedział to tonem towarzyskiej rozmowy.

– Jeśli to twoja wizja, ja nie wezmę w niej udziału – rzekł Kaznodzieja.

– Może nie masz wyboru – odparł Leto. – Jesteś filhakika, Rzeczywistością. Jesteś Abu d’Dhurem, Ojcem Nieoznaczonych Dróg Czasu.

– Jestem tylko przynętą w pułapce – rzekł Kaznodzieja głosem pełnym goryczy.

– A Alia już połknęła tę przynętę – skwitował to Leto. – Ale mnie nie podoba się jej smak.

– Nie możesz tego zrobić! – syknął Kaznodzieja.

– Już to zrobiłem. Moja skóra nie jest moją skórą.

– Może nie jest jeszcze za późno, żebyś...

– Jest już za późno – uciął Leto. Przechylił głowę na bok. Słyszał, jak Assan Tarik wspina się ku nim po zboczu, kierując dźwiękiem ich głosów. – Witam, Assanie Tarik z Szulochu – powiedział.

Młodzieniec zatrzymał się na zboczu tuż pod Leto, ciemny cień w blasku gwiazd. W ułożeniu jego ramion, w sposobie, w jaki pochylił głowę, widać było wahanie.

– Tak – rzekł Leto. – Jam jest tym, który uciekł z Szulochu.

– Kiedy usłyszałem... – zaczął Kaznodzieja, lecz przerwał i powtórzył: – Nie możesz tego zrobić!

– Już to robię. Jakie to ma znaczenie, jeśli znowu zostaniesz oślepiiony?

– Myślisz, że się tego boję? – zapytał Kaznodzieja. – Nie widzisz, jakiego świetnego zapewnili mi przewodnika?

– Widzę. – Leto ponownie zwrócił się twarzą do Tarika. – Nie słyszałeś mnie, Assan? Jam jest tym, który uciekł z Szulochu.

– Jesteś demonem – odparł młodzieniec drżącym głosem.

– Twoim demonem – poprawił go Leto. – Ale ty jesteś moim demonem.

I w tym momencie poczuł, jak rośnie napięcie między nim a ojcem. Wokół nich rozgrywał się jakiś niewyraźny spektakl, jakby ktoś rzutował na ekran pustyni postaci z nieświadomości. A Leto czuł wspomnienie ojca, coś w rodzaju obróconego wstecz proroctwa, które oddzielało wizję od swojskiej rzeczywistości tej chwili.

Tarik wyczuł tę walkę wizji. Zsunął się parę kroków po zboczu.

– Nie potrafisz zapanować nad przyszłością – wyszeptał Kaznodzieja, a w jego głosie słychać było taki wysiłek, jakby podnosił ogromny ciężar.

Teraz Leto zdał sobie sprawę, że rozdźwięk między nimi się pogłębia. Był to element wszechświata, z którym zmagał się całe życie. Albo on, albo ojciec zostanie wkrótce zmuszony do działania, do podjęcia poprzez nie decyzji, do wyboru wizji. A ojciec miał rację: usiłując zdobyć całkowitą kontrolę nad wszechświatem, tworzyło się broń, którą w końcu wszechświat cię zwyciężał. Wybór i utrzymanie wizji wymagały odgrywania roli Boga,

balansowania na cienkiej linii, po obu stronach której ziała przepaść kosmicznej samotności. Żaden z rywali nie mógł szukać ucieczki w paradoksie śmierci jako wyzwolenia. Obaj znali swoje wizje i reguły. Umierały wszystkie stare złudzenia. A kiedy jeden z przeciwników wykona posunięcie, drugi może odpowiedzieć kontrposunięciem. Jedyną rzeczywistą prawdą, która miała teraz dla nich znaczenie, było to, co oddzieliło ich od świata z ich wizji. Nie było żadnego bezpiecznego miejsca, tylko krótkotrwałe związki w granicach, które właśnie narzucili i które nieuchronnie musiały ulec zmianom. Każdy z nich mógł polegać wyłącznie na swojej rozpaczliwej odwadze, ale Leto miał pod dwoma względami przewagę: wstąpił na drogę, z której nie było odwrotu, i pogodził się ze straszhliwymi konsekwencjami, które musiał wskutek tego ponieść. Natomiast jego ojciec nadal miał nadzieję, że z tej drogi można zawrócić, i nie podjął ostatecznej decyzji.

– Nie wolno ci tego robić! Nie wolno! – wychrypiał Kaznodzieja.

„Widzi moją przewagę” – pomyślał Leto.

Mówił swobodnie, ukrywając napięcie, wysiłek wkładany w balansowanie, którego wymagała ta toczona na innym poziomie walka.

– Nie wierzę namiętnie w prawdę. Wierzę tylko w to, co sam tworzę – powiedział i poczuł, jak między nim i ojcem przesuwają się coś o ziarnistej strukturze, coś, co dotyczy tylko jego żarliwej, subiektywnej wiary w siebie. Wiedział, że dzięki tej wierze ustawia znaki wytyczające Złoty Szlak. Któregoś dnia znaki te mogą powiedzieć innym, jak być ludźmi. Dziwny dar od istoty, która wtedy nie będzie już człowiekiem. Ale takie znaki zawsze ustawiali hazardziści. Wyczuwał je rozproszone w krajobrazie swoich wewnętrznych istnień, przygotowywał się więc do ostatecznej rozgrywki, stawiając wszystko na jedną kartę.

Delikatnie wciągnął nosem powietrze, szukając w ten sposób sygnału, który – jak wiedział zarówno on sam, jak i jego ojciec – musiał nadejść. Pozostawało tylko jedno pytanie: Czy ojciec ostrzeże przerażonego przewodnika, który czekał niżej?

Poczuł ozon, zapach zdradzający tarczę. Zgodnie z rozkazami, które otrzymał od Wygnańców, młody Tarik próbował zabić obu groźnych Atrydów, nie zdając sobie sprawy z tego, do jakich okropieństw by to doprowadziło.

– Nie! – wyszeptał Kaznodzieja.

Jednak Leto wiedział, że sygnał był prawdziwy. Wyczuwał ozon, lecz powietrze wokół nich nie drżało. Tarik użył pseudotarczy, broni stworzonej do użytku wyłącznie na Arrakis. Zjawisko Holtzmana przyzwałoby czerwia, ale jednocześnie wprawilo go w szal. Nic nie powstrzymałoby czerwia w tym stanie – ani woda, ani obecność troci... nic. Tak, młodzieniec wbił urządzenie w zbocze wydmy i zaczął się wycofywać ze strefy zagrożenia.

Leto skoczył w jego stronę, słysząc krzyk sprzeciwu ojca. Straszna siła wzmocnionych mięśni nadała jego ciału energię pocisku. Wyciągniętą ręką chwycił kołnierz filtraka Tarika, drugą złapał go za płaszcz w pasie. Rozległo się chrupnięcie i pękł kark nieszczęsnego młodzieńca. Leto obrócił się, unosząc niczym doskonale wyważony przyrząd, i dał nurka w piasek, tam gdzie Tarik ukrył pseudotarczę. Zaciśnął na niej palce i wyszarpnął ją z piasku, a następnie odrzucił wysokim łukiem na południe.

Zaraz potem dobiegły stamtąd głośny świst i łoskot, po czym na powrót zapanowała cisza.

Leto spojrzał na szczyt wydmy, gdzie stał jego ojciec, w postawie nadal wyrażającej sprzeciw, ale pokonany. Był to Paul Muad'Dib – ślepy, zły, bliski rozpacz, że uciekł przed wizją, na którą zgodził się Leto. Zapewne rozmyślał teraz nad zensunnickim długim koanem, który głosił: „W jedynym akcie dokładnego widzenia przyszłości Muad'Dib wprowadził element rozwoju i wzrostu do tej wizji, w której zobaczył ludzką egzystencję. W ten sposób pogрузił się w niepewności. Dążąc do absolutu uporządkowanego przewidywania, zwiększył nieporządek, zniekształcił przepowiednię”.

Leto jednym skokiem znalazł się na szczycie wydmy.

– Teraz ja jestem twoim przewodnikiem – oświadczył.

– Nigdy!

– Chciałbyś wrócić do Szulochu? Nawet gdyby cię przyjęli bez Tarika, to dokąd zaszedł teraz Szuloch? Czy twoje *oczy* to widzą?

Paul stanął twarzą w twarz z synem, zwracając na niego puste oczodoły.

– Naprawdę znasz wszechświat, który tu stworzyłeś? – zapytał.

Leto usłyszał szczególny nacisk, z jakim ojciec wypowiedział te słowa. Wizja, która – o czym obaj doskonale wiedzieli – zaczęła się tutaj urzeczywistniać, wymagała aktu stworzenia w pewnym *momencie*. Aż do tej chwili wszystkie czujące istoty we wszechświecie podzielały pogląd o liniowej naturze czasu, który ma cechy uporządkowanego ciągu wydarzeń. Wkraczały w ten czas jak do poruszającego się pojazdu i tylko w ten sam sposób mogły z niego wyjść.

Leto, przeciwnie, trzymał wodze splecione z wielu nici wydarzeń, równoważnych w jego zrodzonym z wizji postrzeganiu czasu jako wieloliniowego i wielokrotnie zapętłonego. Był widzącym we wszechświecie ślepców. Tylko on mógł zburzyć przekonanie o uporządkowanej naturze czasu, bo jego ojciec nie trzymał już wodzy. W ocenie Leto syn zmienił przeszłość i myśl, o której jeszcze nikomu się nawet nie śniło w najodleglejszej przyszłości, mogła się skupić na *teraźniejszości* i pokierować jego ręką.

Tylko jego ręką.

Paul wiedział o tym, ponieważ nie potrafił już ujrzeć, jak Leto mógłby manipulować wodzami, mógł jedynie rozpoznać nieludzkie konsekwencje, na które przystał jego syn. Pomyślał więc: „Oto zmiana, o którą się modliłem. Dlaczego się jej boję? Dlatego, że to Złoty Szlak!”

– Jestem tu, by nadać cel ewolucji, a przeto i naszemu życiu – rzekł Leto.

– *Chcesz żyć te tysiące lat, zmieniając się tak, jak już wiesz, że będziesz się zmieniał?*

Leto zorientował się, że ojciec nie mówi o zmianach fizycznych. Obaj znali fizyczne konsekwencje: chłopiec będzie się ciągle przystosowywał, ciągle będzie się też przystosowywała skóra, która nie była jego skórą. W wyniku tego ewolucyjnego parcia każda z owych części wtopi się w drugą i dokona się jedna przemiana. A kiedy dojdzie do tej przemiany, jeśli dojdzie, we wszechświecie pojawi się myśląca istota o porażających wymiarach – i wszechświat będzie ją czcił.

Nie, Paul mówił o zmianach wewnętrznych, o myślach i decyzjach, które dotkną czcicieli.

– Wiesz, co mówią o twoich ostatnich słowach ci, którzy myślą, że nie żyjesz – powiedział Leto.

– Oczywiście.

– „Robię teraz to, co wszelkie życie musi zrobić w służbie życia” – zacytował Leto. – Nigdy tego nie powiedziałaś, ale kapłan, który sądził, że nie będziesz mógł wrócić i nazwać go kłamcą, włożył te słowa w twoje usta.

– Nie nazwałbym go kłamcą. – Paul wziął głęboki oddech. – To dobre ostatnie słowa.

– Zostaniesz tutaj czy wrócisz do tej chaty w basenie Szulochu? – zapytał Leto.

– To jest teraz twój wszechświat – odparł Paul.

Słowa te, przepełnione poczuciem klęski, przeszły Leto jak nóż. Paul usiłował się kierować ostatnimi nitkami własnej wizji, postępować zgodnie z wyborem, którego dokonał przed laty w siczy Tabr. Dlatego pogodził się z rolą narzędzia zemsty Wygnańców, ocalałych z zagłady Dżakurutu. Zatruli jego umysł, ale wolał to od wizji tego wszechświata, którą wybrał Leto.

Smutek Leto był tak wielki, że przez kilka minut nie mógł wydobyć z siebie słowa.

– Zatem użyłeś wabika na Alię i tak ją zdezorientowałeś, że zaczęła podejmować błędne decyzje – rzekł, gdy udało mu się odzyskać głos. – A teraz ona już wie, kim jesteś.

– Wie... Tak, wie... – przyznał Paul starczym głosem, w którym pobrzmiwał skrywany protest. Nie zrezygnował jednak z otwartego wyrażenia sprzeciwu. – Odbiorę ci tę wizję, jeśli zdołam – oznajmił.

– Tysiące spokojnych lat – powiedział Leto. – Oto, co im dam.

– Letarg! Stagnację!

– Oczywiście. I te formy przemocy, na które pozwolę. Będzie to lekcja, której ludzkość nigdy nie zapomni.

– Pluję na twoją lekcję! – parsknął Paul. – Myślisz, że nie widziałem niczego podobnego do tego, co wybrałeś?

– Widziałeś – zgodził się Leto.

– Czy twoja wizja jest choć trochę lepsza od mojej?

– Ani trochę. Być może nawet gorsza – odparł Leto.

– Co wobec tego mogę zrobić prócz stawienia ci oporu? – zapytał Paul.

– Może mnie zabić.

– Nie jestem taki naiwny. Wiem, co wprowadziłeś w ruch. Wiem o zniszczonych kanatach i niepokojach.

– Assan Tarik nigdy nie wróci do Szulochu. Musisz wrócić ze mną albo wcale, bo teraz jest to moja wizja.

– Wybieram to drugie.

„Jak starczo brzmi jego głos” – pomyślał Leto i poczuł rozdzierający ból. Głośno zaś powiedział:

– W diszdaszy mam ukryty rodowy pierścień Atrydów. Chcesz, bym ci go zwrócił?

– Szkoda, że nie umarłem – wyszeptał Paul. – Naprawdę chciałem umrzeć, kiedy poszedłem tamtej nocy na pustynię, ale wiedziałem, że nie mogę opuścić tego świata. Musiałem wrócić i...

– Odbudować legendę – przerwał mu Leto. – Wiem. Jednak szakale z Dżakurutu czekały na ciebie, a ty dobrze wiedziałeś, że będą czekać. Chcieli twoich wizji! Wiedziałeś o tym.

– Odmówiłem. Nie podzieliłem się z nimi żadną wizją.

– Ale zatruli twoją duszę. Karmili cię esencją przyprawową i raczyli kobietami i marzeniami. I *miałeś* wizje.

– Niekiedy.

Jak nieszczerze to zabrzmiało!

– Odbierzesz swój pierścień z jastrzębiem? – zapytał Leto.

Paul usiadł nagle na piasku, ciemna plama w świetle gwiazd.

– Nie!

„Zatem wie o daremności próby podążania tą drogą” – pomyślał Leto. Wiele to wyjaśniało, ale nie dosyć dużo. Konfrontacja wizji przesunęła się z płaszczyzny taktownie dokonywanych wyborów na poziom grubiańskiego odrzucania alternatywnych wyjść. Paul wiedział, że nie jest w stanie wygrać, ale miał jeszcze nadzieję, że uda mu się przekreślić tę jedną wizję, której kurczowo trzymał się Leto.

– Tak – odezwał się – moja dusza została zatruta w Dżakurutu. Ale ty sam zatruteś swoją.

– To prawda – przyznał Leto. – Jestem przecież twoim synem.

– I dobrym Fremeniem?

– Tak.

– Czy więc pozwolisz w końcu ślepcowi odejść na pustynię? Pozwolisz mi znaleźć spokój na moich warunkach?

Leto walnął pięścią w piasek obok siebie.

– Nie, na to nie pozwolę – odparł. – Ale masz prawo nadziać się na własny nóż, skoro się przy tym upierasz.

– A ty będziesz miał moje ciało!

– To prawda.

– Nie!

„Zatem zna tę drogę” – pomyślał Leto. Uczynienie z ciała Muad’Diba relikwii mogło się stać spoiwem wizji jego syna.

– Nigdy im nie powiedziałeś, ojczu, prawda? – zapytał.

– Nigdy.

– Ale ja powiedziałem – rzekł Leto. – Powiedziałem Murizowi o Kralizeku, Tajfunie Walki.

Ramiona Paula opadły.

– Nie możesz – wyszeptał. – Nie możesz tego zrobić.

– Jestem teraz wytworem tej pustyni, ojcze – odparł Leto. – Czy przemawiałbyś tak do kurzawy Coriolisa?

– Uważasz mnie za tchórza, bo odrzuciłem tę drogę – rzekł Paul ochrypłym, trzęsącym się głosem. – Och, dobrze cię rozumiem, synu. Wróżby i przepowiednie zawsze były dla mnie udręką, ale nigdy nie zagubiłem się w możliwych wariantach przyszłości, gdyż na opisanie tej, do której prowadzi owa droga, brak słów!

– W porównaniu z nią twój dżihad będzie letnim piknikiem na Kaladanie – przyznał Leto. – Teraz zabiorę cię do Gurneya Hallecka.

– Do Gurneya! On służy zgromadzeniu żeńskiemu za pośrednictwem mej matki.

Dopiero teraz Leto zrozumiał, jaki zasięg ma wizja ojca.

– Nie, ojcze. Gurney już nikomu nie służy. Wiem, gdzie go znaleźć, i zabiorę cię tam. Czas na stworzenie nowej legendy.

– Rozumiem, że nie mogę cię przekonać. A zatem pozwól mi się dotknąć, bo jesteś przecież moim synem.

Leto wyciągnął prawą dłoń na spotkanie szukających po omacku palców, poczuł ich silny uścisk, odpowiedział tym samym i oparł się wszystkim zmianom ułożenia ręki Paula.

– Teraz nie wyrządzi mi krzywdy nawet zatruty nóż – powiedział. – Moja chemia jest już inna.

Z pustych oczodołów pociekły łzy i Paul zwolnił uścisk. Jego ręka opadła bezwładnie.

– Gdybym wybrał twoją drogę, stałbym się *bikurosem szejtana* – rzekł. – Kim ty się staniesz?

– Przez pewien czas mnie też będą nazywali misjonarzem szejtana – odparł Leto. – Później zaczną się zastanawiać i w końcu zrozumieją. Nie sięgnąłeś swojej wizji wystarczająco daleko, ojcze. Robiłeś dobre i złe rzeczy.

– Ale zło poznawano dopiero po fakcie!

– Jak to bywa z wieloma bardzo złymi uczynkami – powiedział Leto. – Wniknąłeś zaledwie w część mojej wizji. Nie miałeś dość siły?

– Wiesz, że nie mogłem tam zostać. Nigdy nie mogłbym się dopuścić czynu, o którym wiedziałbym, że jest zły, zanim stał się faktem. Nie jestem z Dżakurutu. – Podniósł się. – Myślisz, że jestem jednym z tych, którzy śmieją się nocą w samotności?

– To smutne, że nigdy nie byłeś prawdziwym Fremenem – odparł Leto. – My, Fremen, wiemy, jak powołać arifa. Nasi sędziowie potrafią wybrać między złymi czynami. Zawsze tak postępowaliśmy.

– Fremen, tak? Niewolnicy losu, który pomogłeś im zgotować? – Paul zrobił krok w stronę Leto, dziwnie nieśmiałym ruchem wyciągnął rękę, dotknął otorbionego ramienia syna i przesunął badawczo dłoń w górę, aż do miejsca, w którym błona odsłaniała ucho, potem po policzku i na koniec po ustach.

– Aach, to jeszcze twoje ciało – powiedział. – Dokąd cię ono zaprowadzi? – Opuścił rękę.

– Do miejsca, w którym ludzie będą mogli tworzyć swoją przyszłość z chwili na chwilę.

– To ty tak mówisz. To samo mógłby powiedzieć Zły Duch.

– Nie jestem Złym Duchem, chociaż mogłem nim się stać – rzekł Leto. – Widziałem, jak to postępuje u Alii. Żyje w niej demon, ojciec. Gani i ja znamy go: to baron, twój dziadek.

Paul zatopił twarz w dłoniach. Jego ramiona przez chwilę drżały, potem opuścił ręce. Usta przybrały surowy wyraz.

– Na naszym rodzie ciąży klątwa – powiedział. – Modliłem się, żebyś wyrzucił ten pierścień, żebyś się mnie wyparł i uciekł, by stworzyć sobie... inne życie. Miałeś taką możliwość.

– Za jaką cenę?

– Cel usprawiedliwia drogę, która do niego prowadzi – odparł Paul po długim milczeniu. – Jeden jedyny raz nie podjąłem walki za swoje zasady. Tylko raz. Przyjąłem rolę Mahdiego. Zrobiłem to dla Chani, ale stałem się przez to złym przywódcą.

Leto nie potrafił na to odpowiedzieć. Wspomnienie tego wciąż było w nim żywe.

– Nie mogę cię okłamywać, tak jak nie mogłem okłamywać siebie – ciągnął Paul. – Wiem o tym. Każdy powinien mieć takiego arbitra. Zapytam cię tylko o jedno: Czy Tajfun Walki jest konieczny?

– Albo do niego dojdzie, albo ludzi czeka zagłada.

Paul usłyszał, że jego słowa brzmią prawdziwie, i powiedział cichym głosem, którym przyznawał, że wizja syna jest bardziej dalekosiężna:

– Nie dostrzegłem tej możliwości wśród innych.

– Jestem przekonany, że zgromadzenie żeńskie domyśla się jej istnienia – rzekł Leto. – Nie potrafię w inny sposób wytłumaczyć decyzji mojej babki.

Powiał zimny, nocny wiatr. Załopotał skrajem płaszcza Paula, który zadrżał.

– Masz fremsak, ojcie – powiedział Leto, dostrzegłszy to. – Nadmucham filtrnamiot i będziemy mogli spędzić tę noc w spokoju i wygodzie.

Ale Paul tylko pokręcił głową, wiedząc, że ani tej nocy, ani żadnej innej nie zazna już spokoju. Muad'Dib, Bohater, musi zostać zniszczony. Sam to kiedyś powiedział. Odtąd będzie istniał tylko Kaznodzieja.



Fremeni pierwsi rozwinęli świadomą/nieświadomą symbolikę, za pomocą której wyraża się ruchy i związki występujące w ich układzie planetarnym. Pierwsi też zaczęli ujmować klimat w terminach na poły matematycznego języka, którego pisemne symbole wyrażają (i zawierają) relacje zewnętrzne. Sam ten język był częścią opisywanego przezeń systemu. Jego forma pisemna miała kształt tego, co przedstawiała. W wytworze owym zawarta była głęboka wiedza o tym, co z rzeczy niezbędnych dla podtrzymania życia dostępne jest w miejscowym środowisku. O zakresie tej interakcji język–system świadczyć może fakt, że Fremeni przyjęli, iż są zwierzętami wędrującymi w poszukiwaniu pożywienia.

– *Opowieść o Liecie-Kynesie* pióra Harka al-Ady

– *Kaveh wahid* – powiedział Stilgar. „Przynieś kawę”.

Uniesioną ręką dał znak służącej, która stała przy jedynym wejściu do tego surowego pomieszczenia o skalnych ścianach, gdzie spędził bezsenną noc. W miejscu tym stary fremeński przywódca jadał zwykle spartańskie śniadanie, a była już prawie śniadaniowa pora, lecz po takiej nocy nie czuł się głodny. Wstał i rozciągnął mięśnie.

Na poduszce obok wejścia siedział Duncan Idaho, starając się stłumić ziewanie. Właśnie zdał sobie sprawę, że przegadał ze Stilgarem całą noc.

– Wybacz mi, Stil – powiedział. – Nie dałem ci zmrużyć oka.

– Bezsenna noc jest dodatkowym dniem życia – odparł Stilgar, biorąc tacę z kawą, którą podano z wejścia. Przesunął niską ławę przed Idaho, postawił na niej tacę i usiadł naprzeciw gościa.

Obaj mieli na sobie żółte żałobne szaty, z tym że strój Idaho był pożyczony, ludzi z Tabr bowiem drażniła atrydzka zieleń jego polowego munduru.

Stilgar nalał ciemnego wrzątku z przysadzistego miedzianego dzbanka, pierwszy pociągnął łyk i podniósł kubek, dając Idaho znak zgodnie ze starodawnym fremeńskim zwyczajem: „Możesz pić bez obaw. Sam spróbowałem”.

Kawa, dzieło Hary, przyrządzona została dokładnie tak, jak lubił Stilgar: ziarna uprażone na różowobrazowy kolor, ubite na drobny proszek w kamiennym moździerzu, kiedy były jeszcze gorące, i natychmiast zaparzone ze szczyptą melanżu.

Idaho wciągnął przesycony przyprawą aromat i ostrożnie, ale hałaśliwie skosztował napoju. Wciąż nie wiedział, czy przekonał Stilgara. We wczesnych godzinach porannych jego mentacki umysł działał ospale i w końcu musiał skonfrontować wszystkie swoje obliczenia z nieodpartymi danymi, które przekazał mu Gurney Halleck.

Alia wiedziała o Leto! Wiedziała.

I musiał w tym maczać palce Dżawid.

– Muszę zostać uwolniony od narzuconych nam ograniczeń – powiedział w końcu, podejmując na nowo spór.

Stilgar nie ustąpił pola.

– Pakt neutralności nakłada na mnie obowiązek dokonywania surowych ocen. Gani jest tutaj bezpieczna. Bezpieczni jesteście tutaj ty i Irulana. Ale nie wolno wam wysyłać żadnych wiadomości. Owszem, możecie odbierać wiadomości, ale nie wysyłać. Dałem słowo.

– Nie jest to przyjęcie, jakie zwykle zgotowuje gościowi stary przyjaciel, który ramię w ramię z nim stawiał czoło niebezpieczeństwom – rzekł Idaho, wiedząc, że już wcześniej użył tego argumentu.

Stilgar ostrożnie odstawił kubek na tacę i patrząc na niego, powiedział:

– W nas, Fremenach, nie wzbudzają poczucia winy te rzeczy, które wywołują je u innych. – Przeniósł wzrok na twarz Idaho.

„Trzeba go nakłonić, by zabrał Gani i uciekł stąd” – pomyślał Duncan.

– Nie zamierzałem wzniecać burzy poczucia winy – powiedział.

– Rozumiem to – odparł Stilgar. – Podniosłem tę kwestię tylko po to, byś sobie uświadomił naszą fremeńską postawę, ponieważ z tym właśnie mamy do czynienia: z Fremenami. Nawet Alia myśli po fremeńsku.

– A kapłani?

– Oni to inna sprawa – rzekł Stilgar. – Chcą, żeby ludzie łykali szary wiatr grzechu, przenosząc to w sferę wieczności. To wielka skaza, która jest miarą ich pobożności.

Mówił spokojnie, ale Idaho słyszał w jego głosie gorycz i zastanawiał się, dlaczego nie wpływa ona na zmianę stanowiska Stilgara.

– To bardzo stara sztuczka autokratycznej władzy – powiedział Idaho. – Alia doskonale ją zna. Dobrzy poddani muszą się czuć winni. Poczucie winy zaczyna się od poczucia porażki. Dobry autokrata daje poddanym wiele okazji do zaznania poczucia winy.

– Zauważyłem – odparł sucho Stilgar. – Musisz mi jednak wybaczyć, jeśli kolejny raz zwrócę uwagę, że ta, o której mówisz, jest twoją żoną. Jest też siostrą Muad'Diba.

– Powtarzam ci: ona jest opętana.

– Wielu tak twierdzi. Pewnego dnia będzie musiała poddać się ordaliom. Tymczasem są inne, ważniejsze sprawy.

Idaho ze smutkiem pokręcił głową.

– Można sprawdzić wszystko, co ci powiedziałem. Komunikacja z Dżakurutu odbywała się zawsze przez świątynię Alii. To tam znaleźli sojuszników organizatorzy spisku przeciwko bliźniętom. Tam trafiają pieniądze ze sprzedaży czerwi na inne planety. Wszystkie nici prowadzą do gabinetu Alii, do regentki.

Stilgar potrząsnął głową i wziął głęboki oddech.

– Tu jest neutralne terytorium – powiedział. – Dałem słowo.

– To nie może tak dalej trwać! – zaprotestował Idaho.

– Zgadza się. – Naib skinął głową. – Alia tkwi w tym kręgu i krąg ten z każdym dniem się zmniejsza. To jest tak jak z naszym starym zwyczajem posiadania kilku żon, co tylko wskazuje na bezpłodność mężczyzny. – Obrzucił Idaho badawczym spojrzeniem. – Powiadasz, że zdradza cię z innymi mężczyznami... zdaje się, że określiłeś to: „Używa seksu jako broni”. A zatem możesz skorzystać z drogi prawnej. Jest tutaj, w Tabr, Dżawid z posłaniem od Alii. Musisz tylko...

– Na waszym neutralnym terytorium?

– Nie, poza nim, na pustyni...

– A gdybym skorzystał z tej okazji i uciekł?

– Nie będziesz miał takiej możliwości.

– Mimo to przysięgam ci, że Alia jest opętana. Co mam zrobić, żeby cię przekonać o...

– To trudne do udowodnienia – przerwał mu Stilgar. Podczas przegadanej nocy wiele razy użył tego argumentu.

– Ale macie sposoby, by to udowodnić – powiedział Idaho, przypominawszy sobie słowa Jessiki.

– Owszem, mamy pewien sposób – przyznał Stilgar. Ponownie potrząsnął głową. – Bolesny, nieodwołalny. Właśnie dlatego przypominam ci o naszym podejściu do winy. Od poczucia winy, które mogłoby nas zniszczyć, możemy się uwolnić w każdej sytuacji oprócz Ordaliów Opętania. Za to całkowitą odpowiedzialność przyjmuje trybunał składający się z wszystkich członków plemienia.

– Robiliście to już, prawda?

– Jestem pewien, że Matka Wielebna nie pominęła w swoich opowieściach naszej historii – odparł Stilgar. – Dobrze wiesz, że już to robiliśmy.

– Nie starałem się przyłapać cię na kłamstwie – rzekł Idaho, reagując na nutę irytacji w głosie Stilgara. – Chodzi tylko o to, że...

– To była długa noc, pełna pytań bez odpowiedzi – przerwał mu Stilgar. – A teraz mamy ranek.

– Muszę dostać pozwolenie na wysłanie wiadomości Jessice – rzekł Idaho.

– Byłaby to wiadomość na Salusę – powiedział Stilgar. – Nie składam nieszczerých przyrzeczeń. Na moim słowie można polegać i właśnie dlatego Tabr jest terytorium neutralnym. Dopilnuję, byś zachował milczenie. Zobowiązałem się do tego w imieniu całej siczy.

– Alia musi zostać sprowadzona na wasze ordalia!

– Być może. Najpierw jednak musimy zbadać, czy nie ma jakichś okoliczności łagodzących. Na przykład upadku autorytetu, może nawet pecha. A może to kolejny przypadek tej skłonności do zła, która wspólna jest wszystkim ludziom, nie zaś żadne opętanie.

– Chcesz zyskać pewność, że nie jestem po prostu skrzywdzonym mężem szukającym zemsty – stwierdził Idaho.

– Przyszło to na myśl innym, ale nie mnie – odparł Stilgar. Uśmiechnął się, by złagodzić ostry wydźwięk swoich słów. – My, Fremeni, mamy naszą tradycyjną mądrość, nasze hadisysy. Kiedy obawiamy się mentata czy Matki Wielebnej, zwracamy się do hadisów. Mówią, że jedyną obawą, od której nie potrafimy się uwolnić, jest ta przed naszymi błędami.

– Trzeba powiadomić lady Jessikę – rzekł Idaho. – Gurney twierdzi...

– Ta wiadomość nie może pochodzić od Gurneya Hallecka.

– Nie pochodzi od kogokolwiek innego. My, Atrydzi, mamy sposoby weryfikowania wiadomości. Stil, nie mógłbyś przynajmniej zbadać niektórych...

– Dżakurutu już nie istnieje – przerwał mu Stilgar. – Zostało zniszczone wiele pokoleń temu. – Dotknął rękawa Idaho. – W każdym razie nie mogę wysłać zdolnych do walki ludzi, nie mam ich zbyt wielu. Nastąpiły niespokojne czasy, kanat jest zagrożony... Rozumiesz? – Poprawił się na siedzeniu. – Teraz, kiedy Alia...

– Alii już nie ma – przerwał mu Idaho.

– To ty tak mówisz. – Naib pociągnął kolejny łyk kawy i odstawił kubek. – Niech tak na razie zostanie, przyjacielu. Często nie trzeba odcinać ręki, by usunąć drzazgę...

– Wobec tego porozmawiajmy o Ganimie.

– Nie ma potrzeby. Ma moje poparcie, moje gwarancje. Nikt tutaj nie wyrządzi jej krzywdy.

„Nie może być aż tak naiwny” – pomyślał Idaho.

Ale Stilgar już się podnosił na znak, że rozmowa dobiegła końca. Idaho też się podźwignął, czując sztywność w kolanach. Miał zdrętwiałe łydki. Kiedy wstał, wszedł służący i zatrzymał się z boku. Za nim wkroczył do izby Dżawid. Idaho się obrócił. Stilgar był cztery kroki od niego. Duncan bez wahania, jednym szybkim ruchem wyciągnął nóż i zatopił go w piersi niepodjęrzewającego niczego Dżawida. Tamten zatoczył się do tyłu, odwrócił i padł na twarz. Nogi wierzgnęły i znieruchomiały. Był martwy.

– To, by uciszyć plotki – oznajmił Idaho.

Służący stał z dobytym nożem, niepewny, jak ma zareagować. Idaho wsunął już swój do pochwy, zostawiając ślady krwi na skraju żółtej szaty.

– Zhańbiłeś mój honor! – krzyknął Stilgar. – To neutralne...

– Bądź cicho! – Idaho spojrzał gniewnie na wstrząśniętego naiba. – Masz na szyi obrożę, Stilgar!

Była to jedna z trzech największych obelg, którymi można było obrzucić Fremena. Twarz Stilgara pobladła.

– Jesteś sługusem – oświadczył Duncan. – Sprzedałeś Fremenów za ich wodę.

To była druga ze śmiertelnych obelg, ta, przez którą zniszczono pierwotne Dżakurutu.

Stilgar zazgrzytał zębami i położył dłoń na rękojeści krysnoża. Służący odsunął się od leżącego w wejściu ciała.

Odwróciwszy się tyłem do naiba, Idaho ruszył wąską luką obok zwłok Dżawida.

– Nie ma w tobie nieśmiertelności, Stilgar. W żyłach żadnego z twoich potomków nie płynie twoja krew! – rzucił za siebie trzecią obelgę.

– I dokąd teraz pójdziesz, mentacie?! – krzyknął Stilgar, kiedy Idaho wychodził z izby. Jego głos był tak lodowaty, jak wiatr wiejący z bieguna.

– Znaleźć Dżakurutu – odparł Idaho, nadal się nie odwracając.

Stilgar dobył noża.

– Być może mogę ci pomóc – powiedział.

Idaho znajdował się teraz przy zewnętrznej krawędzi przejścia.

– Jeśli chciałbyś mi pomóc swoim nożem, złodzieju wody, proszę, byś wbił mi go w plecy – rzekł, nie zatrzymując się. – To odpowiedni sposób dla kogoś, kto chodzi na smyczy demona.

Stilgar przesadził izbę dwoma skokami, zatrzymał się przy ciele Dżawida i chwilę potem dopadł Idaho w korytarzu. Obrócił go żylastą ręką i stanął naprzeciw niego z obnażonymi zębami i nożem. Jego wściekłość była tak wielka, że nie zauważył zagadkowego uśmiechu Duncana.

– Dobądź noża, ty mentacki śmieciu! – ryknął.

Idaho się roześmiał. Trzepnął Stilgara najpierw lewą, później prawą ręką, wymierzając dwa bolesne ciosy w głowę.

Z nieartykułowanym wrzaskiem Stilgar wbił nóż w brzuch Idaho, kierując ostrze przez przeponę do serca.

Duncan osunął się na nie i uśmiechnął do Stilgara, którego wściekłość ustąpiła nagle miejsca lodowatemu wstrząsowi.

– Dwa zgony dla Atrydów – wycharczał. – Ten drugi z powodu nie lepszego niż pierwszy. – Zatoczył się na bok i padł twarzą na kamienną posadzkę. Z jego rany tryskała krew, tworząc coraz większą kałużę.

Stilgar spojrzał ponad ociekającym posoką krysnożem na ciało Idaho i wziął głęboki, drżący oddech. Za nim leżał martwy Dżawid, przed nim małżonek Alii, Łona Niebios, który poległ z jego ręki. Można by było dowodzić, że naib bronił tylko swojego honoru, mszcząc się za to, co stanowiło zagrożenie dla przyrzeczonej przezeń neutralności, ale zginął tutaj Duncan Idaho. Żadne argumenty, żadne „okoliczności łagodzące” nie mogły usprawiedliwić takiego czynu. Nawet gdyby prywatnie Alia się z nimi zgodziła, publicznie musiałaby odpowiedzieć zemstą. Była przecież Fremenką. Aby rządzić Fremenami, nie mogła, w najmniejszym nawet stopniu, być nikim innym.

Dopiero wtedy dotarło do Stilgara, że do takiej właśnie sytuacji chciał doprowadzić swoim „drugim zgonem” Idaho.

Podniósł głowę i ujrzał wstrząśniętą Harę, swoją drugą żonę, wpatrującą się w niego spośród rosnącego tłumu. Gdziekolwiek się obrócił, widział ten sam wyraz twarzy: wstrząs i zrozumienie następstw tego, co się stało.

Powoli się wyprostował, wytarł ostrze o rękaw i włożył krysnóż do pochwy.

– Ci, którzy pójdą ze mną, powinni się natychmiast spakować – rzekł swobodnym tonem do otaczających go twarzy. – Wyślijcie ludzi, by przywołali czerwie.

– Dokąd się udasz, Stilgar? – zapytała Hara.

– Na pustynię.

– Pójdę z tobą – powiedziała.

– Oczywiście, że pójdziesz ze mną. Pójdą ze mną wszystkie żony. I Ganimi. Sprowadź ją, Hara. Natychmiast.

– Tak, Stilgar... natychmiast. – Zawahała się. – A Irulana?

– Jeśli będzie chciała.

– Tak, mężu. – Mimo to nadal się wahała. – Bierzesz Gani jako zakładniczkę?

– Zakładniczkę? – Ta myśl szczerze go zdumiała. – Kobieto... – Dotknął lekko palcem stopy trupa Idaho. – Jeśli ten mentat się nie mylił, jestem jedyną nadzieją Gani. – I wtedy przypomniał sobie przestrożę Leto: „Strzeż się Alii. Musisz wziąć Ganimę i uciec”.



Wzorem Fremenów wszyscy planetolodzy postrzegają życie jako ekspresję energii i poszukują nadrzędnych związków między różnymi jej formami. Rasowa mądrość Fremenów, która po trochu, po kawałku przekształca się w ogólne zrozumienie ich świata, daje im nową pewność. Może ją mieć każdy inny lud. Musi jedynie wykształcić zrozumienie związków energii. Wystarczy, by obserwował, jak energia ta przenika układ rzeczy i gromadzi się w tych układach.

– *Katastrofa arrakańska według Harka al-Ady*

Była to sicz Tueka leżąca po wewnętrznej stronie Nibymuru. Halleck stał w cieniu skalnej skarpy osłaniającej górne wejście do siczy, czekając, aż jej

mieszkańcy zdecydują, czy udzielić mu schronienia. Skierował wzrok za siebie, na północną pustynię, a potem na szaroniebieskie o poranku niebo. Żyjący tu przemytnicy byli zdumieni, gdy dowiedzieli się, że obcoświatowiec chwycił czerwia i pojechał na nim. Ale Halleck był równie zdumiony ich reakcją. Było to proste zadanie dla zwinnego człowieka, który wielokrotnie widział, jak się to robi.

Znowu spojrzał na pustynię, srebrzystą pustynię usianą lśniącymi skałami i szarozielonymi polami, na którą woda wpływała swą magią. Nagle wszystko to wydało mu się niezwykle kruchym zbiornikiem energii, życia, któremu groziło gwałtowne przesunięcie w paradygmacie zmian.

Wiedział, co jest źródłem tej reakcji. Była nim krzątająca się na pustyni poniżej miejsca, w którym stał. Do siczy wtaczano pojemniki pełne martwych piaskowych troci z myślą o destylacji i odzyskaniu ich wody. Troci były tysiące. Przyciągała je wylewająca się woda. I właśnie te potoki wody uruchomiły gorączkowy bieg jego myśli.

Spojrzał na pola siczy i wyznaczający ich granicę kanat, którym nie płynęła już cenna woda. Widział dziury w kamiennych ścianach kanatu, wyrwy w jego obramowaniu, przez które woda wsiąkała w piach. Co je spowodowało? Niektóre, w najwrażliwszych fragmentach, gdzie sypki piasek zapadł się, tworząc wchłaniające wodę zagłębienia, miały dwadzieścia metrów długości. Właśnie w tych zagłębieniach roilo się od piaskowych troci. Dzieci z siczy zabijały je i wyciągały.

Przy roztrzaskanych ścianach kanatu uwijały się ekipy remontowe. Inne nosiły niewielkie ilości wody irygacyjnej i podlewały rośliny, które najbardziej jej potrzebowały. Odcięto dopływ wody z ogromnego zbiornika siczowego pod oddzielaczem wiatru, zapobiegając jej uchodzeniu do zrujnowanego kanatu. Dołączono pompy zasilane energią słoneczną. Wodę do podlewania czerpano z wysychających kałuż na dnie kanatu i noszono w trudzie ze zbiornika w siczy.

We wzmagającym się upale zaskrzypiały metalowe ościeża grodzi za plecami Hallecka. Jakby dźwięk ten poruszył jego oczami, Gurney stwierdził, że jego wzrok przyciąga najdalszy łuk kanatu, miejsce, w którym woda najbezwzględniej zapuściła się na pustynię. Pełni nadziei, że uda im się stworzyć ogród, projektanci siczy zasadzili tam wyjątkowe drzewo, które skazane było na zagładę, jeśli wkrótce nie przywróci się dopływu wody. Halleck patrzył na idiotyczne, okryte obfitym listowiem witki rosnącej tam

wierzby, posiekane miotanym przez wiatr piaskiem. Dla niego drzewo to było symbolem nowej rzeczywistości, zarówno jego, jak i Arrakis.

„Oboje jesteśmy tu obcy” – pomyślał.

Mieszkańcom siczy podjęcie decyzji zajmowało wiele czasu, ale potrafili skorzystać z usług dobrych wojowników. Przemysłowcy zawsze potrzebowali niezawodnych ludzi. Jednak Halleck nie miał co do nich żadnych złudzeń. Współcześni przemysłowcy nie byli tacy sami jak ci, którzy udzielili mu schronienia przed wieloma laty, kiedy uciekł przed rozpadem lenna swego pana. O nie, to był nowy ich rodzaj, szukający szybkiego zysku.

Ponownie skupił wzrok na tej idiotycznej wierzbie i wtedy dotarło do niego, że wiatry nowej rzeczywistości mogą zmieść przemysłowców i wszystkich ich przyjaciół. Mogą zmieść Stilgara z jego kruchą neutralnością i porwać z nim wszystkie plemiona, które pozostały wierne Alii. Wszyscy staliby się mieszkańcami kolonii. Widział już to, poznał gorzki tego smak na ojczystej planecie. Dostrzegał to wyraźnie, przypominając sobie zwyczaje miejskich Fremenów, przedmieścia i charakterystyczny rytm życia wiejskiej siczy, który wycisnął piętno nawet na tej kryjówce przemysłowców. Obszary wiejskie były koloniami ośrodków miejskich. Ich mieszkańcy nauczyli się dźwigać wywatowane jarzmo, do czego przywiodła ich chciwość, jeśli nie przesady. Nawet tutaj, zwłaszcza tutaj, przejawiali postawę ludności zniewolonej, nie zaś wolnych ludzi. Byli skryci, stosowali uniki, mówili wymijająco. Odnosili się nieufnie do każdego przejawu władzy, wszelkiej władzy: regentki, Stilgara, własnej rady...

„Nie mogę im zaufać” – pomyślał Halleck.

Mógł jedynie wykorzystać przemysłowców, pielęgnując ich nieufność wobec innych. Było to smutne. Wzajemne przysługi i ustępstwa wolnych ludzi odeszły w przeszłość. Stare zasady zostały zredukowane do rytualnych słów i pustych gestów, ich źródła i znaczenie zapomniane.

Alia dobrze wykonała swoje dzieło, karząc za opór i nagradzając za pomoc, przemieszczając losowo siły Imperium i ukrywając główne elementy swej władzy. Szpieczy! Bogowie podziemi, iluż musiała ich mieć!

Halleck niemal namacalnie wyczuwał upiorny rytm jej posunięć i kontrposunięć, za pomocą których miała nadzieję nie pozwolić, by jej przeciwnicy odzyskali równowagę.

„Jeśli Fremen będą trwali w uśpieniu, ona zwycięży” – pomyślał.

Za jego plecami rozległ się zgrzyt otwieranej grodzi. Wyłonił się zza niej Melides, strażnik siczy. Był niskim mężczyzną o pękatym jak tykwa tułowi osadzonym na patykowatych nogach, a filtrak tylko podkreślał ich brzydotę.

– Zostałeś przyjęty – oznajmił Melides.

Halleck usłyszał nieszczerłość, chytre udawanie. Znaczyło to, że może liczyć na schronienie tutaj tylko przez krótki czas. „Dopóki nie uda mi się ukraść jednego z ich ornitopterów” – pomyślał.

– Wyrażam wdzięczność waszej radzie – powiedział i wspomniał Esmara Tueka, na pamiątkę którego ta sicz została nazwana. Esmar, który dawno temu zginął wskutek czyjejś zdrady, poderżnąłby gardło Melidesowi na sam jego widok.



Każda droga, która zawęży przyszłe możliwości, może się stać śmiertelną pułapką. Ludzie nie idą przez labirynt, znacząc nicią przebytą trasę; ogarniają spojrzeniem szeroki horyzont wyjątkowych szans. Zawężający pole widzenia korytarz labiryntu może być atrakcyjny jedynie dla stworzeń, które ryją w piachu. Wynikające z odmienności płciowej różnice i wyjątkowość są zabezpieczeniem dla życia tego rodzaju.

– *Podręcznik Gildii Kosmicznej*

– Dlaczego nie czuję żalu? – Alia skierowała to pytanie do sufitu swojej małej komnaty przyjęć, pomieszczenia, które mogła przemierzyć dziesięcioma krokami wszerz i piętnastoma wzdłuż. Miało ono dwa wysokie, wąskie okna, z których ponad dachami domów Arrakin widać było Mur Zaporowy.

Było niemal południe. Słońce prażyło panew, na której zbudowano miasto.

Alia przeniosła wzrok na Buera Agarvesa, byłego mieszkańca siczy Tabr, a teraz prawą rękę Zai, który dowodził strażnikami świątynnymi. Agarves przyniósł wiadomość, że Dżawid i Idaho nie żyją. Razem z nim przybył tłum pochlebców, współpracowników i strażników, a jeszcze więcej ludzi tłoczyło się na zewnątrz, pokazując, że już wie, z czym przybył Agarves.

Na Arrakis złe wieści rozchodziły się szybko.

Agarves był niskim mężczyzną o niezwykle okrągłej jak na Fremena twarzy, niemal dziecięcej z powodu tej pucołowatości. Należał do nowych

Fremenów, którzy rozpuchli się od wody. Alia widziała jakby dwa jego obrazy: jeden z poważnym obliczem i nieprzeniknionymi oczami koloru indygo oraz drugi, na którym był zmysłowy i bezbronny, niezwykle bezbronny. Szczególnie podobały jej się jego wydatne wargi.

Chociaż dopiero zbliżało się południe, w otaczającej ją zszokowanej ciszy wyczuwała coś, co zwiastowało zmierzch.

„Idaho powinien być umrzeć o zachodzie słońca” – pomyślała.

– Jak to się stało, Agarves, że to ty przynosisz tę wiadomość? – spytała, zauważając, jak szybko na jego twarzy pojawił się wyraz czujności.

Agarves starał się przełknąć ślinę, po czym przemówił zduszonym głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

– Pojechałem z Dżawidem, pamiętasz, moja pani? A kiedy Stilgar wysłał mnie do ciebie, polecił, bym ci przekazał, że przynoszę wieść o jego ostatnim akcie posłuszeństwa.

– O ostatnim akcie posłuszeństwa... – powtórzyła Alia niczym echo. – Co chciał przez to powiedzieć?

– Nie wiem, lady Alia – odparł Fremen błagalnym głosem.

– Opowiedz mi raz jeszcze o tym, co widziałeś – rozkazała, dziwiąc się, że jej skóra jest tak zimna.

– Widziałem... – Kiwnął nerwowo głową i spojrzał na podłogę. – Widziałem twego świętego małżonka martwego na posadzce w głównym korytarzu, a obok, w bocznym przejściu, ciało Dżawida. Kobiety przygotowywały ich już do Huanui.

– A na miejsce zbrodni wezwał cię Stilgar?

– To prawda, moja pani. Stilgar. Przysłał po mnie Garbusa Modibo, który jest jego posłańcem. Modibo nie przestrzegł mnie ani słowem, powiedział tylko, że Stilgar chce mnie widzieć.

– I widziałeś tam, na posadzce, zwłoki mojego męża?

Zerknął szybko na Alię, napotkał jej wzrok i ponownie skierował spojrzenie na podłogę, po czym skinął potakująco głową.

– Tak, moja pani. A nieopodal martwego Dżawida. Stilgar powiedział... powiedział, że Dżawida zabił twój święty małżonek.

– A mojego męża, jak powiadasz, Stilgar...

– Usłyszałem to z jego ust, moja pani. Stilgar powiedział, że sam to zrobił. Powiedział, że twój święty małżonek sprowokował go i rozwścieczył.

– Rozwścieczył – powtórzyła Alia. – Jak to się stało?

– Tego nie powiedział. Nikt nie powiedział. Pytałem, ale nikt nie chciał nic powiedzieć.

– I wtedy wysłano cię do mnie z tą wieścią?

– Tak, moja pani.

– Nie mogłeś nic zrobić?

Agarves zwilżył wargi językiem.

– Wypełniałem rozkaz Stilgara, moja pani. To jego sicz.

– Rozumiem. A ty zawsze słuchałeś Stilgara.

– Zawsze, moja pani, dopóki nie zwolnił mnie z tego obowiązku.

– To znaczy wtedy, kiedy przysłano cię na służbę do mnie?

– Teraz słucham tylko ciebie, moja pani.

– Naprawdę? Powiedz mi, Buer, gdybym rozkazała ci zabić Stilgara, twojego starego przywódcę, zrobiłbyś to?

Spojrzał jej w oczy z rosnącą stanowczością.

– Gdybyś rozkazała mi to zrobić, moja pani – odparł.

– Zatem rozkazuję. Domyślasz się, dokąd się udał?

– Na pustynię. To wszystko, co wiem, moja pani.

– Ilu ludzi wziął ze sobą?

– Może połowę zdolnych do walki.

– I są z nim Ganimi i Irulana!

– Tak, moja pani. Zostali ci, którzy obarczeni są swoimi kobietami, dziećmi i dobytkiem. Stilgar dał każdemu wybór: iść z nim lub zostać zwolnionym z obowiązku posłuszeństwa. Wielu zdecydowało się na to drugie. Wybiorą nowego przywódcę.

– Ja wybiorę nowego naiba! I zostaniesz nim ty, Buerze Agarves, w dniu, w którym przyniesiesz mi głowę Stilgara.

Agarves mógł przystać na wybór poprzez walkę. Tak się robiło po fremieńsku.

– Jak każesz, moja pani – powiedział. – Jakie siły mogę...

– Skontaktuj się z Zają. Nie mogę ci dać wielu ornitopterów. Są potrzebne gdzie indziej. Ale znajdziesz dość ludzi do walki. Stilgar splamił mój honor. Wielu chętnie odda się pod twoje rozkazy.

– Zajmę się tym, moja pani.

– Zaczekaj! – Przez chwilę przyglądała mu się badawczo, zastanawiając się, kogo wysłać, by miał oko na tego bezbronnego dzieciaka. Trzeba go bacznie obserwować, dopóki się nie sprawdzi. Zaja będzie wiedziała, komu zlecić to zadanie.

– Czy mam się oddalić, moja pani?

– Nie. Muszę porozmawiać z tobą na osobności o planach pochwycenia Stilgara. – Przyłożyła rękę do twarzy. – Nie będę oplakiwała męża, dopóki nie dokonasz zemsty. Daj mi parę minut na uspokojenie się. – Opuściła dłoń. – Jedna z moich służących pokaże ci drogę. – Skinęła nieznacznie na służącą i szepnęła do Szalusy, swojej ochmistrzyni: – Każ go wykąpać i wyperfumować, zanim go przyprowadzisz. Cuchnie czerwienią.

– Tak, moja pani.

A potem Alia się odwróciła, udając żal, którego nie czuła, i uciekła do swoich prywatnych komnat. Znalazłszy się w sypialni, zatrzasnęła z hukiem drzwi, zaklęła i tupnęła nogą.

„Niech diabli porwą tego przekłętego Duncana! Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?”

Czuła, że była to jego celowa prowokacja. Zabił Dżawida i sprowokował Stilgara. Powiadają, że wiedział o Dżawidzie. Całą tę sprawę trzeba potraktować jako wiadomość od Duncana Idaho, jego ostatni gest.

Znowu tupnęła nogą, i jeszcze raz, i zaczęła się miotać po komnacie.

„Niech go diabli! Niech go diabli! Niech go diabli!”

Stilgar przeszedł na stronę buntowników, a z nim Ganim. I Irulana.

„Niech ich wszystkich diabli porwą!”

Jej tupiąca z wściekłością stopa napotkała przeszkodę. Z ust wyrwał jej się krzyk bólu. Spojrzała na podłogę i zobaczyła metalową sprzączkę. Chwyciła ją i na jej widok stanęła jak skamieniała. Była to stara sprzączka, jedna z tych wykonanych ze srebra i platyny na Kaladanie, które książę Leto Atryda I podarował swemu mistrzowi miecza, Duncanowi Idaho. Wiele razy widziała, jak Duncan ją nosił. I tutaj ją porzucił.

Palce Alii zacisnęły się kurczowo na sprzączce. Idaho zostawił ją tutaj, kiedy... kiedy...

Z jej oczu, mimo silnego fremenckiego uwarunkowania, popłynęły łzy. Kąciki ust opadły i zastygły w grymasie. Poczowała, że w jej głowie rozpoczyna się na nowo stara bitwa, sięgając aż do czubków jej palców u nóg i rąk. Miała wrażenie, że stała się dwiema osobami. Jedna z nich patrzyła na te cielesne skurcze ze zdumieniem. Druga starała się poddać ogromnemu bólowi, który wzbierał w jej piersi. Teraz już łzy płynęły strumieniem, a ta Zdumiona Istota w niej pytała żałośnie: „Kto płacze? Kim jest ta osoba, która płacze? Kto teraz płacze?”

Ale nic nie mogło powstrzymać jej łez i poczuła ból, który zapłonął w jej piersi, pokierował jej ciałem i rzucił nią na łóżko.

Nadal ktoś pytał z głębokim zdumieniem: „Kto płacze? Kim jest...”



Wskutek tych czynów Leto II usunął się z ciągu ewolucyjnych przemian. Celowo odciął się od nich, mówiąc: „Żeby być niezależnym, trzeba się usunąć”. Bliźnięta wybiegały spojrzeniem poza potrzeby pamięci jako procesu mierzenia, to znaczy sposobu określania dystansu dzielącego je od ich ludzkich korzeni. Ale dokonanie owego zuchwałego czynu przypadło w udziale Leto, który rozumiał, że prawdziwe dzieło stworzenia jest niezależne od stwórcy. Nie chciał on odtwarzać ewolucyjnego ciągu, mówiąc: „To też oddala mnie coraz bardziej od człowieczeństwa”. Dostrzegał implikacje tego, że w życiu nie może być żadnych naprawdę zamkniętych układów.

– *Święta przemiana* pióra Harka al-Ady

Owady, od których roilo się w wilgotnym piachu za kanatem, przyciągały stada ptaków: papug, srok, sójek. Była to dzedida, ostatnie z nowych miast, zbudowana na odsłoniętym bazalcie. Została porzucona. Wykorzystując poranek na oględziny terenu rozciągającego się za pierwszymi uprawami opuszczonej siczy, Ganimi zauważyła jakiś ruch i zobaczyła gekona. Wcześniej pojawił się tam dzięcioł, który miał gniazdo w glinianym murze dzedidy.

W myślach traktowała to miejsce jak sicz, ale w rzeczywistości było to zbiorowisko niskich murów z suszonych cegieł, otoczone uprawami powstrzymującymi wydmy. Znajdowało się na Tanzerouft, sześćset kilometrów na południe od grani Sihai. Zabrakło ludzkich rąk, które by o nią dbały, więc sicz zaczynała już na powrót wtapiać się w pustynię – mury rozsypywały się pod naporem burz piaskowych, rośliny umierały, ziemia uprawna była spękana od palących promieni słońca.

Ale piasek obok zniszczonego kanatu pozostał wilgotny, co świadczyło o tym, że przysadzisty oddzielnik wiatru nadal działał.

W ciągu miesięcy, jakie upłynęły od ich ucieczki z Tabr, zbiegowie skorzystali z kilku takich miejsc, które za sprawą Demona Pustyni nie nadawały się do zamieszkania. Ganimi nie wierzyła w Demona Pustyni, chociaż nie można było zaprzeczyć namacalnemu dowodowi, jakim był zniszczony kanat.

Sporadycznie, dzięki zbuntowanym poszukiwaczom przyprawy, uzyskiwali wieści o tym, co się dzieje w osiedlach na północy. Kilka ornitopterów – niektórzy twierdzili, że nie więcej niż sześć – odbywało loty zwiadowcze, szukając Stilgara, ale Arrakis była duża, a jej pustynia przyjazna dla uciekinierów. Utworzono rzekomo oddział, który otrzymał zadanie odnalezienia i zniszczenia „bandy” Stilgara, ale oddział ów, dowodzony przez byłego mieszkańca Tabr Buera Agarvesa, miał też inne obowiązki i często wracał do Arrakin.

Buntownicy mówili, że między nimi a wojskami Alii rzadko dochodzi do starć. Przeprowadzane na chybił trafił przez Demona Pustyni wypadki spowodowały, że sprawą o pierwszorzędym znaczeniu stała się dla Alii i wiernych jej naibów ochrona osiedli. Również przemytnicy otrzymali ciosy od demona, ale powiadano, że przeczesują oni pustynię w poszukiwaniu Stilgara, chcąc uzyskać nagrodę wyznaczoną za jego głowę.

Stilgar przyprowadził swoją grupę do dżedidy tuż przed zmierzchem poprzedniego dnia, kierując się swoim starym fremeńskim nosem, który bezbłędnie wyczuwał wilgoć. Obiecał, że niebawem ruszą na południe, do palmariów, ale nie chciał podać konkretnej daty. Chociaż za jego głowę wyznaczono nagrodę, za którą niegdyś można by było kupić planetę, wydawał się najszcześliwszym i najbardziej beztroskim z ludzi.

– To dla nas dobre miejsce – powiedział, udowadniając, że oddzielnac wiatru wciąż działa. – Nasi przyjaciele zostawili nam trochę wody.

Byli teraz małą gromadką, wszystkiego sześćdziesiąt osób. Starców, chorych i dzieci przemycono na południe, do palmariów, gdzie zaopiekowały się nimi zaufane rodziny. Pozostali tylko najtwardsi, a mieli wielu przyjaciół zarówno na północy, jak i na południu.

Ganima zastanawiała się, dlaczego Stilgar nie chciał rozmawiać o tym, co się dzieje z planetą. Czyżby nie widział tego? W miarę jak kanaty były niszczone, Fremeni wycofywali się poza biegnące na północy i południu linie, które niegdyś wyznaczały granice ich posiadłości. Ta migracja wskazywała, co się musi dzieć w całym Imperium. Jedno było odzwierciedleniem drugiego.

Wsunęła rękę pod kołnierz filtraka i ponownie go zapięła. Mimo zmartwień czuła się tutaj niezwykle wolna. Nie prześladowały jej już wewnętrzne byty, chociaż czasami czuła, że do jej świadomości przenikają ich wspomnienia. Wiedziała z nich, jaka kiedyś, nim zaczęła się ekologiczna transformacja planety, była ta pustynia. Przede wszystkim była suchsza.

Nienaprawiany oddzielacz wiatru ciągle działał, ponieważ wychwytywał i przetwarzał wilgotne powietrze.

Wiele stworzeń, które niegdyś unikały pustyni, obecnie odważało się żyć na niej. Wielu członków ich grupy zauważyło, jak bardzo rozmnożyły się dzienne sowy. Nawet teraz Ganimida widziała mrówkożery. Latały wzdłuż sznurów owadów ciągnących przez mokry piasek przy końcu rozbitego kanatu. Zauważono wprowadzić tylko kilka borsuków, ale za to skoczków pustynnych były niezliczone stada.

Nowymi Fremenami opanował teraz zabobonny lęk, a Stilgar nie był wcale lepszy od reszty. Tę dziedzicę oddano pustyni, gdy jej kanat został zniszczony po raz piąty w ciągu jedenastu miesięcy. Czterokrotnie mieszkańcy naprawiali szkody wyrządzone przez Demona Pustyni, ale za piątym razem się poddali, bo nie mieli już nadwyżki wody, by ryzykować kolejną jej stratę.

Tak samo było we wszystkich dziedzicach i w wielu starych siczach. Porzucono osiem z dziewięciu nowych osiedli. Wiele starych siczy było zatłoczonych jak nigdy dotąd. A kiedy pustynia wkraczała w tę nową fazę, Fremeni powracali do starych zwyczajów. We wszystkim widzieli znaki. Oprócz Tanzerouft czerwie były coraz rzadsze? To wyrok Szej-huluda! I spotykano też martwe czerwie, a nic nie pozwalało orzec, dlaczego zdechły. Po śmierci szybko rozsypywały się w proch, który mieszał się z piaskiem pustyni, lecz te rozpadające się cielska, na które przypadkiem natykali się Fremeni, napełniały ich przerażeniem.

W ubiegłym miesiącu na takie cielsko trafiła grupa Stilgara. Potrzebowali czterech dni, by otrząsnąć się ze złych przeczuć. Od martwego czerwia bił kwaśny, trujący odór rozkładu. Znaleźli jego zapadające się w sobie ściervo na miejscu potężnego wybuchu przyprawy. Większość melanzu była zepsuta.

Ganimida odwróciła się od kanatu i spojrzała wstecz, na dziedzicę. Na wprost niej stał pokruszony mur, który kiedyś osłaniał musztamal, mały ogród przylegający do domu. Wiedziona ciekawością, przeszukała to miejsce i znalazła w kamiennej skrzyni stos płaskich, praśnych placków przyprawowych.

Stilgar zniszczył je.

– Fremeni nigdy nie zostawiliby dobrego jedzenia – rzekł.

Ganimida podejrzewała, że się mylił, ale rzecz nie była warta sporu ani ryzyka. Fremeni się zmieniali. Niegdyś wędrowali swobodnie przez blech,

kierując się naturalnymi potrzebami: znalezieniem wody, przyprawy, prowadzeniem handlu. Ich budzikiem była aktywność zwierząt. Ale zwierzęta przestawiły się na nowe, dziwne rytmy, a większość Fremenów tłoczyła się w swoich starych skalnych labiryntach w cieniu północnego Muru Zaporowego. Zbieracze przyprawy rzadko zapuszczali się na Tanzerouft i tylko gromada Stilgara poruszała się starymi szlakami.

Ganima pokładała nadzieję w Stilgarze i jego strachu przed Alią. Irulana wspierała teraz jego argumenty, wróciwszy do dziwacznych rojeń Bene Gesserit. Ale Farad'n nadal żył na odległym Salusie. Kiedyś nadejdzie jednak dzień sądu.

Podniosła głowę i spojrzała na srebrzystoszare niebo, szukając odpowiedzi na dręczące ją pytania. Gdzie może znaleźć pomoc? Czy jest gdzieś ktoś gotów wysłuchać tego, co chciała ukazać na podstawie obserwacji wszystkiego, co się działo wokół? Lady Jessika, jeśli wierzyć doniesieniom, nadal pozostawała na Salusie. Natomiast Alia była istotą na piedestale i myślała tylko o tym, by się stać wielką, podczas gdy coraz bardziej oddalała się od rzeczywistości. Nie można było nigdzie znaleźć Gurneya Hallecka, chociaż z doniesień wynikało, że widziano go wszędzie. Kaznodzieja gdzieś się skrył, a jego heretyckie przemowy z każdą chwilą bardziej zacierały się w pamięci.

No i Stilgar.

Skierowała wzrok za pokruszony mur, tam gdzie stary naib pomagał naprawiać zbiornik. Stilgar rozkoszował się rolą błędnego ognika na pustyni, gdyż cena za jego głowę rosła z każdym miesiącem.

Nic już nie trzymało się kupy. Nic.

Kim był ów Demon Pustyni, ta istota, która niszczyła kanaty, jakby były fałszywymi bożkami, które trzeba strącić na piasek? Czyżby był to jakiś złośliwy czerw? A może trzecia strona w buncie – wielu ludzi? Nikt nie wierzył, że jest to czerw. Woda zabiłaby każdego czerwia, który zaryzykowałby i rzucił się na kanat. Wiele Fremenów uważało, że Demon Pustyni to w rzeczywistości grupa buntowników, którzy zawzięli się, by obalić mahdinat Alii i przywrócić na Arrakis stare zwyczaje i porządki. Ci, którzy byli tego zdania, twierdzili, że byłoby dobrze, gdyby tak się stało. Pozbyć się tej chciwej, apostołicznej sukcesji władzy, która nie zajmowała się niemal niczym poza utrzymywaniem swojej mierności, i wrócić do prawdziwej religii, którą głosił Muad'Dib.

Ganimą wstrząsnęło głębokie westchnienie.

„Och, Leto – pomyślała – jestem niemal szczęśliwa, że nie dożyłeś tych dni. Sama dołączyłabym do ciebie, ale mój nóż nie jest jeszcze zakrwawiony. Alia i Farad’n. Farad’n i Alia. Jej demonem jest stary baron, a nie można pozwolić, by mu ulegała”.

Z dzedidy wyszła Hara i podeszła do Ganimy równym krokiem, sunąc po piasku jak po ubitej drodze.

– Dlaczego jesteś tutaj sama? – zapytała z wyrzutem.

– To dziwne miejsce, Hara. Powinniśmy je opuścić.

– Stilgar ma się tu z kimś spotkać.

– Och! Nie powiedział mi o tym.

– A dlaczego miałby ci o wszystkim mówić? *Maku?* – Hara klepnęła kieszeń wodną, która sterczała pod szatą Ganimy. – Nie jesteś za młoda na ciążę?

– Byłam w ciąży tyle razy, że nie sposób tego zliczyć – odparła Ganimi. – Nie baw się ze mną w te gierki dorosłych z dziećmi!

Hara aż się cofnęła, usłyszawszy jad w jej głosie.

– Jesteście bandą głupków – powiedziała Ganimi, zataczając ręką łuk, który objął dzedidę i Stilgara z jego ludźmi. – Nie powinnam iść z wami.

– Gdybyś nie poszła, już byś nie żyła.

– Być może. Ale wy nie widzicie tego, co macie przed samymi oczami! Z kim ma się tutaj spotkać Stilgar?

– Z Buerem Agarvesem.

Ganimi patrzyła na nią bez słowa.

– Zostanie tu sekretnie sprowadzony przez przyjaciół z siczy nad Czerwoną Czeluścią – wyjaśniła Hara.

– Ta zabawka Alii?

– Przyprawiają go z zawiązanymi oczami.

– I Stilgar w to wierzy?

– O te pertraktacje poprosił Buer. Przystał na nasze warunki.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziano?

– Stilgar wie, że wytoczyłabyś argumenty przeciwko temu.

– Argumenty przeciwko... To szaleństwo.

Hara się nachmurzyła.

– Nie zapominaj, że Buer jest...

– *Członkiem rodziny!* – warknęła Ganimi. – Wnukiem kuzyna Stilgara. Wiem. A Farad’n, którego krew pewnego dnia wytoczę, jest moim równie bliskim krewnym. Myślisz, że to powstrzyma mój nóż?

– Dostaliśmy dystrans. Nikt za nim nie podąża.
– Nie wyjdzie z tego nic dobrego, Hara – powiedziała cicho Ganim. – Powinniśmy natychmiast stąd odejść.
– Odczytałaś omen? – zapytała Hara. – Ten martwy czerw, którego zobaczyliśmy! Czy to...
– Wepchnij to sobie do łona i urodź gdzie indziej! – wrzasnęła Ganim. – Nie podoba mi się ani to spotkanie, ani to miejsce. Czy to nie wystarczy?
– Powiem Stilgarowi, co ty...
– Sama mu to powiem! – przerwała jej Ganim i przeszła obok niej.
Hara wykonała znak rogów czerw, by odgonić zły urok.
Ale Stilgar wyśmiał obawy Ganimy i kazał jej szukać piaskowej troci, jakby była dzieckiem. Uciekła do jednego z porzuconych domów dziadka i kucnęła w kącie, by podsycić złość. Uczucie to wszakże szybko przeszło; poczuła poruszenie wewnętrznych istnień i usłyszała, jak ktoś mówi:
– *Jeśli zdołamy ich unieruchomić, wszystko pójdzie zgodnie z naszym planem.*
„Cóż za dziwna myśl”.
Ale nie była w stanie przypomnieć sobie, kto wyrzekł te słowa.



Muad'Dib został wydziedziczony i przemawiał w imieniu wydziedziczonych wszystkich czasów. Krzyczał przeciwko owej głębokiej niesprawiedliwości, która pozbawia jednostkę tego, w co nauczono ją wierzyć, tego, co wydawało jej się prawem.

– *Analiza mahdinatu* pióra Harka al-Ady

Gurney Halleck siedział na urwisku Szulochu z balisetą na dywaniku z włókna przyprawowego. W leżącym pod nim zamkniętym basenie roilo się od robotników sadzących rośliny. Piaszczysty nasyp, na który Wygnańcy zwabiali czerw, usypując szlak z przyprawy, został przecięty nowym kanatem. Zasadzone rośliny schodziły coraz bardziej w dół, by go obrzeżyć.

Zbliżała się pora południowego posiłku, a Halleck ponad godzinę siedział na urwisku w odosobnieniu, w którym mógł spokojnie myśleć. Pracę u stóp urwiska wykonywali wprawdzie ludzie, ale wszystko, co widział, było dziełem melanżu. Według oceny Leto zbiory przyprawy miały wkrótce spaść

do jednej dziesiątej rekordowych wyników z czasów Harkonnenów. Wartość dostaw podwajała się na każdym punkcie tranzytowym w Imperium. Mówiono, że za dwadzieścia jeden litrów kupiono od rodziny Metulli połowę planety Novebruns.

Wygnańcy pracowali, jakby poganiał ich diabeł, i może rzeczywiście tak było. Przed każdym posiłkiem zwracali się twarzami w stronę Tanzerouft i modlili do personifikacji Szej-huluda. Tak postrzegali Leto i ich oczami Halleck widział przyszłość, w której większość ludzi podzielała ten pogląd. Nie był pewien, czy podoba mu się ta perspektywa.

Narzucił im to Leto, przywiózłszy tutaj Hallecka i Kaznodzieję skradzionym przez Gurneya ornitopterem. Gołymi rękami zrobił wyłom w kanacie, ciskając duże głazy na ponad pięćdziesiąt metrów. Kiedy Wygnańcy spróbowali mu przeszkodzić, Leto jednym ruchem ramienia pozbawił głowy pierwszego, który do niego dobiegł. Pozostałych odrzucił na ich towarzyszy i wyśmiał ich broń.

– Nie tknie mnie ogień! Wasze noże nie zrobią mi krzywdy! – ryknął na nich demonicznym głosem. – Mam skórę szej-huluda!

Wtedy Wygnańcy go poznali i przypomnieli sobie jego ucieczkę, podczas której zeskoczył z urwiska „wprost na pustynię”. Padli przed nim na twarz, a Leto wydał im rozkazy.

– Przywożę wam dwóch gości – powiedział. – Będziecie ich strzec i szanować. Odbudujecie swój kanat i zaczniecie zakładać ogród. Pewnego dnia osiadę tutaj. Przygotujecie mi dom. Nie będziecie już sprzedawać przyprawy, tylko przechowywać każdą jej drobinę, którą zbierzecie.

I wydawał polecenie za poleceniem, a Wygnańcy słyszeli każde słowo, patrząc na niego zaszklonymi przez strach oczami, zdjęci przerażającym lękiem.

Oto wreszcie wynurzył się z piasku Szej-hulud!

Nic nie wskazywało na tę przemianę, kiedy Leto znalazł Hallecka i Ghadheana al-Falego w jednej z małych zbuntowanych siczy w Gejr Kulon. Przybył ze swoim niewidomym towarzyszem starym szlakiem przyprawowym, podróżując na czerwiu przez obszar, na którym czerwie były teraz rzadkością. Mówił, że wiele razy musiał zbaczać ze szlaku z powodu wilgoci w piasku, wody w ilości wystarczającej, by czerw się zatrul. Zjawili się tuż po południu i zostali przyprowadzeni przez strażników do wspólnej sali o kamiennych ścianach.

Wspomnienie tego prześladowało teraz Hallecka.

– Zatem to jest Kaznodzieja – powiedział na widok ślepcy.

Obchodząc go wielkimi krokami i przyglądając mu się badawczo, Halleck przypominał sobie opowieści o nim. W siczy starczej twarzy nie zasłaniała maska filtraka, widział więc dokładnie jego rysy i mógł je porównać z tym, co zachował w pamięci. Tak, ten człowiek z pewnością wyglądał jak stary książę, po którym nadano imię Leto. Czyżby to podobieństwo było przypadkowe?

– Znasz opowieści o nim? – zapytał Leto na boku. – O tym, że to twój ojciec, który wrócił z pustyni?

– Słyszałem je.

Halleck obrócił się i spojrzał badawczo na chłopca. Leto miał na sobie dziwny filtrak, z zawiniętymi wokół twarzy i uszu brzegami. Skrywał go czarny płaszcz, stopy tkwiły w butach piaskowych. Jego obecność tutaj domagała się obszernych wyjaśnień – jak udało mu się drugi raz uciec.

– Dlaczego sprowadzasz tutaj Kaznodzieję? – zapytał Halleck. – W Dżakurutu mówili, że pracuje dla nich.

– Już nie. Sprowadzam go, gdyż Alia pragnie jego śmierci.

– Ach tak? Myślisz, że tutaj znajdzie schronienie?

– Ty jesteś jego schronieniem.

Kaznodzieja cały czas stał obok nich, przysłuchując się, ale ani jednym gestem nie zdradził, że dba o to, jaki obrót przybierze ta rozmowa.

– Dobrze mi służył, Gurney – rzekł Leto. – Ród Atrydów nie całkiem stracił poczucie obowiązku wobec tych, którzy mu służą.

– Ród Atrydów?

– Ja reprezentuję ród Atrydów.

– Uciekłeś z Dżakurutu, zanim zdołałem ukończyć próby, które kazała mi przeprowadzić twoja babka – powiedział chłodno Halleck. – Jak możesz zakładać...

– Masz chronić życie tego człowieka jak własne – przerwał mu Leto, jakby nie prowadził z nim żadnego sporu, i nie mrugnawszy nawet, spojrzał Halleckowi prosto w oczy.

Jessika nauczyła Hallecka wielu stosowanych przez Bene Gesserit metod drobiazgowej obserwacji, ale nie wykrył w chłopcu niczego poza spokojną pewnością siebie. Mimo to rozkazy Jessiki były aktualne.

– Twoja babka powierzyła mi zadanie dokończenia twojej edukacji i upewnienia się, że nie jesteś opętany – powiedział.

– Nie jestem.

Było to beznamienne stwierdzenie.

– Dlaczego uciekłeś?

– Namri miał rozkaz zabić mnie bez względu na to, co zrobię. Ten rozkaz wydała mu Alia.

– Jesteś zatem Prawdomówcą?

– Jestem.

Kolejne beznamienne stwierdzenie, ogłoszone z absolutną pewnością siebie.

– Ganimi też?

– Nie.

I wtedy Kaznodzieja przerwał milczenie, zwracając puste oczodoły na Hallecka, ale wskazując na Leto.

– Myślisz, że *ty* możesz poddać próbom *jego*?

– Nie wtrącaj się, kiedy nic nie wiesz o problemie ani o jego konsekwencjach – powiedział władczo Halleck, nawet na niego nie spojrzawszy.

– Och, znam konsekwencje aż nazbyt dobrze – odparł Kaznodzieja. – Kiedyś sprawdzała mnie starucha, która sądziła, że wie, co robi. Jak się okazało, nie wiedziała.

I wtedy Halleck spojrzał na niego.

– Też jesteś Prawdomówcą? – zapytał.

– Każdy może być Prawdomówcą, nawet ty – rzekł Kaznodzieja. – To kwestia uczciwości wobec natury własnych uczuć. Wymaga wewnętrznego pogodzenia się z prawdą, co pozwala łatwo ją poznać.

– Dlaczego się wtrącasz? – zapytał Halleck, kładąc dłoń na krysnożu. „Kim jest ten Kaznodzieja?”

– Reaguję na wydarzenia – odparł Kaznodzieja. – Moja matka mogłaby złożyć swoją krew na ołtarzu, ale ja mam inne motywy. I rozumiem, na czym polega twój problem.

– Czyżby? – Gurney był teraz autentycznie zaintrygowany.

– Lady Jessica kazała ci odróżnić wilka od psa, ze'eba od ke'leba. Według jej definicji wilkiem jest ten, kto mając władzę, nadużywa jej. Ale pomiędzy wilkiem a psem jest stadium przejściowe, kiedy nie można odróżnić jednego od drugiego.

– Prawie trafiłeś w dziesiątkę – powiedział Halleck, zauważając, że wspólna izba coraz bardziej wypełnia się mieszkańcami siczy, którzy chcieli posłuchać ich rozmowy. – Skąd o tym wiesz?

– Stąd, że znam tę planetę. Nie rozumiesz? Pomyśl, jak to jest. Pod powierzchnią znajdują się skały, brud, osady, piasek. To pamięć tej planety, obraz jej historii. Tak samo jest z ludźmi. Pies pamięta wilka. Każdy wszechświat obraca się wokół jądra swej *istoty*, a z tego jądra rozchodzą się wspomnienia i wydobywają na powierzchnię.

– To bardzo ciekawe – stwierdził Halleck – ale jak może mi to pomóc w wykonaniu rozkazów, które otrzymałem?

– Przeanalizuj obraz historii, który jest w twoim wnętrzu. Skontaktuj się z nim tak, jak zrobiłoby to zwierzę.

Halleck potrząsnął głową. Kaznodzieja odznaczał się frapującą bezpośredniością, cechą, którą wielokrotnie mógł obserwować u Atrydów, a przy tym niejedno świadczyło o tym, że ten mężczyzna wykorzystuje potęgę Głosu. Poczuł, że zaczyna walić mu serce. Czy to możliwe?

– Jessika chciała, by przeprowadzić rozstrzygającą próbę, poddać jej wnuka presji, która ukazałaby, z jakiego jest w istocie materiału – rzekł Kaznodzieja. – Ale przecież widać to gołym okiem.

Halleck odwrócił się, by przyjrzeć się Leto. Zrobił to mimowolnie, wiedziony nieodpartą siłą.

– Ten młody człowiek wprawia cię w konfuzję, ponieważ nie jest jedną osobą – ciągnął Kaznodzieja, jakby wykladał proste sprawy upartemu uczniowi. – Jest społecznością. I jak w każdej poddanej presji społeczności, władzę może przejąć dowolny jej członek. Władza ta nie zawsze jest dobrotliwa. Znamy opowieści o Złym Duchu. Ale ty, Gurneyu Halleck, zraniłeś już tę społeczność wystarczająco boleśnie. Czy nie widzisz, że nastąpiła już przemiana? Ten młodzian doprowadził do tak ścisłej i silnej współpracy swych wewnętrznych istnień, że nic nie jest w stanie tego odwrócić. On jest uzdrowicielem.

– Kim jesteś? – zapytał Halleck.

– Nikim więcej, niż widzisz. Nie patrz na mnie, lecz na tego, którego kazano ci uczyć i sprawdzać. On został ukształtowany przez kryzys. Przeżył w środowisku, w którym zewsząd zagrażała mu śmierć. Jest tutaj.

– Kim jesteś? – powtórzył z naciskiem Halleck.

– Mówię ci tylko, byś spojrział na tego młodego Atrydę! On jest ostatecznym sprzężeniem zwrotnym, od którego zależy przyszłość naszego rodzaju. Wprowadzi na powrót do układu wyniki minionych dokonań. Żaden inny człowiek nie zna ich tak dobrze jak on. A ty śmiesz się zastanawiać, czy nie unicestwić kogoś takiego!

– Nakazano mi poddać go próbie, a ja nie...

– Ależ zrobiłeś to!

– Czy on jest Złym Duchem?

Ciałem Kaznodziei wstrząsnął pusty śmiech.

– Trwasz w tych bredniach Bene Gesserit – powiedział. – Jakże one potrafią tworzyć mity, dzięki którym ludzie tkwią w uśpieniu!

– Jesteś Paulem Atrydą? – zapytał Halleck.

– Nie ma już Paula Atrydy. Próbował się stać najwyższą ostoją moralności, odrzucając wszelkie zobowiązania moralne. Stał się świętym bez Boga, a każde jego słowo bluźnierstwem. Jak możesz myśleć...

– Ponieważ mówisz jego głosem – przerwał mu Halleck.

– Zatem teraz chcesz poddać próbie *mnie*? Strzeż się, Gurneyu Halleck!

Halleck przełknął ślinę i zmusił się do ponownego skupienia uwagi na Leto, który stał obok, przyglądając im się z niewzruszonym spokojem.

– Kto jest poddawany próbie? – zapytał Kaznodzieja. – A może lady Jessika poddaje próbie ciebie, Gurneyu Halleck?

Myśl ta bardzo poruszyła Hallecka, ale zastanawiał się, dlaczego słowa Kaznodziei tak nim wstrząsnęły. Jednak w sługach Atrydów było ugruntowane głęboko przekonanie, że należy dawać posłuch owej autokratycznej aurze, która otaczała ich panów. Wyjaśnienia Jessiki tylko pogłębiły tę tajemniczość. Halleck czuł, że teraz coś się w nim zmienia, *coś*, czego zaledwie tknęło szkolenie Bene Gesserit, jakiemu poddała go Jessika. Wzbierała w nim niewymowna wściekłość. Nie chciał się zmieniać!

– Które z was bawi się w Boga i po co? – zapytał Kaznodzieja. – Żeby odpowiedzieć na to pytanie, nie możecie polegać tylko na rozumie.

Stopniowo, rozmyślnie, Halleck przeniósł uwagę z Leto na ślepcę. Jessika stale powtarzała, że powinien osiągnąć równowagę *kairits*: „zrobisz-nie zrobisz”. Nazywała to dyscypliną bez słów, reguł i argumentów. Było to ostre jak brzytwa ostrze jego wewnętrznej wszechobejmującej prawdy. Coś w głosie ślepcy, w jego tonie, w sposobie zachowania wzbudziło wściekłość, która się wypaliła i przerodziła w zaślepiający spokój.

– Odpowiedz na moje pytanie – rzekł Kaznodzieja.

Halleck poczuł, że słowa te pogłębiają jego koncentrację na tym miejscu, na tej chwili i jej wymogach. Jedynie ta koncentracja określała jego pozycję we wszechświecie. Nie miał już żadnych wątpliwości. To był Paul Atryda, wskrzeszony z martwych. I to niedziecko, Leto. Raz jeszcze spojrzał na niego, naprawdę go zobaczył. Dostrzegł oznaki stresu wokół oczu, poczucie

równowagi w jego postawie, dziwny uśmiech. Leto wyróżniał się z otoczenia, jakby skierowano na niego oślepiające światło reflektora. Osiągnął harmonię, po prostu przyjmując ją.

– Powiedz mi, Paul – rzekł Halleck. – Twoja matka wie o tym?

Kaznodzieja westchnął.

– Dla całego zgromadzenia żeńskiego umarłem. Nie próbuj mnie wskrzeszać.

– Ale dlaczego ona... – spytał Halleck, nadal nie patrząc na niego.

– Robi, co musi. Układa sobie swoje życie, myśląc, że panuje nad życiem wielu innych. Tak oto wszyscy bawimy się w Boga.

– Ale ty żyjesz – wyszeptał Halleck naraz porażony tym spostrzeżeniem, odwracając się w końcu, by spojrzeć na tego mężczyznę, młodszego od niego, ale tak postarzałego wskutek życia na pustyni, że wydawał się dwa razy starszy niż on.

– Co znaczy: „Ty żyjesz”? – zapytał Paul.

Halleck popatrzył po twarzach przyglądających im się Fremenów, na których malowało się coś pośredniego między wątpliwościami a czcią.

– Moja matka nigdy nie musiała otrzymać takiej nauczki jak ja. – To był głos Paula! – Bycie Bogiem może w końcu znużyć i upodlić. Jest aż nadto powodów, by wynaleźć wolną wolę! Bóg może chcieć uciec w sen i żyć tylko w nieświadomych projekcjach wytworów swoich snów.

– Ale ty żyjesz! – powtórzył Halleck, tym razem głośniej.

Paul zignorował podniecenie w głosie swojego starego towarzysza.

– Naprawdę postawiłbyś tego chłopca przeciwko jego siostrze w próbie maszad? – zapytał. – Cóż za wierutna bzdura. Każde z nich powiedziałoby: „Nie! Zabijesz mnie! Niech drugie żyje!” Do czego doprowadziłaby taka próba? Cóż wobec tego znaczy żyć, Gurney?

– To nie była taka próba – zaprotestował Halleck. Nie podobало mu się, że Fremeni tłoczyli się coraz bliżej, przyglądając się badawczo Paulowi, a ignorując Leto.

Ale teraz Leto się wtrącił.

– Spójrz na ośnowę, ojciec.

– Tak... tak... – Paul trzymał głowę wysoko, jakby węszył. – A zatem to Farad’n!

– Jak łatwo jest podążać za myślami zamiast za zmysłami – rzekł Leto.

Halleck nie potrafił jednak podążyć za tą myślą i już miał zapytać Leto, o co mu chodziło, gdy powstrzymała go jego dłoń na ramieniu.

– Nie pytaj, Gurney. Mógłbyś znowu zacząć podejrzewać, że jestem Złym Duchem. Nie! Niech się dzieje, co ma się dzieć. Jeśli będziesz próbował to wymusić, osiągniesz tylko tyle, że sam się zniszczysz.

Ale Halleck czuł się przytłoczony wątpliwościami. „Ci przednarodzeni potrafią być bardzo urzekający – przestrzegła go Jessika. – Znają sztuczki, o których nawet ci się nie śniło”. Pokręcił głową. I Paul! Bogowie podziemi! Żył i sprzymierzył się z tym znakiem zapytania, którego był ojcem!

Otoczających ich Fremenów nie można już było odepchnąć. Wciskali się między Hallecka a Paula, między Leto a Paula, odsuwając tych dwóch w cień. W powietrzu zawisły szorstkie pytania:

– Tyś jest Muad'Dib? Naprawdę jesteś Muad'Dibem? Czy to prawda, co on mówi? Powiedz nam!

– Musicie myśleć o mnie jedynie jako o Kaznodziei – odparł Paul, napierając na nich. – Już nigdy nie mogę być Paulem Atrydą ani Muad'Dibem. Nie jestem partnerem Chani ani Imperatorem.

Obawiając się tego, co się może stać, jeśli te pełne frustracji pytania pozostaną bez logicznych odpowiedzi, Halleck miał już wkroczyć do akcji, kiedy Leto wysunął się przed niego. Dopiero w tym momencie Gurney dostrzegł element strasznej przemiany, która nastąpiła w chłopcu.

– Na bok! – ryknął Leto głosem silnym jak u byka i ruszył naprzód, roztrzaskując dorosłych Fremenów na prawo i lewo, powalając ich, okładając pięściami i wyrywając im noże, które chwycił za ostrza.

Nie minęła minuta, a ci Fremen, którzy nadal byli na nogach, zostali zepchnięci pod ściany, gdzie tkwili w pełnym konsternacji milczeniu. Leto stanął obok ojca.

– Kiedy przemawia Szej-hulud, macie słuchać! – powiedział.

A gdy paru Fremenów zaczęło się sprzeciwiać, wyrwał narożny kamień ze ściany korytarza i skruszył go gołymi rękami, cały czas się uśmiechając.

– Zburzę całą sicz, a wy będziecie się temu bezradnie przyglądać – oznajmił.

– Demon Pustyni – szepnął ktoś.

– I wasze kanaty – zgodził się z nim Leto. – Roztrzaskam ich ściany. Nie było nas tutaj, słyszycie?

Potrząsnęli głowami z wymuszoną przerażeniem uległością.

– Nikt nas tutaj nie widział – ciągnął Leto. – Wystarczy, by którykolwiek z was szepnął choćby słowo, a powrócę i wypędzę was bez wody na pustynię.

Halleck zobaczył ręce podnoszące się w geście odpierającym złe moce, palce wykonujące znak czerwia.

– Teraz ojciec i ja odlecimy w towarzystwie naszego starego przyjaciela – oznajmił Leto. – Przygotujcie nasz ornitopter.

I Leto powiódł ich do Szulochu, wyjaśniając po drodze, że muszą działać szybko.

– Wkrótce na Arrakis przybędzie Farad’n. I jak powiedział mój ojciec, wtedy zobaczysz prawdziwą próbę, Gurney.

Spoglądając w dół z urwiska Szulochu, Halleck raz jeszcze zadał sobie pytanie, które powtarzał każdego dnia:

– Jaką próbę? O co mu chodzi?

Ale Leto nie było już w Szulochu, a Paul odmawiał odpowiedzi.



Kościół i Państwo, rozum i wiarę, jednostkę i społeczeństwo, a nawet postęp i tradycję – wszystko to da się pogodzić w nauczaniu Muad’Diba. On uświadomił nam, że nie ma nieprzejdanych przeciwieństw, że istnieją one tylko w ludzkich przekonaniach. Każdy może zerwać zasłonę czasu. Możecie odkryć przyszłość w przeszłości albo we własnej wyobraźni. Robiąc to, odzyskujecie świadomość waszej wewnętrznej istoty, a wtedy wiecie już, że wszechświat jest spójną całością, wy zaś jego nieodłączną częścią.

– *Kaznodzieja w Arrakin według Harka al-Ady*

Ganima siedziała daleko poza kręgiem światła rzucanym przez lampy przyprawowe i obserwowała Buera Agarvesa. Nie podobały jej się jego okrągła twarz i niespokojne brwi, sposób, w jaki poruszały się jego stopy, kiedy mówił, jakby słowa były muzyką, przy której tańczył.

„Nie przybył tutaj pertraktować ze Stilgarem” – powiedziała do siebie, widząc, że potwierdzają to każde słowo i ruch tego człowieka. Jeszcze bardziej odsunęła się od kręgu rady.

Takie pomieszczenie jak to znajdowało się w każdej siczy, ale sala zgromadzeń tej porzuconej dżedidy sprawiała na Ganimie wrażenie zatłoczonej, bo była niska. Sześćdziesiąt osób z grupy Stilgara oraz tych dziewięciu, którzy przybyli z Agarvesem, zajmowało zaledwie jeden jej koniec. Lampy na olej przyprawowy wydobywały z mroku niskie belki

nośne podtrzymujące sufit. Ich światło rzucało drżące cienie, które tańczyły na ścianach, a gryzący dym wypełniał pomieszczenie zapachem cynamonu.

Zebranie zaczęło się o zmroku, po modlitwach o wilgoć i wieczery. Ciągnęło się już ponad godzinę, a Ganimi wciąż nie potrafiła pojąć, o co naprawdę chodzi Agarvesowi. Jego słowa wydawały się jasne, ale nie zgadzały się z nimi jego gesty i ruchy oczu.

Właśnie odpowiadał na pytanie jednej z pomocnic Stilgara, siostrzenicy Hary imieniem Radzia. Była to ascetyczna kobieta o ciemnej karnacji i opuszczonych kącikach ust, które nadawały jej twarzy nieufny wygląd. Ganimi stwierdziła, że w tych okolicznościach jest to odpowiednia mina.

– Jestem absolutnie pewien, że Alia zagwarantuje wam wszystkim całkowitą i pełną amnestię – rzekł Agarves. – W przeciwnym razie nie przybyłbym tu z tym posłaniem.

Kiedy Radzia chciała się ponownie odezwać, wtrącił się Stilgar.

– Zastanawiam się nie tyle nad tym, czy powinniśmy obdarzyć ją zaufaniem, ile nad tym, czy ona ufa tobie.

W jego głosie pobrzmiwała groźna nuta. Poczuli się nieswojo, usłyszawszy propozycję powrotu do swojej dawnej sytuacji.

– Nieważne, czy mi ufa – odparł Agarves. – Jeśli mam być szczery, nie sądzę, żeby ufała. Za długo cię szukałem, a i tak nie znalazłem. Ale cały czas miałem wrażenie, że tak naprawdę wcale nie chciała, żebyś został schwytany. Była...

– Była żoną mężczyzny, którego zabiłem – wszedł mu w słowo Stilgar. – Zapewniam cię, że sam się o to prosił. Równie dobrze mógłby paść na swój nóż. Ale ta zmiana postawy pachnie...

Agarves poderwał się na równe nogi. Na jego twarzy widać było złość.

– Ona wam wybacza! – krzyknął. – Ile razy muszę to mówić? Poleciała kapłanom, by urządzili wielkie widowisko, prosząc o boskie wskazówki...

– Poruszyłeś kolejny problem. – Tym razem odezwała się Irulana, której jasnowłosa głowa rysowała się wyraźnie na tle ciemnej skóry Radzii. – Przekonała cię, ale może mieć inne plany.

– Kapłanat...

– Ale krążą też różne opowieści – rzekła Irulana. – Że jesteś kimś więcej niż tylko jej dowódcą wojskowym, że jesteś jej...

– Dość! – Agarves nie posiadał się z wściekłości. Jego dłoń krążyła wokół rękojeści noża. Na twarzy malowały się sprzeczne emocje, wykrzywiając mu rysy. – Wierzcie, w co chcecie, ale ja nie mogę już wytrzymać z tą

kobietą! Bezczęści mnie! Plami wszystko, czego się dotknie! Zostałem wykorzystany. Zbrukany. Ale nie zwróciłem przeciw sobie noża. Jednak teraz dość!

Przyglądając się temu, Ganimi pomyślała: „To przynajmniej była prawda”.

O dziwo, Stilgar wybuchnął śmiechem.

– Aaach, kuzynie – powiedział – wybacz, ale czasami w złości mówi się prawdę.

– A zatem się zgadzasz?

– Tego nie powiedziałem. – Podniósł rękę, gdyż Agarves sprawiał wrażenie, jakby miał ponownie wybuchnąć złością. – Nie o mnie chodzi, Buer, tylko o tych ludzi. – Zatoczył ręką koło. – Jestem za nich odpowiedzialny. Porozmawiajmy o odszkodowaniach, które proponuje Alia.

– O odszkodowaniach? Nie było słowa o odszkodowaniach. Przepraszam, ale żadne...

– Wobec tego co oferuje jako rękojmię swego słowa?

– Sicz Tabr z tobą jako naibem, pełną autonomię jako stronie neutralnej. Teraz rozumie, jak...

– Nie wrócę do jej świty ani nie dostarczę ludzi do walki – ostrzegł Stilgar. – Czy to jasne?

Ganimi słyszała, że opór Stilgara zaczyna słabnąć. „Nie, Stil! Nie!” – pomyślała.

– Nie ma takiej potrzeby – rzekł Agarves. – Alia chce tylko, by Ganimi wróciła do niej i dotrzymała obietnicy zaręczyn, którą...

– Zatem w końcu wyszło szydło z worka! – przerwał mu Stilgar, ściągając brwi. – Ceną za moje ułaskawienie jest Ganimi. Czy Alia uważa, że ja...

– Uważa, że jesteś rozsądny. – Tym razem to Agarves przerwał Stilgarowi, na powrót siadając.

„Nie robi tego. Nie ma się co przejmować. On tego nie robi” – pomyślała Ganimi z radością.

I w tym momencie usłyszała z lewej strony za sobą szelest. Zaczęła się odwracać, ale chwyciły ją silne ręce. Zanim zdołała krzyknąć, jej twarz zakryła ciężka szmata cuchnąca środkami nasennymi. Kiedy traciła świadomość, czuła, że ktoś niesie ją ku drzwiom w najciemniejszym zakątku sali. „Powinnam się domyślić! – stwierdziła. – Powinnam być przygotowana!” Ale trzymały ją silne ręce dorosłej osoby. Nie mogła się z nich wyrwać.

Jej ostatnimi wrażeniami zmysłowymi były chłód nocnego powietrza, mignięcie gwiazd i zakapturzona twarz, która nachyliła się nad nią, a potem powiedziała:

– Nie została zraniona, prawda?

Odpowiedź gdzieś zaginęła, kiedy gwiazdy zawirowały i utworzyły rozmazujące się smugi, łączące się w oślepiającym rozbłysku, który był jądrem jej jaźni.



Muad'Dib dał nam szczególny rodzaj wiedzy o proroczej przenikliwości, o zachowaniu, które tworzy otoczkę tej przenikliwości, i o jego wpływie na wydarzenia, które postrzega się jako „liniowe” (to znaczy jako wydarzenia, które mają się rozegrać w pewnym układzie powiązań, ukazywanym i interpretowanym przez proroka). Jak zauważono w innym miejscu niniejszego wywodu, taka przenikliwość stwarza swoistą pułapkę dla proroka. Otóż może on paść ofiarą swojej wiedzy, co jest dość powszechnie popełnianym przez ludzi błędem. Niebezpieczeństwo polega na tym, że ci, którzy przewidują rzeczywiste wydarzenia, mogą przeoczyć polaryzujący wpływ zadufania w głoszone przez siebie prawdy. Mają oni skłonność do zapomniania o tym, że w spolaryzowanym wszechświecie nic nie może istnieć bez swojego przeciwieństwa.

– *Prorocza wizja* pióra Harka al-Ady

Niesiony wiatrem piach wisiał na horyzoncie jak mgła, przesłaniając wschodzące słońce. W cieniach wydm piasek był zimny. Leto stał poza kręgiem palm, spoglądając na pustynię. Czuł zapach kurzu i kolczastych roślin, słyszał poranne odgłosy ludzi i zwierząt. Tutejsi Fremeni nie mieli kanatu. Uprawiali jedynie w absolutnie minimalnej ilości sadzone ręcznie rośliny, podlewane przez kobiety, które nosiły wodę w skórzanych bukłakach. Ich oddzielnym urządzeniem, które łatwo niszczyły huraganowe wiatry, ale które równie łatwo odbudowywali. Żyło się tutaj ubogo, z prowadzonego w ciężkich warunkach handlu przyprawą i ryzykownych przedsięwzięć. Ci Fremeni nadal wierzyli, że w niebie rozbrzmiewa dźwięk płynącej wody, ale cenili pradawne poczucie wolności, które dzielił Leto.

„Wolność jest formą samotności” – pomyślał.

Poprawił poły białego płaszcza, który okrywał jego żywy filtrak. Czuł, jak trociowa błona go zmieniała, i jak zawsze, kiedy tego doznawał, musiał

pokonać głębokie poczucie straty. Nie był już człowiekiem w każdym calu. W jego krwi krążyły obce ciała. Rzęski troci wniknęły do wszystkich jego narządów, zmieniając je i dostosowując. Ale i one dostosowywały się i zmieniały. Wiedząc o tym, Leto czuł się rozdarty między stanem obecnym a utraconym człowieczeństwem, całe jego jestestwo przenikał pierwotny ból z powodu zniszczenia ciągłości przekazywanego od czasów starożytnych życia. Wiedział jednak, jaka pułapka kryje się w uleganiu takim emocjom. Dobrze wiedział.

„Niech przyszłość staje się sama z siebie – pomyślał. – Jedyną zasadą rządzącą tworzeniem jest sam akt stworzenia”.

Trudno mu było oderwać wzrok od piasków i wydm – wielkiej pustki. Na skraju piasku leżało parę kamieni, ale kierowały one wyobraźnię ku wiatrom, kurzowi, rzadkim i samotnym roślinom i zwierzętom, wydmię przechodzącej w wydnię, pustyni w pustynię.

Za nim rozległ się dźwięk fletu wzywającego na poranną modlitwę, błaganie o wilgoć, które teraz stało się nieznacznie zmienioną serenadą dla nowego wcielenia Szej-huluda.

„Mógłbym po prostu odejść na pustynię” – stwierdził.

Wtedy wszystko by się zmieniło. Jeden kierunek byłby równie dobry jak inny. Nauczył się już żyć bez dobytku. Doprowadził tę fremeńską zasadę do skrajności. Wszystko, co ze sobą zabierał, było niezbędne, ale też był to cały jego dobytek. Miał tylko płaszcz na grzbiecie, atrydzki pierścień z jastrzębiem schowany w jego fałdach i skórę, która nie była jego skórą.

Byłoby łatwo stąd odejść.

Jego uwagę przykuł ruch wysoko na niebie; strzępiaste końce skrzydeł świadczyły, że to sęp. Widok ten napełnił go bólem. Podobnie jak dzicy Fremeni, sępy żyły na tej ziemi dlatego, że się tu urodziły. Nie znały niczego lepszego. Pustynia uczyniła je tym, czym były.

Jednak wskutek działań Muad'Diba i Alii powstawał nowy gatunek Fremenów i to właśnie był powód, dla którego nie mógł sobie pozwolić na to, by odejść na pustynię, jak uczynił jego ojciec. Przypomniawszy sobie słowa Idaho z dawnych czasów: „Ci Fremeni! Ileż w nich życia. Nigdy nie spotkałem chciwego Fremena”.

Teraz było mnóstwo chciwych Fremenów.

Ogarnęła go fala smutku. Musiał podążać kursem, który mógł to wszystko zmienić, ale za straszliwą cenę. A utrzymanie tego kursu stawało się coraz trudniejsze, w miarę jak coraz bardziej zbliżali się do wiru.

Kralizek, Tajfun Walki, był dopiero przed nim... lecz za błędny krok trzeba będzie zapłacić Kralizekiem albo czymś jeszcze gorszym.

Za Leto rozległy się głosy, a potem szczebiotliwy ton dziecka, które oznajmiło:

– Tutaj jest.

Odwrócił się.

Z palmowego gaju wyszedł Kaznodzieja prowadzony przez dziecko.

„Dlaczego nadal nazywam go Kaznodzieją? – zastanawiał się Leto. – Ponieważ nie jest już Muad'Dibem, nie jest już Paulem Atrydą”. To przez pustynię i te szakale z Dżakurutu, z ich nadmiernymi dawkami melanżu i ustawicznymi zdradami, Kaznodzieja przedwcześnie się postarzał. I to nie pomimo przyprawy, ale przez nią.

– Powiedziano mi, że chcesz się ze mną widzieć – rzekł Kaznodzieja, gdy dziecko, które było jego przewodnikiem, się zatrzymało.

Leto spojrzał na dziecko z palmariów. Niemal dorównywało mu wzrostem i patrzyło na niego z nabożnym lękiem walczącym z zachłanną ciekawością. Nad maską filtraka w dziecięcym rozmiarze błyszczały ciemne młode oczy.

Machnął ręką.

– Zostaw nas – powiedział.

Ramiona dziecka zastygły na chwilę w odruchu buntu, ale potem górę wzięły obawa i wrodzony fremieński szacunek dla prywatności. Przewodnik odszedł.

– Wiesz, że Farad'n jest już na Arrakis? – zapytał Leto.

– Powiedział mi o tym wczoraj wieczorem Gurney, kiedy mnie tu przywiózł – odparł Kaznodzieja.

„Jak chłodno wyważone są jego słowa – pomyślał. – Jest taki, jaki ja byłem za młodu”.

– Stoję wobec trudnego wyboru – rzekł Leto.

– Myślałem, że dokonałeś już wszystkich.

– Obaj znamy tę pułapkę, ojcze.

Kaznodzieja odchrząknął. Wyczuwalne w głosie syna napięcie mówiło mu, jak blisko druzgoczącego kryzysu się znaleźli. I teraz Leto nie mógł już polegać jedynie na wizji, lecz również na urzeczywistnieniu jej.

– Potrzebujesz mojej pomocy? – zapytał.

– Tak. Wracam do Arrakin i chcę się tam udać jako twój przewodnik.

– W jakim celu?

– Wygłosisz w Arrakin jeszcze jedno kazanie?

- Być może. Są sprawy, o których wciąż im nie powiedziałem.
- Nie wrócisz na pustynię, ojczu.
- Jeśli pójdę z tobą?
- Tak.
- Zrobię, co postanowisz.
- Zastanowiłeś się nad tym? Skoro jest tam Farad'n, będzie z nim twoja matka.
- Bez wątpienia.

Kaznodzieja ponownie odchrząknął. Zdradzało to zdenerwowanie, na co Muad'Dib nigdy by sobie nie pozwolił. Jego ciało od zbyt dawna już nie podlegało starym zasadom samodyscypliny, a umysł zbyt często doprowadzali do szaleństwa mieszkańcy Dżakurutu. Przemknęło mu przez głowę, że być może nie byłoby mądrze wrócić do Arrakin.

– Nie musisz tam ze mną wracać – rzekł Leto. – Ale ja muszę, bo jest tam moja siostra. Możesz pójść z Gurneyem.

– A ty udałbyś się sam do Arrakin?

– Tak. Muszę się spotkać z Farad'nem.

– Pójdę z tobą – rzekł Kaznodzieja i westchnął.

Leto wyczuł w jego zachowaniu dotyk starego szaleństwa wizji. „Czyżby znowu zaczął tę grę w przewidywanie?” – pomyślał ze zdziwieniem. Nie. Nigdy już nie pójdzie tą drogą. Znał pułapkę częściowego zaangażowania. Każde jego słowo potwierdzało, że przekazał snucie wizji synowi, wiedząc, iż w tym wszechświecie wszystko zostało przewidziane.

Teraz dręczyły Kaznodzieję stare rozbieżności. Uciekał z paradoksu w paradoks.

– Wobec tego ruszamy za parę minut – rzekł Leto. – Powiesz Gurneyowi?

– Gurney nie jedzie z nami?

– Chcę, żeby ocalał.

Wtedy Kaznodzieja otworzył się na napięcia wyczuwalne w otaczającym go powietrzu, w ziemi pod jego stopami, na drgania, których ośrodkiem było owo niedziecko, jego syn. W gardle ugrzązł mu krzyk jego dawnych wizji.

„Ta przeklęta świętość” – pomyślał.

Nie mógł odepchnąć obaw sączących się jak zapiaszczony sok. Wiedział, co czeka ich w Arrakin. Podejmą tam rozgrywkę ze straszliwymi, śmiertelnie groźnymi siłami, które nigdy nie dadzą im spokoju.



Dziecko, które nie chce iść przez życie w uprzęży ojca – oto symbol najbardziej unikalnej ludzkiej zdolności. „Nie muszę być tym, kim był mój ojciec. Nie muszę przestrzegać zasad ojca, a nawet wierzyć we wszystko, w co on wierzył. Na tym polega moja siła, że mogę sam wybierać, w co mam wierzyć, a w co nie, kim być, a kim nie”.

– *Leto Atryda II*, biografia pióra Harka al-Ady

Na placu przed świątynią tańczyły przy dźwiękach bębna i fletu przybyłe w pielgrzymce kobiety. Były bez nakryć głów, za to w obręczach na szyjach, ich suknie zaś były cienkie i prześwitujące. Miały rozpuszczone długie, czarne włosy, którymi miotały wokół twarzy podczas wirowania.

Alia przyglądała się temu ze swojego punktu widokowego w świątyni. Scena ta zarówno pociągała ją, jak i odpychała. Był późny ranek, pora, w której po placu zaczynał się rozchodzić aromat kawy z przyprawą parzonej przez sprzedawców pod dającymi cień arkadami. Wkrótce będzie musiała wyjść i powitać Farad’na, przekazać mu oficjalne dary i nadzorować jego pierwsze spotkanie z Ganimą.

Wszystko szło zgodnie z planem. Ganima go zabije, a w zamieszaniu, które potem nastąpi, tylko jedna osoba będzie gotowa, by na powrót poskładać kawałki roztrzaskanej konstrukcji. Marionetki tańczyły, kiedy pociągało się za sznurki. Jak miała nadzieję, Stilgar zabił Agarvesa, Agarves zaś doprowadził, nie wiedząc o tym, porywaczy do dżedidy dzięki nadajnikowi ukrytemu w nowych butach, które mu podarowała. Teraz Stilgar i Irulana czekali w lochach świątyni. Być może tam umrą, ale może się jeszcze do czegoś przydadzą. Czekanie nic nie szkodziło.

Zauważyła, że miejscy Fremeni intensywnie wpatrują się w tańczące w dole kobiety. Wprawdzie przenieśli oni z pustyni do miast podstawową równość płci, ale dawały się już odczuć różnice społeczne między mężczyznami a kobietami. To też przebiegało zgodnie z planem. Dziel i osłabiaj. Alia wyczuwała ową ledwie uchwytną zmianę w sposobie, w jaki dwaj Fremeni przyglądali się tym obcoświatowym kobietom i ich egzotycznemu tańcowi.

„Niech sobie patrzą – pomyślała. – Niech ich umysły przepełni gafla”.

Szczeliny wentylacyjne w oknach pomieszczenia były otwarte, czuła więc gwałtowny wzrost temperatury, który o tej porze roku zaczynał się ze wschodem słońca i osiągał szczyt po południu. Na wyłożonym kamiennymi

płytami placu żar musiał być dużo większy i z pewnością dawał się we znaki tancerkom, ale nadal wirowały i wyginały się, wymachując w religijnym zapamiętaniu rękami i włosami. Zadedykowały swój taniec Alii, Łonu Niebios. Powiedziała jej o tym szeptem doradczyni, drwiąc z tych obcoświatowych kobiet i ich osobliwych zwyczajów. Wyjaśniła, że pochodzą z Ixa, na którym zachowały się pozostałości zakazanych nauk i technologii.

Alia skrzywiła się. Te kobiety były równie ciemne, zabobonne i zacofane jak pustynni Fremeni... dokładnie takie, jak powiedziała szydząca z nich doradczyni, która starała się jej przypochlebić doniesieniem o tym, komu zadedykowały taniec. I ani ta doradczyni, ani Ixanki nie wiedziały nawet, że Ix było po prostu liczbą w zapomnianym języku.

„A niech sobie tańczą” – pomyślała Alia, śmiejąc się pod nosem. Taniec był marnotrawieniem energii, którą można by było wykorzystać w bardziej niszczycielskich celach. Za to muzyka była przyjemna – cienkie zawodzenie przy wtórze bębnow z tykwy i klaszczących dłoni.

Nagle muzykę zagłuszył ryk wielu głosów dochodzący z przeciwnego końca placu. Tancerki pomyliły krok i po krótkim zamieszaniu wyrównały go, ale zostały wyrwane ze zmysłowego zapamiętania i nawet ich uwaga powędrowała ku odległej bramie, gdzie widać było tłum wlewający się na kamienne płyty dziedzińca niczym woda z otwartej służby kanatu.

Alia wpatrywała się w tę nadciągającą falę.

Słyszała teraz słowa, a ponad wszystkie wybijało się jedno:

– Kaznodzieja! Kaznodzieja!

A potem go zobaczyła, krocącego na przodzie, z ręką na ramieniu młodego przewodnika.

Tancerki przestały wirować i wycofały się na tarasowe stopnie pod oknami Alii. Dołączyła do nich przyglądająca im się wcześniej publiczność i Alia wyczuła w widzach obawę. Ją samą ogarnął strach.

„Jak on śmie!” – pomyślała.

Na poły się odwróciła, by wezwać strażę, ale zmieniła zdanie. Tłum wypełnił już plac. Mogli się stać groźni, gdyby udaremnił ich oczywiste pragnienie wysłuchania niewidomego wizjonera.

Zacisnęła pięści.

„Kaznodzieja!” Dlaczego Paul to robił? Dla połowy ludności był „obłąkanym z pustyni”, a przeto świętym. Inni szeptali na bazarach

i w sklepach, że musi to być Muad'Dib, bo czyż inaczej mahdinat pozwoliłby mu wygadywać takie złośliwe herezje?

W tłumie Alia widziała uciekinierów w łachmanach, resztki mieszkańców porzuconych siczy. Plac był teraz niebezpiecznym miejscem, miejscem, w którym łatwo można było popełnić błąd.

– Moja pani? – rozległ się głos za Alią.

Odwróciła się i zobaczyła Zają w zwieńczonym łukiem wejściu do zewnętrznej komnaty. Tuż za nią tłoczyły się uzbrojone strażniczki.

– Tak, Zaja?

– Moja pani, jest tutaj Farad'n i prosi o posłuchanie.

– Tutaj? W moich komnatach?

– Tak, moja pani.

– Jest sam?

– Z dwoma strażnikami i lady Jessiką.

Alia przyłożyła dłoń do gardła, wspominając ostatnie spotkanie z matką. Jednak czasy się zmieniły. Teraz ich stosunkami rządziły nowe okoliczności.

– Jakiż on popędliwy – rzekła. – A jaki podał powód?

– Słyszał o... – Zaja wskazała okno wychodzące na plac. – Mówi, że powiedziano mu, iż stąd jest najlepszy widok.

Alia zmarszczyła brwi.

– Wierzysz w to, Zaja?

– Nie, moja pani. Myślę, że słyszał plotki. Chce zobaczyć twoją reakcję.

– Namówiła go do tego moja matka!

– Całkiem możliwe, moja pani.

– Zaja, droga ma, chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła. To bardzo ważne. Podejdź tutaj.

Amazonka zbliżyła się i stanęła krok od Alii.

– Tak, moja pani?

– Niech Farad'n, jego strażnicy i moja matka zostaną tu wpuszczeni. Potem przyprowadź Ganimę. Ma być odziana w kompletny strój fremeńskiej narzeczonej... *Kompletny*.

– Włącznie z nożem, moja pani?

– Włącznie z nożem.

– Moja pani, to jest...

– Ganima nie stanowi dla mnie zagrożenia.

– Moja pani, mamy powody przypuszczać, że uciekła ze Stilgarem raczej po to, by go chronić, niż z jakichkolwiek innych...

– Zaja!

– Tak, moja pani?

– Ganimi zwróciła się już do mnie z prośbą, bym darowała życie Stilgarowi, i Stilgar żyje.

– Ale ona jest przypuszczalną następczynią tronu!

– Po prostu wykonaj moje rozkazy. Zajmij się przygotowaniem Ganimy. Podczas gdy będziesz tego doglądała, wyślij pięciu świątynnych służących na plac. Mają zaprosić tu Kaznodzieję. Niech czekają na sposobność, żeby z nim porozmawiać, nic więcej. Niech nie używają siły. Chcę, żeby przekazali mu uprzejme zaproszenie. Absolutnie bez użycia siły. Aha, i jeszcze jedno...

– Tak, moja pani?

Jak ponuro brzmiał jej głos!

– Kaznodzieja i Ganimi mają zostać przyprowadzeni przed moje oblicze jednocześnie. Mają tu wejść razem na mój znak. Rozumiesz?

– Rozumiem, moja pani, ale...

– Zrób to! Razem. – Odprawiła gestem swoją amazonkę. Kiedy Zaja się odwróciła, dodała: – Po drodze przyślij tu Farad’na z jego świtą, ale dopilnuj, żeby poprzedzało ich dziesięć twoich najbardziej zaufanych strażniczek.

Zaja zerknęła przez ramię, ale się nie zatrzymała.

– Stanie się według twojego rozkazu, moja pani – odparła.

Alia odwróciła się do okna. Zaledwie za kilka minut plan wyda swój krwawy owoc. A Paul będzie tutaj, kiedy rodzona córka zada ostateczny cios jego pretensjom do świętości. Usłyszała, że do komnaty wchodzi oddział strażniczek Zai. Wkrótce będzie po wszystkim.

Patrzyła w dół ze wzbierającym poczuciem triumfu, gdy Kaznodzieja stanął na pierwszym stopniu schodów. Jego młodociany przewodnik kucnął obok niego. Widziała żółte szaty kapłanów, którzy czekali z lewej strony, odepchnięci przez tłum. Mieli jednak doświadczenie w radzeniu sobie w takich sytuacjach. Znajdą sposób, by zbliżyć się do celu. Głos Kaznodziei zagrział nad placem, a ciżba czekała w nabożnym skupieniu na jego słowa. Niech słuchają! Niedługo jego słowa zaczną znaczyć coś zupełnie innego, niż zamierzał. I nie będzie już żadnego *Kaznodziei*, żeby przeciw temu zaprotestować.

Usłyszała, jak wchodzi świta Farad’na.

– Alia? – rozległ się głos Jessiki.

– Witajcie, książę Farad’nie, matko – powiedziała Alia, nie odwracając się. – Podejdźcie i cieszcie się widowiskiem. – Obejrzała się i zobaczyła potężnego sardaukara Tajkenika patrzącego z gniewną miną na jej strażę, które zagradzały im drogę. – Ależ to brak gościnności – rzekła. – Pozwólcie im podejść.

Dwie strażniczki, najwyraźniej działając na rozkaz Zai, stanęły między nią a gośćmi. Pozostałe ustąpiły na bok. Alia przesunęła się w prawo, dając gościom dostęp do okna.

– Stąd naprawdę jest najlepszy widok – powiedziała.

Jessika, w tradycyjnej czarnej abie, spiorunowała Alię wzrokiem i poprowadziła Farad’na do okna, ale stanęła między nim a amazonkami córki.

– To bardzo uprzejmie z twojej strony, lady Alio – powiedział Farad’n. – Tyle słyszałem o tym Kaznodziei.

– A oto i on we własnej osobie – stwierdziła Alia.

Zauważyła, że Farad’n jest w szarym, pozbawionym dystynkcji mundurze dowódcy sardaukarów. Poruszał się z gracją, która się jej podobała. Może ten książę z rodu Corrinów dostarczyłby czegoś więcej niż tylko płóchej rozrywki.

Głos Kaznodziei, przekazywany przez wzmacniacze pod oknem, zagrzmiał w komnacie. Pod jego wpływem Alia poczuła drżenie w kościach i zaczęła słuchać z rosnącą fascynacją.

– Znalazłem się na pustyni Zan – wołał Kaznodzieja – na tym bezkresnym, smaganim wyjącem wiatrem pustkowiu. I Bóg nakazał mi oczyścić to miejsce. Albowiem wywiedziono nas na tę pustynię i kuszone, byśmy porzucili nasze zwyczaje, a my rozpaczaliśmy.

„Pustynia Zan” – pomyślała Alia. Była to nazwa nadana miejscu, gdzie po raz pierwszy zostali poddani próbie zensunnicy Wędrowcy, którzy dali początek Fremenom. Ale jego słowa! Czyżby przypisywał sobie zasługi za zniszczenia dokonane w siczach będących bastionami lojalnych wobec niej plemion?

– Na waszych ziemiach rozłożyły się dzikie bestie – ciągnął Kaznodzieja, a jego gromki głos niósł się nad placem. – Wasze domy wypełniają posępne istoty. Wy, którzy uciekliście ze swoich siedzib, nie pomnażacie już dni waszego żywota wśród piasków. Zaprawdę powiadam wam, którzy wyrzekliście się swoich obyczajów: zemrzecie w skalanym gnieździe, jeśli nadal będziecie kroczyć tą drogą. Ale jeśli posłuchacie mojej przestrogi, Pan

poprowadzi was przez krainę pułapek w góry Boga. Zaprawdę, poprowadzi was Szej-hulud.

W tłumie rozległy się ciche jęki. Kaznodzieja przerwał, zwracając puste oczodoły to w jedną, to w drugą stronę, skąd dobiegały te odgłosy, po czym wzniosł ręce, rozłożył je szeroko i zawołał:

– O Boże, moje ciało wzdycha do Twojej drogi na suchej, spragnionej ziemi!

Stojąca przed Kaznodzieją stara kobieta, uciekinierka, sądząc po jej znoszonym i połatanym odzieniu, wyciągnęła do niego dłonie.

– Pomóż nam, Muad'Dibie! Ratuj nas! – krzyknęła błagalnie.

Poczuwszy w piersiach nagły skurcz strachu, Alia zadała sobie pytanie, czy ta starucha rzeczywiście zna prawdę. Zerknęła na matkę, ale Jessika nadal stała nieruchomo, dzieląc uwagę między strażniczki Alii, Farad'na i widok za oknem. Zafascynowany tym, co się działo na placu, Farad'n tkwił przy oknie jak przyrośnięty.

Alia rzuciła okiem na plac, starając się dojrzeć swoich kapłanów. Nie było ich nigdzie widać, podejrzewała więc, że przedzierają się przez tłum okrężną drogą, pod oknem, obok drzwi świątyni, szukając bezpośredniego dostępu do Kaznodziei ze stopni, które do niej prowadziły.

Kaznodzieja wskazał prawą ręką ponad głową starej kobiety.

– To wy jesteście ostatnią deską ratunku! – krzyknął. – Jesteście zbuntowani. Sprowadziliście suchy wiatr, który nie oczyszcza ani nie daje ochłody. Na was spoczywa brzemię naszej pustyni i stamtąd nadciąga trąba powietrzna, z tamtej strasznej krainy. Byłem na tym pustkowiu. Z rozbitych kanatów wypływa na piasek woda. Ziemię przecinają strumienie. Na obszarze Diuny woda spada z nieba! O przyjaciele, mówię z nakazu Boga: zbudujcie na pustyni gościniec dla naszego Pana, albowiem jam jest głos, który przyzywa was z pustkowia. – Wskazał sztywno wyprostowanym, drżącym placem stopnie pod swoimi stopami. – To nie jest zagubiona na pustyni, porzucona na zawsze przez mieszkańców dzedida! Spożywaliśmy tutaj chleb niebios. I tutaj hałas czyniony przez obcych wygania nas z naszych domów! Przez nich nasz kraj staje się wymarły, przeistacza się w ziemię, na której nie mieszka ani którejdy nie przechodzi żaden człowiek.

Tłum poruszył się niespokojnie. Uchodźcy i miejscy Fremeni zaczęli się rozglądać, wpatrywać w odbywających hadzdz pielgrzymów, którzy stali wśród nich.

„On może wszcząć krwawe zamieszki! – pomyślała Alia. – Dobrze, niech wszczyna. W zamieszaniu moim kapłanom łatwiej będzie go pochwycić”.

A potem zobaczyła pięciu z nich, ciasne skupisko żółtych szat, przeciskających się w dół po stopniach za plecami Kaznodziei.

– Woda, którą rozprzestrzeniliśmy na pustyni, przeistoczyła się w krew – powiedział Kaznodzieja, rozkładając szeroko ręce. – Krew zboczyła naszą ziemię! Patrzcie na naszą pustynię, która potrafi radować się i rozkwitać. Kusi obcych i uwodzi, wabiąc ich, by weszli między nas. Przybywają, by zadać jej gwałt! Ich twarze są zacięte, jakby szykowali się na spotkanie ostatniego wichru Kralizeku! Zbierają to, co uwięzione jest w piasku. Wysysają jego bogactwa, skarby ukryte w jego głębiach. Patrzcie, jak idą i biorą się do niegodziwego dzieła. Napisane jest: „I stałem na piasku i ujrzałem, jak wynurza się z tego piasku bestia, a na jej głowie było imię Boga!”

W tłumie rozległy się gniewne pomruki. Wzniosły się potrząsające pięści.

– Co on robi? – wyszeptał Farad’n.

– Sama chciałabym wiedzieć – odparła Alia. Przyłożyła dłoń do piersi, czując bojaźliwe podniecenie. Jeśli Kaznodzieja będzie nadal mówił w tym tonie, tłum zwróci się przeciw pielgrzymom!

Ale on na pół się obrócił, skierował puste oczodoły na świątynię i podniósł rękę, wskazując okna orlego gniazda Alii.

– Oto bluźnierstwo! – zagrmiał. – Bluźnierstwo! A jego imię Alia!

Plac spowiła wywołana wstrząsem cisza.

Alia znieruchomiała, skonsternowana. Wiedziała, że tłum jej nie widzi, a mimo to czuła się obnażona, bezbronna. Uspokajające słowa, które rozbrzmiewały w jej głowie, zmagaly się z waleniem jej serca. Mogła tylko patrzeć na tę niewiarygodną scenę. Kaznodzieja trwał z ręką wskazującą jej okna.

Ale kapłanom tego było już za wiele. Przerwali ciszę pełnymi złości okrzykami i rzucili się w dół po schodach, roztrącając zgromadzonych tam ludzi. Tłum zareagował na to, spływając ze stopni niczym rozbijająca się o brzeg fala, przelewając się przez pierwsze rzędy widzów i unosząc ze sobą Kaznodzieję, który potykał się, brnąc na oślep, rozdzielony ze swoim młodym przewodnikiem. A potem w tłoku uniosła się żółto odziana ręka zaciśnięta na rękojeści krysnoża. Alia zobaczyła, jak jego klinga opada i zatapia się w piersi Kaznodziei.

Ogłuszający szczepek zatrzaszczanych drzwi świątyni wyrwał Alię z szoku. Najwidoczniej straż zamknęły je przed tłumem. Alia widziała wiele ciał, ale tylko to jedno leżało samotnie.

I wówczas w tłumie rozległ się głos:

– Muad’Dib! Zabili Muad’Diba!

– Bogowie podziemi. – Alia zadrżała. – Bogowie podziemi!

– Trochę na to za późno, nie sądzisz? – zapytała Jessica.

Alia szybko się obróciła, zauważając na twarzy Farad’na zaskoczenie widokiem jej wściekłości.

– Tym, którego zabili, był Paul! – wrzasnęła. – Twój syn! Wiesz, co się stanie, gdy to potwierdzą?

Jessika stała chwilę jak zamurowana, myśląc, że przecież powiedziano jej o czymś, o czym i tak już wiedziała. Wrażenie to zburzyła dłoń Farad’na na jej ramieniu.

– Moja pani – powiedział.

W jego głosie było takie współczucie, że omal sama nie wyzionęła ducha. Przeniosła wzrok z wykrzywionej zimną złością twarzy Alii na ściągnięte w przygnębieniu rysy Farad’na i pomyślała: „Może za dobrze wykonałam swoje zadanie”.

Nie było wątpliwości, że Alia powiedziała prawdę. Jessica pamiętała każdą zmianę intonacji głosu Kaznodziei, rozpoznawała w nich swoje sztuczki, długie lata uczenia młodzieńca, który został Imperatorem, a teraz leżał na stopniach świątyni jak kłęb zakrwawionych szmat.

„Zaślepiła mnie gafla” – pomyślała.

Alia skinęła na jedną ze służących.

– Przyrowadź Ganimę – zawołała.

Jessika musiała się zmusić do sporego wysiłku, by rozpoznać te słowa. „Ganimę? Dlaczego właśnie teraz Ganimę?”

Służąca odwróciła się w stronę drzwi, dając znak, by je odryglowano, ale zanim ktokolwiek zdążył się ruszyć, drzwi się wybrzuszyły. Ryglująca je sztaba pękła i gruba plastalowa konstrukcja, obliczona na oparcie się ogromnej sile, runęła na podłogę komnaty. Strażniczki odskoczyły, by ich nie przygniotła, i dobyły broń.

Jessika i ochroniarze Farad’na skupili się wokół niego.

Ale w otworze ukazało się tylko dwoje dzieci: po lewej Ganimę w czarnej szacie zaręczynowej, po prawej zaś Leto w ściśle przylegającym do ciała szarym filtraku pod poplamionym przez kurz pustyni białym płaszczem.

Alia spojrzała na wyrwane z zawiasów drzwi, a potem na dzieci, nie mogąc opanować drżenia.

– Zebrała się tutaj rodzina, by nas powitać – rzekł Leto. – Pozdrawiam cię, babko. – Skinął głową Jessice, po czym przeniósł wzrok na dziedzica rodu Corrinów. – A to musi być książę Farad’n. Witaj na Arrakis, książę.

Oczy Ganimy były puste. Trzymała prawą dłoń na ceremonialnym krysnożu u pasa i wydawało się, że stara się uwolnić z uścisku Leto. Chłopiec potrząsnął jej ramieniem i całe jej ciało się zatrzęsło.

– Otom ja, rodzinie – powiedział Leto. – Jam jest Ari, Lew Atrydów. A to... – Znowu potrząsnął ramieniem Ganimy z tą samą potężną łatwością, która wprowadziła całe jej ciało w drżenie – ...to Aria, Lwica Atrydów. Przybywamy, by skierować was na *Secher Nbiw*, Złoty Szlak.

Pod wpływem słów *Secher Nbiw* Ganimy poczuła, że w jej umyśle puszczają blokady i budzi się świadomość. Obrazy napływały jeden po drugim, a nad nimi unosiła się wewnętrzna obecność jej matki, strażniczki przy bramie. I w jednej chwili Ganimy zdała sobie sprawę, że odniosła zwycięstwo nad wrzaskliwą przeszłością. Miała furtkę, przez którą, kiedykolwiek tego potrzebowała, mogła zajrzeć w dawne dzieje. Miesiące autohipnotycznego stłumienia rozbrzmiewających w niej głosów sprawiły, że powstał mur ogradzający miejsce, z którego mogła kierować swoim ciałem. Zrobiła ruch, chcąc obrócić się do Leto, by jej to wyjaśnił, kiedy uświadomiła sobie, gdzie i z kim stoi.

Leto puścił jej ramię.

– Czy nasz plan się powiódł? – zapytała szeptem.

– Całkiem dobrze – odparł.

Alia otrząsnęła się z szoku.

– Brać ich! – krzyknęła do gromadki strażniczek po swojej lewej.

Ale Leto się pochylił, podniósł jedną ręką wyrwane drzwi i cisnął nimi w strażniczki. Dwie z nich zostały przygwożdżone do ściany, pozostałe cofnęły się z przerażeniem. Drzwi ważyły pół tony, a to dziecko rzuciło nimi.

Dostrzegłszy, że w korytarzu za drzwiami leżą powalone strażniczki, Alia uświadomiła sobie, że to Leto musiał się z nimi rozprawić, że to dziecko rozbiło niewyważalne drzwi.

Również Jessika widziała ciała oraz budzący podziw pokaz mocy Leto i doszła do podobnych wniosków, ale słowa Ganimy zmusiły ją do

utrzymania dyscypliny wpojonej podczas szkolenia Bene Gesserit, zachowała więc spokój. Jej wnuczka wspomniała o jakimś planie.

– Co to za plan? – zapytała.

– Złoty Szlak, nasz plan dla Imperium – odparł Leto. Skinął głową w stronę Farad’na. – Nie myśl o mnie źle, krewniaku. Działam także w twoim interesie. Alia miała nadzieję, że skłoni Ganimeę, by cię zabiła. Wolałbym, żebyś przeżył swoje życie, zaznając trochę szczęścia.

– Rozkazuję wam pojmać ich! – wrzasnęła Alia do strażniczek kulących się w korytarzu.

Ale amazonki nie chciały wejść do komnaty.

– Zaczekaj tu na mnie, siostro – powiedział Leto. – Mam do wykonania przykre zadanie.

Ruszył w stronę Alii.

Cofnęła się przed nim do rogu, kucnęła i dobyła nóż. Zielone kamienie szlachetne, którymi wysadzana była jego rękojeść, błysnęły w świetle wpadającym przez okno.

Leto szedł spokojnie ku niej z pustymi, ale rozłożonymi w gotowości rękami.

Alia runęła na niego.

Wyskoczył prawie pod sufit i kopnął lewą nogą. Częściowo chybiony cios dosięgnął głowy Alii. Padła na wznak z krwawym śladem na czole. Wypuściła nóż, który potoczył się po podłodze. Rzuciła się, by go podnieść, ale wyrósł przed nią Leto.

Alia zawahała się, po czym przywołała wszystkie umiejętności nabyte podczas szkolenia Bene Gesserit. Podniosła się z podłogi i stanęła, rozluźniona, w postawie do odparcia ataku.

Leto ponownie ruszył na nią.

Zrobiła unik w lewo, ale wyrzuciła prawą rękę w górę, a jej prawa noga wystrzeliła w kopnięciu wyprostowanymi palcami, które wybebeszyłoby człowieka, gdyby precyzyjnie trafiła.

Leto przyjął kopnięcie na przedramię, chwycił Alię za stopę, poderwał i zaczął nią zataczać kręgi wokół swojej głowy. Robił to tak szybko, że w komnacie słyszać było świst jej szaty.

Pozostali umknęli na boki.

Alia wrzeszczała, ale on nadal nią kręcił. W końcu umilkła.

Leto stopniowo zmniejszał szybkość, aż wreszcie opuścił ją łagodnie na podłogę. Leżała jak jedno wielkie nieszczęście.

Pochylił się nad nią.

– Mogłem cisnąć tobą przez ścianę – powiedział. – Może tak byłoby najlepiej, ale znaleźliśmy się w kulminacyjnym punkcie walki. Zaslugujesz na to, by dać ci szansę.

Alia rozglądała się rozbieganym wzrokiem.

– Pokonałem te wewnętrzne istnienia – ciągnął Leto. – Spójrz na Gani. Ona też może...

– Alio, mogę ci pokazać – przerwała mu Ganimi.

– Nie!

Słowo to zostało przemocą wyrwane z gardła Alii. Jej pierś ciężko wznosiła się i opadała, a z jej ust zaczęły się wydobywać różne głosy. Były chaotyczne, niektóre przeklinały, inne błagały.

– Widzisz! Dlaczego nie słuchałeś? – A potem: – Dlaczego to robisz? Co się dzieje? – I inny głos: – Powstrzymaj ich! Każ im przestać!

Jessika zasłoniła oczy. Poczowała uspokajającą dłoń Farad'na.

– Zabiję cię! – wściekała się nadal Alia. Wydobywały się z niej ohydne przekleństwa. – Wypiję twoją krew!

Zaczęły z niej wypływać zmieszane i poplątane dźwięki wielu języków.

Zbite w gromadkę na korytarzu strażniczki wykonały znak czerwia, a potem przycisnęły pięści do uszu. Alia była opętana!

Leto stał, kręcąc głową. Podeszedł do okna i trzema szybkimi ciosami rozbił rzekomo nietłukące się, wzmocnione kryształem szyby.

Na twarzy Alii pojawiła się chytra mina. Jessika usłyszała, jak z wykrzywionych ust córki wydobywa się coś podobnego do jej głosu, parodia stosowanej przez Bene Gesserit metody kierowania zachowaniami innych:

– Zostańcie wszyscy na swoich miejscach!

Opuszczając dłonie, Jessika stwierdziła, że są mokre od łez.

Alia przekręciła się na kolana i poderwała na nogi.

– Nie wiecie, kim jestem? – zapytała. Był to jej dawny głos, słodki i melodyjny głos młodziutkiej Alii, którą już nie była. – Dlaczego wszyscy tak na mnie patrzycie? – Spojrzała błagalnie na Jessikę. – Matko, każ im przestać.

Jessika, zdjęta najwyższym przerażeniem, mogła tylko pokręcić głową. Wszystkie stare ostrzeżenia Bene Gesserit okazały się prawdziwe. Patrzyła na Leto i Gani stojących ramię w ramię obok Alii. Co te przestrogi mogły znaczyć dla biednych bliźniąt?

– Babko – odezwał się Leto, a w jego głosie brzmiał błagalny ton – czy musimy poddać ją Ordaliom Opętania?

– A kim ty jesteś, żeby mówić o ordaliach?! – spytała Alia, tym razem kłótliwym głosem autokraty, który posunął się za daleko w dogadzaniu sobie.

Zarówno Leto, jak i Ganim rozpozнали ten głos. Należał do starego barona Harkonnena. Ganim spostrzegła, że ten sam głos zaczyna rozbrzmiewać w jej głowie, ale furtka w jej wnętrzu się zamknęła i dziewczynka wyczuła, że stoi przy niej jej matka.

Jessika zachowywała milczenie.

– A zatem decyzja należy do mnie – rzekł Leto. – A wybór do ciebie, Alio. Albo Ordalia Opętania, albo... – Wskazał rozbite okno.

– Kim ty jesteś, żeby stawiać mnie przed wyborem?! – zachnęła się Alia i nadal był to głos starego barona.

– Demonie! – krzyknęła Ganim. – Pozwól jej samej dokonać wyboru!

– Matko – odezwała się Alia przymilnym tonem małej dziewczynki. – Matko, co wy robicie? Co chcecie, żebym zrobiła? Pomóż mi.

– Sama sobie pomóż – rzucił Leto i przez chwilę widział w oczach ciotki jej własną, zniszczoną osobowość, bezradność, która tylko mignęła i znikła. Ale jej ciało poruszało się sztywnym, drewnianym krokiem. Wahala się, potykała, zbaczała z drogi do okna, lecz wracała na nią i coraz bardziej się do niego zbliżała.

Z jej ust wyrwał się wściekły głos barona:

– Przestań! Przestań, mówię! Rozkazuję ci: Przestań! Poczuj to!

Alia chwyciła się za głowę i podeszła chwiejnie jeszcze bliżej okna. Oparła się udami o parapet, jednak baron nie dawał za wygraną.

– Nie rób tego! Przestań, a pomogę ci. Mam plan. Posłuchaj mnie. Przestań, mówię. Zaczekaj!

Ale Alia oderwała ręce od głowy i chwyciła potrzaskaną framugę. Jednym szybkim ruchem przerzuciła ciało przez parapet i zniknęła. Kiedy spadała, z jej ust nie wydobył się nawet krzyk.

Zebrani w komnacie usłyszeli wrzask tłumu i głucho uderzenie jej ciała o stopnie.

Leto spojrzał na Jessikę.

– Mówiliśmy ci, że trzeba jej współczuć – rzekł.

Jessika odwróciła się i schowała twarz w fałdach bluzy Farad'na.



Założenie, że poprzez atak na świadome elementy jakiegoś układu można sprawić, by cały ten system funkcjonował lepiej, dowodzi niebezpiecznej ignorancji. Takim podejściem wykazują się często ci, którzy mienia się naukowcami i technologami.

– *Dżihad Butleriański* pióra Harka al-Ady

– On biega nocą, krewniak – powiedziała Ganim. – Biega. Widziałeś?

– Nie – odparł Farad’n.

Czekali z Ganimą pod małą salą audiencyjną w twierdzy, gdzie wezwał ich Leto. Z boku stał Tajkenik, czując się nieswojo w towarzystwie lady Jessiki, która wydawała się zamknięta w sobie, jakby była nieobecna duchem. Od porannego posiłku minęła zaledwie godzina, ale zrobiono już wiele: wysłano wezwanie do Gildii, wiadomości do KHOAM i Landsraadu.

Farad’nowi trudno było zrozumieć tych Atrydów. Jessika wprawdzie uprzedziła go, ale mimo to rzeczywistość go zdumiewała. Nadal mówili o zaręczynach, chociaż wydawało się, że zniknęła większość powodów politycznych, które do tego skłaniały. Na tronie zasiadzie Leto; nie było co do tego najmniejszych wątpliwości. Oczywiście, trzeba będzie usunąć tę jego niesamowitą *żywą skórę*... ale z czasem...

– Biega, żeby się zmęczyć – oświadczyła Ganim. – Jest wcieleniem Kralizeku. Nie dogoni go żaden wiatr. Śmiga po szczytach wydm tak szybko, że zamazują się jego kształty. Widziałam to na własne oczy. Biega i biega. A kiedy w końcu poczuje się wyczerpany, wraca i składa głowę na moich kolanach. „Poproś naszą matkę w swoim wnętrzu, by znalazła jakiś sposób, żebym mógł umrzeć”, błaga.

Farad’n wpatrywał się w nią. W ciągu tygodnia, który minął od zamieszek na placu, twierdza żyła dziwnym rytmem, przychodziły i wychodziły stąd tajemnicze postaci. Dzięki Tajkenikowi, którego poproszono o doradztwo w sprawach wojskowych, docierały do niego opowieści o zażartych walkach za Murem Zaporowym.

– Nie rozumiem – powiedział. – Znaleźć sposób, by mógł umrzeć?

– Poprosił mnie, bym cię przygotowała – rzekła Ganim. Nie pierwszy raz zdumiała ją dziwna niewinność tego księcia z rodu Corrinów. Czy była to robota Jessiki, czy coś wrodzonego?

– Na co?

– On nie jest już człowiekiem – odparła. – Wczoraj pytałeś, kiedy zamierza usunąć tę *żywą skórę*. Nigdy. Teraz jest ona jego częścią, a on częścią jej. Ocenia, że ma przed sobą jakieś cztery tysiące lat, zanim ta przemiana go zniszczy.

Farad’n starał się przełknąć ślinę przez suche gardło.

– Rozumiesz teraz, dlaczego biega? – zapytała Ganimi.

– Ale skoro będzie żył tak długo i...

– Ponieważ tak bogata jest jego pamięć o czasach, kiedy był człowiekiem. Pomyśl o tych wszystkich wewnętrznych istnieniach, krewniaku. Nie, nie potrafisz sobie tego wyobrazić, bo nigdy tego nie doświadczyłeś. Ale ja to znam. Mogę sobie wyobrazić jego mękę. Daje z siebie więcej, niż dał ktokolwiek wcześniej. Nasz ojciec odszedł na pustynię, próbując tego uniknąć. Z obawy przed tym Alia stała się Złym Duchem. Nasza babka ma ledwie niejasne zaczątki tego stanu, a mimo to musi wykorzystywać wszystkie sztuczki Bene Gesserit, by jakoś z tym żyć... Nawiasem mówiąc, do tego właśnie sprowadza się szkolenie Matki Wielebnej. Ale Leto! Jest zupełnie sam, nigdy nie będzie miał żony ani potomka.

Jej słowa oszołomiły Farad’na. Imperator panujący cztery tysiące lat?

– Jessika o tym wie – oznajmiła Ganimi, spoglądając na babkę. – Powiedział jej o tym wczoraj wieczorem. Nazwał się pierwszym naprawdę patrzącym w odległą przyszłość planistą w dziejach ludzkości.

– Co... planuje?

– Złoty Szlak. Później sam ci to wyjaśni.

– I ma dla mnie jakąś rolę w tym... planie?

– Mojego małżonka – odparła Ganimi. – Przejmuje kontrolę nad planem eugenicznym zgromadzenia żeńskiego. Jestem pewna, że moja babka powiedziała ci o największym marzeniu Bene Gesserit, wyhodowaniu Wielebnego, mężczyzny o nadzwyczajnych zdolnościach. On...

– Chcesz powiedzieć, że mamy być tylko...

– Nie tylko – przerwała mu Ganimi. Wzięła go za ramię i ucisnęła z ciepłą poufałością. – Leto będzie miał dla nas wiele odpowiedzialnych zadań. To znaczy wtedy, kiedy nie będziemy płodzili dzieci.

– Hmmm, jesteś na to jeszcze trochę za młoda – rzekł Farad’n, uwalniając ramię.

– Nigdy więcej nie popełnij tego błędu – powiedziała lodowatym tonem.

Podeszła do nich Jessika, której towarzyszył Tajkenik.

– Tajk powiedział mi, że walki rozszerzyły się na inne planety – oznajmiła. – Główna świątynia na Biareku jest obleżona.

Farad'n pomyślał, że mówi o tym z dziwnym spokojem. W nocy przejrzał z Tajkenikiem raporty. W Imperium rozprzestrzenił się pożar rebelii. Oczywiście zostanie ugaszony, ale Leto otrzyma Imperium w opłakanym stanie.

– Oto Stilgar – powiedziała Ganim. – Czekali na niego. – I ponownie wzięła Farad'na za ramię.

Stary fremeni naczelnik wszedł drzwiami po drugiej stronie w towarzystwie dwóch byłych komandosów śmierci z dawnych, pustynnych czasów. Wszyscy byli w oficjalnych czarnych szatach z białymi wypustkami i noszonych na znak żałoby żółtych przepaskach na głowach. Zbliżyli się równym krokiem, ale Stilgar skupił uwagę na Jessice. Zatrzymał się przed nią i nieufnie skłonił głowę.

– Nadal martwisz się śmiercią Duncana Idaho – powiedziała Jessika. Nie podobała jej się ta ostrożność u starego przyjaciela.

– Matko Wielebna – rzekł Stilgar.

„A zatem tak ma to być! – pomyślała Jessika. – Wszystko oficjalnie i zgodnie z fremeni kodeksem honorowym, bo nie da się zmyć krwi z rąk”.

– Według nas – powiedziała – odegrałeś tylko rolę, którą przydzielił ci Duncan. Nie pierwszy raz jakiś człowiek oddał życie za Atrydów. Dlaczego oni to robią, Stil? Sam niejednokrotnie byłeś na to gotów. Dlaczego? Dlatego, że wiesz, jak dużo Atrydzi dają w zamian?

– Ciesz się, że nie szukasz pretekstu do zemsty – odparł – ale są sprawy, które muszę omówić z twoim wnukiem. Sprawy te mogą nas na zawsze podzielić.

– Chcesz powiedzieć, że Tabr nie złoży mu hołdu? – zapytała Ganim.

– Chcę powiedzieć, że wstrzymuję się z osądem. – Spojrzał zimno na dziewczynkę. – Nie podoba mi się to, jacy się stali moi Fremeni – warknął. – Powróćmy do starych obyczajów. Bez was, jeśli to będzie konieczne.

– Może na jakiś czas – powiedziała Ganim. – Pustynia umiera, Stil. Co zrobicie, kiedy nie będzie już czerw, kiedy nie będzie nawet pustyni?

– Nie wierzę w to!

– Za sto lat – rzekła Ganim – będzie niespełna pięćdziesiąt czerw, a i one będą chore i trzymane w starannie pielęgnowanym rezerwacie. Ich przyprawa będzie tylko dla Gildii Kosmicznej, jej cena zaś... – Potrząsnęła

głową. – Widziałam obliczenia Leto. Był we wszystkich miejscach na planecie. On wie.

– Czy to kolejny podstęp, by utrzymać Fremenów jako waszych wasali?

– A kiedy byłeś moim wasalem? – odparła pytaniem Ganimi.

Stilgar się nachmurzył. Bez względu na to, co powiedział czy zrobił, te bliźnięta zawsze obracały to tak, że była to jego wina!

– Wczoraj wieczorem powiedział mi o tym Złotym Szlaku – wyrwało mu się. – Nie podoba mi się to!

– To dziwne – stwierdziła Ganimi, zerkając na babkę. – Większość Imperium przyjmie to z zadowoleniem.

– To zagłada nas wszystkich – mruknął Stilgar.

– Ale wszyscy marzą o złotym wieku – odparła Ganimi. – Czyż nie, babko?

– Wszyscy – zgodziła się z nią Jessika.

– Marzą o imperium faraonów, które da im Leto – ciągnęła dziewczynka.

– Marzą o pokoju, obfitych plonach, rozwoju handlu i zrównaniu wszystkich oprócz Złotego Władcy.

– To będzie oznaczało śmierć wszystkich Fremenów! – sprzeciwił się Stilgar.

– Jak możesz tak mówić? Czyż nie będziemy potrzebowali żołnierzy i odważnych ludzi, by usuwać pojawiające się od czasu do czasu przejawy niezadowolenia? Przecież zarówno ty, Stil, jak i dzielni towarzysze Tajka będziecie musieli wykonać tę robotę.

Stilgar spojrzał na oficera sardaukarów i w ich oczach pojawił się nagle błysk zrozumienia.

– A Leto będzie miał kontrolę nad przyprawą – przypomniała im Jessika.

– Całkowitą kontrolę – dodała Ganimi.

Przysłuchując się tej wymianie zdań z nową wiedzą, którą wpoila mu Jessika, Farad'n zorientował się, że jest to przeciwiczony fragment, występ przygotowany przez nią i jej wnuczkę.

– Pokój będzie trwał, trwał i trwał – powiedziała Ganimi. – Zniknie wszelka pamięć o wojnie. Leto będzie prowadził ludzkość przez ten ogród co najmniej cztery tysiące lat.

Tajkenik spojrzał pytająco na Farad'na i odchrząknął.

– Tak, Tajk? – rzekł Farad'n.

– Chciałbym porozmawiać z tobą na osobności, mój książę.

Farad'n się uśmiechnął, wiedząc, jakie pytanie nurtuje wojskowy umysł Tajkenika, i mając świadomość, że odgadły je jeszcze co najmniej dwie z obecnych tam osób.

– Nie przehandluję sardaukarów – oznajmił.

– Nie ma takiej potrzeby – oświadczyła Ganim.

– Słuchasz tego dziecka? – zapytał baszar. Był oburzony. Ten stary naib rozumiał, jakie problemy stwarza całe to spiskowanie, ale nikt inny nie miał nawet za grosz pojęcia o tym, w jakiej znaleźli się sytuacji!

Ganima uśmiechnęła się ponuro.

– Powiedz mu, Farad'n – rzekła.

Książę westchnął. Łatwo było zapomnieć o osobliwej naturze tego dziecka, które nie było dzieckiem. Potrafił sobie wyobrazić całe życie z nią jako żoną, ukryte zastrzeżenia przy każdym intymnym zbliżeniu. Nie była to zbyt pociągająca perspektywa, ale zaczynał zdawać sobie sprawę z jej nieuchronności. Całkowita kontrola nad kurczącymi się zasobami melanżu! Nic we wszechświecie nie mogło działać bez przyprawy.

– Później, Tajk – powiedział.

– Ale...

– *Powiedziałem: Później!* – Pierwszy raz użył Głosu wobec Tajkenika i zobaczył, że ten mruga ze zdziwienia i milknie.

Na ustach Jessiki pojawił się lekki uśmiech.

– On jednym tchem mówi o życiu i śmierci – burknął Stilgar. – To mi dopiero złoty wiek!

– Poprowadzi ludzi przez kult śmierci na świeże powietrze bujnie rozkwitającego życia! – powiedziała Ganim. – Mówi o śmierci, bo to konieczne, Stil. Tworzy to napięcie, dzięki któremu żywi wiedzą, że żyją. A kiedy to Imperium upadnie... O tak, upadnie. Myślicie, że teraz nastał Kralizek, ale on dopiero nadejdzie. A gdy to się stanie, ludzie przypomną sobie, jak to jest być żywym. Pamięć o tym będzie trwała, dopóki pozostanie choć jeden człowiek. Jeszcze raz przejdziemy tę ciężką próbę, Stil. I wyjdziemy z niej zwycięsko. Zawsze powstajemy z popiołów. Zawsze.

Usłyszawszy jej słowa, Farad'n zrozumiał, o co jej chodziło, kiedy opowiadała mu o bieganii Leto. *On nie będzie człowiekiem.*

Stilgar wciąż nie był przekonany.

– Nie będzie czerwii – mruknął.

– O, czerwii powrócą – zapewniła go Ganim. – W ciągu dwustu lat wszystkie zdechną, ale potem wrócą.

– Jak... – zaczął Stilgar, ale przerwał.

Farad'n poczuł się, jakby doznał objawienia. Wiedział, co powie Ganimi, zanim jeszcze otworzyła usta.

– Gildii ledwie uda się przetrwać chude lata, a i to tylko dzięki jej i naszym zapasom – powiedziała. – Ale po Kralizeku przyprawy będzie w bród. Czerwie powrócą, kiedy mój brat odejdzie w pustynię.



Podobnie jak to było z wieloma innymi religiami, Złoty Elixir Życia Muad'Diba uległ zwyrodnieniu i przerodził się w zbiór pustych magicznych sztuczek. Mistyczne znaki stały się jedynie symbolami głębszych procesów psychologicznych, procesy owe zaś potoczyły się oczywiście żywiołowo. Potrzebny był żywy bóg, a nie było go. Sytuację tę naprawił syn Muad'Diba.

– wypowiedź przypisywana Lu Tung-pinowi (Lu, Gościowi Jaskini)

Leto siedział na Tronie Złotego Lwa i przyjmował hołdy od plemion. Obok niego, stopień niżej, stała Ganimi. Ceremonia w Wielkiej Sali trwała już wiele godzin. Przed Leto przesuwwały się jedna po drugiej delegacje fremeńskich plemion i ich przywódcy. Każda niosła dary dla boga o przerażających mocach, boga zemsty, który obiecał im pokój.

W ubiegłym tygodniu zmusił ich do posłuszeństwa, występując przed arifami wszystkich plemion. Sędziowie widzieli, jak przeszedł przez ogień i wyłonił się z niego cały i zdrowy. Poprosił ich, by z bliska przyjrzeni się jego skórze i przekonali się, że nie ma najmniejszych śladów oparzeń. Skłonił ich do zadawania mu ciosów nożem, a kiedy do tego przystąpili, jego twarz pokryła skóra nie do przebiccia, więc ich wysiłki okazały się daremne. Polewano go kwasami, ale te spływały po nim, wydzielając jedynie leciutki dymek. Łykał podawane mu trucizny i śmiał się z nich.

Na koniec wezwał czerwia i stanął, zwrócony do nich, tuż przed jego paszczą. Stamtąd przeniósł się na lądowisko w Arrakin, gdzie bezczelnie przewrócił fregatę Gildii, unosząc ją za jeden ze stateczników.

Arifowie poinformowali o tym z bojaźliwym podziwem i teraz przybyli przedstawiciele plemion, by przypieczętować swoje poddanie.

Sklepienie Wielkiej Sali z akustycznymi systemami tłumiącymi pochłaniało ostre dźwięki, ale zmysłom narzucało się nieustające szuranie

stóp, które niosło się wraz z zapachami pyłu i krzemionki wnoszonymi z otwartej pustyni.

Jessika, która odmówiła udziału w ceremonii, przyglądała się jej przez sekretny otwór wysoko w ścianie za tronem. Jej uwagę przyciągnął Farad'n. Uświadomiła sobie, że oboje zostali wyprowadzeni w pole. Oczywiście Leto i Ganimas ubiegli zgromadzenie żeńskie! Bliźnięta mogły się radzić tkwiących w nich całych zastępów Bene Gesserit, które były potężniejsze od wszystkich żyjących obecnie w Imperium.

Szczególną goryczą napęłniał ją sposób, w jaki Alia wpadła w pułapkę mitologii zgromadzenia. „Strach zrodzony ze strachu!” Zwyczaje pokoleń, które się na niej odcisnęły, zgotowały jej los Złego Ducha. Nie widziała dla siebie nadziei. Nic dziwnego więc, że uległa. W świetle tego, co się stało jej udziałem, jeszcze trudniej było się pogodzić z osiągnięciami Leto i Ganimy. Okazało się, że z pułapki jest nie jedno wyjście, lecz dwa. Najboleśniesz było zwycięstwo Ganimy nad jej wewnętrznymi istnieniami i uparte obstawanie przy tym, że Alia zasługiwała tylko na litość. Ganimę uratowało hipnotyczne stłumienie głosów tych istnień w połączeniu z pomocą uzyskaną od życzliwego przodka – matki. Mogli ocalić Alię. Ale ponieważ nie miała nadziei, nie można było nic zrobić, a potem było już na to za późno. Woda Alii została rozlana na piasek.

Jessika westchnęła i przeniosła uwagę na Leto. Na honorowym miejscu przy jego prawym łokciu stała ogromna kanopa z wodą Muad'Diba. Leto pochwalił się Jessice, że ojciec w jego wnętrzu śmiał się z tego gestu, mimo iż się nim zachwycał.

To naczynie i przechwałki Leto umocniły ją w postanowieniu, by nie brać udziału w rytuale. Wiedziała, że nigdy nie pogodzi się z tym, iż przez usta Leto przemawia Paul. Cieszyła się, że ród Atrydów przetrwał, ale świadomość rzeczy-które-mogły-się-zdarzyć była nie do zniesienia.

Farad'n siedział ze skrzyżowanymi nogami obok kanopy. Było to miejsce królewskiego skryby, który to zaszczytny tytuł dopiero co mu nadano.

Książę czuł, że dobrze się przystosowuje do nowej rzeczywistości, chociaż Tajkenik nadal się wściekał i ostrzegał go przed przykrymi konsekwencjami. Tajkenika i Stilgara łączyła wspólnota nieufności, która najwyraźniej bawiła Leto.

W czasie długiej ceremonii Farad'na ogarniały na przemian to podziw, to nuda. Przed tronem przepływał niekończący się strumień ludzi, tych niezrównanych wojowników. Ich odnowionej przysięgi wierności złożonej

zasiadającemu na tronie Atrydzie nie sposób było kwestionować. Stali przed nim w poddańczym strachu, oszołomieni tym, o czym donieśli arifowie.

Wreszcie ceremonia zaczęła się zbliżać do końca. Przed Leto stanął ostatni naib – Stilgar – na „zaszczytnym miejscu straży tylnej”. Zamiast koszy pełnych przyprawy, mieniających się ognistym blaskiem klejnotów czy innych drogocennych darów, które piętrzyły się wokół tronu, trzymał uplecioną z włókna przyprawowego opaskę na głowę. Widniał na niej złoto-zielony jastrząb Atrydów.

Ganima poznała ją i zerknęła z ukosa na Leto.

Stilgar położył opaskę na drugim stopniu przed tronem i nisko się skłonił.

– Daję ci opaskę, którą miała na głowie twoja siostra, kiedy zabrałem ją na pustynię, by ją chronić – powiedział.

Leto stłumił uśmiech.

– Wiem, że przyszły na ciebie trudne czasy, Stilgar – rzekł. – Czy jest tutaj coś, co mógłbym dać ci w zamian? – Wskazał stosy kosztownych darów.

– Nie, mój panie.

– A zatem przyjmuję twój dar – oświadczył Leto. Pochylił się do przodu, uniósł skraj szaty Ganimy i oderwał cienki pasek materiału. – Daję ci w zamian ten strzępek szaty Ganimy, którą miała na sobie, gdy wykradziono ją z twego pustynnego obozowiska, zmuszając mnie, bym ją ratował.

Stilgar przyjął strzępek drżącą ręką.

– Drwiesz ze mnie, mój panie?

– Drwię z ciebie? Na Boga, Stilgar, nigdy bym z ciebie nie zadrwił. Przekazałem ci bezcenny dar. Rozkazuję, byś zawsze nosił go na sercu jako przypomnienie, że wszyscy ludzie są omylni, a wszyscy przywódcy są ludźmi.

Z ust Stilgara wyrwał się cichy chichot.

– Jakim byłbyś naibem!

– Jakim jestem naibem! Naibem naibów! Nigdy o tym nie zapomnij.

– Jak sobie życzysz, mój panie. – Stilgar przełknął ślinę, przypominając sobie sprawozdanie swego arifa. „Kiedyś przemknęło mi przez głowę, że mógłbym go zabić. Teraz jest już na to za późno”. Jego wzrok padł na kanopę z matowego złota, z zieloną pokrywą. – To woda mojego plemienia.

– I mojego – rzekł Leto. – Rozkazuję ci odczytać napis na naczyniu. Przeczytaj go głośno, by mogli to usłyszeć wszyscy zebrani tutaj.

Stilgar rzucił pytające spojrzenie Ganimie, ale tylko uniosła brodę. Jej chłodna reakcja sprawiła, że przeszedł go dreszcz. Czyżby te atrydzkie diabła zawzięły się, by odpowiedział za swą popędliwość i błędy?

– Czytaj – polecił Leto, wskazując napis.

Stilgar wszedł powoli po stopniach, pochylił się ku kanopie i głośno przeczytał: „Ta woda jest esencją, źródłem, z którego wypływa wszelka twórczość. Chociaż nieruchoma, jest środkiem wszelkiego ruchu”.

– Co to znaczy, mój panie? – wyszeptał naib. Przestraszył się tych słów, gdyż poruszyły w nim coś, czego nie rozumiał.

– Ciało Muad'Diba jest pustym kokonem, podobnym do tego, który porzuca owad – odparł Leto. – Zapanował nad swoim wewnętrznym światem, odnosząc się z pogardą do zewnętrznego, co doprowadziło do katastrofy. Zapanował nad światem zewnętrznym, odtrącając wewnętrzny, co wydało jego potomków na pastwę demonów. Złoty Elixir zniknie z Diuny, ale ziarno zasiane przez Muad'Diba będzie wydawać plony, a jego woda poruszać nasz wszechświat.

Stilgar pochylił głowę. Sprawy mistyczne zawsze wywoływały w jego umyśle chaos.

– Początek i koniec stanowią jedność – rzekł Leto. – Żyjesz w powietrzu, lecz go nie widzisz. Kończy się pewna faza. Ten koniec jest początkiem jej przeciwieństwa. A zatem będziemy mieli Kralizek. Wszystko kiedyś wraca, ale można nie rozpoznać zmienionej postaci, w jakiej wróci. Czujesz myśli w głowie; twoi potomkowie będą je czuli w brzuchach. Wróć do siczy Tabr, Stilgar. Dołączy tam do ciebie Gurney Halleck jako mój przedstawiciel i doradca w waszej radzie.

– Nie ufasz mi, mój panie? – zapytał cicho Fremen.

– Ufam ci całkowicie. Inaczej nie wysłałbym do ciebie Gurneya. Zacznie prowadzić zaciąg do nowych oddziałów, których będziemy wkrótce potrzebować. Przyjmuję twój hołd, Stilgar. Możesz odejść.

Stilgar nisko się skłonił, zszedł tyłem po schodach, odwrócił się i opuścił salę. Pozostali przywódcy ruszyli za nim zgodnie z fremeńską zasadą, że „ostatni będą pierwszymi”. Ale kiedy wychodzili, do tronu docierały niektóre zadawane przez nich pytania.

– O czym tam rozmawialiście, Stil? Co znaczą te słowa na naczyniu z wodą Muad'Diba?

– Wszystko zapamiętałeś, skrybo? – zapytał Leto Farad'na.

– Tak, mój panie.

– Babka powiedziała mi, że dobrze cię nauczyła stosowanych przez Bene Gesserit metod zapamiętywania. Cieszę się z tego. Nie chcę, żebyś bazgrał w mojej obecności.

– Jak każesz, mój panie.

– Podejdź i stań przede mną – rzekł Leto.

Farad'n posłuchał, bardziej niż kiedykolwiek wdzięczny Jessice za wykształcenie. Gdy pogodził się z faktem, że Leto nie jest już człowiekiem, że nie potrafi już myśleć jak człowiek, Złoty Szlak stał się jeszcze bardziej przerażający.

Leto spojrzał na Farad'na. Strażnicy stali na tyle daleko, że nie mogli usłyszeć ich rozmowy. W Wielkiej Sali zostało tylko wąskie grono doradców, którzy tkwili w uniżonych postawach za pierwszym stopniem schodów prowadzących do tronu. Ganimi przysunęła się bliżej i położyła rękę na oparciu tronu.

– Nie zgodziłeś się jeszcze oddać mi swoich sardaukarów – powiedział Leto. – Ale zrobisz to.

– Mam wobec ciebie wielki dług, ale nie aż taki – odparł Farad'n.

– Sądzisz, że oni i moi Fremeni nie dopasują się do siebie?

– Dopasują się równie dobrze jak ci nowi przyjaciele, Stilgar i Tajkenik.

– A mimo to odmawiasz?

– Czekam na twoją ofertę.

– Wobec tego muszę ci ją złożyć, wiedząc, że nigdy nikomu jej nie powtórzysz. Modlę się, by się okazało, że moja babka dobrze odegrała swoją rolę i że jesteś przygotowany, by zrozumieć.

– Co muszę zrozumieć?

– W każdej cywilizacji istnieje jakaś dominująca mistyka – rzekł Leto. – Stopniowo staje się ona barierą uniemożliwiającą zmiany, co zawsze sprawia, że przyszłe pokolenia nie są przygotowane na zdradę, jaką szykuje im wszechświat. W tworzeniu tych barier wszystkie mistyki – religijna, bohatera-przywódcy, mesjasza, nauki i technologii oraz samej natury – odgrywają taką samą rolę. Żyjemy w Imperium, które stworzyło taką mistykę, i teraz Imperium to się rozpada, ponieważ większość ludzi nie potrafi odróżnić mistyki od wszechświata. Widzisz, mistyka jest niczym opętanie przez demona: zawłada świadomością, stając się dla wyznawcy wszystkim.

– Dostrzegam w tych słowach mądrość twojej babki – powiedział Farad'n.

– I bardzo dobrze, krewniaku. Zapytała mnie, czy jestem Złym Duchem. Zaprzeczyłem. To było moje pierwsze oszustwo. Widzisz, Ganimie udało się przed tym uciec, mnie nie. Byłem zmuszony utrzymywać równowagę między moimi wewnętrznymi istnieniami, które doszły do głosu pod wpływem nadmiernych ilości melanzu. Musiałem szukać aktywnej współpracy tych, których obudziła we mnie przyprawa. Unikałem najzłośliwszych i wybrałem głównego pomocnika, którego narzuciła mi wewnętrzna świadomość, czyli mój ojciec. W rzeczywistości nie jestem ani moim ojcem, ani tym pomocnikiem. Ale nie jestem też Leto Drugim.

– Wyjaśnij to.

– Twoja bezpośredniość godna jest podziwu – rzekł Leto. – Jestem społecznością zdominowaną przez kogoś, kto żył bardzo dawno temu i był nadzwyczaj potężny. Dał początek dynastii, która przetrwała trzy tysiące lat. Nazywał się Harum i dopóki jego linia nie wygasła wskutek wrodzonych niedomagań i przesądów potomków, jego poddani żyli w naturalnym rytmie pór roku. Płodzili jednostki, które na ogół były krótkowieczne, zabobonne i ślepo podążały za bogiem-królem. W sumie tworzyli potężny naród. Zdolność przetrwania jako gatunku stała się ich nawykiem.

– Nie podoba mi się to – powiedział Farad’n.

– Prawdę mówiąc, mnie też nie – odparł Leto – ale to wszechświat, jaki stworzę.

– Dlaczego?

– To nauczka, którą dała mi Diuna. Staraliśmy się, by żyjącym tutaj wciąż zagrażało widmo śmierci. Dzięki temu martwi zmienili żywych. Ludzie w takim społeczeństwie zapadają się w siebie, ale kiedy nadchodzi pora na coś przeciwnego, powstają i są wspaniali i piękni.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie – nie ustępował Farad’n.

– Nie ufasz mi, krewniaku.

– Nie ufa ci nawet twoja babka.

– I nie bez powodu – stwierdził Leto. – Ale się z tym godzi, bo musi. Bene Gesserit są w końcu pragmatyczkami. Wiesz, podzielam ich pogląd na nasz wszechświat. Nosisz znaki tego wszechświata. Zachowujesz nawyki władcy, oceniając wszystko wokół siebie w kategoriach potencjalnego zagrożenia lub przydatności.

– Zgodziłem się zostać twoim skrybą.

– Bo cię to bawiło i pochlebiało twemu prawdziwemu talentowi, talentowi historyka. Jesteś geniuszem, jeśli chodzi o odczytywanie teraźniejszości

przez pryzmat przeszłości. Kilka razy mnie ubiegłeś.

– Nie podobają mi się twoje zawołane insynuacje – rzekł Farad’n.

– I bardzo dobrze. Miałeś nieskończenie wielkie ambicje, a teraz musisz się zadowolić dość niską w porównaniu z nimi pozycją. Czy moja babka nie przestrzegła cię przed nieskończonością? Przyciąga nas jak reflektor w nocy, oślepiając i nie pozwalając dojrzeć, jak okrutnie może się obejść z tym, co skończone.

– Aforyzmy Bene Gesserit! – prychnął Farad’n.

– To jest precyzyjniejsze od aforyzmów – stwierdził Leto. – Bene Gesserit uważały, że potrafią przewidzieć kierunek i przebieg ewolucji. Ale nie wzięły pod uwagę tego, że same będą się zmieniać w jej toku. Zakładały, że będą niezienne, podczas gdy ich plan eugeniczny będzie się rozwijał. Ja nie jestem dotknięty taką ślepotą. Przyjrzyj mi się dokładnie, Farad’n, bo nie jestem już człowiekiem.

– Tak twierdzi twoja siostra. – Farad’n się zawahał, po czym spytał: – Zły Duch?

– Jeśli przyjąć definicję zgromadzenia żeńskiego, może i tak. Harum jest okrutny i samowładny, a ja mam w sobie odrobinę jego okrucieństwa. Zapamiętaj to dobrze: jest we mnie okrucieństwo rolnika, a ten ludzki wszechświat to moje gospodarstwo. Fremeni trzymali niegdyś oswojone orły, ja zaś będę trzymał oswojonego Farad’na.

Twarz księcia pociemniała.

– Strzeż się moich szponów, krewniaku – powiedział. – Doskonale wiem, że moi sardaukarzy ulegliby w końcu twoim Fremenom, ale zdołalibyśmy zadać ci bolesne rany, a szakale tylko czekają, żeby się dostać do osłabionych.

– Dobrze cię wykorzystam, to obiecuję – rzekł Leto i pochylił się do przodu. – Czyż nie powiedziałem, że nie jestem już człowiekiem? Uwierz mi, krewniaku. Z moich lędźwi nie zrodzą się żadne dzieci, bo nie mam już lędźwi. I to zmusza mnie do drugiego oszustwa.

Farad’n czekał bez słowa, dostrzegłszy w końcu, do czego zmierza Leto.

– Złamię wszystkie fremeńskie zasady i nakazy – ciągnął Leto. – Pogodzą się z tym, bo nie mogą zrobić nic innego. Trzymałem cię tutaj, kusząc zaręczynami, ale nie dojdzie do twoich zaręczyn z Ganimą! Moja siostra poślubi mnie!

– Ale ty...

– Poślubi, powiedziałem. Ganimu musi zapewnić ciągłość linii Atrydów. Jest też sprawa planu eugenicznego Bene Gesserit, który jest teraz moim programem.

– Odmawiam – rzekł Farad'n.

– Nie chcesz zostać protoplastą dynastii Atrydów?

– Jakiej dynastii? Przez tysiące lat ty będziesz zasiadał na tronie.

– I kształtowałem twoich potomków na swój obraz. Będzie to najintensywniejszy, najbardziej globalny program szkolenia w całych dziejach ludzkości. Będziemy ekosystemem w miniaturze. Widzisz, bez względu na to, jaki system przetrwania wybierają zwierzęta, musi się on opierać na wzorze połączonych wspólnot, współzależności, wspólnego działania w ramach tego, co jest owym systemem. A system ten stworzy najmądrzejszych władców, jakich kiedykolwiek widziano.

– Ubierasz w fantazyjne słowa najobrzydliwsze...

– Kto przetrwa Kralizek? – przerwał mu Leto. – Zapewniam cię, że Kralizek nadejdzie.

– Jesteś szaleńcem! Zniszczysz Imperium!

– Oczywiście... przecież nie jestem człowiekiem. Ale stworzę we wszystkich ludziach nową świadomość. Powiem ci, że pod pustynią Diuny znajduje się sekretne miejsce, w którym jest największy skarb wszech czasów. Nie kłamię. Kiedy zdechnie ostatni czerw i zebrane zostaną na naszych piaskach resztki przyprawy, te ukryte w głębinach skarby wychyną na powierzchnię i rozprzestrzenią się w całym naszym wszechświecie. Gdy upadnie monopol przyprawowy i markę wyrobą sobie ukryte zapasy melanżu, w naszym królestwie pojawią się nowe moce. Czas, by ludzie nauczyli się ponownie żyć tak, jak nakazuje im instynkt.

Ganima zdjęła dłoń z oparcia tronu, podeszła do Farad'na i wzięła go za rękę.

– Tak jak moja matka nie była żoną, tak ty nie będziesz mężem – rzekł Leto. – Ale może zrodzi się miłość, a to wystarczy.

– Każdy dzień, niekiedy każda chwila przynosi coś nowego – powiedziała Ganimu. – Człowiek się uczy, rozpoznając te chwile.

Farad'n czuł ciepło drobnej dłoni Ganimy i odbierał to jako wyraz poparcia. Rozpoznawał opadanie i narastanie siły argumentów Leto, który ani razu nie użył wobec niego Głosu. Apelował do jego instynktu, nie do umysłu.

– Tylko tyle proponujesz mi za moich sardaukarów? – zapytał.

– Dużo, dużo więcej, krewniaku. Proponuję twoim potomkom Imperium. A tobie pokój.

– Co będzie rezultatem tego pokoju?

– Jego przeciwieństwo – odparł Leto ze spokojnym szyderstwem.

Farad'n potrząsnął głową.

– Uważam, że cena za moich sardaukarów jest bardzo wysoka – stwierdził. – Muszę zostać skrybą, prawdziwym, choć nieznanym protoplastą twojej dynastii?

– Musisz.

– Będziesz się starał zmusić mnie do pokoju według twojego obyczaju?

– Owszem.

– Będę ci się opierał całe życie.

– Ależ właśnie tego od ciebie oczekuję, krewniaku. Dlatego cię wybrałem. Zrobię to oficjalnie. Nadam ci nowe imię. Od tej chwili będziesz się zwał Łamiącym Obyczaj, co w naszym języku brzmi Hark al-Ada. Daj spokój, krewniaku, nie bądź taki tępy. Moja babka dobrze cię wyszkoliła. Daj mi swoich sardaukarów.

– Daj ich – powtórzyła niczym echo Ganimi. – On i tak ich weźmie, jak nie w ten sposób, to w inny.

Farad'n wyczuł w jej głosie strach o niego. Czyżby zatem miłość? Leto nie prosił o decyzję dyktowaną przez rozum, lecz o powzięcie kroku, który podpowiadała intuicja.

– Weź ich – rzekł książę.

– Oczywiście – odparł Leto.

Podniósł się z tronu dziwnie płynnym ruchem, jakby trzymał swoje straszliwe moce pod bardzo delikatną kontrolą. Zszedł na stopień, na którym stała Ganimi, obrócił ją łagodnie, by spojrzała w przeciwną stronę niż on, po czym oparł się plecami o jej plecy.

– Zapamiętaj to, krewniaku Harku al-Ado. Tak będzie zawsze. Staniemy tak, kiedy weźmiemy ślub. Plecami do siebie, a każde z nas będzie patrzyło w przeciwną stronę niż drugie, by chronić tę jedność, którą zawsze byliśmy i jesteśmy. – Odwrócił się, patrząc kpiąco na Farad'na, i ściszył głos: – Pamiętaj o tym, krewniaku, gdy będziesz twarzą w twarz z Ganimą. Pamiętaj o tym, gdy będziesz jej szeptał o miłości i miłych rzeczach, gdy będzie cię najbardziej kusić złamanie obyczajów, według których zaprowadziłem pokój, i zniszczenie mego zadowolenia. Twoje plecy będą zawsze odsłonięte.

Odwróciwszy się od nich, zszedł po stopniach między czekających dworzan, którzy podążyli za nim jak satelity, i opuścił salę.

Ganima ponownie ujęła dłoń Farad'na, ale jeszcze długo po wyjściu Leto wzrok miała utkwiony w przeciwległym końcu sali.

– Jedno z nas musiało się zgodzić na te katusze – powiedziała – a Leto zawsze był silniejszy.



Terminologia Imperium

Poznając historię Imperium, Arrakis i całą kulturę, która wydała Muad'Diba, napotykamy wiele nieznamytnych terminów. Pomoc w zrozumieniu ich to cel chwalebny, stąd te niżej podane definicje i wyjaśnienia.

ABA: luźna szata, zazwyczaj czarna.

ADAB: władcza pamięć, która samoistnie ogarnia człowieka.

AJAT: znaki życia; zazwyczaj: ajat i burhan życia (patrz: **BURHAN**).

ALAM AL-MITHAL: mistyczna kraina podobieństw, w której nie ma żadnych fizycznych ograniczeń.

ALEMBIK ŚMIERCI: wynalezione przez Fremenów (i tylko przez nich używane) urządzenie do wydestylowywania wody ze zwłok.

ARIF: w języku Fremenów: „sędzia” lub „sąd”.

ARRAKIN: pierwsza osada na Arrakis, do objęcia planety przez Harkonnenów siedziba rządu planetarnego. Po przejściu Diuny przez Atrydów ponownie stolica planetarna.

ARRAKIS: trzecia planeta Canopusa, znana jako Diuna. Jedyne źródło życiodajnej przyprawy – melanzu.

BALISETA: pochodzący od cytry dziewięciostrunowy szarpany instrument muzyczny. Ulubiony instrument trubadurów imperialnych.

BASEN ŁOWNY: zbiornik, do którego spływa woda przechwycona przez oddzielacz wiatru.

BASZAR: pierwotnie termin z militarnego leksykonu rodu Corrinów, oznaczający oficera sardaukarów nieco wyższego rangą od pułkownika w zunifikowanej hierarchii Imperium. Termin przejęty został przez galach (oficjalny język Imperium) i Fremenów.

BATIG: w języku Fremenów: mały melon.

BENE GESSERIT: zgromadzenie żeńskie przez stulecia działające za parawanem półmistycznej szkoły kształcenia ducha i ciała, którą założono po tym, jak Dżihad Butleriański doprowadził do zniszczenia tak zwanych „myślących machin” i robotów.

BESTIA RABBAN: Glossu Rabban (10132–10193), hrabia z Lankiveil, siridar regent barona Vladimira Harkonnena na Arrakis.

BI-LA KAIFA: Amen (dosłownie: „Niczego już nie trzeba wyjaśniać”).

BIBLIA PROTESTANCKO-KATOLICKA: *Księga Ksiąg*, kanoniczny tekst opracowany przez Kongres Ekumeniczny Federacji. Zrewidowane połączenie starożytnych świętych pism, zawierające elementy najstarszych religii, łącznie z Maometh Saari, chrześcijańską Mahayaną, katolicyzmem zensunnickim i przekazami buddislamskimi. Za najważniejsze przykazanie Biblii P-K uważa się: „Nie będziesz kaleczył ducha”.

BINDU: termin odnoszący się do układu nerwowego człowieka, szczególnie do treningu panowania nad nerwami. Często określane jako bindunerwatura (patrz: **PRANA** i **SZKOLENIE**).

BLECH: płaska, otwarta pustynia.

BRZEMIE WODY: fremeński dług na śmierć i życie.

BURHAN: dowody życia; zwykle: ajat i burhan życia (patrz: **AJAT**).

BURKA: izolowana opończa noszona przez Fremenów na otwartej pustyni.

CEDUŁA DOBORU: główny rejestr związków krwi planu eugenicznego Bene Gesserit, którego celem było wydanie na świat Kwisatz Haderach.

CHAKOBSA: tak zwany „język magnetyczny”, częściowo wywodzący się z pradawnego bhotani (bhotani-dżib, gdzie „dżib” znaczy dialekt). Mieszanina starożytnych narzeczy zmodyfikowanych z myślą o zachowaniu tajemnicy. Jej podstawą był łowiecki język Bhotaniów, najemnych skrytobójców z czasów pierwszych wojen asasynów.

CHAUMAS: (w niektórych dialektach: aumas) trucizna w pokarmie (dokładnie w suchym pokarmie, w odróżnieniu od trucizny podanej w inny sposób).

CHAUMURKY: (w niektórych dialektach: musky lub murky) trucizna dodawana najczęściej do napoju.

CHWYTOWÓD: zewnętrzny przewód filtra odprowadzający wydychaną przez nos wilgoć do systemu odzyskowego (patrz: **FILTRAK**).

CORIOLISA, KURZAWA: każdy większy samum na Arrakis, gdzie na otwartych równinach wiatry wzmagane były przez ruch obrotowy planety i osiągały prędkość do 700 kilometrów na godzinę. Kurzawy Coriolisa powodowały „deszcz piasku” (el sajale – opady pyłu wzniesionego na średnią wysokość, około 2000 metrów, lub matary – opady pyłu wzniesionego na dużą wysokość, powyżej 2000 metrów).

CORRINÓW, RÓD: ród pochodzący z Salusy Secundusa. Nazwę wziął od bitwy pod Corrinem (88 PG), która ustaliła jego trwające dziesięć tysięcy lat panowanie nad Imperium. Ojciec księżnej Irulany, Padyszach Imperator Szaddam IV, był ostatnim, osiemdziesiątym pierwszym władcą z dynastii Corrinów. Po jego śmierci spadkobiercą fortuny rodu został Farad’n, syn Wensicji (trzeciej córki Padyszacha Imperatora), jednakże do czasu uzyskania odpowiedniego wieku regencję w jego imieniu sprawowała matka.

CZERW PUSTYNI: patrz: **SZEJ-HULUD**.

DAO: trans odrętwienia, rodzaj letargu bindu, w którym Bene Gesserit mogła ogromnie spowolnić swoje czynności fizjologiczne. Trans pozwalający przetrwać w zagrażających życiu warunkach, a także potrzebny do odmłodzenia komórek.

DIUNA: potoczna nazwa Arrakis, trzeciej planety Canopusa.

DRUGI KSIĘŻYC: mniejszy z dwóch satelitów Arrakis, godny uwagi ze względu na zarys sylwetki skoczka pustynnego na jego powierzchni (patrz: **PIERWSZY KSIĘŻYC**).

DRYF: wtórna kolektorowa faza generatora pola Holtzmana. Znosi ciężenie w pewnych granicach, określonych proporcjami masy i zużycia energii. Wynalazek oparty na projekcie tarczy obronnej Holtzmana, zmodyfikowanym przez Normę Cenvę na Poritrinie.

DUDNIK: fremeński przyrząd w kształcie krótkiej tyczki z mechanizmem sprężynowym i kołatką, używany do przywoływania lub odciągania czerwia pustyni; jeden z elementów wyposażenia fremsaka (patrz: **FREMSAK**). Po zwolnieniu mechanizmu sprężynowego kołatka wydawała charakterystyczne „dudnienie” przywabiające szej-huludy.

DYSTRANS: urządzenie do doraźnego umieszczania informacji w układzie nerwowym przedstawicieli gatunków rzędu *Chiroptera* lub ptaków. Naturalny głos tak przygotowanego zwierzęcia zawierał wiadomość, którą można było wyodrębnić za pomocą drugiego dystransu.

DŻAKURUTU: legendarna sicz uznana za tabu wiele pokoleń przed zapoczątkowaniem ekologicznej transformacji Diuny, ponieważ była miejscem zamieszkania „wodnego robactwa” (patrz: **IDUALI**). Dzięki powszechnemu przymierzu fremeńskich plemion Dżakurutu zostało zaatakowane, a jego mieszkańcy eksterminowani.

DŻIHAD: „święta wojna”, fanatyczna krucjata religijna.

DŻIHAD BUTLERIAŃSKI: krucjata przeciwko „myślącym machinom” (komputerom i świadomym robotom), zwana potocznie Wielką Rewoltą. Trwała od roku 201 PG do roku 108

PG. Główne przykazanie Dżihadu Butleriańskiego zachowało się w Biblii P-K w postaci: „Nie będziesz czynił machin na obraz i podobieństwo umysłu ludzkiego”.

EKOLOGICZNA TRANSFORMACJA DIUNY: plan Pardota Kynesa mający na celu zmianę ekologii i klimatu Arrakis. Kontynuował go jego syn, Liet-Kynes, a następnie Paul Muad'Dib i Alia Atryda.

ELAKKA: usłojone krwiście drewno z Ekaza (czwartej planety Bety Alfa Centauri), najlepiej znane z produktów z niego otrzymywanych: lin, narkotyku elakka i semuty.

ERG: rozległy obszar pustyni pokryty wydmami; morze piasku.

FAI: danina wody, główna forma podatku na Arrakis.

FAUFRELUCHES: obowiązujący w Imperium sztywny system podziału klasowego. „Miejsce dla każdego człowieka i każdy człowiek na swoim miejscu”.

FEDAJKINI: fremieńskie oddziały śmierci. Służyli Muad'Dibowi podczas jego pierwszej bitwy z rodem Harkonnenów i siłami Corrinów, a później stanowili elitarne formacje w Dżihadzie Muad'Diba. Po odejściu Paula Muad'Diba na pustynię Alia rozwiązała oddziały fedajkinów. (Historycznie: grupa ludzi, którzy zebrali się i przysięgli poświęcić swe życie w imię sprawiedliwości.)

FILTRAK: wynaleziony na Arrakis strój pozwalający przetrwać na pustyni dzięki zapobieganiu utracie wydalanej wody i wilgoci. Jego podstawą była tkanina mikrowarstwowa, wysokiej wydajności system filtrujący wydzieliny ciała i pochłaniacz ciepła. Odzyskiwana woda przepływała do kieszeni łownych, z których można ją było pić za pomocą wodowodu (patrz: **CHWYTOWÓD i WODOWÓD**).

FILTRAMIOT: niewielkie przenośne schronienie z tkaniny mikrowarstwowej, odzyskujące wodę z wilgoci osiadającej na zewnętrznych ścianach i wydalanej z oddechem przebywających w nim ludzi (patrz: **PIACHOCHRAPY**).

FONDAK: legendarna siedziba przemytników na Arrakis, której położenie utrzymywano w najgłębszej tajemnicy.

FREGATA: największy statek kosmiczny mogący lądować na powierzchni planety i startować z niej w całości.

FREMENI: wolne plemiona Arrakis, mieszkańcy pustyni, potomkowie zensunnickich Wędrowców, którzy przybyli na Diunę ponad dziesięć tysięcy lat wcześniej (patrz: **ZENSUNNICI**).

FREMSAK: wyrabiana przez Fremenów sakwa z zestawem umożliwiającym przeżycie na pustyni. Zawierała: literjon, filtrnamiot, pigułki energetyczne, odłówki, piachochrapy, lornetkę, niezbędnik do filtra, barwolwer, nieckograf, filtrwtyki, parakompas, haki stwórcy, dudnik, słup ognia, kondensator elektrostatyczny i *Kitab al-Ibar* (wraz z małą fiszka jarzeniową i szkłem powiększającym).

GAFLA: nieumiejętność skupienia się w obecności natrętnej muchy. Stąd: osoba chwiejna, której nie należy ufać.

GALACH: oficjalny język Imperium. Hybryda anglo-słowiańska z silnymi naleciałościami leksykalnymi przyswojonymi od różnych kultur w trakcie wieloetapowych migracji człowieka.

GANIMA: „zdobycz wojenna”; coś zdobytego w bitwie lub pojedynku. Najczęściej: bezużyteczna pamiątka z walki budząca jedynie wspomnienia.

GAŚIENIK: ogólna nazwa dla maszyn przeznaczonych do poszukiwania i zbierania melanzu (patrz: **ŻNIWIARKA**).

GHOLE: duplikaty ludzi hodowane z komórek martwego ciała w kadziach aksolotlowych Tleilaxan. Zachowywały wzór genetyczny dawców, ale pozbawione były świadomych wspomnień z ich przeszłości (patrz: **KADŹ AKSOLOTLOWA**).

GIEDI PRIME: 36 Ophiuchi B, ojczyzna planeta rodu Harkonnenów.

GILDIA KOSMICZNA: jedno z trzech ramion politycznej triady, na której wspierała się Wielka Konwencja. Gildia jest drugą ze szkół kształcenia ducha i ciała (patrz: **BENE GESSERIT**), które zaczęły powstawać po Dżihadzie Butleriańskim. Ustanowienie monopolu Gildii w zakresie podróży kosmicznych, transportu i bankowości przyjmuje się za datę początkową kalendarza Imperium.

GŁOS: umiejętność manipulowania mową w celu zdobycia kontroli nad słuchaczem; jedno z najbardziej imponujących uzdolnień Bene Gesserit.

GOM DŻABBAR: (dosłownie: „wróg ostateczny”) zatruta metacyjankiem szpilka, której cenzorki Bene Gesserit używały do poddawania ludzkiej świadomości próbie śmierci.

GÓRA IDAHO: najwyższy szczyt Muru Zaporowego (7400 metrów nad poziomem Wielkiego Blechu).

GROT-GOŃCZAK: szybująca w polu dryfowym metalowa igła, którą sterowano za pomocą ukrytej w pobliżu konsoli. Pospolita broń skrytobójcza.

GRÓDŹ: hermetyczne zamknięcie stosowane do ochrony przed utratą wilgoci we fremieńskich obozowiskach jaskiniowych i budynkach na Arrakis.

HADIS: sporządzony na podstawie ustnych przekazów zbiór tradycji fremieńskich.

HADŹDŹ: święta podróż, pielgrzymka.

HAKI STWORZycIELA: laski stosowane przez Fremenów do chwytania, dosiadania i ujeżdżania arrakańskiego czerwia pustyni. Z jednej strony zakończone hakami, z drugiej szorstkie dla pewniejszego chwytu.

HARK AL-ADA: w języku Fremenów: łamiący obyczaj.

HAUST-STUDNIA: forma wysięku, z której można rzekomo spijać wodę za pomocą słomki (patrz: **WYSIEK**).

HIEREG: tymczasowy obóz fremieński na otwartej pustyni.

HUANUI: patrz: **ALEMBIK ŚMIERCI**.

ICHWAN: w języku Fremenów: braterstwo.

IDUALI: w języku Fremenów: wodne robactwo. Pierwotni mieszkańcy legendarnej siczy Dżakurutu, którzy zostali tak nazwani, ponieważ popełniali najohydniejszą według fremieńskiego prawa zbrodnię: odbierali wodę innym Fremenom.

IX: dziewiąta planeta Eridani A, źródło wyrafinowanych technologii. Obok Richese (czwartej planety Eridani A) zaliczana do niedościgłych cywilizacji technicznych.

JEŹDZIEC PIASKU: fremieński termin na określenie osoby, która potrafi wspiąć się na czerwia pustyni i pojechać na nim.

JĘZYK WALKI: każdy specyficzny, niezrozumiały dla przeciwnika język o tajnej etymologii, służący do nieskrępowanego porozumiewania się (głównie w warunkach bojowych).

KADŹ AKSOLOTLOWA: wynalazek Tleilaxan służący m.in. do odtwarzania ludzi z komórek martwego ciała (patrz: **GHOLE**).

KADŹ REGENERACYJNA: patrz: **KADŹ AKSOLOTLOWA**.

KAJMAKAM: podlegający regentce gubernator.

KALADAN: trzecia planeta Deltę Pawia, przez długi czas siridar księstwo rodu Atrydów. Rodzinna planeta Paula Muad'Diba. Po zwycięstwie Fremenów nad sardaukarami (w roku 10193) gubernatorem regentem Kaladanu został Gurney Halleck.

KANAT: otwarty kanał irygacyjny na pustyni, w którym można było regulować przepływ wody.

KANLY: oficjalna i w znacznej mierze zrytualizowana waśń lub wendeta zgodna z zasadami Wielkiej Konwencji i prowadzona według najściślejszych reguł, głównie w celu ochrony postronnych świadków.

KARDAMON: wonna przyprawa dodawana czasem do kawy, używana też w medycynie.

KAZA: w języku Fremenów: wyznaczony dowódca.

KEDEM: w języku Fremenów: wewnętrzna pustynia.

KHOAM: akronim od nazwy Konsorcjum Honnete Ober Advancer Mercantiles – wszechświatowej korporacji eksploatacyjnej kontrolowanej przez Imperatora i wysokie rody (z Gildią i Bene Gesserit jako cichymi wspólnikami).

KIESZEŃ ŁOWNA: każda kieszeń filtraka, w której magazynowana była odzyskana woda.

KITAB AL-IBAR: opracowana przez Fremenów kompilacja modlitewnika i vademecum przeżycia na pustyni.

KOMBAJN ŻNIWNY: patrz: **ŻNIWIARKA**.

KRALIZEK: zaczerpnięte z najdawniejszych legend fremeńskich słowo oznaczające „Tajfun Walki” – bój na krańcu wszechświata.

KRWAWIN: pasożytnicza roślina pnąca z Giedi Prime (36 Ophiuchi B). Jej pędów często używano jako biczów w obozach niewolników. Pozostawiała czerwony ślad, który powodował trwający wiele lat ból.

KRYSNÓŻ: święty nóż Fremenów z Arrakis o ostrzu wyrabianym z kłów martwych czerwii pustyni. Krysnoże powstawały w dwóch wersjach: „stałej” i „niestałej” (nóż „niestały” wymagał kontaktu z polem elektromagnetycznym ciała ludzkiego, które zapobiegało jego rozpadowi).

KSIĘGA AZHARA: opracowany przez Bene Gesserit bibliograficzny cud, kompilacja przechowująca wielkie tajemnice najdawniejszych wierzeń.

KWISATZ HADERACH: „skrótowiec drogi”. Nazwę tę nadały Bene Gesserit *niewiadomej*, dla której szukały rozwiązania na drodze genetycznej: Bene Gesserit płci męskiej, którego siły psychiczne łączyłyby przestrzeń i czas. Według ceduły doboru miał nim być syn zrodzony z córki lady Jessiki i Feyda-Rauthy Harkonnena. Wskutek wielu nieprzewidzianych czynników Kwisatz Haderach pojawił się wcześniej: był nim Paul Atryda.

LANDSRAAD: najstarsza (obok KHOAM, rodu imperialnego i Gildii Kosmicznej) z instytucji, które uformowały Imperium. Podczas długiego panowania Corrinów Landsraad był jedyną organizacją, która zabezpieczała wspólne interesy wszystkich planet Imperium przed sardaukarami.

LAZAJSKIE, TYGRYSY: sprowadzony na Salusę Secundusa specjalny, zmodyfikowany gatunek ziemskich tygrysów.

LEGION: formacja złożona z dziesięciu brygad (około 30 tysięcy ludzi).

LEWENBRECH: adiutant baszara.

LIBAN: fremeński napój przyprawowy; woda z melanzem zaciągnięta mąką z jukki. Pierwotnie napój z kwaśnego mleka.

LICHTUGA: rodzaj fregaty, największego statku kosmicznego mogącego lądować na planecie i startować z niej w całości.

LINIWIEC: największy statek transportowy wykorzystywany w systemie przewozowym Gildii Kosmicznej.

LUMISFERA: zasilane zazwyczaj bateriami organicznymi urządzenia oświetleniowe zawieszane na dryfie. Wynalazek Normy Cenvy.

MAHDI: w mesjanistycznych legendach Fremenów „Ten, który powiedzie nas do raju”.

MAŁENKI STWORZYTEL: potoczna nazwa piaskowej troci (patrz: **PIASKOWA TROĆ**).

MASKARADNICY: jadachańscy hermafrodyty z Tleilaxa. Artyści estradowi mający zdolność cielesnej adaptacji. Mogli dowolnie zmieniać swój wzrost, budowę ciała, rysy twarzy, kolor i długość włosów, a także płeć (patrz: **TLEILAXANIE**).

MASZAD: patrz: **PRÓBA MASZAD**.

MATAR: patrz: **CORIOLISA, KURZAWA**.

MATKA WIELEBNA: pierwotnie cenzorka Bene Gesserit, która przekształciła w swym ciele „truciznę objawienia” i wniosła się na wyższy poziom świadomości (patrz: **BENE GESSERIT**).

Tytuł przejęty przez Fremenów, którzy nadawali go własnym przywódcom religijnym, osiągającym podobne „objawienie”.

MAULA, PISTOLET: pistolet sprężynowy na zatrute bolce o zasięgu około czterdziestu metrów.

MELANŻ: „przyprawa nad przyprawami”, której jedynym źródłem była Arrakis. Znana głównie z właściwości geriatrycznych, przyjmowana w ilościach powyżej dwóch gramów dziennie na siedemdziesiąt kilogramów wagi ciała była silnie uzależniająca. Melanż powstawał z masy preprzyprawowej (patrz: **PIASKOWA TROĆ**).

MENTAT: „ludzki komputer”, członek klasy obywateli Imperium szkolonych w umiejętności logicznego myślenia na nadeludzkim poziomie.

METODA BENE GESSERIT: umiejętność stosowania drobiazgowej obserwacji (patrz: **SZKOLENIE**).

MISSIONARIA PROTECTIVA: jedno z ramion zgromadzenia żeńskiego. Jego główną funkcją było rozsiewanie i utrwalanie zaraźliwych zabobonów na prymitywnych planetach w celu szerzenia tam wpływów Bene Gesserit (patrz: **PANOPLIA PROPHETICA**).

MUAD'DIB: skoczek pustynny zaaklimatyzowany na Arrakis. We fremeńskiej mitologii ziemi i ducha zwierzę związane z rysunkiem widocznym na drugim księżycu planety. Mysz podziwiana przez Fremenów za niezwykłą umiejętność przystosowywania się do srogich warunków otwartej pustyni.

MUAD'DIB, PAUL: fremeńskie imię wieku męskiego Paula Atrydy.

MUR ZAPOROWY: górzyste wypiętrzenie terenu na północnej półkuli Arrakis, które osłaniało niewielki obszar tej planety przed kurzawami Coriolisa.

MUSZTAMAL: mały ogród przydomowy lub ogródek na dziedzińcu.

NAIB: „Ten, kto ślubował nie dać się wziąć żywcem”. Tradycyjna przysięga przywódcy Fremenów.

NAWIGATORZY: gildianie potrafiący dzięki melanżowi odszukać taką linię przyszłości, która pozwalała liniowcom Gildii Kosmicznej omijać wszelkie niebezpieczeństwa.

NERUS, TANIDIA: zidentyfikowana przez Leto II jako matka lady Jessiki. Dzięki odkrytym źródłom stwierdzono, że matką Jessiki była Matka Wielebna Gaius Helena Mohiam.

NIECKA: nadający się do zamieszkania nizinny obszar na Arrakis okolony wzniesieniem terenu osłaniającym go przed samumami.

NIEZBĘDNIK: zestaw zawierający narzędzia i części zamienne do naprawy fremeńskich filtraków.

NISKIE RODY: w języku galach: richocy; przywiązana do planety klasa przedsiębiorców (patrz: **RÓD**).

ODDZIELACZ WIATRU: urządzenie instalowane głównie na szlaku dominujących wiatrów. Skraplało wilgoć z powietrza, które było zasysane do komory (przeważnie wskutek gwałtownego i znacznego spadku temperatury w oddzielaczu).

ORNITOPTERY: wszelkie statki zdolne do długotrwałego lotu za pomocą uderzeń skrzydłami na wzór ptaków. Podstawowy środek transportu powietrznego w Imperium.

PANEW: nisko położony teren lub depresja na Arrakis powstała w wyniku osiadania warstw podłoża.

PANOPLIA PROPHETICA: najważniejsze źródło materiałów dla Missionaria Protectiva, zawierające szczegółowe metody manipulowania religią za pomocą zaraźliwych przesądów, używanych przez zgromadzenie żeńskie w celu eksploatacji prymitywnych regionów (patrz: **MISSIONARIA PROTECTIVA**).

PCHLI SZTYCH: wszelkie krótkie, wąskie ostrza (często zatrute) trzymane w lewej ręce przez walczących z użyciem tarcz obronnych.

PG: „przed Gildią”. Skrót w kalendarzu Imperium opartym na dacie powstania monopolu Gildii Kosmicznej w dziedzinie podróży, transportu i bankowości.

PIACHOCHRAPY: urządzenie tłoczące powietrze do wnętrza przysypanego piaskiem podczas burzy filtrnamiotu (patrz: **FILTRNAMIOT**).

PIASKOWA TROĆ: pół roślina, pół zwierzę, zarodek czerwia pustyni żyjący w głębi piasku, zwany potocznie maleńkim stwórcą. Ekskrementy piaskowych troci, które ginęły milionami w każdym wybuchu przyprawowym, zmieszane z wodą tworzyły masę preprzyprawową (patrz: **MELANŻ**). Nieliczne pozostałe przy życiu osobniki zapadały w półsen cystohibernacji, by po sześciu latach wyłonić się w postaci małego (mniej więcej trzymetrowego) czerwia pustyni (patrz: **SZEJ-HULUD**).

PIERWSZY KSIĘŻYC: większy z dwóch satelitów Arrakis, godny uwagi ze względu na charakterystyczną plamę w rzeźbie powierzchni podobną do wizerunku ludzkiej pięści (patrz: **DRUGI KSIĘŻYC**).

PLASTAL: stal stabilizowana włóknami *stravidium*, które wrastają w jej strukturę krystaliczną.

PRANA: termin odnoszący się do mięśni, z których każdy traktowany jest osobno i, jako osobna jednostka, maksymalnie ćwiczony. Często określane jako pranamuskulatura (patrz: **BINDU** i **SZKOLENIE**).

PRAWDOMÓWCZYNI: Matka Wielebna, która posiadała sztukę zapadania w trans prawdy i bezbłędnie potrafi wykryć kłamstwo, oszustwo lub nieszczerłość.

PROTOKÓŁ: raport formułujący domniemanie zbrodni przeciw Imperium.

PRÓBA MASZAD: wszelka próba, w której stawką jest honor (określony jako postawa natchniona).

PRZEDNARODZENI: osoby obdarzone świadomością już w łonie matki, posiadające wiedzę i wspomnienia przodków (patrz: **ZŁY DUCH**).

PRZYPRAWA: patrz: **MELANŻ**.

PSEUDOTARCZA: urządzenie sabotażowe służące do wytwarzania nieużytecznego pola zbliżonego do pola prawdziwej tarczy obronnej. Doprowadzało do amoku czerwie pustyni, które atakowały i niszczyły pseudotarczę oraz wszystko w jej pobliżu.

REBAB: starożytny instrument smyczkowy o pokrytym skórą korpusie w kształcie trapezu i smukłej szyjce.

REŻIM WODY: surowe szkolenie służące przystosowaniu mieszkańców Arrakis do egzystencji bez utraty wilgoci.

RÓD: określenie klanu panującego na planecie lub w systemie planetarnym.

RUSZNICA LASEROWA: miotacz laserowy wytwarzający falę ciągłą. W cywilizacji używającej powszechnie tarcz miały ograniczone zastosowanie, gdyż zetknięcie wiązki laserowej z tarczą powodowało straszliwy wybuch.

SAJJADINA: akolitka we fremeńskiej hierarchii religijnej.

SALUSA SECUNDUS: trzecia planeta Gammy Waiping, ojczysta planeta rodu Corrinów.

SARDAUKARZY: fanatyczni żołnierze z Salusy Secundusa, wojownicy imperialnego rodu Corrinów. Uchodzący za niezwyciężonych, zostali pokonani przez Fremenów w bitwie pod Arrakin w roku 10193.

SECHER NBIW: w jednym ze starożytnych, zapomnianych języków Ziemi: „Złoty Szlak”.

SICZ: dla Fremenów: „miejsce zbiórki w razie zagrożenia”. Wskutek częstego użycia termin ten zaczął w końcu oznaczać wszelkie jaskiniowe siedziby ich plemiennych społeczności.

SOCZEWKI OLEJOWE: olej hufufowy zamknięty w obudowie i utrzymywany w napięciu statycznym przez pole siłowe, stanowiący część układu powiększającego lub innego układu manipulowania światłem.

STWÓRCYCIEL: patrz: **SZEJ-HULUD**.

SUBAK UL KUCHAR: „Jak się miewasz?”, fremeńskie powitanie.

SUBAK UN NAR: „Dobrze, a ty?”, tradycyjna odpowiedź.

SUK: w języku Fremenów: targowisko.

SUK, LEKARZE: lekarze, którzy ukończyli Akademię Medyczną Suk na Kaitain i uzyskali tzw. najwyższe uwarunkowanie, rzekomo najgłębszy odruch warunkowy przeciwko odebraniu życia człowiekowi.

SYSSELRADY: regionalne oddziały Landsraadu.

SZEJ-HULUD: gigantyczny czerw z Arrakis; „praszczur pustyni”, „praojciec wieczności”, „pradziad pustyni”. (Termin ten, wymawiany określonym tonem lub pisany wielką literą, odnosił się do bogini ziemi z fremeńskiego panteonu wierzeń.) Czerwie osiągały ogromne rozmiary i dożywały sędziwego wieku, o ile nie padły ofiarą swych pobratymców lub nie utonęły w wodzie, która była dla nich zabójczą trucizną. Działaniu czerwii pustyni przypisywano większość piasku na Arrakis (patrz: **PIASKOWA TROĆ**).

SZEJTAN: szatan.

SZIGASTRUNA: metalowe wąsy płożącej się liany (*Narvi narvium*) spotykanej tylko na Salusie Secundusie i na trzeciej planecie Deltę Kaising. Słyszeły z najwyższej wytrzymałości na rozciąganie, były często używane w sabotażu, zabójstwach i okaleczeniach.

SZKOLENIE: w odniesieniu do Bene Gesserit ten skądinąd pospolity termin nabiera specjalnego znaczenia, związanego m.in. z maksymalnym uwarunkowaniem nerwów i mięśni, jakie dopuszcza granica ich naturalnej wytrzymałości. Szkolenie pozwalało adeptce Bene Gesserit kontrolować siebie i innych (patrz: **BINDU**, **GŁOS**, **METODA BENE GESSERIT** i **PRANA**).

SZPERACZ: lekki ornitopter ekipy poszukiwaczy przyprawy przeznaczony do wypatrywania „znaków czerwia” (ruchomej fali piasku) w okolicy zbioru melanżu.

SZULOCH: mityczna sieć wymieniana w wielu fremeńskich opowieściach.

TAIF: w języku Fremenów: „banda” lub „towarzystwo”.

TAKWA: coś niesłychanie cennego (dosłownie: „cena wolności”). To, czego bóstwo żąda od śmiertelnika (i lęk wywołany tym żądaniem).

TALIONY WODY: różnej wielkości metalowe pierścienie o ściśle określonym nominale wody, na którą można je było wymienić we fremeńskich kantorach.

TANZEROFT: rejon Arrakis zwany „Ziemią Grozy”.

TARCZA OBRONNA: pole ochronne wytwarzane przez generator Holtzmana. Tarcze przepuszczały tylko obiekty poruszające się z niewielką prędkością (od sześciu do dziewięciu centymetrów na sekundę) i dezaktywować je mogło jedynie pole elektryczne wielkości hrabstwa.

TAU: w terminologii fremeńskiej: jedność siczowej wspólnoty oparta na spożywanym melanżu, a zwłaszcza na ekstatycznych doświadczeniach jedności wywoływanych piciem Wody Życia (wydzieliny arrakańskiego czerwia, która wypłynęła w chwili jego śmierci przez utonięcie i została przemieniona w ciele Matki Wielebnej).

TLEILAX: jedyna planeta Thalimy, znana jako dziki ośrodek szkolenia mentatów. Źródło wypaczonych mentatów, ghol i maskaradników.

TLEILAXANIE: (Bene Tleilax) mieszkańcy Tleilaxa, samotnej planety Thalimy, źródła niemoralnych (choć tolerowanych) technologii.

TRÓJNÓG ŚMIERCI: trójnóg, na którym kaci pustynni wieszali skazańców.

TURGROD: jeden z przystanków wieloetapowej przymusowej migracji zensunnitów (patrz: **ZENSUNNICI**).

TWIERDZA: dwór w Arrakin, największa budowla w historii ludzkości sfinansowana dzięki handlowi przyprawą. W jej skład weszły liczne budynki z ujarzmionych przez dżihad planet, przewiezione w całości liniowcami Gildii.

UMMA: osoba należąca do bractwa proroków lub „osobiste objawienie”.

WAHID: w języku Fremenów: przynies.

WALLACH IX: dziewiąta planeta Laoudżin, siedziba macierzystej szkoły Bene Gesserit.

WIELKA RÓWNINA: przechodzące w erg otwarte zagłębienie skalne położone 100 metrów powyżej poziomu blechu.

WODOWÓD: każdy przewód wewnątrz filtraka lub filtrnamiotu doprowadzający odzyskaną wodę do kieszeni łownej lub z kieszeni łownej do użytkownika (patrz: **FILTRAK** i **FILTRAMIOT**).

WYSIĘK: miejsce, w którym woda przesącza się na powierzchnię albo wystarczająco blisko powierzchni, by można było do niej dotrzeć, kopiąc według pewnych znaków (patrz: **HAUST-STUDNIA**).

WYSOKIE RODY: lennicy Imperatora mający w wieczystym bądź terminowym władaniu planetę lub system planetarny; przedsiębiorcy międzyplanetarni (patrz: **RÓD**).

ZAHA: w języku Fremenów: poranna sjeść.

ZAMEK KALADAN: imponujący dwór, przez dwadzieścia sześć pokoleń siedziba rodu Atrydów. Po przejęciu Arrakis przez Atrydów zamek zajmował siridar *in absentia* Kaladanu, hrabia Hasimir Fenring, a następnie matka Paula Muad'Diba, lady Jessika, wraz z gubernatorem regentem planety, Gurneyem Halleckiem.

ZENSUNNICI: pierwotnie: członkowie sekty Maometha (zwanego „trzecim Mahometem”), którzy zerwali z jego naukami około 1381 roku PG. Przez kilka tysięcy zensunnici zmuszeni byli uciekać się z planety na planetę (jako główne przystanki zensunnickich Wędrowców wymienia się Poritrina, Salusę Secundusa, Belę Tegeuse, Rossaka, Thurgroda i Harmonthepa), a w końcu osiedli na Arrakis (patrz: **FREMENI**).

ZGROMADZENIE ŻEŃSKIE: patrz: **BENE GESSERIT**.

ZJAWISKO HOLTZMANA: zjawisko ujemnego odpychania przez generator tarczy.

ZŁY DUCH: termin używany przez Bene Gesserit na określenie przednarodzonych, którzy zostali opętani przez jednego z ich przodków (patrz: **PRZEDNARODZENI**).

ŻNIWIARKA: wielka (niejednokrotnie 120 na 40 metrów) maszyna do zbierania przyprawy, powszechnie stosowana na bogatych, nie zanieczyszczonych terenach po wybuchu melanżu. Często z powodu niezależnych gąsienic i przypominającego robaka kształtu zwana była gąsienikiem.

Frank Herbert (1920–1986) to jeden z najwybitniejszych twórców literatury SF, zdobywca prestiżowych nagród Hugo, Nebula i Apollo, autor kilkunastu doskonałych powieści i zbiorów opowiadań, prekursor nurtu ekologicznego w fantastyce. Polski czytelnik zna m.in. jego *Oczy Heisenberga*, *Gwiazdę chłosty*, *Władców niebios* i *Twórców bogów*. Sławę przyniósł mu jednak przede wszystkim epokowy cykl „Kroniki Diuny” — barwna epopeja przedstawiająca dzieje pustynnej planety Arrakis, źródła najcenniejszej substancji we wszechświecie: melanżu.

Tytuł oryginału: *Children of Dune*

Copyright © 1976 by Frank Herbert
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2011

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem,
zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony.
Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation (<https://fedorahosted.org/liberation-fonts/>)

Redakcja merytoryczna i słowniczek: Sławomir Folkman
Redakcja: Błażej Kemnitz

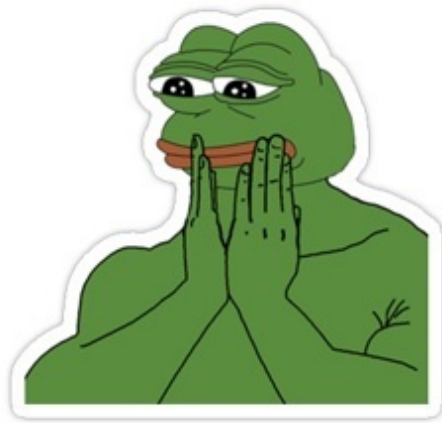
Copyright © 2008 for the illustrations by Wojciech Siudmak
Grafiki: Wojciech Siudmak

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Dzieci Diuny, wyd. I, dodruk, Poznań 2011)

ISBN 978-83-7818-074-6

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

e-Book: KALADAN, www.kaladan.pl



RARE

Upłynęło dziewięć lat, odkąd oślepiiony Paul Muad'Dib wyruszył samotnie na pustynię na spotkanie z Szej-huludem. W tym czasie rządy w Imperium sprawowała jego siostra Alia. Na drodze opętanej regentce wciąż jednak stoją prawowici następcy Paula – Leto i Ganima. Kilkuletnie dzieci są też zagrożeniem dla rodu Corrinów, odwiecznego wroga Atrydów, chcącego ponownie zasiąść na Tronie Złotego Lwa.

Bliźnięta, którym także grozi opętanie, podejmują beznadziejną, zdawałoby się, walkę na kilku frontach jednocześnie. Tymczasem na Arrakis pojawia się charmatyczny niewidomy Kaznodzieja, który bardzo przypomina ich zmarłego ojca...

„W swej opowieści o władzy, polityce i ekologicznym ocaleniu Herbert kolejny raz wspiał się na sam szczyt”.

„Los Angeles Times”



www.rebis.com.pl

Table of Contents

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Dzieci Diuny](#)

[Terminologia Imperium](#)

[Notka biograficzna](#)

[Strona redakcyjna](#)

[\[Okładka\]](#)